



**Coś się stało** Joseph Heller

## Ciarki mnie przechodzą

---

**G**

•iarki mnie przechodzą na widok zamkniętych drzwi. Nawet w biurze, gdzie mi się teraz tak świetnie wiedzie, widok zamkniętych drzwi wystarczy czasem, by wzbudzić we mnie lęk, że za nimi dzieje się coś strasznego, groźnego dla mnie; jeśli jestem zmęczony i bez humoru po nocy zakłamania, pijaństwa lub nadużywania seksu albo jeśli zwyczajnie po bezsennej nocy nerwy mi wysiadają, niemal czuję zbliżające się nieszczęście, i to przeczucie rośnie i płynie ku mnie poprzez matowe szyby w drzwiach. Ręce mi potnieją, głos brzmi dziwnie. Ciekaw jestem dlaczego.

Coś musiało mi się kiedyś stać.

Może tego dnia, kiedy niespodzianie wróciłem do domu z gorączką i bólem gardła i zobaczyłem rodziców w łóżku; wtedy obudził się we mnie strach przed drzwiami: bałem się je otwierać i nie ufałem im, kiedy były zamknięte. A może tak mnie ukształtowała świadomość naszego ubóstwa, obudzona we mnie, kiedy już byłem starszy. Lub dzień śmierci ojca, kiedy ogarnęło mnie poczucie winy i wstydu, bo sądziłem, że jestem jedynym chłopczykiem na świecie, który nie ma ojca. Mogła się też przyczynić do tego osiągnięta w zaraniu życia świadomość, że nigdy nie będę miał szerokich barów i potężnych mięśni, że nie będę dość dobry, wysoki, silny czy odważny, by wejść do kadry narodowej amerykańskiej piłki nożnej lub zostać mistrzem świata w boksie — smętna, przygnębiająca świadomość, że czegokolwiek bym się imał w życiu, zawsze znajdzie się pod ręką ktoś inny, kto zrobi daną rzecz znacznie lepiej ode mnie. A może ten strach obudził się we mnie innego

dnia, kiedy otworzyłem drzwi i ujrzałem swoją dorosłą siostrę nagą, wycierającą się na białej kafłowej podłodze łazienki. Wrzasnęła na mnie, choć wiedziała, że sama zostawiła nie zamknięte drzwi i że wpadłem na nią przypadkiem. Byłem przerażony.

Przypominam też sobie, z humorem teraz, bo działo się to tak dawno, upalny letni dzień, kiedy wszedłem do starej drewnianej szopy na węgiel, stojącej za naszą kamienicą z czerwonej cegły, i zobaczyłem starszego brata na podłodze z młodszą siostrą Billy'ego Fostera, z kościstą dziewczynką w moim wieku i nawet z mojej klasy. Wszedłem do szopy, żeby zdjąć koła i osie z połamanego dziecięcego wózka, który znalazłem obok kubła na śmieci, bo chciałem zmajstrować samochód ze skrzyni na melony i długiej deski. Jak tylko wszedłem do tej ciemnej szopy, usłyszałem niewyraźny szelest i poczułem się tak, jakbym nadepnął na coś żywego. Wzdrygnąłem się, uderzył mnie zapach kurzu. Uśmiechnąłem się z ulgą widząc, że to brat leży z kimś w czarnym cieniu na drugim końcu szopy. Strach mnie odleciał. Powiedziałem:

— Cześć, Eddie. To ty? Co ty tam robisz?

— Wynoś się, do cholery, ty skurwysynku! — krzyknął i cisnął we mnie kawałkiem węgla.

Uskoczyłem z cichym jękiem i łzami w oczach i uciekłem na łeb, na szyję. Wpadłem w rozgrzaną jasność ulicy przed naszym domem, kręciłem się po chodniku i łamałem sobie głowę: co takiego zrobiłem, aby tak rozzłościć brata, że mnie sklął i cisnął we mnie ciężkim kawałkiem węgla. Nie wiedziałem, czy uciekać dalej, czy poczekać, czułem się zanadto winny, aby uciekać, i chyba zanadto przerażony, aby zostać i poddać się zasłużonej karze, choć pojęcia nie miałem, za co. Niezdolny do powzięcia decyzji, sterczałem drżąc na chodniku, aż wreszcie ogromne drewniane drzwi szopy otworzyły się skrzypiąc i brat z dziewczyną wyszli powoli z ciemnej czeluści. Brat szedł za małą z zadowoloną miną. Na mój widok uśmiechnął się, co dodało mi otuchy. Najpierw spostrzegłem, że się uśmiecha, a potem dopiero, że dziewczyna to wysoka, chuda młodszą siostra Billy'ego Fostera. Zbierała celujące stopnie z kaligrafii, ale nigdy nie dostała więcej niż trójkę z ortografii, geografii czy arytmetyki, mimo że zawsze miała ściągaczki. Zdziwiłem się widząc ich razem, nie przypuszczałem nawet, że on ją zna. Szła ze spuszczonej oczami udając, że mnie nie widzi. Zbliżali

się powoli. Wszystko to działo się bardzo powoli. Dziewczyna była zła i milczała. Ja również. Brat mrugnął do mnie nad jej głową i mocno podciągnął spodnie w górę. Szedł z butą, jakiej u niego nigdy nie widziałem — nie spodobało mi się to. Poczulem się nieswojo widząc go tak odmienionym. Ale byłem mu tak bardzo wdzięczny za owo mrugnięcie, że z radości zacząłem podskakiwać i niemal histerycznie chichotać. Oszołomiła mnie ulga, wybełkotałem:

— Cześć, Eddie. Co tam robiłeś? Czy coś się stało?

— Stało — powiedział śmiejąc się — żebyś wiedział, że się stało. Jak myślisz, Geraldine? — Iz uśmieżkiem, zalotnie szturchnął ją łokciem w ramię.

Dziewczyna uskokczyła z przelotnym, złym uśmiechem i minęła nas nie podnosząc oczu. Po jej odejściu brat mi przykazał:

— Nie mów mamie.

Wiedział, że nie powiem, jeśli mnie poprosi.

Później, kiedy zacząłem przywoływać to w pamięci i zastanawiać się (ciągle fantazjuję na temat tego incydentu, wracam myślami w przeszłość i robię to teraz coraz częściej) nad tym, co w wilgoci, szarpaninie i zapamiętaniu intymnego zbliżenia prawdopodobnie istotnie wydarzyło się wtedy na podłodze szopy z węglem, byłem ogromnie zdziwiony i niemal na głos wyrażałem swoje zdziwienie, że mój duży brat uprawiał seks z kościstą siostrą Billy'ego Fostera, która była o kilka miesięcy młodsza ode mnie, miała wystające zęby i nawet nie była ładna.

Strasznie chciałem się dowiedzieć czegoś więcej o tym, co oni robili na tej podłodze, lecz nigdy nie starczyło mi odwagi, aby spytać brata, choć zawsze był łagodny, dobry i bardzo dla mnie miły za życia.

Tylu rzeczy nie chcę się dowiedzieć. Na przykład wolę raczej nie wiedzieć (aczkolwiek oboje z żoną czujemy się w obowiązku dochodzić prawdy), jakie zabawy odbywają się na prywatkach, na które chodzi moja nastoletnia córka, jakie tam palą papierosy, jakiego koloru pigułki czy kapsułki wączają lub łykają; ilekroć zjawiają się karetki policyjne, nie chcę wiedzieć, dlaczego przyjechały, choć cieszę się, że są, i pocieszam, że przyjechały na czas, aby zrobić to, do czego je sprowadzono. Kiedy widzę karetkę pogotowia, wolę nie wiedzieć, po kogo przyjechała. A kiedy dzieci toną, dławią się lub giną pod kołami

samochodów czy pociągów, nie chcę wiedzieć, czyimi są dziećmi, gdyż nieustannie się boję, że to mogą być moje dzieci.

Podobny wstręt czuję do szpitali, boję się i nie lubię znajomych, którzy zapadają na zdrowiu. Nigdy nikogo nie odwiedzam w szpitalu, jeśli mogę tego uniknąć, boję się, że otworzę drzwi separatki czy półseparatki i natknę się na przerażający widok, na który nie będę przygotowany. (Nigdy nie zapomnę wstrząsu, jakiego doznałem na sali szpitalnej widząc po raz pierwszy gumową rurkę zwisającą z czyjegoś nosa, jeszcze splamionego krwią. Rurka była koloru cielistego i trochę przezroczysta.) Gdy przyjaciele, krewni czy ludzie, z którymi prowadzę interesy, dostają ostatnimi czasy zawału, nie dzwonię nigdy do szpitala, aby się dowiedzieć, jak się mają, nie chcę narazić się na to, że dowiem się o ich śmierci. Unikam ich żon i dzieci, dopóki nie dowiem się od kogoś, kto z nimi rozmawiał, że nie nastąpiło pogorszenie. Psuje to czasem moje stosunki (nawet z własną żoną, która ustawicznie się dowiadyuje, jak się ten czy ów miewa, i biega po szpitalach z prezentami dla chorych), ale nie dbam o to. Nie chcę po prostu rozmawiać z ludźmi, których mąż, ojciec, żona, matka czy dziecko mogą być umierający, nawet gdy jestem bardzo przywiązany do samej umierającej osoby. Nie chcę się dowiedzieć, że ktoś, kogo znam, nie żyje.

Raz jednak (cha, cha!), kiedy pewien znajomy istotnie zmarł, zebrałem się na odwagę i udając, że nic o tym nie wiem, zatelefonowałem tego samego dnia do szpitala, aby się dowiedzieć, jak się ten ktoś miewa. Byłem ciekaw, co poczuje, słysząc, że nie żyje. Zastanawiałem się, jak mi to oznajmia, interesowała i ekscytowała mnie technika udzielania takiej informacji. Czy powiedzą, że zmarł, odszedł, uległ chorobie, zszedł ze świata, czy może nawet, że zgasł. (Jak wygasa prenumerata na pismo ilustrowane czy ważność karty bibliotecznej.) Kobieta, która odebrała mój telefon w szpitalu, zaskoczyła mnie.

— Pan... nie jest już naszym pacjentem.

Potrzebowałem nie lada odwagi, całej mojej odwagi, aby tam zadzwonić. I odkładając słuchawkę trząsnę się jak liść. Tak, serce mi waliło z radości i podniecenia, że wyszedłem z tej historii cało, bo od momentu, kiedy wypowiedziałem pierwszą sylabę, kiedy wykręciłem pierwszą cyfrę telefonu, byłem przekonany, że kobieta w szpitalu wie dokładnie, co ja wyprawiam — że widzi mnie na wskroś przez drut telefoniczny

i czyta moje myśli — i bez ogródek mi to powie. Nic takiego nie zrobiła. Powiedziała tylko to, co jej kazano powiedzieć, i pozwoliła mi umknąć bez szwanku. (Czy ta odpowiedź była nagrana na płycie?) Nigdy nie zapomniałem tej taktownej odpowiedzi:

— Pan... nie jest już naszym pacjentem.

Pan... nie żył. Nie było go już wśród żywych. Pan... nie był już pacjentem, po trzech dniach musiałem pójść na jego pogrzeb.

Nienawidzę pogrzebów — nienawidzę organicznie, bo jest w nich zawsze coś chorobliwego — i za wszelką cenę staram się na żaden nie chodzić (zwłaszcza na mój własny, cha, cha!). Na pogrzebach, na które pójść muszę, staram się z nikim nie rozmawiać; ściskam tylko dłonie i mam przygnębioną minę. Czasem coś mamrocze niedosłyszalnie, zawsze spuszcza oczy, jak ludzie w filmach. Na nic więcej się nie ważę, bo nie ufam sobie. Skoro nie wiem, co powiedzieć po czyjejs śmierci, boję się, że cokolwiek powiem, będzie niewłaściwe. W ogóle nie ufam już sobie w żadnej sytuacji krytycznej, jeśli nie panuję nad nią i nie mogę przewidzieć jej skutków. Bardzo niechętnie zmieniam nawet korek elektryczny czy żarówkę.

Coś gdzieś musiało się stać, co pozbawiło mnie ufności i odwagi, wzbudziło we mnie strach przed dowiedzeniem się, przed zmianą, co sprawiło, że rzeczy nieznane i mogące się przydarzyć budzą we mnie głębokie przerażenie. Nie lubię rzeczy nieoczekiwanych. Nawet nieznaczne przesunięcie mebli (choćby w biurze), bez uprzedzenia mnie, odczuwam jak cios między oczy lub nóż w plecach. Nie lubię nagłych wydarzeń. Gniewają mnie i oburzają niespodzianki wszelkiego rodzaju, nawet miłe, pozostawiają we mnie ołowiany posmak żalu i litości nad sobą, poczucie, że jestem czyjąś igraszką, że wykorzystano mnie dla czyjejs przyjemności, że coś ukrywano przede mną, że byłem wykluczony z jakiegoś spisku. (Nie jestem najłatwiejszą osobą we współżyciu.) Nie cierpię konfliktów (lubię tylko konflikty z własną rodziną). Istnieje mnóstwo małych, codziennych konfliktów, z którymi nie potrafię już sobie radzić bez okrutnej męki i poniżenia: sprzeczka z robotnikiem, który chce mnie naciągnąć na powierzenie mu roboty lub na niewielką sumę pieniędzy, albo skarga do nieuchwytej osoby w towarzystwie telefonicznym. (Wolę raczej być oszukany.) Albo historia z myszami, które rozpleniły się w moim

mieszkanii, zanim zdobyłem kierownicze stanowisko niższego szczebla w koncernie i zacząłem zarabiać tyle, że mogłem się wyprowadzić z centrum do własnego domu w podmiejskiej dzielnicy Connecticut (którego nie cierpię).

Nie wiedziałem, jak sobie z tymi myszami poradzić. Nigdy ich nie widziałem. Sprzątaczką je widziała albo tylko tak twierdziła, raz żonie się zdawało, że je widziała, a teściowa była niemal pewna, że je widziała w naszym mieszkaniu. Po jakimś czasie myszy znikły. Poszły sobie. Przestały wychodzić z nor. Nie jestem nawet pewien, czy naprawdę tam były. Przestaliśmy o nich mówić, więc jakby znikły i jakby ich nigdy u nas nie było. Malutkie myszki (według wszelkich rzeczowych relacji) musiały się przedostawać przez otworki w okratowaniu kaloryfera. Nie przeszkadzały mi zbytnio, jeśli nie musiałem ich oglądać lub słyszeć, choć często przyłapywałem się na tym, że nasłuchuję, czy nie chroboczą, i czasem mi się zdawało, że faktycznie je słyszę. Przerazały jednak i trzymały w ustawicznym strachu żonę. Domagała się, żebym znalazł na nie radę.

Musiałem więc co noc zastawiać pułapki. I co rano, kiedy żona i dzieci ze strachem zaglądały mi przez ramię, musiałem otwierać każdą ścienną i luzem stojącą szafę, zaglądać za każdą kanapę, każde łóżko i każdy fotel w kącie, aby sprawdzić, jaka też nowa i ohydna niespodzianka czeka na mnie, aby mi pomóc rozpocząć nowy dzień. Nawet brak niespodzianki był wstrząsającą niespodzianką. Denerwowało mnie to, że rodzina wpatruje się we mnie z takim poważnym skupieniem i napięciem, gdyż z trojga moich dzieci dwoje i tak jest przewrażliwionych i niepewnych siebie, więc z góry były wystraszone. Trzecie, syn, ma uszkodzony mózg i nic do niego nie dociera. Poza tym nawet wówczas nie byłem pewien, czy lubię swoją rodzinę do tego stopnia, żebym mógł ją znieść w komplecie koło siebie w trudnej sytuacji osobistej.

Nigdy nie wiedziałem, co znajdę za drzwiami, za którymi stały pułapki, lub za meblami, piecem czy lodówką. Bałem się, że znajdę martwe myszki, które będę musiał wynieść. Bałem się też, że nie znajdę żadnych myszek i noc po nocy, rano po ranku będę zmuszony powtarzać ohydny rytuał ustawiania pułapek. Bóg wie jak długo. Najbardziej jednak bałem się tego, że otworzę jakieś drzwi w kuchni i zobaczę żywą myszkę przycupniętą w ciemnym kącie, jakby tylko na mnie czekała, a potem wymknie mi się spod ciężkiego rulonu jakiegoś ma-



gazynu, który trzymałbym kurczowo w spoconej zaciśniętej dłoni jako oręż. Boże drogi, gdyby to się kiedy przydarzyło! Gdyby się przydarzyło, musiałbym się zmusić, aby ją trzepnąć z całych sił. Wiedziałem, że musiałbym się zmusić, zamachnąć z całych sił, żeby jednym uderzeniem zatłuc nieszczęsne stworzenie, wiedziałem też, że spudłowałbym i tylko okaleczył biedactwo. A kiedy myszka leżałaby przede mną z drgającymi złamanymi kończynami, musiałbym wbrew woli znów podnieść ciężki magazyn i walić w nią powtórnie, i walić tak długo, ażbym ją zabił na dobre.

Perspektywa znalezienia żywej myszki za każdymi drzwiami, jakie co rano otwierałem, wywoływała we mnie mdłości i przyprowadzała mnie o drgawki. Nie bałem się samej myszki (taki niemądry nie jestem), lecz tego, że gdybym się natknął na którą, musiałbym coś z tym fantem zrobić.

### W

moim biurze jest pięć osób, których się boję. Każda z tych pięciu boi się czterech pozostałych (z wyłączeniem nakładających się na siebie wypadków) z dwudziestu osób personelu mojego działu, a każda z tych dwudziestu boi się sześciu, co daje w sumie sto dwadzieścia osób, których boi się przynajmniej jedna osoba. Każda z tych stu dwudziestu boi się pozostałych stu dziewiętnastu, a wszystkie sto czterdzieści pięć osób boi się dwunastu najwyższych dygnitarzy, którzy założyli i rozwinęli koncern, obecnie zaś kierują nim jako właściciele.

Ta dwunastka to już starsi panowie, z których czas i sukces wysały energię i ambicję. Wielu z nich spędziło w koncernie całe życie. Wydają się mili, powolni i zadowoleni, kiedy mijam się z nimi w holach (wydają się martwi), są nieodmiennie uprzejmi i milczący, ilekroć korzystają z ogólnych wind. Nie wiele już pracują. Uczestniczą w zebraniach, typują awanse, używają swoich nazwisk do ogłoszeń przygotowywanych i publikowanych przez innych. Nikt już nie wie na pewno, kto naprawdę kieruje koncernem (nawet ci, którym się kierownictwo przypisuje), koncern jednakże funkcjonuje. Czasem któryś z tej czołówki zajmuje przez krótki czas jakieś stanowisko w rządzie. Nie pragną większej aktywności. Dwaj z nich wiedzą, na czym polega moja praca, poznają mnie, bo kiedyś im pomogłem, więc są na tyle uprzejmi, że witają się ze mną, choć jestem pewien, że nie pamiętają mojego nazwiska. Zawsze widząc mnie uśmiechają się i witają mnie stereotypowym: „Jak się pan miewa?” (Ja zawsze skłaniam głowę i odpowiadam:

„Doskonale.”) Ponieważ niewiele się stykam z tymi dwunastoma na górze i rzadko ich widuję, więc właściwie ich się nie boję. Lecz większość tych, których ja się boję, drży przed nimi.

Prawie każdy w naszej instytucji boi się kogoś innego, a ja mam czasem wrażenie, że jestem zastraszonego wyrostkiem w Zakładzie Ubezpieczeń od Wypadków Samochodowych, gdzie przed laty pracowałem w Dziale Ewidencji, a kierowniczką działu była pani Yerger, wygrażająca nam codziennie, że nas wyleje. Była to kobieta duża, stanowcza, bardzo apodyktyczna i paskudnie uprzejma, nie miała wątpliwości, że postępuje mądrze, jeśli się do kogoś uprzedziła. Dowcipna, starsza ode mnie dziewczyna, której było na imię Virginia, siedziała pod wielkim zegarem Western Union w tym samym pokoju i prześcigała się ze mną w nieprzyzwoitych dowcipach (nazywam się Virginia, czy Virgo-dziewica, mówiąc krótko, lecz nie na długo, cha, cha), żywa i bezpośrednia, ciągle się śmiała i żartowała (ze mną przynajmniej), ja zaś byłem za młody i za głupi, aby zrozumieć, że to nie były tylko żarty. (Boże drogi, kazała mi wziąć dla nas pokój w hotelu, a ja nie wiedziałem, jak to zrobić! Teraz myślę, że była wyjątkowo ładna, choć nie jestem pewien, czy wtedy tak myślałem, ale podobała mi się i paliłem się do niej. Kilka lat przedtem jej ojciec odebrał sobie życie.) W tym zakładzie działo się wiele innych rzeczy, o których nie miałem pojęcia. (Virginia opowiedziała mi, że któryś z żonatych speców od odszkodowań zabrał ją pewnego wieczoru swoim samochodem na przejażdżkę, stał się natarczywy i groził, że ją zgwałci lub wysadzi w szczerym polu koło cmentarza, aż musiała się zgrywać, że zaraz się rozplacze.) Pamiętam, że i w tym zakładzie bałem się otwierać drzwi, nawet kiedy wzywał mnie któryś z adwokatów czy speców, aby mnie posłać po jakąś teczkę czy kanapkę. Nigdy nie wiedziałem, czy pukać, czy wchodzić bez pukania, czy pukać z szacunkiem, czy też na tyle głośno, żeby mnie usłyszano od razu i kazano wejść. Tak czy siak, często obrywałem (lub tak mi się zdawało). Zjawiałem się za szybko lub za późno).

Pani Yerger tyranizowała nas wszystkich. Wkrótce niemal wszyscy zatrudnieni w Dziale Ewidencji odeszli, kilku starszych do wojska lub marynarki, reszta na lepsze posady. Ja wziąłem pracę, która okazała się gorsza. Dużo mnie kosztowało zebranie się na odwagę, aby wymówić. Nie zmieniłem się pod tym względem. (Powtarzałem sobie tekst wymówienia całymi dniami, starałem się wykrzesać z siebie śmiałość, aby

go wygłosić, układałem szczere, godne odpowiedzi na oskarżycielskie pytania o powody, których ani pani Yerger, ani nikt inny mi nie zadał.) Mam hysia na punkcie władzy, chcę móc stawić jej czoło, przemawiać do zwierzchników otwarcie, śmiało i zaczepnie, nawet kiedy wiem, że mam rację i nic mi nie grozi. (Nigdy nie umiem siebie przekonać, że mi nic nie grozi.) Po prostu nie wierzę w to.

Była to moja pierwsza posada po ukończeniu szkoły (lub po skończonej szkole). Miałem siedemnaście lat, a ta starsza, dowcipna flirciara siedząca pod wielkim zegarem, Virginia, miała zaledwie dwadzieścia jeden (teraz byłaby o rok czy dwa za młoda nawet dla mnie) i od tego czasu drżałem ze strachu na każdej posadzie — bałem się, że mnie wyrzucą. Nie wyrzuciono mnie właściwie nigdy, dostaję hojne podwyżki i szybkie awanse, gdyż jestem na ogół bardzo bystry (z początku) i szybko chwytam, o co w danej pracy chodzi. Mimo to poczucie klęski, przygniatający przedsmak nieuchronnej katastrofy i publicznej hańby nie opuszcza mnie nawet w tym biurze, w którym równomiernie dobrze pracuję i staram się nie robić sobie wrogów. Idzie mi o to, że nie wiem dokładnie, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami wszystkich pokoi na wszystkich piętrach naszego i wszystkich innych koncernów na całym świecie, w każdym z nich ktoś świadomie lub przypadkowo może powiedzieć lub zrobić coś, co mnie zniszczy. Zadręczam się nawet czasem ponurymi myślami, że CIA, FBI lub Urząd Skarbowy od lat potajemnie się mną interesują, że wkrótce mnie osaczą i aresztują tylko dlatego, że żywię w skrytości ducha liberalne poglądy i głosuję zazwyczaj na kandydatów partii demokratycznej.

Ciągle mi się wydaje, że ktoś z mojego otoczenia dowie się wkrótce o mnie czegoś takiego, co mnie pograży, choć pojęcia nie mam, co to mogłoby być.

W normalnym układzie stosunków w moim biurze boję się Greena, a on boi się mnie. Boję się go dlatego, że mój dział podlega jemu i on jest moim szefem. Natomiast Green boi się mnie dlatego, że praca wykonywana w moim dziale wchodzi przeważnie w zakres Wydziału Sprzedaży, który jest ważniejszy od jego działy, oraz dlatego, że z szefem Wydziału Sprzedaży, Andym Kagle'em, i innymi jestem w bliższych stosunkach niż sam Green.

Nieufność Greena wobec mnie ma różne stopnie natężenia. Od czasu do czasu Green daje mi niedwuznacznie do zrozumienia, że życzy sobie przed innymi działami widzieć wszyst-

ko, co wychodzi z mojego działu. Wiem, że nie mówi tego poważnie, zbyt jest zajęty własną pracą, aby przywiązywać tyle wagi do mojej, więc nie wtajemniczam go w większość spraw, aby mu nie zabierać czasu i nie opóźniać doręczenia sprawozdań tym, którzy ich potrzebują (lub sądzą, że ich potrzebują) natychmiast. To, co się robi w moim dziale, na dłuższą metę jest nieważne. Ale Green zawsze popada w panikę, kiedy ktoś z innego działu chwali robotę zrobioną w moim. Staje się szkarłatny z wściekłości i zakłopotania, jeśli nie widział danej sprawy lub o niej nie słyszał. (Ale tak samo zrzędzi, jeśli ją widział i nie może jej sobie przypomnieć.)

Faceci z Wydziału Sprzedaży lubią mnie (albo udają, że lubią). Nie cierpią Greena. On o tym wie. Ludzie skarżą mi się na niego, robią na jego temat uszczypliwe uwagi — o czym również wie. Ale udaje, że nie wie. Udaje, że to go nic nie obchodzi, bo nie lubi facetów z Wydziału Sprzedaży. Ja ich właściwie też nie lubię (ale udaję, że lubię). Green na ogół nie wysiła się, aby poprawić swoje stosunki z facetami z Wydziału Sprzedaży, traktuje ich z nie ukrywaną wyższością i pogardą. Martwi się jednak, że robi sobie wrogów. Okropnie się martwi, że wkrótce Wydział Organizacji Koncernu wyłączy mój dział z jego działu i przyłączy mnie do Wydziału Sprzedaży. Martwi się o to już od osiemnastu lat.

W moim dziale jest sześć osób, które się mnie boją, i mała sekretarka, która boi się nas wszystkich. Mam jeszcze jednego pracownika, który nie boi się nikogo, nawet mnie, i z miejsca bym mu wymówił, gdybym ja się nie bał jego.

Często myślę o naszym personelu niższego rzędu: chłopcach i dziewczętach na posyłki, magazynierach, gońcach i innych pracownikach wszelkiego autoramentu i wieku, którzy boją się wszystkich, poza tym w moim dziale pracuje maszynistka, która dostaje powoli obłędu, i z tego powodu wszyscy boimy się jej.

Na imię ma Martha. Najbardziej boimy się tego, że dostanie ataku w dzień powszedni między dziewiątą rano i piątą po południu. Mamy nadzieję, że zwariuje w czasie weekendu, kiedy nas przy tym nie będzie. Powinniśmy się jej pozbyć teraz, póki jeszcze czas. Ale nie zrobimy tego. Ktoś powinien

jej wymówić, ale nikt się do tego nie kwapi. Nawet Green, który uwielbia wymawiać ludziom, uchyla się od odpowiedzialności za posunięcie, które może przyspieszyć jej wstrząsające załamanie, aczkolwiek znieść jej nie może i dostaje furii, kiedy przypomina mu się, że ona jest jeszcze w jego dziale. (To on ją zaangażował po krótkiej rozmowie, na podstawie bardzo dobrej opinii Wydziału Personalnego, który zajmuje się wyszukiwaniem maszynistek i posyłaniem ich na rozmowę do szefa.) Jak my wszyscy, Green udaje, że ona u nas nie pracuje.

Przyglądamy się jej i czekamy, chodzimy koło niej na paluszkach, zastanawiamy się, ile czasu musi jeszcze upłynąć, zanim ona programowo dojdzie do tej ostatniej, decydującej sekundy, kiedy w końcu zwariuje — w ataku furii czy bez słowa, szarpiąc się dziko czy też zupełnie pogodna, rozumiejąc jak osoba inteligentna, że zwariowała i musi iść do szpitala, a może przerażona, nieświadoma i ogłupiała.

Dziwnym trafem praca daje jej większą satysfakcję niż nam wszystkim. Myśli jej wędrują od pracy do miłszych *msczy*, uśmiecha się i szepcze do siebie radośnie, patrzy nad walkiem maszyny na pustą ścianę naprzeciwko, oddaloną zaledwie 0 stopę czy dwie od jej twarzy, zapomina, kim czy gdzie jest 1 co ma przepisać. Uciekamy od niej w miarę możliwości, odwracamy się lub staramy się nie widzieć jej min. Za każdym razem, kiedy popada w ten stan, każdy z nas ma nadzieję, że kto inny zrobi lub powie coś, co położy kres jej uśmiechaniu się i mówieniu do siebie. Kiedy nie możemy się wymigać od tego obowiązku, staramy się sprowadzić ją z powrotem do biura łagodnym przypomnieniem o jej pracy, w którym nie ma cienia aluzji, krytyki czy wyrzutu. Sądzymy, że byłaby zdziwiona i oszołomiona, gdyby wiedziała, co robi, że prawdopodobnie traci zmysły. Czasem jest nieznośnie nerwowa, nie sposób na nią patrzeć lub przebywać w jej pobliżu. Wszyscy odnoszą się do niej bardzo delikatnie i troskliwie. Green często skarży się na nią do dyrektora personalnego, który też nie chce jej wymówić i który skontaktował się z jej rodziną w stanie Iowa. Okazuje się, że jej matka wysłała powtórnie za męża i nie chce jej w domu. Martha ma fatalną cerę. Nikt jej nie lubi i wszyscy chcieliby, żeby odeszła.

Nasz koncern jest wyrozumiały. Ludzie przeważnie są mili, atmosfera na ogół serdeczna. Biura, zwłaszcza sale recepcyjne

i poczekalnie, są jasne i kolorowe. Przeważają kolory pomarańczowy i morskiej zieleni. Często urząda się przyjęcia dla personelu. Mamy wolne wszystkie oficjalne święta i bierzemy sobie bez potrąceń wolne dni, kiedy ich potrzebujemy. Często mamy trzy- lub czterodniowe weekendy. (Znieść już nie mogę tych długich weekendów i pojęcia nie mam, jak je przetrwać. Chyba będę musiał zacząć jeździć na nartach.)

Co dwa tygodnie dostajemy wypłatę na podstawie maszynowo produkowanych odcinków z grubego papieru (nie jest dość gruby, by go nazwać kartonem), na którym wybite są równiutkie podłużne dziurki i wydrukowane malutkimi czarnymi wersalikami oficjalne ostrzeżenie, że odcinków nie wolno gnieść, drzeć, zacierać, spinać czy zniekształcać w jakikolwiek inny sposób. (Powinny być tylko wymieniane na gotówkę.) Gdyby nie to ostrzeżenie, nie przyszłoby mi nigdy do głowy, aby zrobić z odcinkiem co innego niż złożyć go w kasie. Teraz jednak chwytam mnie czasem ciekawość. Mniej więcej co dwa tygodnie, kiedy otwieram nie zaadresowaną ciemnożółtą kopertę z odcinkiem wypłaty i patrzę tępo na dziurki, cyfry i słowa, jak gdyby zawiedziony, że nie znalazłem na tym odcinku jakiegoś wielkiego nieodwołalnego błędu na moją korzyść, myślę ponuro, co by się stało, gdybym zgniótł, złożył w czworo, podarł, zatarł, spiął i zniekształcił ten świstek? (To przecież mój odcinek wypłaty. Tak czy nie?) Co by się stało, gdybym umyślnie, na zimno, z zamierzoną złośliwością i premedytacją nie usłuchał ostrzeżenia?

Wiem, co by się stało: Nic. I ta świadomość mnie przygnębia. Jakaś dziewczyna na parterze, której w życiu nie widziałem (prawdopodobnie też ze złą cerą), dotknęłaby tylko kilku klawiszy na stalowym przyrządzie do dziurkowania i wszystko wróciłoby do pierwotnego stanu, byłoby więc tak, jakbym się wcale nie zbuntował. Mój bunt zostałby wchłonięty jak deszcz przez ocean nie zostawiając po sobie najmniejszego śladu. Nie wywołałby nawet zmarszczki na powierzchni wody.

Przypuszczam, że to prawie niemożliwe, aby ktoś taki jak ja mógł się jeszcze zbuntować z jakimś trwałym skutkiem. Straciłem zdolność wywoływania zakłóceń, którą miałem w dzieciństwie, nie potrafię już zmienić mego otoczenia ani spowodować w nim choćby poważnego zamętu. Wyrzucono by mnie po prostu i zapomniano o mnie przy pierwszej próbie buntu. Odłożono by mnie do akt. I to się właśnie stanie z maszynistką Martha, kiedy w końcu oszaleje. Wyrzuca ją

i zapomną o niej. Odłożą ją do akt. Wyplacą jej zasiłek chorobowy, urlopowy i odprawę. Dostanie forszę z funduszu płac i funduszu podziału zysków, potem wszystkie ślady po niej będą bezpiecznie zatarte, ukryte w starej zielonej szafce ze starymi teczkami na innym piętrze lub w zakurzonej magazynie, do którego nikt nie zagląda częściej niż raz czy dwa w roku i o którego istnieniu wie zaledwie kilka osób w koncernie; w szafce podobnej do starych zielonych szafek z martwymi sprawami wypadków samochodowych, zmagazynowanymi w suterenie głównych biur Zakładu Ubezpieczeń od Wypadków Samochodowych, w którym pracowałem jako wyrostek. Kiedy Martha zwariuje, sprawa jej będzie martwa.

Nie wyobrażałem sobie, że może być tyle martwych spraw, ile widziałem w tym magazynie (a w zakładzie, do którego posyłało mnie raz czy dwa do roku, kiedy nasuwała mi się wątpliwość w jakiejś od dawna martwej sprawie, znajdowały się dziesiątki tysięcy spraw jeszcze bardziej martwych). Pamiętam je doskonale, pamiętam dane wypisane groteskowo jaskrawym niebieskim atramentem na każdej tezcze: numer, nazwisko, adres, data i wskazówka w skrócie, czy wypadek spowodował tylko szkody materialne (SM), czy też obrażenia cielesne (OC). Przynosiłem sobie śniadanie (kiełbasę włoską, kotlety mielone suto zaprawiane ketchupem lub tuńczyka czy łososia z puszki oraz pomidory), które zjadałem w czasie przerwy na lunch w magazynie, a kiedy byłem sam, czytałem „Mirror”, nowojorską gazetę (która już też jest martwa), i dla rozrywki przeglądałem stare teuczki wypadków, wyciągając je z szafek na chybił trafił. Szukałem wydarzeń, tragedii, wysoce dramatycznej akcji detektywów i napięcia sal sądowych. Na próżno. Te sprawy były martwe. Ani nazwiska osób, ani oceny i opinie lekarzy, dochodzenia i zeznania naocznych świadków nie mogły tchnąć w nie życia. („Mirror” był lepszy, bo najbardziej aktualne i prawdziwe wiadomości o nieszczęściach ludzi czy kraju brzmiały jak najprawdziwsze komiksy.) Największe wrażenie robił na mnie sam ogrom owych martwych spraw, kolosalna liczba jednakowych, starych uginających się pod naporem tekturowych teczek szaf, które wznosiły się jak sczeplone prastare wieże od podłogi niemal do sufitu, ów bezmierny, nie kończący się ciąg nie związanych z sobą wypadków, które się wydarzyły ludziom i samochodom, na długo zanim zacząłem pracować w tym zakładzie, kiedy tam pracowałem i wydarzają się obecnie.



Za moich czasów w tamtym zakładzie również była dziewczyna, która postradała zmysły. Odłożono ją *ad acta*. Natomiast w zakładzie, w którym pracowałem wcześniej, na stanowisku kierowniczym średniego szczebla był mężczyzna, który dostał ataku furii, wyskoczył z okna jakiegoś hotelu i poniósł śmierć na miejscu; zostawił kartkę, w której przeproszał za to, że wyskakuje z okna hotelu i w ten sposób odbiera sobie życie, że byłby wolał się zastrzelić, ale nie potrafi zdobyć broni i nie umie się z nią obchodzić. Podniosła go z jezdni policja (chyba) i został odłożony *ad acta*.

Przypuszczam, że obecnie w każdym przedsiębiorstwie znajduje się przynajmniej jedna osoba, która powoli dostaje obłędu.

Nasz koncern znów ma bardzo pomyślny rok. Rozrastamy się i pod wieloma względami jesteśmy pierwsi w naszej specjalności. Według ostatnich sprawozdań rocznych koncern jest w tym roku większy i lepszy niż w roku ubiegłym.

Mamy obecnie dwadzieścia dziewięć filii, dwanaście w kraju, dwie w Kanadzie, cztery w Ameryce Południowej i jedenaście na innych kontynentach. Mieliśmy kiedyś filię na Kubie, ale utraciliśmy ją. Przeciętnie mamy trzy samobójstwa rocznie: dwaj mężczyźni na średnich kierowniczych stanowiskach odbierają sobie życie co dwanaście miesięcy, niemal zawsze pakują sobie kulę w łeb, i jedna dziewczyna, zazwyczaj niezamężna lub mężatka żyjąca w separacji z mężem czy też rozwiedziona, zaczyna na ogół od prosków nasennych. Pensje są u nas wysokie, urlopy długie.

Nasi pracownicy lubią żyć dobrze i niezwykle łatwo ulegają rozstrojom nerwowym. Mają dobry gust i żyją na wysokim poziomie. Jesteśmy dobrze wykształceni i znacznie przewyższamy przeciętny wskaźnik umiejętności i inteligencji. Wszyscy dużo wydają. Nikt nie oszczędza. Trudniej jest prowadzić ewidencję rozstrojów nerwowych niż samobójstw, gdyż rozstroje są trudniej uchwytnie i łatwiej je zatuszować. (Jak by nie było, samobójstwo jest samobójstwem, to coś ostatecznego. To ostatnie posunięcie człowieka. Lecz kto może z całą pewnością stwierdzić, czy jakiś człowiek dostał rozstroju nerwowego? Jednakże rozstroje występują regularnie we wszystkich kategoriach wieku i zajęć oraz wśród wszystkich kategorii ludzi — chudych, tłustych, wysokich, niskich, dobrych i złych. W ciągu niewielu lat, odkąd kieruję działem, jedna dziewczyna

i jeden mężczyzna mieli długie okresy absencji z powodu rozstroju nerwowego. Oboje zostali wyleczeni i znów u mnie pracują, a poza moim działem niewielu ludzi wie, dlaczego byli nieobecni. Mam wrażenie, że ten mężczyzna nie został całkowicie wyleczony i pewnie wkrótce będzie miał nawrót choroby. Już i teraz rozmowa z nim staje się kłopotliwa. Za dużo gada.)

W przeciętnym roku cztery znane mi osoby umierają u nas z przyczyn naturalnych, dodatkowe zaś dwie i pół osoby (jednego roku dwaj, następnego trzech mężczyźni) korzysta z urlopu zdrowotnego, choruje na coś, co w końcu okazuje się rakiem. Dwie osoby w przybliżeniu giną co roku w wypadkach—jedna w wypadku samochodowym, druga wskutek pożaru lub utonięcia. Nikt w naszym koncernie do tej pory nie zginął w wypadku samolotowym, wielka to dla mnie zagadka, gdyż często podróżujemy samolotami do naszych filii oraz do klientów i faktycznych czy ewentualnych dostawców w innych miastach czy krajach. Kiedy stali, pełnoetatowi pracownicy idą na urlop zdrowotny, pobierają na ogół pełną pensję przez cały czas choroby (choćby trwała do końca ich życia. Cha, cha), nasz koncern bowiem tym się wyróżnia, że idzie pracownikom na rękę. Wszyscy są rozwiedzeni (ale nie ja). Wszyscy piją i biorą sobie dwie wolne godziny na lunch. Wszyscy mężczyźni flirtują. Wszystkie kobiety są chętne, wyjąwszy kilka bardzo religijnych i bardzo nudnych albo kilka młodziutek, które wkraczają dopiero w życie i nie wiedzą jeszcze, jak to jest na świecie.

Większość z nas lubi swoją pracę, choć się boimy, i nie pragnie jej zmienić. Zarabiamy dobrze i mile spędzamy czas. Czytamy książki, chodzimy do teatru. I czas jakoś mija.

W obecnym okresie budżetowym ja flirtuję z Jane. Niedawno przysłała do naszego działu graficznego, więc nie jest pewna, czy flirtuję z nią poważnie. Dopiero przed kilku laty skończyła Akademię Sztuk Pięknych i ciągle jeszcze uważa, że życie w mieście jest śmiałe, wyrafinowane i intelektualne. Często chodzi do kina. Sądzę, że jeszcze nie spała z żonatym mężczyzną.

Ona zastępuje kierownika w Dziale Graficznym u Greena. Personel tego działu składa się z trzech osób. Podobnie jak wszyscy u nas, Jane ma mnóstwo wolnego czasu, może rozmyślać, fantazjować, załatwiać prywatne telefony i droczyć się z takimi, którzy (ja) chcą się z nią droczyć. Jest wysoka, szczupła, dobrze zbudowana, w jednym oku ma zatkany ka-

nalik i to oko łzawi. Nosi luźne swetry z jagnięcej wełny, które wdzięcznie uwydatniają sterczące sutki jej małych piersi. (Czuję często w koniuszkach palców chęć, aby tulić i ścisnąć te sutki nie mniej wdzięcznie, wiem jednak z doświadczenia, że moje pragnienie nie na długo ograniczyłoby się do jej piersi. Są wygodnym punktem wyjściowym.) Dobra figura, sterczące sutki i zatkany kanalik w oku Jane dają mi okazję do aluzyjnych dowcipów o identycznej treści jak te, które wymieniałem ze starszą ode mnie Virginią, siedzącą pod wielkim zegarem Western Union w Zakładzie Ubezpieczeń od Wypadków Samochodowych (ciągle istniejącym po tylu latach w tym samym miejscu, a ten zegar zapewne też tam jeszcze jest, na chodzie, choć budynek już przeznaczono do rozbiórki), tylko że teraz to ja jestem starszy, bardziej doświadczony (i bardziej zblazowany), więc potrafię panować nad sytuacją i na ogół pokierować nią według własnego uznania. Mam wrażenie, że mógłbym zrobić z Jane, co mi się podoba, zwłaszcza w takie dni, kiedy wypita przed lunchem dwa wodczane martini zamiast jednego (osobiście nie znoszę wodczanych martini i nie wierzę w temperament takich, którzy je piją) albo trzy whisky z cytryną i cukrem zamiast dwóch. Gdybym chciał, mógłbym któregoś dnia po pracy zafundować jej trzy wodczane martini, następnie zaprowadzić ją do mieszkania Reda Parkera w pobliżu biura, reszta zaś poszłaby zapewne jak z płatka (i byłaby równie nieciekawa). Zawsze potrafię ją rozśmieszyć, wiem, że w ten sposób miałbym wygraną połowę gry, gdybym kiedy postanowił, że chcę w tę grę zagrać, rzecz jednak w tym, że wcale nie jestem tego pewien.

Powinienem prawdopodobnie się wstydzić, gdyż ona jest przyzwoitą dziewczyną, która ma dwadzieścia cztery lata. Powinienem być dumny, ponieważ właśnie jest przyzwoitą i bardzo ładną młodą dziewczyną, która ma tylko dwadzieścia cztery lata i którą prawdopodobnie mógłbym przelecieć, kiedy zechcę. (Zaplanowałem ją nieobowiązuco na nieokreśloną przyszłość, może na kilka tygodni przed zjazdem, kiedy będę dużo korzystał z usług Działu Graficznego.) Sam nie wiem, co powinienem czuć. Wiem, że dziewczęta, które niedawno przekroczyły dwudziesty rok życia, są łatwe i rozkoszne. (Dziewczęta, które się zbliżają do trzydziestki, są łatwiejsze, ale smutne, co nie jest zbyt rozkoszne.) Są łatwe, ponieważ są rozkoszne, a rozkoszne, ponieważ są głupiutkie.

W dni, w które przed lunchem wypijam dwa martini, piersi

i nogi Jane doprowadzają mnie niemal do szału, kiedy ona przyciska smukły kuperek do ściany w ciasnym korytarzu biur od podwórza przy Dziale Graficznym, gdzie się z nią droczę. Ciągłe się uśmiecha i jest bardzo niewinna (sądzi na przykład, że jestem miły), choć ma już niejaki doświadczenie seksualne, czym się chełpi. Śmieje się, kiedy się z nią przekomarzam i twierdzę, że jest dziewicą, wesoło zaprzecza, kiedy żartem nazywam ją kurewką. Siłę się z nią na bezmyślne młodzieżowe dowcipy (takie same dowcipy w takiej czy innej wersji mówiłem innym dziewczętom i kobietom) na temat jej łzawiącego oka czy sweterka, przyzwoitego czy rozpustnego życia, kiedy niemal śliniąc się nachyliłam się nad jej spódnicą (pojęcia nie mam, jak ona może mnie znieść w takich chwilach, ale jakoś może) i patrzę lubieżnie na długą linię jej ud, choć z góry wiem, że uznałbym prawdopodobnie jej nogi za troszkę zbyt chude, gdybym ją zobrał, a opowiadając o niej nazwałbym ją chudzielcem.

Przypuszczam, że naprawdę bardzo ją lubię. Jest pogodna, otwarta, ufna, wesoła — niewiele się już takich spotyka. Na razie postanowiłem nie zaczynać z nią, tylko dalej prowadzić lubieżną grę, która podnieca, bawi i zachęca nas oboje. Może ma ociupinkę za ładną twarz i figurę. Dawniej podobały mi się dziewczęta wysokie i ciężkie, cokolwiek ordynarne, może ciągle mi się podobają takie, choć ostatnio sypiam na ogół z wysmukłymi, ładnymi i przeważnie młodymi dziewczętami. Moja żona jest wysoka i szczupła, w młodości była bardzo ładna.

W naszym koncernie komiwojażerowie boją się najbardziej, i to największej liczby ludzi. Żyją i pracują w niezwykłym napięciu. (Ja nie potrafiłbym tego znieść.) Gdy coś jest złe, gorzej dzieje się komiwojażerom, a kiedy jest dobrze, im dzieje się niewiele lepiej.

Stale są na cenzurowanym, stale o włos od kłęski — zbiorowo i indywidualnie. Nawet najbardziej bezpieczni i pewni siebie wysilają się, aby dobrze wypaść na papierze, a muszą wypaść dobrze na wielu papierach. Na przykład co tydzień robi się zestawienie danych liczbowych sprzedaży z ubiegłego tygodnia w każdym dziale osobno oraz globalnie w Wydziale Sprzedaży każdej filii koncernu; zestawienie to porównuje się z danymi liczbowymi sprzedaży w analogicznym tygodniu roku ubiegłego; następnie robi się fotokopie danych najnowszymi przyrządami kserograficznymi i te fotokopie rozsyła się do wszystkich urzędników i działów koncernu związanych ze sprzedażą. Oprócz tego dane sprzedaży każdego działu sprze-

daży w każdym kwartale każdego roku w każdej filii i globalnie w całym koncernie układa się w tabelę, które porównuje się z danymi sprzedaży w analogicznym kwartale roku ubiegłego; globalne dane kwartalnej sprzedaży są skrzętnie przechowywane, z nich również robi się i rozsyła fotokopie. Dalej, kwartalne oraz globalne dane porównuje się z kwartalnymi i globalnymi danymi (przypuszczalnymi) innych koncernów tej samej branży, z kolei te dane są fotografowane i rozsyłane. Na tabelach dane liczbowe ułożone są w biegnące równoległe kolumny i rzędy, dając możliwość szybkiego, na pierwszy rzut oka, porównania i oceny. Wskutek tego ustawicznego foto-kopiowania i krążenia fotokopii odbywa się we wszystkich działach koncernu niemal ustawiczna kontrola i ocena tego, czy komiwojażerowie w każdej filii i każdym dziale sprzedaży spisują się dobrze czy źle w każdym okresie.

Jeśli spisują się dobrze, wywiera się na nich nacisk, aby się spisywali lepiej, z obawy że mogliby się opuścić. Jeśli natomiast spisują się źle, wówczas orzeka się, że spisują się fatalnie. Kiedy komiwojażer przynosi duże zamówienie lub zdobywa poważnego nowego klienta, radość jego jest krótkotrwała, istnieje bowiem niebezpieczeństwo, że komiwojażer z konkurencyjnego koncernu (lub z filii konkurencyjnej naszego koncernu, co dowodzi, jak skomplikowany i uporządkowany stał się nasz koncern) prześcignie go w tym zamówieniu lub w zdobyciu nowego poważnego klienta w następnej rundzie. Poza tym zamówienie może zostać odwołane jeszcze przed wykonaniem, a wówczas nikt nie ma pewności, czy coś się zyskało, czy straciło. Sytuacja komiwojażera jest więc krytyczna i alarmująca nawet wówczas, kiedy odnosi on sukcesy.

Mimo to komiwojażerowie kochają swoją pracę i nie zamieniliby jej na inną. Są energiczną, skora do zabawy paczką, jeśli nie cierpią na skurcze kiszek i nie zamartwiają się o przyszłość. Ale z drugiej strony często nagle dostają bzika, skarżą się i wyklócają. Niektórzy chodzą ponurzy, nadąsani, inni się awanturują, jeszcze inni najpierw się awanturują, a potem dąsają. Wszyscy ostro piją, dopóki sobie nie zniszczą wątroby, nie dostaną zawału lub dopóki lekarze nie zabronią im pić z jakiegoś innego powodu, a wszyscy prędzej czy później nabierają przekonania, że są kozłami ofiarnymi i że traktuje się ich niesprawiedliwie. Każdy z nich może wymienić przynajmniej jednego zwierzchnika w koncernie, który z powodu osobistej urazy chce go za wszelką cenę zniszczyć.

Komiwojażerowie pracują ciężko, zarabiają dużo, mają po-  
kazne fundusze reprezentacyjne, hojnie je trwonią na ludzi  
zatrudnionych i nie zatrudnionych u nas, łącznie ze mną.  
Mieszkają w dobrych domach w zamożnych dzielnicach, grają  
dobrze w golfa na dobrych prywatnych terenach golfowych.  
Koncern to popiera. Płaci nawet za nich składki i inne opłaty  
klubowe, jeśli należą do dobrego klubu. Komiwojażerowie  
dobrze się prezentujący na polu golfowym są poszukiwani i  
odpowiednio wynagradzani.

Kawalerowie ani nawet wdowcy nie są pożądani w Wydziale  
Sprzedaży, doświadczenie bowiem wykazało, jak trudno i nie-  
bezpiecznie jest kawalerom obcować towarzysko z wyższym  
personalem kierowniczym i jego małżonkami lub też występo-  
wać razem z nim w ważnych i odpowiedzialnych sprawach  
obywatelskich. (Zbyt wiele żon wybitnych i prosperujących  
panów tak samo mało zachwyca się swoją sytuacją małżeńską  
jak ich małżonkowie.) Jeśli owdowiały komiwojażer nie wyka-  
zuje chęci ponownego ożenku, przenosi się go zazwyczaj po  
wielu miesiącach żałoby na stanowisko administracyjne. Ka-  
walerów nigdy się nie angażuje do armii komiwojażerów, a roz-  
wodnicy lub wdowcy wiedzą, że powinni się ożenić powtórnie  
lub rozejrzeć za inną pracą.

(Red Parker zbyt długo już jest wdowcem i ma kłopoty  
zarówno z tego powodu, jak i z powodu nadmiernego picia.  
Za dobrze się bawi.)

Rzecz dziwna, lecz agresywni, samolubni i indywidualistyczni  
z natury komiwojażerowie bardzo dobrze znoszą ustawiczny  
nacisk i ostry nadzór, którym się ich poddaje. Dyscyplina i  
rozkazy mobilizują ich, dodają im bodźca. Rozkwitają, kiedy  
się nimi steruje w określonym kierunku. (Może właśnie dlatego  
tak im odpowiada golf.) Przeważnie są weseli, pewni siebie i  
towarzyscy, kiedy nie irytują się, nie martwią i nie są przygnę-  
bieni. Człowiek musi być specjalnie do tego stworzony, żeby nie  
tylko móc być komiwojażerem, ale w ogóle chcieć nim zostać.  
Nasi naprawdę lubią sprzedawać, choć wielu cierpi na niezyt  
kiszek, ruptury, hemoroidy i chroniczną biegunkę (ja mam  
jednego hemoroida, który pojawia się i znika, kiedy mu się  
podoba, wcale mi nie przeszkadza, odkąd lekarz zapewnił mnie,  
że to nie rak), nie mówiąc o częstych rozstrojach nerwowych z  
napięcia i przepracowania, występujących w Wydziale Sprze-  
daży jak i w innych wydziałach, oraz samobójstwach, które raz  
na dwa lata tu i ówdzie przydarzają się wśród komiwojażerów.

Są dumni ze swej pozycji, z ważnego stanowiska, jakie zajmują w koncernie, zarówno bowiem mój dział, jak i inne działy są nastawione na to, by pomagać komiwojażerom w sprzedaży. Koncern istnieje po to, by sprzedawać. Dlatego nas zaangażowano i za to nam płacą.

Najmniej boi się u nas nieliczna grupka pracująca w małym Wydziale Sondowania Rynku. Ci nie wierzą w nic, zajmują się zbieraniem, układaniem, wyjaśnianiem i przystosowywaniem informacji statystycznych o klienteli, rynku, kraju i świecie. Po pierwsze dlatego, że mają małe pensje i wiedzą, że z łatwością znajdą w innych przedsiębiorstwach równie kiepsko płatną pracę, jeśli utracą obecność. Ich budżet też jest niewielki, bo im już nie wolno planować na wielką skalę.

Większość informacji, z których korzystamy, przychodzi do nas teraz ze stowarzyszeń przemysłowych, Biura Ewidencji Ludności Stanów Zjednoczonych, Ministerstwa Handlu, Izby Handlowej, Ogólnokrajowego Zjednoczenia Fabrykantów oraz Pentagonu, i nie ma już możliwości sprawdzenia, czy informacje, na których opieramy nasze wnioski dotyczące dystrybucji, są prawdziwe.

Jednakże nie to wydaje się ważne, lecz to, czy informacje pochodzą z wiarygodnego źródła. Pracownicy Wydziału Sondowania Rynku nigdy nie ponoszą odpowiedzialności za wykryte przez siebie warunki zewnętrzne, stawiające nas w niekorzystnej sytuacji wobec konkurencji. Nie wymaga się od nich, aby zmieniali rzeczywistość — fakty są faktami — lecz żeby dotarli do niej, jeśli to możliwe, i zaproponowali pomysły sposobów zafałszowania jej. Na tym w znacznej mierze polega również moja praca i wszystkie działy podlegające Greenowi pracują w ścisłym porozumieniu z Wydziałem Sprzedaży i Wydziałem Informacyjno-Prasowym, starając się zmienić całą prawdę w prawdę połowiczną, a połowiczną prawdę w całą.

Znam się doskonale na technikach oszukańczych, aczkolwiek nie zawsze potrafię już oszukiwać siebie (i gdybym potrafił, przecież bym o tym nie wiedział. Cha, cha). Prawdę powiedziawszy, ogromnie się dziwię, że są w naszym koncernie ludzie, którzy padają ofiarą własnej (naszej) propagandy. Mamy obecnie bardzo wielu takich, którzy naprawdę wierzą, że to, co robimy, faktycznie jest ważne. Są między nimi nie tylko komiwojażerowie, którzy tak często powtarzają swoje slogany

na głos, że nabierają one wymowy i siły magicznych zaklęć, ale i sprytni, kompetentni dyrektorzy wyższego szczebla, mający dostęp do wszystkich danych, a oni powinni się lepiej orientować. Są też urzędnicy na moim szczeblu i niższym. Niemal wszyscy u nas, którzy skończyli dobrą uczelnię handlową z odznaczeniem, nabierają się na naszą propagandę. Wszyscy oni bez wyjątku są wysoce kompetentni i sumienni, ale też ogromnie łatwowierni i naiwni. Na przykład, za każdym razem, kiedy lansujemy nową kampanię reklamową, nasi urzędnicy pierwsi dają się na nią nabrać. Za każdym razem, kiedy wprowadzamy na rynek nowy artykuł lub też stary artykuł w nowym opakowaniu, nowym kolorze i pod nową nazwą, zachwalając go jako nowy, nasi ludzie pierwsi pędzą, aby go nabyć — nawet jeśli jest do niczego.

Kiedy komiwojażerowie i rzecznicy koncernu zaczynają wierzyć we własne argumenty, rezultat nie zawsze jest zły, ponieważ ich lojalne, gorliwe i szczere podejście do sprawy jest często ogromnie przekonujące samo w sobie. Wytwarza atmosferę oddania i fanatyzmu, które są atrybutami dobrych obywateli i dobrych urzędników. Lecz kiedy to się przytrafia komuś w moim dziale, skutki mogą być opłakane, dany urzędnik bowiem zaczyna zbyt poolegać na tym, co mu się wydaje prawdą, i traci talent do wymyślania wiarygodnych kłamstw. Nie jest już przekonujący. Właśnie to się przytrafiło Hollo-wayowi, pracownikowi mojego działu, który dostał rozstroju nerwowego (i zapewne wkrótce będzie miał nawrót choroby).

— Przecież to prawda — dowodził łagodnie, starając się przekonać komiwojażerów, sekretarki i nawet mnie z wiedzącym i wyrozumiałym uśmiechem, jak gdyby to, co mówił, powinno być tak samo oczywiste dla innych jak dla niego. — Jesteśmy najlepsi. (Nie rozumiał, że nie jest ważna prawda, lecz to, co ludzie za prawdę uważają.)

Teraz znów zaczyna się uśmiechać i w ten sam sposób nas przekonywać, przemawiając dłużej, niż mamy ochotę go słuchać. Ilekroć wierci mi dziurę w brzuchu lub zawraca głowę komu innemu w moim dziale, wolałbym, aby się pospieszył i czym prędzej dostał ponownego rozstroju nerwowego, który i tak go nie minie, żeby zrobił z tym w końcu (i ze sobą) porządek. On jeden rozmawia z naszą maszynistką Martha, która traci zmysły, i ona jedna słucha go spokojnie i bez irytacji. A nawet w wielkim skupieniu, ponieważ w ogóle nie słyszy tego, co on mówi.



Holloway denerwował wszystkich. Nie mógł (i teraz znów nie może) zrozumieć, dlaczego komiwojażerowie, którzy oczekiwali, że dostarczy im dobrych argumentów na podbudowanie przesadnej i nierzetelnej reklamy, zaczęli stronić od niego, przestali się z nim liczyć i nie zapraszali go nawet na lunch. On naprawdę myślał, że poradzą sobie samą „prawdą”.

Tylko człowiek mądry wie, że jest głupi, tylko uczciwy — że kłamie. Tylko głupi myśli, że jest mądry, mówię sobie (mądrze) patrząc, jak my, mądrzy ludzie dorośli, pętamy się całymi dniami po biurze, strasząc się nawzajem przy naszych biurkach, w naszych klitkach i koło przyrządów do chłodzenia wody, starając się nie natknąć na tych, których się boimy. Przychodzimy do biura, zjadamy lunch i idziemy do domu. Paradujemy do biura i z biura, zmieniamy współpracowników, kręcimy się, podtańcowujemy, żeby nas pogłaskano po główce, i maszerujemy z powrotem do domu, dopóki nie wyzionemy ducha. Czy naprawdę — zapytuję siebie co jakiś czas w zależności od tego, jak układają się moje stosunki z Greenem w biurze, z żoną, moim niedorozwiniętym malcem lub drugim synem, z córką, służącą Murzynką, pielęgniarzką do mojego debila — czy naprawdę tylko tyle mam do roboty? Czy to naprawdę maksimum tego, co potrafię wycisnąć z niewielu lat, jakie mi jeszcze pozostały w tym jedynym moim życiu?

A odpowiedź zawsze oczywiście brzmi: Tak!

Dlatego że mam posadę, że pobieram pensję, że czasem się zabawię, że potrafię zaprowadzić do łóżka dziewczynę, na którą akurat mam ochotę, dlatego że moi sąsiedzi i współpracownicy z mniejszym uposażeniem, mniej ciekawą osobowością i nudnymi żonami zazdroszczą mi i podziwiają mnie, wreszcie dlatego że rzeczywiście mam wszystko, czego pragnę, aczkolwiek często pragnąłbym mieć innego szefa niż Green, który lubi mnie, ceni moją pracę, lecz nie pozwolił mi wygłosić przemówienia na walnym zjeździe w Porto Rico zeszłego roku ani na zjeździe na Florydzie przed dwoma laty, i który wie, że go za to nienawidzę i pewnie nigdy mu tego nie daruję i nie zapomnę.

(Miewam przykre sny, które mają chyba związek z moim pragnieniem, by wygłosić przemówienie na zjeździe koncernu, czuję się w tych snach poniżony i gorzko zawiedziony, napotykam nieprzewyciężone przeszkody chcąc przedostać się z jednego miejsca na inne.)

Green przypuszcza, że spiskuję przeciw niemu. Myli się. Po pierwsze, brak mi inicjatywy, po drugie, nie mam dość odwagi, a poza tym lubię i podziwiam go pod wieloma względami (choć nienawidzę go i mam mu za złe pod wieloma innymi), wiem też, że prawdopodobnie jestem bardziej bezpieczny jako jego podwładny, niż gdybym miał innego szefa — na przykład takiego Andy'ego Kagle'a z Wydziału Sprzedaży, gdybym razem ze swym działem podlegał jemu.

Pod wieloma względami i w wielu okolicznościach Green i ja jesteśmy przyjaciółmi i sojusznikami, świadczymy sobie przysługi i troszczymy się o siebie. Często bronię go i usprawiedliwiam, jeśli się spóźni lub zaniedba w tym, co należy do niego, często chwalebę go za dobrą robotę nie będącą jego służbą, bo wykonaną faktycznie w moim dziale. Nigdy mu jednak nie mówię o tym i nie powtarzam mu dobrych opinii o nim. Lubię go widzieć zaniepokojonego. Cieszę się, że mi nie ufa (cudownie podnosi to mój szacunek dla siebie), i nie wysiłam się zanadto, aby go uspokoić.

A przecież jestem jego najlepszym przyjacielem w koncernie.

Więc Green boi się mnie, White boi się Greena, Black — White'a, Brown i Green boją się Blacka, ja zaś boję się Browna, którego boją się też Green i Kagle — to jest absolutna prawda, White bowiem naprawdę boi się rozmowy z Greenem, a Brown, który wszystkim napędza stracha swoimi potężnymi barami, praktycznym umysłem i niewyparzoną, ordynarną gębą, boi się Blacka, który go broni\*.

Wiem, że tak jest, wykoncypowałem bowiem to całe koło barw w pewne nudne deszczowe popołudnie i sporządziłem odpowiednią planszę, zawsze z nudów sporządzam takie plansze. Obecnie opracowuję (prywatnie) wzór samowystarczalnej społeczności, składającej się z zatrudnionych u nas ludzi, których nazwiska oznaczają zajęcie, przyrząd czy bogactwa naturalne — mamy bowiem wielu Millerów (młynarzy), Bakerów (piekarzy), Taylorów\*\*, Carpenterów (cieśli), Fieldów (pól), Farmerów, Hammerów (młotków) i Nicholsów\*\*\* (dowcipy są dozwolone w mojej utopii, bo inaczej nie dalibyśmy sobie

\* Wszystkie te nazwiska oznaczają kolory w jęz. angielskim: Green — zielony; White — biały; Black — czarny, Brown — brązowy.

\*\* Taylor wymawia się po angielsku podobnie jak tailor — krawiec. \*\*\* Nichols wymawia się po amerykańsku jak nickels — monety pięcio-centowe.

radę), a także Butcherów (rzeźników), figurujących w naszym spisie telefonów. Może bylibyśmy znacznie lepszą instytucją, gdyby nasza praca odpowiadała znaczeniu naszych nazwisk, aczkolwiek nie wiem, gdzie byłoby moje miejsce, bo o ile mi wiadomo, moje nazwisko nic nie znaczy i nie wiem, skąd się wzięło.

Lubię wygrzebywać wartościowe informacje nie mające żadnego znaczenia. Mamy w naszym koncernie jedenastu Greenów (łącznie z tymi, którzy się piszą Greene), ośmiu White'ów, czterech Brownów i czterech Blacków. Jest jeden Slocum, czyli ja. Przez krótki czas było nas dwoje, bo w naszej chicagowskiej filii pracowała niejaka Mary Slocum, nieduża dziewczyna, seksowna, tuż po szkole handlowej, z podrygującymi pośladkami i wydatnym biustem, która wyszła za mąż, szybko zaszła w ciążę i znikła z horyzontu. Tu i ówdzie zaczynają pokazywać się u nas Murzyni w nieskazitelnych niebieskich czy białych koszulach z mocno zawiązanymi krawatami, żaden nie jest jeszcze na wysokim stanowisku i nikt nie wie dokładnie, dla czego do nas przyszli lub czego naprawdę chcą. Wszyscy (lub prawie wszyscy) jesteśmy dla nich ostentacyjnie uprzejmi i udajemy, że nie widzimy żadnej różnicy między nimi a nami. Komiwojażerowie pokpiwają z nich między sobą.

— Wiesz, co mówiono o pierwszym Murzynie kosmonaucie?

— Co?

— Czarny poszedł w górę na dobre.

Moja praca często mnie teraz nudzi. Spycham zwykle sprawy na kogo innego. Wskutek czego jeszcze bardziej się nudzę. Mam prawdziwy dylemat, muszę rozstrzygnąć, co jest nudniejsze: nudna robota czy brak roboty po zepchnięciu nudnych spraw na innych. Właściwie lubię swoją pracę, kiedy mam poważne i pilne zadanie, które mnie trochę przeraża i którym wiele osób się interesuje. Ogarnia mnie strach, nie sypiam po nocach, ale najlepiej pracuję pod takim mobilizującym naciskiem i praca sprawia mi przyjemność. Najpoważniejsze zadania wykonuję sam, czuję się mile połączony w swojej dumie i próżności, kiedy mnie chwalą za dobrą robotę (którą zawsze mogę się poszczycić). Lecz między szczytami poważnych zadań i radosnej dumy jest nuda i rozpacz. (Przekonałem się też, że kiedy uda mi się wyrzucić na kimś korzystne wrażenie, nie zależy mi już, aby danej osobie zaimponować po raz drugi; po każdym kryzysie, z którego wychodzę cało, jestem oklapnięty, pusty

w środku, tragicznie rozczarowany, w ten sposób to, co w poprzednim roku stanowiło groźbę, okazję czy podniecie, staje się w bieżącym roku straszliwą nudą. Często czuję się wyzyskiwany jedynie dlatego, że każą mi robić to, za co mi płacą).

W dni, kiedy ogarnia mnie szczególny smutek, sporządzam tabele organizacyjne, kierując się czystą złośliwością: dzielę naszych pracowników na grupy i podgrupy i klasyfikuję ich na podstawie zawiści, nadziei, strachu, ambicji, niepowodzenia, rywalizacji, nienawiści czy rozczarowania. Nazywam te swoje wykresy Tabelami Szczęścia. Ta złośliwa gimnastyka duchowa nigdy mnie nie zawodzi, podnosi mnie na duchu, aczkolwiek na krótko. Analizując koncert z wymienionego punktu widzenia mogę zaliczyć siebie do dość wysokiego szczebla — nie odczuwam bowiem zawiści czy rozczarowania i niczego się nie spodziewam. Na samej górze tabeli znajdują się oczywiście tacy — przeważnie ludzie młodzi i nie mający nikogo na utrzymaniu — dla których koncert nie stał się jeszcze czymś świętym (czy choćby instytucją zasługującą na przetrwanie), a jest po prostu nadal miejscem pracy, którą mogą ewentualnie zmienić. Widzą oni wszystko w kategoriach posady — od posady prezydenta do odźwiernego — nie dostrzegając wielkiej między nimi różnicy. Umieszczam takich na górze tabeli, bo gdyby spytać ich, czy chcieliby resztę życia spędzić w koncercie, głośno wykrzyknęliby: Nie! — niezależnie od ponętnych perspektyw. I ja figurowałem kiedyś wysoko w tej tabeli. Gdyby mi dziś zadano to pytanie, również krzyknąłbym wielkim głosem: Nie! — dodając:

„Teraz wolałbym umrzeć.”

Nie zamierzam jednak odejść z koncertu.

Wydaje mi się, że nie mam już dokąd pójść.

Prawie na samym końcu moich Tabel Szczęścia umieszczam tych, którzy usilnie pną się w górę. Mnie jest lepiej (lub tak sądzę) niż im, gdyż po pierwsze, nie mam wrogów czy rywali (znanych mi) i jestem prawie pewien, że potrafię utrzymać się na obecnym stanowisku, jak długo zechcę; po drugie, nie ma u nas innego stanowiska, na które miałbym realne szansę. Nie chciałbym stanowiska Greena, z którym nie dałbym sobie rady i które bałbym się przyjąć, gdyby mi je zaproponowano. Wymaga za dużo pracy. Cieszę się, że mi go nie zaproponują (a tego jestem pewien).

Jestem więc jednym z wielu ludzi, przeważnie znacznie ode mnie starszych, którzy nie mają już żadnych ambicji ani nadziei, co mi nie przeszkadza dalej pragnąć corocznej podwyżki pensji, okazałej premii na Boże Narodzenie oraz tego, aby mi pozwolono wygłosić mowę na następnym zjeździe koncernu w Porto Rico (Gęśli to będzie Porto Rico w tym roku), abym obok innych menedżerów w dziale Greena mógł złożyć trzy-minutowe sprawozdanie z pracy wykonanej na moim odcinku i omówić zadania na nadchodzący rok.

Co za poniżenie, że mnie, jednego z menedżerów Greena, pominięto. To się rzucało w oczy, rozmyślnie upokorzono mnie publicznie, tak że przez cztery następne dni, kiedy inni grali w golfa i popijali bawiąc się w najlepsze, ja musiałem wysłuchiwać wyrazów litości i zdawkowego współczucia ze strony tych, których nie cierpię i których chętnie byłbym uderzył lub zwymyślał. Z czystej zawiści i małostkowej złośliwości Green skreślił mnie w ostatniej chwili z porządku dziennego, kiedy byliśmy już w Porto Rico i zjazd tak obiecująco się zaczął. Długo i w wielkim napięciu przygotowywałem (powtarzając tekst prawie co wieczór w domu ku zdumieniu i konsternacji mojej rodziny) swoją trzyminutową mowę, którą miałem okraścić znakomitą, dowcipną serią osiemnastu kolorowych przeźroczy.

— Przystań się dąsać — nakazał mi Green z tym swoim radosnym, zadowolonym z siebie, niewinnym uśmiechem, na który sobie pozwala, kiedy wie, że zadaje ból. — I tak marny z ciebie mówca, na pewno lepiej się będziesz czuł przy rzutnikach i aparatach projekcyjnych, pilnując, aby się slajdy innych nie pomieszały.

— Chcę wygłosić swoje przemówienie — powiedziałem z przekonaniem, siląc się na spokój. (W rzeczywistości byłem bliski płaczu i bałem się, że się rozbeczę.) — Nigdy jeszcze nie wygłosiłem przemówienia na zjeździe.

— Teraz też nie wygłosisz.

— Przygotowałem dobrą pogadankę.

— Nudną, nieśmiałą i nieciekawą.

— Mam świetne slajdy.

— Nie pokażesz ich.

— Zrobiłeś mi to samo w zeszłym roku na Florydzie.

— I może zrobię w przyszłym roku.

— To niesprawiedliwe.

— Być może.

Czekałem. Nic więcej nie powiedział. Znacznie lepiej ode mnie potrafi znęcać się nad człowiekiem. Powiniennem był odpowiedzieć, ale mnie spieszył.

— Cóż — wyjąkałem wzruszając ramionami i odwracając oczy.

— Wszystko mi jedno, czy to sprawiedliwe, czy nie — ciągnął dalej. — Mówimy o ważnym zjeździe, a nie o wypracowaniu na egzaminach wstępnych na uniwersytecie. Muszę jak najskuteczniej wykorzystać przydzielony mi krótki czas.

— Przecież to tylko trzy minuty — skamlałem.

— Potrafię wykorzystać te trzy minuty lepiej od ciebie. — Nagle bardzo serdecznie i niewinnie się roześmiał, jak gdyby nic wielkiego przed chwilą się nie wydarzyło, dając mi na swój arogancki, apodyktyczny sposób do zrozumienia, że dyskusja skończona. — Musisz zrozumieć — droczył się ze mną (myślałem, że zaraz otoczy mnie ramieniem, a nigdy mnie nie dotyka) — że twoja ambicja, aby palnąć mówkę, to tylko objaw płytkiej, mieszczańskiej próżności. Jestem tak samo płytki jak ty i z gruntu mieszczański. Wobec tego zabiorę ci te twoje trzy minuty i omówię w swoim przemówieniu twoje osobiste osiągnięcia i zakres pracy twojego odcinka.

Ty łajdaku, pomyślałem. —

Jesteś szefem — rzekłem.

— Właśnie — odparł zimno. — W tym rzecz. A jako mój podwładny i tak już z nadto zwróciłeś na siebie uwagę. Nikt nie powinien wątpić, że to ja jestem twoim szefem, a nie Kagle. Nikt nie powinien sądzić, że wywiązujesz się lepiej ze swoich zadań niż ja ze swoich. Rozumiesz?

Rozumiałem z całą pewnością. Green podkreślał publicznie, że jestem całkowicie od niego zależny, afiszował się tym, że ma prawo mną pomiatać. No i w swoim długim (raczej nieśmiałym i pedantycznym) przemówieniu „omówił” moje osobiste osiągnięcia i zakres pracy mojego odcinka jedną uwagą:

— A Bob Slocum i jego personel pomogą wam, kiedy to uznacie za konieczne, pod warunkiem że nie będziecie żądać rzeczy nierozsądnych.

I tyle, aczkolwiek dwa opracowane przeze mnie plany na nadchodzący rok okazały się ewenementami całego zjazdu. Przyjęto je entuzjastycznie, nawet dyrektorzy naszych filii, obecni jako goście i obserwatorzy na zjeździe, wyrazili swoje uznanie, wielu z nich chciało mnie poznać, bo zamierzali wprowadzić podobne innowacje u siebie. Byłbym w tamtym tygo-

dniu odniósł wielki sukces, gdyby (żeby?) Green nie wykopał mnie z porządku dziennego. Sprzedawcy, którzy mieli w swojej pracy korzystać z moich projektów, ciągle mi wieszowali i klepali mnie po plecach, popijając whisky wieczorem, a wódkę z sokiem pomidorowym, tak zwaną „krwawą Mary”, rano na śniadanie (choć niektórzy napomykali, że z własnych powodów chcieliby przedyskutować ze mną pewne zmiany, kiedy wrócimy do Nowego Jorku). Nawet Arthur Baron, szef całego naszego wydziału, przysunął się do mnie na tarasie hotelu w czasie wieczornego koktajlu, aby mi powiedzieć, że oba moje projekty są w tej dziedzinie najlepsze, jakie widział, i okazały się zapewne bardzo pożyteczne.

Baron jest człowiekiem taktownym i nie podnoszącym głosu, wyraził tę opinię tak, żeby usłyszał ją Green, który stał na tarasie obok mnie, gdyż nie lubi, aby go widziano bez towarzystwa. (Byłem jego chwilową grzędą, rozglądał się i wiedziałem, że odejdzie do kogoś ważniejszego, jak tylko nadarzy mu się okazja. Na tłocznych przyjęciach towarzyskich czy biurowych Green nigdy od nikogo nie odchodzi, chyba że może podejść do kogoś innego.) Roześmiał się słysząc uwagę Barona, przyznał mi całą zasługę i natychmiast zdeprecjonował moją pracę mówiąc, że nie widział żadnego z tych projektów do dzisiejszego dnia (co nie było prawdą, gdyż jego krytyka i uwagi okazały się bardzo pożyteczne podczas minionych dziesięciu tygodni i nic nie dodano bez jego wiedzy i aprobaty). Dorzucił z ponownym miłym uśmiechem, że aprobatą, z jaką spotkały się projekty opracowane przeze mnie bez jego wiedzy czy pomocy, dowodzi tylko, jakim jest wspaniałym organizatorem. (Ja zdołałem jedynie wymamrotać do Barona:

— Dziękuję panu. Bardzo się cieszę.)

— Dobry organizator — ciągnął dalej Green uprzejmie uśmiechając się do Barona, jak gdyby mnie przy nich nie było — powinien dążyć do tego, aby jak najszybciej stać się niepotrzebnym i nie mieć nic do roboty, dopóki nie awansuje na wiceprezenta koncernu lub pójdzie na emeryturę. Nie sądzi pan?

Baron cicho się roześmiał i nic nie powiedział. Odwrócił się od Greena, ścisnął moje ramię i odszedł. Green posłał za nim promienny uśmiech, następnie spoważniał i zakłopotał się (jak przypuszczałem), obawiając się, że jego aluzja do stanowiska wiceprezidenta była zbyt przejrzysta. Już żałował swych słów. Wie, że często bywa zbyt nachalny — nawet jeśli chwila jest odpowiednia — nie umie się jednak opanować. (Wymknął się sobie z rąk.)

(Mnie natomiast ma w ręku.) Zależę od niego. To on mnie przyjął do pracy i awansował, on typuje mnie do hojnych podwyżek pensji i okazałych gratyfikacji, które co roku dostaję.

— Byłeś marnym gryziopiórkiem, kiedy zacząłeś u mnie pracować — dowcipkuje, gdy nasze stosunki są dobre — a ja zrobiłem z ciebie marnego menedżera.

Jestem mu wdzięczny za awans, mimo że często kpi ze mnie i obraża moje poczucie godności.

Green to sprytny taktik z wieloletnim doświadczeniem w polityce biurowej. Jest zdolny, rzeczowy, inteligentny, ma pięćdziesiąt sześć lat i pracuje u nas od lat przeszło trzydziestu. Kiedy tu nastał, był młody, wkrótce będzie stary. Od samego początku marzył o tym, aby zostać wiceprezydentem koncernu, a teraz wie, że to nigdy nie nastąpi.

Dalej jednak pragnie tego i stara się osiągnąć swój cel, czasem za pomocą chytrych, kiedy indziej rozpaczliwie, nikczemnie i niezdarnie, ponieważ nie potrafi przez dłuższy czas ani się z tym pogodzić, że sprawę przegrał, ani się temu przeciwstawić. Natrętnie się przymila, niezdarnie wysila, by wkraść się w łaski szefów na najwyższym lub prawie najwyższym szczeblu, ilekroć styka się z nimi. Wie, że to robi, wstydzi się swego postępowania i gryzie się tym, że daremnie się poniża, poniżałby się bowiem chętnie, gdyby to nie było daremne. Często po takich wyczynach postępuje przewrotnie, lży kogoś ważnego, aby odzyskać godność i szacunek dla siebie, gdyż nie zachował się jak mężczyzna. Cóż za niemowlę.

Green to sprytny taktik w rozgrywaniu polityki biurowej, popełnia jednak wielki błąd, przywiązując zbyt wielką wagę do polityki biurowej jako drogi awansu. Nie chce przyznać, że w koncernie awansują na wysokie stanowiska ludzie o określonych zdolnościach i cechach. Nie potrafi zrozumieć, dlaczego tylu facetów mniej inteligentnych, posiadających mniej smaku, wiedzy i wyobraźni niż on zaszło o tyle wyżej od niego i dochrapało się stanowiska wiceprezydenta. Nie dostrzega tego, że tamci bez przerwy ciężko pracują, że wierzą w koncern, że dobrze i starannie wykonują wszystko, cokolwiek im się poleci, i tylko to, co im się poleci, że koncern właśnie tego sobie życzy. Nie chce przyznać, że ci faceci są bez wyjątku znakomicie przygotowani do objęcia wysokich stanowisk, na jakie ich się powołuje.



Przynajmniej wydają się znakomicie przygotowani do nowych stanowisk w momencie awansu. Zdarzają się sporadyczne pomyłki, przewidywania zawodzą, dany człowiek okazuje się nieprzydatny — męczy się, jego wola słabnie, ugina się pod ciężarem nowych obowiązków w biurze lub nowych kłopotów w domu i nie pracuje, jak przewidywano — są to wypadki pomniejszych potknięć Wydziału Personalnego. W rezultacie mamy nowy przypadek rozstroju nerwowego albo też któryś z dyrektorów (przedmiot zawiści rywali i podwładnych) rezygnuje (nie afiszując się swoją hańbą) ze stanowiska i przechodzi do innego przedsiębiorstwa lub zdejmuje się go z zajmowanego stanowiska, aby umożliwić awans innemu, czy też idzie wcześniej na emeryturę albo pakuje sobie kulę w łeb. Obserwujemy u nas wszystkie te etapy: ludzie dostają rozstroju nerwowego, zostają odsunięci od żłobu, rezygnują z posady albo idą na emeryturę, w końcu pakują sobie kulę w łeb, choć tak od ręki nie umiałbym wymienić nikogo, kto by zdołał przejść przez ten cały cykl porażek. A koncern wychodzi cało z każdego nieszczęścia.

Więc gdy nasi szefowie ciężko pracują i wierzą w koncern, Green zamartwia się i usiłuje zachować wiarę w siebie. Kapryśnie durzy się w Mildred, młodej rozwódce zatrudnionej w jego dziale przy koordynacji produkcji; często nagle siarczyście całuje ją w usta w windzie czy w swoim gabinecie, zawsze jednak robi przy tym jakąś sarkastyczną uwagę, aby wywołać wrażenie, że pocałunek ten nic nie znaczy, i jak mi się zdaje, pozwala sobie na to tylko przy świadkach. Kiedy indziej potrafi nie zwracać na nią żadnej uwagi lub zranić ją i poniżyć okrutnie bez najmniejszej prowokacji złośliwą uwagą Ojej pracy czy bałaganie na biurku. Ona oczywiście uwielbia go za to wszystko i panicznie się go boi. Chciałby chyba, aby wszyscy odnosili się do niego z uwielbieniem i panicznym strachem.

Myślę, że jest równie wielkim tchórzem jak ja, a przecież on jeden ma w naszym koncernie dość odwagi, aby być grubiański. Zadzroszczę mu tego, bo ja jestem miły i uważający wobec wielu ludzi, których nie cierpię (jestem miły i uważający niemal wobec wszystkich prócz byłych kochanek i własnej rodziny), dowcipkuję z komiwojażerami, którzy okropnie mnie męczą i zawracają głowę gwałtownymi i sprzecznymi żądaniem; upijam się z facetami, którzy nudzą mnie i irytują, chodzę na ich rozwiązań przyjęcia, na których zabawiają się z sekretarkami,

kelnerkami, sprzedawczyniami sklepowymi, cudzymi żonami, pielęgniarzkami, modelkami z prowincji czy stewardesami z pomniejszych linii krajowych; mam dwóch urzędników i urzędniczkę, których chciałbym zwolnić, są dni, kiedy chciałbym się ich pozbyć z miejsca, staram się jednak nie okazać swych uczuć i zapewne nigdy nie zdobędę się na to, aby któreś z nich wyrzucić, tylko będę się modlił w duchu, aby sobie sami poszli; cieszę się, że nasza dostająca obłędu maszynistka Martha nie pracuje u mnie, bo wiem, że nie odważyłbym się nic przedsięwziąć, zanim dziewczyna dostałaby ataku szału; raz czy dwa na miesiąc jadam lunch z facetem z Wydziału Towarowego, któremu życzę z całego serca nagłej śmierci. (Raz w roku zapraszam go na kolację, zawsze w dużym gronie, on zaś co roku na wiosnę zaprasza mnie z moją rodziną na lunch na swoim przeklętym jachcie.) Znam wielu ludzi, których chciałbym traktować grubiańsko, brak mi jednak siły charakteru.

Natomiast Green słynie z tego, że niczego nie owija w bawełnę i jest nieuprzejmy (podejrzewam, że robi to po to, aby móc być nieuprzejmym). Woli wyrzucić złe wrażenie, niż nie wyrzucić żadnego. Bardzo się stara być szorstki wobec facetów zajmujących równorzędne z nim i niższe stanowiska. Wywołuje napięcie, strach i niepewność w instytucji, która ceni harmonię, boi się kłótni, ukrywa porażki i maskuje konflikty oraz osobiste animozje. Green jest agresywny, lecz ma się na baczności. Napada na ludzi i lituje się nad sobą.

Nasi pracownicy, na przykład, usilnie starają się rozładowywać nieporozumienia (zachęca się nas, abyśmy przez osiem godzin dziennie krążyli koło siebie jak samooliwiające się łożyska kulkowe, abyśmy, broń Boże, nie zgrzytnęli i nie zadrapali nikogo), unikają otwartych kłótni. Prowadzenie wojen podjazdowych z wrogiem uchodzi za znacznie lepsze maniery niż wystąpienie z czymś, co mogłoby wyglądać na otwartą skargę. (Ukrytej napaści można się wyprzeć, wyłgać, pomniejszyć jej znaczenie, natomiast otwarta kłótnia odbywa się wobec świadków, wymaga zajęcia stanowiska w sytuacji nieznośnej.) Panują więc u nas serdeczne stosunki, zwracamy się do siebie po imieniu, zwłaszcza do takich, których nie cierpimy (im bardziej kogoś nie lubimy, tym serdeczniejsi jesteśmy dla delikwenta), pracownicy, którzy nie znają naszych rodzin lub poznali je tylko przelotnie, dopytują się o zdrowie naszych żon i dzieci bardzo serdecznie, nazywając je po imieniu. Prawo do tej udanej miłej zażyłości nie przysługuje niższym szczeblom: sek-

retarkom, maszynistkom, chłopcom roznoszącym pocztę, a w hierarchii dyrektorskiej wolno z niego korzystać tylko w stosunku do postawionych od nas o dwa stopnie wyżej. Ja mogę zwracać się do Greena per Jack, do Kagle'a per Andy, nawet do Barona per Art, ale do stojących wyżej od Barona nie zwróciłbym się inaczej niż per panie taki a taki. Byłoby to nie tylko niebezpieczne, lecz i chamskie, a ja nie potrafię się zdecydować na chamstwo (wobec nikogo prócz mojej rodziny), choćby nic mi nie groziło. Nawet Jane z Działu Graficznego zwraca się do mnie z szacunkiem per panie Slocum, kiedy się spotykamy (czasem wywołuję ją przez telefon, kiedy jestem w szczególnie frywolnym nastroju), i flirtujemy na korytarzu od podwórza, a przecież słownie zaszczyliłmy już dość daleko. Dawniej chciałem być po imieniu z dziewczynami, które mi się podobały, przekonałem się jednak, że jest lepiej, skuteczniej i bezpieczniej zachować dystans między szefem i podwładnymi, zatrudniającym i zatrudnionym, nawet w łóżku. (Zwłaszcza w łóżku.)

U nas prawie nigdy nie zwalnia się nikogo — jeśli ktoś zaczyna pracować gorzej lub mniej nowocześnie przed przewidzianym czasem, zachęca się takiego, aby poszedł wcześniej na emeryturę, lub też przesuwa się go na podrzędne, nieważne, nowo utworzone stanowisko z fikcyjnymi funkcjami i bez władzy, wegetuje tam potulnie i smętnie przez cały czas pracy w koncernie. Niemal zawsze przenosi się faceta do mniejszego i mniej wygodnego gabinetu, w którym nieodmiennie ktoś już siedzi, a jeśli idzie o człowieka młodego, mówi mu się po prostu (aczkolwiek niezwykle uprzejmie), aby poszukał sobie lepszej pracy gdzie indziej i sam podał się do dymisji. Nie zwolniono nawet bystrego młodego menedżera w jednej z naszych filii, świetnie się zapowiadającego, który pewnego popołudnia upił się i zwymiotował do basenu pływackiego w hotelu, w którym odbywał się zjazd koncernu na Florydzie przed dwoma laty, choć było powszechnie wiadomo, że nie będzie mógł u nas zostać. On też to wiedział. Prawdopodobnie złego słowa mu nie powiedziano. Mimo to wiedział. I w cztery tygodnie po zjeździe znalazł sobie lepszą posadę, i odszedł od nas.

Natomiast Green zwalnia przynajmniej dwóch lub trzech pracowników rocznie i wcale się z tym nie kryje, wręcz stara się to natychmiast rozgłosić. Często zwalnia pracownika tylko po to, aby sprowokować dyskusję na swój temat lub wstrząsnąć nami wszystkimi. Większość z nas, którzy nigdy nie zajdą zbyt

wysoko w koncernie, nie wyłączając samego Greena, ma skłonność do zapadania w letarg, ruszamy się wolno, czerpiąc siły z energii i pomysłów, które pozwoliły nam przetrwać ubiegły rok. To jeden z powodów, dlaczego nigdy do niczego nie dojdziemy. Większość facetów docierających na szczyt to pracusię, choćby niczym się poza tym nie wyróżniali (często się zresztą nie wyróżniają, cha, cha).

Green potrafi zwolnić kogoś, kogo lubi i kto dość dobrze pracuje (może zwalnia ludzi tylko dlatego, że nie ma do tego żadnego powodu). Potem zaczyna współczuć delikwentowi i przejmować się jego nieszczęściem (jak gdyby to nie on był sprawcą tego nieszczęścia). Stara się usilnie *znaleźć* mu pracę w innym dziale koncernu. Ale przeważnie nic z tego nie wychodzi, bo znajduje taką złośliwą przyjemność w igraniu ludźmi, że jego początkowe (i nietypowe dla niego) dobre chęci stają się jadowite i same się unicestwiają.

— Znakomicie by ci się nadał — zachwala swego urzędnika kierownikowi innego działu. — Dla mnie po prostu jest za słaby.

A kiedy już wygłosi swoje zdanie, gdzie się dało, zapomina o delikwencie i facet odchodzi.

Green jest czarujący (cha, cha). Podczas ważnych zebrań poświęconych planowaniu, które odbywają się co trzy miesiące w jakimś luksusowym hotelu uzdrowskim czy wspaniałym klubie ze znakomitymi terenami golfowymi, dyrektorzy wydziałów i oddziałów nie kłócą się zazwyczaj (jak słyszę), nie skarżą, nie krytykują publicznie swych zadań czy poglądów. Green postępuje inaczej: krytykuje, wyśmiewa i dyskredytuje z irytacją, gwałtownie protestuje przeciw jakimkolwiek cięciom w swoim budżecie lub ograniczeniom swoich prerogatyw. Potem tego żałuje. Najpierw bez zastanowienia rozkołysze łódź, a potem trzęsie się ze strachu, że utonie. Jest bardziej odcytany od nas wszystkich i przybiera ton uprzejmej wyższości intelektualnej, tak że nawet Baron czuje się przy nim lekko zakłopotany, natomiast Kagle i reszta personelu z Wydziału Sprzedaży czują się jak nieokrzesane chamy. (Ja jestem znacznie bardziej wykształcony i chyba bardziej inteligentny od Greena, ale on jest wygadany i pewny siebie, czego nie mogę powiedzieć o sobie.) Plotki o ciętych ripostach i bezczelnych impertynencjach Greena na tych zebraniach (on nie gra nawet w golfa) docierają zazwyczaj do nas (głównie on sam je powtarza) i często jesteśmy dumni z tego, że jest naszym szefem; wiem jednak, że on

skręca się ze strachu, czy aby tym razem nie posunął się za daleko. Zamartwia się, że żaden z dygnitarzy koncernu go nie lubi tak naprawdę, i nie myli się, myli się jednak przypisując to ich zawiści. (Green naprawdę nie da się lubić.) Martwi się jeszcze z wielu powodów, o których wiem, między innymi dlatego, że koncern jest duży i w zasadzie zatrudnia protestantów.

Na przykład Green boi się nieśmiałego, źle płatnego, młodego urzędnika Philipa Reevesa, który mu podlega. Bawi mnie to, gdyż wiem, że Reeves, protestant, wychowanek uniwersytetu Yale, boi się Greena — każdy z nich wylewa swoje żale na drugiego w rozmowach ze mną. Reeves wybrał mnie jako powiernika, ponieważ uważa mnie za zdolnego, uczciwego i skromnego, a ponieważ jednocześnie wie, że piję, kłamię i lajdaczę się, więc sądzi, że może mi ufać.

— Przerażenie mnie ogarnia za każdym razem, kiedy muszę do niego wejść — skarży mi się Reeves na Greena. — Wita mnie od razu jakąś sarkastyczną uwagą, a mnie nie przychodzi do głowy żadna inteligentna riposta. Lodowacieję. Jak gdybym dostawał ataku paraliżu i tracił mowę. Tylko kiwam i po trząsam głową, mamrocze coś w odpowiedzi na jego pytanie, stoję przed nim jak niemowa z kretyńskim uśmiechem na twarzy, a on kontynuuje swoje zgryźliwe uwagi. Nie winie go nawet. Po wyjściu od niego nienawidzę siebie za swoją głupotę i milczenie.

— Przerażenie mnie ogarnia, kiedy muszę się odezwać do niego w moim gabinecie — uskarża się Green na Reevesa. — Przypuszczam, że to z powodu jego dobrych manier i wulgarne go dobrego wychowania. Mogę sobie poradzić z facetem, który ma dobre maniere czy też dobre wychowanie, ale nie z takim, który ma jedno i drugie. Jestem wytracony z równowagi i wy daje mi się, że słucham zupełnie obcego idioty, który plecie trzy po trzy, kiedy słyszę, co wygaduje, i zdają sobie sprawę z tego, co wyprawiam. Opowiadam mu na przykład, kiedy wchodzi, jakiś niewinny dowcip, abyśmy poczuli się swobodniej, a on przystaje i wytrzeszcza oczy na mnie z tym swoim lodowatym, wyniosłym uśmiechem zastygłym na twarzy. Nie potrafię słowa z niego wydusić. Tak mnie to rozstraja, że zaczynam się wygłu piał jak osioł, chcąc okazać mu przychyłność, a on stoi wynios ły i wzgardliwy i czeka, aż skończę. Musi mną gardzić i wcale mu nie mam tego za złe. Bóg świadkiem, że on palcem w bucie nie kiwnie, aby mnie uspokoić. Tyle ci powiem. Po jego wyjściu

nienawidzę siebie za swoją głupotę i słabość. Sam nie wiem, dlaczego go nie zwalniam. Pewnie dlatego, że przyznałbym się w ten sposób do porażki, mimo że on pracuje jak noga.

Nie opowiadam żadnemu, co usłyszałem od drugiego (aczkolwiek staram się uspokoić Reevesa). I tak by mi nie uwierzyli i nic bym nie wskórał. Faceci rzucili na siebie urok, to jasne, a czegoś takiego nic nie zmieni i to na ogół trwa przez całe życie delikwentów.

Green rzucił urok na mnie.

— Przypuszczam, że postanowili mnie zwolnić — nieoczekiwanie wykrzykuje do mnie Green. — Powinni pozbyć się Kagle'a, ale on i White już pewnie przekonali resztę. Kagle to twój kumpel. Słyszysz to i owo. Dowiedz się od niego, czy od kogo innego, co się świeci. Albo ja zwolnię ciebie.

Nie przypuszczam, aby Green chciał mnie naprawdę zwolnić (nigdy jednak nie jestem tego pewien przez czas dłuższy. Kiedy widzę, że jest wściekły i drzwi jego gabinetu są ciągle zamknięte, nie czuję się wcale bezpieczny). Wiem, że on mnie lubi, choć nie jesteśmy na stopie przyjacielskiej, bo przecież mi się zwierza; wiem też, że jest zadowolony z mojej pracy i z mojego kierowania działem, który mu podlega. Wiem też, że Green boi się Kagle'a, który mnie lubi i może mnie bronić, oraz Barona, który też mnie lubi (to znaczy, przypuszczam, że mnie lubi, gdyż Baron traktuje wszystkich, jakby ich lubił, nawet takich, których zdecydowanie nie lubi, więc skąd mogę mieć pewność?) i może nie pozwolić na moje zwolnienie. Kagle nawet przysięgał, że mnie będzie bronił, gdyby Green kiedykolwiek zechciał mnie się pozbyć, a nawet weźmie mnie do swego wydziału i da mi znacznie wyższą pensję, aby zrobić Greenowi na złość, więc moja pozycja wydaje się absolutnie niezachwiana do momentu, kiedy wchodzę do Kagle'a, aby się dowiedzieć czegoś o Gree-nie, a Kagle wita mnie tymi słowami:

— Przypuszczam, że w końcu postanowili się mnie pozbyć.

I jaka byłaby moja sytuacja, gdyby to się stało?

Kagle jest dyrektorem Wydziału Sprzedaży, zajmuje w koncernie bardzo wysokie stanowisko i oto boi się je stracić. Może jego obawy są słuszne. Źle się nazywa. (Nie całkiem. Imię Andrew jest w porządku. Ale nazwisko Kagle?) I źle się ubiera. Pojęcia nie ma o kolorach i fasonach ani o materiałach, w dodatku garnitury, płaszcze i koszule źle na nim leżą. Nosi bawełniane koszule w kratkę albo wełniane w turecki rzucik, kiedy wszyscy od miesięcy już noszą len i tetkę albo na nowo wrócili

do kamgarnu i kory. Chodzi w koszmarnych brązowych pantoflach z dziureczkami w kształcie *fleur-de-lis*. I w krótkich skarpetkach (mam ochotę krzyknąć lub kopnąć go w kostkę widząc jego nagie golenie). Jest krępy, raczej niski, ma od urodzenia zdeformowaną nogę i biodro (co nie podnosi jego urody) i lekko utyka.

Jest zdolny i ma duże doświadczenie, ale to się już nie liczy. Natomiast liczy się jego brak stylu. Ma prostackie maniery. Nie grzeszy dowcipem (jego dowcip i kawały są kiepskie), nie ma wyższego wykształcenia i czuje się skrępowany z takimi, którzy pokończyli uczelnie. Wie, że jest niezdarny. To ekstrawertyk, lecz nie buńczuczny, tylko nerwowy, najgorszy typ ekstrawertyka (zwłaszcza w zetknięciu z innymi nerwusami), wobec tego los jego jest chyba przesądzony.

Zaczął karierę od najniższego szczebla i zaszedł wysoko dzięki pracy, co widać. Należy do kategorii ludzi z awansu społecznego, czego nie potrafi ukryć. Wie, że nie pasuje do swego stanowiska, lecz nie wie, kiedy i dlaczego, nie wie, jak się zmienić, aby wszystko grało. Wie, że mu brak ogłady towarzyskiej (jednakże brak mu jej do tego stopnia, że nie pojmuje nawet, co to właściwie jest, a ja i Green pojmujemy). Cieszy się dobrą opinią jako szef Wydziału Sprzedaży, niewiele to jednak znaczy. (Nic już nie może poważnie zaszkodzić koncernowi.) Jemu się zdaje, że dobra opinia się liczy. Szczerze wierzy w to, że jego praca jest ważniejsza od tego, czym on jest, ja jednak wiem, jak bardzo się myli, wiem, że piękna hrabina Consuelo Crespi (jeśli takowa istnieje) będzie zawsze ważniejsza od Alberta Einsteina, madame Curie, Thomasa Alvy Edisona, Andy'ego Kagle'a i mnie.

Kagle jest praktykującym luteraninem, bardzo nie lubi katolików i zwierza mi się z tego ironicznym, gorzkim szeptem, kiedy jesteśmy sami. Otwiera nieduże zebrania z katolikami komiwojażerami dowcipem na temat papieża, myśląc, że stworzy koleżeńską atmosferę. Dowcipy jego są kiepskie i nikt się nie śmieje. Radziłem mu, aby dał sobie z tym spokój. Obiecał przestać. Ale nie przestał. To silniejsze od niego.

Jest skrępowany z ludźmi na jego szczeblu lub wyższym. Czoło i górna warga mu się pocą, w kącikach ust zbiera się ślina. Czuje się obco między takimi. I niezbyt swobodnie czuje się z podwładnymi. Stara się zachować jak ich kumpel. To gruby (i nietaktowny) błąd, bo komiwojażerowie i menedżerowie filii wcale nie chcą być z nim za pan brat. Dla nich to

dyrektor, wiedząc, że niemal całkowicie zależą od niego, wyjątek stanowią komiwojażerowie stojący niżej od niego w hierarchii służbowej, którzy pochodzą z bardzo dobrych rodzin, stojących wyżej od niego w hierarchii towarzyskiej. Ci są za pan brat z dyrektorami koncernu, od których z kolei on jest całkowicie zależny, więc czuje się przy nich jak intruz nie na swoim miejscu.

Liczy na to, że Brown, którego się boi i któremu nie ufa, utrzyma komiwojażerów w ryzach (i przejmie na siebie rolę surowego szefa). Brown robi to znakomicie i z wielką ochotą. (Jest spowinowacony z Blackiem jako mąż siostrzenicy Blacka.) Fakt, że Brown tak skutecznie napędza strachu komiwojażerom, pogłębia tylko niepewność Kagle'a i osłabia tylko jego rozeznanie. Sądzi, że Brown poluje na jego stanowisko, ale nie ma odwagi zmierzyć się z Brownem i przenieść go lub zwolnić. Więc (mądrze) unika otwartej wojny z Brownem, który jest bezceremonialny i wojowniczy prawie ze wszystkimi, zwłaszcza po południu, jeśli popił sobie podczas lunchu. Kagle woli wyjechać w niepotrzebną podróż służbową, niż wojować z kimkolwiek o cokolwiek, więc fabrykuje powody do wyjazdu, ilekroć kłopoty w domu lub w biurze grożą kryzysem. Niech kto inny rozładuje za niego krytyczną sytuację. Liczy na to, że gdy wróci, będzie po krzyku, i na ogół tak jest.

Kagle stara się być miły dla podwładnych z wyjątkiem Brow-na (którego nienawidzi, którego się boi i któremu nie ufa, ale wobec którego jest bezsilny) i każdemu przypodobać. Niechętnie zaostrza dyscyplinę, nie stworzuje komiwojażerów, nawet kiedy sam (czy Brown) przyłapie ich na lipnych wydatkach z funduszu reprezentacyjnego lub fałszywych wykazach nowych klientów czy podróży służbowych. (Sam podaje fałszywe powody podróży służbowych i, jak my wszyscy, zapewne trochę też naciąga wydatki z funduszu reprezentacyjnego.) Niechętnie zwalnia ludzi, nawet takich, którzy się rozpili jak Red Parker lub w inny sposób przestali być użyteczni. Jest to jeden z często stawianych mu zarzutów. (Czasem stawiają mu go właśnie ci, których inni dyrektorzy każą mu zwolnić.) Na przykład wzbrania się posłać na emeryturę Eda Phelpsa, który chce jeszcze pracować. (— Wylałbym na zbitą dupę połowę tych załganych skurwysynów — chełpi się wobec mnie i Kagle^ Brown, mówiąc o personelu Kagle'a, jak gdyby rzucając Kagle'owi wyzwanie, aby to zrobił. — A drugiej połowie tych leniwych łobuzów dałbym wymówienie.)



Kagle rozpaczliwie chce być lubiany przez tych „załganych skurwysynów” i „leniwych łobuzów”, którzy mu podlegają, zabiega nawet o względy urzędników biurowych, recepcjonistek i maszynistek, stara się usilnie zamienić z nimi kilka słów, za co odpłacają mu pogardą. Im bardziej nim gardzą, tym bardziej stara się być dla nich dobry, a im jest dla nich lepszy, tym bardziej nim gardzą. Czasem ogarnia go taka rozpacz, że siedzi jak skamieniały w swoim gabinecie i nikogo nie przyjmuje (prócz mnie). Całymi dniami drzwi jego gabinetu pozostają zamknięte, woli nie jeść lunchu, niż pozwolić, aby mu sekretarka przyniosła coś do jedzenia, i co się tylko da, załatwia przez telefon.

Kagle czuje się swobodnie ze mną (nawet w bardzo złe dni) i ja się czuję swobodnie z nim. Czasem wzywa mnie jedynie po to, abym potwierdził lub zaprzeczył pogłoskom, jakie dotarły do niego (lub jakie sam wymyślił), i pomógł mu rozproszyć niepokój i wstyd. Nie wystawiam go na próbę, nie grozę mu, nie przysparzam mu żadnych kłopotów, przeciwnie, wie, że mu pomagam (lub staram się pomóc) uporać z kłopotami, jakich przysparzają mu inni. Ufa mi, wie, że nic mu z mojej strony nie grozi. Nie budzi już we mnie strachu. (Natomiast ja wiem, że mógłbym wzbudzić strach w nim, gdybym zechciał, że on jest wobec mnie bezsilny, że to ja jestem silniejszy, czasem zaś, kiedy mi się zwierza, ogarnia mnie paskudna chęć, aby go przerazić, zwalić z nóg na wieki brutalną, nieoczekiwaną obelgą lub kopnąć w chorą nogę. Wzbiera we mnie niesamowita mieszanina zranionej wściekłości i okrutnej nienawiści, którą muszę poskramiać. Sam nie wiem, skąd się bierze i jak długo będę mógł ją poskramiać.) Kagle stracił wiarę w siebie, może to się okazać fatalne dla niego, gdyż u nas, jak i gdzie indziej, nikt nie lituje się nad przegranymi i nie darzy ich miłością.

Ja się lituję nad nim (jak gdybym już rzucił mu w twarz obelgę lub kopnął go w zdeformowaną nogę, do czego prędkiej czy później dojdzie, tak silne jest to moje pragnienie), tak jak się lituję nad sobą. Żal mi go, bo w gruncie rzeczy to człowiek przyzwoity, choć może niezbyt błyskotliwy czy uroczy. Często się o niego martwię i współczuję mu, gdyż był i jest dobry dla mnie od dnia, kiedy zacząłem pracować pod kierownictwem Greena. Kagle ułatwia mi pracę. Liczy się z moim sądem, ufa mi i popiera w zatargach z komiwojażerami. Wielu z nich, zwłaszcza nowi, przeraźliwie się mnie boi, gdyż domyśla się,

że działam z jego aprobatą. (Jestem przekonany, że wielu starych, którym nie bardzo się wiedzie, wini mnie za swoje porażki.) W zatargach z nimi rację nieodmiennie mam ja. Jestem cierpliwy, praktyczny i rozsądny, podczas gdy oni unoszą się i niecierpliwą. Łatwo mi być w takich sytuacjach cierpliwym i rozsądnym, bo w najmniejszym nawet stopniu nie zagrażają mi kłopoty handlowe groźne dla nich.

Kagle często napomyka żartem przy Baronie i innych szefach, czasem nawet w mojej obecności, że o wiele bardziej niż Green nadawałbym się na stanowisko Greena; przy mnie mówi to ze złośliwą frajdą, bo go błagałem, aby tego nie robił. Nie wiem, czy naprawdę tak myśli, czy to tylko miły gest, który jego zdaniem przyniesie zaszczyt mnie, natomiast zaniepokoi i rozzłości Greena, kiedy się o tym dowie. Ponieważ Kagle jest dla mnie dobry i już się go nie boję, więc i ja trochę nim gardzę.

Staram się to ukryć (choć czasem stwierdzam ze zdumieniem, że moje ironiczne uwagi lub przestrogi brzmią ostrzej, niż chciałem. Tkwi we mnie jadowita, przerażająca chęć zniszczenia go, mimo że jest kulawy i niezaradny). Staram się ze wszystkich sił mu pomóc i chronić go. Podejmuję się nawet doręczać regularnie jego nagany i instrukcje dla Browna, których sam nie lubi dawać, aczkolwiek nie odważę się zaczynać z Brownem po lunchu, jeśli mogę tego uniknąć. Jak wszyscy, którzy znają Browna, staram się zejść mu po lunchu z drogi (chyba że potrzebuję jego wsparcia w sprzeczce z kim innym), bo jest wówczas pod gazem, drażliwy i skory do kłótni. Zawsze robi w takich chwilach wrażenie, że rwie się do walki na pięści. Nie ulega wątpliwości, że przy swojej potężnej klatce piersiowej, mocnych barach i grubych, potężnych łapach potrafi się bok-sować. Nie ulega też wątpliwości, że na ogół ma rację.

Teraz Brown i Kagle są znów na noże z powodu raportów komiwojażerów. Niechętnie wypełniają oni różowe, niebieskie i białe formularze (różowe dla przypuszczalnych, niebieskie dla aktualnych oraz białe dla kiedyś aktualnych zamówień, czyli już nieaktualnych, lecz możliwych), w których mają przedstawić optymistyczne perspektywy na przyszłość i szczegółowe sprawozdania z wizyt u klientów (faktycznych czy wymagowanych). Nie chcą całej tej papierkowej roboty, bardziej skomplikowanej niż wypisywanie formularzy zamówień, szczególnie nie lubią wypełniać formularzy wydatków i zalegają z nimi

tygodniami, a czasem miesiącami. Wiedzą z góry, że cyfry wykazujące liczbę nowo zwerbowanych klientów będą fałszywe. Brown twierdzi, że te formularze to czysta strata czasu dla wszystkich, i nie chce zmuszać komiwojażerów do ich wypełniania. Kagle boi się Browna i nie chce go zmuszać do wywierania nacisku na komiwojażerów.

Jednakże Baron chce mieć te formularze. Inaczej nie ma wglądu w to, co komiwojażerowie robią (lub twierdzą, że robią), i nie może zebrać wiarygodnych informacji potrzebnych mu do własnych decyzji i raportów, choć bardzo dobrze wie, że dane, na których opiera własne decyzje i raporty, są przeważnie fałszywe.

Ja staram się trzymać od tej sprawy z daleka i z niewinną miną współczuję wszystkim, których ona dotyczy. Wolę siedzieć w swoim gabinecie, pisać coś, gryzmolić lub flirtować przez telefon z Jane albo porozmawiać z Penny, dobrą dziewczyną, którą znam od lat, układać swoje plansze szczęścia, w których klasyfikuję naszych pracowników, wszystko, tylko nie dać się wplątać w tę wojnę o formularze. Nic mnie nie obchodzi i nie dotyczą. Sprawa jest błaha, ale należy do gatunku błahych spraw, które niejednego mogą zniszczyć, a w obecnej sytuacji nie widzę sposobu zyskania łask jednej nie tracąc łask drugiej strony. Więc roztropnie nie wtrącam się do tej sprawy, choć mimochodem napomykam któremuś z komiwojażerów, z którym stykam się w innej sprawie, że Kagle, Baron czy Brown dopytują się o formularze zamówień, więc powinien je jak najszybciej dostarczyć do wglądu i oceny. (Nie mówię, i nigdy bym tego nie uczynił, że uważam je za stratę czasu dla wszystkich prócz mnie.)

W ten czy inny nie obowiązujący sposób staram się pomóc Kagle'owi (Brownowi i Baronowi też). Udzielam mu rad, znoszę mu plotki, wiadomości i plany innych działów, to, co może mu się przydać lub powinno go obchodzić.

— Co mówią? — dopytuje się.

— O czym?

— Wiesz.

— Co masz na myśli?

— Chryste Panie — skarży się — dawniej bywałeś ze mną szczerzy. Teraz nie mogę już ufać nawet tobie.

— O czym ty mówisz?

— Chodzą słuchy, że wylatuję i że Brown przychodzi na moje miejsce, ty pewnie wiesz dokładnie, jak to wygląda. Mia łem cynk w Denver.

- Gówno prawda.
- Podoba mi się twoja szczerłość.
- A mnie twoja.

Kagle nie może powstrzymać ironicznego uśmiechu, lekko kulejąc przechodzi przez dywan do drzwi i zamyka je. Uśmiecham się do niego i sadowię wygodnie w brązowym skórzanym fotelu. Zawsze czuję się pewny siebie i ważniejszy, kiedy siedzę za zamkniętymi drzwiami w czyims gabinetcie, a inni, powiedzmy, Kagle, Brown czy Green, martwią się o to, co się dzieje za tymi drzwiami. Kagle zajmuje ogromny, narożny, luksusowy gabinet, w którym wydaje się nie na miejscu. Robi wrażenie zdenerwowanego, sili się na uśmiech wracając od drzwi, by usiąść za biurkiem.

— Mówmy poważnie, ty wszystko słyszysz — mówi. — Nic nie słyszałeś?

— O czym?

— O mnie.

— Nie.

— Chodzą słuchy, że ze mną koniec. Pójdą za radą Greena i White'a i pozbędą się mnie. Brown już ma moje stanowisko w kieszeni.

— Kto ci to powiedział?

— Nie mogę wymieniać nazwisk. Ale dostałem cynk w Denver w największej tajemnicy. To prawda. Możesz mi wierzyć.

— Znów gówno prawda.

— Tym razem nie.

— Nikt w naszej filii w Denver nie może wiedzieć takich rzeczy ani dawać ci cynku, gdyby wiedział.

— Skłamałem, jeśli idzie o Denver. Ale reszta to prawda.

— Rozgłaszasz ohydne kłamstwa. Najgorsze w całym biurze. Nie mam pojęcia, jak się dochrapałeś stanowiska komiwojażera.

Kagle uśmiecha się przelotnie, aby wyrazić uznanie dla mojego dowcipu, i znów pochmurnieje.

— Brown mówi ci różne rzeczy — zagaduje. — Nie zrobił jakiejś aluzji?

— Nie — kręcę głową. (Wszyscy myślą, że ja wiem wszystko. „Ty wiesz wszystko — mówi do mnie Brown. — Co się dzieje?” „Nie wiedziałem nawet, że coś się dzieje” — mówię ja. Jane pyta: „Co się święci? Czy naprawdę likwidują dział graficzny?” „Nie pozwoliłbym nikomu zlikwidować ciebie, kochanie. Choćbym musiał płacić ci pensję z własnej kiesze-

ni.") — To nie może być prawda — znów kręcę głową. —  
Nigdy nie mianowaliby Browna. Wojuje ze wszystkimi.

— Więc jednak coś słyszałeś! — krzyczy Kagle.

— Nic nie słyszałem.

— Kogo by mianowali?

— Nikogo. Przestań się wygłupiać i zabierz się do roboty,  
jeżeli tak się boisz. Jeżeli naprawdę tak się boisz, to czemu się  
nie zabierzesz do tego, co do ciebie należy?

— A co do mnie należy?

— To, co do ciebie należy. Nie bądź taki brat łąta dla  
każdego z twoich pracowników. To ci się nie udaje i nikt od  
ciebie tego nie oczekuje. Jesteś w czołówce. Twoja armia ko  
miwojażerów to twoi wrogowie, a nie kumple, więc i ty powi  
nienesz być ich wrogiem i pędzić ich jak niewolników. Brown  
ma rację.

— Nie lubię Browna.

— Zna się na swojej robocie. Każ Phelpsowi iść na eme  
ryturę.

— Nie.

— White oczekuje tego od ciebie.

— Phelps jest stary. Chce zostać.

— Dlatego powinieneś mu kazać odejść.

— Jego syn rozwiódł się w zeszłym roku. Synowa zabrała  
wnuczkę do Seattle. Stary już może nie zobaczy dziecka.

— To bardzo smutne.

— Ile on kosztuje koncern, nawet jeśli nic nie robi?

— Bardzo mało.

— Więc dlaczego mam mu kazać odejść?

(W tym wypadku Kagle ma rację i bardzo go lubię za to, że  
uparcie nie zwalnia Phelps'a. Stary tak czy siak niedługo umrze  
lub będzie zbyt chory, aby móc pracować.)

— Bo przekroczył przepisowy wiek emerytalny. Poza tym  
White chce, abyś go zwolnił.

— Nie lubię White'a — cicho i niemądrze mówi Kagle. —  
A on nie lubi mnie.

— White też wie, co robi.

— Jak mógłbym coś takiego powiedzieć Phelpsowi? Co  
mógłbym mu powiedzieć? Zrobiłbyś to za mnie? Przecież to  
nie takie proste.

— Niech Brown mu powie.

— Nie.

— To twój obowiązek, nie mój.

— Ale to nie takie proste, prawda?  
— Dlatego tak dużo ci płacą.  
— Wcale nie zarabiam tak dużo — wtrąca niemal automatycznie — zważywszy podatki i tepe.  
— Owszem, zarabiasz. I przestań wечно podróżować. Wszystkich to kłuje w oczy. Co ty, do cholery, robiłeś cały tydzień w Denver, w którym nic się nie dzieje, kiedy powinieneś być tu, przygotowywać materiały do zjazdu i plan sprzedaży?  
— Kazałem Phelpsowi przygotować materiał do zjazdu.  
— Dużo on zrobi.  
— A mój plan sprzedaży zawsze okazuje się błędny.  
— I co z tego? Ale przynajmniej jest zrobiony.  
— Co jeszcze?  
— Graj częściej w golfa. Pogadaj z Redem Parkerem i kup sobie granatową marynarkę sportową. Spraw sobie lepsze garnitury. Noś w biurze marynarkę, zapinaj kołnierzyk koszuli i zawiązuj porządnie krawat na szyi, gdzie jego miejsce. Chryste, popatrz na siebie w tej chwili. Przecież jesteś dyrektorem górnego szczebla.  
— Nie wymieniam imienia Bożego nadaremnie — żartuje Kagle.  
— Ty tego nie rób.  
— Mam dobre wyniki w sprzedaży — mówi.  
— A masz dobrą sportową marynarkę?  
— Jezus Maria, jakie znaczenie ma dobra sportowa marynarka?  
— Większe niż twoje dobre wyniki sprzedaży. Nikt nie wkłada do biura marynarek z okrągłymi skórzanymi łatami na łokciach, chyba na weekend. Kup sobie do granatowych i szarych garniturów czarne buty. I przestań jeździć do miasta wielką gablotą.  
— Okej — godzi się pokornie, z ponurym uśmiechem i gwizdże długo i cicho z udanym zdumieniem, zrezygnowany. — Wygrałeś. — Wstaje, powoli podchodzi do wieszaka w kącie i bierze swoją marynarkę. — Przrzekam. Sprawię sobie granatową sportową marynarkę.  
Będzie na niego za duża — wiem to z góry — będzie na nim wisiała, marszczyła się na piersi i będzie to marynarka z kam-garnu, kiedy my wszyscy przrzucimy się na mohairowe czy szantungowe albo z powrotem wróci moda na bawełnę w kratę czy korę. Obawiam się, że za późno dla niego, nie potrafi już (jeśli kiedykolwiek potrafił) zmienić się ku powszechnemu zadowoleniu. Na chwilę jednak (kiedy jestem w jego gabinecie)

robi wysiłek: zapina kołnierzyk koszuli, podsuwa węzeł krawata pod brodę i wkłada marynarkę. Jest koszmar, z materiału udającego tweed, z owalnymi zamszowymi łatkami na łokciach.

— Tak lepiej? — pyta.

— Niewiele.

— Wyrzucę te brązowe buty.

— To pomoże.

— Jak Green cię traktuje? — rzuca mimochodem.

— Dość dobrze. Dlaczego?

— Gdybyś pracował w moim wydziale — mówi ze szczwającym, śmiałym wyrazem twarzy i cieniem psotnego uśmiechu — pozwoliłbym ci wygłosić tyle przemówień, ile byś chciał, na następnym zjeździe. Komiwojażerowie bardzo się interesują twoimi projektami dla nich i tym, co masz do powiedzenia.

— Bywaj. Do zobaczenia.

Śmiejemy się, bo obaj wiemy, o co każdemu z nas idzie, czego się obawiamy i co nas boli. On wie, że chce zachować swoje obecne stanowisko i wygłosić przemówienie na następnym zjeździe. (Niech to diabli, byłby to zaszczyt i wyróżnienie, nawet gdyby przemówienie trwało tylko trzy minuty, zasłużyłem na ten zaszczyt i po prostu chcę to przemówienie wygłosić!) Ja natomiast wiem, że on chce, abym go bronił przed Greenem (i Brownem, i Blackiem, i White'em, i Baronem także).

— Powiesz mi, jeśli coś usłyszysz? — pyta idąc za mną do drzwi.

— Oczywiście — zapewniam go.

— Ale o nic nie pytaj — ostrzega mnie z niewyraźnym, smętnym uśmiechem. — Możesz im podsunąć tę myśl, gdybyś pytał.

Śmiejemy się.

Śmiejemy się jeszcze, kiedy Kagle otwiera drzwi i widzimy swoją sekretarkę w rozmowie z jego sekretarką.

— Och, panie Slocum — wyśpiewuje wesoło, jak to ona, a ja żałuję, że się jej nie pozbyłem. — Pan Baron prosi pana do siebie natychmiast.

— Czego chce? — pyta zaniepokojony Kagle, odciągając mnie na bok.

— Skąd mam wiedzieć?

— Idź do niego.

— Myślałeś, że nie pójde?

— Przyjdź i powiedz mi, jeśli wspomni, że chce się mnie pozbyć.

— Dobrze.  
 — Zrobisz to, prawda?  
 — Oczywiście. Na miłość boską, Andy, nie ufasz mi?  
 — Dokąd idziesz? — chce wiedzieć Green, którego mijam na korytarzu idąc do Barona.  
 — Baron chce mnie zobaczyć.  
 Green chwieje się, przystaje z przerażonym spojrzeniem, a ja ledwie mogę się opanować, aby mu nie parsknąć śmiechem w twarz.  
 — Czego on chce od ciebie?  
 — Pojęcia nie mam.  
 — No, to idź do niego. !,»  
 — Już mi to przyszło do głowy.  
 — Nie bądź taki cholernie sarkastyczny — rzuca Green gniewnie, a ja spuszczam wzrok, zawstydzony i upokorzony jego wybuchem. — Nie jestem wcale pewien, czy ufam tobie.  
 — Przepraszam, Jack — mówię cicho — nie chciałem być nieuprzejmy.  
 — Zajdź do mnie zaraz po wyjściu od niego — nakazuje. — Chcę wiedzieć, co powiedział. Czy mnie przypadkiem nie zwalniają.  
 — O czym mówił z tobą Kagle? — pyta Brown, na którego wpadam przypadkiem.  
 — Chciał wiedzieć, co wyprawiałeś, kiedy był w Denver.  
 — Naprawiałem jego błędy i broniłem jego cholernego stanowiska dla niego, oto co wyprawiałem — odgryza się Brown.  
 — Właśnie to mu powiedziałem.  
 — Kłamiesz — rzuca mi uprzejmie Brown.  
 — Za to mi płacą, Johnny.  
 — Ale każdy, kto wie...  
 — Więc?  
 — ...więc to chyba nie ma znaczenia.  
 — Jestem dyplomata, a nie kłamcą, Johnny.  
 — Dyplomata, aha — Brown śmieje się gburowato. — Ty załgany skurwysynu.  
 — Właśnie szłam do pana — mówi Jane. — Chciałam panu pokazać układ graficzny.  
 Patrzę bezczelnie na jej cycuszki.  
 — Doskonale widzę twój układ. — Dziewczyna zaczyna chichotać i rozkosznie się rumieni, przybieram poważny ton. — Nie teraz, Jane. Muszę iść do Barona.



— Dzień dobry, panie Slocum — wita mnie sekretarka Barona — jak pan się miewa?

— Świetnie pani wygląda.

Drzwi gabinetu Barona są zamknięte, więc nie wiem, co zrobić: nacisnąć klamkę i wejść czy zapukać nieśmiało i czekać, aż mnie poprosi do środka. Ale dwudziestoosmioletnia sekretarka Barona, która mnie lubi i która ma kłopoty z mężem (bo prawdopodobnie jest pedalem), kiwa zachęcająco głową i gestem nakazuje mi wejść bez pukania. Bardzo delikatnie ujmuję klamkę i otwieram drzwi. Baron jest sam, siedzi za biurkiem i wita mnie uśmiechem. Wstaje, powoli podchodzi do mnie, podaje mi rękę. Zawsze jest dla mnie (i dla wszystkich) bardzo miły, bardzo łagodny i taktowny. Mimo to zawsze się go boję. Po prostu paraliżuje mnie (jak wszyscy moi pracodawcy) i chyba tak już będzie zawsze.

— Dzień dobry, Bob — mówi Baron.

— Cześć, Art.

— Wejdz. — Zamyka cicho drzwi.

— Jestem.

— Jak się miewasz, Bob?

— Świetnie, Art. A ty?

— Chciałbym, żebyś zaczął się przygotowywać — powiada — do zajęcia stanowiska Kagle'a.

— Kagle'a?

— Tak.

— Nie Greena?

— Wiesz — Baron uśmiecha się wnikliwie, uspokajająco — nie sądzimy, abyś już mógł objąć stanowisko Greena.

Jest w tych słowach uprzejma ironia, gdyż wiemy obaj, że stanowisko Kagle'a jest wyższe i ważniejsze od stanowiska Greena i że Green podlegałby Kagle'owi, gdyby Kagle miał silniejszy charakter. Propozycja Barona oszałamia mnie, przez kilka sekund tracę kontenans, absolutnie nie wiem, co powiedzieć lub zrobić, jaki przybrać wyraz twarzy. Baron uważnie mnie obserwuje, czeka.

— Nigdy nie zajmowałem się sprzedażą — mówię w końcu bardzo niepewnie.

— Nie będziemy tego wymagać od ciebie. Chcemy, abyś kierował wydziałem. Jesteś lojalny, inteligentny, masz dobre kwalifikacje i dobre obyczaje w pracy. Doskonale się orientujesz w polityce i strategii koncernu i świetnie radzisz sobie z różnymi ludźmi. Jesteś dyplomata. Jesteś spostrzegawczy

i wrażliwy, robisz wrażenie dobrego organizatora. Czy to wystarczająca zachęta?

— Kagle to doskonały fachowiec, Art — mówię.

— Doskonały sprzedawca — poprawia mnie Baron, pod kreślając różnicę. — Prawdopodobnie będziesz mógł go za trzymać jako komiwojażera, jeśli postanowimy dać ci jego stanowisko, a ty zdecydujesz się je objąć.

— Wiem, że chciałbym je objąć.

— Może nawet pozwolimy ci zatrzymać go w charakterze pomocnika czy konsultanta w pertraktacjach z pewnymi ludźmi, z którymi będzie sobie dobrze radził. Ale okazał się niedobrym szefem i wątpimy, aby się poprawił. Kagle w wielu sprawach nie znajduje z nami wspólnego języka, a na jego stanowisku to ważne. Znadto kłamie. White każe mi się pozbyć Kagle'a tylko dlatego, że karmi nas kłamstwami. Za dużo podróżuje, choć prosiłem go, aby więcej czasu spędzał w biurze. Ubiera się fatalnie. Nosi jeszcze brązowe buty. Wiem, że to nie powinno mieć znaczenia, ale ma, i on już powinien o tym wiedzieć. Nie przesyła mi wykazów klientów.

— Wykazy te mają przeważnie fałszywe dane.

— Wiem, ale i tak są mi potrzebne do moich obliczeń.

— To przecież domena Browna — zwracam Baronowi uwagę.

— Kagle nie kontroluje Browna.

— To nie takie łatwe.

— Boi się Browna.

— Ja też — wyznaję.

— I ja — mówi Baron. — Ale gdybym był szefem Browna, tobym go kontrolował albo się go pozbył. A ty?

— Brown jest żonaty z siostrzenicą Blacka.

— Nie zmieniloby to mojego stosunku do Browna. Gdybyś my postanowili coś w związku z Brownem, nie pozwolilibyśmy Blackowi się wtrącać.

— Zgodziłbyś się na to, abym go zwolnił?

— Gdybyś doszedł do wniosku, że to konieczne, aczkolwiek wolelibyśmy go raczej przenieść. Kagle miał szansę zwolnienia Browna, ale w tej chwili Brown lepiej się orientuje w specyfice wydziału niż sam Kagle. Nigdy nie zwalnia nikogo, nawet pijaków, kanciarzy czy takich, którzy są dla nas bezużyteczni z innych powodów. Nie chce wymówić Parkerowi, posłać na emeryturę Phelps'a, nie współpracuje z Greenem. I ciągle nie przyjmuje do pracy pewnych kategorii osób, choć uprzedzaliś my go, aby dał z tym spokój.

- To bardzo poważne stanowisko — wtrącam.
- Uważamy, że sobie z nim poradzisz.
- A jeśli nie poradzę?
- Za wcześnie o tym mówić.
- Ja muszę — powiadam z uśmiechem.

Baron uśmiecha się ze zrozumieniem.

— W takim przypadku znaleźlibyśmy dla ciebie dobre stanowisko w innym dziale, gdybyś chciał u nas pozostać, chyba że zrobiłbyś coś szpetnego lub nieuczciwego, a jestem pewien, że to wykluczone. Nie musisz decydować w tej chwili. To na razie tylko mój pomysł i nic pewnego, więc proszę cię, niech to zostanie między nami. Staramy się jednak patrzeć naprzód, zorientować, co należy zrobić przed zjazdem. Pomyśl o tym poważnie i daj mi znać, czy reflektujesz na stanowisko Kagle'a, jeżeli postanowimy powierzyć je tobie. Nie musisz się zgodzić, masz na to moje słowo, nie będziesz ukarany, jeśli odmówisz. — Baron ponownie się uśmiecha, wstaje i dodaje lżejszym tonem: — I tak dostaniesz w tym roku podwyżkę i okazałą premię. Sądzymy jednak, że powinieneś się zastanowić nad moją propozycją. I dobrze by było, gdybyś zawczasu zaczął się szykować do nowych obowiązków.

— Co mam robić?

— Trzymaj się blisko Kagle'a i komiwojażerów. Postaraj się dowiedzieć dokładnie, co się u nich dzieje. Pomyśl, jakie realne cele byś wyznaczył i jakie zmiany uważałbyś za konieczne, aby te cele osiągnąć, gdybyśmy powierzyli ten wydział tobie.

— Lubię Kagle'a.

— Ja też.

— Był dla mnie bardzo dobry.

— To nie twoja wina. Przeniesiemy go tak czy owak. Będzie się chyba cieszył pracując pod twoim kierownictwem na wyznaczonych mu odcinkach. Przemyślisz to?

— Oczywiście.

— Doskonale. Ta rozmowa zostanie między nami, prawda?

— Oczywiście.

— Dziękuję ci, Bob.

— Dziękuję, Art.

— Czego chciał Baron? — pyta Green w momencie, kiedy wychodzę od Barona.

— Niczego.

— Mówił coś? i  
— Nie.  
— Czy mówił coś o mnie?  
— Nie.  
— Więc co powiedział? Chyba cię wzywał w jakiejś sprawie?  
— Chce, abym wsadził kilka dowcipów do przemówienia, które jego syn ma wygłosić w szkole.  
— Tylko tyle? — prychnął wzgardliwie Green, ucieszony. — Mógłbym to zrobić — pokpiwa — lepiej od ciebie.  
Możesz sobie wsadzić swoje kpiny do dupy, myślę, bo wiem, że mógłbym go przydusić, aż zwijałby się jak robak u moich stóp, gdybym zajął miejsce Kagle'a. Ale on mi wierzy.  
— Czego chciał Baron? — pyta Brown.  
— Żebym wsadził kilka dowcipów do przemówienia szkolnego jego syna.  
— Co za kłamca z ciebie.  
— Dyplomata, Johnny.  
— I tak się dowiem.  
— Mam się rozejrzeć za inną pracą? — pyta Jane.  
— Mam dla ciebie pracę pod ręką.  
— Pan jest okropny, panie Slocum — śmieje się Jane i rumieni z zakłopotania i przyjemności. Jest rozplomieniona i barczo kusząca. — Pan jest gorszy niż szczeniak.  
— Jestem lepszy niż szczeniak. Chodź do mojego gabinetu, to ci pokażę. Który z twoich szczeniaków ma taki gabinet jak ja, z tapczanem i pigułkami w szafce?  
— Doskonale — mówi Jane (przez sekundę drżę z przerażenia, że naprawdę pójdzie ze mną). — Ale pan Kagle czeka w pańskim gabinecie.  
— Czego chciał Baron? — z miejsca pyta Kagle stojący niespokojnie w kącie.  
Zamykam drzwi nie spiesząc się, potem się odwracam, aby spojrzeć na niego. Znowu jest zaniedbany, mnie zaś ogarnia smutek i złość. Kołnierzyk koszuli nie zapięty, węzeł krawata zwisa mu na kilka cali pod kołnierzykiem. (Przez sekundę mam ochotę chwycić go gwałtownie obiema rękami za koszulę i potrząsnąć nim, aby nabrał trochę rozumu, a jednocześnie chciałbym go kopnąć z całych sił w kulawą nogę.) Na czole połyskują mu kropelki potu, w kącikach ust — ślina, choć same usta są suche i widać na nich resztki proszku przeciw nadkwasocie.  
— Niczego nie chciał.  
— Nic nie mówił?

— Nie. Nic ważnego.  
— O mnie?  
— Ani słowa.  
— Poważnie?  
— Przysięgam.  
— Niech mnie diabli — zdumiewa się Kagle, oddychając z ulgą. — W takim razie o czym mówił? Powiedz. Przecież po coś cię wzywał.  
— Chce, żebym wsadził kilka dowcipów do szkolnego przemówienia jego syna.  
— Naprawdę?  
— Tak.  
— I nic nie powiedział o mnie? Nic a nic?  
— Nic.  
— Nic o formularzach czy moim wyjeździe do Denver?  
— Nic.  
— Ha, w takim razie może nic mi nie grozi. Może zostanie nawet w tym roku wiceprezydentem. O czym mówił?  
— Tylko o swoim synu. O przemówieniu małego i dowcipach.  
— Może ja sobie tylko wyobrażam to wszystko! — wykrzykuje Kagle wesoło. — Może i mnie by się przydały te dowcipy, gdyby któreś z moich dzieci musiało kiedy wygłosić przemówienie w szkole. — Marszczy brwi, nagle pochmurnieje, jakby sobie przypomniał o czymś przykrym. — Moje dzieci są do niczego — myśli głośno. — Zwłaszcza chłopak.  
Kagle też mi ufa, a ja wcale nie jestem pewny, czy tego chcę.  
— Andy! — wykrzykuję nagle. — Dlaczego ty się wciąż narażasz? Dlaczego nie postępujesz, jak należy? Dlaczego nie robisz tego, czego wszyscy od ciebie oczekują?  
— Dlaczego to mówisz? — pyta wystraszony. — O co chodzi?  
— Żebyś utrzymał stanowisko, dlatego, jeśli me jest już za późno. Dlaczego nie starasz się postępować tak, jak szefowie sobie życzą? Przestań opowiadać kłamstwa White'owi. Nie podróżuj tyle. Przenieś Parkera do innego działu, skoro nie potrafisz go powstrzymać od pijaństwa, i pošlij Phelpsa na emeryturę.  
— Czy ktoś coś mówił?  
— Nie.  
— W takim razie skąd ty to wszystko wiesz? Kto ci to powiedział?

— Ty sam! — krzyczę zrozpaczony, z obrzydzeniem. — Od miesięcy sam bez przerwy mówisz mi o tym wszystkim. Dlaczego więc nie zrobisz z tym czegoś, zamiast zamartwiać się i narażać? Weź się w garść. Kontroluj Browna, współ pracuj z Greenem, przyjmij do pracy jakiegoś Murzyna czy Żyda.

Kagle uśmiecha się ponuro, zamyśla się na kilka sekund w przytłaczającej ciszy. Czekam i zastanawiam się, ile on zrozumiał z moich ostrzeżeń.

— Co ja bym zrobił z czarnuchem? — pyta w końcu, jak gdyby głośno myślał i szukał odpowiedzi.

— Nie wiem.

— Żyd by mi się przydał.

— Nie bądź taki pewny.

— Handlujemy z Żydami.

— Może im się to nie spodoba.

— Ale co ja bym mógł zrobić z czarnuchem?

— Mógłbyś zacząć od tego — radzę mu — aby nie nazywać czarnych „czarnuchami”.

— A jak?

— Czarnym. Nazywaj Murzyna czarnym.

— Zabawne.

— Owszem.

— Zawsze ich nazywałem „czarnuchami”. Tak mnie nauczono od dziecka.

— I mnie tak nauczono od dziecka.

— Co mam zrobić? Powiedz, co mam zrobić?

— Dorośnij wreszcie — mówię poważnie, z całego serca starając się mu pomóc. — Jesteś facetem w średnim wieku, masz dwoje dzieci i poważne stanowisko w bardzo dużym koncernie. Wiele się od ciebie wymaga. Czas już, żebyś dojrzał. Czas, żebyś zaczął poważnie traktować swoją pracę i robił, co do ciebie należy. Wiesz, o co chodzi. Sam ciągle mi mówisz, o co chodzi.

Kagle kiwa w zamyśleniu głową. Marszczy brwi, myśli o moich słowach bez cienia uśmiechu. Zaczyna w końcu rozumieć. Patrzę na niego w napięciu, czekam, co powie. Ty łotrze, chcę wrzasnąć na niego w rozpacz, podczas gdy on medytuje nad moimi słowami, przecież staram się tobie pomóc. Powiedz coś mądrego. Choć raz w swoim zakałapućkanym życiu dojdź do jakiegoś inteligentnego wniosku. On zachowuje się tak, jakby słyszał moje myśli. Powziął jakąś decyzję, twarz mu się rozjaś-

nia. Patrzy na mnie z uśmiechem, a kiedy ja wiszę mu na ustach pełen oczekiwania, odzywa się: — Chodźmy na dupy.

Koncern ma swoją politykę w sprawie dupczenia. Dupczenie jest w porządku.

Wszyscy jakoś to wiedzą (choć słowa o tym nie ma w żadnym z regulaminów dla personelu). Rozmowy o dupczeniu są nawet lepiej widziane niż sama czynność, aczkolwiek i czynność jest dobrze widziana, chociaż mówienie o dupczeniu własnej żony jest źle widziane. (Na przykład: Słuchaj, ale mnie żona wyruchała tej nocy, jak wściekła! Taka gadka nie uchodzi w rozmowach z panami, z którymi ma się stosunki handlowe i którzy mogliby znać daną żonę.) Ale dupczenie z cudzą żoną jest jak najbardziej dobrze widziane i można się tym przechwalać pod warunkiem, że mąż takiej damy nie pracuje u nas i nie jest naszym dobrym i lubianym znajomym. Koncern popiera te rzeczy, jeśli się je robi z pewną fantazją, humorem, wulgarnie, fachowo i bez czułościowości z młodymi, ładnymi dziewczętami albo trochę starszymi niewiastami, najlepiej z cudzoziemkami lub kobietami pociągającymi z innych powodów; nie należy przy tym podnosić za wiele hałasu, wypada robić przynajmniej wrażenie dyskretnego, unikać skandali, szumu i wszelkich poważnych komplikacji, pachnących romansem. Miłość na ogół nie jest dobrze widziana, choć powtórne małżeństwo natychmiast po uzyskaniu rozwodu — jest; nie jest też dobrze widziany romans, w każdym razie nie dla mężczyzny.

Dupczenie (lub rozmowy o dupczeniu) to ważny element każdego zjazdu koncernu i decyduje o wyborze miejscowości, a komiwojażerowie, którym udaje się szybko kogoś przelecieć, mają największe szansę zostać bohaterami zjazdu, choć niekoniecznie przedmiotem zawiści. (Zależy to od klasy przygadanej kobiety.) W okresie zjazdu dupczenie odbywa się przeważnie grupowo, po trzy, cztery osoby (dwaj decydują się wypuścić i zabierają z sobą jeszcze jednego czy dwóch). Niemal każdy pracownik koncernu kogoś obskakuje (lub robi takie wrażenie) albo przynajmniej przechwala się tym, że to robi (lub robił). To niemal *comme U faut* podczas zjazdów, że panowie na najwyższych stanowiskach, nawet i wiekowi impotenci — zwłaszcza ci ostatni — robią chytre, chępliwe aluzje do swego

cudzołóstwa i cudzołóstwa kolegów w przemówieniach powitalnych, podziękowaniach, wstępnych uwagach przed przemówieniami na tematy poważniejsze. Dupczenie jest tematem dowcipów na wszystkich szczeblach koncertu, nie stronią od tematu nawet tacy panowie, jak Green i White. Ale nie jest to temat do żartów dla Kagle'a w tej chwili.

— Mówię poważnie — oświadczam.

— Ja też — odpowiada.

Po wyjściu Kagle'a zamykam drzwi gabinetu, zamykam się w sobie na cztery spusty, przestaję myśleć o innych i zastanawiam się, jak potraktować rozmowę z Baronem. Odwołuję spotkanie na lunch, kładę nogi na biurko.

Mam chore stopy. Szczeka mi zanika i wkrótce grozi mi usunięcie wszystkich zębów. Będzie bolało. Mam na utrzymaniu nieszczęśliwą żonę i muszę się opiekować dwojgiem nieszczęśliwych dzieci. (Poza tym mam jeszcze trzecie dziecko — syna z nieodwracalnym uszkodzeniem mózgu, ten nie jest ani szczęśliwy, ani nieszczęśliwy i nie mam pojęcia, co się z nim stanie po naszej śmierci.) Mam w swoim dziale ośmioro nieszczęśliwych ludzi, którzy mają własne kłopoty i nieszczęśliwe rodziny. Martwię się, walczę z histerią. Martwi mnie polityka, letnie rozruchy na tle rasowym, narkotyki, przemoc i życie seksualne nastolatków. Wszędzie pełno zбочeńców i nienormalnych, którzy mogą zdeprawować czy udusić któreś z moich dzieci. Ulice, którymi chodzę, są pełne przestępstw. Muszę stawić czoło starości. Mój syn, zaledwie dziewięcioletni, już się martwi, bo nie wie, czym chce być, kiedy dorośnie. Moja córka kłamie. Muszę dźwigać na swoich biednych barkach ciężar upadku amerykańskiej cywilizacji, ciężar winy i niezdarności całego rządu Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

I dowiaduję się, że mnie typują na wyższe stanowisko.

I stwierdzam, Boże zmiłuj się nade mną, że pragnę tego.



## Moja żona jest nieszczęśliwa

---

Loja żona jest nieszczęśliwa. Jest jedną z tych mężatek, które są okropnie znudzone i samotne, a ja nie mam pojęcia, jak temu zaradzić (chyba żebym się z nią rozwiódł, co by ją jeszcze bardziej unieszczęśliwiło. Nie tak dawno temu poszedłem do łóżka z mężatką, wyznała, jak bardzo samotna czuje się chwilami, że wówczas ogarnia ją taki przeraźliwy chłód, od którego dusza jej dosłownie lodowacieje, i sędzę, że zrozumiałem, co ją trapi).

Moja żona to naprawdę porządna kobieta, w każdym razie była kiedyś porządna i czasem bardzo mi jej żal. Teraz popija sobie w dzień i flirtuje lub usiłuje flirtować na przyjęciach, na które chodzimy wieczorami, choć robi to bardzo niezdarnie. (Biedactwo nie ma pojęcia, jak się do tego zabrać.) Nie jest wesoła z natury, potrzebuje specjalnej okazji lub alkoholu, aby się rozkrochmalić. (Nie żyjemy z sobą w zgodzie.) Myśli, że się postarzała i roztyła, że jest mniej pociągająca niż dawniej — i ma oczywiście rację. Myśli, że to mi robi różnicę, i nie ma racji. Wcale mi to nie przeszkadza. (Gdyby się dowiedziała, że mi to nie przeszkadza, byłaby oczywiście jeszcze bardziej nieszczęśliwa.) Nie jest brzydka, jest wysoka, dobrze ubrana, zgrabna i często z dumą się z nią pokazuję. (Jej się zdaje, że nie chcę się z nią pokazywać.) Wydaje jej się, że już jej nie kocham, może ma rację i w tym.

— Widziałeś się dziś z Kagle'em — mówi.

— Skąd wiesz?

— Kulejesz.

Mam okropny zwyczaj — naśladowę ludzi. Czynię to auto-

matycznie, naśladowę nawet takich, których nie lubię. Jeśli jestem z osobą, która mówi głośno, szybko i apodyktycznie, ja również podnoszę głos, mówię coraz szybciej (choć nie zawsze apodyktycznie). Jeśli jestem w towarzystwie osoby, która leniwie cedzi słowa i pochodzi z Południa czy Zachodu kraju, to i ja zaczynam leniwie cedzić słowa i mówić z akcentem Południa czy Zachodu, wtrącam autentyczne zwroty regionalne, jak gdyby to było moje własne słownictwo, a nie język mojego rozmówcy.

Robię to nieświadomie. Instynktownie i nieodparcie chcę się upodobnić do osoby, z którą w danym momencie przebywam, oznacza to, że jestem słaby, brak mi charakteru i zasad moralnych. Naśladowę nie tylko mowę danej osoby, ale i ruchy, chód, sposób, w jaki siedzi, przechyla głowę lub trzyma ręce. (Często boję się, aby dana osoba nie pomyślała, że ją przedrzeźniam, że chcę ją ośmieszyć i zelżyć. Ze wszystkich sił staram się opanować tę skłonność.) Przejawia się nieświadomie (podświadomie?) niezależnie od tego, czy jestem trzeźwy, czy odurzony alkoholem (na ogół upijam się na wesoło i jestem po pijanemu miły i zabawny), jak gdyby miała własną wolę, nie potrafię zapanować nad tą skłonnością, poskromić jej niechęcią, bo przeważnie w ogóle nie zdaję sobie sprawy z tego, że wcielilem się w cudzą osobowość, dopóki to nie jest już faktem dokonany. (Żona mówi, że oglądając filmy, szczególnie komedie, robię grymasy i idiotycznie wymachuję rękami jak aktorzy na ekranie, czemu nie mogę zaprzeczyć.)

Jeśli idę na lunch lub po pracy na drinka z Brownem (urodzonym pasjonatem, którego alkohol rozjusza), klnę i narzekam, wyrażam się ostro i stanowczo i czuję się odpowiednio. Jeśli jestem w towarzystwie Barona, mówię wolno, cicho, inteligentnie, czuję się, jakbym był łagodny, przenikliwy, pełen godności, wyrafinowany, nie tylko kiedy jestem z nim, ale i przez jakiś czas potem; przejmuję jego osobowość, dopóki nie zetknę się z silniejszą ode mnie indywidualnością lub z kimś stojącym wyżej ode mnie służbowo czy towarzysko. (Jednakże w towarzystwie Greena nie zachowuję się swobodnie i inteligentnie, lecz jak niezdarny patałach, dopiero po rozstaniu z nim obmyślam jakiś gładki epigramat, który by mi się przydał w rozmowie z kim innym.) Często zastanawiam się, jaka jest moja własna natura.

Czy posiadam własną naturę?

Zawsze jestem dobrze ubrany. Lecz żebym włożył nie wiem co, mam niemiłe uczucie, że kogoś naśladowę, bo nieodmiennie przypomina mi się ktoś ubrany bardzo podobnie. Wobec tego mam często wrażenie, że nie noszę własnego ubrania. (Czasem otwieram swoją szafę ścienną i ze zdumieniem patrzę na wiszące w niej ubrania. Wszystkie oczywiście należą do mnie, ale przez sekundę wydaje mi się, że wiele z nich widzę po raz pierwszy.) Często myślę, że nie marnowałbym tyle czasu, pieńdzy i sił na uganianie się za dziewczynami i kobietami, gdybym nie przebywał ciągle w towarzystwie panów, którzy to robią lub twierdzą, że zamierzają to robić. Do tej pory jeszcze nie wiem na pewno, czy to naprawdę taka frajda (choć jestem absolutnie pewien, że to cholernie kłopotliwe). A skoro nie wiem na pewno teraz, nie będę wiedział już nigdy.

Jeśli dyskutuję o czymś z facetem, który fatalnie się jąka, jestem w poważnym kłopotcie, bo i mnie się przydarza jąkać i wtedy nasza rozmowa staje się niezrozumiałym bełkotem. Okropnie się boję rozmowy z jąkałami, umieram ze strachu, że i ja zacznę się jąkać, że koniec ze mną, jeśli dłużej niż przez kilka zdań będę patrzył na usta jąkały, jeśli się nie opanuję, odczuwam niemal rozkoszne, gorączkowe drzenie wzbierające w moich wargach, wydaje mi się, że za chwilę wyzwoli się ono i nigdy już go nie opanuję. Nie czuję się swobodnie w towarzystwie homoseksualistów, być może z tych samych powodów (boję się, że ulegnę pokusie, aby się do nich upodobnić). Unikam ludzi z nerwowym tikiem, zezem i drgającymi w twarzy nerwami, nie chcę też nabawić się czegoś takiego. Kłopot w tym, że nie wiem, kim i czym jestem naprawdę.

Kiedy przebywam z ludźmi sprośnymi, staję się sprośny.

Kim jestem? (Będę zgadywał do trzech razy.)

Moja córka nie jest sprośna, a jednak używa brzydkich słów w rozmowie z kolegami, a pomału zaczyna ich używać w domu. (Ja też brzydko się wyrażam.) Ona chce ugruntować swoją pozycję wobec nas lub sprowokować jakąś reakcję z naszej strony, lecz ani żona, ani ja nie rozumiemy, czego dziecko chce lub dlaczego. Przypuszczam też, że ona chce się zidentyfikować ze swoim otoczeniem, obawiam się, że jestem świadkiem, jak ona zlewa się z tym otoczeniem i tonie w nim. Chce być taka jak jej rówieśnicy. Nie potrafię jej powstrzymać ani uchronić od tego. Coś się stało i z nią, aczkolwiek nie wiem co i kiedy. Nie ma jeszcze szesnastu lat, a wydaje mi się, że już

jest stracona. Traci swoją wyjątkowość. Jako dziecko wydała się nam taka odmienna od innych dzieci. To minęło. Jaka ona jest?

Przygnębia mnie i bawi jednocześnie fakt, że zapożyczam przymiotniki, rzeczowniki, czasowniki i krótkie sentencje od ludzi, z którymi przebywam, i często czuję się w ramach ich uboższego słownictwa jak chomik w klatce. Ich język staje się moim językiem. Nie potrafię znaleźć własnych słów (jeśli istotnie mam własne słowa), nie mogę sobie przypomnieć nawet bardzo oklepanych synonimów. Zamiast szukać własnych słów, łapię ich słówka i przyswajam sobie ich frazeologię do użytku w rozmowach z kim innym (choć kradziony przeze mnie dialog może nie być najwyższego lotu).

Kiedy rozmawiam z Murzynem (czarnuchem, gdybym bezpośrednio przed tym rozmawiał z „białym wyrzutkiem” nazywającym rzeczy po imieniu), muszę bardzo uważać, aby nie zacząć mówić jak on (slangiem wojowniczego hippisa lub prymitywnego Wujka Toma) i nie naśladować jego wymowy. To samo przydarza mi się, kiedy mam do czynienia z taksjarkami Portorykańczykami, jeśli w ogóle się do nich odzywam (staram się z nimi nie rozmawiać, bo znieść nie mogę skamłającej wrogości nowojorskich taksówkarzy, chyba że są Portorykańczykami), rozmowa nasza toczy się na ich, nie moim poziomie. (Nie wiem, jaki jest mój poziom, cha, cha.) To samo się dzieje, kiedy rozmawiam z młodzieżą szkolną czy uniwersytecką, prz rzucam most nad przepaścią dzielącą pokolenia, naśladowuję młodych, przemawiam ich żargonem i zgrywam się na identyczne gusty i poglądy, które nie zawsze podzielałam. Dawniej sądziłam, że chcę w ten sposób być miły, teraz wiem, że nie mam wyboru. (Koleżanki i koledzy córki, zwłaszcza koleżanki, lubią mnie i szanują, ale nie moja córka.)

W towarzystwie Kagle'a zaczynam kuleć.

— Widziałeś dziś Kagle'a — stwierdza żona.

Jesteśmy w kuchni.

Zgadła, więc przestaję kuleć i roztropnie staram się przypomnieć sobie, czy przypadkiem nie mówiłam do żony z hiszpańskim akcentem, bo dziewczyny, do których poszliśmy tym razem z Kagle'em, to były Kubanki, w dodatku szpetne. Prostytutki. Nikt już dziś nie chce nazywać prostytutki prostytutką

(szczególnie ja sam; mówi się na nie podrywaczki, dziewczyny lub *cali girls*), nie zmienia to faktu, że te panienki były prostytutkami. Przysięgałem sobie uroczyście (zapinając rozporek na błyskawiczny zamek i wkładając podkoszulek, który czuć już było potem pod pachami od rannego pocenia się), że odtąd nie będę sypiał z dziewczynami, które mi się nie podobają.

Poszło nam z tymi prostytutkami lepiej, ale i gorzej jednocześnie niż tego dnia w biurze. Moja była ładniejsza (Kagle zawsze odstępuje mi ładniejszą), jej farbowane na rudo włosy były czarne przy skórze. Nie była wykształcona, ale miała gładką skórę (żadnych krost, pęcherzyków czy wrzodów) i była schludna. Miła i czuła. Zbiera pieniądze, aby założyć salon piękności. Była usłużna, starała się mi dogodzić (nie wszystkie są takie).

— Podrażnić cię? — spytała cicho.

Kiedy Kagle nie może się urwać z domu ani wyjechać w podróż służbową (jak do Denver, skąd właśnie wrócił), urywa się do nowojorskich kurewek w ciemnych hotelikach lub w kawa-lerkach w domach bez wind z cienkimi ścianami. Proponuje, abym mu towarzyszył. Stale odmawiam.

— Przestań — powiada. I sale mu towarzyszę.

Nie sprawia mi to żadnej przyjemności. (Aczkolwiek wielką przyjemność sprawiają mi sesje z jakąś fantastyczną, dwustu-dolarową *cali girl*, jaką od czasu do czasu podsyłają mi w prezencie moi dostawcy. Opowiadam o tych dziewczynach Kag-le'owi, który uśmiecha się tylko. On nie chce chyba ładnej dziewczyny w uroczym mieszkanku. Chce kurwy.) Ja czuję się brudny po czymś takim. (Za każdym razem budzi we mnie obrzydzenie zapach własnego podkoszulka przy ubieraniu się, mimo że to mój własny zapach i bardzo nikły na ogół. Jeśli tego dnia nie mam na sobie podkoszulka, niemiły zapach tkwi w mojej koszuli, słaby, lecz nieomylny, pomimo dezodorantu. Ten zapach jest mną — to ja? — i nie mogę na długo uciec od siebie.) Wiem, jakie to ohydne, nieprzyzwoite i absolutnie staroświeckie, że dwaj dorośli mężczyźni na stanowiskach, jak Kagle i ja, idą na zimno, w stanie trzeźwym, do zwykłych kurw w swoim rodzinnym mieście. Kobiety te nie są ani ładne, ani kuszące, nie zaznajemy z nimi wielkiej rozkoszy. Nie przypuszczam też, aby te wizyty sprawiały przyjemność Kagle'owi, nigdy nie byliśmy powtórnie u tych samych kobiet (choć wracaliśmy do tych samych marnych hotelików).

Oplaca je zawsze Kagle z funduszu koncertu jako uzasadniony wydatek służbowy. (W całej tej sprawie cieszy mnie tylko świadomość, że w ten sposób mam w dupie nasz koncert). Ja płacę czasem za taksówkę i kupuję butelkę whisky, którą on lubi zabierać na te wypad. Kiedy już jestem z dziewczyną, nie czuję się źle (dopasowuję się), ale jak tylko zrobię swoje, zaraz chcę uciekać. Na ogół kończę przed nim i wychodzę sam. Kagle nie lubi wracać do domu (jeszcze mniej niż ja). Jeśli dobrze mu idzie (nie zawsze daje sobie radę z powodu kulawej nogi), zostawiam go z tą butelką i kurwą. Nigdy nie idę z nim dlatego, że mam ochotę. Prosi. Więc idę.

Tak samo mniej więcej zacząłem obgryzać paznokcie, dlatego że ktoś poprosił mnie o to. (Bóg wie, że to nie był mój pomysł. Nie wiedziałem nawet, że ludzie obgryzają paznokcie. I nie jestem chyba taki geniusz, żebym sam mógł na to wpaść.) Byłem w pierwszej podstawowej, zaczęło się drugie półrocze, miałem siedem lat i już byłem sierotą bez ojca. (Nie bardzo go pamiętam, nie rozpaczalem po nim, kiedy zmarł, zachowałem się tak, jakby wcale nie odszedł, czyli tak, jakby go nigdy nie było. Skoro go nie pamiętałem, więc nie tęskniłem za nim i nigdy specjalnie o nim nie myślałem. Do chwili obecnej.) Wszyscy moi koledzy w pierwszej klasie (miałem ich wówczas wielu, zawsze bardzo starałem się przypodobać wszystkim i zawsze mi się to udawało) zaczęli obgryzać paznokcie w tym samym tygodniu, tylko dlatego żeby doprowadzić do rozpacy nauczycielkę (pannę Lamb, w drugiej klasie uczyła nas pani Wolf. Mam niesamowitą pamięć do nazwisk i podobnych błahostek), rodziców i starsze siostry. (Zaczęło się to jako dziecinny spisek.)

— Obgryzaj paznokcie — kazali mi chłopcy.

Usłuchałem. Zacząłem je obgryzać. Po pewnym czasie chłopcy przestali to robić. Ale nie ja. (Przestali być dziećmi, skończyli szkołę i zostawili mi swoje złe przyzwyczajenie.) Nie próbowałem nawet odzwyczaić się (wiem teraz, że nie próbowałem, bo nie chciałem się odzwyczaić i wiedziałem już wtedy, że to daremny trud). Od tamtego czasu ciągle skubię zębami i zapamiętałem, jak świnia, z dziką nienawiścią obgryzam koniuszki własnych palców, i znajduję ogromną satysfakcję okaleczając się tak niepoważnie. (To nie tyle przyzwyczajenie, ile raczej konieczność, nikczemny, gruboskórny, często bolesny przymus wewnętrzny, któremu lubię ulegać. Teraz już chyba

nie chciałbym się od tego odzwyczaić, poza tym nikt nie potrafił mi wytłumaczyć, dlaczego miałbym to zrobić.) Wiem, że do samej śmierci będę gryzł własne paznokcie razem z palcami (a przynajmniej do czasu, kiedy mi wyrwą wszystkie zęby i nie będę miał czym gryźć. Cha, cha).

Nawet mój charakter pisma nie jest mój własny!

Pożyczyłem go (i nigdy nie zwróciłem). Przejąłem po prostu charakter pisma od starszego ode mnie chłopaka, z którym pracowałem w Dziale Ewidencji Zakładu Ubezpieczeń od Wypadków Samochodowych i który w wolnych chwilach po wytężonej pracy lubił wynajdywać i udoskonalać jakiś nowy sposób pisania. (Jego własny mu nie wystarczał.) Na imię miał Tom lub Tommy, zależnie od tego, kto z nim rozmawiał lub kto go wołał. Miał dwadzieścia jeden lat, był bardzo wysoki, zadowolony z siebie i dojrzały. (Miał wiele powodów, aby być zadowolonym z siebie i uważać się za dojrzałego, bo nie tylko wynajdywał nowe sposoby pisania, ale rypał też Marie Jencks, najokazalszą blondynę, jaką nasz zakład mógł się poszczycić.) Wieczorami bez wielkiego zapału chodził do szkoły plastycznej, a w dzień też się nie przejmował pracą, bo czekał, aż go powołają do wojska w charakterze rekruta na drugą wojnę światową. W przerwach między pracą, bieganiem na posyłki i paleniem papierosów w ubikacji Tom siadał przy biurku na końcu sali (skąd nie było go widać, bo siedzieliśmy w pomieszczeniu ogrodzonym jak klatka pośrodku biura sięgającym sufitu przepierzeniem, wystawieni na widok publiczny) i pilnie opracowywał jakiś nowy pomysł kaligraficzny. Ja siedziałem przy biurku obok niego, ukryty za murem metalowych zielonych szafek z imiennymi katalogami ponumerowanych teczek z aktami wypadków, ułożonych w wyższych, szerszych i bardziej zielonych szafkach stojących z przodu, starając się nauczyć jego nowego pisma, przyswoić je sobie i nabrać w nim wprawy.

Nie zawsze było to łatwe zadanie. Tom niezmordowanie eksperymentował z lukami, ukośnymi liniami i zawijasami dużych liter: R, Y, H lub J, niewiele przy tym mówił, dopóki nie osiągnął pożądanego efektu, wówczas stwierdzał:

— Teraz to chyba to.

Jeśli po paru minutach nie zmieniał zdania rzeczowo kiwając głową, podsuwałem do siebie arkusz papieru z wykończoną literą i zaczynałem ją kopiować, podczas gdy on zabierał się

do szkicowania następnej litery alfabetu. (Czasem z miną ponurą i zawiedzioną krytykował jakąś literę po upływie tygodnia lub dłuższego czasu od jej powstania, przekreślał swoje dzieło i od początku zabierał się do tej samej litery.) Niektóre litery były łatwe, inne niewymownie trudne, zabierały mi masę czasu. Byliśmy parą młodych zapalonych kaligrafów (ja naturalnie byłem terminatorem), jeśli każdy z nas skrycie i po swojemu nie głowił się nad tym, jak ulżyć cierpieniom rosnącej w nas żądzy, bo i on (o czym dowiedziałem się przypadkiem) palił się do pewnej kobiety (dziewczyny?) w biurze (w tym również zaszedł znacznie dalej ode mnie. Zdobył nie kogo innego, tylko samą Marie Jencks, dużą, opryskliwą blondynę, która skończyła dwadzieścia osiem lat, była mężatką i którą regularnie ciachał akurat w naszym magazynie. Boże! Kiedy w końcu dowiedziałem się tego i owego o nas wszystkich w tym biurze, wydało mi się, że znalazłem się w nieprawdopodobnym wirze ludzkich typów, nie rozumiałem wtedy jednej rzeczy, którą rozumiem obecnie, że jedyną nieprawdopodobną osobą w tym wirze byłem ja sam). Kiedy starą panią Yerger przeniesiono z oficyny do nas, do Działu Ewidencji, aby zapędziła nas do roboty albo posłała na trawkę (nie było tam wcale tyle do roboty. Tom nauczył mnie chodzić po sali z czystym arkuszem papieru w rękę, w ten sposób wymigiwałem się od pracy, jak długo chciałem. Przeważnie robiłem co innego lub starałem się robić, stojąc przy biurku pod dużym zegarem Western Union, tuż koło Virginii, żywej, dowcipnej dziewczyny, która skończyła dwadzieścia jeden lat, chodziła już wtedy czasem bez stanika, bo wiedziała, że ładne piersi dobrze tak wyglądają, przeginała się w tył i prostowała z sennym westchnieniem, kołysząc biustem ku mojej radości lub prężąc go ku mnie), ja już doskonale opanowałem charakter pisma Toma i do dziś się nim posługuję.

O Tomie i Marie Jencks dowiedziałem się przypadkowo na jakieś pięć tygodni przed jego odejściem do wojska. (I ja odszedłem tego samego dnia do pracy w sklepie z maszynami. Bardzo tej pracy nie lubiłem.) Pani Marie Jencks (jak głosiła mosiężna tabliczka na jej biurku) pracowała w Dziale Obrażeń Cieleśnych, jej szefem był łagodny, niewysoki Len Lewis, który grzecznie, romantycznie, seksualnie i idealistycznie kochał się w mojej niepoprawnej Virginii. (Zachęcała go.) Byłem oszołomiony wykryciem prawdy o nas wszystkich, szczególnie o Ma-



rie i Tomie (bardziej nawet, niż kiedy przyłapałem starszego brata na podłodze drewnianej szopy na węgiel z kościstą młodszą siostrą Billy'ego Foster w zamierzchłej i zatartej już przeszłości. Marie Jencks była zdobyczą znacznie większą od kościstej dziewczynki z wystającymi zębami, młodszej siostry Bil-ly'ego Foster). Zdobyć Marie równało się złapaniu wieloryba, a ja patrzyłem na nią ze zbożnym strachem.

Kiedy dowiedziałem się o niej tych rzeczy, stała się dla mnie ziszczonym marzeniem (innego faceta), rozkosznym, ogromnym, oszalamiającym, despotycznym cudem. (Oczu od niej nie mogłem oderwać.) Miała męża. Była wysoką, dorodną blondyną. Kończyła dwadzieścia osiem lat. Była reprezentacyjna i atrakcyjna (lecz nie ładniutka. Virginia była ładniejsza). I łomotała tego szczęściarza Toma Johnsona, który miał dwadzieścia jeden lat, ile razy chciała. (Co za fantastyczna sytuacja dla tego dwudziestojednoletniego szczęściarza. Jakie rozkoszne perspektywy ten stan rzeczy otwierał przed małym siedemnastolatkiem Bobem Slocumem.) Kiedy Lewis wychodził z biura, Marie była szefem całego Działu Obrazów Cieleśnych. Bywała wówczas miłą lub oficjalną, więc ja, a nawet większość urzędników mających sekretarki, baliśmy się jej cokolwiek. Była apodyktyczna nawet w stosunku do Toma, a kiedy ją przyparło, rozkazywała mu zejść do magazynu z szafkami nieaktualnych teczek w suterenie, następnie po zaspokojeniu swej żądzy kazała mu wracać na górę.

Dzięki temu magazynowi, w którym dwie nie osłonięte żarówki zwisały na grubych czarnych sznurach jak para gapiących się pajaków, dowiedziałem się o Tomie i Marie. (Wziąłem klucz, bo chciałem się spotkać w magazynie z Virginią, a Tom potrzebował klucza, aby tam pójść z Marie.) Robili to na biurku. Nie chciałem mu uwierzyć mimo jego zapewnień, lecz kiedy Virginia to potwierdziła (gdy wspomniałem o tym), wiedziałem, że to musi być prawda. Nie było tam zresztą innego miejsca prócz brudnej podłogi. Jednakże nie potrafiłem sobie tego wyobrazić na biurku. Przecież było za małe dla tak dużej kobiety jak Marie. (Obecnie już wiem, że babom wystarczy naparstek, jeśli naprawdę tego chcą, a kiedy nie chcą, cała planeta może być dla nich za mała.)

Był tylko jeden klucz do tego magazynu (był więc miejscem idealnym na robienie tego, co zaprzątało myśli tylu z nas przez tyle godzin pracy) i nie chciałem mu go dać. Miałem własny

plan: chciałem tam zejść na kilka minut z Virginią, aby móc ją obcałować i obmacać (nim zeszywnieje i wpadnie w szalony, niezrozumiały, niespodziewany i zaskakujący pośpiech, który wprawiał mnie w najwyższe zdumienie. Bładła, oczy jej ciemniały i przerażone biegały jak wystraszone myszki, odrywała się ode mnie z cichym, dzikim, złym jękiem, z wysiłkiem łapała oddech i przerażona uciekała na górę. Wracając na salę znajdowałem ją siedzącą jak gdyby nigdy nic pod zegarem, uśmiechała się i lubieżnie mrugała na mnie jak poprzednio. Teraz wiem, że była bardziej pobudliwa, niż sądziłem, a także lekko stuknięta. Chyba ją kochałem, ale byłem zbyt dziecinny, aby się na tym wyznać. Zdawało mi się, że miłość to całkiem co innego).

— No — powiedział Tom — dawaj klucz.

— Nie mogę.

— Potrzebuję go.

— Ja też.

— Potrzebuję go natychmiast.

— Ja też.

— Mam tam randkę.

— Ja też.

— Z dziewczyną.

— Ja też.

(Zarumieniłem się z dumy i wyszczerzyłem zęby.)

— Z kim?

Cofnął się, aby mi się przyjrzeć.

— Mam ci powiedzieć?

— A dlaczego nie? Przecież jestem twoim trenerem. Z Virginią?

— Skąd wiesz?

— Nie jestem ślepy. Ani głuchy.

— To widać?

— Doskonale to widać między twoimi nogami, kiedy stoisz i rozmawiasz z nią. Powinieneś czasem wyciągnąć rękę z kieszeni, aby wszyscy mogli się temu przyjrzeć należycie. Na prawdę chciałbym to zobaczyć. Powinieneś mieć pod ręką teczkę od wypadków i zasłaniać nią pewne miejsce na wypadek, gdyby tobie coś się przydarzyło. Byłaby gruba sprawa o szkody materialne. Przelatujesz ją?

— Jeszcze nie.

— A wiesz, jak to się robi?

— Dowiaduję się.  
 — Ona może cię nauczyć.  
 — Skąd wiesz?  
 Poczulem zazdrość.  
 — To widać. Jeśli chcesz się dowiedzieć, jak to się robi, po prostu zacznij to robić, to najlepszy sposób. Nie myśl o tym. Tylko pakuj. Zejdź ze mną teraz, to zobaczysz, jak ja to załatwiam.  
 — Z kim?  
 — Roztrąbisz na całe biuro, jak ci powiem.  
 — Nie.  
 — Dawaj klucz.  
 — Powiedz z kim.  
 — Będiesz trzymał gębę na kłódkę?  
 — Z Virginią?  
 (Poczulem nowy przyływ zazdrości.)  
 — Z Marie.  
 — Jencks?  
 — Już trąbisz.  
 — Ty rypiesz Marie Jencks?  
 — Rypiemy się nawzajem. Nie odwracaj głowy. Patrzy na nas, czeka, żebyś mi dał klucz, więc dawaj, bo ona ci łeb urwie.  
 — Ma męża — rzekłem osłupiały.  
 — Dasz mi wreszcie ten klucz?  
 Posłusznie dałem mu klucz, ogarnięty szacunkiem dla jego wyczynów, i jak tylko najpierw on, a potem ona wyszli, pobiegłem do starego, drewnianego biurka pod dużym zegarem, aby przełożyć randkę z Virginią i opowiedzieć jej to, co usłyszałem. (Była naprawdę moim najlepszym przyjacielem w tym biurze, a może i w ogóle. Kiedy napadała mnie nieuzasadniona chandra, kiedy czułem się bardzo samotny i grosza przy duszy nie miałem, ona to dostrzegała, pocieszała mnie, proponowała pożyczkę kilku dolarów do dnia wypłaty, choćby sama musiała pożyczyc te pieniądze od koleżanki w biurze.)  
 — Dlaczego? — zdziwiła się, kiedy zaproponowałem, aby wyszła na schody, a nie do magazynu.  
 — Potrafisz zachować sekret?  
 — Pewnie — roześmiała się. — Co chcesz ze mną zrobić?  
 i— Tu chodzi o Toma. Uwierzyłabyś, że on i...  
 — Oczywiście.  
 \* — T  
 A \*

— Oczywiście. n<

— Akurat w tej chwili.

— Im częściej, tym lepiej, zawsze to mówię.

— W magazynie?

— Czasem to robią w mieszkaniu na Drugiej Alei. **Ona ma**

**-tam** rozwiedzioną przyjaciółkę.

— Skąd ty to wiesz?

— Sama mi powiedziała.

Byłem ogłuszony. Policzki Virginii płonęły, oczy błyszczały radością na widok mojego osłupienia.

— Jak oni to robią?

— Wiesz, ona ma swoją rzecz, a on swoją, więc on bierze swego...

— W magazynie? Gdzie się kładą?

— Na biurku. Nigdy nie próbowałeś na biurku?

— Spróbuję, jak tylko oni skończą.

— Nie ze mną. Ja potrzebuję dużego pokoju w hotelu. Lubię się ruszać.

— Nie ruszałaś się zanadto w tej łódce na uniwerku — przypomniałem jej.

— Byłam głupia — roześmiała się. — Nie wiedziałam, że trzeba się ruszać. Powiedzieć ci sekret? — Przywołała mnie bliżej ruchem ręki. — Chodź tu, żebym ci to mogła powiedzieć szeptem i oprzeć się o ciebie kolanami.

Trzymając przed sobą czysty arkusz papieru podszedłem do biurka, stanąłem przy niej i zacząłem przerzucać teczki w koszu, jak gdybym czegoś szukał. Ona natychmiast wsparła kolana o moją nogę, ocierała się o nią i patrzyła na mnie z wiedzącym, jakby ironicznym uśmiechem.

— Co to za sekret? — spytałem. \*

— Wyciągnij rękę z kieszeni. i

— Odpieprz się. i.,

— Dobrze.

— Na biurku?

— Udawaj, że coś robisz.

— Robię. Co to za sekret?

Pani Yerger stała przed drzwiami naszej sali (wiecznie stała przed drzwiami) patrząc na mnie złowrogo.

Wyjąłem rękę z kieszeni, wziąłem teczkę z napisem: Szkody Materialne, i zasłoniłem nią mojego twardego. Virginia zauważyła to oczywiście i wybuchnęła śmiechem, ukazując koniu-

szek błyszczącego języka między jaskrawoczerwonymi wargami i mokrymi białymi zębami. Policzki też miała czerwone — kobiety używały wówczas rózu — z dołeczkami. Ogarnęła mnie gwałtowna czułość dla niej, lecz jakże niewystarczająca w danym wypadku: ona miała dwadzieścia jeden lat, ja siedemnaście, tak bardzo chciałem być w wieku Toma i wiedzieć, jak z nią postąpić.

— Len Lewis i ja — mówiła — spotykamy się w każdy czwartek po pracy, idziemy na drinka i kolację. On chce się rozwieść, ale nie pozwalam mu. Mówi, że nikt nigdy nie całował go tak jak ja.

Wiadomość ta bardzo mnie zdziwiła, lecz i podnieciła. Fascynowały mnie przygody seksualne Virginii z innymi mężczyznami. (Lubiła ubierać się w cieniutkie jedwabiste bluzki, często chciałem delikatnie pogłaskać jej plecy, kiedy miała na sobie taką bluzkę. Kiedy była w swetrze, miałem ochotę wsunąć pod niego dłoń i ścisnąć jej ciało.)

— Sypiasz z nim?

(Zawsze byłem chciwy szczegółów.)

— On się boi. Przez całe życie był żonaty i nigdy tego nie robił z kim innym. Żał mi go. Sama nie wiem, co powiem, kiedy doprowadzę w końcu do tego, że mnie o to poprosi. Lubię go. Ale nie jestem pewna, czy chcę się z nim przespać.

Ja też lubiłem Lewisa. Nie miałem wątpliwości, że nikt nigdy go nie całował jak Virginia, widziałem go przecież na przyjęciu z okazji Bożego Narodzenia z żoną, niską, niezgrabną, milczącą kobieciną, tak samo nieśmiałą i starą jak on, lecz o wiele bardziej pomarszczoną i siwą. A skoro już o tym mowa, to i mnie nikt nigdy nie całował, nie dotykał, nie głaskał jak Virginia, która często to robiła w magazynie czy na schodach. Chciałem coraz więcej, nigdy nie dostałem wszystkiego. Ona nie chciała, abym coś robił z nią, chętnie sama zabierała się do mnie. Kilkakrotnie w ciągu dnia spotykaliśmy się na schodach między piętrami, całowali się, pieścili i namiętnie ściskali przez kilka sekund, potem wydawało się jej, że ktoś idzie, i uciekała; czasem na trzy, cztery, pięć minut schodziliśmy do magazynu, gdzie również bladła nagle i odskakiwała ode mnie przerażona.

Nigdy nie byłem na nią zły, kiedy uciekała, nie czułem się zawiedziony, lecz uszczęśliwiony, że mogłem jej choć dotknąć. (I zawsze litowałem się nad nią widząc ją taką wystraszoną.

Chciałem jej pomóc.) Powiedziała mi raz (więcej niż raz, bo ciągle wracałem do tego tematu chcąc to ponownie usłyszeć), że kiedy była na pierwszym roku studiów (przez dwa lata studiowała na Duke University i przerwała studia, kiedy jej ojciec pewnego lata popełnił samobójstwo), zerznął ją w pływającej łódce uniwersytecki gwiazdor piłki nożnej. Nie wierzyłem jej. (Chyba w ogóle nie wierzyłem wówczas, aby ktokolwiek kiedykolwiek robił te rzeczy, aby chłopak taki jak ja wyjmował swoją rzecz i wkładał ją do rzeczy dziewczyny, a potem robił resztę, choć przecież widziałem rysunki i fotosy i nasłuchiwałem się dość sprośnych kawałów i historyjek.) Virginia ciągle mnie namawiała, żebym się postarał o jakiś pokój. Nie wiedziałem jak. Pytałem Toma, jak się wynajmuje pokój w hotelu, wyjaśnił mi, ale nic to nie pomogło. Myślałem, że recepcjonista spuści mi łanie już w holu, jeśli spróbuję wpisać się do książki hotelowej wynajmując pokój dla Virginii i dla mnie. No i nie miałem na to forsy. Byłem tylko chłopakiem od teczek. (Nie umiałem nawet zaprosić jej na kolację.)

Nigdy nie wyszło mi z nią naprawdę (nie zaliczyłem jej) i żałuję tego. Kiedy ja i Tom odeszliśmy z zakładu, nie zająłem już nigdy do budy i nie widziałem więcej Virginii. Próbowałem się z nią zobaczyć. Nęka mnie żal. Tęsknię do niej. Kocham ją. Chciałbym ją odzyskać. Teraz, kiedy usiłuję przypomnieć sobie ważne sprawy mojego życia, pamiętam ją doskonale. Często o niej myślę siedząc w biurze, kiedy nie chce mi się nic robić. I często myślę o niej wieczorami, kiedy siedzę w domu z żoną, dziećmi, służącą i pielęgniarką i również nie mam ochoty nic robić, tylko zachłannie obgryzam paznokcie, tkwię skurczony jak zagłodzony garbus w fotelu w moim salonie czy gabinecie i czekam, aby coś nowego się wydarzyło i nie dało mi usnąć do chwili, kiedy trzeba będzie pójść spać. Podobało mi się, że była mała i pulchna (bo gdziekolwiek jej dotknąłem, zawsze trafiałem na miękkie ciało, które mogłem ścisnąć i miętosić). Pamiętam jej czystą, gładką, jędrną skórę, jej pogłębiające się w uśmiechu dołeczki na twarzy. Ciągle się śmiała i uśmiechała. Tęsknię do tej wesołości. Teraz wiedziałbym, co z nią robić. Chciałbym mieć drugą szansę. Lecz przypominam sobie, kim jestem, przypominam sobie, że byłaby zawsze o cztery lata starsza ode mnie, za niska, za tęga, miałyby prawdopodobnie niskie podwozie i okazałyby się gadatliwą nudziarą, więc nie byłaby dziewczyną, do której tak tęsknię. (Tamta już nie istnieje.) Przypominam sobie też, że ona nie żyje.

(Odebrała sobie życie jak jej ojciec. Po powrocie z Europy próbowałem dodzwonić się do niej do biura. A potem jeszcze raz, kiedy już od kilku lat byłem żonaty. Już wtedy tęskniłem do niej. Nie było jej w biurze. I kto inny był szefem Działu Szkód Materialnych. Rozmawiałem z kaleką, który pracował w Dziale Obrażeń Cieleśnych i nazywał się Ben Zack.

— Virginia Markowitz? — powtórzył. — Nie ma jej. Półtora roku temu odebrała sobie życie. Już u nas nie pracuje. Nie wiedział pan?)

Już było chyba po wojnie, kiedy walka rozgorzała naprawdę.

Bo masowy tani samochód i rewolucja przemysłowa przyczyniły się do powstania w naszym kraju trzeciego co do wielkości na świecie Zakładu Ubezpieczeń od Wypadków Samochodowych, gdzie na czele Działu Obrażeń Cieleśnych (OC) stała nieokrzesana, wyszczekana mężatka z farbowanymi blond włosami, a w Dziale Szkód Materialnych (SM) pracowała flirtująca, brunetka w grubych okularach i z bardzo słabym wzrokiem — a wszyscy tkwiliśmy po uszy w rozpuście, prócz biednego, poczciwego Lena Lewisa, który czerpał siły i zapał z młodzieńczej wiary w romantyczną miłość, nigdy nie mającą się spełnić. (Z pewnością leży już w grobie. Nic go nie czekało w życiu prócz pocałunków Virginii.) Sytuacja w tym zakładzie była mocno zagmatwana (i zabawna) (i smutna), a ja nie rozumiałem tak wielu rzeczy, które się tam działy, dopóki pani Yerger nie wtargnęła w tę scenerię jak sam los w postaci nowej kierowniczką Działu Ewidencji i nie wystraszyła mnie stamtąd po paru tygodniach. Tyle tam było tajemnic, które nie dziwiły nikogo prócz mnie. Nie ma chyba na świecie takiej rzeczy teraz, która mogłaby mnie zadziwić w stosunku do kogokolwiek, stać mnie już tylko na lekkie zdziwienie lub chwilowe rozczarowanie. Ciągle jednak doznaję wstrząsu słysząc o czyjejś nagłej śmierci, szczególnie jeśli umiera ktoś bardzo zdrowy. (Jak mój brat.)

Kiedy dowiedziałem się o Tomie i Marie Jencks, moje zaloty do Virginii stały się bardziej natarczywe. Niewiele mi z tego przyszło. (Nie wiedziałem chyba wtedy, czego od niej chciałem.) Rzecz zabawna, lecz żadna z tych kobiet (dziewcząt?) (kobiet) (dziewcząt) nie chciała, aby inicjatywę przejęli mężczyźni. Ja cieszyłem się znacznie większą swobodą w moich stosunkach z Virginią niż Tom z Marie (ale osiągałem znacznie mniej).

Mogłem podchodzić do jej biurka pod dużym zegarem, kiedy chciałem, i mówić każde świństwo, jakie mi przychodziło do głowy, mogłem zaproponować, aby wyszła ze mną na schody lub do magazynu, a ona na ogół robiła to, o co prosiłem, choć czasem ona z przekornym uśmiechem proponowała, abyśmy się urwali. Nigdy nie udało mi się położyć jej siłą na biurku, choć hecowała mnie, żebym spróbował, ale w ostatniej chwili wyrwała mi się i uciekała. (Dlaczego? Co ją przerażało we mnie, kiedy wcale się nie bała starszych facetów i chłopców, którym pozwalała się wyruchać, jak twierdziła, teraz i przedtem?) Sądzę, że sprawy ułożyłyby się dobrze między nami, gdybyśmy poszli do hotelu i mieli dość czasu na te rzeczy, wspaniale by się ułożyły. (I co z tego?) Nauczyłyby mnie nie spieszyć się. A gdybym się nie spieszył, może ona by się nie bała, wówczas pozwoliłaby mi na wszystko i nauczyła, jak się to robi.

Ale co z tego?

Prędzej czy później nasza miłość przeminęłaby, jak ona przeminęła i jak ja przeminę. (Niech się odpieprzy, przecież nie żyje.) Jej sprawa jest martwa. Gdyby nie odebrała sobie życia, byłaby teraz starsza ode mnie i prawdopodobnie okropna: tęga, pomarszczona, cierpiałaby na zaparcie, kamienie żółciowe, przypadłości klimakteryjne, miałyby guzy przy dużych palcach nóg, a ja najprawdopodobniej nie chciałbym jej widzieć. Wszystko przemija. (Dlatego wszystko można znieść.)

Pozostało jednak żywe wspomnienie (nie na długo. Cha, cha). Jej sprawa może być martwa, ale nie jest pogrzebana, pamiętam, jak napuszczała mnie na Marie Jencks, kiedy zrozumiała, że palę się i do tamtej. Ciągle myślałem o Marie na biurku w magazynie, odkąd dowiedziałem się o niej i Tomie. (Jadałem przy tym biurku kilka razy w tygodniu kanapki na lunch i czytałem sportowe wiadomości w gazetach nowojorskich „Daily News” i „Mirror”.) Pożądałem też Marie. Lecz nie wiedziałem, jak ją zdobyć.

— Połomotaj ją — droczyła się ze mną Virginia. — Zdobądź ją.

— Jak?

— Pogmeraj jej palcem.

— Wariatka.

— Złap ją za sutkę.



— Jesteś pomyłona.

Zdobyłem się tylko na to, aby obserwować Toma, chciałem podpatrzeć, jak on ją zdobywa, ale on akurat nic nie robił, aby ją zdobyć. Zajmował się tylko kaligrafią. (Był na tyle mądry, że czekał i nigdy się do niej nie zbliżał.) Całymi dniami spokojnie doskonalił swój charakter pisma siedząc koło mnie, taktownie i cierpliwie czekając, żeby wezwała go dzwonkiem lub telefonicznie albo też przez któregoś z pracowników (przez mnie, na przykład).

— Jesteś zajęty? — pytała.

— Nie.

— Weź klucz — nakazywała.

I schodzili do magazynu (gdzie w szafkach rozsypywały się w proch akta i teczki ofiar wypadków).

Virginia i ja prowadziliśmy ewidencję ich wyjść i powrotów (cha, cha). Marie byłaby naprawdę fantastyczną gratką dla młodego szczęściarza, gdyby ją poderwał (lub został poderwany przez nią), chociaż Virginia podobała mi się bardziej (i Tomowi też, jeśli o to idzie). Wydawała się dwa razy większa od Virginii, jakby miała cztery lub osiem razy więcej kobiecego ciała ta ogromna, sarkastyczna, często miła, malowana blondyna, która skończyła dwadzieścia osiem lat, miała męża, pracowała w Dziale Obrażeń Cieleśnych, opiekowała się biednym, poczciwym Lewitem (który chorował ciężko na nerki, cierpiał na poważne komplikacje wynikające z tej choroby i prawdopodobnie wcale nie chciał się rozwodzić ze swoją biedną, poczciwą żoneczką, z którą był żonaty przez całe życie i do której zapewne był jeszcze bardzo przywiązany) i z całych sił starała się ułatwić mu pracę. Była żoną księgowego ze słabym sercem (osłabionym zapewne przez nią), bez żenady zagarniała Toma, kiedy miała ochotę zapędzić go do rypania w magazynie albo po biurze w mieszkaniu swej rozwiedzionej przyjaciółki, nakazywała mu to równie apodyktycznym tonem, jakim wzywała go do siebie i kazała odłożyć jakieś akta.

(Tom nigdy nie wiedział, po co go wzywa, ale ochoczo godził się na ziarna i plewy.)

Tom przejawiał inicjatywę w stosunku do niej tylko wchodząc do jej gabinetu, jak gdyby w poszukiwaniu jakiejś teczki. Doskonale wiedziała, czego on szuka. Kiedy marszczyła brwi, on natychmiast wychodził, jak gdyby mu szło tylko o teczkę. Lecz czasem reagowała tak, jak się spodziewał: uśmiechała się sucho, krzywiła niemal, rzucając pytanie:

— Chciałeś czegoś?  
 — Tak.  
 — Weź klucz.  
 I szli do magazynu.  
 — Nie jestem nawet pewien, czy ona mnie lubi — zwierzał mi się kiedyś obojętnie Tom, wkładając znacznie więcej serca w duże litery P i Q, które akurat kaligrafował, niż w to, co mówił. — Ale wiem na pewno, że lubi to robić ze mną.  
 Zastanawiałem się, czy lubiłaby to robić ze mną.  
 Więc spróbowałem ją uwieść. (I spudłowałem.) Próbowałem mu ją ukraść — nie ukraść właściwie, ale urwać dla siebie cząstkę tej seksownej, goniącej się, oszalamiającej, przewspa-niałej, zmysłowej, zameżnej blondyny — istnego wikinga w spódnicy (która naprawdę była chudą jak deska, zbyt wysoką brunetką szkocko-irlandzkiego pochodzenia z Buffalo i miała tłustą cerę z szerokimi porami). Nic nie wskórałem. Virginia hecowała mnie koszmarnymi radami:  
 — Idź, wyłomotaj ją na chybcika. Ona aż się trzęsie z pragnienia. Kobieta to widzi. Idź do jej gabinetu i zabierz się do niej.  
 — Jak?  
 — Świetnie ci to zrobi.  
 — Ale jak?  
 — Powiedz jej.  
 — Co?  
 — O co ci chodzi. Nie owijaj nic w bawełnę. To najlepszy sposób.  
 — Akurat.  
 — Złap ją za sutkę. Wsuń jej łapę pod spódnicę...  
 — Zamorduje mnie.  
 — Nie bój się. Patrz, Lewis wyszedł. Idź do niej i powiedz, że postanowiłeś ją wyciąchać.  
 — Każe mnie zamknąć.  
 — Zakocha się w tobie. Zwalisz ją z nóg.  
 — Rozwali mi łeb i wsadzi do ciupy.  
 — Nie będzie mogła ci się oprzeć. Jesteś przystojniejszy niż Tommy. I miłszy. Masz ładne, kędzierzawe włosy.  
 — Poskarży się Lewisowi albo pani Yerger i wyleją mnie.  
 — Podniesie bez gadania spódnicę, rozłoży ramiona i nogi i zaśpiewa: Oooooo, chodź, kochanie, wyciąchaj mnie, jak zrobiłeś to w sobotę wieczór, sobo...  
 — Ty lepiej podnies spódnicę i zaśpiewaj to, jeśli uważasz,

że nikt mi się nie oprze — odgryzłem się. — Chciałbym i ciebie wyciachać.

— Zabierz mnie do hotelu.

— Ona to robi na biurku w magazynie.

— Ona ma wielkie, tłuste dupsko.

— Ty też.

— Lubię cię, najdroższy. — Virginia spojrzała mi prosto w oczy. (Omal nie upadłem ze zdumienia.) — Ogromnie. Naprawdę. Mówię poważnie, mimo że się uśmiecham.

Byłem tak ogłuszony, że niemal odebrało mi mowę.

— O czym ty mówisz? — szepnąłem namiętnie.

— Szkoda, że nie jesteśmy starsi — powiedziała smętnie, jakby była bliska rozpacz. — Wielka szkoda. Wiesz, co bym chciała? Chciałabym, abyś był na tyle dorosły, żebyś mógł mnie pociupciać.

Byłem wstrząśnięty i przerażony, bardzo zły na nią, że wprawiła mnie w takie zakłopotanie.

— Dlaczego tak brzydko się wyrażasz? — spytałem oburzony, okropnie się przeląknęłam, że zaczyna się dziać coś nieodwołalnego, coś, czego nie rozumiem i z czym sobie nie dam rady. — Dlaczego mówisz mi teraz takie rzeczy? I to w biurze?

— Bo gdyby ktoś to usłyszał, i tak by w to nie uwierzył — ciągnęła Virginia nie zniżając głosu i zachowując wesoły, nie winny wyraz twarzy. — Ty też nie wierzysz. Nikt w tym pokoju nie wzięby moich słów poważnie, choćbym mówiła coraz głośniej, zaczęła nawet krzyczeć — powiedziała bardzo głośno, prawie krzycząc, podczas gdy wszyscy przyglądali się nam rozbawieni. — Kocham cię, Bobby Slocum! — zawołała.

(No i musiała pójść i odebrać sobie życie! Dlaczego? Nie pracowała już w tym zakładzie, gdyż odebrała sobie życie niedługo po zakończeniu wojny i nie można już było jej zatrudnić.)

— Jesteś niemożliwa — wybełkotałem ze sztucznym uśmiechem.

— Widzisz? — powiedziała normalnym tonem, kiedy wszyscy zabrali się znów do roboty. — Nikt mi nie wierzy. Nawet i ty, prawda?

— Czego chcesz? — pytałem błagalnie, oszołomiony. — Co mam zrobić? Słuchaj, dziewico-na-krótka, mam tylko siedem naście lat. I mam pietra. Nie wiem, co by się stało.

— Nie miej pietra — powiedziała łagodnie, z nutką czulej troski i sympatii. — Wkrótce będziemy sami w hotelu i zrobię ci coś, czego żadna dziewczyna ci nie robiła. Obiecuję. —

(Nigdy nie byliśmy sami w hotelu. Niedawno w Nowym Orleanie kurwa z nocnego lokalu obiecała mi to samo dokładnie tymi samymi słowami, a potem kiedy przyszła do mnie do pokoju, nie zrobiła nic nowego.) — Teraz idź, zdobądź Marie.

— Pani Yerger patrzy na nas — powiedziałem.

— Nie lubi mnie — zauważyła Virginia.

— Ani mnie.

— Nie lubi mnie, bo żartuję ze wszystkimi. Szczególnie z tobą.

— Muszę udawać, że coś robię.

— Dam ci robotę — wypisała numer teczki na arkuszu papieru. — Poszukaj mi tej teczki — rozkazała. — To duża sprawa o szkody materialne i obrażenia cielesne trzech osób. Jest pewnie u Marie — dodała figlarnie.

— Słucham, panno Markowitz — powiedziałem głośno, żeby pani Yerger usłyszała, i szybko wyszedłem.

— Och, Bobby! — przywołała mnie ruchem ręki, z poważnym wyrazem twarzy. I pouczyła mnie cicho: — Pamiętaj. Złap ją za sutkę.

Więc podhecowany przez Virginie zabrałem się do zdobywania Marie Jencks. I to tylko tak, jak umiałem — mianowicie pętałem się koło niej. Kiedy Lewis wychodził z biura i widziałem, że ona jest sama, wchodziłem do jej gabinetu i guzdrałem się tam przez parę minut. Ciągłe kręciłem się koło niej, chcąc zwrócić na siebie uwagę, udawałem, że szukam akt, i łudziłem się, że ona spojrzy na mnie, dozna olśniewającego objawienia, zauważy, jakie to ja mam ciemne kędzierzawe włosy, stwierdzi, że jestem znacznie przystojniejszy i miłszy od Toma Johnsona, i spyta mnie, jak pytała jego:

— Jesteś zajęty? Idź po klucz.

Nic takiego nie zdarzyło się nawet w przybliżeniu. Wszystko, czego się doczekałem, to tylko:

— Zamierzasz tkwić tu do końca życia? — Lub: — Dlaczego wytrzeszczasz na mnie bez przerwy czy jak wół na malowane wrota? — Lub chytrze (doskonale wiedziała, o co mi chodzi, ta przebiegła wiedźma): — Szukasz tu czego? — Lub najbardziej obelżywie: — Idź już. Przyślij mi Toma.

I Tom schodził z nią do magazynu, zostawiał kaligrafię i mnie w kącie, żebym ćwiczył sam, doskonaląc jego charakter pisma, którym posługuję się do tej pory. (Ciekaw jestem, kto się posługuje Marie?) Tom liczył na to, że go wybronię, gdyby pani Yerger albo kto inny go wzywał. I wybrańiałem.

— Tom.

Cisza.

— Tom.

W dalszym ciągu cisza.

— Gdzie się podziewa ten chłopak?

(W magazynie, pani Yerger, rypie Marie na biurku — odpowiadałem w myśli.)

Przyznaję, że nie mogłem się skupić na jego literach, kiedy wiedziałem, że jest z nią w magazynie, moja wyobraźnia podążała tam za nimi (i bardziej niż wypisywać litery miałem ochotę rysować ich w sprośnych pozycjach). Ten magazyn, to ponure, głuche, zakurzone mauzoleum martwych, butwiejących spraw, przeobraził się w dość gorące miejsce schadzek. Czasem jakiś urzędnik schodził tam, aby naprawdę poszukać starych akt jakiegoś wypadku, i omal nie wpadał na mnie czy Toma, stając się sprawcą nowego wypadku. Magazyn znajdował się Opiętro niżej od biura, ale zejście z dwu kondygnacji schodów do tego zakurzonego pomieszczenia było jak wymknięcie się z dręczącego przesłuchania do ciemnego, chłodnego i miłego podziemnego świata, jak ucieczka w bezpieczną, uspokajającą pustkę głębokiej piwnicy lub zagraconej drewnianej szopy. Bardzo lubiłem tam schodzić, choćby tylko po to, aby zjeść w samotności śniadanie, przeczytać „Mirror” i „Daily News” lub wymknąć się na papierosa bez pośpiechu rano czy po południu i rozmyślać nad szansami tej czy innej drużyny w międzyuczelnianym meczu piłki nożnej w nadchodzącą sobotę albo nad tym, co czeka mnie, moją matkę i moje rodzeństwo. (Brat nie żyje, serce zaatakowało go z nienacka pewnego dnia w po czekalni jego własnego przedsiębiorstwa i po kilku sekundach już to miał z głowy. Matka również nie żyje. Siostra mieszka bardzo daleko. Czasem rozmawiamy telefonicznie.) Wyobrażam sobie, że pani Yerger, która wszystko wiedziała, przewie trzymała ten magazyn jak się patrzy, kiedy Virginia, Tom, Marie i ja odeszliśmy z tego zakładu.

Pamiętam, że raz omal nie doszło w tym magazynie do gwałtu w czasie przerwy na lunch, kiedy Virginia znalazła się tam w pułapce ze mną i jeszcze dwoma chłopakami, starszymi ode mnie, którzy też pracowali w Dziale Ewidencji. Nie chcieli jej wypuścić. Posunęła się z nimi za daleko, pozwalała sobie na zbyt śmiałe żarty i przechwałki, więc nie chcieli jej wypuścić, dopóki nie „zajmie się” nami wszystkimi. Szybko zrzędała jej mina. Gadaliśmy na siłę i żartowali, jak gdyby nic niezwykłego

się nie działo. Jeden z chłopaków objął ją z tyłu, niby to żartobliwie przyciskał do siebie, w rzeczywistości obezwładniał ją i próbował położyć na podłodze, podczas gdy drugi majstrował pod jej spódnicą, chcąc odpiąć podwiązki i ściągnąć z niej majtki. Patrzyłem przerażony, czekając, co będzie dalej. Wszyscy dyszeliliśmy jak zziązani (nawet ja, który byłem tylko widzem). Uśmiechaliśmy się z przymusem, śmialiśmy się pas-kudnie, z determinacją, ochryple, kiedy przestawaliśmy gadać, starając się jak najdłużej utrzymać pozory, że to tylko żarty. Ponad wszelką wątpliwość nie były to żarty. Po kilku sekundach Virginia wpadła w panikę. Zbladła jak kreta, policzki jej drżały, kiedy próbowała się wyrwać. (Jak żyję, nie mogłem znieść widoku przerażonych ludzi, choćbym ich nienawidził.) Oczy jej spoczęły na mnie z bezsłownym przerażeniem i błaganie. Więc ruszyłem do ataku i pomogłem jej się wyrwać. Ja też byłem przerażony, kiedy stawiałem czoło dwóm starszym chłopakom i kazałem im, aby ją puścili.

— Puśćcie ją — powiedziałem niepewnie.

— Ona chce ciebie — wtrącił jeden z nich.

— Puśćcie ją! — wrzasnąłem z zaciśniętymi pięściami.

Kiedy uciekła, pokiwali głową z niedowierzaniem i pogardą, nazwali mnie durniem, który pozwolił jej odejść, kiedy tak mało brakowało, aby dała nam wszystkim.

Czy faktycznie byłem durniem?

(Wiem, że kiedy wróciliśmy na górę, ona z powrotem była pogodna i wesoła i wcale nie pałała wdzięcznością do mnie, co uważałbym za rzecz samo przez się zrozumiałą. I wcale nie była zła na tamtych. Żartowała i flirtowała z nimi jak dawniej, okazując im pochlebny szacunek, jak gdyby miała o nich teraz o wiele lepsze wyobrażenie. Nie mogłem tego zrozumieć. I w dalszym ciągu nie mogę. Ciekaw jednak jestem, jak wyglądałyby sprawy między mną i Virginią, gdybym wówczas milczał i razem z tamtymi zmusił ją do kapitulacji. Czy miałaby lepsze wyobrażenie i o mnie? Czy to możliwe? Ale czy miałaby? Twierdziła, że na swoim nagrobku chciałaby mieć taki napis:

„Tu spoczywa Virginia Markowitz. Choć Żydówka, była świetną dupą.”

Załóżę się, że na jej nagrobku nie ma takiego napisu.)

Załóżę się, że byłem durniem.

(Wiem, że jej nigdy nie wyrpałem. A powinienem był. Myślę, że chciałem. Chciałbym ją wyrpać teraz. Żałuję, że

odebrała sobie życie, że nie mogę do niej zatelefonować i przepaść się z nią, że nie mogę jej powiedzieć, jak bardzo ją kocham i jak wiele zawsze dla mnie znaczyła. Rad jestem, że nie żyje, bo nie jestem pewien, czy chciałbym ją teraz. Sam nie wiem, czego chcę.)

Wiem, że z większą nadzieją patrzyłem w swoją przyszłość dzięki Virginii, Tomowi i Marie Jencks. Dodawała mi otuchy świadomość, że tyle osób się rąbie, że to taka powszechna rzecz. Była to dobra wróżba. Tom miał dwadzieścia jeden lat i zdobył ogromną blondynę, mężatkę, która kończyła dwadzieścia osiem lat i pozwalała mu żyć z sobą. Uważałem, że kiedy i ja skończę dwadzieścia jeden lat, również zdobędę ogromną blondynę, mężatkę dwudziestoosmioletnią, która pozwoli mi mieć z sobą stosunek na biurku. Myślałem, że takie kobiety zjawiają się automatycznie.

Nic podobnego oczywiście się nie zdarzyło.

Nie zdobyłem żadnej Marie Jencks, kiedy skończyłem dwadzieścia jeden lat. Zdobyłem tylko prawo do głosowania. A kiedy w końcu zacząłem łomotać dwudziestoosmioletnią kobietę, była nią moja żona, ja zaś miałem trzydzieści dwa lata i byłem mężem tej kobiety, a przecież nie o tym marzyłem.

Kiedy mam do czynienia z dwudziestoosmioletnią kobietą teraz, okazuje się, że to nie jest kobieta, tylko dziewczyna, często wręcz dziewczynka; bywa niezamężna i nieszczęśliwa albo zamężna i samotna. I wcale nie czuję tego, co czułbym mając taką jako siedemnastolatek. Czasem jest to rzecz przyjemna, czasem smutna, przyjemność nie trwa długo, zamienia się w smutek (i niewygodę, przynajmniej dla mnie. Często gotowe są przywiązać się do mnie bardziej, niżbym chciał. Duszę się w bliskich związkach.) W takich związkach panuje zazwyczaj atmosfera pijaństwa (moja wina zapewne, bo lubię wypić i namówić kobiety, aby coś wypily), zagubienia i wynaturzenia (może obie strony są temu winne). Lubią dużo mówić i słuchać, uwielbiają poważne rozmowy. (Najbardziej chyba pragną, aby z nimi rozmawiano.) Znam jedną, dwie, trzy dziewczyny, które dobiegają trzydziestki i z którymi jestem w wielkiej przyjaźni, żadnej nie widuję zbyt często, bo nasze randki są monotonne (dla mnie przynajmniej) i szybko mnie nudzą. Poznają mnóstwo młodych dziewcząt, które bardzo mnie pociągają, przez krótki czas wydaje mi się, że mógłbym kochać taką wiernie do końca życia, cóż kiedy z góry wiem,

jak szybko mi się znudzi. Kubanka, z którą byłem dziś po południu, miała dwadzieścia sześć czy osiem lat i myśląc o niej w tej chwili, widzę, że nie była taka zła. I wcale nie była szpetna. Byłaby wspaniałą zdobyczą, gdybym miał siedemnaście lat i wiedział, że w każdej chwili mogą ją mieć za darmo. Miała dziecko, które ktoś tam wychowywał. Chciała zaoszczędzić dość pieniędzy, aby móc kiedyś zabrać dziecko do siebie i założyć sieć salonów piękności.

— Podrażnić cię? — spytała łagodnie. A kiedy skinąłem głową, dodała: — Kto by nie chciał?

Kiedy myślę o niej w tej chwili, widzę, że wcale nie była taka zła.

Pojęcia nie mam, co się stało z Tomem (może poległ, zresztą jest mi to obojętne), pozostawił mi w spadku swój charakter pisma, którym ciągle się posługuję w biurze czy w domu. Nie wiem, co się stało z Marie Jencks. Nie wiem nawet jeszcze, co się stało ze mną.

Czuję, że pani Yerger wciąż tam pracuje. (Nazwisko może ma inne, ale osobowość jest niezniszczalna.) Panie Yerger wychodzą cało z każdej opresji, nie bywają szalone lub nieoastrożne, to samo odnosi się do ponurych panów Yergerów, jeśli tacy istnieją (panie Yerger ich nie potrzebują), są identyczni jak ich małżonki, różnią się jedynie płcią i ubiorem. Panie Yerger zostają nie tylko szefami działów ewidencji, lecz burmistrzami, dyrektorkami szkół, dziekanami na wyższych uczelniach, majorami, sędziami, pełnomocnikami rządu, pułkownikami, członkami komisji poborowej, dygnitarzami Legionu Amerykańskiego, prokuratorami generalnymi, prezydentami Stanów Zjednoczonych Ameryki i menedżerami pomniejszych działów w koncernach w rodzaju mojego. Podobnie jak Green, Black i White w moim biurze, grałem czasem rolę tyrana wobec moich podwładnych i często gram tę rolę w domu wobec rodziny, chwilami nawet wobec mego syna idioty, który też nie rozumie, co się dzieje.

(— Jak możesz go tak nazywać?! — krzyczy bardzo poirytowana żona. — Jak możesz mówić o nim w ten sposób? Przecież to twoja własna krew!



— Zgodnie z definicją — mówię zimno — idiota to ktoś, kto nie potrafi przekroczyć rozwoju umysłowego trzy- lub czteroletniego dziecka, choćby był moją krwią.)

Na chwilę przestaję kuleć jak Kagle, zachodzę żonę od tyłu, bacznie obserwuję ją kątem oka, aby wypenetrować, jak bacznie ona obserwuje mnie (też kątem oka). Nie włożyła pasa elastycznego (co normalnie oznacza, że jest w dobrym humorze). Nasza obecna czarna służąca ze spadzistymi ramionami zaszyła się w kącie dużej kuchni i bezszelestnie krząta się koło czarnej drewnianej miski na sałatę, którą kupiliśmy od innej czarnej kobiety ze spadzistymi ramionami podczas wakacji na Jamajce. Boi się mnie (chyba, a ja się boję jej). Żona stoi przy kuchence, dolewa czerwonego wina do rondla z ciemnym mięsem i miesza potrawę, może to kurze wątróbki lub wołowina. Butelka jest półpusta (lub półpełna, cha, cha). Bardzo ostrożnie przechodzę za plecami żony, biorę szklanekę, wkładam do niej kostki lodu (choć mam ochotę krzyknąć: *Ole*, myśląc o mojej Kubance), staram się przypomnieć sobie, w jakim nastroju rozstałem się dziś rano z żoną lub poszedłem spać wczoraj, aby się zorientować, czy ona jeszcze gniewa się na mnie za coś, co powiedziałem, czego nie powiedziałem lub zrobiłem i o czym na śmierć zapomniałem.

Czy jest na mnie zła, czy zadowolona? Nie mogę sobie przypomnieć. Nie wiem. Więc jestem ostrożny. Pochyliam się ku niej trzymając krakersa z sardelą i widzę nagle, że nie jest ani zła, ani zadowolona. Wszystko jej jedno, czy rozstaliśmy się rano dobrze, czy źle, bo i ona zapomniała.

Znów sobie gołnęła, z jej smutnego, niepewnego wyrazu twarzy wyczytuję, że i ona stara się przypomnieć sobie, czy jesteśmy dziś przyjaciółmi. (Czy ja jestem zły, czy zadowolony?) Czeką na znak ode mnie. (Czy jestem na nią zły za coś, co powiedziała albo zrobiła nie tak, czy też zadowolony, że nic takiego nie zrobiła?) Nie rozumiem, dlaczego ona tak bardzo się mnie boi, skoro to ja się tak bardzo boję jej. Jest sztywna i czujna, już odczuwa skruchę (za co? Bóg to wie), napięta jak struna, miesza w parującym garnku i pociesza się, że nie gniewam się na nią za coś, co powiedziała, zrobiła, nie powiedziała lub nie zrobiła, bo nie może sobie przypomnieć. Już to samo doprowadza mnie prawie do śmiechu.

— Masz rację — mówię, aby rozładować atmosferę.

— W czym? —K  
— Że kuleję jak Kagle — robię krok ciagnąc aogę., Y»rf-  
Wypiliśmy parę głębszych.  
— Cieszę się, że wprawiły cię w dobry humor.  
Służąca słucha w napięciu, z odwróconym wzrokiem. Już spokojny podchodzę do żony i lekko całuję ją w policzek. Odwraca nieśmiało głowę, nie całkiem jeszcze pewna. Pachnie winem i drogimi perfumami.  
— Głodny? — pyta.  
— Będę. To dobrze wygląda.  
— Miejmy nadzieję, że będzie dobre.  
Służąca przesuwa się koło nas, idzie z salaterką do jadalni.  
— Jak się ta spisuje? — pytam.  
— Dobrze. Wypiłam trochę wina — dodaje żona szybko. — Potrzebowałam wina do kurzych wątróbek. Musiałam spróbować, czy jest dobre.  
— No i?  
— Dość dobre — uśmiecha się żona. — Chcesz trochę?  
— Wolę whisky.  
— A ja się napiję jeszcze wina.  
— Dzieci w porządku?  
— Tak.

Czuję, że dobrze się zaczęło i może spędzę w domu miły wieczór. Żona zachowuje się z pewną rezerwą (tym lepiej dla nas obojga). Dzieci (Bogu dzięki) nie obkoczyły mnie ze skargami i prośbami. Córka wisi przy telefonie w swoim pokoju. Syn ogląda telewizję w swoim. (Bardzo głośno nastawił telewizor, słycać go w kuchni.) Żadne z dzieci nie zareagowało na to, że wróciłem, że tatuś już jest (razi mnie trochę ta ich obojętność. Pies przywitałby mnie z większą miłością). Służąca robi wrażenie potulnej, jak przystało, nie wygląda na to, aby należała do czarnych buntowników. (Płacimy jej dobrze, traktujemy uprzejmie, na pewno jest mniej skrepowana w stosunku do mnie niż ja w stosunku do niej. Żenuje mnie trochę fakt, że mamy służbę.) Derek gdzieś się zawieruszył, nie widzę jego rozdziawionych ust, nie słyszę skamlania ani bełkotu, a pielęgniarka (lub guwernantka), jaką trzymamy dla niego, nie kręci się koło nas z oskarżającym spojrzeniem, jak gdybyśmy chcieli, żeby był taki. (W istocie rzeczy jej obowiązki nie polegają na pielęgnowaniu czy pilnowaniu go, lecz na trzymaniu się jak najdalej od nas razem z małym, choć nie wygląda obrzydliwie i nie naprzykrza się, bawi się spokojnie książką z obrazkami

i grą „Zrób to sam”.) Nikt mnie nie dręczy. Popijam whisky. Żona sączy wino.

— Co dziś robiłaś? — rzucam stereotypowe pytanie, nim ona zapyta mnie.

— Nic — wzrusza ramionami, przyznaje się w ten sposób ze skruchą, że zmarnowała jeszcze jeden dzień. — Siedziałam w domu. Robiłam zakupy. Odpoczywałam. Spałam.

— Był kto?

— Nie.

To dobrze, jeśli powiedziała prawdę, znaczy to, że piła tylko wino, i to małymi dawkami, bo wymiotuje, kiedy wypije za dużo wina. Chyba powiedziała prawdę, nie sądzę, aby się już nauczyła mnie okłamywać. (Nie umie flirtować ani mnie okłamywać.) Kiedy chce coś ukryć, milczy i modli się w duchu, abym o to nie spytał. (Jeśli pytam, zawsze powie prawdę, nie lubi kłamać.) Idę jej na rękę, nie dopytuję się, kiedy wyczuwam, że chce coś ukryć. Unikam tematów, których nie chciałaby poruszać, jak mi się zdaje. Ona zachowuje się tak samo w stosunku do mnie. (Wie chyba o mnie znacznie więcej, niż mówi.) Wobec tego rozmawiamy przeważnie o głupstwach i bardzo powściągliwie.

— Pójdę na razie przejrzeć pocztę — mówię i odchodzę ze szklanką whisky.

Odpowiada skinieniem głowy. Poklepuję ją delikatnie po tyłku. Jest zadowolona, wdzięczna, przyciska nie ściśnięte pasem pośladki do mojej dłoni, uśmiecha się lubieżnie, z rozkoszą, jest lekko wstawiona.

— Później? — pyta. — Mam nadzieję, że będziesz w na stroju.

— Znasz mnie — śmieję się.

Nie lubię jej widzieć w takim stanie. (Dawniej nie była taka.) Może nie kocham jej już, ale znam ją tyle lat i nie mam wcale ochoty krzyknąć: *Ole!*

Martwię się, że żona ostatnio pije po południu, a może wypija też parę kieliszków rano. Staram się nie mówić z nią o tym. To by ją upokorzyło, zaczęłaby się bać, że będę ją terroryzować i z tego powodu, a tego nie chcę. Na ogół mówi mi mimochodem, że wypila co nieco po południu: spotkała się z siostrą, zjadła lunch lub robiła zakupy z czyjąś żoną i przy okazji wypila koktajl lub podwójną whisky lub że spróbowała wina potrzebnego jej do jakiejś potrawy, jak powiedziała mi

dzisiaj. Czasem miałaby ochotę wypowiadać się z tego, jednakże zwleka zbyt długo i w końcu nie mówi, i mam wrażenie, że ona okropnie się boi, abym nie zauważył, że jest podpita, i nie zaczął jej ganić. (Moja żona boi się mnie, nie bardzo mi na tym zależy, ale to ułatwia życie.) Czasem bardzo mi jej żal.

Nigdy jeszcze nie upiła się w ciągu dnia (wstawia się na przyjęciach i dobrze się wówczas bawi, ale nie zdarza jej się to u nas w domu). Jest wspaniałą panią domu i nasze dzieci nigdy nie wspominały, żeby ją widziały pijącą w dzień, więc pije zapewne w ukryciu. Ale pamiętam, że dawniej w ogóle nie piła i nie flirtowała. (Nigdy nie przeklinała.) Ciągłe wierzy w Boga, prawie co niedziela chodzi do kościoła i namawia też mnie i dzieci, abyśmy poszli z nią. (Żadne z nas nie idzie. Czasem idę z nią i zabieram dzieci, kiedy chcę jej w tani sposób odplacić za jakąś uprzejmość. Nie przekonała się jeszcze całkiem do naszego nowego pastora, ja też nie.)

Uczy się używać wulgarnych słów (robi to tak nieśmiało jak pewne kobiety, które zaczynają w dojrzałym wieku uczyć się malarstwa, chodzić na kursy psychologii, historii sztuki lub twórczości Jeana Paula Sartre'a). Nie bardzo jej to wychodzi. Zanadto akcentuje słowa: „cholera” i „niech to diabli”, aczkolwiek „gówno” mówi już całkiem fachowo. Kiedy brzydko się wyraża przybierając zblazowaną i obojętną minę, nie wydaje się tak przekonująca jak inni ludzie z różnych warstw naszego społeczeństwa. Moja piętnastoletnia córka prześcignęła już matkę w wulgarnym słownictwie. Popisuje się przy nas sprostymi słowami, aby zaimponować inteligencją, czasem wulgarnie się odzywa do nas (szczególnie do matki), aby sprawdzić, jak daleko pozwolimy jej się posunąć. (Ja jej nie pozwalam na zbyt wiele.) Widzę, że i syn zbiera się na odwagę, aby poeksperymentować w domu z jakimś świńskim słówkiem. (Nie wie na pewno, co to znaczy „rznąć”, choć wie, że to brzydkie słowo. Myślał, że oznacza stosunek seksualny, wytłumaczyłem mu jednak, że na ogół wcale tego nie znaczy.)

Przypominam sobie z bólem, jaka była dawniej moja żona; kiedy sobie to uświadamiam, wiedząc, że chciałaby taką pozostać, a jednocześnie widząc, co się z nią dzieje, cierpię tak samo, jak cierpię patrząc na upadek osoby kiedyś drogiej (może nawet bliskiej), choćby to był tylko przygodny znajomy lub nawet ktoś obcy. (Człowiek dotknięty niedowładem twarzy głęboko mnie wzrusza, natomiast na widok innego rodzaju paraliżu twarzy lub nóg sztywnięję z obrzydzenia. Nie chcę

patrzeć na takie kalectwo. Nie lubię spotykać na ulicy ślepców, złości mnie ich ślepotą i to, że im się może coś stać, rozglądam się w panice, czy nie ma kogo w pobliżu, kto by się nimi zajął, żebym nie musiał przeprowadzić ich przez jezdnię lub pomóc im ominąć przeszkodę na chodniku, przez co ci biedacy wpadają w taki żalostny popłoch. Nie chcę nic wiedzieć o podobnym nieszczęściu, nie uznaję takiej rzeczywistości, spycham ją na samo dno nieświadomości i absolutnie nie dopuszczam jej do głosu. Niech się ta zhora wyładuje w złych snach, jeśli inaczej być nie może. I tak zapominam te koszmary zaraz po przebudzeniu.) Nasza maszynistka, Martha, nieładna młoda dziewczyna z brzydką cerą, zagrożona chorobą psychiczną, jest dla mnie całkiem obcą osobą i była już porządnie stuknięta, kiedy Wydział Personalny nam ją przysłał (aby całkiem u nas zbykowała). Ja za to nie odpowiadam, nie znam dziewczyny, nie znam jej matki w stanie Iowa, która powtórnie wyszła za mąż i nie chce wziąć córki do siebie; nie znam jej ojca (jeśli ma takowego) ani nikogo innego na świecie, dla kogo powinna być bliską osobą, ale na myśl o tym, że dostaje obłądu, serce by mi pękło, gdybym do tego dopuścił. Nic nie mówię jej o tym, co czuję (lub mógłbym czuć). Ale zawsze zwracam się do niej uprzejmie. Postępuję z nią ostrożnie. Staram się nie okazać, że się przejmuję jej stanem (mogłaby zwrócić się do mnie o pomoc, gdyby wiedziała, że ja wiem, co się święci), po prostu nie pozwalam sobie na współczucie. Staram się nie okazać, że wiem. (Ona sama może nie wie jeszcze.) Prawdopodobnie bardzo by się martwiła wiedząc, że wszyscy wiedzą o jej stanie.

Więc nic nie mówię do Marthy i nic nie mówię do żony — powodowany chamską mieszaniną współczucia i egoizmu w stosunku do jednej i drugiej — o jej nadmiernym picciu, flirtowaniu i brzydkich słowach, tak jak nic nie powiedziałem matce, kiedy dostała pierwszego wylewu, i nic nie mówię znajomym, u których dostrzegam pierwsze oznaki nieodwracalnego fizycznego rozkładu, zbliżającego się kalectwa lub śmierci. (Szybko spisuję takich na straty. Stają się martwymi sprawami w mojej kartotece na długo przed swoim odejściem, przy pierwszych oznakach końca.) Nikomu nic nie mówię o złych rzeczach, kiedy widzę, że i tak nie ma na nie rady. Słowa nie powiedziałem matce o jej wylewie, aczkolwiek byłem przy niej, kiedy to się stało, i musiałem w końcu zatelefonować po lekarza. Nie chciałem, żeby wiedziała, co ją spotkało, a kiedy się dowiedziała, nie chciałem, żeby wiedziała, że i ja wiem.

Udawałem, że nic nie widzę, kiedy język nagle stanął jej kołkiem akurat podczas moich cotygodniowych odwiedzin w jej samotnym mieszkaniu. Bełkotała wciąż jedną zgłoskę, charczała. Opanowałem zdumienie, stłumiłem niepokój. Zamilkła w trakcie tego pierwszego ataku ze zdziwieniem, prawie figlarnym spojrzeniem, uśmiechnęła się leciutko, jakby przeproszała, i ponownie spróbowała dokończyć to, co mówiła. Z tym samym skutkiem. Za każdym razem. Potem jakby dała sobie spokój, jakby wiedziała, że nic z tego, że za późno. Poza tym czuła się dobrze. Przytaknęła jednak, kiedy zaproponowałem, że wezwę lekarza, a gdy telefonowałem, biedna staruszka usiadła zrezygnowana, wzruszyła ramionami z wyrazem upokorzenia w zamglonych osłupiałych oczach. (Była wystraszona i zawstydzona.)

Lekarz cierpliwie wyjaśnił, że to pewnie nie jest skrzep, a tylko skurcz (twierdził, że nie ma udarów, są tylko krwotoki, skrzepy i skurcze) w małym naczyniu w jej mózgu. (Gdyby uszkodzone naczynie było duże, miałyby sparaliżowaną połowę ciała, a może też utraciłaby pamięć.) Jednakże do śmierci nie odzyskała mowy, choć próbowała coś powiedzieć, zapominając o swoim kalectwie (z przyzwyczajenia przypuszczalnie, nie dlatego, że spodziewała się, że zdoła coś wyjąkać), dopóki nie dostała następnego skurczu (czy udaru) i nie dała za wygraną. Odwiedziłem ją w lecznicy (której nie cierpiała), ja mówiłem, ona słuchała, pokazywała na migi, czego chce, wstawała z fotela czy łóżka (dopóki mogła ustać na nogach) i sama szła po daną rzecz. Czasem bazgrała jakąś prośbę na kawałku papieru. Nigdy nie mówiłem z nią o jej chorobie ani o żadnej z coraz liczniejszych dolegliwości, które bezlitośnie jej dokuczały (zwłaszcza artretyzm oraz fizyczne i duchowe lenistwo, które w końcu przemieniły się w chorobliwą apatię), kiedy siedziałem przy niej w lecznicy i gadałem o rzeczach miłych, łamiąc sobie głowę, co by tu jeszcze powiedzieć o sobie, żonie i dzieciach, i moim stanowisku, co by ją ucieszyło. Nie dowiedziała się nigdy, że Derek urodził się z poważnie uszkodzonym mózgiem, aczkolwiek wiedziała, że przyszedł na świat. Mówiłem jej stale, że dzieciak doskonale się miewa. (Mówiłem, że wszyscy doskonale się miewamy.) Sami nie wiedzieliśmy o nieszczęściu Dereka, dowiedzieliśmy się, kiedy miał już parę lat i nic już nie można było poradzić — już go przecież mieliśmy, już się przydarzył. (Teraz chętnie bym się go pozbył, choć nie mam odwagi powiedzieć tego wprost. Podejrzewam, że wszyscy w rodzinie myślimy tak samo. Z wyjątkiem może mojego

drugiego syna, który zapewne myśli, że gdybyśmy się pozbyli Dereka, moglibyśmy pozbyć się i jego, więc martwi się na zapas, że knujemy coś takiego. Obserwuje nas, notuje w pamięci nasz stosunek do małego, jak gdyby chciał zobaczyć, jak my się go w końcu pozbędziemy, bo czuje, że prędzej czy później będziemy musieli pozbyć się debila.)

Ani moje gadanie, ani odwiedziny nic matce nie pomogły. Udawałem zarówno dla własnej, jak i jej wygody (dla własnej bardziej niż jej), że wcale nie jest poważnie chora, nie znajduje się w lecznicy, której nie cierpi, nie jest kaleką, nie starzeje się i nie staje się coraz bardziej niedołączna. Nie chciałem, aby wiedziała, a przecież wiedziała przede mną (ja zaś wiedziałem, że ona wie), że powoli się kończy, etapami, że powoli i stopniowo traci władzę nad swoim ciałem i funkcjami organizmu. Przynosiłem jej jedzenie (które pod koniec życia, kiedy niemal całkowicie straciła pamięć i z największym trudem mogła sobie przypomnieć, kto ja jestem, i zaraz zapominała, łapała wyschniętymi palcami i pożerała prosto z papieru jak zagłodzone, wyschnięte, zamknięte w klatce białowłose zwierzątko — moja matka). Udawałem, że jest zdrowa jak rydz, i słowa nie mówiłem o jej stanie aż do dnia jej śmierci. Nic jej nie pomogłem (tylko przynosiłem jedzenie), jak nie pomagałem naszej maszynistce dostającej obłędu na moich oczach ani mojej żonie, żeby przestała pić, flirtować i żałośnie zgrywać się na wesołą i pełną życia.

(Przydarza mi się ostatnio, że kiedy w hotelu czy motelu walczę z bezsennością, miewam przywidzenia: osaczają mnie koszmarnie chmary gryzących pcheł czy pluskiew, jestem w położeniu bez wyjścia, bo okropnie się nimi brzydzę, ale nie mam dokąd pójść.) Nie chcę, aby żona zorientowała się kiedykolwiek, że za dużo pije na przyjęciach, że czasem bywa ordynarna i robi bardzo złe wrażenie, kiedy myśli, że robi dobre. Gdyby się zorientowała (gdyby zaczęła choćby się domyślać, jaka potrafi być niezdarna i przykra), załamałaby się (to by ją zniszczyło), a przecież i tak jest dość nieszczęśliwa.

W ciągu dnia w domu pije tylko wino, wieczorem przed lub po kolacji popija czasem whisky, jeśli i ja piję. Bywają wieczory, kiedy wcale nie pijemy. Jej właściwie whisky nie smakuje (choć rozsmakowała się w martinich z powodu otę-piająco-ożywczego rauszu, jaki miłosiernie i szybko wywołują) i pojęcia nie ma o przyrządzaniu koktajli. Na przyjęciach pije wszystko, co jej podają, zaraz po przyjściu, żeby jak najszybciej być pod gazem, potem pije ten sam napój przez

cały wieczór. Jeśli w danym dniu byliśmy dla siebie mili, ona czuje się bezpieczna, bawi się wesoło i przyjemnie ze mną i innymi, dopóki się nie zaleje (jeśli się zaleje), czasem wymiotuje, ale to nic strasznego, a przecież kiedyś była cicha, skromna, nieśmiała nawet, dystygowana, niemal pruderyjna, zawsze taktowna i dobrze wychowana.

Jeśli ma niedobry dzień, jeśli jest zła na mnie, córkę czy siebie samą, zaczyna agresywnie flirtować na przyjęciu. W ten sposób odstrasza mężczyznę (czy mężczyzn), z którym flirtuje (prawie zawsze uciekają od niej, zanim miałiby czas zareagować), bo jest niezdarna, zachowuje się wyzywająco i agresywnie i może wywołać awanturę, jeśli ja dość szybko nie przyjdę jej z pomocą. Ona zawsze flirtuje z mężczyzną, którego zna i z którym czuje się zupełnie bezpieczna (podejrzewam, że jej wcale nie idzie o flirt), wybiera sobie takiego, który dobrze się bawi i nikomu nie zawadza. (Może sądzi, że jej nie skrzywdzi.) Przykro mi na nią patrzeć w takich chwilach, nie chciałbym, żeby była nie lubiana.

Prowokuje faceta otwarcie, czasem przy jego żonie, mówi coś bez żenady lub zachęca go, niezdarnie głaszcząc go po łydce, jeśli facet akurat stoi, albo ściska wewnętrzną stronę jego uda, jeśli siedzi; następnie, nie czekając, aż mężczyzna zareaguje, staje się opryskliwa, złośliwa, traktuje delikwenta lekceważąco, jak gdyby tamten już ją odtrącił. Bardzo taktownie i szybko wtrącam się w takich wypadkach, nim stanie się coś nieprzyjemnego, zabieram ją elegancko, żartując i śmiejąc się. Nigdy nie robię jej wymówek (choć często jestem wściekły i wstyd mi za nią), staram się ją uspokoić, mówię coś miłego i pochlebnego. Chcę, aby była z siebie zadowolona. (Sam nie wiem dlaczego.)

— Jesteś po prostu zazdrosny — oskarża mnie, kiedy już ją zabrałem od faceta.

— Masz cholerną rację — mówię z wymuszonym uśmiechem i czasem dotykam jej przy tym w intymnym miejscu, aby dać dowód, że naprawdę jestem zazdrosny.

— To i dobrze — cieszy się ona.

Dawniej bywało nam z sobą o wiele lepiej niż teraz, nie sądzę jednak, aby tamte czasy miały wrócić.

Żona mówi, że zaraz będzie kolacja. Jestem w rozmownym nastroju (tyle razy, kiedy jestem na łonie rodziny, marzę o tym, aby być gdzie indziej), więc wspaniałomyślnie postanawiam



dziś wieczór (przynajmniej) postarać się wszystkich uszczęśliwić.

— Dobry wieczór — mówię do dzieci.

— Cześć — odpowiada córka.

— Cześć — mówi syn.

— Co się stało? — zwracam się do córki.

— Nic.

— Spojrzałaś na mnie z wściekłością.

— Wcale nie.

— Spojrzałaś.

— Powiedziałaś przecież: cześć — mówi złośliwie, zniżając głos, aby to brzmiało beztrzesko i niewinnie. — Co miałam zrobić według ciebie?

(Gównno, medytuję przygnębiony i smutny, co ją ugryzło, do cholery?)

— Jeśli coś się stało — dopytuję się tolerancyjnie (a pasja we mnie wzbiera) — to powiedz.

— Nic się nie stało — córka zgrzyta zębami.

— Chodźcie na kolację! — woła żona.

— Nie chcę kolacji — mówi syn.

— Co jej jest? — pytam głośno idąc z żoną do jadalni.

— Nic. Nie wiem. Nigdy nic nie wiem. Siadajmy. Spróbujmy raz przecież nie kłócić się. Spróbujmy choć raz zjeść posiłek bez kłótni, krzyków i złości. To chyba nie jest takie trudne?

— Bardzo bym się z tego cieszyła — mówi córka, mocno akcentując słowa, aby podkreślić, że kogoś to może nie będzie cieszyło (mnie). (Jeszcze nie spojrzała na mnie.)

— Zgadzam się — mówię.

— Nie chcę kolacji — mówi syn.

— Co to ma znaczyć? — pytam.

— Chcę dwie bułki z parówkami.

— Spróbuj przynajmniej — odzywa się żona.

— Co? — pyta córka.

— Nie możesz przez całe życie jadać bułek z parówkami.

— Dostaniesz swoje bułki, jeśli będziesz chciał — obiecuję synowi. — Dobrze?

— Dobrze.

— Dobrze? — zwracam się do żony. — Żadnych kłótni?

— Dobrze.

— Amen — zamykam z ulgą dyskusję.

— Co to znaczy? — pyta syn.

— *Ole* — mówię żartem.

— A to co znaczy? - < •

— Znaczą okej. Rozumiesz?

— Od kiedy? — wtrąca córka. . .

— *Ole* — mówi syn.

— Nic podobnego — córka mówi cichym, znudzonym, obojętnym tonem, nie podnosi oczu, stara się (wiem to) podtrzymać sprzeczkę. — *Ole* wcale nie znaczy okej.

— Gdybyś była w lepszym humorze — drocę się z nią — powiedziałabym, że uknęć ci łeb za takie gadanie.

— Jestem w doskonałym humorze, więc czemu nie mówisz, że mi uknęć łeb?

— Bo nie znasz się na żartach i pomyślałabyś, że naprawdę chcę cię skrzywdzić.

— Ha.

— Czy moglibyśmy choć raz zjeść w spokoju? — apeluje do nas żona. — Czy to takie trudne raz zjeść kolację w spokoju? Powiedzcie.

(Ja zgrzytam zębami.)

— Byłoby znacznie łatwiej — odpowiadam jej uprzejmie — gdybyś ciągle tego nie powtarzała.

— Przepraszam — mówi żona. — Przepraszam, że się urodziłam.

— Jezu!

— Właśnie. Wyzywaj.

— Nie powiedziałem tego w tym duchu — rzucam ostro (kłamie oczywiście, bo powiedziałem to jak wyzwisko). — Naprawdę. Słuchaj, postanowiliśmy przecież, że dziś nie będziemy się kłócić, tak?

— Ja na pewno — stwierdza córka.

— No, to nie kłóćmy się, dobrze?

— Przestań krzyczeć — dodaje córka.

— *Ole* — mówi syn i wszyscy się uśmiechamy.

(Nareszcie zgodnie coś postanowiliśmy.) A ponieważ chcemy rozładować atmosferę, czujemy się bardzo skrępowani. (Zaczynam żałować, że jestem w domu, choć lubię być z synem. Wolałbym być w tej chwili z którąś z trzech dziewcząt, które bardzo lubię i znam od dawna — Penny, Jill i Rosemary — albo z młodą plastyczką Jane, która na pewno zgodziłaby się zjeść ze mną kolację i wypić parę kieliszków, gdybym zadał sobie trud i zaprosił ją.) Siedzimy przy stole, jakbyśmy nabrali wody w usta, nikt z nas nie chce zaryzykować pierwszego słowa.

— Odmówimy modlitwę przed jedzeniem? — pytam żartem, aby było zabawnie.

— Modlitwę — podchwytuje syn.

To stary żart w naszej rodzinie, który bawi tylko syna, córka pogardliwie wydyma usta. Siedzi z tym pogardliwym grymasem na twarzy dość długo, abym ja go, broń Boże, nie przeoczył. Udamę, że nic nie widzę. Walczę z rosnącą we mnie irytacją (córka często uważa, że jestem dziecinny, wiem, i to mnie irytuje). Czuję w tej chwili gorzką chęć zwymyślenia jej, chciałbym ją strofować, uderzyć, zwymyślać, kopnąć pod stołem w nogę. Często mam ochotę zbić żonę czy dzieci, kiedy mi się zdaje, że mi ubliżają lub nabierają mnie. Kiedy widzę, że postępują niewłaściwie lub popełniają błąd, za który będę mógł ich skarcić, nie pomagam im, nie poprawiam, ale cieszę się, patrzę i czekam, co z tego wyniknie, jak gdybym w niesamowitym śnie patrzył na coś okropnego, i rozkoszuję się z góry chwilą, kiedy ich zjadę, nakrzyczę na nich, zażądam, żeby się wytłumaczyli i przeprosili mnie. Przeraza mnie to, jest tak, jak gdybym widział ich idących tyłem do otwartego okna lub urwistej skały nad przepaścią i nie ostrzegał ich, nie próbował ratować przed kalectwem czy śmiercią. To przewrotne uczucie, które staram się opanować. Tkwi i panoszy się we mnie gad, którego staram się trzymać w ukryciu, lecz który chce się wydostać na swobodę, a ja nie wiem, co to za gad lub kogo chce zniszczyć. Cały jest obrośnięty brodawkami. Może to ja sam, a może to coś chce zniszczyć (mnie) i udaje mi się zamaskować gniew łagodnym uśmiechem.

— Podaj mi chleb, kochanie — mówię.

Córka robi, co jej każe.

Żona siedzi naprzeciw mnie w górze (lub w dole) stołu, syn po mojej lewej, córka po prawej ręce. Służąca człapie tam i z powrotem, milcząco wnosi jedzenie z kuchni. Żona nakłada na talerze duże porcje, które nam podaje. Milczymy. Czujemy się skrepowani przy czarnych służących i nie możemy swobodnie rozmawiać. (Nie wiem nawet na pewno, jak obecna się nazywa, tak często się u nas zmieniają.)

— Sałata jest wyśmienita, Saro — mówi żona.

— Zrobiłam, jak pani kazała.

Czułbym się skrepowany, gdyby służące podawały półmiski każdemu z nas osobno (dzieci też czułyby się skrepowane), więc nie pozwalam na to (aczkolwiek myślę, że żona wolałaby zachować ten zwyczaj, bo tak się usługiwało w jej domu rodzinnym, kiedy była dzieckiem, tak się ciągle usługuje w dobrych

mieszkańskich domach w telewizji i filmach, a ona myśli, że tak się też usługuje w Buckingham Pałace lub Białym Domu). Czuję się skrępowany wszędzie, gdzie służące mi usługują, nawet bardziej w obcych domach (bo nigdy nie jestem pewien, ile jedzenia mam sobie nałożyć na talerz, nie umiem zręcznie manipulować widelcem i łyżką do nabierania potrawy podawanej z boku, boję się, że potrącę ramieniem półmisek z mięsem i jarzynami i wszystko spadnie na podłogę. Do tej pory jeszcze mi się to nie przydarzyło). Tak samo czuję się skrępowany z białymi (służącymi naturalnie, nie przyjaciółmi. Nie mam czarnych przyjaciół i pewnie nigdy ich mieć nie będę, choć ostatnio dostrzegam coraz więcej ładnych czarnych dziewcząt, na które mam chętkę. Są już pewnie dla mnie niedostępne, chyba że to Kubanki lub Portorykanki).<sup>1</sup> — To dobre — mówi żona. — Mam nadzieję, że będzie wam smakowało.

— Mnie nie — mówi syn.

— Dość tego — nakazuję mu.

— Okej — poddaje się szybko. Nie może znieść, żebym się na niego gniewał.

— Co to jest? — pyta córka.

— Wątróbki kurze z kluseczkami w sosie winnym, bardzo lubisz wołowinę w tym sosie. Będzie ci smakowało.

— Mnie nie — mamrocze syn.

— Spróbuj przynajmniej.

— Nie lubię wątróbki.

— To nie wątróbki. To kurczę.

— Kurze wątróbki.

— Spróbuj, proszę cię.

— Dobrze. A potem chcę bułki z parówkami.

— Proszę o mój talerz — mówi córka.

Oboje z żoną patrzymy wstrzymując oddech, jak córka ba-brze widelcem na talerzu z poważną miną, niemal ponuro, i przykłada mały kęs do ust.

— Dobrze — mówi bez zapału i zaczyna jeść.

Żona i ja oddychamy z ulgą.

(Córka jest trochę za wysoka i za ciężka, powinna jeść mało, ale żona, która jej ciągle przypomina, aby za dużo nie jadła, gotuje kluski i nakłada jej duże porcje na talerz, zresztą córka poprosi pewnie o repetę.)

— To świetne — mówię.

— Mogę teraz dostać parówki z bułką?

— Saro, zagrzej dwie parówki, *n*

— Mogę prosić o chleb?

Podaję córce chleb.

— Mam dobre wiadomości — zaczynam, wszyscy się odwracają, aby spojrzeć na mnie. Ciągłe jeszcze rozsada mnie radość (i pycha) po rozmowie z Baronem, w tej chwili kocham całą trójkę (przecież to moja rodzina, do której jestem przywiązany), więc chcę się z nimi podzielić swoją radością. — Wydaje mi się, że mam bardzo ważne wiadomości dla nas wszystkich.

Patrzą na mnie tak zaintrygowani, że muszę przerwać.

— Jakie? — pada pytanie.

— Po namyśle — ociągam się — widzę, że wcale nie są takie ważne. Tak, teraz to widzę. Nawet nie są ciekawe.

— To po co mówiłeś? — pyta córka.

— Żeby cię podręczyć — żartuję.

— Co to znaczy, do cholery? — powiada syn.

— Naprawdę masz jakieś wiadomości? — pyta żona.

— Może i mam — mówię wesoło — a może nie mam.

— Chce się z nami drażnić — szyderczo i z obrzydzeniem wyjaśnia córka bratu.

(Znów doprowadziła do tego, że jest mi głupio. I znów bierze mnie nagle gwałtowna ochota, aby ją skrzywdzić, zranić ją ostrą uwagą, wyciągnąć rękę przez stół i mocno uderzyć ją w policzek lub szyję, kopnąć ją mocno pod stołem w nogę. Ale stać mnie jedynie na to, aby puścić jej słowa mimo uszu i utrzymać pozory dobrego ojcowskiego humoru.)

— To czemu nam nie powiesz? — pyta żona. — Skoro to dobre wiadomości.

— Powiem. Idzie tylko o to — mówię i czuję wzbierającą we mnie chęć dręczenia ich i przekomarzania się z nimi, milknę, smaruję masłem kawałek chleba i odgryzam kasek — że będę chyba musiał zacząć znów grać w golfa.

Są zdziwieni, milczą niemal wyzywająco, każde z nich stara się jak najszybciej zgadnąć, co to za figiel i co chcę powiedzieć.

— W golfa? — pyta mój dziewięcioletni syn, który nie wie na pewno, czy to dobra, czy zła gra.

— Tak.

— Dlaczego w golfa? — dziwi się żona. (Wie, że nie cierpię golfa.)

— W golfa — powtarzam.

— Nie lubisz przecież grać w golfa.

— Nie cierpię. Ale może będę musiał grać.  
 — Dlaczego?  
 — Proponują mu pewnie lepsze stanowisko — zgaduje córka. (Pod wieloma względami jest najbystrzejsza i najbardziej przebiegła z nas wszystkich.)  
 — Czy to prawda? — pyta żona.  
 — Może.  
 — Jakie stanowisko? — pyta żona podejrzliwie, niemal ponuro. Podejrzewa od lat, że marzę o innej pracy, dzięki której mógłbym częściej przebywać poza domem.  
 — W sprzedaży.  
 — Sprzedaży czego? — chce wiedzieć syn.  
 — W sprzedaży sprzedawania.  
 Chłopak jest przez chwilę zakłopotany, oszołomiony zagadką mojej odpowiedzi. Domyśla się, że to miał być dowcip, i wybucha śmiechem. Oczy mu błyszczą, twarz jaśniej radością. (Wszyscy lubią mojego syna.)  
 — Poważnie? — żona patrzy na mnie badawczo. Nie wie, czy się cieszyć, czy nie.  
 — Chyba tak.  
 — Będiesz musiał więcej podróżować?  
 — Nie. Chyba mniej. i  
 — Zarobisz więcej pieniędzy? — pyta córka. f>  
 — Tak. Może znacznie więcej.  
 — Będziemy bogaci? , .  
 — Nie. li  
 — Czy w ogóle będziemy kiedy bogaci? - «  
 — Nie.  
 — Nie chcę, żebyś więcej podróżował — skarży się syn.  
 — Nie będę więcej podróżował — zapewniam go z cieniem irytacji. — Będę podróżował mniej. — (Żałuję, że poruszyłem ten temat. Pytania padają za szybko, nie jestem już zadowolony z siebie, natomiast cała armia irytujących mnie spraw mobilizuje się zbyt szybko, abym mógł się z nimi uporać. Zaczynam się lekko jąkać.)  
 — Znów zaczniesz mówić do siebie? — syn nie może się oprzeć pokusie, żeby mi dokuczyć.  
 — Nie mówiłem do siebie — odpowiadam ostro.  
 — Mówiłeś — szepce córka.  
 — Jak w zeszłym roku — upiera się syn.  
 — Nie mówiłem do siebie — podnoszę głos. — Powtarzałem sobie przemówienie.

— Powtarzałeś samemu sobie — wyjaśnia syn.  
 — Pozwolą ci w tym roku wygłosić przemówienie? — wtrąca córka. — Na zjeździe?  
 — O, tak — mówię z uśmiechem.  
 — Długie przemówienie?  
 — Tak. Z całą pewnością. W tym roku na zjeździe pozwolą mi wygłosić takie długie przemówienie, jakie zechcę.  
 — Czy Kagle będzie twoim szefem? — pyta żona.  
 To pytanie odbiera mi mowę.  
 — Coś w tym guście — jąkam wymijająco. (Nie bawi mnie już ta gra w ciuciubabkę z rodziną, żałuję, że ją zacząłem.) Śmieję się nerwowo. — To jeszcze nic pewnego. I jeszcze nie zaraz. Może nie powinienem był wspominać o tym.  
 — Cieszę się, że Kagle będzie twoim szefem — dodaje żona. — Nie lubię Greena.  
 — Nie powiedziałem, że Kagle będzie moim szefem.  
 — Nie ufam Greenowi.  
 — Nie słyszałaś, co powiedziałem?  
 — Dlaczego naskakujesz na mnie?  
 — Nie chcę, żebyś był komiwojażerem — wybucha córka prawie ze łzami w oczach. — Nie chcę, żebyś chodził do ojców moich kolegów i błagał ich, aby coś od ciebie kupili.  
 — Nie będę komiwojażerem — odpowiadam niecierpliwie. — Dlaczego tak się tym przejmujecie? Nie mam jeszcze tego stanowiska. I nie jestem pewien, czy je przyjmę.  
 — Nie musisz na nią krzyczeć — wtrąca żona.  
 — Nie krzyczę.  
 — Krzyczysz. Nie słyszysz siebie?  
 — Przepraszam, jeśli krzyczałem.  
 — I nie musisz na każdego naskakiwać.  
 — Przepraszam też, jeśli naskakiwałem.  
 Tym razem żona ma rację. Nieświadomie z euforii i zarozumiałstwa wpadłem w zły humor, a w miarę narastania we mnie złości, nieświadomie podnosiłem głos i znów krzyczałem. Milczymy. Dzieci siedzą ze spuszczoneymi oczami. Są zbyt przestraszone, aby się wiercić. Moja wina. Boli mnie czoło (z napięcia, zanosi się na ból głowy). Czuję się otepiały ze wstydu. Jestem bezradny i niepewny. Chciałbym, aby któreś z nich się odezwało, miałbym zaczepienie, wskazówkę, jak ich przeprosić bez wielkiego bólu. (Czuję się zagubiony.) Ale nikt nic nie mówi.  
 Wpadam na ożywczy pomysł. Zwracam się nagle do syna z wyciągniętym wskazującym palcem:

— Jesteś w furii czy euforii?  
— Euforii! — zaśmiewa się zachwycony, zrozumiał, że żartuję i już nie jestem zły.  
Wyciągam wskazujący palec w stronę córki.  
— Jesteś w furii czy euforii? — pytam z uśmiechem.  
— Och, tatusiu, najpierw robisz nam przykrość, a potem chcesz się z tego wymigać zachowując się jak dziecko.  
— Gównu prawda — mówię cicho, dotknięty do żywego.  
— Musisz używać takich słów przy dzieciach? — pyta żona.  
— One to mówią przy nas. Powiedz „gównu” — mówię do córki.  
— Gównu.  
— Powiedz „gównu” — powiadam do syna. >  
Jemu się zbiera na płacz.

(Instynktownie chcę wyciągnąć rękę, aby go pocieszyć i uspokoić, chciałbym potarścić jego jedwabiste, popielate włosy. Bardzo go kocham, ale nie wiem, co czuję do córki.)

— Przepraszam — mówię do niego szybko. (To wstyd, ale boję się, że gdybym wyciągnął rękę, aby go pocieszyć, on by się odruchowo skurczył, jakby się bał, że go uderzę. Z bólem odrzucam tę myśl.) — Przepraszam — mówię szczerze do córki. — Masz rację, przepraszam. Rzeczywiście zachowuję się jak dziecko. — Teraz ja spuszczaam oczy. — Mam ochotę napić się — wyjaśniam wstając. — Nie będę już więcej jadł. Ale wy jedzcie. Poczekaam na was w salonie. Przepraszam.

Jedzą i cicho rozmawiają po moim wyjściu.

Takie im odstawiam numery, wiem, nawet jeśli to robię niechętny. Ale nie mogę się do tego przyznać ani żonie, ani dzieciom. Żona nie zrozumiałaby. Naprawdę nie mogę jej powiedzieć, że mi przykro. Pomyślałaby, że przepraszam. Nie mamy już wspólnego języka, o czym chwilami zapominam i próbuję z nią szczerze porozmawiać. Nie jesteśmy już sobie na tyle bliscy (aczkolwiek jesteśmy jeszcze dostatecznie bliscy, aby często współżyć z sobą). Odpowiedziałyby jakimś pustym, nic nie załatwiającym i irytującym frazesem w rodzaju: „Powinno ci być przykro.” Albo: „Nie musisz naskakiwać na wszystkich.” Albo: „Nie musisz na mnie tak wrzeszczeć.” Przecież nie o moje czy jej naskakiwanie chodzi (bo i ona to potrafi). Więc powiedziałyby coś w tym rodzaju, a mnie znów odebrałyby mowę, poczułbym się jak uderzony obuchem, byłbym ogłuszony, osamotniony i, aby się ratować, wpadłbym w gęstą, czarną toń tępej melancholii; w tym stanie powiedziałbym



sobie, że nie mam na całym świecie ani jednej osoby, której mógłbym ufać lub która mogłaby mi pomóc; zateśniłbym do matki (i ojca?), do nieżyjącego starszego brata i znów zacząłbym marzyć o zmianie posady, związanej z obowiązkiem częstszych wyjazdów z domu. Może niedaleki już jest dzień, kiedy ktoś zacznie na nas rzucać bomby. Będę krzyczał:

„Świat się wali. Rzucają bomby! Ludzie poszaleli! Koniec świata! Wszystko skończone!”

A żona powie na to:

„Nie musisz tak na mnie wrzeszczeć!”

Co się z nami stało? Bo przecież coś się stało. Kiedyś byłem chłopcem, ona dziewczyną, byliśmy młodzi. Teraz jestem mężczyzną, ona kobietą i nic już nie wydaje się młode, wszystko wydaje się stare. Myślę, że kiedyś lubiliśmy się. Myślę, że dobrze nam było z sobą, przynajmniej tak się teraz wydaje, choć stale wojowaliśmy o to czy tamto. Ja stale wojowałem o to, by ją rozebrać, ona o to, by pozostać ubrana. Pamiętam takie rzeczy. Pamiętam, jak często musiałem podnosić jej sukienkę i ściągać majtki, bo nie chciała się kochać na dworze lub nawet w domu, jeśli ktoś mógł być w pobliżu, w tym samym domu, w sąsiednim pokoju (nawet w hotelu zamierała z przerażenia słysząc jakieś szmery w pokoju obok), sąsiednim mieszkaniu, sąsiednim domu! Pamiętam, że rozpinałem jej bluzkę, gdziekolwiek byliśmy, aby dotrzeć do stanika i piersi. (Jeszcze teraz niebieskie staniki działają na mnie bardziej niż czarne, bo nosiła niebieskie.) Ustawicznie się bała, że ktoś nas przyłapie. Nie przejmowałem się tym (może bym się i przejął, gdyby nas naprawdę przyłapano). Ciągle rozpinałem jej spodnie albo zrywałem z niej kostium kąpielowy lub szorty do tenisa, odrzucałem tę garderobę z dzikim pośpiechem za siebie i dobierałem się do niej przy każdej okazji jak wściekły. Byłem kiedyś gorącym chłopakiem. Nie myślałem o tym, aby jej sprawić przyjemność, tylko o własnej rozkoszy. Ciągle chciałem się w nią pakować. Przebywaliśmy wtedy często z jej rodzicami i młodszą siostrą, łapałem ją, jak tylko zostawałiśmy sami, i usiłowałem ją wyłomotać, zanim powrócą. Na wsi lub nad morzem wywabiałem ją wieczorem z domu wynajętego na lato i brałem ją na werandzie lub nawet w sieni czy na piachu (choć nie lubiłem mieć potem piachu w ubraaniu czy włosach, a ona nie lubiła leżeć na ziemi, bo dostawała

sińców na pośladkach). Bez przerwy targałem jej guziki i zamki błyskawiczne, szarpałem i rwałem zapięcia i gumki w jej bieliznie. Szalałem za nią, kiedy była dziewczyną, a ja chłopcem, wulkaniczna żądza padała mi na mózg. Nie było we mnie nic poza twardym członkiem. Chciałem się spuszczać, spuszczać, spuszczać. Nic jej nie mówiłem, nie dawałem czasu do namysłu, na rozmowę, przygotowanie, znalezienie wymówki, pohamowanie mnie; często nic nie przeczuwała, dopóki nie rozebrałem jej prawie i nie zwałem się na nią, rozogniony, głuchy jak pień na jej sprzeciw i błagania, bo już było za późno, nie można mnie już było powstrzymać. (Czasem w trakcie rodzinnego obiadu myślałem o niej, snułem plany, gdzie i jak skoczę na nią przy pierwszej okazji, jak ją zgwałcę tym razem.) Gdziekolwiek ją przyłapałem, pochwytiłem i zmusiłem do uległości (jeśli to nie działo się za zamkniętymi na zasuwę drzwiami naszej sypialni, a często i w naszej sypialni za zamkniętymi drzwiami), kładła się, poruszała pode mną uległe z szeroko otwartymi oczami, w których błyszczał strach, wodziła nimi z boku na bok szybko, w panice, aby sprawdzić, czy nikt nie widzi, nie słyszy, nie zbliża się. (Teraz myślę, że jej strach i moja przemoc wzmagaly zapewne moją rozkosz.) Nie przeszkadzały mi jej otwarte, rozbiegane oczy ani to, że w owych chwilach nie płonęła namiętnością do mnie, bylebym ją posiadał w momencie, kiedy ja tego chciałem, bylebym dostał to, czego ja chciałem; może triumfalne poczucie szaleńczego niebezpieczeństwa, świadomość, że potrafię ją zmusić, a nie przekonać, zaostrzały moją rozkosz, często teraz chciałbym czuć ową gorączkową mieszaninę ślepego żaru, pośpiechu i napięcia. (Stanowiły nieliczną podniecie.) Może to tego mi brak. Sypiam teraz z dziewczynami tak samo młodymi jak ona wówczas, są o wiele bardziej obrotne, doświadczone i chętne, ale to nie jest takie spontaniczne i podniecające i przeważnie nie daje takiej satysfakcji potem. (Bo nie opierają się.) Obecnie jestem bardziej opanowany, dojrzały, spokojnie i umiejętnie potrafię urobić dziewczynę, manipulować nią, ale nie doznaję tego, czego doznawałem z żoną, więc tęsknię za nią straszliwie i kocham nas oboje, kiedy sobie przypomnę, jacy też byliśmy wtedy. Posiadam teraz ogromne pokoje z szerokimi łóżkami, mam mnóstwo czasu i nikt mi nie przeszkadza; dziewczęta mają własne mieszkania lub korzystam z mieszkania Reda Parkera w centrum miasta albo idę do hotelu, kiedy jestem w podróży służbowej — ale to wszystko jest teraz

jakieś ujarzmione, znane i prozaiczne, nawet jeśli jestem z kobietą po raz pierwszy (więc często nawet podczas aktu zapytuję siebie, po co ja się męczę. Ledwie którąś przeniknę, już myślę o wycofaniu się. Ledwie skończę, już chcę uciekać).

— Chodźmy do łóżka — mówię ja (lub one).

— Dobrze.

Lepiej było dawniej, kiedy oboje z żoną byliśmy o tyle młodszy. — Pospiesz się, pospiesz — ponaglała mnie, prosiła, jęczała, łapała oddech, nakazywała, mamrotała, błagała w panice, kiedy wiła się w moich ramionach, siląc się na wszystkie sposoby, aby szybciej doprowadzić mnie do końca, zanim ktoś nas nakryje. Ja zaś robiłem swoje, uśmiechałem się po kryjomu i byłem w siódmym niebie.

To, cośmy wówczas przeżywali, było wspaniałe. O, tak, wspaniałe (bardziej dla mnie niż dla niej), i jest teraz wspaniałe dla nas obojga, kiedy śmiejąc się przypominamy sobie tamte czasy (jeśli się śmiejemy). Często z łezką w oku wspominamy zwariowane okazje i miejsca, w których jej dopadałem. Ona jeszcze bardziej lubi wspominać przeszłość i niektóre rzeczy pamięta lepiej ode mnie.

— Pamiętasz, jak to robiliśmy w szopie na łódce, kiedy tatuś...

— A twoja młodsza siostrzyczka robiła to przez całe lato...

— Mówisz to, jakbyś jej zazdrościł.

— Lepiej się pewnie zabawiała ode mnie.

— Nie skarżyłeś się.

— Skarżyłem, kiedy się dowiedziałem, co ona wyprawiała.

— Palłeś się do niej?

— Dopiero kiedy się o niej dowiedziałem tego wszystkiego.

— Palisz się do niej teraz?

— Nie wygłupiaj się. Przecież to przekłeta reakcyjna wie dźma.

— Nigdy nie rozmawiasz z nią o...

— Prawie wcale z nią nie rozmawiam.

— Pamiętasz, jak to było w łódce na jeziorze?

— Czy ja pamiętam!

Pamiętam, że chciałem ją kiedyś wziąć na dnie łódki, kiedy byliśmy na samym środku jeziora. (Pamiętam nieżyjącą Vir-ginię z Zakładu Ubezpieczeń, w którym dawniej pracowałem, jeszcze teraz mógłbym to zrobić w łódce z jakąś niefrasobliwą młodą sikorką, taką jak Virginia-dziewica-na krótko, ale nie przypuszczam, abym teraz tego chciał w łódce, zważywszy mój

wiek.) Tamtego dnia robiłem z nią niemal wszystko prócz tej jednej rzeczy: całowała mnie, wiła się, odpychała mnie, ścisnęła ogarniętą paniką, ale nie pozwoliła nam się rozebrać ze strachu, że ktoś może nas zobaczyć z domów na brzegu, i że łzami w oczach zmusiła mnie, żebym dał jej spokój. Powiosłowałem więc wściekły do wysepki w pobliżu (tego dnia pobitem chyba rekord wiosłowania) i powaliłem ją na ziemię w lesie. Odrzucała głowę z boku na bok, oczy miała szeroko otwarte, roziskrzona, udręczona i przerażona, rozpaczliwie błagała, abym przestał albo szybko skończył, nim ktoś nadejdzie zza drzew i nakryje nas. A wówczas już byliśmy małżeństwem.

Tak, to było wspaniałe, choć często kłóciliśmy się z tego powodu — ona płakała, ja się wściekałem, kiedy nie mogłem postawić na swoim w sprawach seksu i niemal z każdego powodu. (Łatwo mnie było obrazić.) Wszędzie się chciałem na nią pakować. Teraz cieszymy się, że to robiłem. Ciągłe zrywaniem z niej staniki, podsuwałem do góry bluzki czy swetry, aby się dostać do jej piersi i ust, jak człowiek zagłodzony na śmierć, kiedy bolesna, nieodparta i radosna potrzeba rozsądzała mi serce, głowę, usta, gardło i ręce. (Cóż za fioła miałem nawet wtedy.) — Nie teraz — mówiła. — Kochasz mnie? — Milczałem lub mówiłem byle co, popychając ją i gramoląc się na nią. W tamtych czasach byłem bardzo pobudliwy, zazwyczaj wystarczyło mi spojrzeć na nią albo pomyśleć o niej, kiedy byłem w podróży, i że wkrótce do niej wrócę. (Wtedy wiedziałem, co to znaczy palić się naprawdę.) Kiedy byliśmy sami i nie spieszyla się, oboje zachowywaliśmy się inaczej, ale często nie byliśmy sami. Kłopot z żoną polegał na tym, że nie lubiła robić tych rzeczy poza domem. Ani w parku, ani na plaży, ani w krzakach, ani na stojąco, oparta o ścianę, drzwi czy drzewo (ja tak). Nie chciała tego robić na tylnym siedzeniu mego samochodu (ani na przednim), toteż ją zmuszałem. (Często nie mieliśmy lepszego miejsca, a kiedy mieliśmy, nie chciałem czekać.) Ona była wtedy damą, podobała mi się taka (bardziej niż teraz, kiedy pije, flirtuje lub bawi się na przyjęciach i peroruje ochryplym głosem). I lubiłem rypać. Pewnego lata, które spędzaliśmy nad jeziorem, w ogóle nie chciała ze mną żyć, bo mieszkaliśmy z jej rodziną i zawsze ktoś się koło nas pętał. Tamtego lata jej siostra pod koniec wakacji zaszła w ciążę, a jej rodzice omal nie powariowali, dopóki nie zgodziła się na skrobanek (nie chciała dziecka, ale bała się zabiegu), a może to się przytrafiło zaraz po jej powrocie na uczelnię. Byliśmy

już z żoną po ślubie, nie ulegało wątpliwości (dla mnie przynajmniej), że siostrzyczka zgrabnie zabawiała się przez całe lato, a ja musiałem się tak męczyć, w związku z tym przychodziło mi na myśl, czy przypadkiem nie marnuję lata pakując się do niewłaściwej siostry, czyli mojej żony. Kiedy się dowiedziałem, co ta siostrzyczka wyprawia, paliłem się i do niej, chociaż jej nie lubiłem.

Kiedy mieliśmy już własne mieszkanie, żona musiała się najpierw upewnić, że dzieci mocno śpią, drzwi sypialni są zamknięte na klucz, a drzwi do mieszkania na dwa zamki, nim zgodziła się na stosunek. (Pojęcia nie mam, kogo ona się bała, może włamywaczy?) Przez długi czas już w naszym mieszkaniu nie chciała mnie do siebie dopuścić w dzień, kiedy nie mieliśmy jeszcze dzieci i byliśmy absolutnie sami. (Teraz robi to ze mną prawie wszędzie i o każdej porze, szczególnie jeśli jest trochę wstawiona.) Musiało być ciemno, nawet w nocy, nie chciała, żebym ją widział, musiałem gasić światło, spuszczać rolety, zamykać drzwi, nawet drzwi szaf ściennych. Nie lubiła, abym ją widział rozbierającą się, przechodzącą lub leżącą nago, często przychodziła do łóżka w nocnej koszuli, którą wkładała w łazience lub ubieralni, chociaż wiedziała, że natychmiast ściagnę z niej tę koszulę. A kiedy wszystko było, jak chciała, kiedy upewniła się, że nikt nie przyjdzie i nikt jej nie zobaczy, potrafiła być absolutnie wspaniała niemal pod każdym względem, dumna z siebie i ze mnie potem i w trakcie. Nie była też taka zła, kiedy ją zmuszałem i robiliśmy to na chybcika (szybko rozumiała, że im chętniej mi się podda, tym prędzej skończę), aczkolwiek nigdy nie robiła tego tak dobrze mając dwadzieścia osiem lat jak moja kubańska kurwa dziś po południu. (— Podrażnić cię? — mruczała, a ja jeszcze słyszę to mruczenie. Kto by nie chciał, aby go podrażnili? Może w tamtych czasach nie dałem żonie dość czasu, aby mnie podrażniła lub nauczyła się tej sztuki.)

Teraz żona robi to znacznie lepiej. Jest zupełnie inna w sprawach seksu, ale i ja się zmieniłem. Ona prawie zawsze jest w nastroju amoroso, gotowa, godzi się na sytuacje tak ryzykowne, że nawet ja jestem przerażony. Przeważnie wiem, że myśli o tym, poznaję to po jej śmiałym, zdecydowanym, pytającym spojrzeniu i zabawnym, krzywym uśmiešku, oznaczającym, że jest z siebie zadowolona. Wiem, że się nie mylę, jeśli nie włożyła pasa. (Dziś jest bez pasa. Dawniej nie potrzebowała i nie uznawała pasów, teraz rzadko kiedy wyjdzie z domu bez

tej części garderoby, choć ciągle jeszcze nie potrzebuje takich rzeczy.) Kiedy jest w nastroju, wystarczy, żebym ujął ją za łokieć lub pchnął delikatnie w kierunku tapczana, mogę ją mieć, a czas i miejsce nie grają roli. Czasem ona zaczyna dobierać się do mnie. Zawsze jest w nastroju po kilku kieliszkach (jeśli nie wymiotuje), a pije teraz prawie co dzień. Wystarczy, abym się zbliżył do niej na odległość ramienia w kuchni, kiedy coś tam gotuje, albo przypadkiem otarł się o nią na korytarzu w domu, a już przyciska się do mnie i gotowa położyć się nie szukając lepszego miejsca (zmusiła mnie do tego w kuchni na podłodze), czy jest noc, czy jasny dzień. Teraz ona sama podnosi suknię i niecierpliwie tarłosi moje spodnie, jeśli dość szybko ich nie zdejmę. (Nie jestem pewien, czy to mi się podoba, choć podobałoby mi się wtedy, a i tego nie jestem pewien. Wcale nie jestem pewien, czy chcę, żeby moja żona była taka zmysłowa i chętna jak któraś z kurw Kagle'a lub moje kochanki, chociaż jestem niezadowolony, kiedy nie jest.)

— Naprawdę kroi ci się lepsze stanowisko? — pyta mnie w sypialni na górze.

— Chyba tak.

— O wiele lepsze?

— Jeszcze jak.

— Będziesz\* więcej zarabiał?

— Jeszcze jak.

— Wspaniale!

I gwałtownie się na mnie rzuca, ogarnia mnie ramionami, nogami, ustami, choć drzwi sypialni nie są zamknięte na klucz i dzieci pewnie jeszcze nie śpią. Teraz to ja wysuwam się z jej uścisku, wstaję z łóżka, zamykam drzwi na klucz i gaszę górne światło.

— Wspaniała dziewczyna z ciebie — mówię do niej z po dziwem po długim, zapierającym dech uścisku, w którym le żymy prawie bez ruchu.

— Twoja szkoła — mówi z chełpliwym uśmiechem siedząc okrakiem na mnie i lekko się kołysząc. — Ty zrobiłeś mnie taką.

Nie mogę uwierzyć, że to wszystko moja wina.

## Moja córka jest nieszczęśliwa

---

**M**

Łoje dzieci są nieszczęśliwe, każde po swojemu, przypuszczam, że to też moja wina (choć nie bardzo wiem jak i dlaczego. Nie myślę już o Dereku jako o swoim dziecku. Ani nawet o tym, że to ja go spłodziłem. W ogóle staram się nie myśleć o nim. Coraz łatwiej mi to przychodzi, nawet kiedy jest koło mnie w domu i hałasuje bawiąc się jaskrawą zabawką dla niemowląt lub bełkocze w daremnym wysiłku, aby coś powiedzieć. Nie lubię już nawet jego imienia. Dzieci też nie przepadają za nim, nikt z nas właściwie nie przepada za nim, nawet pielęgniarki, którym przecież za to płacimy, aby udawały, że go lubią, i troszczyły się o niego; są to przeważnie niezamężne kobiety koło czterdziestki lub starsze, kosztują dużo i z początku udają, że kochają go, manifestują swoje uwielbienie dla dzieciaka, chronią go pieczołowicie przez pierwszych kilka tygodni, potem zaczynają go zaniedbywać, stają się bezczelne i mają za złe nam wszystkim. My traktujemy je nieuprzejmie. Odchodzą. Z własnej woli lub odprawione. Żona i ja wymawiamy im po kolei. Jak tylko którąś zaangażuję, już jej nie cierpię, one znów nie lubią mnie. Nienawidzę i boję się obecnej pielęgniarki, jest starsza ode mnie, przesądna i zadufana, przypomina mi panią Yerger. Mam ochotę ordynarniej zwymyślać, aby się odegrać za to, że pani Yerger mną pomiatała. Każda starsza kobieta, której się boję, przypomina mi panią Yerger. A każda słaba starsza kobieta przypomina mi matkę. Każda młoda dziewczyna, która mnie obraża, przypomina mi córkę. Nikt nie przypomina mi ojca i wcale mi to nie przeszkadza, chyba dlatego, że nie pamiętam ojca, więc nikt nie

może mi go przypominać. Może Arthur Baron. Wydaje mi się, że mógłbym czuć do niego coś w rodzaju synowskiej miłości, gdybym zachował w pamięci ojca, który był dobry dla mnie. Mam nadzieję, że nasza obecna pielęgniarka odejdzie wkrótce. Chcę się jej pozbyć. Jeśli sama nie odejdzie dość szybko, żona lub ja będziemy musieli ją odprawić, co nigdy jakoś nie jest tak przykre dla żadnej z nich jak dla nas i jakby mnie było przykro, gdyby mnie odprawiono. W domu będzie przez jakiś czas przykry bałagan. Ja wyjadę służbowo i nie wrócę, dopóki żona nie zaangażuje następnej. Wolę zostawić takie sprawy na głowie żony i jej siostry. Siostra doskonale sobie z tym radzi. Zawsze kiedy poszukujemy pielęgniarki lub przeprowadzamy się, staram się wyjechać. Staram się nie być w domu, kiedy dzieje się coś przykrego. Kiedy ją w końcu wyprosimy, będziemy zadowoleni, że pozbyliśmy się jej, jednakże zawsze musimy angażować następną albo będziemy zmuszeni wcześniej posłać Dereka do zakładu dla niedorozwiniętych i nigdy więcej go nie zobaczymy. Wymażemy go z pamięci, wykreślimy, odłożymy do akt i choćbyśmy go nawet odwiedzali trzy czy cztery razy w pierwszym roku, raz czy dwa w następnym, a potem może wcale, to i tak już nigdy naprawdę nie spojrzymy na niego. Zejdzie nam z oczu, a powoli i z myśli. Być może, to on będzie nas odwiedzał w snach.

„Ciekaw jestem, co się z nim dzieje” — powie może któreś z nas czasem, jeśli starczy nam odwagi wysłuchać odpowiedzi i ponieść jej konsekwencje.

I po pewnym czasie:

„Co się z nim stało? Pamiętasz to dziecko, które mieliśmy? Derek mu, zdaje się, było. Ten, któremu czegoś brakowało. Jeszcze się dowiadujemy o niego?”

Na razie ani żona, ani ja nie mamy sił odesłać go do zakładu. Jest za mały. Jego stan jest beznadziejny. Sprawia nam mnóstwo kłopotów. Zawiódł nas. Potrzebuje stałej opieki, ale nikt nie chce się nim zająć — ani ojciec, ani matka, ani siostra, ani brat. Nikt z nas nie chce już nawet bawić się z nim. Choć wszyscy udajemy, że jest inaczej).

Moja córka skończyła piętnaście lat, jest samotna i skwaszona. (Właściwie gorzej niż tylko skwaszona, wiem o tym. W gruncie rzeczy jest nieszczęśliwa, robi tylko wrażenie skwaszonej, krytykuje nas i skarży się na nas z kwaśną miną. Chyba cierpiałbym mniej, gdyby była nieszczęśliwa, ale uprzejma. Jak mój syn. Ułatwiłoby mi to życie. Choć nie sędzę, aby to ułat-



wiało życie jemu.) Córka ma pretensje do siebie i do nas. To inteligentna, złośliwa dziewczyna, ma dużą intuicję i wdzięk, kiedy nie jest ponura i opryskliwa. Często bywa złośliwa i przygnębiona. Ciągłe ma za złe żonie i mnie, często nie ukrywa tego, że wolałaby, żeby któreś z nas nie żyło, a może i oboje. (Właściwie wręcz nam to mówi.) Na szczęście jesteśmy dość mądrzy i wiemy, że nie mówi tego poważnie. (Aczkolwiek czuję przez skórę, że ona często mówi to jak najbardziej poważnie i że ulegając melodramatycznej fantazji życzy sobie po cichu i własnej śmierci, i tego, abyśmy stali nad jej mogiłą nieutuleni w żalu.) W każdym razie jestem przekonany, że kiedy to mówi, rzeczywiście tak myśli, a może podświadomie zawsze nikczemnie pragnie naszej śmierci. Może naprawdę chciałaby, żeby któreś z nas rychło zmarło. Nie byłoby to wcale nienaturalne uczucie i mógłbym ją bez wielkiego trudu zrozumieć (bo przecież i ja jak wyrodek życzyłem matce śmierci, kiedy zachorowała, a może nawet już wtedy, kiedy zaczęła się starzeć i już jej nie potrzebowałem, natomiast ona potrzebowała mnie. Nie mogłem się doczekać jej śmierci. Mówiłem sobie, że tak będzie lepiej dla niej). Kiedy córka jest spokojna i wesoła, kiedy uśmiechając się półgębkiem z zamierzoną złośliwością oświadcza żonie lub mnie, że nie bardzo by się przejęła, gdyby któreś z nas zachorowało czy umarło, wiem, że ona nie mówi tego poważnie, tylko idzie jej o efekt i jak dziecko chce nas zranić, ukarać nas (tą sadystyczną rozmówką rodzinną, żeby się tak wyrazić), więc rozgrzebuje starą bolesną ranę, która, czuje to instynktownie, otworzy się i zacznie boleśnie krwawić. (Córka lubi nam zadawać ból. Czasem okazuje skrucę, lecz daje do zrozumienia, że nie czuje jej naprawdę.) Jeśli natomiast wykrzykuje takie rzeczy bełkotliwie, szlochając spazmatycznie, jej szczerłość i dzika nienawiść do nas oraz bezdenne cierpienie nie ulegają wątpliwości. Jak powiedziałem, nie jest szczęśliwa. (W chwilach, kiedy tak się unosi, jest żałosna. Złamałaby mi serce, gdyby nie była moją córką.)

Jest śliczna, ale nie wierzy w to. (Ma o sobie niskie albo marne wyobrażenie, tak się to chyba nazywa.) I ani żona, ani ja nie potrafimy jej przekonać, że nie ma do tego podstaw. Nie zawsze dawałem właściwe odpowiedzi na jej pytania czy sądy. Kiedy oświadcza, że nie chce żyć, mówię, że prędzej czy później to nastąpi. Kiedy skarży się, że życie jest puste, monotonne, beznadziejne i bez sensu, mówię, że każdy tak czasem myśli, zwłaszcza młodzież w jej wieku, i że prawdopodobnie ma rację.

Kiedyś oświadczyła, z wielką powagą, że chciałaby mieć kochanka, zanim skończy osiemnaście lat, że chciałaby z nim długo mieszkać, ale nigdy nie wyjdzie za mąż, a ja ją poparłem w tym zamierzeniu i żartobliwie wyraziłem nadzieję, że znajdzie odpowiedniego kandydata. Potem spostrzegłem oszołomiony, że zbladła jak ściana ze zgorzenia i omal się nie rozpląkała. Kiedy pyta, czy w młodości myślałem o samobójstwie, odpowiadam, że owszem. A gdy przyszła do mnie wyzalić się po raz pierwszy, że jest nieszczęśliwa, odparłem, że i ja nie jestem szczęśliwy i że nikt nie powinien liczyć na to, że będzie. Teraz ona potrafi na ogół przewidzieć moje ironiczne riposty, więc małpuje mnie, zanim coś powiem. Czasem to mnie złości, kiedy indziej bawi, nie wiem, dlaczego tak różnie reaguję. Mój błąd polega chyba na tym, że rozmawiam z nią zawsze jak z osobą dorosłą, a ona pewnie chce, żebym ją traktował jak dziecko.

Mówię do niej to, czego nie powinienem, to silniejsze ode mnie, czasem słowa wrywają mi się z ust, zanim zdążę się nad nimi zastanowić, zanim moje myśli dotrą do mojej świadomości, układają się już w słowa na moim języku i wylatują mi z ust. Słyszę swoje bezceremonialne, ostre uwagi i wzdrygam się ze zdumienia, jak gdybym słyszał kogo innego, kto chce zadać ból jej i mnie, jak gdyby te słowa wypływały z mrocznego, przerażającego zakątka mojej duszy, do którego nie mam dostępu. Z tego niesamowitego, przewrotnego i złowieszczonego rysu mojej natury płynie też skryta, natarczywa chęć, aby kopnąć Kagle'a z całych sił w chorą nogę, pod stołem kopnąć córkę albo też uderzyć ją (nigdy nie czuję pokusy, aby uderzyć żonę czy syna, i nigdy tego nie zrobiłem. Nie sędzę, że to zrobię. Zresztą, córki również nigdy nie uderzyłem ani nie kopnąłem), czuję się odświeżony, pełen wigoru, mówiąc okrutne rzeczy ludziom, których lubię, kiedy zwierzają mi się ze swych zmartwień i oczekują ode mnie współczucia i pomocy. Nieszczęścia przyjaciół sprawiają mi chwilową przyjemność. Nie rozgrzeszam ich za słabości, nie wybaczam tego, że potrzebują pomocy, czuję przy tym niezaprzeczną radość, którą z lubością poskrwiam. Lubię świadomość, że wiedzie mi się lepiej niż innym. Dzieją się we mnie rzeczy, nad którymi nie mam władzy i którymi się nie szczycę.

Córka nieczęsto się śmieje (bardzo lubi brata, a mimo to ciągle złośliwie się go czepia), niewiele co interesuje ją lub bawi. (To samo odnosi się do jej kolegów i koleżanek. Lubią muzykę, ale nie tak, jak chcieliby móc ją lubić. Nie są weseli. Na ogół

są ponurzy i niesamowici. Wprawiają człowieka w przygnębienie. Mam nadzieję, że wyrosną z tego. Nie potrafię z nimi rozmawiać.) Córka godzinami przesiaduje w swoim pokoju, nic nie robi, rozmyśla tylko (i ja siedzę godzinami sam w swoim gabinecie i również nic nie robię) o sobie, przeważnie, najbardziej interesuje się sobą, najbardziej martwi o siebie, najbardziej lubi mówić o sobie. Niewiele chyba różni się ode mnie. Wydaje mi się jednak, że w jej wieku byłem szczęśliwszy i że moi koledzy i koleżanki z podstawówki, a potem ze szkoły średniej też byli o wiele szczęśliwsi od niej i jej kolegów i koleżanek. Poczynam się przynajmniej myśleć, że tak było. Ale nie znałem swoich kolegów tak dobrze, jak ją znam. Więc może nie byli znów tacy szczęśliwi. Może i ja nie byłem. Niewiele zadawałem się z nimi po szkole, nie bawiłem się z nimi na ulicy, nie bywałem u nich w domu, nie widywałem ich pojedynczo. Nie mam już dawnej pewności, że moje wspomnienia z czasów dzieciństwa są takie nieomyślne, jak sądziłem. Przychodzi mi na myśl, że może byłem w młodości bardziej nieszczęśliwy od mojej córki, może się czułem bardziej niż ona spętany poczuciem samotności i brakiem kierunku. W mojej przeszłości są wielkie luki, które pozostają ciemne i nieodgadnione. Dostrzegam coś niejasnego, ale pamięć nie przychodzi mi z pomocą. Te sprawy są i pozostaną czarne i nieprzeniknione, więc moja osoba z takich okresów, przeżycia i doznania pozostaną stracone dla mnie na wieki, chyba że odnajdę je w pamięci. Nikt poza mną tego nie dokona. Gdzie to jest? Gdzie są te rozrzucone, poszarpane elementy, ułamki owego chłopczyka i zabląkanego młodego człowieka, z których powstałem? Chwilami mam teraz wrażenie, że przez długie etapy w ogóle nigdzie nie byłem. Co się stało z naprawdę ważnymi okresami mojej przeszłości, które zatarły mi się w pamięci i zostały przeoczone lub zapomniane przez innych? Już nikt ich sobie nie przypomni. Za późno, aby zebrać mnie do kupy i złożyć na nowo. Wobec tego moje życie nie jest całkiem wiarygodne. Sam wierzę w nie z trudem. Mogę uwierzyć, że to było mną (byłem ja, wiem) z Virginią w magazynie Zakładu Ubezpieczeń od Wypadków Samochodowych, że to ja i żona kochaliśmy się w naszym miesiącu miodowym, że to ja jestem znudzony, smutny i zamyślony teraz w biurze czy w domu, ale nie potrafię uwierzyć, że tamten ktoś naprawdę był mną (byłem ja, aczkolwiek wiem, że tak), że to ja wyśpiewywałem idiotyczne pieśni żołnierskie przed tylu laty, kiedy przyodziani w mundury wlekleśmy się

niedbale w kolumnie; że to ja sortowałem zawiadomienia o wypadkach samochodowych, wkładałem akta do teczek, grałem w kości i karty o grosze, miałem zaspokajające sny erotyczne, cieszyłem się nimi, onanizowałem się i cieszyłem, że potrafię, czytałem komiksy i kolumny sportowe w nowojorskich dziennikach „Daily News” i „Mirror” — nie wychodzących już niestety — wkrótce nie zostanie już nic; że to ja mówiłem matce pięć razy w tygodniu do widzenia, jeśli pamiętałem o tym, aby w ogóle do niej coś powiedzieć na pożegnanie, zabierałem na lunch do Manhattanu brązową papierową torbę, w której było jabłko i dwie kanapki z jajkiem, kiełbasą czy łososiem z puszki; że to ja wpadałem w dziką pasję w dzieciństwie i zażarcie, bez sensu klóciłem się z matką lub siostrą w domu, i rozpaczliwie płakałem z powodu niezrozumiałych dla mnie, zagadkowych spraw; że przez dwa lata byłem od ważnym, szybkim dowódcą patrolu w ochotniczych wypadach amerykańskich harcerzy, aby tylko zdobyć naszywkę; że jako harcerz znów zacząłem się onanizować, potem jeździłem tam i z powrotem do pracy w Zakładzie Ubezpieczeń dusznymi wagonami kolei podziemnej, tłoczyli się w nich zmęczeni, nieprzyjaźni, ponurzy dorośli, którzy patrzyli na mnie spode łba, wzdychali, pochrapywali i pocili się. Twierdzą uparcie, że to nie byłem ja — te fakty istnieją w mojej pamięci, ale nic nie znaczą; jak w bajce dla dzieci, są poza domeną konkretnych przeżyć osoby, którą jestem teraz i byłem wówczas; uparcie twierdzą, że to wszystko nigdy się nie przydarzyło, przynajmniej nie mnie, wiem, że nie rozdrabniałem się na takie marnoty, więc musiał we mnie być ktoś drugi, kto dorastał obok mnie (lub we mnie) i czasem zamiast mnie przeżywał coś, do czego ja nie chcę się przyznać. Był nawet ktoś trzeci, kogo tylko niejasno sobie uświadamiam i o kim nic prawie nie wiem, tylko to, że jest we mnie. Wyczuwam w sobie jeszcze kogoś czwar tego, kogo nawet sobie nie uświadamiam, kto sprytnie wszystko obserwuje, nawet mnie samego, z jakiejś bezpiecznej kryjówki w moim umyśle, niewidzialny i nienazwany, wydający surowe, krytyczne sądy o wszystkim, nawet o mnie samym. Ten prawie nigdy nie sypia. Nie zachowałem w pamięci nieprzerwanej ciągłości wydarzeń, prócz moich posad, romansów, łajdaczenia się, czyli rzeczy nieważnych, z których żadna nie jest ważniejsza od drugiej, a ich wartość polega na tym, że dają mi poczucie ciągłości minionych wydarzeń.

Kogo obchodzi, czy dostanę stanowisko Kagle'a? Czy przed

Bożym Narodzeniem wpakuję się w majtki młodej Jane z działu graficznego; kogo obchodzi, że nigdy nie byłem na tyle dorosły, aby wyrypać starszą ode mnie Virginię na biurku w magazynie Zakładu Ubezpieczeń od Wypadków Samochodowych albo w jakimś hotelu, choć wiele razy miętosiałem jej ładne piersi i obmacywałem gładką skórę na wewnętrznej stronie jej ud?

Obchodzi mnie. Chcę mieć więcej pieniędzy. Chcę się cieszyć większym prestiżem. Chcę powinszowań i oklasków. Obchodzi też Kagle'a i Greena, a Browna obejdzcie do tego stopnia, że może da mi w szczękę, jak się o tym dowię, ale ja wiem już teraz, że będę musiał obmyślić strategię, jak się z nim taktownie obchodzić albo się go pozbyć, mimo że jest doskonałym pracownikiem. Ale czy to wszystko będzie miało jakieś znaczenie, czy robi jakąś różnicę? Nie. Czy chcę tego? Tak. (Powiniennem chcieć? Nie. A mimo to chcę, chcę, do jasnej cholery, chcę!)

Nie ma też żadnej wątpliwości, że moja córka naprawdę chce się cieszyć większą swobodą, taką, jaką się cieszą dziewczęta i chłopcy z jej otoczenia, młodzi ludzie, którzy naprawdę stracili ojca czy matkę wskutek nieszczęśliwego wypadku, choroby, rozvodu rodziców lub separacji. (Choć taka młodzież nie wydaje się szczęśliwa z tego powodu, cieszy się tylko większą swobodą.)

— Kto by się tobą zaopiekował, do cholery, gdybyśmy się rozwiedli albo zginęli w wypadku samolotowym czy samochodowym? — tłumaczę jej spokojnie pewnego wieczoru w trakcie „szczerzej” (i na ogół obelżywej) rozmowy, którą ona uparcie i regularnie zaczyna ze mną, kiedy widzi, że siedzę sam w swoim gabinecie i zamierzam pracować lub przeczytać gazetę. — Nie możesz przecież mieszkać sama. Sama o tym wiesz. Kto by cię żywił i sprzątał po tobie, pomagał ci wybrać sukienkę, przypominał, że trzeba umyć zęby, i dbał o to, żebyś nie tyła? Musiałabyś z kimś mieszkać. Wobec tego równie dobrze możesz mieszkać z nami. No, i przyznasz, że dostajesz od nas cholernie dużo dobrych rzeczy.

— Chciałabym, abyś się tak brzydko nie wyrażał rozmawiając z dziećmi — wtrąca żona. — Żebyś nie wrzeszczał ciągle. Nie widzisz, że straszysz ją tylko?

— Powiedz jej, żeby się nie wtrącała — rzuca ponuro córka mając na myśli matkę.

— A ja bym chciał — mówię do żony...

— Bo ciągle się wtrąca.

...zły, podnosząc groźnie głos.

Lecz prawdę mówiąc, nie wiem, czego bym chciał (wiem tylko, że cholernie chciałbym być gdzie indziej), więc zaciskam szczęki i nie kończę zdania. (Podnoszę głos, zawsze kiedy się zirytuję lub kiedy sądzę, że coś mi nie wyszło albo ktoś napada na mnie. Gdybym w takiej chwili chciał powiedzieć coś jeszcze z pasją, zająkałbym się na śmierć.)

Chciałbym wiedzieć, co mam chcieć.

Chciałbym, aby moja córka przestała ciągle się skarżyć i litować nad sobą, żeby spróbowała cieszyć się tym, co ma. Niewiele sobie robi z nas. Jest nerwowa, zgorzkniała, złośliwa i zawzięta. Niedługo skończy słodką szesnastkę, pali papierosy i z całego serca nienawidzi nas, rodziców — przynajmniej co jakiś czas (jeśli nie ciągle prawie). Nie wiem, cośmy zrobili lub czego nie zrobili, aby na to zasłużyć, nie wiem, cośmy jej zawinili, ale ona ma do nas pretensję. (Ja też się złoścę i jestem zgorzkniała, bo nie umiem jej zadowolić, bo nie potrafimy uczynić jej szczęśliwą. Często sprytnie i złośliwie mszczę się na niej. Sprawia mi to przyjemność. Zemsta jest słodka, nawet na własnej córce. A ona nie skończyła jeszcze szesnastu lat. Czasem łapię się na tym, że chciałbym, aby uciekła z domu i ułatwiła mi życie.) Wiem, że nas nienawidzi, przecież sama nam to mówi. Czasem nienawidzi jednego z nas, czasem obojga, moja ukochana córeczka jest pomysłowa, przynajmniej pod tym względem ma talent: bez wielkiego trudu potrafi nienawidzić jednocześnie mnie, matki i brata, potrafi też bez widocznego powodu nienawidzić tylko brata, zapominając o rodzicach; potrafi nienawidzić Dereka, jego pielęgniarki i naszego domu oraz znajomych. Oczywiście potrafi nienawidzić i siebie. Z wyjątkową pomysłowością potrafi nawet na krótko przestać nas nienawidzić, jedynie po to, aby nas zmylić, obudzić w nas lekkomyślną radość i tym boleśniej nas zranić następnym atakiem. Jest perfidna i pyszni się tym. Nie potrafi (czy nie chce) łatwo uczyć się chemii, gramatyki lub zwykłej geometrii, ale bardzo wcześnie i bez trudu nauczyła się palić papierosy (przechwala się, że się zaciąga, i nie pytana napomyka, że paliła też marihuanę), mówi bez zająknięcia „matkojebca”, jakby przez całe życie używała takich słów w domu; nauczyła się nas nienawidzić i mówić okrutne rzeczy, które ranią mnie, a żonę doprowadzają do żalosego płaczu. Oboje z żoną dopiero po dziesięciu czy piętnastu latach nieprzerwanego małżeństwa nauczyliśmy się nienawidzić wzajemnie ze zdrowym wigorem i uciechą (kiedy się nienawidzimy, bo nie pałamy nienawiścią

ciągle), ale moja nieoszacowana córeczka potrafi to już teraz. Może ma do tego talent, wrodzoną łatwość (byłby to jej jedyny talent. Często jestem na nią wściekły, ale nie zrobię jej tej przyjemności, aby jej to okazać. Odnoszę się jednak do niej często z okrutną ironią). Nienawidzi matki znacznie bardziej i częściej niż mnie, jest to ironia losu i niesprawiedliwość, bo matka kocha ją bezgranicznie i dba o nią, oddałaby za nią życie. (Ja nie.) Jednakże i mnie się dostaje. (Córeczka ma w sobie dość nienawiści, aby obdzielić wszystkich).

Nie przejmuję się już tak bardzo jej nienawiścią (nie pozwalając sobie na to), oczekuję jej, jestem na nią uodporniony, gotów przyznać, że córka ma do niej powody, choć zachodzę w głowę, jakie to mogą być powody (prócz tego, że uodporniłem się na nienawiść córki, co przypuszczalnie jest powodem dostatecznym).

Zazwyczaj wchodzi do mojego gabinetu, żeby mi przeszkodzić, kiedy pracuję lub czytam pismo ilustrowane (lub też udaję, że pracuję czy czytam), oznajmia (napiętym, cienkim, dziecięcym głosem, odważnie siląc się na spokojny i pewny siebie ton), że doszła do wniosku (nigdy, że „przyszła”, zawsze, że „doszła”), że naprawdę nie kocha już matki ani mnie, że ma nas oboje w pogardzie i nie potrafi nas szanować, nie lubi nas nawet, aczkolwiek wie, jak okropnie to musi brzmieć, przyznaje, że powinna się prawdopodobnie wstydzić — ale nie wstydzi, swoich uczuć jest pewna — że nie martwiłaby się, gdyby mamusia (moja żona) zginęła w wypadku samochodowym jak matka Alice Hammond — Alice, jeśli o to idzie, nie potrafi wydusić z siebie odrobiny żalu z powodu utraty matki — lub gdybym ja zachorował i umarł na nowotwór w mózgu jak ojciec Betsy Anderson; że nie cieszyłaby się, powinienem to wiedzieć, i nie chce właściwie, aby to się stało, powinienem to jednak zrozumieć, może nawet smuciłaby się trochę, gdyby coś takiego się zdarzyło, ale tak samo smuciłaby się, gdyby to się przydarzyło komuś ze znajomych, nie sądzi jednak, aby to mogła być największa tragedia w jej życiu, gdybym miał wylew lub nowotwór w mózgu, pod warunkiem że umarłbym szybko i nie potrzebował przez czas dłuższy stałej opieki, jak niektórzy, co to mają nowotwory w mózgu czy wylewy i potem wegetują jak rośliny; nie mówi tego jedynie po to, aby się ze mną kłócić lub zrobić mi przykrość, tylko dlatego, że przypadkiem ona tak czuje i wie, że przecież chciałbym wiedzieć, co ona czuje, prawda? Bo przecież jestem jej ojcem,

a ona moją córką. Następnie, jeśli pozwolę jej zabrnąć tak daleko (czasem ostro przerywam jej na samym początku i wyrzucam ją z pokoju), informuje mnie nie pytana (po raz nie wiem który) z zaabsorbowaną miną chłodnej, spontanicznej refleksji (ciągle usiłując opanować cienki głosik i przestać coś tarmosić drżącymi palcami), że gdybyśmy się kiedy rozwiedli, bo przecież wie, że myślimy o tym, i słusznie, skoro nie jesteśmy znów tacy szczęśliwi i nie bardzo do siebie pasujemy, nie chciałyby zamieszkać z którymś z nas, ale wołałyby wyjechać do jakiegoś internatu daleko stąd jak Christine Murray, która taka jest szczęśliwa, że już nie musi mieszkać z jednym z rodziców, wołałyby nawet może, abyśmy ją wysłali do szkoły w Szwajcarii, bo wie, że tam jej będzie dobrze. Właściwie już teraz doszła do wniosku, że byłoby jej znacznie lepiej, gdyby mieszkała z dala od nas, nawet gdybyśmy się nie rozwiedli, a i my pewnie bylibyśmy szczęśliwsi bez niej, bo ona widzi przecież, że wcale jej nie potrzebujemy. Czy nie bylibyśmy szczęśliwsi?

Czasem (kierując się własnymi paskudnymi względami) wysłuchuję jej do końca w kamiennym milczeniu, pozwalam jej gadać w tym duchu, jak długo potrafi, nie odzywam się i patrzę na nią przez cały czas z tępym wyrazem twarzy, nie przepuszczając śladu uczucia, zmuszam ją, aby mówiła dalej coraz bardziej niespokojna i niepewna (patrzę na nią, ale ona nie ma pewności, że ją słyszę i słucham), dopóki nie utraci pewności siebie i złośliwego spokoju i przerażona nie zamilknie — niema dra, drżąca i wyczerpana, bez śladu poprzedniej ufności i odwagi. (Za każdym razem potrafię ją przechytryć.) Potem (kiedy nie ma już nic więcej do powiedzenia i wiem, że ją przechytryłem), jeśli ciągle milczę i patrzę na nią ponurym, tępym, kamiennym wzrokiem, ona niezdarnie podejmuje ostatnią, desperacką, brawurową próbę skazaną na niepowodzenie, jaskając:

— Staram się tylko być z tobą szczerą.

Wówczas widząc, że zwyciężyłem, czasem decyduję się przemówić, zręcznie ruszam sam do ataku, udając spokój i zadowolenie, które mają być ironicznym odbiciem jej miny.

— Nie — rzucam zagadkowo.

(Zbija ją to z pantafyku.)

— Co nie? — nie może się powstrzymać od zapytania.

— Wcale nie.

— Co wcale nie? — pyta dalej, nieśmiało już i podejrzliwie. — O czym ty mówisz?



— Wcale nie starasz się być szczerą. Starasz się być nie wiem jaką, tylko nie szczerą, więc nie zasłaniaj się szczerością, aby usprawiedliwić swój paskudny charakter.

— Nie rozumiem.

— Nie robisz tego?

— Nie wiem. Nie rozumiem.

— Nie rozumiesz? — pytam chłodno, a zemsta dodaje mi sił. Ona zaprzecza ruchem głowy. — Mówię o tym, że nie starasz się być szczerą, natomiast starasz się powiedzieć najbardziej gorszące i okropne rzeczy, jakie przychodzą ci do głowy, żeby mnie zranić i rozgniewać.

— Po co miałabym to robić?

— Rozgniewać do tego stopnia, abym zaczął krzyczeć i ukarał ciebie.

— Po co miałabym to robić?

— Bo taka jesteś.

— Dlaczego miałabym chcieć, żebyś mnie ukarał?

— Bo taka jesteś. Nie rozumiesz? Chcesz, żeby mnie zabolalo. Nie rozumiesz? Nie sądzisz, że ja to widzę?

— O czym ty mówisz?

— Właśnie o tym.

— Najzupełniej mi obojętne — mówi ona wyniośle — co ty czujesz.

— W takim razie — odpowiadam równie wyniośle — dla czego tak się wysilasz, aby mi to powiedzieć?

— O czym ty mówisz?

— O tym, że jeśli to, co czuję, jest ci naprawdę najzupełniej obojętne, to dlaczego tak się wysilasz, aby w ogóle do mnie mówić?

— A co mam robić?

— Chyba że o coś ci idzie.

— I ty się dziwisz, że obgryzam paznokcie, źle sypiam i jem za dużo?

— Nie zwalaj na mnie winy za swoje obżarstwo.

— A za resztę?

— Ja się też obżeram.

— Nie masz o mnie zbyt wysokiego mniemania, prawda?

— W tej chwili nie. A jakie mniemanie sama masz o sobie?

— Chciałabym tylko szczerze porozmawiać.

— Tere-ferre kuku.

— Chcesz, żebym była z tobą szczerą, prawda?

— Nie.

— Nie chcesz?

— Oczywiście że nie. Po co mi to?

Przechytrzam ją zawsze nieoczekiwaną odpowiedzią w tym duchu, na parę minut odbiera jej to mowę, zaczyna się jąkać i coraz bardziej żałuje, że wtargnęła do mnie, aby mnie rozjątrzyć. Jeśli decyduje się dalej ciągnąć ten pojedynek, czyni to głosem nieśmiałym, ledwie słyszalnym (udaję, że nie słyszę, każę jej powtórzyć każde zdanie) albo wybucha namiętym, histerycznym bełkotem i wybiega zupełnie pokonana, kopiając jakiś mebel lub trzaskając drzwiami. (Bez trudu przechytrzam ją za każdym razem.) Biedaczka chyba nie umie wyciągnąć wniosków z tej nauki albo wyciąga, tylko coś ją pcha do samounicestwienia i kolejnych smutnych porażek, wobec tego powtarzamy wciąż te męczące, zabierające czas, poniżające (ona kpi ze mnie z powodu tego, że tyję. I łysieję. Ja odwajemniam się szybszą, ostrzejszą, logiczniejszą ripostą), „szczere” i „uczciwe” potyczki (które wszystkie wygrywam, chociaż potem czuję czasem, że odniosłem rany) o pieniądzu, palenie papierosów, seks, marihuanę, późne powroty do domu, brzydkie słowa, zadania szkolne, narkotyki, Murzynów, wolność (jej), wrzaski, dręczenie i ubliżanie matce.

— Co zrobisz — pyta podstępnie — jeśli przyprowadzę do domu czarnego kochanka?

To cios szczególnie wymyślny, wymaga błyskawicznego, zręcznego kontrataku, ogłusza nim i pokonuje matkę. Gdyż na to pytanie nie ma dobrej odpowiedzi, kusi mnie, żeby uznać jej zręczność: jeśli powiem, że miałbym coś przeciw temu, okażę się rasistą, a jeśli powiem, że nie mam, zarzuci mi, że się o nią nie troszczę. Żona poddaje się, traktuje to pytanie serio. Ja wychodzę cało z tej pułapki, bo ją omijam.

— I tak będę wymagał, abys sprzątała swój pokój — odpowiadam zręcznie. — Żebyś przestała czytać moje listy i pokazywać koleżankom moje salda bankowe.

Oczywiście, że jestem rasistą! Tak jak i ona. Kto nie jest, do cholery?

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie — jest na tyle inteligentna, by zacząć się dąsać. — Doskonale o tym wiesz.

— Przyprowadź go najpierw, potem zobaczymy — rzucam jej wyzwanie chichocząc, bo wiem, że na razie nie stać jej jeszcze na taki numer.

Wymaga już teraz, abym jej obiecał, że kupię jej samochód. Gotowa przyrzec, że za przestanie palić. Dawniej żądałem,

aby nie paliła, bo może dostać raka, ale te ciągłe kłótnie tak mnie wymęczyły, że gwizdzę na to, czy pali, mimo groźby raka. (Robiłem, co mogłem, przez jakiś czas jako troskliwy rodzic. I nic z tego nie wyszło.) Więc teraz ona pali nałogowo (jak twierdzi) więcej niż paczkę dziennie (jak twierdzi), ale nie wierzę jej, kłamie pewnie i na ten temat. (Kłamie notorycznie. Okłamuje też swoich nauczycieli.) Ale w domu nie pozwalam jej palić, wobec tego możemy z żoną udawać, że dziewczyna nie pali w ogóle. Zresztą może tak jest. (Kogo to w końcu obchodzi? Nie mnie. I nie lubię się zgrywać, że obchodzi. Gdyby nie mówiła nam o tym, nie musiałbym.)

— Palę — rzuca stanowczo. — Zaciągam się nawet. Już jestem chyba nałogową palaczką. Nie mogłabym przestać, nawet gdybym chciała.

— Sama decydujesz o swoim życiu — mówię łagodnie.

— Więcej niż paczkę dziennie, czasem dwie. Nie chciałbyś, żebym ukrywała to jak marny tchórz, prawda?

— Prawda.

— Co?

— Chciałbym.

— Chciałbyś?

— Oczywiście.

— Żebym była marnym tchórzem? ✂

— Tak.

— Co to znaczy? — oczy zachodzą jej mgłą niepewności, usta drżą. Znów ją przechytrzyłem.

— Chcę, żebyś była marnym tchórzem — mówię wesoło i biorę ją na cel. — Jeśli idzie o palenie papierosów i te brzydkie, wulgarne słowa, powiedzonka, którymi z taką rozkoszą publicznie się popisujesz.

— To ty się nimi popisujesz.

— Jestem dorosły. I mężczyzna.

— Mamusia popisuje się nimi.

— Nie takimi jak ty.

— Mamusia jest pruderyjna.

— A ty jesteś dzieckiem.

— Mam szesnaście lat.

— Piętnaście i pół. \*

— Prawie szesnaście.

— I co z tego?

— Nic innego nie możesz powiedzieć?

— Na przykład?

— Zawsze odpowiadasz krótko, kiedy rozmawiamy. Uważasz to za dobry chwyt.

— Bo jest.

— Jesteś ironiczny.

— Bądź marnym tchórzem — mówię sarkastycznie. — I nie mówię tego ironicznie. Ułatwi to nam wszystkim życie. Radzę ci to jak kumpel, jak prawdziwie kochający ojciec poradziłby swojej młodej córce. Wykradaj się jak marny tchórz na werandę lub do garażu, kiedy masz ochotę zapalić papierosa albo to zwariowane kadzidło, albo zrobić co innego w tajemnicy przed nami. I zamykaj drzwi swego pokoju, kiedy rozmawiasz przez telefon, żebyśmy nie musieli słuchać, jak skarżysz się na nas wszystkim swoim koleżankom ani widzieć tych szmatławych miłosnych powieściadeł, które czytasz zamiast lektury. W ten sposób znacznie więcej rzeczy ujdzie ci na sucho. Bądź dobrym tchórzem. Ale uważaj, abym ja się o tym nie dowiedział. Bo jak się dowiem, będę musiał zareagować jakoś. Będę musiał cię skarcić, gniewać się, ukarać cię itepe, ty będziesz nieszczęśliwa i ja też.

— Dlaczego ty? — chce wiedzieć.

— Bo jesteś moją córką. I naprawdę nie sprawia mi przyjemności, kiedy widzę cię nieszczęśliwą.

— Naprawdę?

— Tak.

— Ha!

— I jeszcze dlatego, że nie lubię marnować tyle czasu na kłótnie z tobą i sztorcowanie ciebie, bo wolałbym robić co innego.

— Na przykład?

— Wszystko jedno co.

— Co?

— Pracować. Poczytać.

— Dlaczego mówisz takie rzeczy? Dlaczego jesteś taki? (Sam nie wiem.)

— Jaki?

— Dobrze wiesz.

— Nie wiem. (Wiem.)

— Dlaczego jak tylko mnie' pochwalisz, to od razu to odwołujesz?

— Pochwałę?

— Zawsze musisz mieć osłUnie słowo, co?

— Nie.

- Widzisz?
- Nie powiem już ani słowa.
- Teraz próbujesz obrócić wszystko w żart, może nie? — mówi córka z wyrzutem. — Ty zawsze musisz się wyśmiać ze wszystkiego, prawda?
- (Odczuwam skruchę. Trochę się wstydzę. Ale staram się nie okazać tego.)
- Pozwól mi pracować — mówię spokojnie.
- Chcę z tobą porozmawiać.
- Proszę cię. Pracowałem, kiedy przyszedłeś.
- Czytałeś magazyn.
- To należy do mojej pracy. Muszę opracować program na nadchodzący zjazd koncernu i ułożyć dwie mowy.
- Gdzie to będzie? Ten zjazd?
- Znowu w Porto Rico.
- Pomóc ci układać te mowy?
- Nie. Nie sądzę. Na razie nie.
- Czy są ważniejsze niż ja?
- Chciałbym to dziś zrobić.
- Ale ja chcę z tobą teraz porozmawiać.
- Nie teraz.
- Dlaczego?
- Bo nie.
- Dlaczego?
- Nie.
- Nigdy nie chcesz porozmawiać ze mną.
- Proszę cię, idź już.

(Wiem już, że nie mam wspólnego języka z dziećmi, nawet własnymi, i nie lubię zapuszczać się z nimi w długie dyskusje. Naprawdę przebywanie z dziećmi dłużej niż parę minut na raz męczy mnie. Nie potrafię się zainteresować tym, co mówią, ani wymyślić czegoś, co by je zainteresowało. Nie wysilam się już.) Czasem, kiedy córka jest w dobrym humorze (nie wiadomo dlaczego), kiedy czuje się bardzo silna i pewna siebie, wpada do mojego gabinetu bez żadnego pretekstu, nie przeprasza, jak gdybyśmy byli w najlepszej komitywie, sadowi się z wielką pewnością siebie na tapczanie, jakby się szykowała do długiej rozmowy na najwyższym szczeblu, i zaczyna skarżyć się na matkę; popełnia wielki błąd, bo liczy, że chętnie znajdę w niej sprzymierzeńca, ponieważ tak często kłócę się z żoną. (Nie pozwalałam jej mówić lekceważąco o matce, powinna to przecież wiedzieć.) Kiedy była małutka, brzmiało to zabawnie

i nad wiek mądrze, zachęcałem ją do wyszukiwania wad w matce (żona też się tym zachwycała, bo dziecko naprawdę było bardzo rozgarnięte i zabawne), może właśnie dlatego tak często wraca do tego tematu teraz. Ale teraz to mi się już nie podoba, bronię żony (nawet kiedy skargi i ostra krytyka córki są słuszne i zgodne z prawdą). Czasem przerywam jej na samym początku i wyrzucam ją z pokoju z surowym upomnieniem. Córka doskonale mnie rozgryzła: bywają chwile, kiedy po prostu nie chcę z nią rozmawiać. (Jest taka zadziorna i przygnębiająca. Syn jest o wiele łatwiejszy w obcowaniu, wszyscy to przyznają. Jest znacznie bardziej prostolinijny i szczery, o wiele sympatyczniejszy, nigdy nie cieszy się nieszczęściem innych, jak ja i córka, kiedy widzi czyjeś cierpienie, poważnieje i martwi się, ciągle się boi, czy w wirze rozpętanych koło niego wydarzeń coś nie zagraża jemu.) Bywają teraz okresy, kiedy mam jej absolutnie dość i ani sekundy dłużej nie zniósłbym jej narzekania na mnie: że jestem złym ojcem, a żona złą matką, nasz dom złym domem rodzinnym, nasza rodzina złą rodziną, a Derek (nasze dziecko idiota) i my wszyscy rujnujemy jej życie — nie mogę tego słuchać, choćby to była prawda. I co z tego? Co z tego, że to prawda? (Moja matka nie była

O wiele lepsza czy ojciec o wiele gorszy, cha, cha. Niewiele przebywał w domu po śmierci. Cha, cha.) Może to moja wina, że córka tak źle się uczy, że brak jej pewności siebie, że obgryza paznokcie i źle sypia, może to nawet moja wina, że je za dużo, jest otyła i zadręcza się tym. I co z tego? (I ja mam coś w pogotowiu na swoje usprawiedliwienie.) Co komu z tego przyjdzie, że się o tym dowie? Nawet kiedy przyznaję jej rację (często robię to tylko dlatego, aby wytrącić jej broń z ręki i zbić ją z pantafyku), to i tak niczego nie zmienia i wcale nie ułatwia jej życia. Więc po co ona ciągle o tym mówi? To takie nudne — nigdy nie prowadzi do niczego — po prostu nudziarstwo doprowadzające mnie do obłędnej irytacji (ona oczywiście właśnie na to liczy, tylko to może w tym okresie osiągnąć w życiu: gwałtownie i okrutnie mnie rozzłościć, abym zaczął się jękać, zapluwać, krzyczeć i rzucać z pasją oskarżenia, których nie można zakończyć pełną godności, gramatyczną logiką i które wywołują wstrętne, nieomyślny błysk mściwej satysfakcji w jej chytrych oczach).

(Czego ona ode mnie chce?)

— Wiesz — zaczyna z podstępym spokojem — naprawdę nie mam już nic wspólnego z mamusią. Ty też chyba nie masz.

Nie rozumiem, dlaczego się z nią nie rozwiedziesz? Przecież jesteście jak dwa bieguny.

(Ona nie wie nawet, co to znaczy być jak dwa bieguny.) Jeżeli (ku jej wielkiemu zdumieniu i żalowi) z miejsca jej przerywam i wyrzucam ją z pokoju, może od razu pójść do żony (nagle ogromnie dla matki serdeczna) i zacząć skarżyć się na mnie. (I ona twierdzi, że nie chce być nigdy marnym tchórzem!) Wówczas żona, którą córka z łatwością okręca sobie wokół palca, wpada nic nie podejrzewając do mego pokoju i zaczyna kruszyć kopie o dziecko, czerpiąc siły w tym przedsięwzięciu z własnej litości. Córka zaś uśmiecha się ukradkiem, trzyma się na uboczu i cieszy się z góry, przeczuwając awanturę, jaka między mną i żoną wybuchnie. (Natomiast syn jest przerażony, kiedy kłóć się z żoną czy córką, mierzi go to i wytrąca z równowagi.) Bardziej niż cokolwiek irytuje mnie i budzi we mnie nikczemną potrzebę zemsty beczelna mina radosnego oczekiwania na twarzy córki.

— Dziecko mówi — oświadcza żona — że właśnie wyrzuciła ją z pokoju. Przyszła porozmawiać z tobą, ale nie chciałaś jej wysłuchać. Twierdzi, że nigdy nie chcesz jej wysłuchać. Wyrzucasz ją, nim się odezwie.

Milczę chwilę, udaję, że myślę.

— Tak twierdzi?

— Tak.

— Aha.

— Nie wyrzuciłaś jej z pokoju?

— Wyrzucił.

— Aha.

— Naprawdę?

— Po co bym to mówiła?

— Aha.

— Więc?

— Więc? >

— Owszem.

— Co?

— Słyszałaś, co powiedziała? Wyrzuciłaś ją z pokoju.

— Tak było? — zwracam się do córki spokojnie, patrząc na nią z lodowatą pogardą.

— Nie wyrzuciłaś?

— Nie powiedziała ci przypadkiem — pytam żonę — o czym chciała ze mną pomówić?

— To nieuczciwe — wybucha przerażona córka. Jej wystraszone spojrzenie biegnie do drzwi, jak gdyby chciała uciec.

— Nie.

— Och.

— Co?

— Pomyślałem sobie, że może dziecko lekkomyślnie zapomniało powiedzieć ci o tym. Mianowicie, że nie bardzo by rozpacziała, gdybyś zachorowała, na przykład, i umarła. Nie powiedziała ci tego?

— To nieprawda! — krzyczy córka.

— Lub że nie bardzo by chyba rozpacziała, gdybyśmy oboje zginęli w wypadku samochodowym albo samolotowym jak matka Alice, diabli wiedzą, jak jej tam, albo wykitowali na skutek wylewu czy nowotworu w mózgu.

— Nic takiego nie mówiłam!

— Ale mogłaś powiedzieć. »■

— Nie powiedziałam. ,i

— Powiedziałaś.

— Nie o tym chciałam z tobą pomówić.

— Wiem. Dziecko chciało pomówić ze mną o tym, że ty i ja nie mamy z sobą nic wspólnego — zwracam się do żony — więc dziwi się, dlaczego ciągle jestem z tobą i nie staram się o rozwód. O tym chciałaś pomówić?

— Ja tylko tak zaczęłam.

— Nie o tym? No, to gadaj. O czym chciałaś ze mną pomówić?

— Nieważne — mówi córka cicho, zawstydzona, spuszcza jąc oczy.

— Ależ proszę cię — nalegam. — Pogadajmy. Chcę ci dać okazję, abyś porozmawiała ze mną, czego nigdy nie robię, według ciebie.

— Zostaw ją w spokoju — wtrąca się żona.

— Moja droga, ona chce nas rozłączyć. Nie rozumiesz?

— Dlaczego nie potrafimy być mili dla siebie? — zastanawia się żona, jakby mnie błagała z wrodzonej dobroci serca.

— Czy muszę wysłuchiwać podobnych frazesów?

— Co w tym złego? — odgryza się żona. — Co w tym złego, że chcę, abyśmy choć raz byli mili dla siebie, a nie brali się przez cały czas za łby?

— My się nie „bierzemy za łby" przez cały czas — mówi córka protekcjonalnie, z odcieniem ponurej pogardy (próbując w ten sposób z powrotem wcisnąć się jako moja sojuszniczka przeciw matce). Znam ten jej manewr. Rzuca mi szybkie spoj rzenie, aby sprawdzić, czy się jej to uda. Udaję, że nie do strzegam tego wstępnego posunięcia.



(Tyle korzyści ma żona z wrodzonej dobroci serca.)

— Jestem zmęczony — mówię z przesadnym westchnieniem.

— Bo za dużo pijesz przed...

— Jestem zmęczony — powtarzam stanowczo, bardzo głośno, aby zagłuszyć słowa żony — wysłuchiwaniami twoich uwag, że za dużo piję przed powrotem do domu, i jej wiecznych skarg na to, jakie z nas potwory i jak bardzo ona mnie nienawidzi. Znam lepsze rozrywki. Niech mnie nienawidzi. Proszę bardzo, jeśli myślisz, że to załatwi twoje kłopoty. Masz moje przyzwolenie. Nic mnie nie obchodzi, czy ona mnie nienawidzi. Ale obchodzi, do jasnej cholery, jeśli zjawia się tu, żeby mi suszyć tym głowę za każdym cholernym razem, kiedy zabieram się do pracy.

— Czytał pismo.

— Na tym polega moja praca.

— To nieprawda, że ona cię nienawidzi.

— Gwiżdżę. Jest mi to najzupełniej obojętne.

— I ludzie mówią, że jesteś taki inteligentny! — wykrzykuje żona.

— Co to niby ma znaczyć?

— Chce, abyś się nią zajął od czasu do czasu. Nie rozumiesz? I ludzie mówią, że jesteś taki inteligentny.

— Przestań!

— Tobie się zdaje, że jesteś zawsze taki mądry.

— Przestań!

— Doskonale. Ale gdybyś sobie zadał fatygę i przyjrzał się dziecku co jakiś czas, gdybyś wysłuchał, co ma do powiedzenia, przekonałbyś się, że wcale cię nie nienawidzi, ale kocha. Nie dajesz nawet po sobie poznać, że wiesz o tym.

— Okej.

— Dajesz jej odczuć, że ci się naprzykrza.

— Powiedziałem okej.

— Ona ciebie nie nienawidzi.

— Okej.

— Okej.

Odwracam się do córki, patrzę na nią z ciągle zaciętą, wzdargliwą i wojowniczą miną (nie składam broni, dopóki się nie przekonam, że się poddała). Ona stoi bez ruchu, jak gdyby pokornie czekała na wyrok. Czekam na jakiś znak od niej. Wygląda na pokorną i skruszoną. Może polegać tylko na sobie. Jej spuszczone oczy są poważne, wilgotne, zaciśnięte wargi drżą smętnie, jak gdyby starała się z całych sił opanować, ale

za chwilę załamie się na naszych oczach i zapominając o dumie wybuchnie rozpaczliwym płaczem. Jest zdenerwowana. Moja złość łagodnieje, czuję, że coś bezpowrotnie tracę (coś bardzo cennego odchodzi na wieki, ktoś bliski jest zmiażdżony), kiedy wpatruję się w jej bladą, spuszczoną, bezbronną twarz. Ja też jestem zdenerwowany. Nie potrafię wydobyć głosu (może faktycznie ją kocham) i przez sekundę dostrzegam w olśnieniu, że żona ma rację, że może córka wcale mnie nie nienawidzi, lecz kocha i chce mi to uświadomić (a może chce się też dowiedzieć, że dobrze o niej myślę). I wydaje mi się, że może bardzo mnie obchodzi, czy ona mnie nienawidzi, czy nie! (Nie chcę, aby mnie nienawidziła!) Myślę, że chyba zależy mi na niej, skoro zalewa mnie żal i litość na widok jej łzawej udręki (mnie też się zbiera na płacz), mam ochotę wyciągnąć ku niej ręce, delikatnie wziąć ją w ramiona, pocieszyć ją, wyznać swój błąd i przeprosić (lecz nagle czuję nieomylnie, że to tylko jej typowa sztuczka, że potraktuje mnie obelżywie, odskoczy ode mnie z urągliwą radością, jak tylko wyciągnę ku niej pocieszycielską dłoń, i jak półgłówek zostanę z rękami w powietrzu, zawstydzony i wściekły). Postanawiam jednak zaryzykować — taka jest żałosna i biedna, wiem, że poradzę sobie z obelgą, jeśli mnie spotka. Z czułym uśmiechem idę ku niej skruszony, wyciągam ręce, aby wziąć ją w ramiona, przeprosić i serdecznie przycisnąć do serca.

Odskakuje ode mnie ze złym uśmiechem.

Więc stoję jak głupi z rękami w powietrzu, ogłuszony i ogłupiały.

W tym momencie akurat żona wykrzykuje:

— Ona nienawidzi mnie! Nie ciebie! Ona nie cierpi mnie!

Odwracam się, z niedowierzaniem wytrzeszczam oczy na żonę. (Zapomniałem o jej istnieniu.)

— Nie słyszysz nigdy, co ona mówi? — wtrąca żona piskliwie, podbiega do córki, jakby ją chciała uderzyć. Córka odchyła się, ale nie cofa, obelżywie patrzy matce prosto w oczy, wyzywającym uśmiechem prowokuje ją, aby się posunęła do czegoś bardziej drastycznego. — Co ja ci kiedykolwiek zrobiłam?! — krzyczy żona. — Co ja kiedykolwiek jej zrobiłam, żeby musiała mnie tak strasznie nienawidzić? Spójrz na nią! Nie widzisz, jak patrzy na mnie?

— Oczywiście, do jasnej cholery! — krzyczę do żony. — Jak ci się zdaje, o czym ja właśnie mówiłem? Dlaczego ją wyrzucam z pokoju?

— Ty nie jesteś lepszy — oskarża mnie żona. — Ty też mnie nie kochasz.

— Jezu! — wyję.

— Nikt w tym domu nie dba o mnie — lamentuje żona. — Nikt nigdy mnie nie kochał. Przez całe moje życie. Nawet własna matka. Czy jestem takim potworem? Co ja kiedykolwiek zrobiłam tobie czy komu innemu, że tak bardzo mnie nienawidzicie? Co we mnie jest takiego potwornego, abyście mogli bezkarnie mną poniewierać? Powiedz!

— Och, gównu! — jęczę z niesmakiem.

— Nie odzywaj się tak do mnie.

— Czy muszę naprawdę spędzić resztę życia na takich paskudnych rozmowach?

— Co we mnie takiego paskudnego?

— Nic.

— Co ja robię takiego okropnego?

I znów zastanawiam się nad tym, po co, do jasnej cholery, zdolny, czytany, dość inteligentny, wrażliwy, niezłe prezentujący się facet na pomniejszym stanowisku dyrektorskim, któremu dobrze się wiedzie, który jest zdrow na ciele (jeśli nawet nie ma zdrowych zębów), dowcipny, ciągle jeszcze męski i pociągający dla wielu wrażliwych na męskość pań w moim wieku, a i dla znacznie młodszych — wdaje się w małostkową, bezcelową kłótnię z dwiema kobietami (dziećmi), jak moja płytka, lekko wstawiona, litująca się nad sobą żona (często łamię sobie głowę, aby dociec, co ja w niej widziałem przed laty, dlaczego myślałem, że ją kocham, i chciałem z nią spędzić całe życie, co w niej widziałem prócz dobrej, chętnej dupy, która i teraz nie jest taka zła, a na pewno bardziej chętna. Zważywszy wszystko, wolę nawet rąbać własną żonę niż te inne baby, chociaż większość takich, z którymi spałem ze dwa razy i częściej, też okazały się całkiem dobre i przez krótki czas raczyły mnie niespodziankami. Jane z pracowni graficznej będzie kłopotliwa — czuję to już teraz: jest naiwna, prosto-duszna, za dużo gada, stwierdzą, że ma czystą, gładką skórę, niemal śpiewną pod moimi dłońmi, lecz jest za młoda, za miła czy łatwowierna, abym ją mógł zrozumieć. Niektóre dziewczęta za głośno się śmieją prawie z każdego mojego żarciku i doprowadzają mnie do szału między jedną a drugą erekcją, kiedy spostrzegam, że zanadto się śmieją i za dużo gadają. I taka będzie młoda, rozkoszna, miła Jane. Wiem już teraz, jaka jest. Ale wiem też, że rzucę się na nią jak stary rozpustnik na

następnym przyjęciu w biurze albo i wcześniej, a potem pewnie nie będę chciał jej zatrzymać u nas, ona jest prezentem, który chcę sobie sprawić na Gwiazdkę w tym roku, może i wcześniej, jestem już w stadium zawijania jej w świąteczny papier) i moja przygnębiająca, egocentryczna, litująca się nad sobą córeczka, kiedy wolałbym robić co innego, skoncentrować na tych dwu sprawach, długą mowę muszę mieć na wypadek, gdybym zajął stanowisko Kagle'a jeszcze przed zjazdem i nominalnie został przewodniczącym zjazdu; oraz moją zwykłą, trzyminutową, nieciekawą mowę o planach i działalności mojego odcinka na wypadek, gdybym tego stanowiska nie dostał i pozostał w dziale Greena, który prawdopodobnie i tym razem nie da mi jej wygłosić. Nienawidzę Greena, nigdy mu nie daruję i nie zapomnę tego, że nie dał mi wygłosić mowy na ostatnim zjeździe. Właściwie nie chcę objąć stanowiska Kagle'a — nigdy nie paliłem się do takiej pracy ani do władzy nad takim dużym personelem — ale serce mi pęknie, jeśli mi teraz tego stanowiska nie dadzą: będę się czuł zdradzony i pohańbiony, będę się chciał skryć w mysiej norze, zalewać łzami i nigdy z tej nory nie wyleźć. Jestem zbyt słaby, aby nie przyjąć tego stanowiska, i zbyt próżny, aby pozostać obojętny na taki zaszczyt. Nie są mi nawet potrzebne te większe apanaże), obmyślić zmiany, które będę chciał zaproponować, kiedy mnie awansują. (Będę chciał udowodnić Baronowi i White'owi, że jestem przygotowany należycie. Niemal w każdym oddziale u nas są pracownicy, których będę chciał się pozbyć. Już teraz chciałbym móc pozbyć się Greena, aczkolwiek nie widzę nikogo, kto by mógł go zastąpić.)

— Powiedz — krzyczy piskliwie żona — co ja takiego robię?!

— Pchasz mi szyszkę w dupę — mówię. — Obie to robi cie — powtarzam, patrząc ostrzegawczo na córkę, aby jej nieomylnie dać do zrozumienia, że tym razem jestem wściekły i na nią, więc żeby nie okazywała lepkiej, przebiegłej uciechy, jaką okazuje zazwyczaj, kiedy lżę żonę.

— Nie wrzeszcz na mnie! — krzyczy żona.

— Nie wrzeszczałem. Mówiłem tylko dobitnie.

— Ja też potrafię krzyczeć, jeśli chcesz wiedzieć.

— Właśnie to robisz.

— I nie odzywaj się do mnie w ten sposób, w dodatku przy dzieciach. Nigdy, słyszysz? Nie dbam o to, jak się do mnie odzywasz, kiedy jesteśmy sami.

— Mianowicie?  
 — Przypomnij sobie, co powiedziałaś.  
 — Więc przestań to robić.  
 — Jesteś bardzo przemądrzała.  
 — Wiem.  
 — Nic dziwnego, że dzieci używają brzydkich słów, nauczyły się ich od ciebie. Nic dziwnego, że odzywają się do mnie tak ordynarnie.  
 — Przestań.  
 — Nie zniosę tego, abyś się do mnie odzywał z takim brakiem szacunku — mówi żona wściekle. — Nigdy więcej. Nawet kiedy jesteśmy sami. Nie zniosę tego. Słyszysz?  
 — Odpieprzcie się — mówię spokojnie. — Obie.  
 Żona jest dotknięta do żywego. Ma oczy pełne łez. (Natychmiast czuję skruchę. Czuję się malutki i zawstydzony.)  
 — Mogłabym cię za to zamordować — cicho mówi żona.  
 — To zamorduj — hecuję ją.  
 — Żebym tylko miała dokąd uciec.  
 — Znajdę ci takie miejsce.  
 — Żebym tylko miała własne pieniądze.  
 — Dam ci pieniądze.  
 — To ładnie — mówi córka cicho, rozdrażnionym tonem — kiedy ojciec tak się odzywa do piętnastoletniego dziecka.  
 — Jedź — zaczynam (i milknę, bo mi się chce śmiać, jej słowa są zabawne i miłe, mam ochotę jej powinszować) — do internatu.  
 — Żebym to mogła.  
 — Możesz.  
 — Zatrzymasz mnie.  
 — Już nie. I to ładnie — krzyczę teraz ja — kiedy piętnastoletnia córka odzywa się tak do ojca!  
 — Nic nie powiedziałam.  
 — Powiedziałaś...  
 — Zaczęłam tylko...  
 — ...i dobrze o tym wiesz. Mam... wiesz, co ci powiem, dziecko? Nie zgadniesz, co ja mam z tych twoich szczerych i uczciwych rozmów ze mną, których tak się domagasz.  
 — Przykrości, od których głowa ci puchnie.  
 — Zgadłaś. — Chciałbym ją rozśmieszyć. — Mam przerażenie bóle głowy — dodaję (pompatycznie, bo widzę, że chybiłem, rośnie we mnie i rozpiera mnie miłe oburzenie. Żal wprawia mnie niemal w zachwyt, więc energicznie ciągnę dalej, aby

zaznać słodczy zemsty). — Miewam przeraźliwe bóle głowy, od tych nowotworów i wylewów, którymi ciągle mnie obdarzasz. I klucia w piersi od zawałów, którymi wcale byś się nie przejmowała, jak twierdzisz, gdybym ich dostał. Ja bym się przejął swoim zawałem! Prawdę powiedziawszy, zaczynam czuć się cholernie nieszczęśliwy, słysząc bez przerwy, jakie wy obie jesteście nieszczęśliwe.

Żona i córka milczą, schylają pokornie głowy (zaczyna mnie zalewać radość, że oto ja mam rację, osładza ona nękające mnie poczucie krzywdy. Tak bardzo żal mi siebie, że to uczucie sprawia mi rozkosz nie do wytrzymania. Czuję się również mocny i wymowny, w skrytości ducha pragnę, aby Green czy kto inny, komu chciałbym zaimponować — na przykład Jane, White lub jakaś okropnie bogata piękność z cudownymi cycami i błyszczącymi włosami — mógł mnie widzieć w tej chwili w całej glorii mojej elokwencji i potęgi).

— Mam — powtarzam cicho, aby je zmylić — po dziurki w nosie waszego natręctwa, przychodźcie do mnie, kiedy wam się żywnie podoba, aby mi powiedzieć, jaki to ze mnie parszywy mąż i ojciec.

— Czytałeś tylko pismo — wtrąca żona.

— I ty też? — kpię z niej.

— Wychodzimy.

— To mój gabinet — przypominam jej zgryźliwie (i rozpaczliwie) ostrym, coraz wyższym tonem, kiedy zabiera się do wyjścia. — Nie uważasz? A skoro o tym mowa, to co wy obie, do cholery, robicie w moim gabinecie, kiedy mam tyle ważnych spraw na głowie?

— Co ważniejsze — pyta żona, popełniając błąd — twoja własna żona i córka czy te twoje ważne sprawy?

— Proszę cię, wyjdź. Nigdy więcej nie chcę słyszeć podobnych pytań.

— Doskonale. Idziemy.

— To idźcie.

— Chodź.

— Zostańcie! — krzyczę nagle.

'><'

— Idziemy!

— Zostańcie! — nakazuję.

— Przecież jesteśmy.

(Nagle obsesyjnie pragnę — bardziej niż czegokolwiek na świecie — żeby zostały, natomiast wyrzuciły z pokoju mnie. Z mojego własnego gabinetu. Sam nie wiem, dlaczego mam

łzy w oczach, nie ze złości, lecz zranionej dumy. To jakiś atak, któremu muszę się poddać.)

— To ja wyjdę! — krzyczę, kiedy ogłuszone wytrzeszczają na mnie oczy. Idę do drzwi ze łzami udręczonego cierpiętніка. — I przestańcie tu wstawiać ukradkiem coraz to nowe krzesła — mówię pochlipując.

— Co takiego?

— Dobrze wiesz, o czym mówię. Ciągłe mi zabieracie ołówki i nigdy ich nie zwracacie.

— O czym ty mówisz?

— Ile razy w tym cholernym domu jest remont, zwalacie tu na kupę mnóstwo krzesel. Jak gdybym ja tego nie mógł zauważyć.

Żona nic nie rozumie. Jestem zadowolony. (Mój atak sprawia mi prawdziwą rozkosz. Jestem małym chłopczykiem. Opuszczonym chłopczykiem, którego znam, który nigdy nie dorósł — nie i nigdy się nie zmieni, który odchodzi i wraca. Jest bardzo posiniaczony i bardzo samotny. Chudy. Smutno mi się robi, kiedy go sobie przypomnę. On żyje jeszcze, ale nie mam nad nim władzy. Nigdy nie dorósł. Nigdy nie odchodzi za daleko i zawsze wraca. Nie potrafię mu pomóc. Dzieli nas teraz pustka głęboka jak przepaść. On stale jest w pobliżu.) W pałacu chcę gwałtownie wybiec z pokoju, żona i córka stoją w milczeniu, przykute do miejsca, o tyle niżej ode mnie moralnie, ale w drzwiach dostrzegam syna, który się nam przygląda. Z rozpędu nadeptuję mu na nogę.

— Auu! — krzyczy syn.

— Och!

Czekał ukradkiem za drzwiami i wszystko słyszał.

— To nic — zapewnia mnie zdyszany.

Trzyma się za nogę, podskakuje niezdarnie, odsuwa się ode mnie, przyciska do framugi, jak gdybym umyślnie nadepnął mu na nogę i zamierzał to powtórzyć.

— Boli? — pytam.

— W porządku.

— Ale czy boli? Przepraszam.

— W porządku! Poważnie. Nie boli!

— Niechący. Dlaczego pocierasz kostkę, jeśli nie boli?

— Bolało troszkę. Przedtem. Już w porządku. Poważnie.

Naprawdę. — (Strwożony błaga, abym uwierzył, że nic mu nie jest, żebym nie przygniatał go swoją nadmierną troską. „Proszę mnie zostawić w spokoju”, oto, co krzyczy do mnie naprawdę

z pasją, świadomość tego jest jak cios w samo serce. Cofam się o krok.) — Popatrz — mówi nieśmiało i pokazuje nogę.

Opuszcza ją, ostrożnie próbuje na niej stanąć, chce mi udowodnić, że może stać o własnych siłach. Dostrzegam malutki znak na jego nodze, niewielkie białe zadrapanie zrobione kantem mego buta, malutką ranę na jego kostce, nic poważnego. (Jest prawdopodobnie jedyną osobą na świecie, którą bardzo chciałbym uchronić od cierpienia i krzywdy. A jednak ustawicznie chybiam, nie potrafię mu jakoś pomóc, natomiast krzywdzę go. Dzieją się z nim rzeczy, wobec których jestem bezradny i których często nawet sobie nie uświadamiam z góry, dostrzegam je po fakcie, kiedy jest już za późno, aby coś zrobić. Czasem śni mi się, że on jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie, ja zaś nie mogę dość szybko ruszyć mu z pomocą. Moje uda ważą tony. Stopy jakby mi wrosły w ziemię. On ginie, ale to ja przeżywam tragedie w tych snach. On cierpi już na jawie ukryte tortury, których nie chce wyjawić, oraz takie, których nie potrafi zrozumieć lub opisać. Boi się wojny i przestępstw. Onieśmielają go ludzie w mundurach. Boi się kradzieży: sam coś ukradnie lub jemu coś ukradną.) Łapie oddech, jakby mu trudno było oddychać, i jest żółty jak wosk ze strachu, kiedy tak stoi przede mną, bo widzi, że i ja mu się przyglądam (delikatne owalne cienie pod jego oczami są patologicznie sine), trzęsie się, jest bardzo oszołomiony, czeka, żebym coś zrobił, zanim on rozleci się na kawałki, abym natychmiast wyciągnął ręce i podtrzymał go. (Nie robię tego. Znow nęka mnie wyuczucie, że jeśli wyciągnę ku niemu dłoń, pomyśli, że chcę go uderzyć, i przerażony odsunie się ode mnie. Nie rozumiem, dlaczego on tak często myśli, że chcę go uderzyć, kiedy nigdy tego nie robię i nie zrobiłbym; nie rozumiem, dlaczego i on, i córka myślą, że biłem ich często, kiedy byli mali, skoro nigdy żadnego z nich chyba nie tknąłem. Syn potrafi mnie zranić z różnych powodów, których się nie domyśla i wobec których jestem bezradny. A może się domyśla. I zadaje mi ból umyślnie. Myśląc o nim identyfikuję się z nim.) Wiem, dlaczego on się w tej chwili trzęsie, dlaczego wierci się zakłopotany i nerwowo, bezwiednie skubie niewielką wypukłość penisa w spodenkach, jak gdyby bardzo mu się chciało siusiu. Wiem, że wydałem mu się ogromny, kiedy gwałtownie ruszyłem do drzwi i nic nie widząc nadepnałem mu na nogę. Wydałem mu się nieludzkim olbrzymem, monstrualnym, czarnym, owłosionym, płaskostopym tyranem, jak postać ojca na obrzydliwym rysunku testu



Rorschacha (latający kogut na innym rysunku nie jest jedynym brzydkim symbolem obrośniętego stworzenia).

— W takim razie dlaczego masz taką nieszczęśliwą mi-  
nę? — pytam nieśmiało. — Jeżeli cię nie boli?

— Bo krzyczysz.

— Nie krzyczę.

— Krzyczałeś. Przed chwilą.

— Ale teraz nie krzyczę. I nie krzyczałem na ciebie —  
staram się go uspokoić ze śmiesznym ferworem. Chcę, żeby  
i on się uśmiechnął. (Nie mogę spokojnie patrzeć, jak się  
martwi, zwłaszcza przeze mnie. Muszę poskramiać wściekłość  
na niego, kiedy widzę, że nie cieszy się życiem i nie jest mu tak  
dobrze ze mną, jak bym sobie tego życzył.) — Czy krzyczałem  
na ciebie?

— Nie — odpowiada szybko i znów zaczyna się wiercić  
(jak gdyby usiłował wyrwać nogi z podłogi i odlecieć), nerwowo  
poklepuje sobie kolana drżącymi rękami. — Ale będziesz na  
mnie krzyczał — zgaduje sprytnie z błyskiem zrozumienia  
w oczach. — Prawda?

— Nie, nie, nie, nie. Nie będę na ciebie krzyczał.

— Będziesz. Wiem, że będziesz.

— Nie będę. Dlaczego miałbym na ciebie krzyczeć?

— Widzisz? Mówiłem.

— Wcale nie krzyczę!

— Krzyczysz.

— Nie krzyczę.

— Czy tatuś nie krzyczy?

— Sam nie wie, co robi.

— Wspaniale! — chwale ironicznie żonę. — To nam pomo-  
że się uspokoić.

— Wiesz, jesteś niemożliwy, kiedy wpadasz w taką furję.

— Jestem możliwy.

— Jest możliwy — ponuro wtrąca córka.

— Teraz będziesz na mnie krzyczał? — pyta syn.

— Wcale nie. Mówiłem głośno, żeby to wypadło dobitnie —  
wyjaśniam mu prawie szeptem, siłąc się na uśmiech i spokój,  
który doprowadziłby nas do zgody. Przykucam naprzeciw  
niego, moja twarz jest niemal na poziomie jego twarzy, patrzę  
mu znacząco w oczy. Pozwala mi ująć się za rękę. Czuję pul-  
sowanie w tych rękach, podrygują jak rybki. (Wszyscy w mojej  
rodzinie prócz mnie trzęsą się w domu, a przecież wcale tego  
nie chcę. Często jestem ponury, naburmuszony, pojękuję

i chciałbym być gdzie indziej. Ale trzęsę się poza domem.,  
W biurze. We śnie. Kiedy czekam na samolot i nikogo przy  
mnie nie ma. W nieznanach hotelach i miastach, których nie  
lubię, chyba że się zaleję w trupa i mam przy sobie znośną  
dziewczynę czy kobietę, która może pozostać ze mną prawie  
całą noc. Nie lubię być sam w nocy i zawsze zostawiam palącą  
się lampkę, jeżeli muszę być sam. Nie jest lepiej, jeśli jestem  
wyczerpany, nawet gorzej, bo wcale nie śpię mocniej, jestem  
tylko mniej odporny i wypruty z sił. Osaczają mnie wstrętne  
myśli, przenikają do świadomości jak falanga wszy lub niewiel-  
kich, żukowatych, gryzących owadów czy zwierzątek, ja zaś  
nie mam sił, aby je rozdeptać lub wcisnąć tam, skąd przyszły.  
Czasem staje mi w myśli pewne zwierzę, zakrada się w nocy,  
kiedy mam oczy zamknięte, i zżera mi twarz — ale to inna  
dziecinna historyjka. Moje sny są demoralizujące. Nie wyjawię  
ich. Boję się kastracji. Miewam sny o kastracji. Raz śniła mi się  
matka z nogami obrośniętymi czarnymi muszelkami, wiem już,  
co to znaczyło.)

— Nie bój się mnie, proszę cię — mówię do niego czule,  
niemal błagalnie. — Nie skrzywdzę cię ani nie przestraszę. Ani  
teraz, ani nigdy.

— W porządku — stara się mnie pocieszyć.

— Możesz mi zaufać. W tej chwili nie krzyczę na ciebie,  
prawda? Mówię cicho, prawda?

Syn nieufnie przytakuje (a mnie bierze chęć, aby znów krzyk-  
nąć, żeby mi uwierzył, że nigdy na niego nie krzyczę. Po-  
wstrzymuję się jednak. Nie chcę go znów przestraszyć. W ogóle  
nie chcę straszyć nikogo w domu, a kiedy to zrobię, zawsze  
żałuję i mam wstręt do siebie. Prawie zawsze. To znaczy, tylko  
wtedy, kiedy mi się uda rodzinę sterroryzować, bo jeśli mi się  
nie udaje, wpadam w szal. I w panikę. W tej chwili jest mi  
przykro, że ich nastraszyłem, więc choć zwracam się do syna,  
staram się jednocześnie przeprosić żonę i córkę. Niech wiedzą,  
że żałuję, ale nie powiem im tego. Chciałbym, aby mi wyba-  
czyły.)

— Dlaczego masz taką nieszczęśliwą minę? — pytam go  
niespokojnie, z lekkim naciskiem (błagam, żeby się uspokoił,  
poczuł przy mnie swobodnie i bezpiecznie, żeby był weso-  
ły). — Dlaczego masz taką nieszczęśliwą minę?

— Nic mi nie jest.

— Możesz mi zaufać — zapewniam go.

— Bo mam taką minę.

— Wcale nie krzychałem na ciebie przed chwilą — mówię tracąc panowanie nad sobą. — Czasem ludzie głośno mówią nie dlatego, że krzyczą na kogoś albo są źli, tylko dlatego, że chcą, żeby im wierzono. Chcą w ten sposób dobitniej wyrazić to, co mówią. Chcą być przekonywający. Właśnie to znaczy słowo „dobitnie”. — Milknę zirytowany, bo podchwytuję spoj rzenie, jakie syn rzuca siostrze, podnosząc oczy z dramatycznym wyrazem nudy (moje dzieci ostentacyjnie robią takie rzeczy, kiedy żona czy ja prawimy im kazania za coś, co naszym zdaniem jest dla nich niebezpieczne, albo zadreżamy ich radami i gradem tych samych pytań. W tej chwili wolę już, żeby się nudził i pokpiwał ze mnie, niż żeby był wystraszony. Więc ciągnę dalej spokojnie, z naciskiem, nie karzę go ostro, choć boleśnie mnie dotknął). — Właśnie o to mi chodziło, kiedy przed chwilą podniosłem głos. Mówiłem dobitnie. Chciałem, abyś uwierzył, że nie będę na ciebie krzychał i że nie gniewam się na ciebie. Tak samo rozmawiałem z mamą i siostrą — kłamię. — Wcale nie krzychałem na nie.

— Wiem — mówi syn. — Teraz już wiem.

— I nie krzyczę w tej chwili na ciebie, prawda?

— Nie.

— Więc miałem rację, tak?

— Tak. Wszystko w porządku.

— Dobrze. Cieszę się, że rozumiesz. I dlatego... — uśmiecham się kwaśno i wiem, że on zgaduje, jaki dowcip chcę powie dzieć, że mi przerwie i sam go powie. Czekam, aby mu dać czas.

— ...na mnie krzychałeś — kończy rozpoczęte przeze mnie zdanie.

— Właśnie — wybucham śmiechem.

(Obaj bardzo podobnie reagujemy z radości i smutku.)

— Czy ja też pcham ci szyszki do dupy? — mówi śmiało, korzystając z udanej poprzedniej riposty, przy czym rzuca szybkie spojrzenie na matkę z diabelskim błyskiem w oczach.

— Ludzie! — wykrzykuję. (Znów chciałbym wybuchnąć śmiechem, ale ta chęć ustępuje miejsca innej: chcę go chronić przed świętym oburzeniem żony, gotowej nakrzyzczyć na niego za to, że powiedział „dupa”. Więc szybko zaczynam się zgrywać, śmieję się, wykrzywiam usta z grymasem przesadnego oburzenia, zanim żona coś powie, i krzyczę: — Teraz mama nakrzyzczy na ciebie!

— Nie nakrzyzczy!

— Nie?

— Nakrzyczysz, mamo?

Ale żona jest w euforii (nie w furii) i śmieje się z ulgą (widzi, że i ja jestem wesół i już nie wściekam się na nią czy na córkę).

— Co za diabeł z ciebie, ty łotrze — sztorcuje go czule. — Wiedziałeś, że tym razem nie nakrzyczę na ciebie, kiedy po wiedziałeś to słowo.

— Jakie słowo? — pyta z miną świętego niewiniątka. — Dupa?

— Nie powtarzaj tego!

— Dupy?

i - " T  
„V T  
» '

Cała trójka histerycznie się zaśmiewa.

Córka traci panowanie nad sobą, zbija ją z nóg potężna fala radości, że tak nagle wykręciła się sianem z zażartej kłótni, którą rozpętała umyślnie, lecz w której tak szybko sama stała się kozłem ofiarnym. Wesoło wpada na brata, ściskają się wylewnie i dziko tańczą po moim gabinecie, potrącają nas, siebie samych, zbędne krzesła, które żona ciągle pakuje tutaj, kiedy nie wie, co z nimi zrobić. Syn jest z siebie ogromnie dumny, wyskakuje ze skóry z radości, że w szczęśliwej chwili powiedział brzydkie słowo, co mu się nie tylko upiekło, ale rozładowało atmosferę zajadłej złości, z jaką napadaliśmy na siebie, obudziło w nas ciepłe, serdeczne uczucia. I oto jesteśmy sobie bliscy, kochamy się, szanujemy, zachowujemy swobodnie. Dzieci skaczą, obejmują się i zaśmiewają. Ja przyglądam się im czule (jestem z siebie zadowolony, dobrotliwy). Cieszę się, że są moimi dziećmi.

— Jakie to naprawdę dobre dzieciaki — mruczy mi żona na ucho, abym tylko ja to słyszał.

Potakuję rozrzuwiony, zadowolony (z siebie i z niej). Obejmuję ją i przyciągam do siebie. Poddaje się chętnie, giętkim ciałem przytula do mnie uległe. Dostaję erekcji. Przesuwam dłoń po jej pośladkach okrągłym ruchem. Ona się odsuwa ode mnie.

— Później — mówi ostrzegawczo.

— W tej chwili — przekomarzam się z nią. •

— Zwariowałeś!

— Może później nie będę miał tego.

— Będziesz. Uważaj, żebyś miał — śmieje się. — Już ja się o to postaram.

Śmieję się razem z nią.

Tego rodzaju użyteczne przysługi regularnie i prostodusznie oddaje nam mój mały aniołek (— On nie jest prawdziwy — zawistnie skarży się na niego córka. — Nigdy nie jest podły. Nigdy się nie wścieka), któremu nie wiecie się lepiej niż nam wszystkim (może nawet znacznie gorzej, bo ma tylko dziewięć lat i tylu rzeczy się boi: przestrzeni, kidnaperów, rekinów, krabów, pijaków, gapiących się dorosłych, szeryfów, niechlujnych chłopców na posyłki, wojen, Włochów i mnie. Nie bardzo boi się potworów czy duchów, bo potwory i duchy są śmieszne. Boi się ludzi. Ucieka od kalek. Cieszy się, że są na świecie policjanci, bo ma ukrytą nadzieję, że będą go chronili przed wszystkim, czego się boi, nawet przede mną), a przecież potrafi nas złączyć, przypomina nam, kim jesteśmy i co wiemy o sobie, powstrzymuje mnie, żonę i córkę w odpowiedniej chwili od dalszych napaści i zmusza nas do odwrotu, budzi w nas ukrytą potrzebę miłości, tkwiącą w nas jak głęboka, otwarta rana, miłości do niego, a może i do siebie nawzajem, nie dopuszcza do tego, abyśmy świadomie, brutalnie i nieodwracalnie poszarпали się na sztuki w ferworze złej radości, jeśli nie okaleczyliśmy się jeszcze doszczętnie. Myślę, że on zbliża nas do siebie i trzyma razem jako rodzinę. (Często myślę, właściwie zawsze myślałem o tym, aby opuścić rodzinę. Córka nie może się doczekać, kiedy opuści nas, lub tylko tak mówi.) Wydaje mi się, że nasza rodzina się rozpadnie, kiedy on dorośnie i wyprowadzi się od nas. (Kocham go bardzo mocno i wiem, że on umrze.)

— Lubisz go więcej niż mnie — powiedziała córka.

— Nie — skłamałem, gdyż nie zawsze mam ochotę ją przechytrzyć, bo czasem wydaje mi się tak pozbawiona wszelkiej nadziei, że martwię się razem z nią, jakbyśmy stali nad otwartą trumną czy mogiłą, w której leży pogrzebana jej przyszłość. (Nie skończyła jeszcze słodkich szesnastu lat, ale czasem oboje mamy wrażenie, że wszystko już w życiu przegrała. Kiedy?) — Ale musisz przyznać, kochanie, że pod wieloma względami on jest o wiele miłszy od ciebie.

— Wiem.

Kłótnie rodzinne złośliwie sprowokowane przez córkę nie wydają nam się takie zabawne i nie zawsze kończą się łóżkowymi randkami dla mnie i żony i radosnym śmiechem dla dzieci. Te awantury są bardzo bolesne, zwłaszcza dla córki. Wolałbym, żeby zamiast nas hecować, pisała recenzje z książek lub układała łamigłówki z tysiąca kawałków, kiedy ma za dużo wolnego czasu. (Niechby się zakochała lub coś w tym guście.)

Lecz ona nie może się powstrzymać.  
(To jej nakaz wewnętrzny.)

Musi judzić jak ciemne, ponure, podkopujące stworzenie, posłuszne wewnętrznemu nakazowi, aby podważać i niszczyć. Ja (my) nie wiem, czego ona chce, co moglibyśmy jej dać (chciałaby być piękna, wiotka, błyskotliwa, sławna, bogata i utalentowana — czy można mieć do niej o to pretensje? My byśmy też tego chcieli. Może ona to wie. Ale nie nalegamy), a ona nam nie mówi. Sama nie wie. Zwierza się czasem szczerze i bez złości. Spowiada się. Stoi przed nami smutna, ze spuszczoną ze wstydu głową, słowa wyrywają jej się z dna duszy i spływają z ust cicho, żałośnie, rozpaczliwie i jednostajnie:

— Nie mam nic do roboty.

Kiedy nasza córka nie ma nic do roboty, łamie to serce żony. Nie dopuszczę do tego, aby złamało i moje.

Córka obgryza paznokcie, to też pewnie moja wina. (W ten sposób ma przynajmniej coś do roboty. Syn się garbi. Ja również.) Zaczęła obgryzać paznokcie, kiedy miała około pięciu lat. Syn ssał kiedyś we śnie kciuk i dorobił się białej opuchlizny (koloru grzyba czy łuszczącej się skóry) na stawie, przeszkadzało mu to w zabawie w ciągu dnia i przypominało, co się z tym palcem dzieje w nocy. Nie mogliśmy odzwyczaić go od tego. Wkładaliśmy mu cuchnący ochraniacz na kciuk, ale i tak go ssał. Spróbowaliśmy posmarować mu kciuk obrzydliwym płynem, którym bezskutecznie smarowaliśmy przed laty palce córki, aby oduczyć ją obgryzania paznokci. Nie pomogło, ona ciągle obgryza paznokcie. Nie wiem, dlaczego w końcu przestał ssać kciuk, nie rozumiem, jak zmusił się do tego w trakcie snu. (Często potrafię przerwać nieprzyjemny sen i budzę się na pierwsze jego złowróżbne oznaki, jak gdybym reagował na dobrze mi znany, pierwotny sygnał ostrzegawczy, jak dobry cenzor czy reżyser filmowy krzyczę: „Ciąć”, gdy tylko dostrzegę skrzywiony obraz w scenopisach moich snów, zmuszam te sny, aby się rozpoczęły na nowo i potoczyły inaczej. W takich chwilach mówię: — Och, nie! Tylko nie to znowu... — i czuwam nad swoją drzemającą inteligencją, dopóki sny nie napiszą dla siebie innych scen na inne tematy, które bardziej odpowiadałyby moim gustom. Wówczas mogę się odprężyć,

zapaść z powrotem w sen i puścić wodze marzeniom sennym. Potrafię przerwać takie niepożądane sny tylko w momencie zapadania w sen, kiedy nie utraciłem jeszcze świadomości. Często mi się to nie udaje, wówczas leżę w ciemności jak osesek bez kończyn, a sny toczą się swoim bezwzględnym porządkiem, jak gdybym był tylko umysłem, bezsilnym i pozbawionym ciała, albo oseskiem bez rąk i nóg, uwięzionym, nieruchomym w kołysce czy macicy. Nie cierpię takich snów. Zapominam je. Zostawiają ślady. Miewam je często. Kiedykolwiek zechcę.)

(Wiem tyle rzeczy, których boję się dowiedzieć.)

Moja córka marnie sypia i jeśli nie liczyć krótkich okresów wybuchowej wesołości, kiedy układa plany (które lęgną się w jej głowie nagle i z wielką siłą jak twory maligny), woli widzieć swoje możliwości w tragicznym świetle. Łatwo ją nastraszyć, często jest zdenerwowana. Prawdopodobnie jest dziewczicą. (Powiedziałyby mi, gdyby nie była. Powie mi, kiedy straci dziewictwo — wyobrażam sobie tę niedaleką chwilę coraz niechętniej i coraz częściej, ponuro oczekuję dnia czy wieczoru, kiedy wkroczy do mego gabinetu, aby mi dokuczyć tym wyznaniem. Co mam na to powiedzieć? Wyśmiałyby ją oczywiście, zbagatelizował ten incydent, aby nie pchnąć jej na drogę rozpusty i perwersji lub oziębłości czy abstynencji. Co za dylemat!

„Cóż, jestem pewien, że inne dziewczęta w twoim wieku też to robią, moja droga — słyszę sam siebie, jak mówię to z eleganckim spokojem, strzepując biały popiół wymagowanego cygara. — Wyobrażam sobie, że nie jesteś pierwsza, która to robi. Jak sądzisz?”

Co będę czuł naprawdę?) Brakuje jej pewności siebie, jak syn (oraz ja) boi się obcych i jest nieśmiała z nowymi znajomymi. (Ja jednak czasem znakomicie sypiam — choć lubię udawać, że cierpię na bezsenność — szczególnie, kiedy sypiam w domu z żoną, aczkolwiek walczę ze snem, dopóki powieki same mi nie opadną. Cha, cha. Kiedy sypiam z żoną poza domem, miewam koszmarne sny w pierwszą lub drugą noc, na ogół o tym samym: jakiś nieznajomy ukradkiem wchodzi przez drzwi, które zamknąłem na klucz, podchodzi do mnie — to włamywacz, gwałcień, kidnapier czy morderca — przeważnie jest czarny, ale nie zawsze, w ręku trzyma chyba nóż, chcę krzyknąć, ale nie mogę dobyć głosu. Ten koszmar śni mi się często w domu, mimo że starannie zamykam wszystkie drzwi, zanim pójdę spać. Śnił mi się niezliczone razy. Śni mi się od

wieków. Może coś bełkoczę, kiedy nie udaje mi się krzyknąć, bo żona budzi się, słysząc odgłosy mojej szarpaniny, woła mnie po imieniu i mówi — jak gdybym o tym nie wiedział — że miałem koszmary sen. Czasem podczas tej męki, kiedy coś zbliża się do mego łóżka, jakąś cząstką swej istoty wiem nieomylnie, co to jest, uspokajam się, że to tylko sen, coś we mnie czuwa z boku spokojnie, bez strachu, czeka radośnie, aby mój bełkot i rzucanie się obudziły żonę, która zawoła mnie po imieniu, potrząśnie mną i powie, że mam koszmary sen. Wydaje mi się, że ludzie mają więcej niż jeden mózg. Lubię straszyć żonę moimi koszmarnymi snami. Czasem, kiedy ona ma koszmary sen, mszczę się na niej, nie budzę jej, niech koszmar ją dręczy, jak długo mu się podoba, a ja wsparty na łokciu nie robię nic, tylko obserwuję ją z zadowoleniem. Niekiedy śni mi się, że robię siusiu, są to zabawne sny. Tak mi się wydaje. Kiedy śpiam poza domem bez żony, boję się często, że będę miał taki lub inny koszmarny sen. Kto mnie zbudzi? A jeśli nikt mnie nie zbudzi, to czy wyjdę z tego cały? Nie śni mi się ten koszmar, kiedy śpię sam. Czy będę się czuł skrępowany i będę przeproszał, jeśli zbudzi mnie ktoś z sąsiedniego pokoju lub leżący koło mnie? Często zdarza mi się teraz, że w momencie kiedy przyłożę głowę do poduszki, czuję się do tego stopnia rozbudzony, że przez całą noc niespokojnie przewracam się z boku na bok. Moje ciało — szczególnie nogi, ramiona i łokcie — są ciężkie i nieruchawe, miejsca sobie nie mogą znaleźć, moja dusza jest słaba, umysł nieodporny, podatny na emocje i zwidy. Jestem wobec tego bezsilny. W głowie kotłują mi się nieskładne myśli. Teraz w ciągu pierwszych kilku sekund orientuję się już, że nie zasnę, i nie staram się walczyć z bezsennością. To bezcelowe. Ulegam bezradny. Leżę zrezygnowany, pokonany, z zamkniętymi oczami, bo to łatwiej, i czekam, żeby rano mnie uratował albo sen zmorzył z nagłą po długich godzinach czuwania i wyrwał z burzliwych katarakt fantazji, furii, wspomnień i domysłów — bez najmniejszego znaczenia — które pędzą mi przez głowę, biedakowi, sztor-mowymi falami. Nie jestem już pewien, czy tak dobrze śpiam, aczkolwiek na ogół bardzo szybko zapadam w drzemkę po lunchu czy stosunku płciowym. Po bezsennej nocy budzę się rano i dziwię, że przecież spałem; często budząc się z głębokiego snu, kiedy nic mi się nie śniło, stwierdzam oszołomiony, jak daleko byłem od życia i jaki bezbronny byłem w regionach snu. Jak gdybym naprawdę bał się ciemności. Tak jak moja



córka. I syn. Jak bałem się w dzieciństwie. I później. A gdybym tak nie wrócił z tych regionów? Nie lubię być całkiem nieświadomy. Sny, nawet niesamowite i okropne, są moim jedynym punktem styczności z rzeczywistością w trakcie spania; pragnę ich; cieszę się nawet, jeśli w nocy boli mnie głowa; nie jestem na tym świecie. W takim razie gdzie? W jakiej teźce? Ostatnio zamartwiam się takimi rzeczami i martwiłem się w dzieciństwie. Ale kiedy byłem mały, martwiłem się więcej. O to, o co martwię się teraz. Na przykład, że będę kiedyś musiał poddać się operacji, samo cięcie, przebijanie i zszywanie są dość nieprzyjemne, lecz myśl o uspieniu, które eliminuje pracę umysłu, jest bardziej przerażająca. Gdzie ja będę w tym niezgłębionym, niewymiernym czasie między chwilą, kiedy włożą mi na nos i usta maseczkę i każą oddychać głęboko — jak zrobili w dzieciństwie, kiedy mi wycięli migdały i kiedy w wieku dorosłym wyrywali mnie, żonatemu już, dwa wrosnięte krzywo w szczękę zęby mądrości — a chwilą, kiedy pierwsza myśl ożyje w moim mózgu i cudem zmartwychwstanę niczym Jezus z pieczary lub Łazarz z grobu? Wydaje mi się, że we wszechświecie dzieje się autentyczny cud za każdym razem, kiedy budzę się ze snu. Co się dzieje ze mną, kiedy jestem siebie nieświadom? Dokąd odchodzę? Gdzie przebywam? Kto mnie strzeże, kiedy mnie nie ma, kto pilnuje, abym wrócił? Gdybym zmarł pod narkozą, byłbym z pewnością ostatnim człowiekiem, który by się dowiedział, że odszedłem. Kiedy mi się zdaje, że nie usnę, biorę środki uspokajające, które zażywa żona, liczę na to, że pomogą. Nie chcę brać środków nasennych, przywodzą mi na myśl staroświeckie zakłady pogrzebowe, gabinety dentystyczne, woskowe owoce, ich atmosferę i zapach. Dawniej, kiedy córka była malutka, przychodziła w nocy do naszej sypialni albo stawała w drzwiach salonu, jeśli siedzieliśmy z żoną do późna, materializowała się nagle, dziwnie, cichutko, ledwie dosłyszalnie szeleściła, tak że raczej wyczuwaliśmy ją, niż słyszeli, dopóki nie podnieśliśmy oczu i nie dostrzegli jej. Milczała, usta jej zdawały się nieme, odpowiadała pomrukiem na nasze surowe pytania, więc odnosiliśmy ją do jej pokoju, a rano nic nie pamiętała. Albo mówiła, że nie pamięta. Próbowaliśmy w swej niewiedzy łączyć te zdarzenia z wycięciem migdałów, ale zaczęły się wcześniej i nie było żadnych komplikacji ani w szpitalu, ani w domu, ani przed, ani po operacji. Rozczarowała się tylko. Przypuszczała, że to będzie inaczej. Po krótkim czasie przestała przychodzić

do nas w nocy. Więc szybko o tym zapomnieliśmy, skoro wyglądało na to, że jej przeszło. Syn też nie chciał po operacji migdałów być sam w swoim pokoju. I z nim podobno nie było komplikacji. Ale przez jakiś czas po operacji wślizgiwał się do naszej sypialni w nocy, układał się na dywanie w nogach naszego łóżka i tam usypiał. Nie chciał być sam. Jeśli zjawiał się, kiedy jeszcze nie spaliśmy, nakazywaliśmy mu wracać do siebie i pozwalali zostawić światło. Czasem krzyczeliśmy na niego, on jednak zawsze wracał albo próbował wrócić niezależnie od naszego strofowania, bardzo cicho i sprytnie wślizgiwał się do nas, był jak nowo narodzone, zalęknione stworzenie, zwił się w kłębek na podłodze koło naszego łóżka. Znajdowaliśmy go tam rano, leżał na boku jak dobrze rozwinięty płód, ssąc kciuk. Zaraz po przebudzeniu czekało nas bolesne odkrycie, pierwszy cios nowego dnia, że z nami w pokoju znajduje się jeszcze jakaś żywa istota. Kiedy zamykaliśmy przed nim drzwi sypialni na klucz, spał na progu. Jeśli ktoś z nas z jakiegoś powodu musiało wyjść w nocy z sypialni, potykaliśmy się o niego i omal nie krzyczeliśmy ze strachu. Baliśmy się wstać po ciemku z łóżka, aby nie nadepnąć na niego. Mogliśmy oczywiście pozwolić mu spać z nami i chcieliśmy tak postąpić. Ale lekarz nam zabronił. Przykro nam było patrzeć na małego w tym stanie. Nie chcieliśmy zamykać mu drzwi przed nosem. Teraz przykro mi, że to robiliśmy. Lekarz pewnie się mylił. Nie wiem, co powinniśmy byli zrobić.) Córka łatwo się obraża, jest podejrzliwa i najłagodniejszą uwagę dotyczącą jej osoby tłuma czy sobie jako napaść. Bezpodstawnie sama siebie pomniejsza i zażarcie oponuje, kiedy ją bronimy czy chwylimy. Czasem wybucha płaczem, jakbyśmy to my ją poniżali, a nie ona sama siebie. Ma niewątpliwy talent do stawiania mnie w kłopotliwej sytuacji. Nie jest ani taka wysoka, ani taka gruba, jak myśli, nie ma takiej tłustej cery, jak się obawia, i jest znacznie ładniejsza, niż przypuszcza. Właściwie jest całkiem przystojna. Nie wierzy jednak własnym oczom i nie potrafi uwierzyć nam.

Wszystkim swoim koleżankom zazdrości takiej czy innej zalety (figury tej, włosów tamtej, pieniędzy innej, inteligencji i talentów jeszcze innej), sama nie wie, którą chciałaby prześcignąć. (Ponieważ na swój wiek jest wysoka, czuje się jak niezdarny mamut. Kiedy była niższa od większości koleżanek, mówiła, że tylko bardzo wysokie dziewczyny są uważane za ładne. Kiedy była szczupła, mówiła, że jest jak deska i nie ma seksu. Teraz ma trochę nadwagi i dobrze rozwinięte piersi,

więc twierdzi, że jest niezgrabna i że chłopcy zakochują się tylko w szczupłych dziewczynach z płaskimi brzuchami.) To by było zabawne, gdyby tak mocno tego nie przeżywała. Nie umie się zdecydować, na przykład, czy chciałaby mieć piersi (cycki) większe czy mniejsze. (To też byłoby zabawne, gdyby tym sobie nie zaprzętała głowy, godzinami siedząc bez ruchu, ponura i zamknięta w sobie. Czasem nawet będąc z nami jest od nas nieskończenie daleko.

— O czym myślisz? — pytałem.

Teraz zamiast odpowiedzi otrzymuję jedynie wzgardliwe spojrzenie.)

Myśli, że do niczego specjalnie się nie nadaje, i to prawda. Ale co z tego? Co z tego, że nie ma określonych talentów, skłonności, urody czy ogłady towarzyskiej? A to, że ją to obchodzi. (Może i mnie. I żonę. Może daliśmy jej do zrozumienia, że nas to obchodzi. Gdybyśmy powiedzieli, że to wszystko nic nas nie obchodzi, uważałaby, że to ona nas nie obchodzi. Zjadła wszystkie rozумы. Jak mógłbym jej powiedzieć, że jest najpiękniejszą, najcudowniejszą nastolatką na świecie, kiedy i ja, i ona wiemy, że to nieprawda? Co mam powiedzieć, kiedy pyta, jak ona się przedstawia w porównaniu z dziewczętami górującymi nad nią tym czy tamtym?) To wszystko bardzo ją obchodzi. (I może mnie też.)

— Bardzo się na mnie zawiodłeś? — pyta co jakiś czas.

— Nie, oczywiście, że nie. Dlaczego miałbym być zawiedziony?

Ma mnóstwo kolegów, ale jest samotna i prawie nigdy się dobrze nie bawi. (Ta jej uparta niechęć do zabawy doprowadza mnie i żonę do furii, aczkolwiek staramy się tłumaczyć to sobie inaczej. Czasem jednak jestem na nią tak wściekły za to, że nie ma do roboty, że mam ochotę złapać moją ukochaną córeczkę za ramiona, potrząsać nią, walić ją w furii po twarzy i ramionach pięściami, krzycząc: „Ciesz się, do jasnej cholery! Ty samolubny potworku! Nie widzisz, że nas zabijasz?”

Nie zrobiłem oczywiście nigdy nic podobnego, nie wspomniałem nawet żonie, że mam ochotę to zrobić, wzdrygnęłaby się słysząc o tak brutalnej, ohydnej potrzebie, uważałaby mnie za człowieka nienormalnego, zdeprawowanego, aczkolwiek wiem, że i ona odczuwa taką nienormalną, okrutną chęć. Natomiast mój komentarz na temat wiecznego ciałkania się żony z córką był taki:

— Rozumiesz chyba, że tobie idzie o własne szczęście, nie o jej.

— Nieprawda — energicznie zaprzeczyła żona. — Nie sądzisz, że chcę jej szczęścia? Idzie mi o jej szczęście.

„Gówno prawda” — powiedziałem lub chciałem powiedzieć.

Bo to żona doprowadziła dziewczynę do histerycznego płaczu, kiedy nagle zaproponowała, że urządzi przyjęcie na jej szesnaste urodziny, bo choć nigdy o tym nie mówimy, faktem jest, że córka miewa okresy, kiedy nie ma wśród jej przyjaciół za dużo młodzieży, którą by lubiła lub która lubiłaby ją, więc trudno jej zebrać odpowiednie towarzystwo na przyzwoite przyjęcie, i z tego powodu, między innymi, tak bardzo się martwi.) Myśli, że jest nie lubiana. Łatwo nawiązuje przyjaźnie, które obojętnie zrywa. Ciągłe jest nieśmiała wobec chłopców. (Przypuszczam, że miała już co najmniej jedno niemile przeżycie seksualne i boi się następnych.) Kiedy jestem w domu, ona czuje się skrępowana wobec chłopców. Ciekaw jestem, czy żona wspomniała o tym przyjęciu zupełnie niewinnie, jak to wyglądało, czy też za jej propozycją kryło się chytre i może nieświadome okrucieństwo? Nie wiem. Prawdopodobnie powiedziała o tym w niewinności ducha, gdyż tęskni za podobnymi okazjami, przypominającymi jej własną młodość. Ona bawiła się jak księżniczka na przyjęciu wydanym przez jej matkę z okazji jej szesnastych urodzin albo myśli, że tak cudownie się bawiła. (Może wtedy czuła się po raz ostatni ważna.) Żona jest serdeczna, sentymentalna, skłonna w każdym dostrzec coś dobrego (kiedy pozwalam jej na to), widzi przeszłość w bardzo różowych kolorach, wobec tego jej wspomnienia często są nieścisle. Lubi myśleć, że kochała matkę, a przecież wie, że jej nienawdziła. Jej młodość była smutna, a nie szczęśliwa. Po dziś dzień nienawdzi młodszej siostry. (Ja przynajmniej zacząłem nienawdzić swojej matki dopiero wtedy, kiedy stała się dla mnie ciężarem, nie wcześniej. Sni mi się jeszcze i teraz, że tęsknię za matką, jestem mały, a ona gdzieś wyjeżdża. Budzę się z mokrymi oczami.)

Córka nie przepada za swoimi kolegami i koleżankami (arbitralnie obdziela ich łaskami, potem te łaski cofa), ja też za nimi nie przepadam, lubię tylko jedną jej koleżankę, starszą od niej o pół roku, wysmukłą, ładną, skrytą dziewczynę, która, jak mi się zdaje, flirtuje ze mną i prowokuje mnie. (Zachęcam ją do tego.) Córka mówi, że ta koleżanka nie jest już dziewczicą. Wygląda jak ktoś, kto to i owo już wie i czegoś się spodziewa,

i to ją różni od innych dziewcząt. Kiedy jestem w domu, nie spuszcza ze mnie oczu ani ja z niej. Nie wiem już, kto z nas rozpoczął tę grę. Chyba ja. (Może wyczuwamy w sobie jakieś pokrewieństwo duchowe, a ona myśli, że to ja flirtuję z nią, co nie jest wykluczone, lecz jeśli tak, to tylko żartuję. Mam nadzieję, że tylko żartuję.) Szesnastka byłaby za młoda nawet dla mnie. (Naprawdę? Ktoś przecież wkrótce zerżnie tę prowokacyjną, śliczną, rozpaloną dziewczuszkę, jeśli ktoś już tego nie robi, więc dlaczego nie miałbym to być ja, tylko jakiś nieopierzony, arogancki osiemnastoletni czy dwudziestoletni cwaniak, który nie cieszyłby się nią, nie zachwycał jak ja, nie odurzał jej pochlebstwami, nie omotywał drobnymi uprzejmościami, nie rozkoszował pikantną perwersją tego romansu w tym samym stopniu co ja? Nie jestem jednak pewien, czy chciałbym komukolwiek opowiedzieć o tym romansie.) Szesnastka jest stanowczo dla mnie za młoda (dość młoda, aby być moją córką, cha, cha), jestem zły, kiedy córka przychodzi z nami porozmawiać ubrana tylko w nocną koszulę czy szlafrok, przeważnie rozpięty u góry czy na dole. (Nie wiem, gdzie oczy podziać.) Albo zaraz wychodzę z pokoju bez wyjaśnienia (kipię ze złości, ale milczę), albo ostrym wściekłym tonem nakazuję jej włożyć szlafrok, siedzieć przyzwoicie, zapiać szlafrok pod szyją, przykryć kolana, jeśli chce z nami posiedzieć. Zawsze w takich wypadkach otwiera szeroko oczy ze zdumienia. (Nie rozumie chyba, co ja wyprawiam. A ja nie mogę jej tego wytłumaczyć, żonie też nie. Nie mogę uwierzyć, aby córka naprawdę była taka naiwna. Ale jakie inne wytłumaczenie istnieje?) Potem jestem na siebie zły za to, że tak wybuchnąłem. (Niewiele mogę powiedzieć na swoje usprawiedliwienie. Gdzie mam patrzeć, kiedy moja wysoka, dobrze rozwinięta córka przychodzi porozmawiać ze mną niemal w stroju Ewy, siada niedbale z szeroko rozstawionymi nogami w nie zapiętym szlafroku? Co mam czuć? Nikt mi nigdy tego nie powiedział.) Młodzież, zarówno chłopcy, jak dziewczęta, jest ponura, nastolatki, wśród których obraca się córka (żadne z nich nie jest szczęśliwe), są do siebie znacznie bardziej podobne niż dziewczęta i chłopcy, mężczyźni i kobiety pracujący w moim koncernie (choć może w oczach młodzieży my jesteśmy wszyscy na jedno kopyto). Nikt z nich nie czuje się przystosowany. (Ja tak, co nie świadczy najlepiej o przystosowanych, prawda?) Wszyscy są wyzywający, skwaszeni, zmęczeni i zubożeni. Przeważnie nic nie chcą robić. Nie chcą do czegoś dojść, kiedy

dorosną, nie mają ideałów. (Ja ich też nie mam. Nie widzę w tej chwili nikogo, kim wolałbym być raczej niż sobą, choć siebie nie lubię i nie jestem nawet pewien, jaki jestem.) Młodzież nie czuje się swobodnie z dorosłymi (ze mną), przybiera pozy, zgrywa się w naszej obecności, ucieka od ludzi, kryje się jak krety. Młodzi nie chcą, żeby dorośli słyszeli, co oni między sobą mówią. Dawniej myślałem, że udają, teraz sędzę, że są naprawdę cyniczni i zniechęceni, właśnie tacy, na jakich się zgrywają. Nie chcą w przyszłości być lekarzami ani lotnikami, ani mistrzami świata wagi ciężkiej w boksie. Naprawdę nie chcą być adwokatami. Nikt z nich nie chce być prezydentem Stanów Zjednoczonych czy szefem sztabu, prezesem rady naczelnej E. I. du Pont de Nemours i s-ka albo mną. (Dlaczego mieliby tego chcieć? Jest dość innych ludzi do ciężkiej roboty. Na przykład ja. Będę tyrał, bo teraz nie potrafiłbym już robić nic innego.) Mają powody do pesymizmu, ale jaka szkoda, że tak szybko dowiedzieli się o tym.

Niektórzy młodzi mają łatwiejsze życie od innych, ale to trwa dla nich bardzo krótko, nawet moja córka wylazi czasem ze swej skorupy, jest pełna życia i radości, dopóki coś jej nie zmrozi (czasem to jest coś tak nieuchwytnego, że nie da się nawet rozpoznać, jak gdyby zużyła swój zapas radości jak samochód zużywa paliwo), traci morale i wiarę w siebie, leniwie zanurza się z powrotem w bezpieczne bagno smutku, do którego się przyzwyczaiła. Niektórzy z jej znajomych chłopców chełpią się i zgrywają bardziej od innych, lecz ta poza pewnych siebie światowców jest najwyraźniej fałszywa. Gdyby było inaczej, gdyby faktycznie byli tacy ordynarni, samolubni, despotyczni i amoralni, za jakich chcą uchodzić, uważałbym, że są nieprzyjemni i nieznośni, bo widziałem z nimi córkę w zatłoczonych samochodach i wcale mi się nie podobało to, co widziałem lub wyobraziłem sobie, że widzę. (Ale co za różnica?)

Co za różnica, co ona już robi lub czego nie robi z tymi chłopcami, których tak łatwo mógłbym przestać lubić, a może i z dziewczętami (prawie wszystkie młode dziewczęta, z którymi ja robię te rzeczy, chełpią się, że raz przynajmniej spróbowały z dziewczyną) w tych zatłoczonych samochodach, którymi się rozjeżdżają do knajp z pizzą i ogłuszającą muzyką (przeważnie nie lubię tej ich muzyki, choć czasem udaję, że lubię, aby sprawić przyjemność córce) lub na prywatkach w czyimś mieszkaniu z taką samą ogłuszającą muzyką, gdzie zabawiają się po

ciemku — żeby tylko nie jeździli po wariacku, nie zabijali się i nie kaleczyli w wypadkach samochodowych?

(Co komu za różnica w naszych czasach, kto kogo rypie?)  
Za późno już, aby coś zmienić. Za późno już, jak mi się zdaje, żebym mógł ją powstrzymać lub zmienić, nie wiedziałbym nawet, jak się do tego zabrać. Coś się stało z moimi dziećmi, a ja nie potrafię tego zrozumieć ani temu przeciwdziałać. Chyba nie potrafię im pomóc, choćbym tego bardzo chciał.

— Słuchajcie — mówię do nich niespokojnie, błagając nie ma, aby pozwolili mi sobie pomóc. — Czym chcecie być, kiedy dorośnięcie? Co chcielibyście robić?

— Nie chcę wyjść za mąż — mamrocze córka — ani mieć dzieci.

— Chcę pracować na stacji benzynowej — mówi syn.

— To już coś — chwalebę go z odpowiednim spojrzeniem. Czemu nie? Miałby własny interes. To ma sens. Zyskowna koncesja. Exxon, Texaco, Sunoco, Shell, Gulf? To jest coś. Jakiś start. Okej. — Dlaczego?

— Bo lubię zapach benzyny.

Chryste!

— Jack, masz dzieci — zwracam się do Greena w biurze niemal zrozpaczony. — Są starsze od moich. Masz syna na uczelni, prawda? Czym on chce być?

— Samobójcą.

— Nie żartuję.

— Myślisz, że ja żartuję? Mam też na uczelni córkę. Ciągłe miewa skrobanki. Między jedną a drugą próbą samobójstwa. Puszczą się z włóczkami. Nie chcą z nią zostać. Dzieci trzy krotnie już usiłowały odebrać sobie życie. Tyle ja wiem. Raz żyletką, dwa razy narkotykami. Zupełnie w duchu Paula Revere'a. Oboje się narkotyzują. Moja druga żona też jest zwa-riowana. Tak jak jej matka. I moja. Przestałem się tym już przejmować.

— Przepraszam, nie wiedziałem.

— Zabierz się do roboty. To nie twoja sprawa.

Odpisał swoje dzieci na straty, włożył je do akt, zamknął w archiwum jako sprawy umorzone, które już go nie obchodzą. Ale ja jeszcze mam swoje dzieci, chcę je kochać, chronić przed każdym poniżeniem. (Chcę, aby uwierzyły, że je kocham.)

— Słuchajcie! — wykrzykuję do nich w rozpacz. — Nie musicie robić wszystkiego, co robią inni. Możecie być, czym chcecie. Pomogę wam. Nie musicie być harcerzami, grać w base-

bali, chodzić do szkółki niedzielnej ani nawet na wyższą uczelnię. Co chcielibyście robić?

— Ja chcę być harcerzem i grać w baseball — mówi syn.

— A ja chcę iść teraz do swego pokoju i słuchać płyt — mówi córka.

Boże drogi, więc to się już z nimi stało? Nic ich nie obchodzi. A może nie wiedzą, że coś się stało? Kiedy? Gdzie? Gdzie ja byłem, kiedy chłopak postanawiał, że chce być harcerzem i grać w baseball, a ona, że nie chce niczego innego, tylko pójść do swego pokoju, rozmawiać przez telefon i słuchać płyt? Czy już naprawdę za późno?

Za późno, abym mógł ją uratować lub choćby jej pomóc, ale nie sądzę doprawdy, czy wiedziałbym jeszcze, jak jej pomóc (potrafię tylko patrzeć apatycznie, jak ona się zamartwia po swoim). Tyle samo bym wskórał starając się ją zmienić teraz, co w przeszłości, kiedy była taka łatwowierna, poddawała się wpływom i chciała być miła. Robiłem, co mogłem: strofowałem, przekonywałem, krzyczałem, skamlałem, karałem, pochlebiałem i przymilałem się bez żadnego skutku, a może z wielką szkodą, aż pewnego dnia powiedziałem sobie, że to z mojej strony nie tylko hipokryzja, ale i bezcelowe, a więc głupie. I dałem spokój. (Teraz stwarzam pozory, że postępuję, jak nakazuje uświęcony obowiązek ojcowski. Przyznaję w duchu, że nie przejmowałem się tak bardzo, jak twierdziłem, jej wadami, błędami i sytuacjami, w jakie się pakowała i jakie zapowiadały niechybne nieszczęście. Uważałem, że jej nieposłuszeństwo i to, że mi nie chce wierzyć, to katastrofa. Teraz jej opór i brak szacunku dla mnie zagrażają mojej ojcowskiej pozycji.) O co mi chodziło, kiedy starałem się dalej na nią wpływać (jeśli nie o to, aby móc kiedyś powiedzieć, że próbowałem)? Wiem, że nie mam już nad nią żadnej władzy. (Gdybym wiedział, że zostanie narkomanką i zwykłą ulicznicą, byłbym bezradny, nie potrafiłbym temu zaradzić. Narzekałbym na swój los i przeklinał go, ale to by nic nie pomogło. Wobec tego nie próbowałbym niczemu zaradzić.) Ona nie wie jeszcze, że nie mam nad nią władzy, więc ja blefuję i na razie (w przyszłości będę jej niepotrzebny) ustaliliśmy jakiś *modus vi-yendi*. (Mam jeszcze tyle władzy, aby ją okaleczyć.) Czy to było moralne, zgodne z moim obowiązkiem i zdrowym rozsądkiem, że usiłowałem zrobić z niej osobę, jakiej nie lubię i jaką ona zapewne i tak nie mogłaby zostać? Wiem, jak to się skończy (i wcale mi się to nie podoba. Nie podoba mi się, że



to wiem. Ale co ja na to poradzę? Nic. Tyle wiem również). Ona już jest tym, czym jest, już zmierza do tego, aby zostać tym, czym być musi: dobrą lub złą albo dobrą i złą, i nie widzę już żadnej możliwości, abym ja czy ktokolwiek mógł jej pomóc lub ją zmienić. Będzie nerwową samotną współczesną kobietą. (Jest zbyt inteligentna, aby być głupia.) Jest o wiele sprytniejsza od matki, co oznacza po pierwsze, że (jak dotąd w przeciwieństwie do matki) będzie sypiała z cudzymi mężczyznami (i że niedługo będzie jej imponował własny). Nie potrafię temu zapobiec. Nie potrafię zwalczyć i unicestwić całej naszej kultury, otoczenia, epoki, przeszłości (zwłaszcza własnej przeszłości i otoczenia, a jej przeszłość jest tak nierozłącznie związana z moją), bo ja się do tego wszystkiego przystosowałem i zasługuję na pogardę. Dlaczego mam się spodziewać (lub nawet chcieć), że będzie inna niż dziewczęta i kobiety, które znam i lubię? (Rzecz w tym, że tamte nie są szczęśliwe.) (Ale kto jest?) Jeżeli ona nie pali jeszcze paczki papierosów dziennie poza domem w tym roku, będzie to robiła w roku przyszłym. A jeśli nie rznie się jeszcze z jednym czy kilkoma znajomymi chłopakami, będzie to robiła w przyszłości i razem z nimi weźmie udział w przyjętych popisach seksualnych.

— Ładne rzeczy mówisz o własnej córce — rzuca żona z obrzydzeniem.

— A jeśli to prawda?

— I tak nie powinieneś tego mówić.

(A przecież powiedzielibyśmy o niej to wszystko, gdyby nie była naszą córką, bo przecież snuliśmy takie uwłaczające domysły w stosunku do wielu przyjaciółek córki i córek innych rodziców, jej rówieśniczek lub młodszych od niej.)

To już nie jest kwestia moralności czy nawet decyzji — to tylko kwestia czasu. (A żona, która chciałaby romantycznie, aby było tak, jak być powinno, zapomina, jaka sama była w młodości. Woli zapomnieć, że i myśmy robili te rzeczy przed ślubem.)

Co za sens zamykać oczy na prawdę? Wiem, dokąd zmierza moja córka, wiem to od znajomych dziewcząt, które już tam dotarły. Nie będzie chodziła do kościoła, jak to robi jej matka. (Teraz chodzi co trzecią czy czwartą niedzielę jedynie dlatego, że chce udobruchać matkę, która będzie jej za to wdzięczna i spłaci jej ten dług wdzięczności z nawiązką. Podczas nabożeństwa śmieje się, wymienia wesołe, ukradkowe spojrzenia z bratem, który też już uważa ten niezwykle rytuał za cokolwiek

niemądry.) Zamiast chodzić do kościoła, będzie przez jakiś czas popijać whisky, potem przestanie, następnie znów zacznie popijać po wielu latach małżeństwa, a potem będzie już piła stale, jak to robi moja żona. Będzie miała dwoje czy troje dzieci, rozwiedzie się (nie tak jak moja żona), wyjdzie za mąż powtórnie, jeśli ona i dzieci będą jeszcze młode, kiedy jej małżeństwo się rozpadnie. Będzie paliła marihuanę (kto tego nie robi? Nawet snobistyczni panowie na szczeblu dyrektorskim w naszym koncernie palą teraz marihuanę, ja też, kiedy mam okazję na jakimś przyjęciu, na którym jestem bez żony), jeśli już tego nie robi; jeśli przynajmniej raz nie spróbuje marihuany czy haszyszu jeszcze będąc w szkole, będzie je paliła, kiedy wyśle ją na uczelnię i kiedy każda ciekawa poznana tam osoba będzie to paliła. Zostanie zerżnięta. (Nie można przemykać oczu na ten fakt, trzeba jej tylko życzyć, aby już od początku sprawiało jej to zdrową przyjemność. Ale niełatwo mi przychodzi życzyć jej tego. Mam nadzieję, że nigdy nie zechce mi się z tego zwierzać.) Na jakiś czas popuści wodze wszystkim hamulcom (i będzie myślała, że jest wolna), całymi nocami będzie się bawiła i gadała, będzie narzekała na profesorów i program studiów, żaden z przedmiotów nie będzie jej interesował, ale dostanie dostateczne z wszystkich przedmiotów minimalnie się przykładając do nauki, jeśli w ogóle nie odpadnie z samego przygnębienia i apatii (które okraśi mistycznymi, wzniosłymi nazwami w rodzaju wyższej inteligencji). Będzie eksperymentowała z pigułkami wzmacniającymi (podniecającymi), barbituratami (uspokajającymi), meskaliną, LSD, jeśli LSD jeszcze będzie modne; będzie brała udział w grupowym seksie (przynajmniej raz), uprawiała miłość lesbijską (przynajmniej raz, a drugi w obecności mężczyzny, występującego w charakterze widza i współuczestnika), będzie się przyjaźniła z pedałami, poetami, snobami, nihilistami i megalomanami, ubierała jak inne dziewczęta, będzie miała skrobanki (przynajmniej jedną albo też skłamię, że miała. Niemal każda młoda dziewczyna, którą poznaję teraz, miała przynajmniej jedną skrobankę albo tylko tak mówi, bo uważa, że musi się tym przechwalać wobec mnie), przez jakiś czas będzie sypiała z Murzynami, aczkolwiek żadna z tych rzeczy nie sprawi jej zapewne przyjemności, a może nawet nie będzie chciała robić tego wszystkiego. (Jest uparta i zbyt słaba, aby się przeciwstawić modom.) Zawsze będzie uprawiała jakiś rodzaj samoponizienia i samounicestwienia, jak nie ten, to inny, a jeśli będzie miała

szczęście, to po dwu i pół lub czterech i dwóch trzecich roku otrząśnie się z tego wyuzdania i upartego dążenia do samo-określenia, lecz będzie się czuła napięta, bezwartościowa, pusta, będzie ją gryzło sumienie z powodu porażki, bo szukała wszędzie i nie znalazła nic, zatraci swoje ego, rozpaczliwie będzie pragnęła spotkać jakiegoś przyzwoitego, wiernego mężczyznę, za którego mogłaby wyjść za mąż (takiego jak ja) i z którym mogłaby żyć szczęśliwie do końca swoich dni. Będzie pragnęła dzieci. (Nie spotka oczywiście takiego mężczyzny, bo nie jesteśmy tacy znów przyzwoici.) Mam nadzieję, że nie będzie się pocieszać narkotykami wytwarzającymi nałóg, że będzie mogła przestać używać tego czegoś, kiedy dojdzie do wniosku, że chce przestać. Mam nadzieję, że nie zajdzie w ciążę i nie będzie musiała mieć skrobanki. Mam też nadzieję, że nie będzie mi się z tego wszystkiego zwierzać. (Mam nadzieję, że nie spotka jej nigdy tak wielkie nieszczęście, o którym musiałbym się dowiedzieć. Mam nadzieję, że nie zginie w wypadku samochodowym.)

Znam ten wyboisty teren zbyt dobrze, wiem, że ona już nań wkroczyła, potyka się na nim i leci w dół, z ochotą i w tempie, których nie da się powstrzymać i które niezupełnie są od niej zależne (cokolwiek ona o tym myśli). Kości zostały rzucone (*alea iacta est*), aczkolwiek nie wiem, kiedy jej kości były mieszane w kubku lub kto je rzucił. (Wiem, że nie ja to zrobiłem.) Wiem, że musiałem jej wyrządzić straszliwą krzywdę, kiedy była malutka, ale nie pamiętam, co lub kiedy to było. (Przysięgam, że nie chciałem. Przyznaję, że czasem chciałem zadać jej ból, ale nigdy na serio, przysięgam, i nie na zawsze.) Moja córka stacza się już ku własnej zagmatwanej przyszłości, poraniona wpada z jednej przeszkody na drugą, a ja tak samo nie potrafię wstrzymać jej upadku, jak nie potrafię wstrzymać niesionego przez lawinę kamienia. (Gdybym spróbował, sam zostałbym zniweczony. Ona jest już w pędzie i wymknęła mi się.) Zarzuca nią, stacza się głową naprzód, absolutnie nie panuje nad sytuacją, wpada w etapy jałowego, niezrozumiałego zamętu, nieciekawe i niepociągające, ale dające jej sposobność postawienia na swoim i na przekór nam. (— Zastanów się konkretnie — prosiłem ją zgryźliwie — czym chciałabyś być. Co chciałabyś robić. — Gdyby ktoś spytał mnie o coś takiego, również nie znalazłbym dobrej odpowiedzi. Samobójstwo? Czemu nie? Co może być lepszego? Stacja benzynowa? Nie. Ale po co się spieszyć?

Gdybym nie zabawiał się z dziewczętami, gdybym musiał rozstrzygać w domu takie poważne problemy, to myślę, na rany Chrystusa, że moja pierdolona posada doprowadziłaby mnie do szału.)

Wydaje mi się, że córka i ja doszliśmy do jakiegoś milczącego porozumienia, jakiegoś *modus vivendi*, zrozumienia, że każde z nas odpisało już drugie na straty, że nic nas już nie łączy i tylko podtrzymujemy pozory, przestrzegamy powierzchownych reguł (jak odpisałem na straty matkę znacznie wcześniej, nim ją pochowałem, i jak ona postąpiła w stosunku do mnie, co zaczynam teraz rozumieć. Przejrzała mnie na wylot, jak sędzę, mimo że była stara i straciła mowę, pobbłażała mi i traktowała jak dziecko we właściwy sposób, to znaczy, godząc się na to, abym to ja pobbłażał jej i traktował ją jak dziecko, kiedy nikła w oczach w lecznicy pod koniec życia, a ja nie robiłem nic użytecznego, tylko znosiłem jej pikantne smakołyki i siedziałem przy niej przez jakąś godzinę, ciągle zerkając na zegarek i bełkocąc wesoło, oczywiste bzdury, których nie słuchała. Na taką tylko pociechę umiałem się zdobyć dla niej i dla siebie podczas ostatnich chwil, jakie mieliśmy spędzić razem na całą wieczność. Miałem, mieliśmy cudowną okazję, aby coś powiedzieć. Zmarnowałem ją. Teraz jestem pewien, że te przykre, puste odwiedziny były równie niemiłe dla niej jak i dla mnie. Odwiedzałem ją, gdyż była moją matką, ona znosiła moją obecność, jak sędzę, gdyż byłem jej synem. Zawsze była spostrzegawcza i umiała mnie przejrzeć), czekamy, córka i ja, zachowujemy pozory więzów rodzinnych. Ona mieszka z nami, trzyma się pewnych luźnych reguł, jada z nami kolacje; ja rozmawiam z nią, kupuję jej różne rzeczy i będę s»ę nią zajmował do czasu, kiedy na tyle dorośnie, żeby wyjechać na studia lub gdzie indziej, do czego rwie się tak bardzo i czego nigdy nie omieszka podkreślić.

— Wkrótce — powiada — może już na wakacje w tym roku, chciałabym zamieszkać sama. We własnym mieszkaniu czy pokoju. W centrum. Sama albo z koleżanką. A na jesieni chciałabym pojechać do internatu. Nie lubię swoich tutejszych koleżanek.

— Dobrze — mówię nieobowiązująco (i wiem natychmiast, że powiedziałem nie to, co trzeba. Nie chciałem tym razem być niemiły. Lecz moje słowa są dla niej jak żądło, znaczą, że się

jej wyrzekam, zaczyna mnie gryźć sumienie). — Poważnie, pomogę ci znaleźć dobre, bezpieczne mieszkanie, dam ci forszę na komorne i utrzymanie.

— Nie żartuję.

— Ja też nie.

— Ty żartujesz.

— Będzie ci potrzebna moja pomoc. Będę ci potrzebny do podpisania umowy dzierżawnej. Jesteś za młoda.

— Chcę żyć własnym życiem.

— Kto ci broni? — (Wiem, że to jeszcze jedna potyczka na spryt między nami.) — Możesz się od razu wyprowadzić, skoro ofiarowałem się płacić twoje rachunki i zgodziłem się na to, żebyś zamieszkała osobno.

Z łatwością potrafię w każdej chwili ją przechytryć.

(Nawet kiedy nie chcę. Nie potrafię zamilczeć.) Sam nie wiem, co innego miałbym zrobić, kiedy tak się boksujemy, a ona chce mi pokazać, że nie jest gorsza ode mnie. (Jest. Więc mam jej pozwolić wygrać?) Ranimy się nawzajem, ona zadaje cios, ja odpłacam ciosem. Zmusza mnie i żonę, abyśmy wydawali na nią poważne sumy, kupujemy jej rzeczy, którymi nie cieszy się, kiedy je już dostanie (manifestuje w ten sposób swoją władzę nad nami), pozwalam jej postawić na swoim bez sprzeciwu, komentarza czy skargi (to znów moja metoda, aby ją przechytryć. I wolę już wydać te nieznaczne, w końcu, sumy, niż wyklócać się z nią o pieniądze i w nieskończoność sprzeczać się z nią o to. Przekonałem się, że pokonuję ją zgodą na wszystko niemiłe, czego pragnie). Uważa, że jestem niedojrzały. Gryzę się, kiedy to słyszę (nawet kiedy ona mówi to z aprobatą, kiedy udaje mi się ją rozśmieszyć; drażni mnie, kiedy mówi, że nigdy nie dorosłem naprawdę, że jej zdaniem pozostałem wesoły i dziecinny jak mały chłopczyk. Syn czuje się często zakłopotany i obrażony, kiedy próbuję rozśmieszyć jego i córkę przy innych, kiedy zaczynam śpiewać, śmiesznie chodzić lub opowiadać kawały w windach, drugstore'ach czy supersamach), zastanawiam się (życzę sobie) gorzko po dręczących rozmowach z nią, zły, niezadowolony, pełen litości dla siebie samego, dlaczego ona nie zrobi mi tej przysługi i nie ucieknie gdzieś daleko jak tyle innych nieszczęśliwych dziewcząt w jej wieku (może byłoby mi przykro, gdyby to zrobiła. Nie w tym rzecz, że tęskniłbym za nią, bo i tak niewiele już mamy z sobą wspólnego, ale w tym, że musiałbym sobie zadać taki trud, z tyloma ludźmi niezręcznie pomówić o jej ucieczce), dlaczego

nie ułatwi mi życia i nie zostawi mnie w spokoju? Nie kto inny, tylko żona kładzie kres naszym sprzeczkom, zmusza mnie, żebym zamilkł i zastanowił się, kiedy w zacierzewieniu chcę zadawać ból, kiedy wściekłość zalewa mi mózg i płonę żądzą zemsty, to żona mówi coś, co wnosi jakieś światło, jakąś nadzieję, przypomina mi coś, czego mi nigdy nie wolno było zapomnieć. Mówi, że jestem głupi, nikczemny, samolubny, obłąkany, że jestem „marną kreaturą” (ogarnia mnie żal, że zaufałem jej kiedyś i powtórzyłem to, co matka próbowała chyba mi powiedzieć w lecznicy tuż przed śmiercią). I to moja ckliwa, zniechęcona, powtarzająca się i często bezmyślna żona, mimo że sponiewierana przez córkę, z którą też się nie patyczkuje, przywołuje mnie do porządku swoim bólem i współczuciem i zawsze powie coś, co kieruje moją uwagę na córkę. Ze łzami, płacząc cicho (żona wie, że nie mogę już znieść płaczących kobiet, i stara się nie płakać) przemawia mi do rozumu: — Przecież to jeszcze dziecko.

Córka jest jeszcze dzieckiem, a ja staram się ją przechytryć argumentami. (To silniejsze ode mnie.) Rozmawiam z nią jak z osobą dorosłą, jak z Kagle'em, Greenem, Jane czy żoną — inteligentnie, logicznie, gładko, uszczypliwie. Reaguję na jej humory, jakbym reagował na obraźliwe postępowanie osoby dorosłej, kogoś w moim wieku lub starszego. Staram się zbić ją z pantałyku i pokonać ją w debacie, zawsze chcę być górą, kiedy wymieniamy dowcipy i uszczypliwie żarciki, i na ogół to mi się udaje. (Jeśli nie potrafię być zabawniejszy, to potrafię być bardziej wściekły i w ten sposób wydrzeć jej zwycięstwo.) Wstyd mi, ale zapominam przy niej, że jest jeszcze dzieckiem. Bardzo mi zależy, aby ją pokonać we wszystkich naszych starciach. Ilekroć dyskutujemy o czymś lub kłócimy się, chcę, aby moje argumenty były najinteligentniejsze. (Współzawodniczę z nią.) Kiedy krytykuje mnie, skarży się na mnie lub żartuje na mój temat bez wielkiego szacunku (nawet nie złośliwie), czuję się tak samo dotknięty, poniżony i zdenerwowany, jak gdyby to Green wsadził mi ironiczną szpilę. (Ukrywam to przed nim i przed nią, choć podejrzewam, że Green zagląda mi do głowy i widzi dokładnie, co się tam dzieje. Czasem chce mi się wręcz płakać.) Dąsam się (i wydaje się, że to córka jest dorosła, a ja dzieckiem). W jakiś niesamowity sposób nasze

role się odwracają. (To ja jestem zależny od niej. Liczę, że mnie obroni, a ona mnie zawodzi. Zawraca mi tylko głowę swoimi kłopotami. Zabiera mi czas. Tylko mój synek daje mi jeszcze poczucie bezpieczeństwa. — Kogo lubisz? — mogę go w każdej chwili spytać zniecierliwie, z uśmiechem. — Kocham ciebie, tatusiu! — krzyczy radośnie i skacze ku mnie, aby mnie uściskać z taką pasją, że jesteśmy obaj przestraszeni. Ale dzieciak boi się pajaków i pszczoł — ja również — boi się, że złamię nogę w kostce, czuję, że będę z nim miał duże kłopoty. Ilekroć umarł mi przyjaciel czy krewny, ilekroć ukochana czy lubiana osoba wyjeżdżała gdzieś daleko, odczuwałem obok smutku ukrytą ulgę. Czułem się wyzwolony, z bezwstydnym westchnieniem ulgi mówiłem sobie w duchu: „Z tym przynajmniej już koniec. Ciekaw jestem, co bym czuł, gdybym stracił dziecko?”) Córka ciągle jeszcze potrafi mnie dotknąć do żywego, a ja ją (więc może nie całkiem odpisaliśmy sobie wzajemnie na straty. I może dlatego chcielibyśmy przestać istnieć dla siebie, bo zagrażamy sobie. Żona nie może mnie zranić. Córka może). Nie chciałbym jej skrzywdzić. I nie chciałbym, aby ona skrzywdziła mnie. Chciałbym, żeby mnie lubiła. (Chciałbym, żeby Green mnie lubił i wszyscy ludzie, jakich poznaję, prócz tych, których już znam, z którymi miałem do czynienia, których uznałem za nieważnych i wyrzuciłem z głowy.) Chciałbym, aby córka była mi posłuszna, żeby mnie podziwiała (ostro ją sztorcuję, kiedy jest niegrzeczna lub lekceważy mnie). Wpadam w szał, kiedy ktoś lekceważy mnie w domu (albo kiedy to robią kelnerzy czy inni ludzie, którzy z racji swego zawodu powinni mi służyć i być ulegli, aczkolwiek często nie reagują na obelgi podobnych typów i liżę swoje rany w ukryciu). Chciałbym, aby córka mnie szanowała i zawsze była dla mnie dobra. Niestety, tak nie jest.

— Mylisz się, jeśli myślisz, że ona ciebie nie lubi — powiada żona, kiedy zwracam się do niej czasem o pomoc i radę. — Uwielbia cię. Nie widzisz tego?

— Nigdy tego nie mówi.

— Ty też nie.

— Ja siebie nie uwielbiam.

— Wiesz, o czym mówię. Dlaczego kpisz, jeśli ci naprawdę na tym zależy?

— Ciągłe jest naburmuszona. Nawet kiedy nie jest zła na prawdę, tylko udaje, zaczyna w końcu naprawdę się złościć. Postępuje tak samo z tobą.

— Właśnie dlatego ona tak się przejmuje, kiedy gniewasz się na nią, nie zwracasz na nią uwagi albo wymawiasz się pracą, kiedy ona chciałaby z tobą porozmawiać.

— Nigdy nie ma o czym ze mną mówić tak naprawdę.

— Nie wie, co powiedzieć.

— Do mnie?

— Nie wie, co mogłoby cię zainteresować.

— Niech spróbuje.

— Chciałaby ci zaimponować.

— Nie musi.

— Dlaczego jednak próbuje porozumieć się z tobą? Traktujesz nas jak natrętów i żalujesz, że nie jesteś gdzie indziej. Mnie też tak traktujesz.

— Przestań. Nie mówimy w tej chwili o tobie. Bo naprawdę zacznę żałować, że nie jestem gdzie indziej.

— Przepraszam, nie chciałam tego powiedzieć.

— Chciałaś. Inaczej byś nie powiedziała.

— Chcesz się mnie czepiać?

— Ona tylko powtarza w kółko, że nie może mnie znieść, potem przychodzi do mnie, aby mi oznajmić, że nie może znieść ciebie, i aby wszcząć ze mną kłótnię o byle co.

— Bo nie wie, co innego ci powiedzieć.

— A co ja mam zrobić?

— Jest nieśmiała.

— Ze mną?

— Dlatego tak często przychodzi do ciebie, żeby ci przeszkodzić. Chce, żebyś się nią trochę zajął, żebyś jej powiedział, że jest ładna.

— Nie jest zbyt ładna, kiedy mówi te okropności.

— Nie uważasz, że i tak jest ładna?

— A ty jak uważasz?

— Mogłaby być. Uważam, że mogłaby być bardzo ładna, gdyby trochę schudła i zadbała o cerę i włosy.

— Dlaczego karmisz ją tak tłusto i zawsze masz placek, czekoladki i lody w domu?

— Masz rację. Sama nie wiem dlaczego. Zapominam.

— Nikt w domu nie chce tego jeść prócz ciebie i jej.

— Więcej tego nie będzie.

— Nie wiem, co jej powiedzieć.

— Ona nie wie, co powiedzieć tobie.

— Nie wiem, co jej powiedzieć, kiedy skarży się, że jest gruba i brzydka, kiedy żąda, abym jej uczciwie powiedział, czy



uważałbym, że jest ładna, gdyby nie była moją córką. I czy lubiłbym ją! Ona dobrze wie, że nie jest ani gruba, ani brzydka. Więc co mam jej powiedzieć?

— Nic innego nie przychodzi jej na myśl. Boi się powiedzieć co innego. Ja też nie wiem, jak do ciebie mówić. I z nią też trudno mi rozmawiać.

— O czym ty mówisz?

— Nikt w domu nie wie, jak do ciebie mówić. Tak łatwo wpadasz w złość. Dostajesz szału.

— Przestań!

— Tak jest naprawdę. Czujemy się przy tobie jak durnie. Starasz się o to.

— Nie jestem takim potworem.

— Może gdybyś wracał wcześniej do domu i nie sypiał tak często gdzie indziej.

— Co to ma wspólnego z tym, o czym mówimy? Pracuję do późna.

— Albo wracał do domu rzadziej. Często znacznie lepiej porozumiewam się z dziećmi, kiedy ciebie nie ma.

— Chcesz, żebym wcale nie wracał do domu?

— Nie to miałam na myśli.

— Proponujesz rozwód?

— Nie. Wiesz, że nie. Dlaczego tak skwapliwie podchwytyjesz ten temat?

— Na co się skarżysz?

— Na nic. Przepraszam, że to powiedziałam. Sama nie wiem. Nie wiem dlaczego. Nie chciałam.

— Owszem, chciałaś. Inaczej byś nie mówiła. Ludzie mówią to, co myślą.

— Ty też. Ona myśli, że ty jej nienawidzisz.

— To nieprawda. Tylko czasem, kiedy mnie doprowadza do szału.

— Mówi, że nigdy nie spojrzysz na nią.

— Co to znów znaczy, do cholery?

— Że nigdy nie spojrzysz jej prosto w oczy, nawet kiedy z nią rozmawiasz. Zawsze patrzysz gdzieś w bok. Ona widzi takie rzeczy. Uważa, że bardzo nią gardzisz i dlatego nie potrafisz się zmusić, aby na nią spojrzeć.

— Ona ma fioła. To nieprawda.

— Patrzysz jej w oczy?

— Oczywiście. Nie wiem. Chyba tak. Dlaczego nie miałbym patrzeć?

- Myśli, że jej nie kochasz.
- To nieprawda.
- Kochasz ją?
- Oczywiście. A ty?
- Wiesz, że tak.
- Ciągłe ją krytykujesz. Więcej niż ja.
- Ona się boi.
- Czego znowu?
- Ciebie.
- Gównu.
- Nigdy nie wiemy, w jakim jesteś humorze.
- Tak właśnie żyjemy.
- Nigdy nie wiemy, co można przy tobie powiedzieć bez karnie.
- To ja się boję.
- Czego?
- Jak ci się zdaje? Ciebie. Was wszystkich. Czuję się przy was, jakbym chodził po szkle, tacy jesteście cholernie delikatni i bojaźliwi. Myślisz, że ja chcę, abyście się mnie bali? I ja nie wiem, co mogę przy was powiedzieć bezkarnie, aby nie urazić którego z was. To gorsze niż obcowanie z Greenem, Baronem czy White'em. Czuję się skrępowany we własnym domu. Nic dziwnego, że ciągle krzyczę. Czy naprawdę ciągle krzyczę?
- Ostatnio ciągle.
- Nie zawsze świadomie.
- Zawsze się tak łatwo irytujesz.
- Ostatnio jestem stale poirytowany. Stale zmęczony.
- Może za dużo pracujesz?
- Nie. Ciągłe się martwię.
- Może powinieneś postarać się o łatwiejszą pracę.
- Nigdy nie słuchasz tego, co mówię.
- Żebyś nie musiał tak dużo pracować.
- Powiedziałem ci, że nie pracuję dużo.
- No, to może powinieneś się postarać o inną pracę.
- Właśnie to robię.
- Będzie cięższa czy łatwiejsza?
- Chyba łatwiejsza. Większa odpowiedzialność, ale znacząco mniej nerwów. Więcej pieniędzy. Więcej zmartwień. Nie wiem.
- Pozwolą ci wygłaszać mowy?
- O czym ty mówisz?
- Wiesz o czym. O mowach.

— Tak. Ile tylko zechcę. \*

— Nienawidzę Greena — oznajmia żona.

— Dlaczego? — pytam podejrzliwie.

— Bo to parszywy łobuz — mówi żona z pasją. — Nie daruję mu nigdy tego, jak z tobą postąpił.

— Czego? — Czuję, że twarz zaczyna mi płonąć, że wzbiera we mnie czujny, ochronny gniew.

— A tego, że nie pozwolił ci wygłosić przemówienia w ze szłym roku na zjeździe, jak innym. Jest na pewno zazdrosny. Dziwię się, że Baron mu na to pozwolił.

— To nie było takie ważne.

— Wiem, jak się namordowałeś nad tą mową. I wiem, jak bardzo to cię musiało poniżyć.

— Mówisz to wszystko umyślnie?

— No, co czułeś?

— Nie czuję się wywyższony, kiedy mi o tym przypominasz.

— Widzisz? Jesteś zanadto uczulony na takie postępowanie. Może nie powinieneś brać tego nowego stanowiska, jeśli będzie wymagało zbyt wyętej pracy i przysporzy ci więcej zmartwień.

— Może nie przyjmę. Niech diabli biorą forszę, prestiż i stanowisko.

— Nie powinieneś chyba podróżować częściej niż do tej pory.

— A ty chyba nie potrafisz trzymać się jednego tematu dłużej niż minutę, co?

— Oto, jak ty do mnie się odzywasz. I tak samo do niej.

— Odezwałem się do ciebie. Nie kłóćmy się. Tym razem ■ nie przyszedłem do ciebie, aby się kłócić. Możemy to zrobić później.

— Nie chcę się kłócić.

— W takim razie przestań mi wsadzać szpilki z tą cholerną miną niewiniątka. Nie myśl, że jestem na tyle głupi, aby nie wiedzieć, co robisz. Moje przemówienie to nie twoja sprawa. Dlaczego ciągle o nim mówisz, jeśli ta sprawa naprawdę tak cię gniewa? Robisz to tylko po to, aby mi wszystko przypomnieć.

— Nie gniewam się o to, co powiedziałeś na temat mojej inteligencji. Wiem, że dla ciebie jestem najgłupszą osobą na świecie. I wcale nie wsadzam ci szpilek. Ale czy słyszałeś sam siebie? Właśnie tak przemawiasz i do niej. A ona tak samo by cię zrozumiała. Nie zapominaj, że ona ma tylko piętnaście lat i pół roku.

Żona ma rację.

Nie rozmawiam z córką, jak należałoby rozmawiać z dzieckiem lub jak rozmawiałbym z czyjąś córką. Nie jestem dla niej miły. Kiedy syn coś przeskrobie, odnoszę się do tego z wielką czułością jako do lekkomyślnego wybryku niesforne go czy przemęczonego dziecka, które powinno się pocałować i przytulić podczas strofowania; uważam, że to normalne i zrozumiałe błędy, więc mówię mu o tym pobłaźliwie, niemal z szacunkiem. Ale kiedy córka nastolatka zrobi coś nie tak, wówczas to coś złego, to zamierzony, obelżywy i niewybaczalny atak na mnie, a ja powinienem szybko i surowo odegrać się na niej. (Nie traktuję moich dzieci jednakowo.) Ciekaw jestem dlaczego. Czy dlatego, że ona jest dziewczyną? Lub pierwotnym dzieckiem, od którego oczekiwałem za wiele i wobec tego jestem teraz zawiedziony? A może dlatego, że ona już jest nastolatką, dorasta i oddala się ode mnie, wyzwala się spod mojej władzy, przygotowuje się do samodzielnego życia, kiedy zacznie otwarcie krytykować mój rozum, moralność i zdolności, i że wobec tego mi zagraża, bo może mnie strącić z mojej chwiejnej twierdzy dyrektorskiego szacunku dla siebie? Czy takie same napaści i krytyka zagrażają mi ze strony syna, kiedy dorośnie? Mam nadzieję, że nie, zwycięstwo nad nim nie sprawiłoby mi (tak myślę) żadnej przyjemności. (Bogu dzięki, moje trzecie dziecko jest idiotą. Nie myślę tak dosłownie. Idzie mi o to, że, Bogu dzięki, nie grozi mi przynajmniej bunt z jego strony. Wiem, co będę czuł, kiedy Derek umrze lub kiedy oddamy go wreszcie do zakładu: ulgę, wyzwolenie, odetchnę w końcu i powiem, może nawet głośno, do kogoś zaufanego:

„Nareszcie i z tym koniec, prawda, że z nim już koniec?”)

Staram się przypomnieć sobie, kiedy zaczęła się rywalizacja między mną i córką. Nie potrafię. Czasem mi się zdaje, że zawsze darliśmy koty, że stosunki między nami nigdy nie układały się lepiej czy inaczej. Chciałbym coś zrobić, aby była mniej nieszczęśliwa, jeśli potrafię, pomóc jej, aby była szczęśliwsza i znacznie bardziej zadowolona z siebie. Nie wiem jak. (Cieszę się, kiedy ją przyłapię na czymś lekkomyślnym czy na kłamstwie, bo mogę ją zmusić do przeprosin.)

— Ona chce wiedzieć, że ją kochasz — mówi żona. — Nie wierzy w to.

— Kocham ją i ona to wie.

— Skąd?

— Chyba ją kocham.

\*)

— Czy twoje zachowanie o tym świadczy? Nigdy nie mówisz, że ją kochasz.

— Nieprawda.

— Kiedy jej to mówisz?

— Jest moją córką. Nie mogę powiedzieć „kocham cię” do własnej córki.

— Czemu nie?

— To ma smak kazirodztwa.

— Tylko dla ciebie. Ona myśli, że ty się na niej zawiodłeś.

— To ty się na niej zawiodłeś. I dajesz jej to do zrozumienia.

— Bo wiem, że mogłaby być lepsza. Mogłaby już być dobrą tancerką, aktorką czy pianistką, gdyby tylko zabrała się poważnie do czegoś konkretnego, kiedy była młodsza. Taka była utalentowana. I teraz mogłaby się jeszcze uczyć, żeby zostać tancerką lub aktorką.

— W takim razie nie zaprzeczaj. Nie zwalaj winy na mnie.

— Wiem, co się stało ze mną. Żałuję, że nie zabrałam się do czegoś poważnie. Jak chciała matka. Żałuję, że ojciec nie pozwalał matce zmuszać mnie do nauki. Byłabym dziś kimś.

— Byłabyś królem Francji.

— Jestem twoją żoną. Do mnie też nigdy nie mówisz, że mnie kochasz.

— Nie muszę, bo jesteś moją żoną.

— To nie jest zabawne.

— Znów mówimy o tobie.

— Nie idzie mi o to w tej chwili. Sama nie wiem, o czym mam mówić. Nie wiem, co mam z sobą zrobić. Nie wiem, jak zabić czas. Co mam robić z wolnym czasem, skoro nie wiem, jak go zabić.

— Napij się jeszcze.

— Doskonale. Przyniesiesz?

— Oczywiście. A ja nie wiem, co robić z córką.

— Ani ja — intonuje żona dalekim, głuchym głosem. — Ona mi łamie serce — dodaje z irytacją. — Potrafi być taką wiedźmą, kiedy chce mi zadać ból.

— Wiem.

— I ty też. Podły. Potrafisz być taki podły. Mógłbyś spróbować i być miły dla niej, kiedy ona chce z tobą pogadać. Nawet jeśli to cię boli.

— Próbuję. I to rzeczywiście boli.

— Właśnie dlatego ona to robi. Tylko w ten sposób potrafi cię zmusić, abyś się nią zainteresował.

— A ty?

— Może ja też to robię. Nie potrafię ci już dokuczyć. Nie przypuszczam, aby moje napaści jeszcze cię bolały. Po prostu cię nie obchodzą.

(Może tak jest.)

Zona potrafi na chwilę poruszyć moje sumienie (jeśli jej na to pozwolę), ale nie potrafi mnie już zranić (chyba dlatego czuję się przy niej bezpieczny i chyba dlatego uważałem kiedyś, że dobrze byłoby się z nią ożenić). Chciałaby móc mnie ranić. Chciałaby wiedzieć, że znaczy dla mnie więcej, niż myśli, uwierzyć, że jest mi potrzebna. (Nie jest. Nie sądzę. I nie mówię jej, że jest mi potrzebna.) Chciałaby, abym jej powiedział, że ją kocham, aczkolwiek już mnie o to nie pyta (teraz przynoszę jej co roku bombonierkę na świętego Walentego, ona się z tego cieszy, a przecież oboje wiemy, że to tylko bombonierka. Ale jednak to jest bombonierka i cała rodzina prócz mnie przepada za czekoladą), tak samo jak z dumy (czy rozsądku) nie pyta, gdzie tak często spędzam noce poza domem, i nie robi aluzji, że może śpiam z innymi kobietami (jak domyśla się, że robią to nasi znajomi żonaci panowie. Gdyby ten temat kiedykolwiek wyskoczył, jak myszka, której bałem się w naszym mieszkaniu w mieście przed laty, żona musiałaby coś z tym fantem zrobić, i musiałaby zareagować — a wiem, że nie ma na to ochoty. | Wiem, że tak samo jak ja woli, abyśmy byli razem tak długo, | I jak to będzie możliwe lub jak długo będziemy żyli). Wiem, że ' j nie chcę, aby córka wyrosła na dziewczynę w rodzaju tych, , } z którymi się teraz zadaję (żadna z nich też nie potrafi mnie j zranić. Wybieram właśnie takie, można powiedzieć, że je po- j rzucam, zanim z nimi zacznę), ale nie wiem, jaka ma być ' według mnie. (I ona nie zostanie królem Francji.) Nie będzie ' nigdy tańczyła w Radio City Music Hall. Przez krótki czas j będzie kochanką jakiegoś chłopaka, potem innego, potem j będzie nieszczęśliwą żoną i matką, nie lepiej poradzi sobie ze j swoimi dziećmi, niż ja radzę sobie z moimi, nie wiem, czym i jeszcze mogłaby być lub jak mógłbym jej pomóc osiągnąć coś = więcej — chyba nie mógłbym. (Tak mało naprawdę może się i przydarzyć ludziom w ciągu życia, tak mało mamy do wyboru, j tak mało każdy z nas może osiągnąć, chociaż ani żona, ani | córka nie zrozumiąły tego jeszcze.)

{  
— Nie lubisz ze mną rozmawiać, prawda? — pyta córka łagodnie i szczerze, tym razem nie idzie jej tylko o efekt.

— Owszem, lubię — mówię i jak przestępca odwracam od

niej oczy. (Tak łatwo ją zranić, kiedy jest szczerą, a ja nie chcę jej zadać bólu.)

— Nie lubisz nawet na mnie patrzeć.

— Patrzę na ciebie w tej chwili.

— Bo powiedziałam to. Patrzyłeś nad moim ramieniem jak zawsze, dopóki tego nie powiedziałam.

— Obserwowałem muchę. Zdawało mi się, że widzę muchę. Kiedy patrzę na ciebie, mówisz, że wytrzeszczam na ciebie oczy. I tak samo dręczysz mamusię. To ty wrzeszczysz, nie ja.

— Ile razy przyjdę porozmawiać z tobą, zawsze jesteś zły, bo ci przeszkadzam, nawet kiedy nic nie robisz, tylko czytasz magazyn albo coś piszesz w bloczku.

— Czasem zajmuje ci parę godzin, aby mi powiedzieć dobranoc, ciągle wracasz, aby coś jeszcze ze mną omówić. Robisz to pięć albo sześć razy. Kiedy myślę, że poszłaś już spać i będę mógł się skoncentrować, wracasz i przeszkadzasz mi. Czasem zdaje mi się, że robisz to umyślnie, bo chcesz mi przeszkodzić.

— Bo ciągle coś nowego przychodzi mi do głowy.

— Nie zawsze jestem na ciebie zły.

— Nikt prócz mnie do ciebie nie przychodzi.

— Czy zawsze jestem zły?

— Wszyscy się boją.

— Prócz służącej — silę się na dowcip.

— Ona się nie liczy.

— Ja w tym pokoju pracuję albo chcę być sam przez chwilę. Nie wiem, dlaczego wszyscy w domu tak się mnie boją, kiedy nigdy nikogo nie skrzywdziłem i nikomu nie groziłem nawet. Czy to coś tak strasznego, że od czasu do czasu chciałbym być sam? Ja w każdym razie nie czuję, abyście się tak bardzo bali mi przeszkodzić lub powiedzieć, co wam przyjdzie do głowy. Ciągłe tu przychodzicie.

— Bo prawie ciągle siedzisz w swoim pokoju, kiedy jesteś w domu. Więc musimy tu przyjść, jeśli chcemy z tobą pogadać.

— Mam mnóstwo pracy. Zarabiam mnóstwo forsy. Chociaż według ciebie to może niewiele. Mam ciężką pracę.

— Ciągłe mówisz, że jest łatwa.

— Czasem jest ciężka. Ja bardzo dużo tu pracuję. Kiedy sobie zdaje, że tylko zapisuję coś w bloczku lub czytam, ja myślę albo przygotowuję coś na jutro. Nie zawsze mogę to zrobić w biurze.

— Kiedy mówisz, że chcesz ze mną porozmawiać, to chcesz

mnie tylko zganić albo ostrzec, albo zwymyślać za coś, co według ciebie zrobiłam.

— Nieprawda.

— Prawda.

— Naprawdę?

— Nigdy nie przyjdiesz do mojego pokoju.

— Czy to prawda?

— Kiedy przychodzisz?

— Zabroniłaś nam wchodzić do twego pokoju. Nie chcesz, żebym przychodził. Przez cały czas trzymasz zamknięte drzwi, a jak zapukam i wejdę, każesz mi wyjść.

— Bo nigdy nie wchodzisz.

— To nie jest logiczne.

— Owszem, jest. Mamusia zrozumiałaby. Nigdy nie chcesz naprawdę wejść.

— Zdawało mi się, że nie lubisz mamusi.

— Czasem lubię. Ona rozumie, co chcę powiedzieć. A ty, kiedy wejdiesz do mego pokoju, każesz mi tylko otworzyć okno i podnieść moje rzeczy z podłogi, nic poza tym.

— Ktoś to musi zrobić.

— Mamusia to robi.

— Mimo to twoje rzeczy stale leżą na podłodze.

— Ktoś je przecież w końcu podnosi. Prawda? Czy to takie ważne? To nie jest najważniejsza rzecz na świecie, o jakiej powinienś pomówić ze mną. A może jest?

— Już nigdy ci tego nie powiem. A co jest ważne?

— Mam na ścianie plakaty, na lampach zabawne abażury, które sama namalowałam, zabawne kolaże porobiłam z reklam w pismach ilustrowanych. I czytam książkę D. H. Lawrence'a, która mi się naprawdę bardzo podoba. To najlepsza książka, jaką kiedykolwiek przeczytałam.

— To wszystko mnie interesuje. Chciałbym zobaczyć twoje plakaty, zabawne abażury i kolaże. Jaki jest tytuł tej książki?

— Nie lubisz Lawrence'a.

— Nie mam najlepszego gustu. Chciałbym zobaczyć, jak sobie urządziłaś pokój.

— Teraz?

— Jeśli pozwolisz.

Ona potrząsa przecząco głową.

— Wcale tego nie chcesz. Będziesz tylko przez chwilę udawał, że się rozglądasz, a potem każesz mi podnieść z podłogi.



— Więc leżą na podłodze?

— Widzisz? Ciebie tylko żarty interesują. Nie interesujesz się wcale tym, co robię. Interesujesz się tylko sobą, a nie mną.

— Ty też nie interesujesz się mną — mówię łagodnie. — Kiedy pytam o twoje sprawy, uważasz, że jestem wścibski i tylko chcę cię przyłapać na kłamstwie lub coś w tym guście.

— Na ogół chcesz.

— Nie zawsze. Bo kłamiesz. I pewne rzeczy chcesz ukryć.

— Ale przez ciebie nie mogę. Chcesz wszystko wiedzieć. Mamusia też.

— Niektóre rzeczy powinniśmy wiedzieć.

— Niektóre nie mają z wami nic wspólnego.

— Skąd mam wiedzieć, dopóki się nie dowiem, co to jest?

— Możesz mi wierzyć.

— Nie mogę. Wiesz, że nie mogę.

— To wielki komplement.

— Często kłamiesz.

— Nie lubisz rozmawiać ze mną. Nigdy nie chcesz przedyskutować ze mną pewnych spraw i nic nie mówisz. Tylko każesz mi odrabiać lekcje. Mamusia więcej ze mną rozmawia niż ty.

— W takim razie dlaczego nie lubisz jej więcej?

— Nie podoba mi się to, co mówi.

— Jesteś niesprawiedliwa. Kiedy opowiadam ci o mojej instytucji czy pracy, kpisz i robisz paskudne dowcipy. Nie uważasz mojej pracy za ważną.

— Ty też jej nie uważasz za ważną. Pracujesz tylko dla forsy.

— Uważam, że zarabianie forsy dla ciebie i reszty rodziny to rzecz ważna. I ważne jest, żebym wykonywał swoją robotę na tyle dobrze, aby móc zachować szacunek dla siebie, choć sama praca nie jest ważna. Widzisz, nie jest dla mnie rzeczą miłą, że ty i twój braciszek wyśmiewacie się z mojej pracy. Nawet jeśli to tylko żarty, a nie zawsze jestem pewien, że żartujecie. Ta praca zajmuje mi większą część życia.

(Dlaczego muszę być górą w tej sprzeczce? I dlaczego muszę skamlać ojej litość, aby odnieść nad nią zwycięstwo? Dlaczego muszę się zgrywać przed nią i przed sobą, zachwycać swoją subtelną logiką oraz większą swobodą wysławiania się i posługiwania szczegółami w pojedynku słownym z moim własnym piętnastoletnim dzieckiem? Przecież równie łatwo mógłbym powiedzieć: „Masz rację. Przykro mi. Wybacz, proszę.” Mimo że to ja mam rację i nie zawsze jest mi przykro. Ale mógłbym to przecież powiedzieć, tak czy inaczej. Nie potrafię. Wobec tego

jestem górą, mina jej rzędzie, waha się, jej spojrzenie niepewnie ucieka od mojego. Odprężam się, dumny z siebie, czuję chwilową pogardę dla mego słabego przeciwnika, mojej młodocianej córki. Jestem gnojkiem. Ale gnojkiem, któremu się powiodło.)

— Twoja praca mnie interesuje — mówi córka ze skruchą, chce się usprawiedliwić. — Czasem pytam o twoją pracę.

— Zawsze odpowiadam na twoje pytania.

— Jakimś żarciem.

— Bo wiem, że mnie wykpisz.

— Gdybyś nie żartował, może bym nie kpiła.

— Nigdy więcej nie będę żartował, obiecuję ci — mówię żartobliwie.

— I to jest żart. — (Jest inteligentna i jej szybki refleks sprawia mi przyjemność.)

— Ty też w tej chwili żartujesz — strzelam (zanim się po hamuję, bo muszę jej pokazać, że jestem przynajmniej tak samo bystry jak ona).

— Widzisz? — Nie reaguje na mój uśmiech. — Uśmiechasz się ironicznie — zarzuca mi niskim, oskarżycielskim tonem. — Obracasz to w żart. Nawet w tej chwili, kiedy niby to rozmawiamy poważnie.

Odwracam od niej oczy, ponad jej ramieniem patrzę zażenowany na półkę z książkami.

— Przepraszam, chciałem się tylko uspokoić. Chciałem cię rozśmieszyć.

— Z czego mam się śmiać?

— Nie chciałem. Przykro mi, jeśli myślałaś, że jestem ironiczny.

— Wszystko obracasz w żart.

— Nieprawda. Nie bądź niemiła. Bo będę musiał.

— Już kpisz ze mnie. Nigdy nie chcesz z nami poważnie porozmawiać.

— Nieprawda. Po raz trzeci zmuszasz mnie, abym ci za przeczył.

— Zawsze chcesz śmiechem czy żartem wykręcić się z poważnej rozmowy.

— Czwarty.

— Albo się złościsz, komenderujesz nami i krzyczysz jak w tej chwili.

— Przepraszam — przerywam, aby się opanować i nie krzyczeć. — Taką mam chyba naturę. Nerwy. Wcale się tym nie szczycę. Zapamiętaj, kochanie, że i ja coś czuję, że miewam bóle

głowy i nie zawsze może jestem panem moich nastrojów, choć wydaje się, że panuję nad sytuacją, a tego nikt nie chce brać pod uwagę. Ja też nie zawsze jestem szczęśliwy. Mów dalej, proszę cię.

— Po co?

— Nie chcesz?

— Rozmowa ze mną nie sprawia ci przyjemności.

— Sprawia.

— W tej chwili też?

— Tak. Powiedz, co chciałaś powiedzieć. Niech się dowiem.

Bo muszę ciągle zgadywać.

— Czy Derek już się taki urodził?

— Tak, oczywiście. Tak nam się zdaje.

— Czy może któreś z nas przyczyniło się do tego?

— Urodził się taki.

— Dlaczego?

— Nikt tego nie wie. Wszyscy myślą, że taki się urodził.

W tym cały kłopot do pewnego stopnia. Nikt nie wie, co mu się stało.

— Może będę to studiowała. Antropologię.

— Genetykę.

— Musiałaś to teraz powiedzieć?

— Chcesz się dowiedzieć?

— Nie zawsze.

— Myślałem, że chcesz, żeby cię poprawiać, kiedy się mylisz.

— Nie w tej chwili. Wiedziałaś, co chciałam powiedzieć.

Nie musiałaś mi przerywać tylko po to, aby się pochwalić, że wiesz więcej. Musiałaś?

— Ty też dużo wiesz. Jesteś bardzo inteligentna i bystra.

Może powinnaś zostać adwokatem. To komplement. Nieczęsto ci prawię komplementy.

— Fakt.

— Lubisz przypierać ludzi do muru. Jestem taki sam.

— Chyba staram się być taka jak ty.

— Ja byłem szczęśliwszy.

— Czy twoi rodzice zawiedli się na tobie?

— Nie pamiętam. A twoi się zawiedli?

— Nie wiem.

— Matka chyba tak. Ale nie wtedy kiedy byłem mały, tylko później. Kiedy dorosłem i wyprowadziłem się z domu.

— Nigdy mnie nie pocałujesz. Nie obejmiesz. Nie droczysz się ze mną jak inni ojcowie.

— Ona ma duże czarne cienie pod oczami, które nabrzmiewają,

pogłębiają się i nagle czerwienieją, wygląda w tej chwili bardziej nieszczęśliwa niż jakakolwiek istota, jaką widziałem. (Mam ochotę odwrócić od niej oczy.)

— Przecież to ty nie chciałaś, żebym cię całował — mówię cicho, cztile, ogarnięty bezmierną litością dla niej (i dla siebie. Kiedy lituję się nad kimś, zaczynam też litować się nad sobą). — Całowałem cię dawniej. Obejmowałem cię i całowałem z przyjemnością. Ale zaczęłaś odsuwać się ode mnie, odwracałaś twarz z dziwnym grymasem i prychałaś ze wstrętu. Śmiałaś się. Z początku brałem to za żart. Ale to weszło w zwyczaj, odsuwałaś się ode mnie za każdym razem, krzywiłaś się i prychałaś, kiedy próbowałem cię pocałować.

— Więc przestałaś próbować.

— Nie było mi przyjemnie znosić takie obelgi.

— Było ci przykro? — Jej twarz promienieje, zdradza zbyt wielką radość. — Czułaś się nieszczęśliwy?

— Tak. — Mówimy oboje półgłosem. (Nie pamiętam, kiedy naprawdę zacząłem odczuwać boleśnie to, że odsuwała się ode mnie z udanym wstrętem, i nie pamiętam, kiedy to przestało mnie obchodzić.) — Czułem się bardzo nieszczęśliwy. Bolało mnie to.

— Nigdy tego nie mówiłaś.

— Nie chciałem ci dać tej satysfakcji.

— Byłam wtedy malutka.

— Mimo to bardzo mnie to bolało.

— Przecież byłam dzieckiem. Nie mogłaś się trochę poświęcić, nie być taki dumny i dać mi satysfakcję?

— Nie mogłem.

— A teraz?

— Też nie.

— Nie?

— Chyba nie. Chyba nie zdołasz w ten sposób wymusić ode mnie satysfakcji.

— Musiałam ci sprawić straszny zawód.

— Dlaczego?

— Założę się, że tak. Tobie i mamusi.

— Dlaczego miałabyś nam sprawić zawód?

— Wiem, że mamusia zawiodła się na mnie. Nie nadaję się do niczego.

— Do czego na przykład? Ja też nie.

— Mam tłuste włosy i cerę. Mam krosty. Nie jestem ładna.

— Jesteś.

— Jestem za wysoka i za gruba.

— Zależy do czego.

— Nie jestem nawet pewna, czy chciałabym. Nie wiem, co bym robiła, gdybym się do czegoś nadawała.

— Do czego na przykład?

— Choćby do sztuki. Nie potrafię malować ani rzeźbić. Nie jestem zbyt bystra. Nie mam zdolności muzycznych. Nie chodzę do szkoły baletowej.

— Ja też nie chodzę do szkoły baletowej.

— To nie jest zabawne!

— Nie chciałem być zabawny. (Chciałem.) Oboje nie na dajemy się do tych rzeczy.

— Nie jestem nawet bogata.

— To moja wina, nie twoja.

— To by było przynajmniej coś. Mogłabym się tym szcycić. Czy będziemy kiedy bogaci? Tak naprawdę, jak ojciec Jean czy Grace.

— Nie. Chyba że dzięki tobie.

— Ja nic nie potrafię. Czy powinnam się wstydzić?

— Czego?

— Że jesteśmy biedni.

— Nie jesteśmy biedni.

— Czy powinnam się wstydzić za ciebie?

— Jesteś przynajmniej szczerą.

■ — Powinnam?

' — Co ci mam na to odpowiedzieć?

— Prawdę.

— Czy powinnaś się wstydzić za mnie? Mam nadzieję, że nie. Wstydzimy się albo nie wstydzimy, ale nie dlatego, że powinniśmy. Całkiem dobrze mi się wiedzie. Jean wstydzi się za swego ojca, bo jest człowiekiem przeciętnym i głupim, uważa mnie za ciekawszego. Prawda? Grace myśli tak samo. Sądzę, że Grace lubi mnie bardziej od swego ojca.

— Nigdy niczym nie będę.

— Każdy jest czymś.

— Wiesz, co chciałam powiedzieć.

— Na przykład?

<sup>f</sup> — Nie będę sławna.

■ — Niewielu jest sławnych ludzi.

— Nie mam do was pretensji. Nie mam pretensji, że zawiedliście się na mnie.

— Nie zawiedliśmy się. Myślisz, że czulibyśmy się zawiedzeni tylko dlatego, że się do niczego nie nadajesz?

— To znaczy, że nigdy nie spodziewaliście się po mnie niczego — mówi z pasją, która mnie zdumiewa.

— Jesteś niesprawiedliwa.

— To nie jest zabawne.

— Kochanie, ja...

Ale ona wycofuje się, jest zacięta, z wyrazem ponurej nienawiści ucieka ode mnie, kiedy wyciągam ramiona, aby ją pocieszyć (i znów zostaję w swoim pokoju sam, z pustymi rękami, które na próżno wyciągnąłem do czegoś nie istniejącego).

W jakiś sposób ją skrzywdziłem (albo krzywdzę teraz), nie chce mi tego wybaczyć, a ja nie wiem, jak ją skrzywdziłem (lub czy krzywdzę. Wiem, że jest zła i zmartwiona, kiedy jestem pijany lub lekko wstawiony. Nie lubi też, żebym flirtował z jej koleżankami). Staram się przypomnieć sobie, kiedy zaczęła się gryźć i cierpieć, i zamykać w sobie z bólu. Wiem, że w tym roku nic takiego się nie zdarzyło, bo rok temu była taka sama, i nic nie wydarzyło się dwa lata temu, bo i wtedy była taka sama. (W piętnastym roku życia jest prawie taka sama jak w dwunastym, a nawet dziesiątym.) Jak daleko sięgam pamięcią, była właściwie taka jak teraz, tyle że mniejsza. A przecież kiedyś musiał nastąpić przełom, koniec i początek, duża i długa przerwa w jej rozwoju, której nie pamiętam lub nie zauważyłem (podobna przerwa musiała nastąpić i w mojej przeszłości, której również nie zauważyłem w swoim czasie, a teraz nie pamiętam). Przecież kiedyś była niemowlęciem (to przynajmniej doskonale pamiętam), wesołym, pyzaty, rozbrykanym, ciekawym, roześmianym, wrażliwym bachorem, którego łatwo było zadowolić, łatwo zaciekawić i bez trudu czymkolwiek zająć. (Co się stało z tym dzieckiem, jakim była? Gdzie ono się podziało? Gdzie ono jest teraz? I jak się tam dostało? Żywe stworzenia, wydarzenia nie powstają jednego dnia i nie znikają na drugi. A może? Co się stało z uroczym malcem, jakim byłem kiedyś? Doskonale pamiętam o nim pewne rzeczy i wiem, że kiedyś istniał.) Co się stało z jej wczesnym dzieciństwem, tą nigdzie nie utrwaloną pustką między maleństwem z tamtych czasów a córką obecną, którą dość dobrze teraz obserwujemy? (Gdzie to jest? Gdzie było? Kiedy to się stało, nie wiem, choć pamiętam każdy szczegół z jej życia. Jedno wiem: była kiedyś w moim domu wesołutka dziewczyneczka na dzieciennym krzeselku, jadła i piła z wielkim apetytem, często radośnie zanosila się śmiechem; nie ma jej, znikła bez śladu. I wiem też to: był kiedyś chłopczyk,

który nakrył starszego brata z dziewczyną w szopie na węgiel i dostał za to kawałkiem węgla; otworzył kiedyś drzwi sypialni rodziców i zobaczył ich w uścisku w łóżku lub myśli, że zobaczył; rodzice nie żyją, a chłopczyk zaginął. Nie wiem, skąd przybył, nie wiem, dokąd poszedł, nie pamiętam wszystkiego, co mi się od tego czasu przydarzyło. Tęsknię za nim. Chciałbym wiedzieć, gdzie przebywał.) W którym punkcie jej życia (i mojego, naturalnie) mieściło się owo legendarne szczęśliwe dzieciństwo, o którym tyle się nasłuchiwałem (owe beztróskie dni radości i słońca, cha, cha, należne nam od urodzenia), do którego ona jako istota ludzka ma prawo nawet teraz (tak jak i inne marnujące się, ponure, obojętne dzieci w jej wieku, z którymi się przyjaźni) i na które powinna w późniejszym wieku móc spojrzeć bez lęku, z głęboką, wzbogacającą satysfakcją (jak moja żona, której dzieciństwo naprawdę było jak dusząca, spopieliała kraina, dopóki ja nie zjawiłem się na horyzoncie, nie wyrwałem jej z rozpacz, nie obdarzyłem życiem nie kończącej się błogości, cha, cha), kiedy będzie stara, zniszczona (bezzębna, ze zrogowaciałymi palcami u nóg, zwapniałymi stawami i bolącym kręgosłupem, niezdolna butów włożyć), wyschnięta i zgorzkniała? Gdzie jest to rozkoszne dzieciństwo, o którym każdy myśli, że ten drugi je miał? Wiem, że ja go nie miałem (choć może myślałem, że mam, a jeśli myślałem, że nie mam, zdawało mi się, że wiem dlaczego). Kiedy czułem się smutny, mogłem sobie powiedzieć, że to dlatego, że nie mam ojca. Kiedy moja córka czuje się smutna, może to być dlatego, że ma ojca!

(Freud nic mi nie pomoże, nigdy nie zrozumiałem, co naprawdę czułem do matki, czy lubiłem ją, czy w ogóle coś do niej czułem. Chyba nic nie czułem. I na ogół czułem ta samo albo nic nie czułem do rodzeństwa i najlepszego przyjaciela, z którym nie jestem już w zbyt przyjaznych stosunkach. Zmęczyliśmy się sobą nawzajem i cieszę się z tego. On potrzebował pieniędzy, a ja tylko raz mogłem mu przyjść z należytą pomocą. Nie wiem doprawdy, czy kiedykolwiek kochałem kogo innego prócz siebie i syna. Ale ciągle miewam bolesne sny o matce. Jestem z nią ciągle związany czymś, czego nie potrafię uchwycić, jakimś niewidzialnym drutem elektrycznym, który przekazuje wstrząsy. To nie umarło razem z nią i prawdopodobnie do końca mojego życia będzie żyło we mnie. W przedśmiertnej zapaści, choćbym żył nawet milion lat, stracę panowanie nad sobą i umrę wołając z płaczem: „Mamo, mamusiu, matko!”

Czyli mniej więcej tak jak na początku mego życia. Czasem cieszę się z tego, że nie pamiętam ojca, że umarł nie zostawiając na mnie swego piętna, bo i on mógłby mi się śnić. Jeżeli już mi się nie śni. Mógłby mi jeszcze bardziej zgnoić życie samym swoim istnieniem, gdyby żył, jak ja gnoję życie wszystkim wokół siebie. Mimo że nie chcę tego. Przysięgam na Chrystusa, że nigdy świadomie tego nie chciałem. Może mówię o ojcu złe sny, ale nie wiem o tym. Po mojej śmierci nikt nie będzie już o nim myślał. A po śmierci moich dzieci nikt nie będzie myślał o mnie.)

Jeśli pamięć mnie nie zawodzi, nie miałem szczęśliwego dzieciństwa, żona również nie (ona woli, żeby ją pamięć zawodziła, jeśli ja jej pewnych rzeczy nie przypomnę), mój dziewięcioletni syn, który często się śmieje i lubi dobre kawały, już się martwi, choć robię wszystko, aby mu życie ułatwić. (Córce już dałem spokój. Nie widzę możliwości zjednania jej sobie, kupuję jej jedynie kosztowne rzeczy, pozwalam odnosić nieważne, krótkotrwałe zwycięstwa, których jej ego się domaga, ale które natychmiast wietrzeją, a ona wpada z powrotem w pusty, ciemny, przykry stan całkowitego zagubienia. O wiele łatwiej przychodzi mi wydać osiem czy osiemdziesiąt dolarów na jej zachcianki niż dyskutować z nią, dlaczego nie powinienem ich wydawać.) Wracam pamięcią w przeszłość, aby odnaleźć czas, kiedy córka była inna, muszę cofać się bardzo daleko, aby ją zobaczyć rozpromienioną na krzeselku dzieciennym (prześliczne, kochane dziecko, na myśl o którym serce ściska mi się żalem) wśród dzieci zaproszonych na jej urodziny, kiedy miała dwa lub trzy latka. (Co za przepaść między dzieckiem i dorosłą osobą, która z tego dziecka wyrosła.) W owym czasie była jeszcze naszym jedynym dzieckiem. Zeszli się krewni z obu stron rodziny. Żona i ja byliśmy młodzi. Żyła moja matka. Przyszło mnóstwo gości. W mieszkaniu było tłoczno. Nie zajmowaliśmy się małą, zajmowaliśmy się sobą. Zapomnieliśmy o niej, aż ona uderzyła w stoliczek przy krzeselku dzieciennym różową plastikową łyżeczką, którą ściskała w pulchnej piątce, i krzyknęła wyraźnie, rozkosznie:

— Grzeczna dziewczynka babcia!

Przez chwilę nic nie rozumieliśmy. Potem jak na komendę wszyscy wybuchnęli śmiechem i zaczęli bić brawo, zachwyceni winszowaliśmy małej i sobie samym (a dziecko, widząc, że wywołało nieposkromioną wesołość, zaczęło się kołysać i pod-



skakiwać z takim wigorem, że strach nas ogarnął, aby nie wypadło lub nie przewróciło się), bo mała zareagowała na to, że moja matka (nie całkiem jeszcze siwa, nie wyschnięta i nie pomarszczona) podniosła do ust szklankę i wypila truskawkowy poncz. Mała jej się przyglądała, bo akurat w tym okresie uczyliśmy ją pić ze szklanki i nagradzali oklaskami i pochwałą: „grzeczna dziewczynka”, kiedy dała sobie z tym radę, więc widząc, jak babcia pije ze szklanki, radośnie uderzyła rączkami w krzeselko i pochwaliła ją:

— Grzeczna dziewczynka babcia.

(Wkrótce potem matka nie mogła już pić ze szklanki o własnych siłach, trzeba jej było przykładać szklankę do ust.)

Incydent był nieważny, ale zaskakujący, i w pokoju zrobiło się bardzo radośnie i ciepło. (Wszyscy byliśmy w owej chwili szczęśliwsi i bliźsi sobie.) Cieszyliśmy się i zgodnie chwalili dziecko, przepowiadając mu słoneczną przyszłość, a atmosfera ogromnej życzliwości i wesela tak ożywiła małą, że powtórzyła „grzeczna dziewczynka babcia” dwukrotnie lub trzykrotnie (już nie spontanicznie, lecz sprytnie przewidując efekt), podskakiwała, zaśmiewała się z uciechy, zachłystywała swoim triumfem, a także naszymi spojrzeniami i słowami wyrażającymi uwielbienie dla niej. (Wtedy wiedziała. Byłem z niej dumny. Uszczęśliwiony jej sprytem. Byłem kochającym opiekuńczym ojczulkiem.) Nie mogliśmy się nadziwić jej radości, dowcipowi, urodzie (była naszym cudem), przewidywalności dla niej olśniewającą przyszłość. Nawet moja matka, która bardzo sceptycznie odnosiła się do przesądów, wyraziła przekonanie, że moja córka urodziła się pod niezwykle szczęśliwą gwiazdą i czeka ją wspaniała, radosna, niezmacona przyszłość. Jakim kochanym dzieckiem była, wszyscy ją kochali, nawet ja.

Wówczas chyba po raz ostatni widziałem córkę taką szczęśliwą. I moją matkę chyba też. Wkrótce potem postanowiłem nie zabierać matki do siebie, skazując ją w ten sposób na samotność do końca jej życia. Słowa nie były potrzebne. Sam brak propozycji, żeby zamieszkała z nami, wszystko wyjaśniał. (Nigdy nie proponowała, że z nami zamieszka, więc nie musiałem jej odmawiać. Ułatwiła mi zadanie. Była w tej sprawie bardzo wyrozumiała.) Co dwa tygodnie oraz w święta rodzinne jadałem z nią kolacje u niej czy u nas. (Odwoziłem ją nawet potem do domu. Nikt jej nie chciał: ani żona, ani córka, ani

siostra, ani ja.) Wkrótce potem dostała pierwszego skurczu w mózgu, który najpierw spowodował utratę mowy, w końcu zaś utratę zdolności myślenia oraz pamięci. (Kiedy matka, niezdolna do mówienia, odchodziła od nas w jednym kierunku, nadszedł niezdolny do mówienia Derek z innej strony.) Taka jest moja tragiczna kronika ciągłości ludzkiego losu, wielkiego łańcucha życia, smętnego dziedzictwa cierpienia i odtrącania, które jedno pokolenie Slocumów przejmuje i przekazuje następnemu przynajmniej za mojego życia. (Przejąłem niewiele. Przekazałem jeszcze mniej.) Po wsze czasy tkwić będzie w mojej pamięci niezatarty obraz (nie retuszowana fotografia, cha, cha), wiecznie niezmienny (jak wyrazisty obraz mojej ręki na pełnej, nie ściśniętej stanikiem piersi Virginii, dotkniętej po raz pierwszy, lub wspomnienie jej gładkiej jak jedwab skóry między udami, kiedy po raz pierwszy pozwoliła mi się tam pogłaskać), jest to obraz uroczystego przyjęcia urodzinowego mojej córki, podczas którego moje małżeństwo i moja stara matka po raz ostatni, być może, były radosne. Na tym obrazie jestem między nimi krzepki, młody, prosperujący, męski (skamieniały, znieruchomiał jak książki między podpórkami), na moich barkach spoczywa już ciężar odpowiedzialności za ich szczęście i szczęście innych, podczas gdy ja, odkąd siebie pamiętam, potrafiłem zaledwie utrzymać podniesioną głowę, by stawić czoło życiu nie wykręcając się jakimś zwodniczym żarcikiem i nie wzywając z płaczem pomocy. Kto mnie tam umieścił? Jak się stamtąd kiedykolwiek wydostanę? Czy będę kiedyś miał szczęście? Co zdecydowało o tym, że zostałem umieszczony akurat w tym automacie? (Na jakiej zafajdanej podstawie ludzie myślą, że jestem panem siebie i potrafię być inny? Nie jestem nawet panem swoich fantazji. Cycek Virginii ma w tej chwili dla mnie takie samo znaczenie jak całe życie i śmierć mojej matki. Obie nie żyją. A my, którzy żyjemy, zmierzamy ku śmierci. Jakbym słyszał moją obecną lub następną żonę, jeśli kiedykolwiek będę miał następną, lub kogo innego:

„Czy nie zechciałby pan przesunąć pana Slocuma siedzącego w wózku z cienia na słońce? Staruszek chyba trochę zmarł.”

Bardziej przejmuję się funkcjonowaniem odkurzacza niż bombą atomową i nikogo z moich znajomych nie obchodzi, czy Ziemia obraca się wokół Słońca, czy na odwrót lub czy Księżyc obraca się wokół Ziemi, choć regularne przyplawy i odpływy mogą mieć pewne znaczenie dla marynarzy czy zbieraczy mięczaków, którzy nikogo nie wzruszają. Bardziej

przejmuję się Greenem niż Panem Bogiem. A skoro już o tym mowa, to i Kagle'em, i facetem, który mi czyści chemicznie garnitury; natomiast zbyt głośno grające radio tranzystorowe jest dla mnie większą klęską niż trzęsienie ziemi w Meksyku. Poczekaj — musiała pomyśleć matka, kiedy się jej wyrzekłem i opuściłem ją, bo przecież była tylko człowiekiem — i tobie to się przytrafi. Była za dobra, aby powiedzieć coś takiego. Musiała jednak tak pomyśleć.)

— Bawiłeś się ze mną, kiedy byłem malutka? — pyta córka.

— Oczywiście. Jak ci się zdaje? — Słyszac to pytanie czuje ostrzegawczy dreszcz, lodowacieję.

— Podnosiłeś mnie i podrzucałeś w górę? — dopytuje się dalej. — Nosiłeś na barana? Opowiadałeś bajki przed snem, kołysałeś mnie w ramionach i mówiłeś do mnie po dziecinemu, aby mnie rozśmieszyć?

— Stale to robiłem. Oczywiście. — Przeraza mnie jej nie dowierzenie. — Myślisz, że jestem potworem?

— Teraz już tego nie robisz.

— Jesteś już duża. Kiedy wracam do domu, wołam do ciebie „halo”. Nigdy nie odpowiadasz.

— Urządzaliście dla mnie przyjęcia, kiedy byłem mała? Na moje urodziny?

— Oczywiście. Wspaniałe przyjęcia. Mamusia bardzo się starała, aby były wspaniałe.

— Nie pamiętam żadnego.

— Pamiętasz. Mówisz o nich.

— Kiedy byłem całkiem malutka. Czy przychodzili wszyscy nasi krewni, czy bardzo się ze mną ciałkali i dawali mi drogie prezenty?

— Tak, dużo bawiłem się z tobą. Zaraz po powrocie do domu z biura szedłem do twego pokoju. Ciebie pierwszą chciałem zobaczyć. I zawsze bawiłem się z tobą.

— Mamusia mówiła, że bawiłeś się ze mną. Ale nie wierzyłam.

— Za kogo ty mnie masz?

— Nigdy nie jesteś taki sam. Ciągłe się zmieniasz. Czasem śmiejesz się z tego samego co ja. Kiedy indziej złości się i irytujesz, a przecież robię dokładnie to samo, i chcesz, abym sobie poszła. Nie lubię, kiedy pijesz. Nigdy nie wiem, co będzie.

— Ty też jesteś zmienna.

— Ale ty jesteś ojcem.

— To nie takie łatwe.

— Nie umiesz być ojcem.

— Staram się, jak mogę. Zawsze chcę jak najlepiej. W tej chwili też się staram. Bawiłem się z tobą co wieczór zaraz po powrocie do domu. — Jestem absolutnie szczerzy, słowa płyną mi z ust potokiem cnotliwych wspomnień, bo raz na zawsze chcę jej wytłumaczyć pewne rzeczy, oczyścić się na wieki z winy czy zaniedbania. — Nawet grałem z tobą w baseball plastikowym bijakiem i piłeczką, kiedy byłaś malutka i nie wiedziałaś, że to gra dla chłopców; uczyłem cię pływać. I nauczyłem. Kazałem ci położyć główkę na wodzie i pozwolić nieść się fali, uspokajałem cię, że nic ci się nie stanie, jeżeli mi zaufasz i posłuchasz. Wtedy wierzyłaś mi i nie bałaś się. Więc nauczyłem cię pływać. Co dzień po powrocie z biura — byłaś malutka, mieszkaliśmy wtedy w centrum — zdejmowałem kapelusz z rondem, niektórzy noszą jeszcze takie, nachylałem się ku tobie i pozwalałem ci łapać mnie za włosy. Uwielbiałaś to. Może dlatego, że miałem wtedy o wiele więcej włosów, cha, cha. Byłaś całkiem malutka, nie umiałaś jeszcze ani stać, ani chodzić. Całowałem mamusię w policzek i zaraz szedłem do twego pokoju. Pochylałem ku tobie głowę, łapałaś mnie za włosy obiema rączkami, ciągnęłaś je, śmiałaś się, podskakiwałaś, kopałaś nóżkami z dzikim zapałem, baliśmy się, że spadniesz z łóżka lub wylecisz z kołyski. Cha, cha. Śmiałaś się jak szalona. Mamusia patrzyła na nas i też się śmiała. Tak było co dzień po moim powrocie z biura. A kiedy byłaś starsza — ciągnę obsesyjnie, ogarnięty wspomnieniami — i wróciłaś do domu ze szpitala po operacji migdałków, kazałaś opowiadać sobie bajeczki co wieczór na dobranoc, bo inaczej nie chciałaś iść do łóżeczka. Domagałaś się bajeczek. To było twoje prawo, cha, cha. Musiałem co wieczór opowiadać ci bajki, przeważnie tę samą bajkę. Nie chciałaś słuchać nowych bajek. Najpierw opowiadałem ci o Kopciuszku, potem o Piotrusiu Panie, bo tę bajeczkę widziałaś w telewizji. Musiałem odgrywać Piotrusia Pana dla ciebie. Kazałaś mi. O mały włos nie połamałem sobie nóg skacząc co wieczór z tapczana na podłogę, udając, że latam. Cha, cha. Potem była bajka o Piotrusiu i wilku, o Zygfrydzie — przeczytałem ci całą historię o Zygfrydzie, tak się przejmowałaś, że popłakałaś się z litości dla tego kretyna Zygfrйда, wobec tego przestałem ci czytać tę bajkę; potem była bajka o zajączku i chłopczyku ze smoły, o chłopczyku, który podniósł fałszywy alarm, ale ta bajka ci się nie podobała, bo chłopczyka pożerają wilki, wobec tego znów opowiadałem

ci o Piotrusiu Panie i Kopciuszku. Kiedy dochodziłem do miejsca, w którym księżę prosi Kopciuszka, aby wyszła za niego za mąż, przerywałaś mi ze słowami: „Oczywiście, księżę." Nie pamiętasz? Mamusia pamięta. „Oczywiście, księżę", krzyczałaś, cha, cha, pękaliśmy ze śmiechu. Mamusia stała w drzwiach, słuchała i też się śmiała. Kiedy musiałem wyjechać, starałem się telefonować wieczorem, zanim poszłaś spać, opowiadałem ci bajeczkę przez telefon z innego miasta. Musiałem za każdym razem opowiadać tymi samymi słowami. Zmuszałaś mnie do tego, cha, cha. Jeśli zmieniałem lub z pośpiechu opuszczałem jakieś słowo, bardzo surowo od razu mnie poprawiałaś, musiałem mówić dokładnie tak, jak chciałaś. Byłaś bardzo surowa i stanowcza. Jak malutka, surowa księżniczka. Cha, cha. Znałaś wszystkie bajeczki na pamięć i nie pozwalałaś zmienić ani słowa. Co wieczór. Cha, cha. Nie pamiętasz?

Lecz córka mi nie wierzy.

I nic mnie to nie obchodzi.

## Mój syn ma trudności

---

### W

tym roku mój syn ma trudności w szkole z matematyką, gimnastyką i krasomównstwem. Z innymi sprawami też, jak się zdaje. (W domu ze mną, matką i siostrą. Słowem, ostatnio miewa trudności w każdym nowym roku szkolnym, a trudności te z każdym rokiem rosną. Obawiam się, że on zaczyna mi sprawiać zawód.)

Nie cierpi gimnastyki i krasomównstwa. Dawniej lubił gimnastykę. (Nigdy nie lubił wygłaszać przemówień.) Teraz boi się gimnastyki, bo obejmuje coraz więcej dyscyplin, których nie potrafi opanować, są to: ćwiczenia na drążku, pompki, wspinanie się po linie oraz akrobatyka. Nienawidzi wspinania się po linie, ćwiczeń na drążku i pompek, nie potrafi słowa wykrztusić (widać niemal, jak napęczniała, ołowiana bryła staje mu w gardle), kiedy się o tych ćwiczeniach wspomina (jak gdyby sama wzmianka o jego niechęci do tych idiotycznych popisów gimnastycznych była naruszeniem jakichś tajemniczych tabu, chroniących te ćwiczenia, zmuszając go do nieudolnego powtórzenia ich przy świadkach). Mały nienawidzi For-gionego, krępego nauczyciela gimnastyki z torsem jak dzwon, obrośniętego niczym małpa czarnymi, twardymi włosami, które wiją mu się na całym ciele z wyjątkiem głowy i nawet wystają z wycięcia sportowej koszuli; facet złamałby mnie gołymi rękami, gdyby zechciał, lecz na swój obcesowy, dominujący, prymitywny sposób stara się pomóc małemu, ośmielić go, czym jeszcze bardziej go przeraża.

— Chłopiec nie ma żyłki współzawodnictwa — skarży się For-gione. — Nie ma prawdziwej woli zwycięstwa.

— Ja też jej nie mam — bąkam nieśmiało, starając się zjednać sobie nauczyciela. — Może odziedziczył to po mnie.

— Niemożliwe, proszę pana. Każdy ma żyłkę współzawodnictwa.

— W takim razie dlaczego on jej nie ma?

— Właśnie o to mi idzie.

Syn kosztuje, zielenieje ze strachu w dniach, w których przypadają lekcje gimnastyki czy krasomówstwa, skarży się na złe samopoczucie i mdłości. Na pustkę w piersi, na wypompowane ręce i nogi (jeśli go dobrze rozumiem. Zdaje mu się, że upadnie, jeśli stanie na nogi, zwiotczeje, zapadnie się do środka i osunie na ziemię jak ktoś, z kogo wypuszczono powietrze i kto nie ma szkieletu). Nie lubi odpowiadać na lekcjach.

(— To dla niego dobra zaprawa — mówią w szkole. Z własnego niewielkiego doświadczenia wiem, że przemawianie nie jest żadną zaprawą.)

Bąka, że czasem umyślnie gorzej pisze wypracowanie tylko dlatego, bo nie chce, aby go nauczyciel wyrwał przed tablicę i kazał odczytać je na głos jako wzór. (Nie ma prawdziwej woli zwycięstwa.) Nie chce, aby nauczyciel go pytał, jeśli nie jest na sto procent pewien odpowiedzi. (Prawie nigdy nie podnosi ręki, aby z własnej woli odpowiedzieć na jakieś pytanie, mówią nauczyciele.) Jest zdolny i pracowity, ale ma zahamowania, uczy się jednak szybko i intuicyjnie. Boi się popełnić błąd. Wie chyba znacznie więcej, niż skłonny jest wyjawić. (Dużo myśli, nie zawsze go rozumiem.) Zgłębia interesujące go rzeczy w skrytości ducha, z twarzą jasną, skupioną i daleką. Martwi się. (Lub robi takie wrażenie. Czasem, kiedy spytam go, co go tak trapi, patrzy na mnie z błyskiem zdumienia i odpowiada, że wcale go nic nie trapi. Nie wiem, czy mnie okłamuje. Bardzo martwię się o to, że on może się martwi.)

Straciliśmy orientację, czy on lubi szkołę (dawniej lubił lub robił takie wrażenie), choć potrafi się przystosować do nowych ludzi i zwyczajów w nowym roku szkolnym i z początku bardzo szkołę lubi. Potrzebuje trochę czasu, aby się zdobyć na ten wysiłek. Stroni od tych, których nie lubi, szybko zaprzyjaźnia się z kolegami, których lubi. (Instynktownie jest na tyle przebiegły, aby utrzymać przyjacielskie, pełne szacunku stosunki z ordynarnymi i despotycznymi typami.) Ma wielu przyjaciół. (Od jakiegoś czasu ukrywa przede mną różne rzeczy i wcale mi się to nie podoba. Wypytyuję go. Staram się wyciągnąć

z niego szczegóły. On nie chce ich zdradzić. Mnie zaś nie idzie o to, aby je zdradził. Lecz aby mi się zwierzył.)

Z chwilą kiedy już ma w szkole przyjaciół i przekonał się, że dobrze się przystosował do nowej hierarchii i kodeksu towarzyskiego, wszystko prędzej czy później układa się (lub układało dotąd, stuknijmy w nie malowane drzewo, cha, cha) dobrze: chłopak przyzwyczajony uczy, widzi, że mu się nic nie stało, i aby uczcić swoje cudowne ocalenie, zaczyna wesoło dokazywać, chyba że coś, co ma dla niego znaczenie, nagle fatalnie mu idzie (w tym roku ma, jak dotąd, trudności z gimnastyką i Forgionem, który wymaga, aby chłopiec robił pompy, wspinał się po linie aż do wysokiego sufitu sali gimnastycznej, boi się, gdyż teoretycznie jest możliwe, że się przestraszy, że mu się zakręci w głowie i runie na ziemię albo też znieruchomieje w powietrzu, kiedy będzie się pisał w górę lub zsuwał na dół, aczkolwiek nie słyszałem, żeby to się komukolwiek przydarzyło. Mówi, że niektórzy jego koledzy potrafili wspiąć się prawie do połowy liny nie dotykając jej nogami. Jak małpy. On, jak i ja, nigdy tego nie dokona — potrafi jedynie wspiąć się ponad dolny węzeł grubej, szorstkiej liny — ale ja już nie będę chciał wspinać się po linie, a on chce. I krasomówstwo. W tym roku w szkole kładzie się nacisk na krasomówstwo w młodszych klasach. Dlaczego? Nie tłumaczą się. Czy krasomówstwo i sprawność fizyczna zależą od siebie? Przypominają mi się moje niezrozumiałe zagmatwane sny o grożącym mi niebezpieczeństwie — chyba każdy miewa takie sny — w których jestem całkowicie obezwładniony, nie potrafię mówić ani krzyknąć, nie mogę nawet wykrztusić dwu słów: na pomoc, nie mogę wydobyć z siebie żadnego dźwięku prócz jęków, które same wydostają mi się z gardła i budzą moją żonę, co z kolei napełnia mnie słodką radością, kiedy do mnie dociera, że ona woła mnie po imieniu i potrząsa mną, aby mnie zbudzić. Chyba czasem naprawdę jej nienawidzę. Często przez kilka chwil udaję, że jeszcze śpię, będąc całkowicie obudzony, dalej jęczę niezrozumiale, żeby musiała mnie budzić. Lubię słyszeć w jej głosie niepokój. Żona czuje się odpowie działna za moje złe sny, cieszy mnie to i nie robię nic, aby ją uspokoić, jak gdyby to naprawdę była jej wina. Mam pretekst do ukarania jej. Sprowadzam wszystko do własnej osoby. Oddalam wszystko od siebie. Wolałbym, żeby żona miała większe cyce. Wolałbym, aby miała mniejsze. Wydaje mi się, że kocham syna naprawdę jak ojciec. Przynajmniej tak to



czuje), wtedy jest bliski załamania, może runąć jak bezsilna kukła ubrana w chłopięcą garderobę albo emocjonalnie rozsypać się jak worek wiórów — drewnianych lub innych — pograżyć w smętnym niepokoju, obezwładniającym i przerażającym jednocześnie (nas tak samo jak jego. Żona i ja sztywniejemy z przerażenia wobec najbardziej mglistej możliwości, że coś jest nie w porządku z którymś z naszych dzieci. Derek jest temu winien. Żona nie chce, żeby nasz syn wyrósł na pedała, i po cichu zamartwia się, że wyrośnie. Wiem, że się martwi, bo i ja się często o to martwię, choć nie tak często jak ona. Nie chcę, aby mój syn był pedałem. Na razie nic nie wskazuje na to, że będzie. Po prostu nie chcę).

Chłopiec ma dopiero dziewięć lat i nie potrafi jak dorosły poradzić sobie z niektórymi przeszkodami czy niepowodzeniami (a my jeszcze nie znamy wszystkich jego niepowodzeń, wydaje nam się, że on często nie chce nawet zadać sobie trudu; unikanie rzeczy niemiłych staje się dla niego czasem czymś bezcelowym i nieprzyjemnym, że wysiłek z tym związany wydaje się niewart zachodu, on woli ustąpić i przestać walczyć, jego rezygnacja i żal zdają się mówić, że znacznie łatwiej i sensowniej byłoby przestać czegoś chcieć, poddać się, niech mu się przytrafi to najgorsze, niech go zgniecie, zniszczy, ale niech się to już raz skończy. Dawniej bał się, że jakieś straszdyła wypełzną spod jego łóżka. Może teraz myśli, że lepiej byłoby pozwolić im wypełznąć, niż czekać, aż stanie się to, co i tak stać się musi, żeby nie wiedzieć jak się strzegł; więc skoro prędzej czy później nieuniknione nastąpi, woli, aby to nastąpiło od razu, niż żyć w ustawicznym strachu i nasłuchiwać bezlitosnych, niemal słyszalnych kroków nieodwołalnego nieszczęścia. Sądzę, że on tak czuje myśląc o sobie, gdyż ja tak czuję, myśląc o nas obu).

(Wiem, jak to jest, kiedy się tak czuje.)

(Nie jest to nic przyjemnego.)

Wiem, jak to jest, kiedy na długo przed końcem wakacji i początkiem roku szkolnego należy przewidzieć czekające go męczarnie. (Wiem, jak to jest otrzymać wiadomość o zebraniu w biurze, kiedy nie mam pojęcia, z jakiego powodu się je zwołuje. Wiem, że już teraz osaczają mnie ponure i smętne wątpliwości, czy pozwolą mi wygłosić choćby trzyminutową mowę na zjeździe w Porto Rico w tym roku, nie mówiąc już o niepewności, jaka mnie ogarnia na wypadek objęcia przeze mnie stanowiska Kagle'a; kiedy miałbym cały zjazd na głowie. Czy mowa mi się uda? Czy będzie równie dobra, jak byłaby

ta z zeszłego roku, gdyby Green pozwolił mi ją w końcu wygłosić? Wydaje mi się, że jak żona nienawidzę tego łobuza Greena, ale wolę nie przyznawać się do tego przed nią. Po co się przyznawać przed kimkolwiek, że nienawidzę i boję się faceta, który jest moim szefem, ale mimo to pracuję w jego dziale? Dlaczego zadreżam się czymś, co w najlepszym wypadku byłoby tylko dowcipnym trzyminutowym przemówieniem? Niebo nie zawali się z tego powodu nam wszystkim na głowy, a ja leję łzy nad nie gojącym się zadrażnieniem ogromnie delikatnej próżności. Kłopoty syna przynajmniej są realne. Zajmują pewną przestrzeń. Zwisają z sufitu sali gimnastycznej, spoglądają na niego z ciemnej, złej twarzy nauczyciela gimnastyki.) Jego młody praktyczny umysł dostrzega bezsens tego, że w jednym roku szkolnym musi wykonać szereg skomplikowanych posunięć, aby się przystosować do różnych ludzi, młodych, starych, dobrych, neutralnych czy złych, tylko po to, aby pod koniec wiosny i z nastaniem lata przestać z nimi obcować (dla niego jak i dla mnie teraz rok zaczyna się we wrześniu, a kończy w czerwcu. Lato odmierza czas. Latem robi się inwentarze, dodaje salda bankowe i dupczy), jesienią zaś być zmuszonym rozpocząć na nowo tę samą męczącą procedurę, przystosowywać się do ludzi, z którymi, jak wie z góry, i tak przestanie się stykać wiosną (równie metodycznie i bezsensownie jak przystosowuje się do pór roku, choć mu to nic nie daje. Pory roku nie zmieniają się zależnie od naszych chęci) i znów będzie sam, poza obrębem ochronnego kordonu (dom najwyraźniej nie okazał się dość solidny), w którym czułby się bezpieczny i miał pewność, że sytuacja przez jakiś czas pozostanie sensowna i zrozumiała, nie stanie się chaotyczna i nie zmieni nagle kierunku. (Gdzie jest obecnie dla kogokolwiek z nas punkt odniesienia, który wyznaczałby bodaj drogę do horyzontu oddalonego tylko o osiemnaście mil?) Syn głowi się nad takimi sprawami. (— Jak daleko jest horyzont?

— Osiemnaście mil nad poziomem morza — odpowiadam szybko. — Albo czternaście, nie pamiętam.

— Dlaczego nad poziomem morza?

— Nie wiem. Pewnie dlatego, że jak się stoi wyżej, to się widzi dalej.)

On zawczasu rozmyśla o takich sprawach (aczkolwiek nie wyraża swych myśli dosłownie tak, słowa są moje. Chłopiec ma tylko dziewięć lat i nie posługuje się takim słownictwem

jak ja. Gdzie ja byłem mając lat dziewięć? Również czułem się samotny wśród kolegów w szkole podstawowej, gdzie musiałem obowiązkowo chodzić dwa razy w roku do dentysty i gdzie pielęgniarka raz czy dwa w roku badała mi głowę w obecności całej klasy: białych, czarnych, Żydów, Włochów, aby sprawdzić, czy nie mam gnid, chociaż nigdy nikomu z nas nie wyjaśniono, co to takiego gnidy, domyślaliśmy się tylko z tonu, że to coś paskudnego. Ten test zawsze dla mnie wypadł pomyślnie. Nie wiem, jak przeżyłbym przegraną. Jedna dziewczynka posiusiała się raz w ławce podczas testu z geografii i wszyscy się o tym dowiedzieli. Nie wiem, jak ona to przeżyła. Ja bym chyba nie przeżył tego, gdybym się posiusiał w klasie podczas testu z geografii).

Kiedy syn rozmyśla o czymś zawczasu, ma skłonność do roztrząsania spraw, których nie rozumie lub które go dręczą. (Prawie nigdy nie dostrzega nic dobrego w swej przyszłości. Nie wierzy, że może dostać to, czego pragnie, choć obiecuje i daje mu prawie wszystko, o co poprosi i co, moim zdaniem, powinien chcieć i dostać. Ile razy pomyśli o czymś miłym, wpada w panikę i martwi się, że to go nie spotka. Traci upragnioną rzecz, zanim ją otrzyma. Tak jak nasi komiwojażerowie i ja, nauczeni smutnym doświadczeniem, też spodziewamy się i pragniemy najgorszego, aby raz z tym skończyć.) Zatrują mu one wakacje. (Początek każdego lata jest istną męką dla niego, bo musi się aklimatyzować, przyzwyczać do plaży i domu wynajętego na lato. Nie chce jechać na obóz szkolny, córka też już nie, mimo że oboje nie lubią spędzać wakacji z nami. Nigdy nie wiemy, co robić z Derekiem. Zarówno ukrywanie, jak pokazywanie go jest bardzo kłopotliwe. Koniec lata jest dla syna zatruty nadchodzącą jesienią. Ku jego i mojemu zmartwieniu kłopoty późnego i wczesnego lata nakładają się czasem na siebie, tak że kiedy jedne nikną na chwilę, drugie są już obecne i odbierają nam spokój ducha. Syn czasem mnie ofukuje, wówczas ja też zaczynam się dręczyć, rośnie we mnie złość na niego. Obawiam się, że zaczynam go nie lubić.)

Wiem (i denerwuje mnie to), że na wiele tygodni przed końcem wakacji on już się zadreczę czekającymi go przykrościami: nauką, wyczynami gimnastycznymi (lubi gry polegające na bieganiu i wymijaniu, bo jest szybki, zwinny i sprytny), boi się nowych nauczycieli, starych nauczycieli, dyrektora, zastępcy dyrektora, nauczyciela majsterkowania i fizyki (zawsze był podejrzliwy wobec tych dwóch nauczycieli, może dlatego że to

mężczyźni), nauczycielki muzyki (czy i ta też każe mu wstać i coś zaśpiewać, aby sprawdzić, do jakich głosów w chórze go zaliczyć w cotygodniowych popisach na zebraniach szkolnych?), chłopców pełniących funkcję starostów w wyższych klasach (starszych i większych od niego, którzy mają prawo mu rozkazywać, starszych i wyższych od niego dziewczynek z opaskami na ramionach i insygniami władzy, którym już wykluwają się piersi tajemniczo i groźnie sterczące w jego stronę. Pamiętam, jak to było, kiedy ja sam byłem mały) oraz chłopców i dziewcząt, których poznał ubiegłego roku, ale którzy nie będą z nim w tej samej klasie. Martwi się, że traci kolegów, a także koleżanki, nawet takich, których nie lubi, jeśli wyjeżdżają do innych miast lub przechodzą do szkół prywatnych (coraz częściej przenosimy nasze dzieci do szkół prywatnych, drogich i niedobrych, potem zmieniamy te szkoły na inne, nie o wiele lepsze. Nie podobają nam się dyrektorzy takich szkół. Coraz więcej rzeczy ulega rozpadowi i wkrótce nie zostanie nic. Nie będzie gazet, pism ilustrowanych, wielobranżowych sklepów. Nie będzie kin. Zostaną tylko sklepy z przecenionymi towarami i drugstore'y. Coraz więcej ludzi — nie tylko ja — nie dba w rzeczywistości o to, co się stanie z ich dziećmi, pod warunkiem że to się nie stanie zbyt szybko), martwi się o kolegów, którzy utonęli albo wpadli pod samochód w czasie wakacji (liczba młodocianych ofiar wypadków równa się liczbie dorosłych ofiar wypadków w naszym koncernie. Martha na przykład dostaje obłądu) i o tych, którzy wskutek nieubłaganych, niezbadanych procesów w suterenach biur (dorośli są ogromnie zajęci sortowaniem danych o żywych dzieciach, które już są martwe, w kartotekach, aktach, teczkach i szafkach) zostali od niego oderwani (jak migdałki i zęby mleczne) i rozsiani po innych klasach. Bardzo nie lubi tracić nauczycieli, którzy byli dla niego dobrzy.

(— Czym się martwisz? — pytam, kiedy nie mogę już w milczeniu znieść myśli, że on się skrycie zamartwia.)

— Nie martwię się.

Chciałbym móc bardziej mu pomóc. Chciałbym, aby mi pozwolił spróbować.

— Czym się martwisz? — nalegam.

— Nie martwię się — spogląda na mnie z błyskiem zdumienia w oczach.

— Dlaczego jesteś taki ponury?

— Myślałem.

— O czym ty mogłeś myśleć — nalegam z uśmiechem — z taką zmartwioną miną?

— Nie wiem. Zapomniałem.

— Byłeś bardzo ponury.

— Nie wiem, co to znaczy.

— Smutny.

— Nie jestem smutny.

— Zmęczony?

— Może mi się chce spać.

— Późno chodzisz spać?

— Czasem nie zasypiam od razu.

Chwilami zastanawiam się, czy on faktycznie tak się martwi, jak mi się zdaje. Kiedy indziej zdaje mi się, że martwi się jeszcze więcej. Jest ostrożny (albo wydaje się taki. Wiem, że ja się martwię o niego, wydaje mi się, że coś strasznego go spotka. Żona też się o niego martwi. Kiedy córka była mała, martwiłem się i o nią, ale skończyła już piętnaście lat i nic najgorszego się nie stało. Co to miałyby być? Nie wiem.) Może to najgorsze już się stało i nie zorientowałem się w tym, bo kiedy patrzę wstecz, widzę, że syn nie miał nigdy łatwego dzieciństwa (a córka właśnie przeżywa koszmarne okres, chyba że i ona się zgrywa. Czy to nie byłoby zabawne, gdyby się okazało, że oboje zgrywają się na bardziej nieszczęśliwych, niż są, tylko po to, aby nas dręczyć? Cha, cha. Wcale by mnie to nie bawiło. Już jako maluch w kojcu wchłaniał wszystko, co go otaczało, szeroko otwartymi, niezglębionymi, inteligentnymi oczami, zastanawiał się nad każdą rzeczą, zanim zareagował; nawet kiedy reagował spontanicznie, śmiał się lub uśmiechał, wy-czuwało się w nim umyślną zwłokę, króciusięńkie zawieszenie, pauzę, w trakcie której coś postanawiał. Nawet kiedy dawaliśmy mu pieniądze lub chcieli kupić lody, zastanawiał się chwilę, zanim się zgodził. Często tracę do niego cierpliwość. Krzyczę na niego, prawię mu kazanie, a potem dowodzę, że wcale nie krzyczałem, tylko mówiłem dobitnie. W ten sposób nie pozyskam jego zaufania. Potem staram się być hojny i miły, aby mu to wynagrodzić.

— Powiedz, tak czy nie — nalegam. — Czy to nie wszystko jedno, czy masz rację, czy jej nie masz? Nie ma nieszczęścia, jeśli popełnisz błąd.

Jest zakłopotany.

Boi się popełniać błędy. Więc popełnia je ze mną przez swoje wahanie).

Na pewno zastanawia się teraz, dlaczego jego życie musi być wciąż takie trudne (dlaczego tak często krzyczą na niego albo robię wrażenie, że krzyczą, dlaczego w każdym razie podnoszę głos) i czy przyjdzie w jego życiu taki czas, kiedy będzie spokojny i zadowolony, a nieubłagane demony nie będą na niego czatowały, nie będą podkładały się do niego, szykując się do napaści, niemal widoczne. (Wiem, że to ja zadrezczam się tym wszystkim, co mu grozi. Kiedy on wreszcie się odpręży i uspokoi, abym i ja mógł się odprężyć i uspokoić?)

— Co chciałbyś robić? — pytam go ciągle, niespokojny i zatroskany. — Czym chciałbyś być?

— Chciałbym się kiedyś nauczyć prowadzić samochód.

— Każdy to umie.

— Jeśli potrafię. Myślisz, że potrafię?

Lubi zapach benzyny, boi się ognia, szybkości, ma lęk przestrzeni (ale nie boi się latać samolotem).

Jak bardzo musiały go wymęczyć (czuję) przeszkody i kłopoty, jest jak sterany starzec (*homunculus*) lub zrezygnowana, dogorywająca siwa staruszka, odchodząca z ulgą ze świata. Często, kiedy coś szczególnie go gnębi, cień ponurego zakłopotania pada na jego delikatne, subtelne rysy, jest boleśnie zdumiony, sparaliżowany, jak gdyby nie mógł pojąć swego niepokoju.

Nigdzie poza domem nie czuje się całkiem swobodnie, choć potrafi być wesoły z ludźmi, których zna. Opowiada kawały. Jest dowcipny, ma talent do opowiadania oryginalnych kawałów. Są to przeważnie dowcipne powiedzonka, zawsze nieob-rażliwe, na ogół celne dzięki swej poincie. Osłania się humorem jak łuską ochronną. (Ja też. W ten sposób traktuję seks, który zawsze jest komiczny.) Wysila się, by stworzyć koło siebie łonopodobną atmosferę współczucia i życzliwości, chce w niej trwać wiecznie (jak moje ja, które jest naprawdę mną, jak sądzę, sprytnie spowite w kokon, ukryte w lisiej norze, o której żywa dusza nie wie), schowany, ostrożnie wysuwa od czasu do czasu głowę (częstka mojej istoty w każdym razie), chcąc uspokoić siebie (mnie), aby stwierdzić, że nasza łuska ochronna pozostała nienaruszona (i że tkwimy w niej też nienaruszeni), pospiesznie cofa głowę (w przerażeniu szuka wolnej drogi ucieczki, jestem tego pewien, lecz bezskutecznie, więc wpada w panikę), jeśli dostrzegamy lub sądzimy, że dostrzegamy, grożący nam cios, klęskę, dezintegrację. (Denerwuje go koszykówka, której nie rozumie.) Zawsze w pierwszej chwili chce się

przypodobać ludziom, nie chce mieć wrogów, nie lubi kłótni i nie bawi go współzawodnictwo. Czuje się najbezpieczniej, kiedy wszyscy wokół niego są weseli i zadowoleni (udaje absolutną obojętność w stosunku do Dereka, kiedy mu na to pozwalamy, usiłuje robić wrażenie, że go nie zauważa), natomiast czuje się bardzo zagrożony w towarzystwie ludzi ponurych albo wybuchających gniewem, szczególnie w moim towarzystwie. (Przypuszczam, że chwilami boi się mnie tak jak obcego człowieka, który siedzi zapatrzony ponuro przed siebie w jakiejś kawiarni, albo jak boi się Forgionego czy jego zastępcy, którzy wymagają, aby wspinał się po linie, podciągał na drążku, skakał, robił pompki i grał w koszykówkę, a on tego wszystkiego nie potrafi robić dobrze, boi się i nie rozumie.) On jeden w naszym domu nie ma śmiałości wejść do mego gabinetu i przeszkodzić mi. (Nie ma nawet śmiałości przyjść do mnie i powiedzieć mi dobranoc, choć proszę go, aby przychodził, i zapewniam, że nie będę się gniewał.

— Dobranoc! — krzyczy z korytarza, tak daleko od moich drzwi, że nie mogę go dostrzec, kiedy odwracam głowę, i zaraz ucieka do siebie, chyba że od razu zawołam:

— Dobranoc. Chodź tu na chwilę!

Nie wejdzie z własnej woli. A kiedy już zmuszę go do wejścia, nie mamy sobie wiele do powiedzenia. On wnosi z sobą barierę. Albo ja mam swoją. Jednakże mam ochotę porozmawiać z nim. Tylko że nie mamy o czym. Wysilam się na pytania. Nic z tego. Zmusza mnie do tego, bym go wypytywał, i odpowiada monosylabami. Wie chyba, że nie jestem naprawdę ciekaw jego odpowiedzi, wydaje się zły i uparcie milczy właśnie dlatego, że próbuję go wciągnąć w rozmowę.

Boi się obcych facetów z odpychającymi, ponurymi twarzami i ludzi z dzikim wzrokiem, którzy w ferworze mówią do siebie na ulicy. (Bardzo się takich strzeże. Wielu takich używa sprośnych słów.) Wpada w popłoch, kiedy ktoś traci panowanie nad sobą (nawet ja, kiedy jestem pijany i wyglupiam się publicznie albo z jego kolegami. Chce, abym się godnie zachowywał przy ludziach). Jeśli złoścę się na żonę czy córkę albo któraś z nich zaczyna krzyżeć na mnie, syn boi się naszych gwałtownych ruchów, okrutnych pogroźek i oskarżeń i jeszcze jest zdenerwowany, kiedy kłótnia już dawno się skończyła i znów jesteśmy w dobrej komitywie. Żona i ja staramy się już nie kłócić przy dzieciach, głównie z powodu fatalnego wpływu tych kłótni na syna (i przeważnie uzdrawiającego wpływu na

córke. Poprawia jej się humor. Zawsze wywęszy wiszącą w powietrzu kłótnię rodziców, rozkoszuje się nią i często chytrze podrzuca jakieś słowo niezbędne do rozpętania tej kłótni, choć zdarza się, że błędnie i ucieka przerażona, jeśli awantura, na którą tak się cieszyła i w której miała nadzieję wziąć udział, okazuje się okrutniejsza i bardziej bolesna, niż się spodziewała. W dużych, hałaśliwych i zatłoczonych kawiarniach, w restauracjach przy boiskach sportowych, w cyrku lub w dzielnicy handlowej, w holach hoteli, na dworcach lub w innych przepastnych krytych pomieszczeniach, w których otacza nas tłum obcych ludzi, syn często myśli, że ktoś mu się przygląda z płonącą furią i lodowatą nienawiścią i że chce go skrzywdzić. Powiedział mi o tym, czasem opisał i pokazał taką osobę, ale nigdy nie odważył się odwrócić głowy, żeby spojrzeć po raz drugi na wroga. Szybko spoglądałem na pokazywaną osobę i nigdy nie byłem zupełnie pewien, że się myli. Zawsze go jednak uspokajałem i mówiłem, że to mu się tylko zdawało). Lubi skrycie i długo nad czymś rozmyślać, szuka odpowiedzi na nieodgadnione zagadki i często nie orientuję się, czy on się naprawdę boi czegoś okropnego, obezwładniającego, czy tylko odpoczywa, podczas gdy mnie się zdaje, że on cierpi. (To ja wyobrażam sobie, że jest zagadkowy. Nie chcę, żeby się zadreślał sprawami, o których woli ze mną nie mówić, nawet jeśli ja jestem głównym powodem jego udreki. Nie chcę, żeby coś przede mną ukrywał. Chciałbym mieć pewność, że mi ufa. Chciałbym mieć pewność, że chętnie i wyczerpująco odpowie na wszystkie moje pytania, choćby jego odpowiedzi były nieciekawe i niewiele znaczyły dla nas obu. Skąd mogę wiedzieć, czy myśli o nudnych sprawach, skoro nie wiem, o czym myśli? Chciałbym, aby z własnej woli opowiadał mi o wszystkim, co mu przyjdzie do głowy, jeszcze nim go spytam. Przecież, jakby nie było, jest moim jedynym synem i powinien wiedzieć, jak bardzo go potrzebuję.)

Jest przystojny, dobry, wszystkim się interesuje i wszyscy go lubią (lub tak się wydaje. Z ludźmi nigdy nic nie wiadomo. Chociaż on wie. I ja także). Ma miękkie, popielate włosy, szelmowskie poczucie humoru i inteligencję, blade, chude ramiona i tors. Nie jest silny. Jest wysmukły. Cieszy się dobrym zdrowiem. (Lubimy go, córka też go teraz lubi, aczkolwiek dawniej była o niego zazdrosna i dokuczała mu, chętnie o nim mówimy.) Trudno z niego wydusić choć słowo skargi, jest to jak wyrywanie zęba. (Pocieszamy się, że jest szczęśliwy, a jego



chwilowe nieposłuszeństwo, upór lub smutek tłumaczymy sobie zmęczeniem, bólem gardła, gorączką lub napadem zrozumiałych dziecinnych fanaberii.) Jest i zawsze był dobrym dzieckiem. Ja i żona mówimy sobie z dumą, że jest niemal zbyt dobry, aby był prawdziwy (nieprawda! Czegoś mu brak, i chyba zawsze to wiedziałem, choć nigdy nie miałem dość odwagi, aby to powiedzieć lub nawet pomyśleć, bo ilekroć taka myśl przyjdzie mi do głowy, natychmiast ją odrzucam. Żona martwi się tylko o to, aby nie wyrósł na homoseksualistę, aczkolwiek nic nie wskazuje, aby mu to groziło. Ja się tym specjalnie nie martwię.

— Jest grzeczny, bo chce mi zrobić na złość! — krzyczy córka przy nim, kiedy gwałtownie sprzecają się dla zabawy, jedno czy drugie ciągle wywołuje takie sprzeczki, aby się pośmiać czy dokuczyć sobie. — Nikt nie jest aż taki grzeczny przez cały czas.

— Lesbija — odgryza się syn skutecznie.

Nie możemy się powstrzymać od śmiechu, podziwiamy go czule, jednakże żona ma wątpliwości, czy powinien używać takich słów przy nas, czy to zdrowe i przyzwoite, aby nasze dzieci znały takie słowa).

Ale jemu naprawdę czegoś brak i nic nie pomoże ukrywanie moich wątpliwości, od których serce mi lodowacieje (jak gdyby zamykanie oczu na coś przykrego mogło zaradzić złu. Niektórzy ludzie wierzą, że w ten sposób wyleczą się z raka. Moja żona do nich należy. Coś złego mu się przytrafi. Wiem to teraz. Wiem, że tak będzie. I coś złego przytrafi się mnie, dlatego że przytrafi się jemu. Może to się już dzieje. Chyba tak. Zaczęło się dawno temu) i modłę się niemądrze, w duchu (głównie dla mojego, nie jego dobra), aby zło samo przeminęło z czasem, abym uniknął udręki i kłopotu uporania się z nim lub żeby pozostało ukryte i niewidoczne dla innych do końca przeznaczonych mi siedemdziesięciu lat żywota w radości, zadowoleniu i dobrobycie (cha, cha, do dnia mojej naturalnej śmierci), kiedy nie odczuję już tragedii, która straszliwie go okaleczy i przyprawi o wielkie cierpienie (nie umiem cierpieć) albo też ostatecznie go zmiażdży. Nie bardzo wierzę w swoje szansę, stwierdziłem bowiem, że ludzie wyrastają na takich, na jakich zapowiadali się w dzieciństwie, i w głębi każdego, ob-cesowego czy nieśmiałego znanego mi człowieka tkwi w pełni uformowany, lecz niekompletny dzieciak, jakim był kiedyś i jakim pozostanie, dzieciak samotnie zawieszony w swojej przeszłości, który na próżno czeka, aby się znów przejawić,

teżki okropnie za towarzyszymi zabaw, w rozpaczy czeka na chwilę, kiedy będzie mógł bezpiecznie wyskoczyć z ukrycia i krzyknąć radośnie, wyciągając ramiona, nabierając w płuca ożywczego powietrza i wreszcie śmiało zawołać:

— Hej! Jestem! Nie mogliście mnie znaleźć? Czy możemy już być razem?

I wiem, że ukryty we mnie (czuję go w sobie, czuję ponad wszelką wątpliwość) tkwi nieśmiały chłopczyk, taki jak mój syn, że ten chłopczyk chce być najlepszym przyjacielem mego syna, chce wyjść ze mnie i bawić się z nim.

Cieszę się, że jak twierdzi, nie boi się już pszczoł, pajaków, gąsienic, krabów, meduz, i bardzo chcę w to wierzyć.

— To już minęło — zapewnia mnie. — Zobaczyłem pszczołę i nie chciałem wcale uciekać.

— Bałeś się? — indaguję go. — Czy pszczoła przeleciała koło ciebie?

— Nie byłem sam — przyznaje.

Cudownie idzie mu matematyka, dobrze fizyka, ale nie zależy mu już na stopniach celujących (z czego nauczycielki są niezadowolone, on zaś nie rozumie dlaczego). Zamęt w jego pojęciach jest też poniekąd skutkiem potężnego, nie skryzystalizowanego kompleksu Edypa, z którym idzie w parze przerażający strach przed kastracją (mój oczywiście), jednakże on jest jeszcze za mały, cha, cha, aby się martwić o te sprawy.

Jemu się zdaje (mnie się zdaje), że jest o wiele mniejszy niż w rzeczywistości. Mnie się zdaje, że jemu się zdaje, że wygląda śmiesznie, żałośnie i że chcemy się go pozbyć, wywieźć gdzieś daleko i zostawić. Nie umie wytłumaczyć, dlaczego mielibyśmy chcieć się go pozbyć, nie wypowiada się na ten temat. (Może myśli, że chcemy się go pozbyć, bo jest za mały. Wcale nie jest za mały. Jest normalnie wysoki na swój wiek, a wydaje się niski w porównaniu z wysokimi rówieśnikami. Jednakże jest faktycznie niewysoki i na nic się nie zda przekonywać go, że to nieprawda.)

Dawniej, kiedy zabieraliśmy go do jakiegoś nieznanego czy nawet znanego miejsca, do znajomych czy publicznego lokalu, obojętnie, pustego czy gwarne i tłoczne (ciemne czy jasne, bez różnicy. Nie lubił tłumów, pustki też nie. Nie

lubił, żebyśmy go z sobą zabierali. Obojętnie dokąd. Nigdy nie był pewien, że idziemy tam, gdzie mówimy, dopóki nie byliśmy na miejscu, potem zaś nie był pewien, że go zabierzemy wychodząc), manewrował przebiegle, aby ramieniem czy ręką otrzeć się o matkę lub o mnie, musiał któregoś z nas dotknąć, przynajmniej dopóki nie zorientował się, gdzie jest, i doszedł do wniosku, że na razie nic mu nie grozi (że nie nadeszła jeszcze godzina jego zagłady. Wyrok, co prawda, już zapadł, lecz nie została wyznaczona godzina jego wykonania). Trzyma się kurczowo tego, co posiada (choć wcale nie cieszy się tym, co ma). Boi się nas stracić. Boi się być sam nawet w domu i na ogół trzyma drzwi swego pokoju otwarte. Niewiele w nim przebywa. (Niepokoją go zamknięte drzwi innych pokoi. Drzwi do pokoju córki zawsze są zamknięte, jak gdyby chciała dać nam odczuć swoją otwartą pogardę. Drzwi naszej sypialni bywają otwarte lub zamknięte. Wieczorem zaś czy rano, kiedy mam stosunek z żoną lub któregoś z nas myśli, że taka możliwość istnieje, drzwi są zamknięte. Nie chcemy być widziani. Nie zostaniemy już zwolennikami grupowego seksu.) Syn nie chce przebywać z ludźmi, którym nie ufa, a nie ufa nieznajomym. Nie zawsze ufa i nam. (Kogo jeszcze ma prócz nas?) Chwyta nas za ręce i nie chce ich puścić. Czujemy się często zawstydzeni. Odpychamy go. — Puść — nakazujemy przymilnie. — Puść moją rękę, proszę cię.

Krew odpływa mu z policzków i ust (które sinieją. Ilekroć mocno się zdenerwuje, wargi jego stają się sinawe). Trzęsie się, połyka ślinę, krztusi się, zwłaszcza jeśli go zmuszamy, aby puścił nasze ręce, i każemy mu iść bawić się samemu lub żeby sobie gdzieś poszedł, my zaś znikamy mu z oczu. W takich wypadkach stał dawniej z cierpięciznym, błagalnym spojrzeniem. Więc już tego nie robimy. (Nie chciał, aby ktoś widział jego niepokój i cierpienie, choćby nawet okazywał te uczucia nam. Przestaliśmy zabierać go z sobą, kiedy nie chciał nam towarzyszyć. Mógł zostać sam w domu. Córka jest teraz zbyt zajęta, aby się nim zajmować.) Ilekroć odchodzi od nas czarna służąca lub biała pielęgniarzka, jest smutny i niespokojny (nawet jeśli ich nie lubi. Na ogół ich nie lubi i stara się mieć z nimi jak najmniej do czynienia). Boi się, że i jego możemy się tak samo pozbyć.

— Chcecie się pozbyć Dereka? — spytał.

— Nie — skłamałem.

— Chcecie pozbyć się mnie?

— Nie. Dlaczego mielibyśmy chcieć tego?

— Chcecie się kogoś pozbyć?  
— Nie.  
— Takich, co u was pracują?  
— Nie. Chcemy się pozbyć tylko tej. Dlaczego mielibyśmy pozbywać się ciebie? Jesteś za dobry.

— A gdybym nie był?  
— I tak byłbyś za dobry.  
— Czasem — wyznaje żałośnie z łagodnym (a może sprytnym) uśmiechem — śni mi się w nocy, że jestem całkiem sam i nie wiem, gdzie mam iść. Płaczę. Budzę się z mokrymi oczami. Czasem — mówi pokornie, skoro już postanowił nam powiedzieć — nie śpię nawet, kiedy mi się to śni.

Kończy ze smutną miną, czeka w milczeniu na moją odpowiedź i patrzy na mnie mądrym, badawczym spojrzeniem.

(Nie wiem już, czy opowiada mi to wszystko dlatego, że to prawda, czy dlatego, że bardzo się niepokoję, co doskonale widzi. Nieufność i zjadliwość zaczynają mącić moją miłość do niego. Coraz częściej mam ochotę przeciwstawić mu się, walczyć z nim, jak postępuję z córką. Opanowuję ten odruch.

— Jesteś zły? — pyta.

— Nie — kłamię.)

Pewnego dnia ubraliśmy go w koszulę, szydełkowy krawat i marynareczkę, aby go zabrać do cyrku (do prawdziwego cyrku, w co nie bardzo wierzył; wyglądał rozkosznie, zdrowo i schludnie w różowej koszuli w kratkę, którą kupiłem mu w dziale dziecięcym u Braci Brook, i granatowej marynareczce, też od Braci Brook, z błyszczącymi jedwabistymi włosami, jego własnymi, nie od Braci Brook, cha, cha, świeżo umyтыми i zaczesanymi z pięknym przedziałkiem. Spytał:

— Jestem dość czysty? — Odwrócił się od dużego lustra, wyszorowany, wysuszony i ładnie ubrany.

— Czyściutki jak łezka — uspokoiłem go.

— Olsńiewająco czysty — dodała żona).

— Wsadzicie mnie do taksówki i zostawicie w niej?

— Oczywiście, że nie — powiedziałem zły i oburzony. — Dlaczego mielibyśmy to zrobić, na Boga?

— Nie wiem — wzruszył ramionami, jakby przekreślał siebie.

On chyba jednak wie.

— Czy droczysz się ze mną — pytam — czy naprawdę w to wierzysz? Naprawdę myślisz, że zostawilibyśmy ciebie w tak sówce? Co by taksówkarz na to powiedział?

— Mogę cię spytać? — mówi nieśmiało.  
— O co?  
— O coś, co chcę wiedzieć.  
— Nie będę zły.  
— Już jesteś.  
— Nie będę się bardziej złościł.  
— Pytaj — mówi żona.  
— Jeśli zechcecie się mnie pozbyć, jak to zrobicie?  
— Z uściskami i całusami — odpowiadam zrozpaczony. —  
Psujesz nam cały dzień. Co to za rozmowa z ładnym chłopcem,  
ubranym w koszulę w kratkę, krawat i marynarkę? Po cyrku  
zabierzemy cię na lunch do dobrej restauracji.  
— Nie chcę.  
— Chcesz.  
— Spodoba ci się tam.  
— Do cyrku też nie chcę iść.  
■— Chcesz.  
" — Spodoba ci się w cyrku.

Nie lubię kolei podziemnej. (Wyobraźnia rysuje mi przerażające wizje związane z nim: on błądzi lub dojeżdża do niewłaściwej stacji, nigdy jednak ani w snach, ani w myślach nie porzucałem go ani nie chciałem tego. Drzwi wagonu się zamykają, zanim obaj wsiądziemy czy razem wysiądziemy, jesteśmy rozłączeni. Albo idziemy gdzieś, ja odwracam na sekundę głowę, a kiedy znów zwracam się ku niemu, już go nie ma. Albo zapominam o nim, nie myślę o nim, i przypominam sobie, że powinien być ze mną, dopiero kiedy jego już nie ma, kiedy znikł bez śladu z mego snu. Nie potrafię odgadnąć, gdzie się podział. Pusto wokół mnie. Czuję się samotny i nie wiem, który z nas się zabłąkał. Ja też czuję się zabłąkany.)

Syn unika przykrych zapachów (może przypominają mu gnicie, gaz trujący lub duszenie się. Nie chce nigdy polecieć na Księżyc, ja też nie) i wzdryga się słysząc nieoczekiwany hałas (lub zduszone, tajemnicze, ukradkowe szmery. Ja też, jeśli o to idzie, i tak samo reagują antylopy. On chyba sądzi, że tylko on tak to odczuwa i tylko on się czuje zagrożony). Pojąć nie może, dlaczego muszą istnieć wojny, napady bandyckie, pszczoły, matematyka, pająki, koszykówka, wspinanie się po linie, mdłości, wściekli, groźni faceci (prawdziwi i wyimaginowani) oraz krasomówstwo i dlaczego on musi się z tym wszystkim zmagać; dlaczego to wszystko czyha na niego otwarcie, cuchnące, nieuniknione, niewzruszone i nieubłagane (szczerze

mówiąc, ja też tego nie pojmuję, choć nie sędzę, aby ktokolwiek łącznie ze mną mógł na to cokolwiek poradzić. Takie panują zwyczaje); dlaczego ma pilniej studiować matematykę, nauczyć się więcej i uważać ten przedmiot za ważniejszy od innych przedmiotów jedynie z tego powodu, że matematyka łatwo mu przychodzi; dlaczego nauczycielki (większość nauczycieli to kobiety) tak się nim zachwycały, kiedy nauczył się cyferek w dzieciństwie, a teraz są zawiedzione, bo stracił zainteresowanie dla matematyki jako matematyki, i gania go za to (myślą, że już się z nimi nie liczy. Zawiódł je); dlaczego musi się starać, odznaczać i prześcigać innych chłopców pchając piłkę, kopiąc piłkę, rzucając piłkę, posuwając piłkę, unikając piłki, łapiąc piłkę i podając piłkę. (To naprawdę nielicha liczba piłek dla takiego małego człowieczka jak on.) Najbardziej nie cierpi gry w koszykówkę. Nie wie, co ma robić (i nie daje sobie wytłumaczyć. Zadaje konkretne pytania i przyjmuje odpowiedź tylko na dane pytanie. Przerzywa mi, kiedy zaczynam rozodzić się nad tym zagadnieniem. Objeżdża mnie bez pardonu). Nie wie nigdy, kiedy strzelać, a kiedy podać piłkę innemu, przy tym wrodzona nieśmiałość i wstyd nie pozwalają mu wyznać swego kłopotu i spytać, co robić. Nie udało mu się jeszcze wrzucić piłki do kosza, boi się spróbować, stoi bezradny, dopóki chłopcy z jego drużyny nie zaczynają wrzeszczeć na niego: — Strzelaj! Strzelaj! — Więc strzela i pudłuje. Nigdy nie wie na pewno, kiedy powinien blokować i przeszkadzać, a kiedy łapać, podać dalej, współdziałać, strzelać. Polega na instynkcie, na którym nie można polegać. W oszałamiającym zamęcie zapomina, którzy chłopcy są w jego, a którzy w drużynie, z którą walczy, kiedy gracze w akcji biegają i cisną się wokół niego (niczym chwytiliwe, długie macki wielkiego pajaka wyciągające się ku niemu lub coś w tym rodzaju. Sam mi tego nie powiedział). Potrafi podać piłkę przeciwnikowi, popełnia też inne równie niewybaczalne błędy, wobec tego popychają go i krzyczą na niego (a on często nie rozumie dlaczego. Nie wyciąga nauki ze swych błędów, bo nie wie, na czym polegają. Fakt, że może powtórzyć te błędy, mać mu umysł i zwiększa szansę, że popełni je naprawdę). Forgię potrzęsa głową oburzony. Syn widzi to. (Wyobrażam sobie to wszystko i rozpływam się z litości dla niego.) Chciałby trafić piłką do kosza, bezbłędnie podawać ją i dryblować. (Nie chce strzelać, bo wie, że spuści.) Nie chce grać w koszykówkę i marzy o tym, aby się od tego wykręcić.

Nie chce iść do szkoły w dni, kiedy ma lekcję gimnastyki. (Lub lekcję krasomówstwa. Albo kiedy wie, że nauczycielka go wyrwie i każe przeczytać wypracowanie domowe.) Ma gimnastykę trzy razy w tygodniu, a przez trzy następne dni się martwi. (W soboty zwalnia się. Jednodniowe zwolnienia szkolne nie stanowią przerwy w nauce. Jeśli gimnastyka przypada na sobotę, szaleje z zachwytu.) Boi się Forgionego, czuje, że nauczyciel nim pogardza, boi się też zastępcy Forgionego (nie wie, jak się tamten nazywa, daje do zrozumienia, że nikt tego nie wie, nie mówi o facecie, więc nie mam pojęcia, ile ma lat czy jakiego jest wzrostu), więc musi sobie poradzić z jeszcze jednym koszmarnym niebezpieczeństwem. (Pomyślcie tylko: potulny, nieśmiały, nieagresywny dziewięcioletni dzieciak przez trzy dni w tygodniu — poniedziałki, środy i piątki — równie nieubłagane i regularnie jak słońce zachodzi, niebo czernieje, świat staje się ciemny, martwy i upiorny, bez cienia pocieszającej obietnicy, że ktokolwiek gdziekolwiek i kiedykolwiek znów się zbudzi, zostaje poddany żelaznej dyscyplinie typu nazwiskiem Forgione, starszego, barczystszeo i znacznie większego od biedaka, faceta starszego, potężnego, ogromnego, owłosionego, z twardymi mięśniami i imponującym torsem, ubranego w nieskazitelne, obcisłe, biało-granatowe sweterki polo, równie sztywne i bezlitosne jak ten osobnik z krwi i kości, na którym leżą jak ulał, w którego wściekłe, ciemne oczy mały nie ma odwagi spojrzeć, przy tym nie zna albo nie zapamiętał nazwiska jego zastępcy, lecz wie, że i ten go nie lubi i nie pochwała! Taki facet mógłby zrobić z delikwentem, co mu się podoba. I ze mną również.)

— Nie stara się wygrać — mówi z wyrzutem Forgione, kiedy nie mogę już z czystym sumieniem odkładać tej rozmowy i w tajemnicy przed synem próbuję się za nim ująć.

(Żona nie daje mi spokoju, żąda, żebym się rozmówił z Forgionem albo poskarżył na niego dyrektorowi, ale ja się waham, byłoby to może niepotrzebne donosicielstwo, a może spowodowałoby fatalne skutki.

— Jest przecież twoim dzieckiem.

— Istotnie, jest moim dzieckiem i chyba naprawdę nie mogę z czystym sumieniem pozwolić, aby tak się koszmarnie dręczył przez trzy dni w tygodniu z dokładnością mechanizmu zegarowego, choć może nic nie wskóram, nie ulżę jego doli, a sam

zachowam się jak nieznośny natręt, którym nie jestem. Przecież musi istnieć jakieś wyjście. Mam zawstydzające uczucie, że inni ojcowie znaleźliby to wyjście.)

— Jestem pewien, że on się bardzo stara.

— On nie chce nikogo pokonać.

— Chyba ma taki charakter — mamrocze przepraszająco.

— Nie ma takiego charakteru, panie Slocum — upiera się Forgione sentencjonalnie. — Nie urodził się taki.

— Ale teraz ma taki charakter.

— Brak mu ducha prawdziwego współzawodnictwa. Nie przykłada się do tego, aby wygrać. Nie chce wygrać.

— Nie wzbudzi pan w nim takiej chęci czepiając się go — zaznaczam nieśmiało, siłąc się na bardzo łagodny ton.

— Ja się go nie czepiam — zaprzecza tamten gorąco. — Staram się mu pomóc.

— On się pana boi. Dawniej lubił gimnastykę i gry sportowe. Jako malec lubił te gry. Teraz nie. W ogóle nie chce chodzić na gimnastykę.

— Musi, chyba że dostanie zwolnienie lekarskie.

— Będę musiał mu się wystarać o zwolnienie.

— Nie sądzi pan chyba, że to moja wina? — broni się Forgione.

— Staram się nikogo nie winić. — Czuję, że jestem górą, wobec tego ciągnę z większą swadą. — Chcę mu tylko jakoś ułatwić życie w szkole.

— Jaki jest w domu?

— Spokojny. Kiedy nie martwi się o gimnastykę.

— To niedobrze zanadto mu wszystko ułatwiać.

— Nie chcę mu niczego zanadto ułatwiać.

— On musi się nauczyć dawać sobie radę sam.

— Z czym? Wspinaniem się po linie?

— Musi to robić tutaj. I będzie musiał gdzie indziej. *i*

— Gdzie?

— W szkole średniej. Może w wojsku. Musi robić wiele rzeczy, których nie chce robić, jeśli chce dojść do czegoś.

— Nie chcę się z panem sprzeczać. *-*

— Ja się nie sprzeczam.

— Chciałbym mu pomóc, wyjaśnić.

— Ja mu pomagam. Staram się go zachęcić. Obudzić w nim chęć zwycięstwa, której mu brak. Wie pan, co on robi, kiedy wyprzedzi przeciwnika w sztafecie? Zaczyna się śmiać. No, właśnie! Potem zwalnia i czeka, żeby go przeciwnik dogonił.



Może pan to sobie wyobrazić? Chłopaki z jego drużyny nie są tym zachwyceni. Tak się nie biega w zawodach. Czy pan uważa, że to w porządku?

— Nie — potrząsam głową, starając się ukryć uśmiech. (Brawo, mały, chciałbym wykrzyknąć. Ale dla małego to wcale nie takie brawo.) — Chyba nie.

Nie mogę powstrzymać cichego śmiechu (Forgione też się podśmiewa, kiwa ciemną głową z zadowoleniem, w błędnym przekonaniu, że mój śmiech oznacza, że podzielam jego zdanie), bo doskonale sobie wyobrażam syna, który daleko wyprzedził zawodników i śmieje się głębokim perlistym, swobodnym śmiechem, jak kiedy czasem się potknie w zabawie; widzę go, jak biegnie dalej, przywołuje rękami przeciwników, żeby go dogonili, pośmiali się razem z nim, a potem biegli obok siebie w tej zabawie (bo to przecież tylko zabawa). Zachwyca mnie i ekscytuje taki wizerunek syna, ale wiem, że nie powinienem tego okazywać Forgionemu (nie powinienem okazać ani szyderstwa, ani wyższości), bo przecież trzy razy w tygodniu mały jest całkowicie zdany na łaskę Forgionego, który może się odegrać na mnie grożąc małemu i karząc go tak czy inaczej (podczas gdy ja siedziałbym sobie bezpiecznie jak u Pana Boga za piecem w moim biurze, odliczał rosnące godziny, starzał się i dusił w oglupiającej nudzie lub trzął się jak galareta z tłumionej hysterii albo ambitnie, próżniaczo spędzał czas na lubieżnych rojeniach. Kto potrafi sobie wyobrazić wszystkie te niezliczone koszmarnie zbrodnie i okropne wypadki, na które narażeni są mój syn, żona i córka lub Derek, kiedy ja obgryzam w biurze przy swoim biurku paznokcie, siusiam, omijam Gree-na, obmacuję cyce Betty, Laury czy Mildred w mieszkaniu Reda Parkera albo zalecam się do Jane w wąskim korytarzu pracowni graficznej! Ja potrafię je sobie wyobrazić. Ciągle je sobie wyobrażam i fabrykuję wciąż nowe wypadki. Katastrofy maszerują mi przez głowę nieproszone i niezapowiedziane, jak niezależni uczestnicy upiornej karawany z piekła czy innego chorego, bolesnego miejsca. Widzę szkielety w gnijących całunach, kiedy czytam raporty koncernu, szkielety, które się wcale nie uśmiechają. Czuję zapach dziwnego kurzu. Wzdrygam się ze wstrętu. Często gardzę sam sobą za wyobrażanie sobie tych katastrof. To poniżej mojej godności i łapię się na podobnych myślach z pogardliwym wyrzutem, natychmiast zmuszam się do pracy, aby nie dopuścić do ssącego uczucia w dołku, powstrzymać budzące się we mnie dreszcze, które wprawiają mnie

w takie płasy, jakbym był wiklinowym koszem pełnym uciekających z niego jaszczurek. Lub chmarą bezbarwnych ciem bijących skrzydełkami. Albo telefonuję do domu, aby się upewnić, czy nic się nikomu nie stało, jeśli ten, kto akurat odbiera telefon, może mnie poinformować. Dowiaduję się najwyżej tego, że nie ma złych wiadomości. Gdybym nawet co dzień zadał sobie ogromny trud skontaktowania się po kolei z każdym członkiem mojej rodziny, gdziekolwiek każde z nich by się znajdowało w danej chwili, i tak nie miałbym absolutnej pewności, że tragedia nie dosięgła pierwszego w momencie, kiedy skończyłem rozmawiać z ostatnim. Mógłbym oczywiście skorzystać z trzech czy czterech aparatów i mieć połączenie ze wszystkimi jednocześnie. Miałbym przynajmniej pewność do momentu odłożenia słuchawek. Dobrze i to, że kiedy telefonuję do domu, słuchawki nie podnosi jakiś policjant czy ktoś z pogotowia, dziękuję za to Bogu. W takich sytuacjach zawsze mówię, że brak wiadomości to dobre wiadomości. Dopóki nie nadejdą złe. Cha, cha. Tego jeszcze chyba nigdy nie powiedziałem. Dopiero teraz. Cha, cha jeszcze raz). Wobec tego nie śmiem obrazić Forgionego lub zadrzeć z nim ze względu na syna (jeśli nie ze względu na mnie samego. Gdyż to, co niepokoi jego, niepokoi i mnie). Jestem więc ustepliwy, pokorny i pełen szacunku.

— Czy musi brać udział w zawodach? — pytam z wielkim respektem, przymilnie. Rezygnuję z ironii, czuję się lepszy od niego, a jednocześnie się go boję, wiem, że jestem lepszy, ale i słabszy. — Czy chłopcy nie mogliby ćwiczyć czego innego? Albo przynajmniej on?

— Życie jest twarde — filozofuje Forgione (a ja mam ochotę kazać mu się wypchać swoim filozofowaniem). — Powinien się teraz nauczyć zasady, że musi być lepszy od innych. Wpa jamy mu tę zasadę dziś, aby dał sobie radę jutro.

— Żal mi tych innych.

— Cha, cha.

— Kto to są ci inni? Biedacy.

■

— Cha, cha.

— Może to właśnie on jest tym innym.

— Dlatego staramy się wdrożyć go do walki teraz. Nie chciałby pan, żeby on był tym innym, prawda? Nie chciałby pan, aby był taki, od którego każdy jest lepszy, prawda?

— Nie. Ale on jest dla mnie właśnie taki. Taki, który mnie obchodzi. Dlatego przyszedłem z panem porozmawiać.

— Może za dużo wymagam od niego. Ale to przecież dla jego własnego dobra. Lepiej wymagać za dużo niż za mało. Czasem.

— Pan ma dzieci, prawda? — dowodzę spokojnie, ale cokolwiek bardziej stanowczo (skoro nie położył mnie jeszcze trupem swoją pięścią jak młot i wycofuje się na pozycję obronną). — Pan chyba rozumie, że nie mogę zamykać oczu i pozwolić mojemu dziecku chodzić na gimnastykę, kiedy tak bardzo się tym przejmuje albo sądzi, że pan się go czepia. Czy pan zrobiłby coś takiego?

— Nie czepiam się go — szybko zaprzecza Forgione, połyka ślinę zakłopotany, szyja pulsuje mu wzburzeniem. — Czy on tak twierdzi?

— Nie. Ale chyba tak myśli.

— Staram się mu pomóc. Nie czepiam się go. Koledzy się go czepiają. Wszyscy jego koledzy. Złoścą się i krzyczą na niego, kiedy zwalnia i zaczyna się śmiać, i wcale nie chce wygrać. Albo kiedy umyślnie oddaje piłkę... robi to umyślnie. Przysięgam. Jakby to miało być zabawne. Rzuca piłkę chłopcu z drużyny przeciwnika, aby tamten mógł zarobić kilka punktów albo żeby zaskoczyć własną drużynę. Dla kawału. Niezły kawał, co? Odrzuca piłkę, kiedy ktoś leci na niego. Ze strachu. To koledzy się złoścą i krzyczą na niego, nie ja. Ja tylko staram się go nakłonić, aby grał jak należy, wówczas koledzy daliby mu spokój. Oni naprawdę się gniewają i rzucają na niego w takich wypadkach, a on upada na duchu, ma minę, jakby za chwilę miał się rozplakać, mówi, że mu niedobrze albo że go boli gardło, prosi, abym mu pozwolił pójść do pielęgniarki, a potem do domu. Zachowuje się jak niemowlę. Zielenieje. Przykro mi to mówić panu, ale on się czasem zachowuje naprawdę jak niemowlę.

(Mógłbym zamordować Forgionego za te słowa, mógłbym go zamordować tu na miejscu, bo mówi prawdę, którą chciałbym ukryć.)

— To jeszcze dziecko — zgrywam się na pobłażliwy uśmiech.

— Ma dziewięć lat.

— Czy to taki poważny wiek?

— Na tyle poważny, aby zaczął się uczyć odpowiedzialności i dyscypliny.

— Nie chcę sprzeczać się z panem.

— Ani ja z panem. Powiem panu jedno: on musi się nauczyć stawiać czoło przeszkodom.

— Stara się. Usilnie się stara.

— Bo chłopcy nie chcą go mieć w drużynie. Skarżą się na niego, nie chcą z nim grać, jeśli się nie stara. To żadna tajemnica. Mówią to otwarcie przy nim. Teraz nie chcą go też w drużynie koszykówki, bo jest do niczego. To nie takie znów zabawne dla chłopców, którzy wkładają w grę całe serce, aby tylko wygrać. Więc co mam zrobić? Po czyjej mam stanąć stronie? Czy pan nie może jakoś pomóc?

— Właśnie dlatego tu jestem. Aby spróbować.

— Nie mógłby pan z nim porozmawiać? I wytłumaczyć mu, dlaczego powinien postępować prosto i właściwie? Dla jego własnego dobra.

Faktycznie. Potrafię sobie bez trudu wyobrazić, jak syn zielenieje ze strachu przed Forgionem, dość często bowiem zieleniał przy mnie, kiedy byliśmy w nie znanym mu miejscu i myślał, że zostawię go tam, lub kiedy bał się, że zmuszę go do skakania z trampoliny. Jak mam wyjaśnić Forgionemu, że wcale nie chcę, aby mój mały się zmienił (czyżby? Nie jestem pewien), nie mam mu za złe, że nie chce prześcignąć kolegów, nie jest agresywny i nie pcha się naprzód, aczkolwiek czasem — muszę to przyznać w głębi ducha — wolałbym, aby był bardziej agresywny, i irytuję się, że nie jest, zapewne też byłbym z niego bardziej dumny, gdyby był. Przypuszczam, że on wie i to.

Nie wie jeszcze, że byłem u Forgionego, aby wytargować specjalne względy dla niego, i nie chcę, żeby się dowiedział. Obawiam się, że czułby się za dużo upokorzony, za dużo ponizony publicznie, i nigdy nie mógłby już spojrzeć Forgionemu w oczy. Wiem też, że kiedy wyjdę od Forgionego, będę zły na małego za to, że musiałem pójść do nauczyciela (i za to, że przez niego miałem zmarnowane popołudnie, że denerwowałem się już dzień naprzód, kiedy postanowiłem raz na zawsze rozmówić się z Forgionem, a potem żałowałem swego postanowienia) i za to, że chciałem dać kopniaka w tyłek tym warczącym, kłapiącym chłopaczkom, chwycić ich śmierdzące, zasmarkane, czupurne łby i walić jedne o drugie za napadanie hurmem na mojego syna. (Zmusił mnie do interwencji. Gówna, czasem zdaje mi się, że byłbym bardzo szczęśliwy, gdybym był sam, ale wiem, że to nieprawda.)

— Nie mógłby go pan zwolnić na jakiś czas, jeśli o to poprosi?

— Czy właśnie o to mu idzie? •

— Tak mi się zdaje. Ale wątpię, żeby poprosił. Porozmawiam z nim. Proszę mu nic nie mówić.

— Jeżeli o to mu idzie, oczywiście. Wcale się go nie czepiam.

— Może odzyska trochę pewności siebie. Niech go pan zwolni na kilka dni.

— Staram się mu pomóc.

— Niech pan mu powie, że wydaje się trochę zmęczony lub coś takiego.

— Niech przyjdzie do mnie z usprawiedliwieniem. Może kuleć albo przynieść kartkę od pana, że jest niezdrowszy. Idzie o to, aby się chłopcy nie dowiedzieli i nie nabijali z niego.

— To nie byłoby kłamstwo. On naprawdę jest niezdrowszy, kiedy ma gimnastykę, dostaje mdłości. Nie je śniadania i idzie na czczo do szkoły.

— Nie wiedziałem. Mówił coś o mnie?

— Niewiele. Nic złego. Że się boi i nie potrafi wykonywać ćwiczeń. Nie prosił, żebym poszedł do pana.

— Chcę mu tylko pomóc i dlatego wymagam, aby się postarał lepiej ćwiczyć. Chcę mu tylko uświadomić jego maksymalne możliwości, aby dał z siebie wszystko i osiągnął lepsze wyniki. Proszę mu to powiedzieć ode mnie.

— Nie chcę nawet, aby wiedział, że tu byłem. Może by przez kilka dni ćwiczył tylko pompki, zobaczymy, jak się zachowa nie czując nacisku. Dobrze?

— Nie idzie mu też najlepiej z pompkami. Ani z podciąganiem się na rękach, wspinaniem po linie czy zsuwaniem. Nie mógłbym mu dać dobrego stopnia z żadnej z tych dyscyplin. Prócz biegania. Jest bardzo szybki. Ale nie zawsze się stara. Bawi się tylko. (Jestem zmuszony powstrzymać się od nowego uśmiechu.)

— Może to dziedziczne — mówię. — Ja też nie byłem najlepszy w czymkolwiek.

— Och, nie — poprawia mnie Forgione ze śmiechem. — Każdy potrafi dobrze wykonywać ćwiczenia gimnastyczne, jeśli pracuje wytrwale, aby się rozwinąć.

— Mam nadzieję, że tak jest — godzę się dyplomatycznie. — Sam ciągle siedziałem w salach gimnastycznych — kłamie. — Ale jakoś nigdy specjalnie się nie rozwinąłem.

— Widzę przecież, że pan jest dobrze zbudowany. Pański syn mógłby być doskonałym sportowcem, gdyby się tylko trochę więcej przykładał. Biega jak zając i ma szybki refleks. Powinien pan zobaczyć, jak się wzdryga, kiedy myśli, że będzie na niego krzyczał. Albo że zrobi to któryś z kolegów.

— Może będzie się bał poprosić o zwolnienie, nawet jeśli dam mu kartkę.

— Wiem, co trzeba zrobić.

— Może będzie się wstydził. I proszę mu nie mówić, że byłem u pana. Nie chciałbym, aby się dowiedział.

— Oczywiście. Nie powiem.

— I nie zemści się pan na nim, prawda? Nie będzie się pan na nim odgrywał dlatego, że przyszedłem pana prosić o zwolnienie go?

— Oczywiście, że nie! — wykrzykuje oburzony Forgiione. — W jakim celu miałbym to robić? — (Bo jesteś czło-  
wiekiem, myślę.) — Za kogo mnie pan ma?

— Za neandertalczyka — mówię twardo.

(W duchu, naturalnie. Na zewnątrz śmieję się cicho z udaną jowialnością. Ciekaw jestem, czy przyjdzie czas, kiedy nieświadomie, nie widząc w tym nic dziwnego, zacznę mówić głośno to, co teraz mówię sobie w duchu lub w zamyśleniu, i czy wtedy będę psychopata, facetem — najczęściej bywają to kobiety — mówiącym do siebie na głos na ulicy i w autobusach. Jeśli to nastąpi, mój świat wewnętrzny pomiesza mi się z zewnętrznym i w żadnym się nie będę orientował. Będę żaloszny. Już i teraz mam dość kłopotów z rozróżnieniem, który jest który czy który jest prawdziwy. Bardzo się martwię, ilekroć stracę panowanie nad sobą. Wydaje mi się, że to może już nastąpiło, że mówię do siebie na głos — dzieci drczą się ze mną, że głośno mówiłem do siebie, kiedy uczyłem się na pamięć mowy, której mi nie pozwolono wygłosić na zeszłorocznym zjeździe — przecież to robię, kiedy jestem pijany, pogrążony w pracy czy wspomnieniach. Czasem łapię się na tym, że prawie wymawiam słowa, które mam zamiar napisać siedząc w biurze czy w domu lub które obmyślam idąc na jakieś spotkanie. Mam przynajmniej wrażenie, że zawsze powstrzymuję się w porę. Sam nie wiem. Może już nie potrafię czasem. Wiem, że zdarza mi się gestykulować i kiwać głową, kiedy przygotowuję się do rozmowy, ale to jakby próba teatralna i robię to świadomie. Tak się boję, abym nie zaczął mówić do siebie na ulicy, że może już to robię. Ludzie będą się śmiali ze mnie. Albo odwrócą oczy i będą udawali, że tego nie widzą i nie słyszą. Często czuję ból w piersi, bo boję się, że kiedyś dostanę takiego bólu i umrę na zawał. Brat mój umarł na zawał, kiedy na coś czekał w poczekalni swego biura; ojciec zmarł na co innego, byłem wtedy dzieckiem, matka zaś, czego nie potrafię zapo-

mnieć, doznała w starszym wieku szeregu poważnych i całkiem nieznacznych skurczów naczyń mózgowych — jak się eufemistycznie takie wypadki nazywa, wcale zresztą nie wyglądały na „wypadki” — wskutek których język stawał jej kołkiem, kiedy chciała coś powiedzieć, a ciało jej zamieniało się stopniowo w bezkrwistą papkę. Boże, z jakim rosnącym obrzydzeniem patrzyłem na nią! Jednocześnie chciało mi się płakać z miłości, współczucia i litości nad sobą, do czego jednak nie dopuszczałem. Opanowywałem się. Byłem silny. Potrafię być silny i opanowany, kiedy idzie o kogo innego. Perspektywa mówienia do siebie martwi mnie chyba tak samo jak perspektywa jękania się. Boję się, że niektóre moje sny to sny homoseksualne. Boję się, że zacznę się beznadziejnie jękać na samą myśl o tym, że jestem homoseksualistą. Nie wiem, dlaczego tak sobie tłumaczę te sny. Wydaje mi się jednocześnie, że inne sny chyba są heteroseksualne, i wiem dlaczego. Bo w takich snach uganiam się za dziewczynami, rypię je, już prawie kończę, prawie je przenikam, jednakże nigdy całkowicie. I nigdy nie kończę. Sny takie urywają się zawsze pośrodku. Czy to matka mi się śni? Naga i chętna? Wiem, że wiele z tego, co robię na jawie, jest swoistą obroną przeciw nieświadomemu zachowaniu, które z trudem mógłbym wyjaśnić. Dlaczego tak często chce mi się płakać i dlaczego nigdy nie pozwalam sobie na to? Potem żałuję, że nie popłakałem sobie. Dawniej często chciało mi się płakać po kłótni z córką. Wcale nie pysznię się już tym, że potrafię pozostać niewzruszony. Rozpaczliwie pragnę, aby mój syn nigdy się nie dowiedział, że jestem ciotą, jeśli naprawdę nią jestem, aczkolwiek świadomość, że żona zadrećza się podobną możliwością, sprawiłaby mi zapewne paskudną przyjemność. Mam nadzieję, że nigdy z żadnego powodu nie stracę nad sobą panowania. Nie przydarzyło mi się to do tej pory, nawet kiedy byłem z dziewczyną. Chciałbym chcieć stracić panowanie nad sobą. Cieszę się, że pozostaję panem siebie. Mam nadzieję, że nigdy nie będę miał wylewu w mózgu, po którym zacznę się jękać, będę sparaliżowany albo stracę mowę. Mam nadzieję, że nigdy nie będę miał zawału. Mam nadzieję, że nigdy nie będę niedołężnym staruchem, nie będę siusiał w spodnie, nie będę chciał molestować małych dziewczynek. Ciekaw jestem, jaki bym się okazał, gdybym kiedykolwiek wyzbył się wszystkich moich zahamowań naraz, kto też tkwi we mnie teraz. Czy lubiłbym go? Nie sądzę. Prawdopodobnie tkwi we mnie więcej niż jeden człowiek. Więcej niż tylko id;

wiem o tym; mógłbym się pogodzić ze swoim idem, gdybym go kiedykolwiek ujrzał w całości, dostosowałbym się do niego, ułożył z nim wygodnie, opowiadał mu tłuste kawały. Może w głębi duszy jestem naprawdę wspaniały. Myślę, że w głębi duszy nie jestem. Mam nadzieję, że nie dożyję chwili wyzwolenia się mego prawdziwego ja. Mogłoby powiedzieć czy zrobić coś zenującego dla mnie i bardzo kłopotliwego dla niego; mam nadzieję, że wcześniej umrę i zostanę pogrzebany. Cha, cha.)

— Cha, cha, panie Forgione — mówię wreszcie, aby mu dać do zrozumienia, że nie powinien poważnie brać mego pytania. — Naprawdę. Naprawdę, proszę pana.

— Co naprawdę?

— Doceniam. Cieszę się, że pan rozumie.

— W porządku. Zrobiłbym to dla każdego ucznia.

— Dziękuję panu. Zdjął mi pan kamień z serca.

Ochoczo wyciągam do niego dłoń, ale odchodząc upadam na duchu.

Poszedłem do niego gotowy do walki, ewentualnie do odparowania każdego ciosu. Wygrałem za łatwo i odchodzę z uczuciem porażki. Jestem przygnębiony. Wielki Boże! — myślę w pociągu wracając do biura. — Jak mogłem tak zaszkodzić synowi? Jestem wściekły na żonę, która podhecowała mnie, abym poszedł do szkoły. A jeśli Forgione zacznie się teraz mścić? Nie chcę się znaleźć w sytuacji przymusowej, kiedy musiałbym przenieść syna do szkoły prywatnej; nie teraz. A jednak Forgione mógłby mnie do tego zmusić. Jestem w jego mocy, ale on nie jest w mojej. W zeszłym roku nauczycielka rysunków syna, ponury babsztyl (jego pani Yerger i moja też na nowo. W każdym roku szkolnym jest jakaś pani Yerger — zawsze była — i jakiś Forgione), o mały włos byłaby doprowadziła do tego, że przeniósłbym go ze szkoły państwowej (błagał, abym go zostawił) do kosztownej szkoły prywatnej, która okazałaby się pewnie równie zła. W tym roku jej miejsce zajął krzepki, opalony Forgione ze swoją przekłętą gimnastyką i muskularnym ciałem. (Przeprowadziliśmy się do stanu Connecticut, aby uciec od Murzynów. Teraz mam tego krępego włoskiego sztangistę na głowie.) Czy Forgione — co wydaje mi się całkiem pewne w tej chwili — jest zły, że przyszedłem ze skargą do niego (czy wywarłem na nim bardzo złe wrażenie?), krytykowałem go i wtrącałem się do jego zajęć z moim synem? Czy odegra się na mnie z najwyższą satysfakcją, strasząc i poniżając mego syna bardziej niż dotychczas? Muszę to



sprawdzić jutro. Więc sprawdzam drżąc przez cały następny dzień, telefonuję w czasie lunchu do domu (rzekomo, aby się dowiedzieć, czy nadeszła jakaś ważna pocztą, ale w rzeczywistości, aby się upewnić, że mały jeszcze żyje, że nie zawiadomiono nas jeszcze ze szkoły o jego śmierci), potem powtórnie pod koniec dnia.

— Wiesz co?! — krzyczy wesoło syn przez telefon (ku mej ogromnej uldze i zdumieniu).

Gdyż Forgione, oby Bóg błogosławił jego szlachetne serce, okazuje się na poziomie. (Tego dnia przy śniadaniu jestem bardziej zdenerwowany z powodu gimnastyki niż syn. Moja kawa poranna zaprawiona jest goryczą żółci. Forgione to kat, ukrywa swoje straszne, tajne zamiary, więc przez cały dzień głowię się w biurze, jak zbrodniczo i okrutnie zadreżają mojego syna za murami z czerwonej cegły, za zamkniętymi drzwiami i ślepych oknami zakładu poprawczego pod nazwą szkoły. Jestem bardziej zdenerwowany od małego, bo potrafię sobie uzmysłowić jego niepokój, którego on sam jeszcze sobie nie uświadamia. Moja wyobraźnia jest znacznie bardziej wyrafinowana i pokrętna niż jego. On nie wie jeszcze o teoriach Leopolda i Loeba, a ja wiem. Nie wie o chytrych, starych wielostronnych zbrodniarzach, nieodpowiedzialnych i niepoczytalnych, którzy bez powodu znęcają się nad dziećmi i mordują je. Tak samo jak jego, osaczają mnie wizje obcych, dzikich, groźnie wyglądających facetów, którzy go porywają, rozczłonkowują, i są dni — bywały, kiedy mieszkaliśmy w centrum, i bywają teraz, gdy mieszkamy na przedmieściu — gdy wściekle, podejrzliwie i wojowniczo patrzę, bezpodstawnie naturalnie, na każdego obcego mężczyznę, jakiego widzę koło niego: posłańców, listonoszy, robotników budowlanych, agentów ubezpieczeniowych, nawet duchownych, bo to są potencjalni porywacze, sadyści, zbrodniarze, zbrodniecy, obłąkani mordercy, którzy torturują i kaleczą swoje przerażone ofiary przed i po zamordowaniu ich, aczkolwiek wiem, że to nie jest możliwe. Mimo to wyobrażam to sobie. Teraz wśród tych widziadeł pływa twarz Forgionego: okrutna, symboliczna, krwiożercza, obca. Jestem szalony, nic dziwnego, że mój syn jest taki bojaźliwy. Przez długi czas panicznie się bałem puścić go samego do szkoły w centrum, choć znajdowała się o kilka przecznic od nas i inne dzieci w jego wieku chodziły już same; jednocześnie tłumaczyłem mu, że nie ma czego się bać, że jest już dość duży i inteligentny, że kiedyś będzie musiał przecież chodzić sam, że

nic mu się nie stanie, jeśli poczeka na zielone światło i dobrze się rozejrzy wchodząc na jezdnię. Bałem się, że zabłądzi. Boję się wypadków samochodowych. Bałem się też pijaków, narkomanów, ponurych robociarzy, wybuchów starszych, despotycznych uczniów i wagarowiczów ze szkoły średniej, którzy przychodzą, aby znęcać się nad maluchami z podstawówki, są to przeważnie czarni, Portorykańczycy lub Włosi; bałem się, że zabiorą mu kieszonkowe na lody, podrą na nim ubranie, zakrwawią mu twarz i oberwą uszy; bałem się nawet, że jakiś gzyms spadnie mu na głowę — a on chyba też boi się tego wszystkiego. Telefonowałem do domu trzy czy cztery razy, aby się dowiedzieć, czy jest jakiś ważny list dla mnie lub czy przynieśli ubranie z pralni, ale w rzeczywistości aby się upewnić, że wszyscy w domu żyją jeszcze, jeśli nikt nie podchodził do telefonu, kiedy ktoś powinien być w domu, chciałem telefonować na policję, do administracji domu lub któregoś z sąsiadów, aby sprawdzić, czy syn bezpiecznie dotarł do domu na lunch — co w drodze dedukcji dałoby mi pewność, że bezpiecznie dotarł rano do szkoły po śniadaniu — a potem czy dotarł bezpiecznie do domu po lekcjach, co znaczyłoby, że bezpiecznie dotarł do szkoły po lunchu.

— Chcesz z nim mówić? — pytała żona.

— Jeśli on ma mi coś do powiedzenia.

— Nie ma. Chcesz coś powiedzieć tatusiowi?

— Nie.

— Chcesz go o coś spytać?

— Nie.

— On też nie. Mówisz tak, jakby ci było przykro.

Bywało mi przykro. Uważałem, że powinien chcieć ze mną porozmawiać, choćby nie miał nic szczególnego do powiedzenia i nie chciał o nic zapytać. Przecież martwiłem się o niego!

Ciągle też myślałem o jego niewdzięczności. Przecież inwestowałem w niego tyle uczucia.

I tak każde jego wyjście z domu było dla niego, dla mnie, wyprawą prowadzącą do nieznanego niebezpieczeństwa, czyhającego w pobliżu. Byłem o niego tak samo niespokojny, jak o żonę czy córkę i jak w głębi duszy jestem niespokojny o siebie, ile razy wsiałam do samolotu wybierając się w podróż służbową — bo nie jestem wcale pewny, czy wyjdę z tego samolotu żywy i cały.

Czy to nie byłoby śmieszne zginąć w zwykłej podróży służbowej? Każdy dzień, w którym on, ja i reszta rodziny unikamy

śmierci, jest prawdziwym cudem. Czy to nie cudowne, że ciągle jesteśmy żywi, że nie zginęliśmy w wypadku lub nie zostaliśmy zakatrupieni przez zbrodniarza? Tak mi się zdaje. Nie mam zaufania do samochodów. Bóg wie, kto akurat prowadzi wóz na tyle blisko nas, aby mógł na nas wjechać. Nie mam zaufania do żony przy kierownicy, zwłaszcza odkąd wiem, że popija w ciągu dnia, i nie lubię, aby jakiś chłopak, który też może być podpity lub odurzony narkotykami, odwoził córkę wieczorem do domu. Nie martwię się już tyle co dawniej o żonę i córkę, może dlatego, że nie zginęły w dzieciństwie, a teraz są już na tyle dorosłe, aby uważać na siebie; a może dlatego, że nie kocham ich już jak dawniej i jak kocham syna oraz siebie. Mam paskudne przeczucia w stosunku do siebie samego, nie lubię zamkniętych drzwi, chorych przyjaciół, złych wiadomości. A syn jest za mały, łatwo go zranić — jego też, jak sądzimy — więc bardzo potrzebuje naszej miłości i opieki. Wiem, że naprawdę go kocham, i gryzę się, czy nie przysporzyłem mu dodatkowych kłopotów po rozmowie z Forgiósem, który — oby go Bóg ponownie błogosławił — okazał się facetem na poziomie.) Okazuje się, że właściwie jest niezwykle dobrym facetem, zachowuje się w stosunku do mego syna serdeczniej i dyskretniej, niż się po nim spodziewałem.

— Nie muszę już chodzić na gimnastykę — oznajmia zachwycony syn. — Nawet grać nie muszę. Chyba że sam chcę.

I od tego dnia syn przeistacza się w dumne książętko. (Nie trwa to oczywiście długo.) Z początku ceni sobie wolność (myśli, że jest sprytny), zachłystuje się nią, jest radosny w szkole i w domu. Jak inni chłopcy zwolnieni z gimnastyki z powodu złamanych rąk czy nóg, choroby serca czy innego poważnego kalectwa, jest zwolniony od gier i zawodów, może być tylko widz w sali gimnastycznej, spacerować tam i z powrotem, choć musi być na lekcji i pozostać do końca zajęć. (W szkole jest ociemniały chłopak w jego wieku, którego całkowicie zwolniono z gimnastyki. Trzymają go w szkole jako eksperyment.) Syn spaceruje po sali, obserwuje ćwiczenia i czuje się mądrzejszy od kolegów. (Uważa, że udał mu się świetny kawał, chce, aby koledzy to wiedzieli.) Uważa, że powinni mu zazdrościć. (Nie zazdroszczą. Traktują go jak przejściową ciekawostkę.) Po krótkim czasie zachodzi w nim nagła zmiana: traci pewność siebie, jest niespokojny, błady, niezdecydowany. Stwierdza, że nie chce się różnić od kolegów (może boi się, że jego pozorna nieudolność okaże

się prawdziwa, że na stałe zostanie wykluczony z gimnastyki jak koledzy z patologicznymi zmianami w sercu, którym nie wolno brać udziału w grach, że jak kalecy i inwalidzi będzie skazany na beczynne wałęsanie się po sali).

Chce być zdrowym chłopcem, należeć do grupy normalnych dzieci (póki go jeszcze nie zdystansowały i może nadażyć za nimi), aczkolwiek nie szanuje tej grupy i nie zachwyca się tym, co ta grupa robi. Ale nie chce, aby go zaliczyli do słabych i kalekich (którzy nie mogą nawet stworzyć grupy, bo każdy ma inne braki), nie chce, aby go odsunęli i wykluczyli. Wobec tego przestaje udawać, że jest zmęczony, nie kuleje, nie skarży się na ból gardła, idzie do Forgionego i oznajmia mu, że już chyba jest zdrow.

Teraz dobrowolnie wraca do gier i zawodów (podciąga się na rękach, wspina po linie, spada, ciągle nie lubi tych ćwiczeń, ale godzi się na nie, bo nie może powiedzieć, że jest zdrow do gier i zawodów, a jednocześnie wykręcić się chorobą z gimnastyki). Ryczy więc jak lew i walczy jak tygrys, biega jak zając i zagrzewa do zwycięstwa, jak przystało na zapalonego sportowca.

(— Pan Forgione chwali mnie teraz — zwierza się nam pewnego dnia. — Zdobyłem dziś cztery punkty — obwieszcza kiedy indziej. — Byłem drugi w mojej drużynie.)

Stwierdza, że dobre wyniki w sporcie przychodzą mu całkiem łatwo, kiedy naprawdę chce wygrać (może i w gimnastyce będzie miał dobre wyniki, jeśli się przyłoży), tak jak łatwo przychodzą mu dobre stopnie z matematyki (nawet bez przykładania się). W żadnej dziedzinie nie jest najlepszy, ale dość dobry (do zabawy też), więc najlepsi lubią go i chcą go teraz mieć w swoich drużynach. (Należy teraz do paczki silniejszych i większych chłopaków.) Prowadzi ogólne (tajne) statystyki (w głowie) własnych i cudzych triumfów i klęsk w popychaniu piłki, kopaniu piłki, rzucaniu piłki, posuwaniu piłki, podrzucaniu piłki, dupaniu piłki i lataniu za piłką (znów jest na chodzie ze wszystkimi jajowatymi piłkami, cha, cha) i wie, jak wyglądają jego szanse w porównaniu z innymi. (Zupełnie jak personel naszego Wydziału Sprzedaży.) W sztafecie i koszykówce zjawia się z drużyną, aby go ustawili naprzeciw jakiegoś tłuściocha z drużyny przeciwnika, którego może pokonać. (Gryzie go z tego powodu sumienie i żal mu tłuściocha. Ale ktoś przecież i tak pokona niezdare, więc równie dobrze może to być on.) Nie chodzi mu tak bardzo o to, żeby dobrze

wypaść, ale o to, żeby nie wypaść źle. Nie martwię się już o to, że nie chce być najlepszy.

— Może chce — mówi zagadkowo.

— Więc dlaczego nie spróbujesz?

— Może wiem, że nic z tego nie wyjdzie — odpowiada z cieniem zagadkowego uśmiechu (a ja, patrząc na niego, nie wiem, czy mówi poważnie, czy to tylko chytra, wnikliwa i nie miła gra, którą wymyślił, aby mnie zwiść. Czy jest dość sprytny na coś takiego?).

Wiemy przynajmniej, że jest z siebie zadowolony, a kiedy ma dobre wyniki w gimnastyce, kiedy nikt się z niego nie wyśmiewa, nie krytykuje go i kiedy nie miał przykrych incydentów na boisku (albo na lekcji krasomówstwa), wraca do domu ufny, wesoły i spokojny, rozsadza go niemal megalomania, więc sprawy nie wyglądają źle. Ale kiedy przydarzy mu się coś przykrego, staje się kapryśny, niespokojny, oświadcza, że nie nawidzi wszystkiego i wszystkich, więc sprawy nie wyglądają dobrze. Siedzi bez ruchu, podrywa się z miejsca, krąży niespokojnie po pokoju zły i zawstydzony, starając się to ukryć, jest bliski łez (widzimy to), ale ze smutkiem się opanowuje. Litość bierze patrzeć na niego (żonie i mnie też się chce płakać), ale i złość (mam ochotę krzyknąć na niego, zbić go może za tę jego rozpacz). Nie lubi mówić o rzeczach przykrych. Wobec tego pilnie ćwiczy podnoszenie się na rękach, pompki i wspinanie się po linie. Robi postępy, ale powoli (zapewne zdręcza się już tym, co go czeka w szkole średniej: znów podnoszenie się na rękach, pompki i wspinanie po linie plus pływanie nago z kolegami w chlorowanym basenie. Przypuszczam, że nie będzie chciał pływać nago. Ja nie chciałem. Jeśli jest taki jak większość mężczyzn, będzie myślał, że jego kogutek jest za mały i może całkiem zniknąć. Będę musiał mu wytłumaczyć, jeśli mi pozwoli, żeby spojrzął na niego w lustrze, jeśli chce zobaczyć, jaki jest duży i jak go widzą inni. Nie będę się rozwodził nad zjawiskiem skrótów, chyba że spyta mnie o to. Nie lubi, aby mu obcinano włosy, nawet kiedy są za długie, boi się wrywania zębów i zastrzyków nowokainy do dziąseł. Gdyby teraz trzeba było usunąć mu migdałki, opierałby się prawdopodobnie i musielibyśmy siłą zawlec go do szpitala. Zostały usunięte we właściwym czasie. Boi się zastrzyków, chyba że robi się je w pośladki, a on naprawdę ma zajęte gardło i w gorączce zapomina o strachu). Forgię jest teraz zadowolony z niego, bo mały wydziera się na boisku zagrzewając kolegów do walki, energicznie współ-

zawodniczy i ma przynajmniej na użytek Forgionego (jego zastępcy i obserwatorów w sali gimnastycznej) dobrego ducha współzawodnictwa.

— Nie mówiłeś — oskarża mnie syn półgębkiem — że byłeś u niego.

— Skąd wiesz?

— Wiem.

— Kto ci powiedział?

— Wiem. Sam mi powiedziałeś. W tej chwili. Kiedy od powiedziałeś na moje pytanie. Byłeś, prawda?

— Powinieneś być adwokatem.

— Wywnioskowałem to sobie.

— Chciałeś, żebym coś zrobił, tak? Wiem, że chciałeś.

— Nic mi nie mówiłeś — irytuje się. — Żebym wiedział.

— Co innego mogłem zrobić według ciebie? — Wzrusza ramionami. — Jesteś niesprawiedliwy. Co mogłem innego zrobić, skoro sam mi nie powiesz?

— Nie wiem.

— Cieszysz się, że byłem, prawda?

I wkrótce po tej rozmowie, ponieważ wszystko tak dobrze układa się dla niego, niemal niedostrzegalnie znów zaczyna się martwić w dni, kiedy ma gimnastykę (i krasomówstwo), że będzie źle grał i jego drużyna może przez niego przegrać. Ponieważ udowodnił, że ma dobrego ducha współzawodnictwa i chce wygrać, więc teraz boi się przegrać. Nie chce, żeby go winili. Boi się, że popełni błąd w baseballu, pomyli się w koszykówce, potknie się i zgubi pałeczkę w sztafecie, wdrapie się do pół liny i nie potrafi się ześliznąć, tylko runie jak kłoda w dół. I w takie dni znów jest blady i przygnębiony, nie chce jeść śniadania, skarży się na mdłości i ból gardła. Boli go brzuch, nie je, a ja znów nic nie wskórałem. (I ja dostaję mdłości, kiedy widzę go w tym stanie, i ja nie jem śniadania.)

— Chcesz, abym znów pogadał z Forgionem?

— Nie, dam sobie radę.

— Zrobię to, jeśli chcesz.

— Nie chcę.

— Albo z kim innym. Pójdę do dyrektora.

— Nie chcę. Dam sobie radę.

— Wielka szycha — mówię ze śmiechem, starając się dodać mu odwagi. — Nie wiesz nawet, co to znaczy „radzić sobie”.

— Nie wiem, ale i tak dam radę.

— Okej.

I faktycznie daje radę. Jak dotąd.  
(A ja patrzę.) (I czekam.)

On też czeka.  
(Na co? Nie wie. Nie muszę pytać.)

Wielka szkoda, bo zamiast czekać nie wiadomo na co, mógłby dobrze się bawić pod warunkiem, że pozwolono by mu robić to, co chce. Nigdy mu na to nie pozwolono (mnie też nie, nikomu, o ile wiem) i ani ja, ani żona, ani on sam sobie, ani inni nigdy mu na to nie pozwolą. (Ciekaw jestem, na co byśmy wyrosli, gdyby ciągle nie komenderowali nami inni. Prawdopodobnie na małopółdów, a nie na dzieci.) „Inni” są już w zasadzie zbyt tacy, nawet Forgione, sama nasza rodzina potrafi go stłamsić, wypaczyć, ujarzmić (narażając w ten sposób jego i siebie samych na nieprzyjemne ataki ze strony „innych” w rodzaju Forgionego i White’a, z którym nie mam właściwie styczności w koncernie, lecz którego bałbym się, nawet gdybym nie miał do tego powodu. On po prostu paraliżuje. Nasz wzajemny stosunek został określony na początku, zanim go poznałem. A przecież White to prostaczek. Mimo to gotów byłem uklęknąć przed nim, zanim wiedziałem, że istnieje. Co się stało z moim synem i ze mną, że staliśmy się do tego stopnia służalczy?). Tylko córka nie próbowała nigdy zreformować, uszkodzić, wykształcić czy wyszkolić brata (jedynie w tym celu, aby go opanować i kierować nim), kiedy pokonała wreszcie wyczerpującą, ogłupiającą i gorzką wściekłość, która spalała ją jak płomień po jego zjawieniu się w jej domu i rodzinie (choć przez cały miesiąc przed jego przyjściem na świat przygotowywaliśmy ją, obiecywali nowego braciszka czy siostrzyczkę dla niej, a dla nas nowe dziecko, pytając, czy nie jest szczęśliwa i czy się nie cieszy? Ironia polega na tym, że czułaby się tak samo pokrzywdzona, gdyby pozostała naszą jedynaczką. Tak samo nie chciała Dereka i teraz wini siebie za jego nieszczęście — czasem — bo przed jego urodzeniem przeklinała go w duchu i źle mu życzyła). Usiłowała zrobić krzywdę mojemu synowi, kiedy był niemowlęciem i leżał w kołysce lub na brzuszku czy na wznak na naszym łóżku albo kiedy siedział na kocu na podłodze, w kojcu, na dzieciennym krzeselku czy w wózku, nie umiał chodzić i nie mógł uciec od niej w bezpieczne miejsce. (Próbowała go zepchnąć, on zaś nie

rozumiał, co się dzieje.) Kiedy uczył się chodzić, popychała go i padał, jeśli w porę jej nie przeszkodziliśmy. Próbowala mu wsadzić palce do oczu. Teraz już mu nie dokucza. Żyjają w zgodzie, kochają się (wyrzuca go z pokoju, kiedy ma u siebie kolegów i nie chce, aby on się przy nich pętał) i prawie nigdy nie kłócą się na serio. (On łatwo ustępuje.) Córka jest zła, kiedy krzyczę na niego, nie może tego znieść, więc albo ucieka ze spuszczoną głową, albo histerycznie na mnie napada (i ucieka, zanim zdolałam odpowiedzieć i usprawiedliwić się. Jest to jedno z jej taktycznych posunięć, którym mnie zaskakuje, ja zaś pomstuję i tłumaczę się w pustce, kiedy jej już nie ma. Więc wściekam się jeszcze bardziej). Czasem, kiedy wpadam w złość na niego (na ogół zdaję sobie z tego sprawę po fakcie) i wyszcze-kuję poniżające groźby (więcej niż raz powiedziałem mu, że jest „mięczakiem”, już choćby przez samo pogardliwe ostrzeżenie, żeby się nie zachowywał jak mięczak, a przecież nigdy nie chcę używać takich słów, potem nienawidzę siebie i myślę, jak by go przeprosić zachowując przy tym twarz. Na ogół staram się mu pokazać, że się już nie gniewam na niego, obiecuję kupić mu coś kosztownego, czego moim zdaniem pragnie) podniesionym głosem prawdopodobnie (czego się wypieram, bo robię to w ferworze i nie zdaję sobie z tego sprawy), z wykrzywionymi ustami prawdopodobnie, szczerząc zęby, z twarzą czerwoną czy bezkrwistą, oczami miotającymi błyskawice prawdopodobnie — córka bez zastanowienia rzuca się między nas, aby go osłonić, bronić przede mną, a sama zaczyna płakać.

— Co ty z nim wyprawiasz? — pyta ze łzami tryskającymi z kąćków jej oczu. — Dlaczego nie zostawisz go w spokoju?

Kiedy złościę się na nią, nie rozkleja się tak łatwo. Wtedy usiłuje (odważnie, przewrotnie, wzdardliwie dla ratowania twarzy) nie dopuścić do tego, żebym ją doprowadził do łez (nie chce mi dać satysfakcji, że mógłbym ją choć trochę zranić. Chce, żebym myślał, że jestem dla niej „całkowicie obojętny”), jak gdyby mnie na tym zależało. (Często istotnie mi zależy.) Często się poskrwiam, jak tylko stwierdzam, że potrafię, opanowuję swoje złośliwe zapędy i miłosiernie daję jej spokój. (W naszej rodzinie niczego się nie przemilcza.) (Wszystko się przemilcza w naszej rodzinie.) Jednakże córka też potrafi być okrutna dla brata, kiedy przychodzą do niej koledzy, a ona nie chce się popisywać małym: ostro nakazuje mu odejść i nie pozwala niechlujnej, bełkoczącej młodzieży żartować z nim, rzucić mu piłkę czy



w ogóle zwracać na niego uwagę. Nie chce, aby kręcił się koło jej przyjaciół. (Nie lubi się dzielić.) Ostro przegania małego ze słowami:

— Nie przejmujcie się nim. Nie zwracajcie na niego uwagi. A ty idź do swego pokoju.

W takich chwilach on nie rozumie, co się dzieje. Nie rozumie, co się z nim dzieje teraz. Chciałby być podobny do innych chłopców, bo mylnie sądzi, że my byśmy tego chcieli. Wydaje mu się, że nikt nie chce, żeby był taki jak teraz. My wcale nie chcemy, aby był jak inni. Chcemy, żeby był taki, jak byśmy chcieli (jednakże nie powiedzieliśmy nawet sobie, jaki ma być. Więc skąd on to ma wiedzieć?). Chcemy, aby był inny i lepszy. (Ale chcemy też, aby nie bardzo się różnił od innych chłopców. Szczerze mówiąc, sam nie wiem, czego chcę od niego prócz tego, aby nie sprawiał nam kłopotów. On jeszcze nie wie, czym powinien chcieć być, gdy dorośnie, ale wie już, że nie powinien chcieć pracować na stacji benzynowej. Ja zaś nie potrafię nim pokierować. Lekarzem? Nikt nie jest dla niego bożyszczem. Adwokatem? Tego ja bym nie chciał. Nie mogę mu podsunąć żadnego wzorca. Multimilionerem? Jamesem Pierpontem Morganem II? Augustem Belmontem Juniorem III? Clarą Bow? Ja miałem przynajmniej takie bożyszcza, jak Joe DiMaggio, Babę Ruth, Joe Louis i Cordell Hull, których chciałem naśladować i do których chciałem być podobny, gdy dorosnę, aczkolwiek teraz cieszę się, że nie wyrosłem na żadnego z nich. Ciągle jednak nie wiem, czym chciałbym być, kiedy naprawdę dorosnę. Ani nawet czym powinienem chcieć być. Chciałbym być bogaty. Tyle wiem, natomiast nie chciałbym być prezydentem Stanów Zjednoczonych. Prezydenci mają złą opinię i niszczą okolice.) Chłopak wysiła się po męsku (po dziecinnemu), uparcie i niepewnie, stara się zmienić, aby być podobny do wszystkich chłopców w swoim wieku. Chciałby bez trudu czy zastanowienia skutecznie się dopasować. Nosić to, co inni dzie-więcio- lub dziesięcioletni chłopcy noszą (nawet gdyby mu się ich ubiór nie podobał), czuć ich radości i niepowodzenia. (Zdaje mi się, że nie lubi już baseballu, ale zdaje się też, że sam jeszcze o tym nie wie. We wczesnej młodości, kiedy prawdopodobnie nie byłem pewny, czy kiedykolwiek urosnę, czy będę starszy — wydaje mi się, że pamiętam czasy, kiedy nie mogłem uwierzyć, że kiedykolwiek nie będę samotny i opuszczony — chciałem być dżokejem w wiśniowo-białej czapce, jeździć na wyścigowych koniach, choć w życiu nie siedziałem

na koniu i bałem się nawet zbliżyć do człapiących, apatycznych szkap, które przywoziły lód, mleko lub pranie albo zdychały z wyczerpania na ulicy jak ludzie — nigdy nie potrafiłem wykrzesać z siebie przyjaznych uczuć dla żony brata po jego śmierci, nie widuję jej teraz wcale, nie wiem nawet, gdzie w New Jersey czy na Long Island ona mieszka z dziećmi, moją bratanicą i bratanikiem — i gęste chmury brzęczących zielononiebieskich much z dużym odwłokiem siadały na ich trupach. Zdawało mi się wtedy, że jako dżokej w wiśniowo-białej czapce, pędząc na ogromnym, rwącym do przodu koniu czystej krwi, potrafię zmylić ludzi, wydać im się małym mężczyzną, a nie małym chłopcem. Cieszę się, że nie zostałem dżokejem. Byłbym teraz za ciężki i nie wygrywałbym wielu biegów.) Wielka to szkoda (nie dla mnie, lecz dla niego), posiada bowiem wiele oryginalnych, przemilych cech (a także cechy, bez których byłoby mu znacznie lepiej, których może pozbędzie się z czasem, choć powątpiewam, czy to będzie możliwe. Dziś mi się wydaje, że w zasadzie nie zmieniamy się. Obrastamy jedynie zablizniająca tkanką lub też dusze nasze twardnieją i grubieją, więc w miarę możliwości staramy się zapomnieć o tym, jacy jesteśmy. Dopóki wydarzenia nam nie przypomną), natomiast to, co w nim jest dobrego, wszyscy (nie moja córka, lecz ja, żona, Forgione, świat, nawet widmowe znane już skały i kratery na Księżycu, nasuwające myśl o zamierzchłych czasach i przejrzystych widziadłach) staramy się niestety wspólnymi siłami zniszczyć. (Nawet Derek wywołuje w nim nieokreślony strach, jak wysokie gmachy. Gdybyśmy byli kamieniami, a nie ludźmi, oddziaływalibyśmy na niego w podobny sposób. Jest wrażliwy na wszystko. Może jesteśmy dla niego kamieniami. Nie wiem, co o nas myśli. Wiem natomiast, że ja sam nie zawsze myślę o swoich dzieciach jako o dzieciach. Teraz ojciec i inne niejasne postacie dorosłych mężczyzn z mego wczesnego dzieciństwa, nawet brat, który jeszcze żył, kiedy byłem dzieckiem, wydają mi się figurami z niemego kamienia, które szybko, niewidzialnie potrafią przenosić się z miejsca na miejsce jako zagadkowi zwiastuni strasznych, nieokreślonych nieszczęść.) Syn ma żywy, pełen wyobraźni zmysł humoru, jest dość odważny, ma dobre serce; nawet nasza obecna gosposia Murzynka, która przy mnie chodzi na paluszkach, nie waży się głośno mówić, tylko szepcze nieśmiało, nawet ona uśmiecha się, kiedy on powie lub zrobi coś zabawnego, i woła: — Co za chłopak! Och, ten państwa syn jest naprawdę wspaniały.

I my tak sądzymy (trochę się pysznimy i chełpimy jego przedwczesną intuicją i idiosynkrazjami, z których jako jego posiadacze możemy być dumni), więc (jak sztywne, potężne maszyny nie mające nad sobą władzy) automatycznie pracujemy nad tym, aby go zmienić — zrobić twardszym, miększym, chytrzejszym, nieczułym — okłamujemy jego i siebie (jak świadomie okłamywałem siebie, kiedy wpakowałem matkę do ohydneho zakładu, który z obłudnym zachwytem opisywałem jej i innym jako piękny, nowy i wygodny niczym nowoczesny hotel), że to dla jego własnego dobra. (A nie dla naszego.)

— Bądź grzeczny. Nie bój się. Potrafisz to zrobić. Spróbuj. Jeszcze raz. Możesz być wszystkim, czym zechcesz. Nie rób tego. Doprowadzasz mnie do wściekłości — komenderujemy nim.

(Może to dla jego dobra.)

(A może nie.)

Nawet obecna pielęgniarka Dereka, która nie liczy się z nikim z nas (nie lubi zwłaszcza córki, która jest wobec niej opryskliwa, prowokująca i zadziorna) i, jak podejrzewam, nie dba już wcale o Dereka, patrzy łaskawie na syna i choć nie pochwała jego postępowania z Derekiem, prawi mu głośne, krępujące go komplementy, niezdarnie i zaborczo go ściska, wrabiając małego w przykre zakłopotanie, bo on dostrzega różnicę między tą jej miłością dla niego a krytycyzmem w stosunku do reszty rodziny.

— Co to dziwnego, że nie chce się bawić z braciszkiem — wyrzuca nam przy synu — kiedy widzi, jak państwo traktujecie dzieciaka. Nikt z was nie chce się z nim bawić.

Syn nie lubi tej pielęgniarce ani jej niewybrednych komplementów. (Czuje chyba, że ona posługuje się nim, żeby nam dokuczyć.) On się jej właściwie boi, jak boi się większości nauczycielek i pielęgniarce szkolnej, chciałby, nie okazując jej niechęci (ciągle boi się być niemiły), uniknąć rozmowy z nią, uchronić się od jej poszczypywania, obmacywania i uścisków. (Uważa, że jest wstrętne.)

— Odpraw ją! — krzyczę do żony kierując się nagłym od ruchem.

— Nie chcę zaczynać wszystkiego na nowo — wzdycha żona.

— Nie opiekuj się nim należycie. Nie utrzymuje go w czystości.

— Gdzie mam szukać innej?

— Weź nareszcie kogoś młodego.  
 — Skąd? \*

— Musimy znaleźć taką, która naprawdę będzie go lubić.  
 — Nie możesz. Wiem. Żadna nie chce się nim opiekować.  
 — Może ja to powinnam robić. Może powinnam do końca życia się nim opiekować.  
 — Moja ty święta.  
 — Co masz na myśli?  
 — Idź do klasztoru.  
 — Może powinnam.  
 — Nie nadajesz się, jeśli tak do tego podchodzisz. Nie mówisz poważnie. Traktowałabyś go pewnie gorzej niż one.  
 — Odpieprz się.  
 — Podoba mi się twoja obcesowość. Wymawiasz to o wiele lepiej niż dawniej.  
 — Mam praktykę. Wyszkoliłeś mnie.  
 — Jestem z tego dumny.  
 — Tylko z tobą. Bardzo łatwo mi przychodzi powiedzieć tobie „odpieprz się”.  
 — I lepiej to robisz teraz.  
 — Masz jakieś reklamacje?  
 — Nie w tej chwili.  
 — No to odpieprz się.  
 Żona odsuwa się ode mnie. Jesteśmy niemal nadzy. Ja się śmieję.  
 — Staram się — mówię głaszcząc ją po plecach. — Staram się cię pobudzić.  
 — Może powinniśmy pomyśleć o tym, żeby go gdzieś umieścić.  
 — Może nie powinniśmy o nim mówić w tej chwili.  
 — Chcę go gdzieś umieścić.  
 — Nie.  
 — Będzie mu znacznie lepiej niż w domu.  
 — Powiedziałem: nie.  
 — Prędzej czy później będziemy musieli to zrobić. To zna czy, pomyśleć o tym. W ogóle me chcesz o tym myśleć.  
 — Nie chcę o tym mówić.  
 — Teraz będziemy mieli na to pieniądze, prawda?  
 — Nic nie rozumiesz?  
 — Pytam.  
 — Jeśli przyjmę to stanowisko. I tak mam na to dość pieniędzy. Nie idzie o pieniądze.

- Może powinieneś je przyjąć.
- Nie chcę o tym mówić w tej chwili.
- Mówię, że powinieneś przyjąć to stanowisko.
- O tym też nie chcę mówić. Kłamiesz. Wcale nie mówisz o stanowisku. Zakłamujesz się.
- Kiedyś musimy o tym pomówić. Będziemy musieli coś postanowić. Przestań na chwilę. Nie możesz wiecznie unikać tego tematu.
- Mogę do śmierci.
- Śmierć nie nadaje się do żartów.
- I zostawię cię z nim.
- To też nie jest temat do żartów.
- Iz nią. I z nim. Ale miałabyś zajęcie.
- To nie jest zabawne.
- Nie chcesz, żebym umarł?
- Wiesz, że nie cierpię takich rozmów.
- Jest jeszcze za mały. Nie chcę o nim mówić w tej chwili.
- Dzieci mogą usłyszeć.
- Zamknąć drzwi na klucz?
- Nie jesteś lepsza — przypominam jej. — Kiedy ja mówię tak, ty mówisz nie. Kiedy mówię: odeślij go do zakładu, od powiadasz, że nie powinniśmy tego robić.
- Dla jego dobra.
- Nieprawda.
- Może powinniśmy odesłać całą trójkę — smutno mówi żona.
- Co to ma znaczyć?
- Nie wiem, co ma znaczyć. Dzieci czują się przez niego skrępowane. Wstydzą się. Może należałoby odesłać tych dwoje, a zostawić tylko jego.
- Co by pomogło odesłanie ich z domu?
- Nie mówiłam poważnie. Sam wiesz. Po prostu czują się fatalnie. Nie chcą przyprowadzać kolegów do domu, nie chcą, aby go zobaczyli. My też tego nie chcemy.
- Mów o sobie. On przeszkadza mi mniej niż tobie.
- Nieprawda. Jesteś obłudny. Zgrywasz się. Przeszkadza wszystkim. I wszyscy, którzy przychodzą do nas, zgrywają się przez niego.
- Wyrzuć tę starą cipę.
- Co to pomoże?
- Pomoże nam. Traktuje wszystkich po chamsku.
- Nie wyrażaj się tak przy mnie. Nie znoszę tego.

— Dlatego tak się wyrażam. Czas, żebyś się przyzwyczaiła. Ja się przyzwyczailem. W tej chwili całkiem dobrze mi z tym.

— Tobie łatwo.

— Pewnie.

— Znam cię. Prawdopodobnie wyjedziesz z miasta tego samego dnia, kiedy wymówię tej, i tego dnia, kiedy przyjdzie nowa.

— Możesz być pewna.

— Możesz się śmiać. Nie chcesz nawet porozmawiać z nimi, kiedy się zgłaszają.

— Nie wiem, o co mam je pytać.

— A potem się krzywisz. Nigdy nie podoba ci się ta, którą przyjmę.

— Cieszę się, że w ogóle kogoś znajdujesz.

— Dopóki się nie przyzwyczaisz do nowej. Potem nie możesz jej znieść i żądasz, abym ją odprawiła.

— Znajdź młodą, rozumiesz? Nie możesz znaleźć jakiejś absolwentki psychologii?

— Potrzebujemy kogoś na stałe. Musi koło niego wszystko robić. On sam nic nie potrafi. A ty me lubisz spojrzeć przykrych prawdzie w oczy.

— Ty lubisz?

— Nie masz wyrzutów sumienia, że to robisz, kiedy rozmawiamy o dzieciach lub choćby o Dereku?

— Nie. Dlaczego?

— Chciałeś mnie zmusić do tego nawet w dniu, kiedy moja babcia umarła.

— Chciałem cię do tego zmusić i w dniu, kiedy twój ojciec umarł.

— Nie mów tak. Wiesz, co czułam.

— Co ma piernik do wiatraka?

— Dla mnie ma. Nie czuję się w porządku.

— Dlaczego ja mam się czuć nie w porządku?

(

— Bo to nie wydaje się właściwe.

— Mam przestać? Przestaną, jeśli chcesz.

— W tej chwili to wydaje się paskudne. Znów jakies roz-pustne. Sama nie wiem. Nie czuję się w porządku.

— Nie lubisz się czuć rozpustna?

— Nie. Ty to lubisz.

— Czujesz się znakomicie.

— Czy jestem wulgarna? Czy kiedykolwiek jestem ordy-narna?

— W tej chwili tak. W tej chwili chyba mam wyrzuty sumienia. Doprowadziłaś do tego. Często to robisz. Nieczęsto nam się zdarza być w takiej pozycji, kiedy mówimy o dzieciach lub o czymś poważnym.

— Czuję się jak rozpustnica.

— W takim razie przestanę. To nie jest miłe. Mam przestać?

— Leżysz na mnie i gadasz o tym, aby go odesłać do zakładu!

— Ty to powiedziałaś. Nie ja. Czy przez to czujesz się jak rozpustnica? Czy przeze mnie?

— Kochasz mnie?

— Staram się. Twardo. Zobacz, jak twardo staram się cię kochać.

— Nie rób tego.

— Tego?

— Wiesz o czym mówię.

— O tym?

— Odpieprz się.

— Zamknij drzwi na klucz.

— Ty zamknij, to tobie tak pilno.

— Odpraw starą cipę.

— Chryste, jaki z ciebie cham — mówi żona zupełnie szczerze.

— A z ciebie bluźnierczyni. Co by na to powiedział twój nowy pastor, gdyby cię słyszał w tej chwili? Chciałby cię zobaczyć w tej pozycji. Nie cieszysz się, że jestem chamem?

— Za grosz uczucia.

— Uczucia. Pełno uczucia. Poczuj moje uczucia.

— Nie, wcale się nie cieszę.

— Czego ty właściwie chcesz?

— Nie wiem. Ja już mogę.

— Zamknę tylko drzwi na klucz.

<sup>1</sup> — Będę szukała.

— Moim zdaniem on jest w znacznie lepszej formie, nie uważasz?

— Nie.

— Nie?

— Nie. Ciągłe to powtarzasz.

— Kiedy ja tego nie mówię, mówisz to ty.

- — Wiem.

— Zdaje się, że on bardziej się przysłuchuje. Rozumie to i owo. Nie brudzi się już jak dawniej.

— Ona wcale się nie nadaje — energicznie potrząsa głową żona.

— Nie widzisz, że mu się poprawia?

— Nie. Jemu się nigdy nie poprawi. Nigdy. Tak mówią lekarze.

— W takim razie odprawmy tę cholerną starą cipę. Nikt z nas jej nie lubi. A ona nie lubi nikogo z nas. Przypomina mi starą Yerger w stanie gnicia.

— Kto to taki ta Yerger?

— Kobieta, która była moim szefem. W czasach mojej młodości.

— Robiłeś to kiedy z nią?

— Chryste, nie! Była gorsza od mojej matki.

— Powiedziałam ci, że już mogę. Dlaczego to ciągle robisz?

— Bo lubię to. Ty też powinnaś to lubić. Miała ogromny tors i żadnych piersi.

— Jak ja?

— Nie jak ty.

— Mam małe piersi. Ciągle mi to mówisz.

◀ — Wystarczą takie, jakie są. Lubię małe.

— Próbowałaś z innymi?

a — Nigdy.

— Zamknąłeś drzwi?

— Aha. Dlaczego tak się boisz?

— Na klucz?

— Otwórz się.

«  
Kiedy kopuluję z żoną, staram się czasem myśleć o kimś miłszym od Yerger czy tej starej klempy, pielęgniarce Dereka, aby się podrajcować. Zamykam oczy i wyobrażam sobie różową, płodną Virginie, ale nic z tego nie wychodzi; kiedy zaczynamy, jest gładka jak jedwab, pachnie rajcownie, nagle widzę ją taką, jaką byłaby dziś, gdyby nie zagazowała się w kwiecie wieku (choć wątpię, czy wówczas uważała, że jest w kwiecie wieku, cha, cha), widzę niską, tłustą megierę (jakich jest na kopy. Niechby wojowniczkę o wyzwolenie kobiet popospieszyły się z tym swoim wyzwoleniem i stały się lepszymi partnerkami dla takich amatorów seksu jak ja. I dla siebie nawzajem), koszmarną gadułę, babsztyl prawie o dziesięć lat starszy od mojej żony (niech to diabli, dlaczego pewne rzeczy, nie tylko kamienie, nie mogą pozostać na zawsze takie, jakie były?) i znacznie mniej pociągający fizycznie; ma tłustą cerę z szerokimi porami, mówi piskliwie, skrzekliwie i rozkazująco,



z jej głęboko dekolowanych sukien wyzierały pomarszczone cyce, bez przerwy chichocze i maluje się na czerwono. Znacznie lepiej trafiłem z żoną, wiem o tym; wobec tego otwieram oczy i patrzę na nią (opóźnia mnie to aż do chwili, kiedy jestem gotów. Szkoda, że nie mam w mieście jakiejś seksbomby, którą mógłbym wyobrazić sobie w moich erotycznych marzeniach w domu. Cóż, kiedy nie mam, prawie wszystkie dziewczyny, które udaje mi się zdobyć i zatrzymać, są na taką czy inną modłę smutne i cokolwiek mdłe. Wobec tego widzę własną żonę w moich fantazjach erotycznych, nawet kiedy ją rąbię. Taki to ze mnie wierny małżonek. Czasem, kiedy w podróży czy w mieście jestem w łóżku z inną kobietą i zaczynam żałować, że w ogóle z taką zacząłem, zamykam oczy i mówię sobie, że to moja żona. Co za wierność! Żona powinna się czuć zaszczycona, gdyby się dowiedziała, że myślę o niej w takich chwilach, kiedy nie jestem z nią, mimo to wątpię, czy powiem jej o tym. Może nie będzie tym tak zachwycona jak ja).

Wiem, że syn nie lubi, kiedy zamykamy drzwi naszej sypialni na klucz (mówił mi to często, zanim wyczuł, że za tymi drzwiami uprawiamy seks w tajemnicy przed nim. Zdaje się, że to córka mu kiedyś powiedziała:

— Oni się tam pieprzą.)

Nie lubi też, kiedy pielęgniarka Dereka wyciąga ramiona, łapie go artretycznymi palcami upstrzonych wątrobianymi plamami rąk i przyciska do zatęchłego, zapadniętego stanika (ja bym też tego nie lubił. Jak pani Yerger, ta baba ma masywny, wystający tors bez żadnej oznaki, że za nim kryje się coś więcej niż sflaczała, pomarszczona pustka), nieraz już upokorzony skarżył się z wyrzutem matce:

— To twoja wina. Dlaczego jej na to pozwalasz? Nie chcę, żeby mnie dotykała, popychała i miętoszyła w ten sposób. W ogóle *Q*) nie lubię. Nie możesz jej powiedzieć, żeby mi dała spokój?

— Proszę go zostawić w spokoju — mówiła żona mnóstwo razy uprzejmie i zakłopotana. Daremnie. — To go denerwuje. Nie lubi, żeby ktokolwiek zwracał na niego uwagę. Proszę go nie wyręczać. Woli sam wszystko zrobić. I niech się pani postara nie ścisnąć go i nie dotykać tak często, jeśli to możliwe. To dziwny chłopiec. Nie lubi, aby go dotykano i całowano. Wszystko jedno, kto to robi.

— Nie ma nic przeciw temu, abym ja to robiła — skrzeczy obrońnięta brodawkami wiedźma. — Wiem, jak się obchodzić

z dziećmi. On mnie lubi. Widzę to przecież. Lubi moje pieszczoty i mój zapach. Jestem zawsze skrupulatnie czysta, bo wiem, do jakiego stopnia dzieci są wrażliwe na zapachy.

Nie lubi, aby ktokolwiek w naszej rodzinie lub obcy ścisnął go, całował czy dotykał, aczkolwiek lekko trąca mnie ramieniem, kiedy jest ze mną w dobrej komitywie, albo na chwilę opiera się o matkę (nie czuli się z córką, woli przekomarzać się z nią i mocować, a ona nieraz daje mu wycisk, kiedy ma czas. Jako dwu-, trzy-, cztero- czy pięcioletni szkrab regularnie twardniał, kiedy żona go kąpała, pudrowała czy ubierała, pokazywał to palcem, komentował i zadowolony, z nie ukrywaną ciekawością pytał, co to jest. Mówił, że to łaskocze i jest przyjemne. Inteligentnie i szczerze wyjaśnialiśmy mu, co to jest, bo nie chcieliśmy, aby miał jakiegokolwiek zahamowania. Nie mieliśmy nic przeciw temu zjawisku, raczej napawało nas dumą. Teraz nie wymachuje już radośnie nabrzmiałym organem przed żoną czy mną, nie mówi z nami na ten temat. Nie pamiętam, czy mnie stawał w dziewiątym roku życia. Wydaje mi się, że mój kogucik znacznie wcześniej zaczął pulsować w ukryciu, a to kiedy siedziałem w sypialni matki lub krążyłem koło niej, patrzyłem, jak się ubiera lub zdejmuje wyjściowe ubranie i wkłada szlafrok, który na wieszaku wydawał się bezkształtny i wyblakły. Pamiętam jej różowe czy cieliste gorsety ze zwisającymi podwiązkami i fiszbinami, które stale wsuwały się lub wysuwały, choć nie jestem pewny, czy siedziałem, do czego gorset służy. Pamiętam z całą pewnością, że siedziałem w jej sypialni milczący i zaaferowany jedynie po to, aby patrzeć. Co mogło się za tym kryć innego niż tęsknota seksualna? Później śniła mi się ta sama sytuacja: matka jest w gorsecie i koszuli, ja kręcę się po jej sypialni i udaję, że co innego mnie absorbuje. Mój syn rozdaje pieniądze kolegom. Wiem, że nie powinienem się o to złościć, ma jednak szczególną awersję do pielęgniarki Dereka (do wszystkich jego pielęgniarek, zresztą ja też. I do wszystkich naszych służących. Kiedy idzie do kuchni wziąć sobie coś do jedzenia, woli sobie to wziąć sam, ja też. Żadna z tych pielęgniarek nie jest młoda, wszystkie są na swój sposób brzydkie, mają chude policzki, braki w uzębieniu, nierówne brwi lub skwarki na wargach. Nawet niebrzydkie wydają mu się szpetne), bo skoro nazywamy ją pielęgniarką, skoro zamieszkała z nami jedynie dlatego, że Derek ma uszkodzony mózg, skoro przed nim też opiekowała się kimś z uszkodzonym mózgiem i kiedy weźmie wolny dzień

i nie wróci więcej lub kiedy żona ją odprawi, znów pójdzie do kogoś z uszkodzonym mózgiem, wobec tego budzi w nim ona przecucie nieuchronnego losu, niebezpieczeństwa, kalectwa. (Na pewno nie przypuszczał nigdy, zresztą ją również nie, że na świecie jest tylu debilów.) Pielęgniarka jest dla niego zamaskowanym zwiastunem, osobą przynoszącą pecha, wirującą wskazówką, wysłannikiem głoszącym nieszczęście (sądzę, że miesza przyczynę ze skutkiem, zwała na nią winę za stan Dereka, zamiast winić Dereka za to, że ona u nas mieszka), nie chce być jej następną ofiarą. Jednakże nie chce, żeby o nim zapomniano.

— Bardzo było ci smutno trzy lata temu w Porto Rico? — pyta.

— Dwa lata temu — poprawiam go zaskoczony tym pytaniem.

— Trzy.

— Może masz rację.

— Dwa lata temu mieliście zjazd na Florydzie.

— Racja. Nie było mi smutno. A tobie?

— Myślałem, że już nie wrócisz.

— Dlaczego? Przecież wróciłem. Nic mi o tym nie mówiłeś.

— Bo byłem strasznie smutny. I zły na ciebie.

— Dlaczego?

— Nie wiem.

— Z jakiego powodu?

Wzrusza ramionami i mówi, że nie wie.

— Jesteś jeszcze na mnie zły?

— Zawsze jestem zły, kiedy musisz wyjechać.

— Jesteś na mnie zły w tej chwili?

— Znów musisz wyjechać?

— Będziesz się złościł?

— Będziesz musiał jechać?

— Tak.

— Może nie. Może nie będę.

— Tęsknię za tobą, kiedy wyjeżdżam.

— Dobrze się tam bawisz?

— Tak — mówię szczerze, po namyśle. — Na ogół bardzo ciężko tam pracuję. Z początku. I bardzo się martwię. Ale potem uspokajam się i dobrze się bawię.

— Nie telefonujesz do domu z tych zjazdów.

— To trudna sprawa.

— Dlatego nie jestem pewien, że wrócisz. A zanim wyjeżdżesz na zjazd, jesteś bardzo paskudny dla wszystkich w domu.

— Nieprawda.  
 — Prawda. Nie słuchasz, kiedy mówimy do dębie, i ciągle krzyczysz.  
 — Nieprawda.  
 — Prawda.  
 — Naprawdę?  
 — Tak. Zamykasz się w swoim gabinecie albo w suterenie i mówisz do siebie.  
 — Nie mówię do siebie — odpowiadam poirytowany, ale zaraz się uśmiecham. — Uczę się na pamięć mowy i pogadanki z przezrociami, które mam wygłosić na zjeździe.  
 — To jakbyś mówił do siebie, prawda?  
 — Chcę być pewien, że to mi dobrze wyjdzie i że nie zapomnę czegoś w pogadance.  
 — Ja się boję, kiedy muszę odpowiadać przed całą klasą.  
 — Ja też. Wiem, że się boisz.  
 — A po linie boisz się wspinać?  
 — Tak. I nigdy nie będę tego robił, bo już nie muszę.  
 — Lubisz to?  
 — Wspinać się po linie? v"  
 — Wygłaszać mowy. >  
 — Chyba tak. W każdym razie lubię, kiedy mnie o to proszą. Ja też się denerwuję. Ale lubię to. Zwłaszcza potem.  
 — Ja ciągle się boję, że zapomnę, co mam powiedzieć. Albo że mi się zrobi niedobrze i będę wymiotował, kiedy zacznę odpowiadać. Wiesz, dlaczego boję się pływać? Bo zdaje mi się, że gdybym się zaczął topić, wstydziłbym się wołać ratownika.  
 — Wołałbyś.  
 — Albo że komuś w klasie czy nauczycielowi się nie spodoba. Nie spodoba się to, co powiem.  
 — Właśnie dlatego ja tak nad tym pracuję i ciągle to powtarzam. I dlatego gniewam się trochę, kiedy mi przeszkadza cie. Muszę się tego nauczyć na pamięć.  
 — I zawsze pamiętasz?  
 — Nie na zjeździe. Nigdy nie wygłosiłem jeszcze mowy na zjeździe. Mój szef mnie nie dopuszcza.  
 — Green — mówi na pewniaka.  
 — Tak.  
 — Ja też nie lubię Greena — mówi ze spuszczonymi oczami.  
 — Bo ty się go boisz.  
 — Nie boję się go.  
 — Nie lubisz go.

\*\*

— Całkiem go lubię.  
 — Musisz u niego pracować.  
 — Na tym polega kłopot. Kiedy zależymy od kogoś w pracy, nie zawsze mamy dobre stosunki z naszymi szefami, bo nam rozkazują, ale to nie znaczy, że go nie lubię. Albo że się go boję.  
 — A boisz się?  
 — Nie. Lubię go nawet bardziej od wielu innych.  
 — Dlaczego musisz pracować w biurze, w którym nie lubisz tylu ludzi?  
 — Bo lubię tę pracę. Bo muszę.  
 — Wiesz, czego się boję? — pyta patrząc na mnie z ciekawością.  
 — Wielu rzeczy.  
 — A wiesz, czego jeszcze się boję?  
 — Jeszcze wielu innych rzeczy.  
 — Poważnie.  
 — Czego?  
 — Że ty nie wrócisz.  
 — To dziwne. Nie przypuszczałem, że myślisz o takich rzeczach.  
 — Myślę.  
 — Przez cały czas? Czy tylko kiedy mam zjazd?  
 — Przez cały czas. Ale głównie, kiedy masz zjazd. Bo wyjeżdżasz na długo.  
 — Czasem telefonuję. Kiedy tam przyjeżdżam.  
 — Kiedy indziej, kiedy ciebie długo nie ma, też się boję. Nie martwię się, jeśli nie ma ciebie przez jeden dzień. Potem zaczynam myśleć, że nie wrócisz.  
 — Przecież zawsze wracam. Jestem tu, prawda? Kiedyś umrę.  
 — Nie chcę, żebyś umierał.  
 — Postaram się nie umrzeć.  
 — Czasem chcę.  
 — Czego? — Jestem bardziej wstrząśnięty niż oburzony.  
 — Chcę tego.  
 — Żeby umarł?  
 — Nie wiem na pewno. Kiedy jestem zły. Albo we śnie.  
 — Nigdy nie jesteś zły.  
 — Jestem bardzo zły, kiedy wyjeżdżasz — mówi w napięciu. — Wcale nie chcę, żebyś umarł. Nigdy. Ja też nie chcę umrzeć. Jesteś teraz zły?

— Nie. A ty?

— Nie. Chyba nie bałbym się tak bardzo, gdybym był z tobą i mamusią, a nie w domu. Nie chcę być sam.

— Nie byłbyś sam. Byłbyś z mamusią. Nie możesz ciągle się bać wszystkich złych rzeczy, które mogą się przytrafić.

— Ja mogę — burczy ponuro.

Uśmiecham się do niego ze zrozumieniem.

— Nieprawda, nie możesz. Nawet ty tego nie potrafisz. Mogę ci wymienić mnóstwo rzeczy, których się boisz, ale których nie masz nawet czasu ciągle się bać.

— Nie chcę! — krzyczy z udanym przerażeniem.

— Dobrze — obiecuję zgodnie. — Co innego odwraca naszą uwagę. Pogadajmy teraz o czymś, co cię bawi. Uśmiejemy się. Pozartujemy sobie.

— Dobrze — godzi się natychmiast z uśmiechem.

— Zaczynaj.

— Czy krew człowieka może się zamienić w wodę?

— Co takiego?

— Ktoś mi to powiedział.

— I to cię śmieszy? ' i'

— Nie. Ciągłe mnie to gnębi. >v t ■

— Kiedy ci to powiedział?

— Kilka miesięcy temu.

— Dlaczego do tej pory nie spytałeś?

— Chciałem zastanowić się nad tym. Mówił, że to wyczytał w gazecie.

— Nie sądzę.

— Chłopak w szkole to mówił. Że krew może się zamienić w wodę i człowiek umiera.

— Pewnie miał na myśli leukemię.

— A co to takiego? — pyta ostro.

— Nie powinienem być ci tego mówić — oświadczam młaskając z żalem językiem. — Wiedziałem o tym, jak tylko ci powiedziałem. To choroba krwi. Coś się dzieje z białymi ciałkami.

— Zamieniają się w wodę?

t

— Nie. Nie przypuszczam. Nie w wodę. Ale coś w tym rodzaju się jednak dzieje.

— I ludzie na to umierają?

— Czasem.

— Czy dzieci w moim wieku tego dostają?

— Nie sądzę — kłamię. as

— Mówił, że czytał to o chłopcu. I że ten chłopiec umarł na to.  
 — W takim razie pewnie umierają. Może raz na jakiś czas...  
 — Nie mów mi o tym — przerywa podnosząc ręce z komicznym przerażeniem, jak gdyby się zgrywał, a jednocześnie mówi poważnie.  
 — Już powiedziałem.  
 — Nie mów nic więcej.  
 — Zawsze to robisz — sztorcuję go łagodnie. — Zadajesz pytania, jakie ci tylko przychodzą do głowy, o rzeczy okropne, a kiedy ci odpowiadam, zabraniasz mi mówić.  
 — Jesteś zły?  
 — Czy tak wyglądam? Oczywiście, że nie.  
 — Czasem trudno mi poznać.  
 — Wcale nie. Mówisz, że przez cały czas krzyczę. Nie, me jestem zły. Chcę, żebyś mówił ze mną o wszystkim, co ci przychodzi do głowy, szczególnie kiedy czegoś nie rozumiesz.  
 — Naprawdę? Dobrze.  
 — Tak. Pytaj, o co chcesz.  
 — Czy ty pierdolisz mamusię? Powiedziałeś, że mogę — przeprasza pospiesznie, kiedy widzi, że otwieram oczy ze zdumienia.  
 — Możesz — potwierdzam. — Czasem.  
 — Dlaczego?  
 — Bo to przyjemne. Miłe, coś w tym rodzaju. Wiesz, co to znaczy?  
 Kręci z niedowierzaniem głową.  
 — Czy naprawdę mogę pytać?  
 — Możesz pytać, czy to robię. Ale byłoby lepiej, gdybyś spytał kogo innego, co to takiego. I byłoby lepiej, gdybyś użył innego słowa.  
 — Nie znam innego słowa. Różnić?  
 — To prawie to samo. Mów, jak chcesz. Ale to trochę zabawne, że mówisz w ten sposób do mnie. Używaj takich słów, jakich chcesz. To jest wystarczająco dobre.  
 — Gniewasz się na mnie?  
 — Nie. Dlaczego ciągle o to pytasz? Nie wiesz, kiedy się gniewam, a kiedy nie?  
 — Nie zawsze.  
 — Zdawało mi się, że ciągle krzyczę.  
 — Nie ciągle. Czasem w ogóle się nie odzywasz. Albo mówisz do siebie.  
 — Nie mówię do siebie.

— Obgryzasz paznokcie i nie słuchasz w ogóle tego, co do ciebie mówimy.

— Naprawdę? Dlaczego myślisz, że jestem zły, kiedy milczę?

— Wszyscy się boimy.

— To nie znaczy, że jestem zły. Czasem jestem po prostu smutny. Albo zamyślony. Ja też mogę być smutny, prawda?

— Czy mamusia byłaby zła, gdybym ją zapytał?

— O co?

— Czy ją pierdolisz.

— Tylko z powodu tego słowa. Może nie byłaby. Nie pytaj, gdyby jeszcze ktoś był przy tym.

— Lepiej nie.

— Już spytałeś mnie. A ja ci powiedziałem. Więc gdybyś teraz spytał też mamusię, nie byłoby to po to, aby się dowiedzieć, prawda? Tylko, żeby zobaczyć, czy się będzie gniewała.

— Czy to było w porządku? Że spytałem ciebie?

— Pytasz już po raz trzeci. Nie jestem zły. Chcesz, żebym był?

— Myślałem, że będziesz. Inni ojcowie byliby.

— Może powinienem być. Jestem lepszy od innych ojców. Więc dlatego ciągle o to pytasz? Aby mnie rozzłościć?

— Nie — zaprzecza stanowczym ruchem głowy. — Nie lubię, kiedy jesteś zły. Widzę to. Już zaczynasz być zły, prawda?

— Ja też tego nie lubię. Nie zaczynam być zły.

— Dobitnie? — przypomina sobie.

— Dobitnie — przytakuję.

— Nie lubię Dereka — przeskakuje na inny temat. Ma zakłopotaną, zmartwioną minę.

— Tego nie powinieneś mówić — pouczam go łagodnie. — I nie powinieneś tak czuć.

— A ty?

— O to nie powinieneś pytać.

— Mówiłeś, że mogę pytać o wszystko. O tym też ciągle myślę.

— Możesz. Dobrze zrobiłeś, że mi to powiedziałeś i zapytałeś. A ja dobrze zrobiłem, że ci tak odpowiedziałem. Obaj zrobiliśmy dobrze. Rozumiesz? Mam nadzieję, że to nie jest zbyt mętne dla ciebie. To nie jest wykrętna odpowiedź.

— Czy powinienem był to powiedzieć? Nie wiem.

— Ja też nie — przyznaję zrezygnowany. — I ja nie jestem pewien, czy lubię Dereka, to znaczy, czy lubię to, że jest taki, i czy lubię jego. Nie jestem pewien. Ale często ludzie muszą się



pogodzić z tym, czego nie lubią. Jak ja z moją pracą. Ja też nie wiem na razie, co z nim zrobić. I nikt nie może mi powiedzieć.

— Czuję się nieswojo przy nim.

— Ja też.

— Wstydzę się przyprowadzać kolegów. Boję się, że będą się ze mnie śmiali.

— My też. Ale staramy się nie wstydzić. Nie powinniśmy. Ty też postaraj się nie wstydzić. To naprawdę nie nasza wina, więc udajemy, że się nie wstydzimy. Co jeszcze?

— Pieniądze.

— Co z pieniędzmi?

— Chcesz, żebym ci powiedział, co mnie gnębi, tak?

— Ciebie też?

— Czy mamy pieniądze?

— Ile chcesz?

— Nie dlatego,

i — A dlaczego?

— Kupujesz mi wszystko.

— Jak dotąd.

— Czy mamy za dużo?

— Na co? Nie jesteśmy milionerami.

— Czy mamy dość?

— Na co?

— Utrudniasz mi. Żartujesz. A ja nie żartuję.

— Aby rozdawać? — żartuję dalej szyderczo.

— Ty rozdajesz pieniądze — broni się.

— Na badania przeciw rakowi i takie rzeczy. Nie rozdaję ludziom. Ani chłopakom. Nie wpycham forsę chłopakom, których prawie nie znam, jakby mnie parzyła.

— Na leukemię?

— Wiedziałem, że o to spytasz. Chcesz, żebym na to dawał?

— Chyba tak — wzrusza ramionami niemal obojętnie. — Ale nie przestawaj dawać tych pieniędzy na badania przeciw-rakowe.

— Wiedziałem, że zaczniesz się martwić o leukemię, jak tylko ci powiem, co to jest. Żałuję, że ci powiedziałem.

— Nie martwię się. Nie wiem nawet jeszcze, co to jest.

— Nigdy nie martwisz się o to, czego jeszcze nie wiesz?

— Na przykład o co?

— Po co mam ci mówić, skoro nie wiesz?

— Teraz zacznę się martwić. Będę się martwił, żebym miał o co się martwić — dodaje z ponurym uśmiechem.

- Mnóstwo ludzi właśnie o to się martwi. -■\_ »^
- Nie lubisz, kiedy rozdają forszę — mówi. — Gniewasz^
- się, prawda?
- Dlatego to robisz?
- Nie powiem. i>
- Przestań to robić! •-
- Naprawdę?
- Dostaniesz w dupę — ostrzegam go żartobliwie.

Ciesz się, że tak swobodnie rozmawiamy z sobą. (Rozkoszuję się każdą chwilą, kiedy wydaje mi się, że on chętnie ze mną przebywa.)

Dawniej rozdawał pieniądze (pewnie dalej to robi lub zaczął robić z nastaniem ciepłej pogody, kiedy będzie przebywał z kolegami na dworze): centy, piątki, dziesiątki (kieszonkowe, które mu dajemy lub które sam sobie bierze, aczkolwiek nie przypuszczam, że już zaczął kraść czy zapalać zapalniczki. To przyjdzie z onanizmem. Tak było ze mną. Kradłem forszę od wszystkich w domu i w tajemnicy zapalałem wszystko, co mogłem znaleźć w apteczce i co wybuchło płomieniem. Wyciskałem sobie węgry na twarzy i bawiłem się zapalniczkami o ogromnych płomieniach. I obalałem dzidę. Nie chcieliśmy, żeby rozdawał forszę. Wyjaśniłem mu z miną znawcy, dlaczego to nie jest w porządku rozdawać otrzymane od nas prezenty, a pieniądze, które mu dajemy, to właśnie prezent. Jakbym przemawiał do ściany. Zawsze słuchał potulnie, ale nie rozumiał, o co mi idzie. Słuchał z pustym, cierpliwym, protekcyjnym wyrazem twarzy. I ja nie wiedziałem, o co mi idzie i dlaczego próbuję powstrzymać go od tego. Ale niezmordowanie to robiłem. Przecież w grę wchodziły tylko centy, piątki i dziesiątki, ale maglowałem go tak samo uporczywie, jak usuwałem węgry z mego nosa, wyciskając żółte nitki, które mogły być ropą. Uważałem chyba, że jest niewdzięczny). On pewnie i teraz rozdaje pieniądze, bo stwierdziłem, że on i jego koledzy — jak moja córka, która na ogół nie jest hojna, i niektóre jej bliskie przyjaciółki — dają sobie ciągle różne rzeczy i pieniądze, zapominają o tym i nie żądają zwrotu. Mam nadzieję, że on rozdaje pieniądze (mimo że zabroniłem mu to robić), bo nie chcę, żeby był egoistą. Dlaczego w takim razie prawłem mu kazania? Chciałbym, żeby wyrósł na młodzieńca w rodzaju takich, jakich się obecnie widuje, którzy pałają życzliwością dla siebie. Pożyczają sobie nawet samochody. Myśmy nigdy nie pożyczali sobie samochodów. I ja bym chciał być taki,

chciałbym mieć jeszcze jedną szansę, odzyskać młodość i być taki jak oni. Chciałbym mieć pewność, że są tacy szczęśliwi i zadowoleni, na jakich wyglądają. (Córka nie jest szczęśliwa, syn też nie, lecz może będą oboje. Oni może jeszcze mają szansę.) Spotykam tu i ówdzie młode pary (dziewczyna nie musi być nawet ładna), przechadzają się lub siedzą i obejmują się publicznie ufnie i intymnie, na ich widok bolesna zawiść i żądza omal nie zwalają mnie z nóg. Nie żądza. Zawiść. Tęsknota. Sam co jakiś czas jestem w podobnej sytuacji z młodą dziewczyną, ale wydaje mi się, że ona uważa mnie za sztyw-niaka, kołtuna, choć może nawet mnie lubi (i sypia ze mną) chwilowo. Uważam też, że dziewczyna ma rację, jestem sztywny. Niezdarny nawet. Czuję się niezdarny, kiedy podrywam dziewczynę za pomocą moich zwykłych impertynenckich, aluzyjnych (łatwych do przewidzenia) (nieciekawych) odżywek, nie mam wielkiego mniemania o sobie, nawet kiedy dzięki temu zachowaniu osiągam zamierzony cel. Prawdę powiedziawszy, wcale nie przepadam za cudzołóstwem. Nie jestem nawet pewien, czy rypanie sprawia mi przyjemność. Czasem to jest jak należy. Kiedy indziej jest tylko wytrysk. Czy ma być coś więcej? Kiedyś bywało. Bywało znacznie więcej żaru. Żona i ja prawiliśmy mu surowe kazania, za każdym razem kiedy po chytrych, uporczywych indagacjach dowiadaliśmy się, że znów rozdał pieniądze. Czasem dawał je chłopakowi, którego nie bardzo nawet lubił, nie znał nawet dobrze, bo go poznał na wakacjach i potem spotkał przypadkowo na ulicy, ale myślał, że tamten chce tych pieniędzy bardziej niż on sam. Czasem tylko tym się tłumaczył. Rozdaje również ciastka i czekoladę, pozwala innym dzieciom bawić się swoimi zabawkami, nawet zupełnie nowymi. Nie wiem, dlaczego to mnie tak bardzo irytuje (żonę też, jestem zawistny i czuję się oszukany), kiedy przy nas pozwala jakiemuś chłopcu bawić się prezentem, jaki dopiero co od nas dostał. (Uważamy, że ten prezent jest bardziej naszą własnością niż jego.)

Dawniej bacznie go obserwowałem, chciałem sprawdzić, czy są jakieś układy, jakieś rodzaje osobowości lub postępowania, na podstawie których wybiera chłopców, którym daje swoje centy, piątki i dziesiątki, aczkolwiek nie jestem pewien, czy kiedy oddał aż dziesiątkę. Nie. Nic takiego nie stwierdziłem. Wiedział, że go obserwujemy i mówimy o nim. Powiedziałem mu, że tak mu się tylko zdaje. Czasem faktycznie tak było, kiedy indziej miał rację. Ciagle go obserwuję. (Gdyby zaczął

podejrzewać, że szpiegowaliśmy go, rozważali i omawiali jego zachowanie, kiedy był brzdącem, nie bardzo by się mylił. Nie byłaby to tylko imaginacja.) Czuje się strasznie głupio i wstyd mi mojego ówczesnego postępowania (a może i przyszłego). Nigdy nie szło o więcej niż centa, piątkę czy dziesiątkę. Jednakże robiliśmy mu wielkie awantury, my, dorośli, żona i ja, byliśmy oburzeni i wściekli, że nasz pięcio-, sześć- czy siedmioletni synek podarował komuś centa, piątkę lub dziesiątkę, które dostał od nas czy kogoś tam i których sam nie chciał. Nie krzyczyliśmy na niego. Robiliśmy coś gorszego, odnosiliśmy się do niego protekcjonalnie, poniżali go. Nie gniewaliśmy się na niego poważnie, nasza małostkowość była nieumyślna. Udawaliśmy jednak prawdziwy gniew (co jeszcze bardziej musiało go dziwić), mówiliśmy podniesionym głosem (nie krzyczyliśmy, mówiliśmy dobitnie), mrugaliśmy do niego ironicznie, wesoło, niedowierzająco. Chichotaliśmy, uśmiechaliśmy się, jowialnie i przewrotnie dowcipkowaliśmy, przypierali go do muru suchymi, protekcjonalnie wypowiedzianymi argumentami (podczas gdy córka, zazdrosna o to, że tyle uwagi poświęcamy jemu, patrzyła na nas z wyrzutem z kąta, w którym się zaszyła, zbyt jeszcze młoda i nieśmiała, aby zareagować jadowniczo, jak to często robi obecnie), że nie powinien, nie może, po prostu nie wolno mu oddawać nikomu pieniędzy.

— Dlaczego?

(Rzeczywiście, dlaczego? Kto wie? Myśmy nie wiedzieli. Aczkolwiek uważaliśmy, że wiemy, że to się samo przez się rozumie.) Bardzo serdecznie i na wesoło staraliśmy się go przekonać (wyjaśniając, że to nasz rodzicielski obowiązek) o naszej miłości, że to nie jest kara i nie gniewamy się, nie krytykujemy go; mimo to nie przestawaliśmy go strofować łagodnie i wyrozumiale (łącząc się przeciw niemu, dwoje na jednego), usiłowaliśmy go wychować, z uporem maniaków kładliśmy mu do głowy, dlaczego jego postępowanie jest nie mądre i niewłaściwe.

Kłopot jednak polegał na tym, że nie potrafiliśmy mu tego wytłumaczyć. (Nie mieliśmy argumentów, które wydałyby się sensowne nawet nam samym. Trudno kogoś przekonać, kiedy jedyną odpowiedzią na „dlaczego” jest niezdarne i dogmatyczne „dlatego”. Myślę teraz, że traktowaliśmy go gorzej, niż kiedykolwiek traktował go Forgione, bardziej bezwzględnie i demoralizująco niż jakkolwiek nauczyciel. Gryzie mnie sumienie. A przecież wiem instynktownie, że postąpię identycznie,

jeśli go znów przyłapię na rozdawaniu centów, a w każdym razie będę czuł potrzebę, aby tak postąpić. Mam nadzieję, że nie zrobię tego. Ale wiem, że jego hojność wydaje mi się niesłuszna. Nie wiem dlaczego niesłuszna. I nie wiem, dlaczego tak mi się wydaje.) Wiem, że nie potrafiliśmy przytoczyć choćby jednego prawdziwego, przekonującego argumentu, dlaczego nie powinien rozdawać tych centów innym dzieciom, jeśli ma na to ochotę. Uprzedziliśmy go nawet, że nie chcemy go ukarać, lecz tylko dać mu nauczkę, i właśnie dlatego ukarzymy go dając mu nauczkę. Nie dawaliśmy mu ani centa, przez jakiś czas nie dostawał nic, kiedy prosił o pieniądze na lody, wodę sodową czy cukierki, kupowaliśmy mu te rzeczy sądząc, że nie można mu dawać pieniędzy do ręki, lub też pouczaliśmy go zarozumiale, że miałby pieniądze i mógłby sobie kupić, co chce, gdyby nas posłuchał i nie rozdał swych centów.

(— Widzisz? A nie mówiliśmy?)

Kusiło mnie nawet, aby mu kazać zjeść dany smakołyk przy nas (nie chciałem ryzykować, że podzieli się z innym dzieckiem lizakiem czy czekoladką), nie posunąłem się jednak tak daleko. (Mam wielkie serce, cha, cha.)

Czuł się ogromnie zakłopotany tymi dyskusjami i indagacjami (nie wiedział, co z sobą zrobić, gdzie lub jak spojrzeć, zgrywali się i żartowali, aby go ośmielić, ale on nigdy się nie odprężał. Uśmiechał się niedowierzająco, sztywnie i niepewnie, kiedy starał się uprzejmie odpowiedzieć na nasze dowcipy, zadawał pytania i odpowiadał nam, bezskutecznie starając się zrozumieć, czego, na Boga, tak strasznie chcemy go nauczyć i dlaczego), był bliski rezygnacji i płaczu, a kiedy teraz przypominam sobie zmarszczki na jego delikatnym czole, jego cichy, pokorny głos, wydaje mi się jasne (teraz), że zbierało mu się na płacz, ale ze wszystkich sił (aby nam dogodzić) powstrzymywał łzy; doskonale się maskował (znam go teraz lepiej) i zamiast płakać, uśmiechał się zakłopotany do mnie i matki na przemian, kiedy argumentowaliśmy i maglowali go pobłażliwie, on zaś marszczył brwi i mozolił się nad tym, aby zrozumieć, o co nam idzie, co naszym zdaniem tak gładko mu wytłumaczyliśmy.

— Może później albo jutro sam będziesz potrzebował tego centa — argumentowałem życzliwie.

— To dostanę innego.

— Gdzie?

— Tu.

— Od kogo?  
 — Od ciebie.  
 — Nie dam ci.  
 — Jak to? — pytał nie rozumiejąc i zerkając na mnie bokiem.  
 — Bo nie dam — mówiłem twardo, bardzo z siebie zadowolony.  
 — Jak to?  
 Wzruszałem ramionami.  
 — To dostanę od mamusi.  
 — Tak myślisz?  
 — Ja ci też nie dam.  
 — Jak to? — Odsuwał się i wpatrywał w matkę.  
 — Przed chwilą oddałeś centa, prawda? Nie cenileś go.  
 Widzi, że obserwujemy go w milczeniu i czekamy, co teraz zrobi.  
 — Od chłopca, któremu go dałem. Dostanę go od niego — mówi.  
 — Już nie będzie go miał.  
 — Nie da ci tego centa.  
 — Wydał go już. Dlatego chciał go mieć.  
 — Tobie się zdaje, że wszyscy są tacy hojni?  
 — Jak go nie wydał, to i tak ci go nie da. Nie wszyscy są tacy hojni jak ty.  
 — Albo tacy bogaci.  
 — Albo tacy zamożni. Nie jesteśmy bogaci.  
 — Zrozumiałeś? Tak?  
 — Nie damy ci tego centa.  
 — Jutro nie będziesz miał centa.  
 Chłopak jest oszołomiony, patrzy na nas badawczo, uśmiecha się z przymusem, stara się zrozumieć sytuację, kręci się niepewnie (w roztargnieniu szybko tarmosi penis), czeka na jakiś znak, na jakiś promyk światła, który naświetli mu tę rozmowę jako niewinny kawał z naszej strony.  
 (Nie szarp kogutka — chcę mu powiedzieć, ale nie mówię.)  
 — Chcesz pójść do ubikacji? — pyta w końcu żona. On kręci głową zdziwiony, nie rozumie, dlaczego pyta go o to.  
 Nie rozumie, co się dzieje. Drży z niepewności, z zastygłą twarzą patrzy na mnie i na matkę, widzi, że nie może na nas liczyć.  
 — Jak to? — skarży się smętnie, całkowicie już zrezygnowany. (Gotów skapitulować w razie konieczności.)

— Żeby — podsumowuję wyniosłe, rozkoszując się swoimi słowami — dać ci nauczkę.

Co za buc był ze mnie.

Co za samolubny, małostkowy, tępy i nieczuły buc. Wstyd i żal zatruwają mi teraz serce, kiedy przypominam sobie, jak okrutnie go dręczyłem w swoim zarozumiałstwie (zemdli mnie ze wstydu i żalu, kiedy go następnym razem zadęcę. Jak mam się powstrzymać?). Ze swej strony (wysoki sędzie, przyznając się do winy, ale mam coś na swoje usprawiedliwienie) jestem szczerze przekonany, że kierowało mną głębokie pragnienie, aby się nim opiekować, nie dopuścić do tego, żeby go inne dzieci wykorzystywały (nawet siostra. Nie mogę znieść, żeby go ktoś wykorzystywał. Jak gdybym to ja sam musiał znieść upokorzenie i wstyd, że dałem się przechytrzyć i wstydzić na dudka. Jak gdyby cios został zadany mojemu ego. W takich chwilach właśnie ogarniała mnie na niego największa wściekłość, miałem ochotę go zbić, zmiażdżyć, bo tonąc się w nieposkromionej goryczy doznawałem nagłego olśnienia i wyczuwałem, że on zupełnie świadomie pozwala się wykorzystywać i tyranizować przez inne dzieci. Wobec tego ja tyranizowałem i wykorzystywałem jego). Kochałem go i cierpiałem przez niego niemal od dnia jego urodzenia, od momentu kiedy po raz pierwszy zauważyłem jego wrodzoną skłonność do zadumy, gdy tęsknie rozglądał się leżąc w kołysce czy siedząc w kojcu (ani córka, ani Derek nie byli tacy. Derek wydawał się z początku miły i normalny). Kochałem go też za jego naiwną szczerą, za brak nieprzyjaznych uczuć, litowałem się nad nim (i w złości stawiałem mu minusy), bo miewał czułe odruchy oraz często nieokreślone, paraliżujące przeczucia, wydawał mi się taki zagubiony, daleki i bezsilny, jak i ja sam bywałem w dzieciństwie, a i teraz bywam jeszcze, kiedy moje opanowanie słabnie i tracę siły; zawsze pragnąłem go uchronić przed krzywdą, obwarować przed klęską. Więc sam go krzywdziłem, pokonywałem go napuszonymi kazaniami, zadęczałem dla jego dobra ustawicznymi naganami i rozmowami. Nie mogłem spokojnie patrzeć, jak się martwi (i z trudem mogłem mu to wybaczyć), więc jeszcze bardziej go martwiłem (w trakcie tego oczyszczając siebie z niektórych własnych zmartwień), czując się splamiony po każdym takim wystąpieniu. (Gnębienie go nie daje mi satysfakcji, jaką na ogół daje mi gnębienie córki i zawsze gnębienie żony. Teraz to już chyba nie ma wielkiego znaczenia ani dla mnie, ani dla żony, czy uszczęśliwiam ją, czy

zadreczam, różnica nie jest tak wielka ani efekt tak trwały, nauczyliśmy się już, jak dożyć wspólnie do końca naszych dni, i oboje mamy już za sobą więcej niż pół drogi. Kto by uwierzył dawno, dawno temu, że dożyję moich obecnych lat? Ale syn dopiero wchodzi w życie.) Jakim ślepym, małostkowym, despotycznym i świętoszkowatym kutasem byłem doprawdy. On nas nie rozumiał, a myśmy nie potrafili mu wytłumaczyć, o co nam idzie. I podczas całego tego roztrząsania (zazwyczaj na wsi lub plaży, w wynajętym na lato domu, do którego jeździmy wszyscy niemal co roku i w którym żadne z nas nigdy dobrze się nie czuje. Z wyjątkiem Dereka. Ten wszędzie potrafi się cieszyć z byle czego, nawet w domu. Jak Martha, która powoli dostaje fioła u nas w biurze, słyszy głosy, przy czym twarz jej rozbłyskuje rozkoszą, uczestniczy w grach sportowych na wyimaginowanych wycieczkach, wpatrzona ponad maszyną do pisania w pustą, zieloną ścianę o parę stóp przed nią. Ciekaw jestem, w jaki sposób ona zwariuje ostatecznie, jaką formę wybierze i kto jest za nią naprawdę odpowiedzialny: Green, który ją przyjął do pracy, czy też biuro personalne, które zebrało informacje o niej i zaakceptowało jej kandydaturę. W każdym razie nie ja. Latem, kiedy rodzina jest na wsi, mogę przynajmniej częściej mieszkać sam w centrum i bawić się, ile dusza zapagnie) byliśmy z żoną ogromnie oczarowani jego niepojętą hojnością (jeśli to była hojność) i urzekającą dobrocią (uśmiechaliśmy się do siebie czule, zadowoleni z siebie, dumni z niego, i zafascynowani mówiliśmy:

— Co za wspaniały chłopak, prawda?

— O tak! Kochany).

Byliśmy oczarowani jego niepojętym brakiem samolubstwa, zachwycaliśmy się nim szczęśliwi, wyniesieni ponad przeciętność, ponieważ był naszym dzieckiem i mogliśmy się nim pochwalić. Czekaliśmy na zawistne komplementy innych rodziców, domagaliśmy się ich, zbierali i połykali je łączywie, obrastali gładkim tłuszczem superlatywów pod jego adresem, tyliśmy z wielkiego szacunku dla siebie. (Co za zarozumiały, chępliwy, zakłamanym i samolubnym kutasem był ze mnie!) I nawet wówczas (teraz bez wątpienia) gdyby nam kazano wybierać między dzieckiem hojnie rozdającym centy, piątki i dziesiątki, których nie chciało lub nie potrzebowało, a dzieckiem ciulającym grosze na własne potrzeby, wybralibyśmy właśnie nasze dziecko. Podobało się nam.

(Więc dlaczego chciałem je zmienić?)



Dlaczego strofowaliśmy go, grozili mu, indagowali go? (Dlaczego czuliśmy się tacy upokorzeni?) Dlaczego przy nim nie chichotaliśmy i nie paplali zadufani w sobie (jak kiedy chępliśmy się nim przed znajomymi), że rozdać centa, piątki i dziesiątki, tylko ciągle go ganiliśmy, upominali, wyciągali z niego niechętnie odpowiedzi i przyrzeczenia? (Gdybym był on — nim, wiem — tobym chyba siebie teraz nienawdził. Dlaczego nie potrafię zostawić go w spokoju? Dlaczego nie potrafię tego zostawić w spokoju nawet teraz?)

Najbardziej godne pogardy było oczywiście to, że przecież znowu dawaliśmy mu tego centa, piątkę czy dziesiątkę, zaraz jeśli o nie poprosił (i pod tym względem też miał zawsze rację, my zaś nigdy jej nie mieliśmy), nawet dolara czy półtora na kino, aczkolwiek przeważnie nie mogliśmy się powstrzymać, aby nie dołączyć do tych pieniędzy czegoś w rodzaju kazania. (Nie trwoń, to ci nie zabraknie. On przewidywał nasz katechizm z niepokojącą dokładnością, często recytował go razem z nami, zwłaszcza kiedy córka była przy tym i mogła mu wtórować. Widząc, jak często moje dzieci potrafią dosłownie przewidzieć moje uwagi i naśladować mnie bezbłędnie, orientuję się, jaki jestem stereotypowy. Czy rzeczywiście bezwiednie stałem się takim niewątpliwym nudziarzem w ich oczach? Ile razy udaje im się mnie małpować skutecznie, cierpię w skrytości ducha i niełatwo im wybaczam. Zapominam raczej, ale nie wybaczam. Nie lubię być wyśmiewany.) Wiedzieliśmy, że damy mu pieniądze, jeśli o nie poprosi, w momencie zarzekania się, że nie damy. Po co w takim razie maćiliśmy mu w głowie, po cośmy go dręczyli (przepuszczali przez wyżymaczkę), zmuszali do wysłuchiwania naszych kazań? W jakim celu przyczynialiśmy się, być może (może nawet umyślnie), do tego, że czuł się dziwnym rarietem, różniącym się od reszty dzieci?

(Z powodu centa, piątki i dziesiątki.)

Mówiliśmy sobie, że chcemy go wychować.

(Jak go wychowaliśmy?)

(Nigdy nie dowiedzieliśmy się. Nie staraliśmy się nawet dowiedzieć.)

— Będziesz pamiętał, co ci powiedziałem? — pouczałem go znowu, kiedy prosił mnie o pieniądze.

— Tak.

— Powtórz — zmuszałem go do wyrecytowania moich przykazań.

— Nie powinienem rozdawać pieniędzy.  
 — A będziesz?  
 — Nie.  
 — Przyrzekasz?  
 — Chcę gumę.  
 — Czy przyrzekasz? y  
 — Przyrzekam.  
 — Co przyrzekasz? '!  
 — Że nie rozdam tych pieniędzy. •4  
 — Co z nimi zrobisz?  
 — Wydam je. &  
 — Na kogo? r  
 — Na gumę. >  
 — Na co? ,\*  
 — Na mnie. Chcę gumy, tatusiu. Nie rozumiesz? Chce mi się gumy. >  
 — Co zrobisz, jeśli dostaniesz więcej niż centa? i,  
 — Kupię więcej gumy.  
 — A jak ci nie dam centów? tt  
 — To nie kupię gumy.  
 — Miałeś centy wczoraj, prawda? Gdybyś ich nie rozdał, nie musiałbyś mnie dzisiaj prosić, prawda?  
 — A gdybym je wczoraj wydał? To musiałbym cię prosić dziś, prawda?  
 — Chyba tak. Czy rozumiesz teraz, dlaczego nie powinienem rozdawać centów?  
 — Tak.  
 — Naprawdę?  
 — Tak.  
 — Dlaczego? Dlaczego źle jest rozdawać pieniądze?  
 — Dlatego — zaczyna i nagle oczy mu rozbłyskują, wie, co zaraz nastąpi, i nie potrafi się oprzeć pokusie, aby powiedzieć, co mu przychodzi na myśl — dlatego — powtarza odważnie z figlarnym uśmiechem, zdecydowany pójść na całego i powie dzieć swój złośliwy dowcip — że ty i mamusia się gniewacie.

Co za urocze dziecko.

Jego odpowiedź bardzo mnie cieszy. I muszę śmiać się razem z nim, aby dać mu do zrozumienia, że dobrze zrobił wążąc się na ten dowcip i że nie odegram się na nim.

Prowadzę z nim cięte sokratyczne dialogi niemal na wszyst-

kie tematy (wypowiedzi płyną zwięźle, rytmicznie w pytaniach i odpowiedziach) i obaj to lubimy. (Z córką sprzeczą się i prowadzę demoralizujące dyskusje, przeładowane często osobistymi przytykami i wypieraniem się, nawet kiedy zaczyna rozmowę obiektywnie i spokojnie na takie tematy, jak życie i jego znaczenie lub jej czy moi przyjaciele. Ciągłe krytykuje naszych znajomych, jak gdyby to była jej sprawa.) Ja jestem Sokratesem, on uczniem. (Tak myślę, dopóki nie odtworzę w pamięci którejś z naszych rozmów, kiedy jestem sam, bo wtedy spostrzegam często, że to on jest Sokratesem, a ja uczniem. Wiem, że go kocham. On kocha mnie. Jest miły. Nie mogę tego powiedzieć o sobie.

— Jesteś taki miły, tatusiu! — woła często. Bez przerwy mnie ściska. — Wiesz, tatusiu, naprawdę jesteś czasem bardzo miły — mówi do mnie niekiedy nawet córka.

Więc może nie zawsze jestem taki zły, jak mi się zdaje. Lubię, jak mnie ktoś chwali, nawet własna rodzina. Czuję się ważny, nabieram energii. Nikt nie jest dobry bez przerwy. I każdy jest chwilami dobry.) Nie potrafimy przewidzieć, w jakim kierunku pójdą nasze wypowiedzi, bo nigdy nie wiadomo z góry, co mu ślina nagle na język przyniesie, jakie uwagi wymkną mu się prawie mimo woli, jakie gnębiące go sprawy postanowi wyjawić nagle po wiekach głębokich rozważań. (Kiedy raz coś postanowi, nic go nie powstrzyma.

j

— Musiałeś ciupciać mamusię, żeby mnie mieć? — pyta.

— Nie dlatego.

— Co nie dlatego?

>

— Nie dlatego robiliśmy to i nie dlatego mieliśmy ciebie.

— Ale w ten sposób, tak? — Widać, że to mu się nie po doba.)

Nie lubi ryzykować, jeśli nie musi. (Ja też nie. Chyba z dziewczętami, a i wówczas staram się działać na pewniaka.) Nigdy, o ile wiem, nie wdał się w bójkę na pięści. (I ja bym teraz nie wplątał się w coś takiego, chyba żeby szło o moje życie. Niedaleko padło jabłko od jabłoni.) Bicie czy tyranizowanie dzieci mniejszych lub słabszych nie sprawia mu żadnej przyjemności. Ze wszech miar unika ludzi, których się boi, choćby nawet musiał się wyrzec ulubionej zabawy lub towarzystwa dzieci, które lubi. Jest zupełnie bezradny, kiedy starszy, silniejszy, a nawet mniejszy chłopak popycha go i krzyczy na niego lub kiedy zgraja urwisów zabiera mu rower czy bijak do baseballu (właśnie to mu się przydarzyło w parku w centrum przez dwa

dni pod rząd, kiedy po raz pierwszy pojechałem na zjazd do Porto Rico; może właśnie dlatego nie lubi, żebym podróżował samolotem, aczkolwiek i tak nie byłbym przy nim i nie obroniłbym go przed portorykańskimi łobuzami, którzy zabrali mu rower jednego dnia, i murzyńskimi wyrostkami, którzy wyrwali mu z rąk bijak następnego — więc może nie dlatego nie lubi moich wyjazdów. Matki innych dzieci były w parku i nic nie poradziły. Wszystko jest takie niepojęte, niejasne dla niego). A przecież stać go na dużą odwagę i natężenie uczuć, które zdumiewają żonę i mnie. (Winszujemy sobie i tych jego cech.) Siedzi cicho, potulnie, jeśli lekarz czy dentysta uprzedzi go, że będzie bolało, nie buntuje się (choć siedzi blady jak ściana albo żółty i tylko koniuszki palców mu drżą) przed zamierzonym zabiegiem. To ja się wzdrygam za niego. Mnie się kręci w głowie, ze strachu muszę odwrócić oczy, niedobrze mi się robi, kiedy lekarz ujmuje jego chude ramię, żeby szybko zrobić mu zastrzyk czy pobrać krew. Kiedy siedzi u lekarza czy dentysty, dostrzegam na jego twarzy tę samą chorowitą bladłość znaną mi z czasów, kiedy bał się gimnastyki czy ustnej odpowiedzi na lekcji (w takich chwilach mam wrażenie, że widzę flegmę. On jest flegmą. A przecież na pewno nie jest flegmatyczny. Cha, cha). Nic nie mówi, poddaje się, lecz wiem, że i jemu się robi słabo, kiszki mu się skręcają, kończyny robią się ciężkie, boi się, że zacznie wzywać pomocy i wprawi nas w zakłopotanie (ja zaś jestem zupełnie roztrzęsiony widząc go w takim stanie, mógłbym krzyczeć z udreki za niego. Kiedy usunięto mu migdałki, byłem do głębi wstrząśnięty widząc mały skrzep krwi w kształcie półksiężyca na jego nozdrzu. Nie pamiętam, na którym. Szczegóły zatarły mi się w pamięci, ale to nieważne. Gdy go wieźli na salę, zakręciło mi się w głowie, żona musiała szybko do mnie podskoczyć i zaprowadzić do krzesła, bo byłbym się chyba przewrócił). Mam nadzieję, że nie trzeba będzie usuwać mu zęba, dopóki nie będzie na tyle dorosły i silny, żeby móc to znieść bez mojej pomocy i z większą odwagą, niż ja zniósłbym wyrwanie mu zęba teraz. Bardzo się cieszę, że jakoś mniej boi się teraz mnie i moich krzyków, mojego uszczypliwego sarkazmu, kiedy nie mam humoru lub głowa mnie boli. (Kiedy sobie przypomnę, jak sztorcowałem go za rozdawanie pieniędzy, za to, że boi się nurkować, żeglować, jeździć na nartach czy łyżwach, robi mi się na parę minut smutno ze wstydu; jakie to cudowne, że potrafił zapomnieć i wybaczyć mi, jeśli naprawdę mi wybaczył, bo może

i on pamięta. Mam wrażenie, że wszystko pamięta. Może nawet i to, na którym nozdrzu miał skrzep, kiedy go wieźli na salę, ale nie chcę go pytać o to, aby nie przypominać mu, że to ja miałem głęboki, wstrząsający uraz, kiedy jemu usunięto mig-dałki i trzeci migdał, gdyż żaden z nas nigdy się całkiem nie otrząsnie z tego urazu. On również cierpiał, nie chciał leżeć w swoim pokoju, kiedy przywieźliśmy go do domu z gardłem tak obolałym, że z trudem się uśmiechał i mówił. Czasem zapominał o bólu, dowcipkował skrzekliwym głosem i zaczynał się uśmiechać, ale ostry ból zbijał go z tropu. Posyłał go z powrotem do jego pokoju. Ściany tego pokoju zdobiła kalkomania, a z sufitu zwisał mobil. Po narkozie w szpitalu miał pragnienie, ale nie mogliśmy mu dać wody, dopóki nie wywietrzały z niego opary eteru. Uprzedzono nas, że z wymiotowałby. Więc nie daliśmy mu pić. Powieki miał sine.)

Bogu dziękuję, że on już mnie nie widzi w gęstym tłumie demonicznych, zdrażliwych, podstępnych, bezlitosnych, pełzających, wspinających się, czołgających, brutalnych, krwiożerczych, obezwładniających łotrów, kidnaperów, zjaw i morderców zaludniających jego sny (i moje), których przez całe swoje krótkie życie prawie, jak się dowiaduję, tak przeraźliwie i nieprzytomnie się bał. (Wyczuwał raczej, niż widział te okropne zjawy, zwierzył mi się, kiedy przywieźliśmy go z poranionym gardłem ze szpitala do domu, ale i słyszał je. W bezsenne noce nasłuchiwał szmerów, słyszał skrzypienie i kroki, które myśmy też słyszeli, ale myślał, że ktoś przyszedł go porwać, wspina się kamień po kamieniu wzdłuż muru naszego domu, przebija się przez dach do jego pokoju, spada prosto z nieba na parapet jego okna z kruchą szybą. Twarze porywaczy były zasłonięte kapturami albo cieniami, które przytrzymywali rękami jak szale.

— Dlaczego nie zawołałeś nas? — pytałem. — Dlaczego nam nie powiedziałeś, nie musiałbyś przychodzić do naszego pokoju. Myśleliśmy, że po prostu nie chcesz być sam. Powinieneś być mnie zawołać, a nie leżeć i trząść się ze strachu. Posiedziałbym z tobą. Albo mamusia.

— Powiedziałbyś, że to przywidzenia.

— Bo to były przywidzenia.

— Zwierzęta też słyszę. Dlatego cię nie zawołałem.)

Przez pewien nierzeczywisty czas prawie wierzył, że ja nie jestem naprawdę mną!

(Nie umiał powiedzieć, kim innym mogłem być.)

Wyobrażał sobie, że ja nie jestem naprawdę mną, ale że ktoś potworny maskuje się jako ja, że ten ktoś przebrany za mnie wśliznął się do naszego domu, aby udawać, że jest mną, oszukać go i zabrać ode mnie. (Czy bujał? Był na to za mały.) Nie było sposobu go przekonać, że się myli, zaprzeczenie, odwoływanie się do rozsądku i faktów należało do procedury oszustwa. Cokolwiek mówiłem, wzmagало w nim przekonanie, że ma rację. Potwierdzałem tylko jego przekonanie. Nie potrafiłem go przekonać, że ja to ja.

— Dlaczego miałyby mi na tym zależeć? Dlaczego komukolwiek miałyby na tym zależeć? — pytałem.

— Nie wiem.

— Po co bym ci mówił, że ja to jestem ja, gdybym nie był?

— Żeby mnie oszukać.

— Po co miałbym cię oszukiwać?

— Żeby mnie zabrać.

— Dokąd?

— Mamusia też to robi. Aby mnie zabrać.

— Po co mielibyśmy to robić, skoro mamy cię przecież, prawda?

— Nie wiem.

— Czy tobie się zdaje, że już cię zabraliśmy i przyprowadzili tutaj?

— Nie wiem.

— I tak to zrobiliśmy, prawda?

— Nie wiem.

Teraz wie przynajmniej, że ja to jestem ja, więc czuje się trochę bezpieczniejszy. (W każdym razie rozumie, że to bez znaczenia, bo jeśli ja nie jestem ja, on i tak musi się pogodzić z tym faktem. Tak czy siak jest i musi pozostać w mojej mocy — nikt go nie wybawi — dopóki nie dorośnie, jeśli dożyje dorosłego wieku, i będzie mógł odejść. Kiedy mnie samemu usunięto migdałki, budziłem się w nocy z bólu w ciemnej sali szpitalnej i nie było przy mnie ani rodziców, ani pielęgniarki. Wszystko tonęło w ciemnościach. W tym okropnie obcym miejscu panowały tylko ciemności. Rozróżniałem kontury *rzeczy*. Nic się nie ruszało. Chciało mi się pić. Boże, jak strasznie chciało mi się pić! Dręczyło mnie pragnienie. Myślałem, że umrę, jeśli nie dostanę trochę wody, ale nikt mi jej nie podał. Nie było w tej sali nic prócz niesamowitych zarysów innych łóżek, może pustych zresztą. Do samego rana żywa dusza się nie zjawiała. Noc zdawała się nie mieć końca. Wiedziałem, że nigdy się nie skończy.

— Dajcie mu wody! — szczerzył ze złością na drugi dzień do pielęgniarek lekarz ze szpakowatym wąsem. — Dajcie mu wody.

Tyle pamiętam. O wodzie zapomniały.)

Wydaje mi się, że syn teraz jest skłonny mi wierzyć bardziej niż dawniej, że czuje się z nami w domu trochę swobodniej, że bardziej mi ufa. (Teraz przynajmniej wie, że ja to ja, aczkolwiek ani on, ani ja nie jesteśmy zbyt pewni, kto to taki ten ktoś, o którym wiemy, że to ja.) Myślę, że teraz bardziej mi ufa, ponieważ nie jest już taki nieśmiały i zależny ode mnie jak dawniej i chwilami jest na tyle pewny (mnie, siebie?), aby mi się przeciwstawić, nie usłuchać nas, kiedy nakazujemy mu coś zrobić czy powiedzieć, aczkolwiek ciągle jeszcze bardzo się stara nikogo nie rozzłościć. Nie zawsze odpowiada na moje pytania, które dotyczą jego samego. Nigdy nie rozzłościł się na mnie czy na matkę, rzadko kiedy na siostrę. Czy to możliwe, że nigdy nie czuł złości? Nie. Co robi ze złością, którą czuje? Wyładowuje ją w snach. Wydaje mi się, że gromadzi w sobie złość, jak inne dzieci gromadzą komiksy lub obrazki z paczek gumy do żucia. Wydaje mi się, że czasem mnie nienawidzi. (Ja bym go chyba nienawidził.) Wiem, że czasem mnie podpuszcza, przeważnie dla kawału, kiedy jesteśmy w dobrej komitywie.

— Coś ci dam — mówi do jakiegoś chłopca przy mnie, patrząc na mnie z ukosa — a ty nie musisz mi nic dawać za to. Chcesz?

Powstrzymuję się, aby nie prychnąć z oburzeniem i podziwem. Nie mogę w to uwierzyć, że mój bezczelny mały łobuz naprawdę uczyni to, co przeczuwam.

— Co? — tamten dzieciak nie jest pewien, czy dobrze zrozumiał.

— Coś ci dam — powtarza powoli mój syn, upewniając się, że słucham — a ty nie musisz mi nic za to dawać. Chcesz? Dam ci coś, co chcesz.

— Co?

— Chcesz?

Tamten dzieciak niepewnie kiwa głową.

— Dam ci coś, co chcesz.

I ku zdumieniu tamtego mój syn wtyka mu piątkę, którą przed chwilą wycyganił ode mnie na gumę do żucia. Własnym oczom nie wierzę.

— Tatusiu — mówi, jak tylko zostajemy sami, trzyma się

za boki, kręci oburzony głową, znakomicie mnie naśladuje, grozi mi palcem, przybiera mój wyraz twarzy i ciągnie dalej szybko, abym mu nie mógł przerwać: — Chcę, żebyś się nalezyście zachowywał, żebyś mnie słuchał i nie robił ani nie mówił tego, co by mnie wprawiło w zakłopotanie, bo nic nie rozumiesz i musisz mnie słuchać, nie pozwolę na to, ukarzę cię, jeśli zrobisz, i ukarzę, jeśli nie zrobisz tego, co ci każę, więc uważaj, bo dostaniesz w skórę i przez cały tydzień nie pozwolę ci oglądać telewizji, rozumiesz, taki jest mój rozkaz. Śmiejesz się?! — krzyczy wesoło. — Widzę, że się śmiejesz, tatusiu, nie udawaj, że się nie śmiejesz, nie udawaj, że jesteś zły dlatego, że oddałem piątkę, bo zapomnisz, że udajesz, i będziesz zły naprawdę. Czasem tak robisz, wiesz? Wiesz?

— Skończyłeś? — pytam trzymając się jeszcze za boki. — To była strasznie długa mowa dla takiego gówniarza jak ty, który rzadko kiedy otwiera usta.

— Jesteś w furii? — pyta niespokojnie.

— W euforii. Ale niech ci się nie zdaje, że ponieważ się śmieję, puszcze ci płazem ten wyskok.

— To były moje pieniądze.

— Najpierw były moje, zanim ci je dałem.

— Ale kiedy już mi je dałeś, były moje. Nie rób mi wstydu przy ludziach.

— Znów się ze mnie wyśmiewasz. Nie myśl, że wiecznie będziesz wykreczał się sianem.

— Jesteśmy między ludźmi, tak? Więc nie rób tego, na co ludzie będą się gapić i czego będą słuchać.

— W ogóle nic nie robię, tylko słucham.

]

— Stoisz.

— Ty też.

— Trzymasz się za boki jak aktor w telewizji. Chodźmy. Chodźmy, powiedziałem.

— Teraz ty zachowujesz się jak aktor w telewizji, bo grozisz mi palcem.

— Wprawiasz mnie w zakłopotanie — skarży się.

— Nie, wcale nie.

— Ale zaraz to zrobisz, prawda?

— Dlaczego miałbym cię wprawić w zakłopotanie?

— Zaczynasz na mnie krzyczeć.

— Czy krzyczę na ciebie?

— Będziesz w furii.

— Czy jestem w furii?



— Już mnie wprawiłeś w zakłopotanie — rzuca triumfalnie. — Jesteś ironiczny.

— Wielki waśniak — mówię ironicznie. — Nie wiesz nawet, co to znaczy wprawić w zakłopotanie.

— Wiem. I wiem, co znaczy ironiczny. To znaczy, że robisz coś, czego ja nie chcę.

— Nie robię nic, czego nie chcesz. W ogóle nic nie robię, stoję tylko, więc jak mogę cię wprawić w zakłopotanie?

— Zadajesz mi pytania, nie? Dlaczego ciągle zadajesz mi pytania?

— A dlaczego na nie nie odpowiadasz?

— Powiem mamusi — grozi. — Powiem jej, że piłeś whisky.

— Nie uwierzy ci. Będzie wiedziała, że kłamiesz.

— Skąd?

— Bo ci nos urośnie.

— Jak to?

— Kiedy ktoś kłamie, rośnie mu nos.

— W takim razie twój nos rośnie. Bo mówisz kłamstwo.

— Dlaczego miałby rosnąć, jeśli mówię kłamstwo?

— Spuszczę ci lanie, tatusiu — piszczy zawiedziony, czując, że go przechytryłem.

— Dlaczego tak się ciągle wiercisz? Stój spokojnie.

— Chyba jestem nerwowy — zgaduje.

— Chcesz siusiu? W takim razie dlaczego skubiesz kogutka?

— To mi się nie podoba.

(Przestaje skubać. Żałuję, że to powiedziałem.)

— Mama powącha mój oddech — wracam do poprzednie go tematu. — Nie poczuje whisky i będzie wiedziała, że skła małeś.

— Zaraz cię kopnę. Zaraz kopnę cię w kochę.

— Dlaczego?

— Dlatego. Bo jak cię kopnę albo dam wycisk, zaczniesz się bić ze mną i będziemy się dużo śmiali, więc cię kopnę, żebyś się dużo śmiał.

— A ja kopnę cię w dupę.

— Powiem mamusi, że brzydko się przy mnie wyrażasz.

— To co? Przy niej też brzydko się wyrażam.

— Mamusia nie lubi tego. Pokłóci się z tobą.

— Nie kłóćmy się.

— Ciągłe się kłóćcie. Da ci klapsa.

— Nie daje mi klapsów.

— Płacze.

— Nieprawda.  
 — Czasami.  
 — Za dużo gadasz. I za dużo widzisz. Robi ci się z tego mętlik w głowie.  
 — Szkoda, że nie znam kogoś, kto mógłby ci przyłożyć — żartuje.  
 — Dlaczego?  
 — Zawołam glinę.  
 — Dlaczego?  
 — Aby ci dał klapsa.  
 — Nie ma prawa.  
 — Ty dajesz klapsa mnie.  
 — Ja mam prawo. I wcale ci nie daję klapsa.  
 — Dawniej dawałeś.  
 — Nieprawda. Ani razu w całym twoim życiu nie dałem ci klapsa.  
 — Raz dałeś, kiedy byłem malutki. Pamiętam.  
 — Przepraszam cię. Ale nie wydaje mi się. Teraz nie daję ci klapsów, prawda?  
 — Ale dasz. Prawda?  
 — Za co? A  
 — Już wiesz.  
 — Nie dam.  
 — Obiecujesz?  
 — Obiecuję.  
 — Obiecujesz, że mi nie dasz klapsa? %  
 — Obiecuję.  
 — Naprawdę, obiecujesz, że nie dasz mi klapsa?  
 — Obiecuję. Nie dam ci klapsa. Nie wierzysz mi?  
 — Wierzę.  
 I bęc, kopie mnie w nogę.

1

Podskakuję wysoko, wyję z zdumienia i wiem, że muszę mu się wydawać cholernie śmieszny, kiedy tak kuśtykam wściekły głaszcząc i wachlując bolącą nogę. On nie od razu zaczyna się śmiać, marszczy brwi w zadumie, nie wie, czy przypadkiem nie posunął się za daleko i nie napytał sobie biedy, ale spostrzega i słyszy moje prychnięcie, więc rozumie, że nie zrobił mi krzywdy i że nie jestem zły. Twarz promienieje mu nagłą ulgą, wybucha wesołym śmiechem. Teraz ja przesadzam, moje komiczne ruchy mają go dalej rozśmieszać i odwrócić jego uwagę od nagłego ataku z mojej strony. On skreca się ze śmiechu, chwytając się za brzuch, łapie powietrze, wzdycha bezradnie,

wówczas rzucam się na niego i mocując się padamy na ziemię. Nie są to wielkie zapasy. Z początku łaskoczę go w żebra, żeby się ciągle śmiał, łapał powietrze i był bezbronny. Mocujemy się chwilę, dopóki nie zaczyna mi braknąć powietrza, więc przestaję się bronić, aby mógł mnie położyć na łopatki. Krztuszę się, jeśli chce, może mnie pokonać. Ale jemu to nie wystarcza. Staje się bezczelny i nieuważny, chce się nacieszyć swoim zwycięstwem, więc nie przyciska mnie do ziemi, ale dręczy mnie niepotrzebnymi nelsonami i wykręca mi stopę. Odzyskuję oddech i postanawiam dać mu nauczkę (jeszcze jedną nauczkę. Treścią tej nauki jest chyba zasada: kuj żelazo, póki gorące. We wszystkich banalnych naukach, mających pouczyć delikwenta, jak ma sobie radzić w życiu, naprawdę wstrętne jest to, że w końcu okazują się realne). Więc podczas gdy on nic nie podejrzewając tarmosi mi palce u rąk i nóg, ciągnie mnie za stopy i nie wie, co z tym fantem zrobić, ja zdradziecko napinam mięśnie, nabieram w płuca powietrza, aby sprostać czekającemu mnie wysiłkowi, i w nagłym podrywie podrzucam go w górę i powalam na ziemię. On krzyczy ze strachu i ekscytacji, widząc, że odzyskałem animusz, kopie, wierci się i gwałtownie rozpycha z radości, takie zwinne, roześmiane, zdrowe zwierzątko, walczy energicznie, aby się wy dostać spode mnie, kiedy wpadam na niego. (Teraz nie mogę już dopuścić, żeby zwyciężył, bo wiedziałby, że pozwalam mu zwyciężyć, czyli że faktycznie przegrał.) Skoro odzyskałem oddech i poważnie się do niego zabieram, to już nie są przelewki. Korzystam z mojej masy (na którą składa się przeważnie moje obwisłe cielsko, cha, cha) i przygniatam go do ziemi. Stosunkowo łatwo przychodzi mi złapać jedną ręką oba jego napiętki, przygwoździć mu nogi ciężarem moich nóg i uniemożliwić mu kopanie. Po kilku sekundach walka jest skończona, poddaje się. Kładę go na łopatki według wszelkich prawideł gry. Patrzymy na siebie uśmiechnięci, nasze twarze są oddalone od siebie o kilka cali.

— Wygrałem — żartuje.

— W takim razie puść mnie — odpowiadam mu żartem.

— Tylko jeżeli się poddasz.

— Poddaję się.

— W takim razie cię wypuszczę.

Puszczam go, wstajemy wolno, ciężko dysząc i bardzo sobie bliscy.

— Wiesz, tatusiu — mówi od razu z wielką powagą, bo

chce mnie ubawić krytycznym, namaszczone, sędziowskim wyrazem twarzy — tak naprawdę to ja wygrałem, bo sypnąłeś mi piaskiem w oczy i laskotałeś mnie, a to nie jest dozwolone.

— Nie robiłem nic takiego — odpowiadam wykrętnie.

— Laskotałeś mnie czy nie? Kłamco.

— To wolno. Laskotać wolno.

— Ale nie wolno się śmiać.

— Ty nie umiesz laskotać.

— Właśnie dlatego to niesprawiedliwe.

— Zgadza się. Poza tym wcale nie sypałem piaskiem.

— Mogę powiedzieć, że sypałeś.

— Czy wiesz, że dziś jest cudowny dzień, słońce świeci, zatoka jest spokojna i niebieska i mamy dziewięć czy siedem planet...

— Dziewięć.

— ...z których Merkury leży najbliżej Słońca, a...

— Pluton.

— ...Pluton najdalej?

— Słyszałeś o kosmonautach homoseksualistach? — pyta.

— Tak. Polecili na Uran. Skoro tydzień ma podobno siedem dni, rok pięćdziesiąt dwa tygodnie, to jakim cudem może mieć trzysta sześćdziesiąt pięć dni, a nie trzysta sześćdziesiąt cztery?

Milczy, zastanawia się.

— Jak to? Nigdy nie pomyślałem o tym.

— Nie wiem. I ja o tym nie pomyślałem.

— Chcesz teraz porozmawiać ze mną o tym? — pyta zafrasowany.

— Nie. Ale jak będziesz kręcił, to i ja będę kręcił. Mnie nie nabierzesz.

— Poskarżę się mamusi — grozi mi ponownie. — Powiem, że mi rzuciłeś piaskiem w oczy.

— Ja jej też coś powiem.

— Naprawdę? — poważnieje.

— Co naprawdę?

— Jej powiesz?

— Co?

— Sam wiesz.

— Co?

I

— Powiesz jej, co zrobiłem?

— Zrobiłeś coś? — pytam udając szczere zdziwienie.

— Sam wiesz.

— Nie przypominam sobie. < , >  
 — Że oddałem coś.  
 — Oddałeś?  
 — Wiesz przecież, tatusiu, że dałem komuś piątkę.  
 — Kiedy? Dużo piątek rozdałeś.  
 — No, przedtem. Byłeś tu.  
 — Dlaczego?  
 — Nie zrozumiesz.  
 — Powiedz dlaczego? A ty rozumiesz?  
 — Będziesz zły albo zaczniesz krzyczeć, albo będziesz się ze mną droczył i naśmiewał ze mnie.  
 — Nie będę — przyrzekam.  
 — Bo chciałem dać — mówi po prostu.  
 — To nie jest odpowiedź.  
 — Wiedziałem, że tak powiesz.  
 — A ja wiedziałem, że ty tak powiesz.  
 — Mówiłem, że nie zrozumiesz.  
 — Przecież ten chłopak nie prosił o tę piątkę — dowodzę. — Własnym oczom nie wierzył, kiedy mu ją dałeś. Wątpię, czy go od dawna znasz. I pewnie nie bardzo go lubisz. Mam rację?  
 — Już się złościś — nachmurzą się. — Wiedziałem.  
 — Nie złość się.  
 — Zaczynasz już krzyczeć.  
 — Podnoszę tylko głos.  
 — Widzisz?  
 — Zgrywasz się — szturcham go łaskotliwie w żebra. — A ja to wiem, więc nie udawaj, że potrafisz mnie wyprowadzić w pole. Odpowiadaj.  
 Uśmiecha się głupkowato, został rozszyfrowany i jest rad.  
 — Nie wiem. Nie wiem, czy go lubię. Dopiero wczoraj go poznałem.  
 — Widzisz? Jestem sprytny. Więc dlaczego? Wiesz, o czym mówię. Dlaczego oddałeś mu swoje centy?  
 — Pomyślisz, że jestem wariat.  
 — Może jesteś.  
 — To ci nie powiem.  
 — Wiem, że nie jesteś wariat.  
 — Muszę?  
 — Tak. Nie. Ale chcesz. Widzę, że chcesz. Wobec tego musisz. Gadaj.  
 — Chciałem mu coś dać — mówi cichutko. — A miałem tylko tę piątkę.

— Dlaczego chciałeś mu coś dać?

— Nie wiem.

Mówi to wszystko prosto, szczerze i niewinnie, tak że sprawa wydaje się oczywista. Rozumiem go. Jego szczerłość mnie wzrusza, mam ochotę porwać go gwałtownie w ramiona, wynagrodzić dolarowymi banknotami. Mam ochotę go ucałować (ale boję się, że będzie się tego wstydził, gdyż nie jesteśmy sami). Mam ochotę zmierzić mu lekko włosy. (Robię to.) Mówię czule:

— To ciągle jeszcze nie jest odpowiedź.

— Jak to? — pyta zaciekawiony.

— Bo nie mówisz dlaczego.

q

— Dlatego właśnie.

— Nie mówisz, dlaczego chciałeś mu coś dać.

— Chyba wiem. Ale się przyczepiłeś do mnie.

— Dlaczego chciałeś mu coś dać?

— Muszę powiedzieć?

— Nie. Nie mów, jeśli nie chcesz.

— Byłem szczęśliwy — wzrusza ramionami, zakłopotany zezuje w słońcu, trochę onieśmielony i jakby zmartwiony.

— Więc co z tego?

— Kiedy jestem szczęśliwy, mam ochotę coś oddać. Czy to w porządku?

— Pewnie. — (Znów mam ochotę go ucałować.)

— W porządku? — ledwo wierzy w swoje szczęście.

— A ja się cieszę, że byłeś szczęśliwy. Dlaczego byłeś szczęśliwy?

— Teraz to już zaczyna być trochę zwariowane.

— Gadaj. Nie jesteś wariatem.

— Bo wiedziałem, że to oddam. — Milknie i nerwowo chichocze. — Żeby cię trochę podrażnić — wyznaje. — A kiedy już wiedziałem, że dlatego jestem szczęśliwy, chciałem oddać piątkę, bo byłem szczęśliwy, że chcę oddać piątkę. Czy to w porządku?

— Rozśmieszasz mnie.

— Nie jesteś zły?

— Nie widzisz, że mnie rozśmieszasz? Więc jak mógłbym być zły?

— To ci jeszcze coś powiem — piszczy zachłystując się radością. — Czasem chce mi się śmiać zupełnie bez powodu. I wtedy chce mi się śmiać dlatego, że wiem, że mi się chce śmiać. Uśmiechasz się! — krzyczy pokazując palcem swoją twarz i zanosi się śmiechem. — Dlaczego się uśmiechasz?

— Bo jesteś zabawny! — krzyczę w odpowiedzi. — Bo to zabawne. Bo jesteś zabawny, dlatego.

— Powiesz mamusi, że oddałem tę piątkę?

— A ty? Bo jeśli ja nie powiem, to i ty nie możesz jej powiedzieć. Miałbym kłopoty.

— Możesz jej powiedzieć — postanawia.

— To i ty możesz jej powiedzieć.

— Czy to było w porządku?

— Oczywiście — pocieszam go. — To było w porządku. Nawet więcej niż w porządku. To było bardzo ładnie. I cieszę się, że mi to wszystko powiedziałeś. Nie zawsze to robisz. — Lekko kładę mu dłoń na karku, ruszamy w stronę nadmorskiej promenady. Moja ręka wydaje się nie na miejscu na jego karku, jak gdybym napinał mięśnie łokcia i ramienia w nie wygodnej pozycji. Przesuwam dłoń na jego ramię, napięcie nie słabnie. (Zdaję sobie sprawę, że nie przywykłem do obejmowania syna. Ani do obejmowania córki.) — Ale przypuść my... — chcę go ostrzec i uchronić od zła tego świata, to silniejsze ode mnie.

Odsuwa się niecierpliwym ruchem ramienia.

— Wiedziałem, że to powiesz, tatusiu!

— A ja wiedziałem, że ty to powiesz — śmieję się sztucznym śmiechem. — A co ja jeszcze powiem?

— Że później albo pojutrze będę chciał mieć piątkę dla siebie. Więc odbiorę mu ją. Ale przypuśćmy...

— Co?

— ...że nie będzie jej miał albo nie zechce zwrócić.

i — Nie zechce.

— To dostanę inną piątkę. Od kogo?

!, — Ja ci jej nie dam.

■ — Od ciebie. Ja ci jej nie dam.

— Nie dam. Uprzedzam cię.

— Dasz — przestaje nas małpować. — Zawsze to mówisz. Zawsze mówisz, że nie dasz. A potem zawsze dajesz. Więc po co to mówisz? Nie dasz?

— Dam — poddaję się bezwarunkowo, z przyjemnością ulegam jego dziecinnemu urokowi i inteligencji. — Dam ci piątkę. Dam ci ją nawet teraz, jeszcze nim poprosisz.

W takim razie o co robisz tę lipną awanturę? — zdaje się mówić jego wyraz twarzy.

— Wiedziałem, że dasz — konkluduje triumfalnie. Idzie przy mnie lżejszym, radośniejszym krokiem.

— I zawsze będę dawał, wiedz o tym. Wiesz? — Kiwa głową. Lekko marszczy czoło, myśli o tym, czego nie rozumiał. — Jesteśmy teraz kumple, prawda? Ty i ja.

— Dawniej bałem się ciebie.

— Mam nadzieję, że już się nie boisz.

— Nie tak bardzo.

— Nie musisz się mnie bać. Nigdy cię nie skrzywdzę. I za wsze dam ci wszystko, czego będziesz potrzebował. Nie wiesz tego? Ja tylko ciągle krzyczę.

Po chwili głębokiej zadumy odważa się potrącić mnie delikatnie ramieniem, jak to robi często z kolegami, których lubi. (To najserdeczniejsza odpowiedź, jaką może mi dać.) Odpowiadam mu takim samym szturchnięciem. Uśmiecha się do siebie.

— Tatusiu, kocham cię! — wybucha, przytula twarz do mojego boku, który całuje i ściska. — Mam nadzieję, że nigdy nie umrzesz.

(I ja mam taką nadzieję.) Otaczam ramieniem jego plecy i też go ściskam. Robię to bardzo szybko, nim poczuje się skrępowany i wymknie mi się, całuję go w czubek głowy, ocieram usta o jego jedwabiste, płowe włosy. (Kradnę tego całusa.) Ja również go kocham i mam nadzieję, że i on nigdy nie umrze.

Powraca do mnie przerażająca myśl, że on umrze przede mną. Nie mogę dopuścić do tego. Zbyt mi jest drogi. Znam go teraz i wiem, że znaczy dla mnie nieskończenie więcej niż minister skarbu, minister obrony narodowej, przywódca większości i rzecznik mniejszości w Kongresie. Ważniejszy od prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki. (Życie mojego syna jest dla mnie ważniejsze niż życie prezydenta.) Przyrzekam, że będę mu służył. (Nikommu oczywiście nie wspominam o tej herezji.) Nigdy nie pozwolę, żeby go skrzywdzono.

Ale co bym zrobił, żeby go uchronić? Chyba wiem co. Nic.

— Nie martw się — mówię poważnie. — Nigdy nie pozwolę, aby ci się stało coś złego.

On boi się rządu, wojska, Pentagonu, policji. (Ja też.)

— Nie pozwolę, żeby ktoś cię skrzywdził albo zabrał.

I co ja mogę właściwie zrobić? Tylko nic.

Wobec tego nic nie robię.

Mogę przymknąć oczy (to daje mi czas), jak to robię teraz w koncernie (przymykam oczy, aby przetrwać, wytrzymać do piątej), lecz nic poza tym. A wkrótce już może być za późno.

Kto ja jestem? Zaczynam się chyba dowiadywać. Jestem



patykiem. Ułamaną gałęzią na powierzchni wody, płynę razem z tłumem w tym jedynym naszym niepodzielnym (niestety) w obliczu Boga narodzie, w którym panuje wolność i sprawiedliwość dla wszystkich tych, którzy dość szybko potrafią zagarnąć te prawa dla siebie i nie dopuścić do nich reszty obywateli. Co za tygiel! Gdybyśmy mogli zebrać się razem w tym naszym ogromnym, bajkowym kraju i mieli czas, by zamienić kilka słów z sąsiadami i rodakami, słowa te brzmiałyby: Łobuz! Makaroniarz! Gudłaj! Czarnuch! Biały Goj! Żółte Gówno! Nie lubię tych, co rządzą. Nie lubię Horace'a White'a, którego trudno brać poważnie (a jednak muszę).

— Gdybyś napisał kiedyś książkę — powiedział do mnie całkiem serio, bo to dla niego ważne — chciałbym, abyś umieścił w niej moje nazwisko.

White to blady, tuzinkowy jegomość, wyróżniający się wieloma przeciętnymi cechami. Lubi widzieć swoje nazwisko w gazetach. Jest honorowym vice w jakichś tam władzach miasta Nowy Jork (choć formalnie rezyduje w stanie Connecticut) i posiada brązową plakietkę głoszącą owo wyróżnienie, przytwierdzoną do zderzaka swego samochodu. Litery na tablicy rejestracyjnej jego wozu tworzą jego pełny monogram (HOW), cyfry wzrastają co roku, aby zgadzały się z jego wiekiem. (Sądźmy, że podaje fałszywe lata.) Nikt nigdy nie potrafił dokładnie powiedzieć, co on robi w koncernie prócz tego, że jest tym, czym jest, że ma pieniądze, akcje i sam oraz przez żonę jest spokrewniony z jednym lub więcej założycielami i dyrektorami koncernu. I ja muszę się przed nim płaszczyć. I robię to.

Gdybym był biedny, tobym chyba chciał obalić rząd siłą. Cieszę się jednak ogromnie, że nie wszyscy biedni chcą obalić rząd siłą, a to dlatego, że nie jestem biedny. Nie rozumiem, dlaczego każda służąca Murzynka nie okrada swoich białych chlebowców (lecz cieszę się, że nasza nie kradnie albo robi to przynajmniej tak sprytnie, że nic o tym nie wiemy). Gdybym był czarny i biedny, nie miałbym chyba żadnego powodu, by szanować jakiegokolwiek prawo prócz ryzyka wpadki. Lecz w mojej sytuacji cieszę się, że kolorowi szanują prawo (większość w każdym razie), gdyż boję się Murzynów i wyprowadziłem się daleko od nich. Boję się glin. Ale cieszę się, że istnieją gliny, i chciałbym, aby ich było jak najwięcej.

(Nie lubię glin.)

(Chyba że wtedy, kiedy mogą mnie bronić.)

O tych sprawach nie mówię nawet z żoną, która w miarę starzenia się jest coraz bardziej zawiedziona i samotna i, jak jej siostra, staje się coraz bardziej zgorzkniałą konserwatystką, nie uznającą radości. (W tym roku będzie głosowała na reakcjonistę. Nie chcę z nią mówić o polityce. Wszystko mi jedno, na kogo będzie głosowała.) Kieruję się własnymi przekonaniem i bez słowa płynę na fali tłumu. Niesie mnie prąd.

Niesie mnie prąd w skupisku zielonych szumowin, żona i ja starzejemy się, córce przybywa lat i jest coraz bardziej niezadowolona z siebie i ze mnie (widuję dziewczyny w jej wieku, które mi się wydają szczęśliwe. Niektóre są ładniejsze od niej. Inne zachowują się pewniej. Przynajmniej robią coś, co ona chciałaby robić — jak twierdzi — łącznie z puszczeniem się, czego ona nawet nie próbuje. Tamte dostają lepsze stopnie. Co mnie obchodzą jej stopnie? Obchodzą. Zresztą muszę udawać, że bardzo mnie obchodzą, aby nie pomyślała, że ona nic mnie nie obchodzi), syn rośnie udręczony, oszołomiony, nie wie, kim chciałby być, poza tym że jest sobą (ani kim właściwie jest, jeśli jak ja zadręcza się podobnymi pytaniami. Znajdź tego, kim jesteś. Znajdź mnie. Już teraz tkwi w głębi jego małej istoty zagubiony chłopczyk, którym kiedyś był, nie fałszowany artykuł. Czy tak naprawdę jest? Jeśli nie ma bezpowrotnie zagubionych chłopczyków, którymi ja i on byliśmy dawniej, diametralnie różnych od osobników, którymi każdy z nas zmuszony być zostać później, jeśli nie istnieje zabłąkany, nieszczęśliwy, zagubiony człowieczek, do którego tęsknię i od którego zaczęło się moje życie tak dawno temu i który wpadł bezpowrotnie w czarną, niedostępną szczelinę w momencie, kiedy musiałem odwrócić oczy, gdyż nie potrafię określić tego momentu, i zostawił mnie samego, ogłuszonego, abym chcąc nie chcąc dalej szedł sam — jeśli ten ktoś nie istnieje, to jakim cholernym cudem znalazłem się tam, gdzie jestem? Ktoś musiał mnie popchnąć. Ktoś musiał skierować mnie w tę stronę i mnóstwo obcych rąk musiało dotykać zespołu sterowania w różnych okresach mego życia, bo sam za nic w świecie nie wybrałbym właśnie tej drogi. Nigdy nie znaleziono tego małego. Zaginęło dziecko, wiek nieznanym, nosi moje nazwisko i imię. Nie mogę ciągle rozglądać się za nim, aby z nadzieją w sercu spytać go, dokąd poszedł i o co mu chodziło. Byłby za mały, aby zrozumieć, o czym mówię — odszedł ode mnie jako małe dziecko, jest młodszy od mego syna, nie mówiąc o tym, że nie mógłby mnie wesprzeć mądrą radą i doświadczeniem, których

potrzebuję. Co ja powiem tym pooranym, rumianym twarzom z zaczerwienionymi, podpuchłymi oczami, jeśli Green pozwoli mi wygłosić trzyminutową mowę w Porto Rico w tym roku? Będę potrzebował dowcipnych powiedzonek, rzucanych szybko — cha, cha, cha — kilka na początku i znakomity dowcip na końcu, cha, cha, cha, i to wszystko w ciągu trzech minut jedynie. Lepiej płynąć już z prądem jak glony w skupiskach zielonych szumowin tak długo, jak prąd nas niesie, a kiedy nie będziemy się już mogli dłużej utrzymać na powierzchni, co wówczas?), nie wie, które z wielu niebezpieczeństw, jakie sobie wyobraża, są prawdziwe, a które okropnymi przywidzeniami jedynie. (Utonięcie byłoby prawdziwe. Zostać wyrwanym z łóżka w czasie snu przez hak spuszczonego ze szczeliny w niebie nie byłoby.) To coś więcej niż przywidzenie, te strachy opanowują jego świadomość w ciemnościach nocy, kiedy nam się zdaje, że on śpi. Nocna lampka nie pomaga. Nigdy nie wiemy, czy on śpi, czy czuwa. Kiedy zaglądamy do jego pokoju, aby sprawdzić, udaje często, że śpi, abyśmy go nie strofowali za czuwanie. Nie mam do tego podstaw, ale odnoszę wrażenie, że on słyszy, kiedy kochamy się z żoną, a przynajmniej wie, że to robiliśmy. Córka stara się, żebyśmy ją słyszeli, jeśli nie śpi, aby raz na zawsze coś załatwić. Ale nie on. Jest skryty. Puszczą wodę, płyty, bez pukania wpada do naszego pokoju. Kiedyś miałem ochotę zmierzić też włosy córki, poklepać ją czule po główce, dotknąć jej policzka, ucałować ją, objąć — lecz dorosła i zaczęła się ode mnie odsuwać, najpierw żartem, jak mi się zdawało, więc udawałem, że to mnie boli. Potem przyszedł czas, kiedy pojąłem, że ona wcale nie żartuje, i nie musiałem już udawać, że to mnie boli. Bolało naprawdę, wobec tego udaję teraz, że nie boli. Czuję, że coś się stało, co spowodowało, że nabrała do mnie wstrętu, zaczęła mnie nie lubić i korzysta z każdej sposobności, aby to okazać. Były czasy, kiedy czułem, że szuka sposobności do zemsty. Nie wiem, co zrobiłem czy czego nie zrobiłem, do tej pory nie wiem, co robić i czy w ogóle powinienem coś zrobić. Wkrótce wyjedzie na studia. Ile razy muszę jej dotknąć, czuję się skrępowany. Odsuwa się ode mnie, jak gdyby przypadkowy fizyczny kontakt ze mną sprawiał jej przykrość, lub odskakuje, jakbym ją miał uderzyć. Nigdy jej nie uderzyłem! Co najwyżej zdarzało mi się i zdarza odepchnąć ją ramieniem, kiedy nie mogę się opanować. Żona najwyżej czasem podniesie rękę, kiedy się kłóca, jakby zamierzała dać jej w twarz, ale robi to tak wolno, że córka może jej

przeszkodzić albo odskoczyć. Niemal na zawołanie potrafi doprowadzić matkę do wściekłości, która kończy się histerycznym płaczem z samego oszołomienia. Nieoczekiwane wybuchy paniki mojej córki nieodmiennie mnie na chwilę ogłuszają. Budzi się we mnie skrucha, czuję się ogromnie winny i zawstydzony, bo córka instynktownie boi się, że ją uderzę, lub zachowuje się tak, jakby się bała. Czy oczekuje w napięciu, czy przez te wszystkie lata oczekiwała w napięciu na jakiś straszliwy cios z naszej strony? Czy naprawdę myśli, że kiedy wyciągam dłoń, aby zdjąć rzęsę czy okruch z jej twarzy, to w istocie zamierzam ją uderzyć? Czy też, jak mi się obecnie często zdaje (irracjonalnie może), umyślnie się zgrywa i po diabelsku udaje przerażenie, bo rozumie, jak głęboko to mnie boli i zasmuca? Jest na to dostatecznie chytra. To nasza cecha rodzinna, ma ją po mnie: bo czyż nie patrzę spokojnie, jak żona męczy się w duszących koszmarach, jak jęczy przez sen, a ja jej nie budzę? Czyż nie rozkoszuję się patrząc na nią i słuchając jej jęków? Czyż nie wyolbrzymiam często własnych koszmarów udając, że dręczą mnie o wiele mocniej, niż jest naprawdę, tylko dlatego, aby ona bardziej mi współczuła i dłużej musiała mnie budzić? Nie rozumiem już swojej córki, nie umiem sobie z nią poradzić ani umożliwić jej, żeby sobie poradziła ze mną. Staram się nawet nie próbować. Czekam i ufam, że wszystko ułoży się samo. Nie rozumiem też syna. Jest za mały, żeby mógł być taki wspaniałomyślny. Ciastka też rozdawał. Było to pewnego lata, kiedy chłopak, któremu dał ciastko, o mały włos nie uderzył go za to.

— Masz ciastko — powiedział do chłopczyka, który przy szedł się z nim bawić, kiedy siedzieliśmy przy śniadaniu w wynajętym na lato domku.

Chłopczyk w mgnieniu oka połknął ciastko. Potem łapczywie spojrzął na okrągłe czekoladowe ciastko, które syn w zamyśleniu toczył po obrusie, dumając nad szklanką mleka. Z błyskiem zdziwionego zrozumienia syn zauważył łapczywe spojrzenie tamtego.

— Możesz zjeść i to — powiedział. — Masz.

Chłopczyk zeszywniał jak obrażony i odsunął się z wrogim spojrzeniem. Ku memu zdumieniu nagle wpadł w szal i głowa mu się zatrzęsała od gwałtownej niechęci.

— Jak to? — spytał.

— Bierz. Nie chcesz? — syn popchnął ciastko przez stół ku tamtemu.

- Już zacząłeś je jeść.
- Nie zacząłem.
- Leżało na podłodze.
- Nie — syn nic nie rozumiał, bronił się i jakby przepraszał.

(Miał minę kłamcy.)

- Jest brudne — oskarżał tamten.
- Nie jest. Nie kłamie. Nie musisz go brać.
- A dlaczego ty go nie chcesz?
- Bo ty chcesz. Prawda? Ja już jadłem.

Tamten, wściekły i rozgorączkowany, zanadto już stracił panowanie nad sobą, żeby coś powiedzieć, twarz mu płonęła, siedział pełen nienawiści, nieustępliwie potrząsając głową. Syn zbladł. Tamten zacisnął i podniósł pięści, gotów do bójki, gdyby nie to, że ja tam siedziałem z groźną miną (też chyba gotów do bójki. Gdyby tamten odważył się dotknąć mego syna, chwyciłbym go i złamał mu ramię). Zaplawał się, wściekłość kneblowała mu usta, szorstko popchnął ciastko przez stół z powrotem do syna, tak że spadło na podłogę, sam zaś wyskoczył z naszego domu z przekrzywionymi ustami, a z jego spuszczonego oczu niemal tryskały łzy bezsilnej wrogości. Czuł, że został wystrychnięty na dudka. Syn siedział blady ze zdumienia, jakby się głowił nad okropną łamigłówką, nie mógł pojąć, dlaczego ofiarowując ciastko stracił przyjaciela, a zyskał nowego młodego wroga, który chce go skrzywdzić. Zakłopotany rozglądał się błagalnie, siląc się na uśmiech.

— Nie można tak hojnie rozdawać wszystkiego — wyjaśnilem ze słabym, współczującym uśmiechem.

— Dlaczego?

— Nie wiem — wzruszyłem ramionami. — Ludzie stają się nieufni.

— Nie lubię żuków — poskarżył się. — Nie podoba mi się tu. Musimy tu siedzieć do końca lata?

— Tak. Mnie się też tu nie podoba.

— Ty jeździsz do miasta.

— Bo muszę. Cieszę się, że nie wysłaliśmy cię na kolonie. Cieszę się, że jesteś tu, kiedy wracam.

— Ja się nie cieszę.

Tamtego lata syn miał trudności (chyba zawsze miał trudności, więc żona i ja coraz bardziej się tym martwimy) na wakacyjnym obozie, na który zapisaliśmy go, aby miał się z kim bawić w ciągu dnia. Z początku dobrze mu tam było i chętnie chodził. Dziwił się i cieszył, że ma tylu rówieśników,

których uznał za przyjaciół. Dumny i uszczęśliwiony pokazywał ich, kiedy mijaliśmy ich na promenadzie wieczorem albo na plaży czy w mieście w dzień.

— To mój przyjaciel — oznajmiał radośnie. — To mój przyjaciel, znam go. Chodzimy razem do obozu dziennego. Ten drugi to też mój przyjaciel. — Czasem machał im ręką, chłopcy biegli przywitać się albo bez słów potrącali się ramionami. — To też mój przyjaciel z obozu — mówił za każdym razem. — I tamten. Jest starszy ode mnie.

Ogromnie się cieszył, że ma tylu przyjaciół, jak gdyby trudno mu było uwierzyć, że może być w towarzyskich stosunkach z tyloma ludźmi. Promieniał, jeśli któryś z chłopców przychodził po niego, wciągał kolegę do domu, aby się nim pochwalić.

(— To mój przyjaciel — mówił. — To moi przyjaciele.

Córka w dzieciństwie też była taka, i teraz jest taka z chłopakami, choć subtelniej i w sposób bardziej zblazowany stara się zwrócić naszą uwagę na kolegę, żebyśmy przypuszczali, że on się nią interesuje. Nie mam pojęcia, co takiego zrobiliśmy z żoną, aby wzbudzić w naszych dzieciach obawę, że nigdy nie będą mieli przyjaciół. Nie wiem właściwie, czy faktycznie coś zrobiliśmy i czy to istotnie nasza wina.) Jakby nie potrafił spokojnie znieść ogromu zalewającej go radości.

Nie trwało to długo. Szybko się dla niego skończyło. Wkrótce zaczęły się w obozie dziać rzeczy dla niego przykre, potem nie chciał tam chodzić, jak nie chce chodzić na gimnastykę do Forgionego. Chętnie biegał, a w deszczowe dni brał udział w zgadywankach i skeczach, jednakże w obozie też trzeba było wspinać się po linie (dowiedzieliśmy się, że to uprawiali tylko starsi chłopcy), był tam batut, któremu nie ufał (żona i ja również nie. Nie wiem, co on sobie myślał, nie pytałem nie chcąc go denerwować, ale wiem, co ja myślałem: bałem się, że jak podskoczy na nim, polecą prosto na Księżyc, stuknie weń głową i spadnie na batut uderzając w niego karkiem, złamie kręgosłup i będzie miał sparalizowane ręce i nogi, więc nie chciałem, aby musiał skakać na batucie) i już na zapas dręczył się przyszłym egzaminem z pływania na głębokiej wodzie. Dowiedział się bowiem, że wszyscy chłopcy w jego wieku będą musieli zdać taki egzamin przed końcem wakacji, a przedtem chodzić na lekcje pływania. (Nie chciał chodzić na te lekcje. Ciągłe słyszeliśmy o meduzach, morskich wszach i krabach.) Napomykano o meczach bokserskich i zapasach, wypatrzył

na haczyku w szopie parę bokserskich rękawic i myślał, że będzie musiał się boksować (choć ani boksu, ani zapasów nie trenowano w tym obozie. Nie uprawiano tam nic niebezpiecznego. Był to dobry obóz dzienny, zważywszy poziom obozów dziennych w ogóle, ale ja wkrótce go znienawidziłem, bo mój syn zaczął się tam źle czuć). Wprowadzono nowe gry, których nie rozumiał, a które inne dzieci znały z poprzednich wakacji, natomiast opiekunowie obozu i koledzy nie mieli dość cierpliwości, aby mu te gry wytłumaczyć lub pobłażliwie potraktować jego omyłki. Był zbyt nieśmiały, aby o coś spytać więcej niż raz, choćby dostał niezrozumiałą czy niepełną odpowiedź, więc ustawicznie się mylił. Opiekunowie byli zajęci flirtem. (Stara jak świat, wrząca chuć i tam puszczała gorące pędy. Dziewczęta nosiły trykotowe sweterki przeważnie bez staników, tak że nawet mało piersiaste wyglądały ponętnie. Te rzeczy są o tyle słodsze, o tyle gorętsze i rozkoszniejsze, kiedy się jest młodym. Chciałbym też poczuć znowu niecierpliwy żar, a nie powolną, wypracowaną żądzę, którą wzbudzam w sobie, często muszę się dobrze namordować, aby doznać rozkoszy.) Właściwie nie miałem im tego za złe, aczkolwiek miałem za złe jak diabli, jeśli ich niedbalstwo odbijało się na moim synu. (Pamiętam, jak mnie parzyło gwałtowne podniecenie, pamiętam napady chuci przez dwoje kolejnych wakacji, kiedy pracowałem jako opiekun na leśnym obozie, a po drugiej stronie jeziora był obóz, w którym opiekunkami młodzieży były dziewczęta. Oba obozy urządziły często wspólne zabawy. Naprawdę gówno mnie obchodziło, czy dzieci dobrze się czują lub rozwijają, jeśli się tylko nie potopiły, nie dostały szkarlatyny czy choroby Heinego i Medina, nie pozabijały linami czy kamieniami. Niemal przez całe te wakacje myślałem jedynie o tym, aby dopaść jakąś nie certolącą się, rozkoszną, doświadczoną kurewkę z miasta czy drugiego obozu, która położyłaby się ze mną na ziemi w lesie i szybko doprowadziła mnie do końca. Abym nie musiał tego robić sam. Och, jaki ja byłem stale napalony. W tamtych czasach samogwałt był tak samo przyjemny jak każdy inny sposób.) Syn czuł, że stopniowo popada w niełaszkę. Był coraz bardziej skrepowany i nie wiedział, co ma robić. Udawał, że kuleje, aby go zwolniono z udziału w grach, w których nie bardzo się orientował, i w domu przy śniadaniu skarżył się na mdłości i ból gardła. (Tak jak obecnie postępuje w szkole. Nie wiedziałem, kiedy to się zaczęło ani kiedy skończy.) Pewnego dnia poczuł mdłości i omal nie zwymiotował tej

odrobiny pożywienia, którą zjadł na śniadanie, a wszystko dlatego, że nie chciał iść do obozu. Zmierzyliśmy mu temperaturę, ale nie miał gorączki. Zmusiliśmy go, żeby poszedł. (Postąpiliśmy niesłusznie. Wiem to teraz i każdy, komu to opowiadamy, mówi, że postąpiliśmy niesłusznie. Jednakże nikt nie potrafił mi powiedzieć, co byłoby słuszne.)

Nieco później owego dnia poszedłem w tajemnicy do obozu, aby zobaczyć, co się z nim dzieje, i byłem zachwycony, ujrawszy go. Odbywał się właśnie bieg sztafetowy, mój rozradowany synek wyprzedził kolegów o jakieś dziesięć jardów (taki byłem dumny ze szpiegowania go), trzymał w ramionach ciężką skórzaną piłkę, którą miał oddać następnemu biegaczowi ze swej drużyny. Śmiał się, jego śmiech zagłuszał inne dźwięki, hamował go w biegu, tak że kolana mu się trzęsły i plątały, pokładał się od rosnącej w nim radości, zaczął się potykać, omal nie upadł, skręcał się w napadzie głębokiej, zapierającej dech, nieposkromionej wesołości, podskakiwał, potykał się, brnął i galopował przez piach, metodycznie i umyślnie chyba zwalniał tempo, gorączkowo machał rękami, aby przywołać zadyszanego, nieszczęsnego chłopczyka, z którym się ścigał, dawał mu znaki, aby się pospieszył, dogonił go, żeby mogli się pośmiać razem i resztę drogi przebiec obok siebie, jak gdyby chciał tamtemu pokazać coś zabawnego, nim dobiegną do mety.

Syn ciągle się śmiał (twarz, zęby i usta mu błyszczały) wręczając piłkę następnemu biegaczowi ze swej drużyny, lecz ten zamiast pobiec dalej, cisnął piłkę na ziemię i chamska banda wściekłych wyrostków, wspomagana przez kilku opalonych opiekunów w sweterkach, spadła na niego jak stado dzikich zwierząt z wrzaskiem i przekleństwami. (Kilku zaraz zaczęło wrzeszczeć na siebie i popychać się. Serce we mnie zamarło, wrosłem w ziemię. Własnym oczom nie wierzyłem.) Był to rozjuszony motłoch. Syn był przerażony. Nie pojmował, co takiego zrobił. Nie wiedział, co robić dalej. Kiedy stał ogłuszony, kręcąc się groteskowo z oszołomienia, jakiś chłopak większy od niego i szerszy w barach, z czarnymi włosami i wściekłą twarzą, skoczył na niego z gromady jak rozjuszony byk i z furią zaczął go walić w pierś twardymi pięściami. Mój mały cofnął się parę kroków (znów ugiwały się pod nim kolana), zbladł jak ściana (Boże, pomyślałem, zaraz zwymiotuje lub zemdleje. Albo się rozbeczy. I najem się za niego wstydu) i czekał potulnie. Nic więcej nie zrobił. Tylko stał w miejscu. Nie powiedział, nie protestował, nie patrzył na nikogo. Nie



podniósł nawet ręk w obronie własnej lub żeby uderzyć napastnika, który szykował się do następnego natarcia, ale też nie wyglądał, jakby chciał uciec lub wołać pomocy. (Wzdrygnąłem się, zdawało mi się, że to ja zwymiotuję.) Napastnik znów podskoczył i uderzył mojego syna rozwartymi dłońmi w pierś, następnie stanął w pozycji zaczepnej, z podniesioną pięścią, otwarcie wyzywając mojego syna, aby stanął z nim do walki. Syn, znów potykając się, odskoczył kilka kroków w tył, odzyskał równowagę i dalej czekał. Nie chciał walczyć i nie chciał się bronić, ale też nie uciekał, nie prosił nikogo o pomoc czy litość. To było jasne, w jego nieruchomej postawie tkwiło wyzwanie. Przez ułamek sekundy byłem oczarowany godnością i odwagą, jakie wyczułem w jego niewzruszonej decyzji, aby stać i czekać na następne gwałtowne natarcie. Nie chciał zrobić kroku, aby się uratować. (I ja nie zrobię kroku, aby się uratować.) Przez sekundę byłem naprawdę dumny. Ale mało mi było tego. Chciałem, aby miał w sobie więcej bigłu. (Ja też chciałbym mieć więcej bigłu.) Usłyszałem własne, nieme wołanie, aby uderzył napastnika:

„Rusze się, tumanie! — błagałem go w duchu. — Dlaczego stoisz jak zakłęty, ośła głowo?”

I ogarnięty straszliwym, oziębiającym przerażeniem, od którego zakręciło mi się w głowie, dostrzegłem, że on ma czerwone, zapuchłe oczy pełne łez i bezkrwiste, spopieliałe, drżące wargi. Zrozumiałem, dlaczego stoi bez ruchu, nie mógł się poruszyć. Był sparaliżowany. Pozbawiony jakiejkolwiek zdolności myślenia czy działania. Nie był nawet zdolny do strachu. Nie poruszył się, gdyż nie był w stanie się poruszyć. Nie mówił, gdyż nie był w stanie nic powiedzieć. Nie uderzył napastnika, gdyż nie był w stanie go uderzyć. Nie krzyknął, nie zawołał spojrzeniem pomocy, bo nie był w stanie tego zrobić, nie przyszło mu to do głowy. Nie miał głosu. Na moich oczach rozgrywał się mój własny koszmar, który się sprawdzał. Śmierć i poniżenie zbliżały się, spadały na niego w postaci bezmyślnej, głupiej napaści małego, cokolwiek silniejszego od niego chłopca (który w tej sytuacji nagle wydał mi się olbrzymem), tego samego, któremu syn niedawno chciał dać dwa czekoladowe ciastka (może nawet to zresztą nie był ten sam), on zaś nie mógł się poruszyć (ja też nie), aby uniknąć uderzenia, nie mógł wymówić słowa, aby zwrócić na siebie uwagę i uwolnić się od prześladowającego mnie przez całe życie okropnego koszmaru. (Jestem gdzieś, zaraz ktoś mnie złapie... jestem już

martwy, bo nie potrafię poruszyć nogami ani zawołać pomocy... i ja nie mogę głosu wydobyć, choć bardzo bym chciał.) Znieruchomiał. Przymarł do miejsca, na którym stał (jak ja przymarłem we śnie). Był skamieniały, bez ducha, kruchy i zniszczalny. Martwy już, jeśli ktoś chciał go zabić. Jeden z opiekunów (niezwykle wolno, jak mi się zdawało) przyszedł mu z pomocą (właściwie opiekunów było dwoje, gdyż przyłączyła się do niego krępa blondynka z dużymi piersiami. Teraz młode dziewczyny miewają większe, bardziej podskakujące piersi. Starsze dziewczęta również, jak i kobiety w średnim wieku. Latem plaże są oblepione takimi. Lubię piersi, dopóki nie zobaczą ich za wiele i za często. Dawniej lubiłem je bardziej), aby przywrócić porządek, zdałem sobie wówczas sprawę, że prawie przez cały czas wstrzymywałem oddech, że miałem wszystkie mięśnie napięte, jakbym się szykował do ataku (i unieruchomione gwałtowną chęcią użycia ich). Zdałem sobie sprawę, że gdyby tamten chłopiec, którego już znenawidziłem, jeszcze raz napadł na syna, straciłbym chyba panowanie nad sobą, wpadłbym na teren dzieciennych zabaw jak furia i położył napastnika trupem na miejscu. (Lub też, reagując wręcz odwrotnie, zamordowałbym własnego syna.) Gdybym zdołał ruszyć się z miejsca. (Nie dowiem się już, czy i ja byłem skamieniały.)

Poszedłem stamtąd, kiedy dzieci znów bawiły się razem.

Do końca tego dnia byłem bardzo dobry dla syna. (Byłem bardzo dobry dla niego i taki delikatny, że słowa nie powiedziałem jemu czy żonie o tym, co widziałem. Ze bał się walczyć.)

Nazajutrz, mniej więcej jak przewidywałem, nie chciał iść do obozu. Nie powiedział, że nie chce iść, lecz że się nie czuje dobrze, ale jeśli każemy mu iść, to mu pewnie przejdzie. Wyglądał taki nieszczęśliwy i blady, serce ścisnęło mi się litością dla niego, bo wiedziałem (sądziłem, że wiem), co on czuje. Poszedł. Kazaliśmy mu iść i zawieźliśmy go. Tego rana jadąc z nami (córka wyjechała na letni obóz na całe wakacje i też tam miała trudności, jeśli można było jej wierzyć) był nieszczęśliwy i smutny jak owego mglistego, deszczowego, niesamowitego poranka, kiedy odwieźliśmy go do szpitala na operację migdałków — i trzeciego migdałka (ciągle zapominam 0 tym trzecim. Nie wiem nawet, co to jest, wiem tylko, że jest 1 zwisa gdzieś tam w nosie. Może nikt nie wie, czym on jest naprawdę. Raz zdawało mi się, że powiedziałem dowcip, kiedy

tłumaczyłem młodej studentce z uniwersytetu Ann Arbor, że trzeci migdał to jądro, które nie zeszło na dół) i otepiali, ponurzy w ten ciemny, ciężki dzień próbowaliśmy w taksówce zająć go rozmową o głupstwach, modląc się w duchu, abyśmy już wreszcie dojechali, zanim ktoreś z nas zemdleje lub wyzionie ducha z samego czekania; tak samo usiłowałem pustą gadaniną zająć matkę w lecznicy, kiedy udręczony i znudzony składałem jej wizyty, które wkrótce okazały się bezcelowe. Równie dobrze mogłem posyłać swoje paczuszki z żywnością pocztą lub dać je pielęgniarce i odejść natychmiast (oszczędziłbym sobie ponurej męki, widząc, jak ona rozgrzebuje kawałki mięsa czy ryby, czekolady czy ciasta wykręconymi, trzęsącymi się palcami, jak wsadza tłuste, pokruszone kawałki w usta. Nie chciała, abym ją karmił). Ale byłem jej synem. Jej oddanym synem (cha, cha, gotowym za karę cierpieć razem z nią kilka minut co weekend na początku, potem co drugi weekend, co trzeci lub czwarty, aż zaczęła gwałtownie niknąć w oczach, a ja, żeby oczyścić siebie, obłudnie zacząłem ją znów odwiedzać co weekend na pięć, dziesięć czy piętnaście minut), nie bardzo jednak wdzięcznym. Żadne z nas nie było wdzięczne drugiemu. Nie byłem jej wdzięczny za to, że była moją matką (w owym czasie stało się to już niesprawiedliwym przymusem. Dlaczego nie mogła odejść po cichu, jak to zrobił ojciec, nie przysparzając mi żadnych kłopotów?), natomiast ona nie była mi wdzięczna za to, że ją odwiedzam, znosząc jej wiadomości i jedzenie. Nasze skąpe rozmowy były wymuszone. Lepiej już było milczeć ze złości. Ona tęskniła za swoją matką.

— Mamo — jęczała ciągle w malignie, otepiąta od narkotyków, niespokojna przed śmiercią, w jej szklistych, zaczerwienionych oczach czaił się strach, wzbierały w nich łzy, tylko tyle zdawała się mieć do powiedzenia oprócz tego, co chyba musiała mi powiedzieć przed samą śmiercią.

Teraz lubię ją bardziej, niż kiedy żyła.

Miała prawie osiemdziesiąt lat, kiedy umarła, nic już prawie nie pamiętała, jednakże umierając wołała swoją matkę, przypuszczam, że i ja umierając będę wołał swoją (jeśli Bóg w nieskończonym swym miłosierdziu pozwoli mi dożyć dnia mojej śmierci, cha, cha). Niepowodzenie jest przeważnie wynikiem złego obliczenia czasu. Tamtego dnia przyszliśmy po niego późno, zobaczyliśmy go niedaleko terenu zabaw, stał bosy na chodniku, płakał głośno, rozdzierająco, bo myślał, że już nigdy po niego nie przyjdziemy. (Ogarnęła mnie pasja na jego widok.

Przecież tylko spóźniliśmy się. Nic się poza tym nie stało.) Przechodnie — dorośli i dzieci — patrzyli na niego zaciekawieni, ale nikt nie zaoferował mu się z pomocą, nikt nie spytał, dlaczego płacze. (Wielki Boże, nawet ja pomagam dziecku widząc, że coś mu dolega, jeśli nikt inny tego nie robi.) Kiedy nas ujrzał, nie zrobił nic, tylko jeszcze głośniejsze się rozpłakał, jeszcze bardziej rozpaczliwie zaszlochał, w udręce wysyłał ku nam nieme błagania, abyśmy go wybawili z tych niepojętych czarów, które przykuły go przerażonego do chodnika. (Przez chwilę byłem na niego tak wściekły, że miałem ochotę zatrzymać się z czystej złośliwości i nie podchodzić do niego.) Trząsał się z rozpacz, żeśmy go opuścili, kiedy spóźniliśmy się tylko, że umyślnie go tam zostawiliśmy, bo jesteśmy na niego źli i czujemy do niego wstręt, że już nas nigdy nie zobaczy i nikt się nim nie zaopiekuje.

Byłem wściekły. Znał drogę do domu. To nie było daleko. Łatwo mógł trafić. Niejednokrotnie puszczaliśmy go przodem idąc z nim do promenady i obozu, aby mu pokazać, że może bezpiecznie iść sam, wracaliśmy w ten sam sposób, aby udowodnić sobie i jemu, że zna drogę do domu. Wioska była nieduża, prawie nie było samochodów, nie sposób było załądzić, a gdyby nawet się zagubił, mógł iść prosto promenadą lub spytać kogoś o drogę. Wiedział o tym. (Pouczaliśmy go bez przerwy, że powinien pytać o drogę, jeśli nie wie, czy dobrze idzie, lecz bał się obcych, nawet swoich rówieśników, i niechętnie się do nich zwracał. A kiedy już zebrał się na odwagę, mówił niewyraźnie, spuszczał oczy, więc zapytana osoba opryskliwie kazała mu powtórzyć pytanie.)

— Wiesz, jak tam się idzie? — pytaliśmy z żoną. — Przecież wiesz. Jesteś pewien, że nie załądzisz? W którą stronę trzeba teraz skrócić? Widzisz teraz, że nie załądzisz? Gdybyś nawet skrócił tu, a nie na drugim rogu, i tak dojdiesz do promenady albo do głównej ulicy. Możesz iść za ludźmi lub spytać o drogę, jeśli naprawdę załądzisz. Załądzisz?)

Oddalił się jednak tylko na tyle, aby go nie widzieli z obozu, gdzie paru pozostałych opiekunów nie spiesząc się robiło porządek, i dalej nie potrafił iść. Nawet kiedy nas poznał, kiedy stwierdził, że idziemy do niego, nie poruszył się, jak gdyby odejście choćby na krok od tego okropnego miejsca groziło mu utratą przytomności, runięciem w niewidzialną przepaść, zejściem ze świata. Stał więc, jak gdyby jego małe białe stopy wrosły w chodnik i każda ich kosteczka była zgruchotana

(zauważyłem wtedy chyba po raz pierwszy, jak płasko jego stopy przylegają do ziemi, że prawie nie ma podbicia i jego kostki są tuż nad ziemią), jak gdyby już samo stanie było niewymowną udręką. Nie mógł się ruszyć ani pozostać na miejscu. (Nie przybiegł do nas.) Zanosił się płaczem. Byliśmy zbawieniem, Panem Bogiem, jego jedyną nadzieją, że pozostanie przy życiu, musieliśmy jednak podejść, aby go uratować, jego wychodzące z orbit błyszczące oczy zawisły na nas w rozpacz. Nie zrobił (nie potrafił) ani kroku, aby nam pomóc w ratowaniu siebie samego i skrócić sobie mękę. (Było to godne litości, żalosne, zasmucające, walczyłem z gwałtownym przyływem gniewu i niecierpliwości, nie chciałem stracić panowania nad sobą ani krzyczeć na niego. Miałem ochotę go uderzyć. Uważałem, że zasłużył na to, byłbym to zrobił, gdyby był trochę starszy i większy.) Żona przyspieszyła kroku i wyprzedziła mnie, więc pociągnąłem ją za łokieć i przytrzymałem.

— Nie leć! — syknąłem. — Przestraszysz go.

Ale on czekał na mnie, to ja miałem go bronić, poruszył się, dopiero kiedy mógł pochwycić moją dłoń wyciągniętą ręką. (Miałem wrażenie wówczas — i teraz też mi się tak zdaje — że gdybyśmy się odwrócili i poszli z powrotem lub z jakiejś nieuniknionej przyczyny w ogóle nie przyszli wtedy po niego, pozostałby tam, gdzie go zatrzymały niewidzialne moce, małe ślady na powierzchni ziemi, nie większy niż ślady jego bosych stóp, i stałby tak, dopóki nie zginąłby lub nie upadł z wyczerpania, głodu, pragnienia, strachu lub dopóki jacyś wyjątkowo troskliwi i ciekawi ludzie nie zawiadomiliby policji, że na chodniku stoi chłopczyk, który płacze już całą dobę i może umrzeć z głodu, strachu lub osamotnienia. Zdawało mi się wtedy — i to samo czasem zdaje mi się teraz — że nie przeżyłby, gdyby zabrakło mojej żony czy mnie, że nigdy nie będzie mógł żyć bez naszej opieki i że może jemu też się tak zdaje. Co zrobi, kiedy nas nie będzie? Co zrobi Derek?)

— Co byś zrobił, gdybyś płynął — spytał niedawno — i poczuł, że toniesz? Czy wołałbyś ratowników, żeby wszyscy na plaży widzieli, jak cię ratują? Czy też wołałbyś utonąć?

Nie wiem, co bym zrobił, wiem jednak, że nie pływam już, jeżeli woda sięga mi nad głowę.

Krępowałbym się wołać ratownika.

Krępowałbym się wezwać lekarza w nocy, gdybym sądził, że mam zawał, ale nie był tego pewien.

— Nie masz czego się bać — powiedziałem.

Przywarł do mojej dłoni, szedł przy mnie bardzo ostrożnie, ze spuszczoną głową, stawiał każdą bosą stopę na ziemię, jakby przeprowadzał ostrożne badania. Oddychał ciężko, żebra i mostek podnosiły mu się, jakby za chwilę miały pęknąć i przekłuć cienką, przezroczystą skórę.

— Niedobrze mi — powiedział. Łzy powoli wysychały mu na twarzy, zostawał po nich ślad. — Miałem mdłości.

— Zmierzymy ci gorączkę. Jeszcze cię mdli?

— Bałem się, że nie przyjdziecie po mnie.

— Jeśli ci naprawdę będzie niedobrze, kiedy przyjdziemy do domu, zwołamy doktora, wyleczy cię, nie martw się.

— Rano też czułem się niedobrze.

— Czego ty się tak boisz? Nawet gdybyś chciał, nie mógłbyś zabłądzić wracając do domu.

— Myśleliście, że udaję.

Na drugi dzień nie poszedł do obozu. Nie chciał i nie zmuszaliśmy go. (Uwielbiał nas za to, że pozwoliliśmy mu zostać w domu.) Nigdy do tego obozu już nie wrócił.

— Nie chciałbyś tam wrócić? — spytałem go przy śniadaniu w niedzielę.

— Nie.

Daliśmy temu spokój.

Ale potem niewiele miał do roboty. Nie miał się z kim bawić, nie miał kolegów. Prawie cały dzień siedział z nami na plaży i przesypywał piasek. I prawie się nie odzywał. Często prosił, żeby go zostawić w domu. Czytał książki z obrazkami, kleił modele samochodów, samolotów i lotniskowców, których ani nie wykańczał, ani nie przechowywał. Nic go nie interesowało. Czytał po kilka razy te same książki z komiksami, czasem tępo wpatrywał się w telewizor. Chciał pomagać żonie w domu. (To ją denerwowało.) Nie potrafił się na niczym skoncentrować, nie potrafił się skupić układając łamigłówki, które mu kupowaliśmy. Miał kiepską pamięć. Przylepiał się do nas i niemal wszędzie z nami chodził, nie odstępując nas ani na krok. Nie miał ochoty iść z nami do miasta, lecz nie chciał też zostać sam.

(— Musicie iść oboje? — pytał smętnie.)

Nie chciał być sam, więc starał się przebywać z którymś z nas lub obojgiem, prócz pory spania, kiedy musiał iść do swego pokoju w innej części domu (budził się jednak bardzo wcześnie, czasem w środku nocy, i wkradał do naszego pokoju, żeby się upewnić, że jeszcze tam jesteśmy żywi. Nie ruszał się już stamtąd, wydawał ciche szmery, które w końcu budziły mnie lub żonę.

— Co się stało? — pytaliśmy z rozpaczliwym jękiem. — Czego chcesz?

— Chcę śniadania — kłamał, jeśli już było widno.

To było wręcz niesamowite. Czasem miałem wrażenie, że on w ogóle nie sypia, udaje tylko, leży, patrzy na okno i liczy minuty, aż wreszcie nie może dłużej być sam i sądzi, że bezpieczniej będzie iść do nas). Nawet kiedy pomagał żonie przy gotowaniu lub zmywaniu, wyglądał, jakby był smutny i przepraszał. (Żona bała się, że zacznie nosić jej fartuszki, a potem i inne części jej garderoby. Co byśmy zrobili, gdyby się okazał transwestytą? Ja też się tego bałem. Aby mu nie dać pomagać matce, udawałem, że chcę go nauczyć grać w szachy, on zaś udawał, że chce się nauczyć. Jednakże żaden z nas nie lubił naprawdę gry w szachy, wobec tego szybko daliśmy sobie spokój, choć nie wiedziałem, czym innym mógłbym go zająć.) Nakazywanie mu, aby szedł się bawić, nie odnosiło skutku i było okrutne. Nie miał z kim się bawić. Nie chciał przebywać, rozmawiać lub być widziany z dawnymi kolegami z obozu, nie chciał nawet spojrzeć na nich, nie wyłączając i tych, których dawniej z radością i dumą witał i pokazywał nam jako swych przyjaciół. Kiedy idąc z nami zobaczył jednego z tych dzieciaków, który kiwał głową, machał rękami, uśmiechał się lub wołał go po imieniu, sztywniał, gniewnie i stanowczo odwracał wzrok, nie reagował. I dzieci wkrótce przestały go zauważać. Przestały być jego przyjaciółmi. To było niesamowite. Jak gdyby nigdy żadnego z nich nie znał. Mimo to sztywniał z napięcia i złości, kiedy idąc z nami dostrzegał któreś z tych dzieci, jak gdyby się spodziewał, że stanie się coś wstrętnego. Nic się nie stawało. Ja też byłem zły, miałem ochotę walnąć go pięścią w ramię, gwałtownie go popchnąć w ich stronę, nakazać mu, aby znów się z nimi bawił i przyjemnie spędzał czas.

To była męka dla nas wszystkich.

Najgorsze lato w moim życiu. Nikt z nas nie wiedział, co robić. On nie miał nikogo prócz matki i mnie, a myśmy nie byli pewni, czy jeszcze go lubimy, aczkolwiek nie mówiliśmy tego sobie w ten sposób. Derek był jeszcze oseskiem w kołysce. Nie wiedzieliśmy jeszcze, jaki jest. A córka pojechała tego lata po raz pierwszy na obóz, gdzie też czuła się nieszczęśliwa i samotna, jeśli można było jej wierzyć, bo inne dziewczęta były już na tym obozie po raz wtóry, miały swoje paczki, więc ona czuła się jak intruz. Tak przynajmniej twierdziła w listach do nas. Nie wierzyliśmy jej. W każdym liście pisała, że chce wrócić do domu, czasem pisała jedynie w tym celu, aby nam

to oznajmić. I tak jej nie wierzyliśmy. Niektóre dzieci rzadko piszą do rodziców, nasza córka pisała za często, trzy, cztery, pięć listów na tydzień; widząc nowy list od niej, traciliśmy humor. Nie wiedzieliśmy, czy jej wierzyć, czy nie. Myśleliśmy, że pisze te listy jedynie po to, aby nas zmartwić. Nawet w tak młodym wieku była dość przebiegła, udawała krańcową rozpacz jedynie w tym celu, żebyśmy czuli się winni i mieli zatrute życie. Potrafiła zadawać ból. Sądząc z tego, co nam mówili inni rodzice mający dzieci w tym obozie, nie czuła się tam zbyt źle. Zastanawiałem się, dlaczego pisuje tak często, jeśli nie ma nic więcej do powiedzenia. Nie miałem ochoty jeździć do niej w dni dozwolonych wizyt. Nie tęskniłem do niej, te przekłete listy odbierały mi ochotę widzenia jej. Po co miałem do niej jeździć? Oznaczało to daleką podróż w upał, niemiłe spotkanie zatrute wyrzutami, jeszcze jeden zmarnowany weekend. Jednakże ilekroć przyjeżdżaliśmy, była w świetnej formie i szczerze się cieszyła. Zachowywała się tak, jakby tęskniła za nami, a mnie taka myśl nawet w głowie nie powstała, na pewno ani razu nie wspomniała o tym w listach. Pod więzaniem, gdzie nikt nie mógł nas słyszeć, spytałem bez ogródek, czy chce z nami wracać. Ofiarowałem się nawet wymyślić jakiś pretekst dla zachowania pozorów, mianowicie, że moja matka jest poważnie chora, co zresztą było prawdą. Nie chciała, odniosłem wrażenie, że ma tam dużo wesołych koleżanek, bo razem z innymi dziećmi śpiewała ochoczo obozowe piosenki. Przegrała rasistowską wojnę. Później oskarżała mnie, że sterroryzowałem ją, zdawało mi się, że widzę w jej oczach łzy, czułem, że ma gardło ściśnięte ze wzruszenia, kiedy żegnaliśmy się do końca wakacji i stała na chodniku z twarzą poważną i nieruchomą, odprowadzając nas wzrokiem, lecz uparcie wzbraniając się pomachać nam na pożegnanie ręką. I natychmiast zaczęły nadchodzić listy od niej, stanowczo i płaczliwie żądała, abyśmy ją stamtąd zabrali. Zastanawialiśmy się, dlaczego nie da nam spokoju — choć nie tak to ujmowaliśmy — dlaczego nie jest dość przyzwoita, aby się od nas odczepić, kiedy myśmy sobie zadali tyle trudu, ponieśli takie koszty, aby usunąć ją z naszej drogi na osiem tygodni? Listy do brata zaopatrywała w adnotację: osobiste, błagała go szafując obietnicami, między innymi że w przyszłości będzie dla niego miłsza i hojniejsza — żeby za wszelką cenę wymógł na nas, abyśmy pozwolili jej wrócić do domu, bo taka jest biedna bez nas, on zaś w tym czasie sam był tak przybity własnymi cierpieniami, że ledwie



starczyło mu odwagi, by w ogóle się do nas odezwać. Rozmawiał z nami przeważnie monosylabami, kiedy cichym głosem mamrotał odpowiedzi na nasze pytania. Można by pomyśleć, że córka chciała być z nami i że dobrze jej było z nami przedtem, a to była nieprawda. Wszystkie nasze wakacje były nieudane. I większość niedziel. Tak też pozostało. Okropnie się boję trzy- lub czterodniowych weekendów. Szkoda, że ani żona, ani ja nie gramy w tenisa, nie lubimy ani łódek, ani rybołówstwa. Nie uprawiam tych sportów i nie sprawia mi przyjemności przebywanie z ludźmi, którzy je uprawiają. Nic już nie sprawia mi przyjemności. Nie potrafiłem wyjaśnić synowi, co, do diabła, dzieje się z jego siostrą, za każdym razem kiedy dostawał od niej list, w którym błagała, aby się wstawił za nią i uprosił nas, żebyśmy pozwolili jej wrócić, bo jest taka biedna.

— Dlaczego jej nie pozwolił? — pytał bardzo ostrożnie.

— Nie zabraniam jej.

Nie pojmowałem, co się dzieje.

— Chcesz wracać? — spytałem ją telefonicznie. — Spakuj się i wracaj. Przyjadę po ciebie.

— Nie.

Wiedziałem, że uwzięła się na mnie. Może istotnie była biedna i tęskniła za domem, ale na zimno ukuła sobie z tego oręż, aby martwić i gnębić nas wszystkich — do tej pory na zimno mnie prześladowuje — i tak nam mijał czas.

Czas jakoś mijał, dla niego bardzo powoli, jak sądzę.

(Lubił wtedy grać w baseball i cieszył się, że dobrze mu idzie. Uwielbiał łapać piłki, skutecznie je odbijać i biegać od bazy do bazy. Kiedy zrezygnował z wakacyjnego obozu, nie miał z kim grać.) Czas jakoś zawsze mija (co prawda, bez pomocy z naszej strony i niezależnie od czegokolwiek, jak mija obecnie dla mnie w biurze i jak minął wtedy dla mojej o wiele młodszej wówczas córki na obozie letnim, jak teraz mija dla żony w domu, w którym nie dzieje się nic ciekawego i w którym skrycie, żeby odegrać się na mnie, pociąga sobie wino co pół godziny mniej więcej przed południem i po południu, a w nocy łomotam ją mocno w pieróg raz czy dwa na tydzień, jeśli nocuję w domu i jestem w nastroju; jak minął dla mojej biednej, starej matki, kiedy ar-tretyzm ją powalił i pokręcił jej ręce i nogi, i stawy, kiedy utraciła mowę wskutek kurczy w mózgu i na ostatnią krótką chwilę życia nie pozostało jej nic prócz smutnej świadomości, że zostało jej bardzo mało. Tylko ja jej zostałem. Mimo to

nawet w przedśmiertnych zapaściach kurczowo trzymała się życia, uparcie i gorąco pragnęła żyć, cha, cha, ale nerki zdradziecko ją zawiiodły, ukryta, nieprzewidziana zdrada od wewnątrz, a w końcu, cha, cha, umarła wołając swoją matkę, jęcząc: --- Mamo! Mamo! Mamo! Mamo! — monotownie, lecz wyraźnie i głośno, choć lekarz nas zapewnił, że ona nie czuje bólu i nie wie już, co się z nią dzieje. Skąd wiedział? W końcu mogłem ją pochować. Mogłem ją pochować, aczkolwiek umarła szesnaście miesięcy przed końcem życia. Miałem matkę, która zmarła szesnaście miesięcy przed swoim pogrzebem. Dla mnie przynajmniej zmarła. Moja siostra mieszka daleko, choruje na cukrzycę i ma inne kłopoty, więc nie przyjechała na pogrzeb. Nie chciałem, żeby przyjeżdżała, zapewniłem ją, że to niepotrzebne. Że sam zajmę się wszystkim i za wszystko zapłacę. Nie jesteśmy sobie bliscy z siostrą. Nie byłem blisko z matką. Byłem na nią wściekły.

„Posłuchaj, mamo — mogłem z dobrą racją argumentować w każdej chwili przez te szesnaście miesięcy — jesteś już martwa, nie wiesz o tym? Umarłaś pewnego dnia, dokładnie dwa, cztery, osiem, dziesięć, dwanaście miesięcy temu na moich oczach, a teraz tkwisz tu tylko. Nie wiedziałem o tym wówczas, ale czułem to, więc odwróciłem się od ciebie ze ściśniętym gardłem, szlochałem lub chciałem zaszlochać, przeszło tydzień skrycie cię oplakiwałem, bo coś mi mówiło, że umarłaś, i koniec z tobą. Umarłaś, ale to nie był koniec. Straciłem matkę jakiś czas temu, pamiętam ją i tracę na nowo. Ale ty nią nie jesteś. Tylko tkwisz tutaj. Tkwisz, rujnujesz mi weekendy, kosztujesz mnie, zatruwasz mi życie i swoim bełkotem zaćmiewasz mi przyszłość. Od dnia, kiedy umarłaś, tkwisz tutaj. Unieszczęś-liwiasz wszystkich. Czego ode mnie chcesz? Po co tu tkwisz?”

Ludzie kochani, ludzie, ludzie, ludzie! Nawet w duchu nie potrafiłem powiedzieć tego, kiedy żyła jeszcze. Ale tak chyba czułem. Teraz mogę to wyznać. Najdłużej w swoim życiu czekałem wtedy na czyjś pogrzeb, ona zaś niemal równie długo czekała wraz ze mną. Z Bożą pomocą będę jeszcze dłużej czekał na mój własny. Wiem, że wkrótce zacznę już czekać. Wiem, jak to się zacznie. Najpierw wysiądzie mi pęcherz i dostanę prostaty — to znaczy, jeśli będę miał szczęście i przedtem nie dostanę zawału czy wylewu w mózgu. Może dojdzie do tego gratis jeszcze operacyjka na rupturę czy hemoroidy, aby odwrócić moją uwagę od chorego pęcherza i prostaty, a ja tymczasem będę tkwił, czekając na rozpoczęcie moich własnych

uroczystości pogrzebowych zgodnie z literą prawa. Wiem, że i ja zapewne będę chciał tu tkwić jak najdłużej, nie patrząc na ból, litość, wstręt do siebie samego itede, słabnącymi palcami będę się czepiał mglistych miraży, majaczących nad moim łóżkiem, bełkocząc: — Mamo! Mamo! Mamo! — do samego końca, nie będzie mi do śmiechu. Może wówczas, kiedy w mózgu pozostanie miejsce na jedno tylko wspomnienie, kiedy gardło i usta będą mogły wykrztusić tylko jedno słowo, może wówczas Green, White, Black, Brown, Kagle, Baron, siostra żony, trzyminutowe przemówienia w Porto Rico, pijana, czerwona na twarzy młoda kurwa, której w zeszłym tygodniu w Detroit nawet nie chciałem i która głośno wyśmiewała się ze mnie na przyjęciu, kpiąc z moich zalotów, których nawet jej nie okazywałem, może wówczas wydarzenia i ludzie, wszystko, co mnie nęka, zostanie wykreślone z mojego długiego inwentarza nieważnych obelg i porażek, których nigdy nie zostanę odłożone *ad acta* w nicość jako sprawy raz na zawsze umarłe. W taki oto sposób położę kres światu. Nie będę chciał odejść. Wyobrażam sobie teraz z przyjemnością, że siłą będą musieli ciągnąć mnie w dół, będę się opierał, jęczał, walczył umysłem, oczami i uszami, chcąc tu za wszelką cenę pozostać, ale wiem też, że kiedy zbiorę wszystkie siły w górnej części ciała, podkoszają mnie zapewne wątroba czy nerki i przegram nie wiedząc nawet, że już mnie nie ma. Oddam ducha nie czując nawet tego. Morfina pomoże mnie otumanić. Nie chcę odejść. Chciałbym przeżyć wszystkich, nawet własne dzieci, żonę i Góry Skaliste. Nie sądzę, aby mi się to udało. Mam w sercu zastawki, w samochodzie zawory, a skoro General Motors nie potrafi wyprodukować zaworu z gwarancją wyższą niż rok, to jaką szansę ma działająca na chybił trafił natura? Nie umiem wyzbyć się litości nad sobą. Ani nad nim). Lito- wałem się nad nim tamtego lata (i lituję teraz), on już tkwił na tym świecie, miał bezmyślny, bezbarwny wyraz twarzy starca niknącego w oczach, był wypruty z pragnień, zapału, jak chora matka w lecznicy, która wie, że ją tam umieszczono, bo umiera. Prawie nic nie mówił. Nic go nie cieszyło, jak gdyby się niczego nie spodziewał (Boże, żeby zrezygnować tak młodo!), tylko czekał na koniec parnego lata i początek roku szkolnego, a bał się szkoły, która znów miała go wciągnąć w wir hałaśliwego, niezgłębionego dramatu konfliktów i nagród. Nie cieszył się życiem, nic go nie bawiło. Był otepiały. Ustawicznie tkwił

w domu; zamiast łapać piłki i biegać od bazy do bazy grając z kolegami z baseball, włókł się za nami do promenady czy na plażę, bo nie miał kolegów i prawie się nie odzywał.

(— Kiedy pójdziemy do domu?)

Nie pływał. Jeśli szedł gdzieś z nami, czuł się skrępowany, byłby wolał pójść gdzie indziej, najchętniej do domu, ale lubił siedzieć w ciemnym kinie.

(— Musicie znów wyjść dzisiaj wieczorem?)

Smętnie przesiewał piasek. (Nie chcieliśmy go brać ze sobą.) Ilekroć nasze spojrzenia się spotykały, wzdrygał się, wciągał szyję, jak gdyby się spodziewał, że podskoczę do niego i bezlitośnie zmiażdżę go wzrokiem. Miał chorowity wygląd. (Często nas po cichu pytano, czy jemu nic nie jest, co wprawiało mnie w wielkie zakłopotanie. Chwilami nie mogłem go znieść.) Ze wszystkich sił starałem się mu pomóc.

(— Co chciałbyś robić? — pytałem.

(— Dokąd chciałbyś pójść?)

(— Co by ci sprawiło przyjemność?)

(— Chcesz iść do kina? Może cię zabierzemy. Co chcesz zobaczyć?)

(— Jeśli chcesz czegoś, to powiedz czego. Może potrafię sprawić, aby twoje życzenie się spełniło. Czego byś chciał najbardziej w tej chwili?)

(— Niczego.

(— Niczego.

(— Niczego.

(— Niczego.

(— Przestań!

Byłbym go udusił. Byłbym go zbił. (Chyba chciałem tego.) Na wszystko miał jedną odpowiedź: nic. Wcale nie starał się nam pomóc, abyśmy mogli mu ułatwić życie. Serce mi się krajało, kiedy widziałem, jak się pęta bez zajęcia, zagubiony. Stałe kręcił się koło nas. Z samego rana, jak się tylko budziłem, jak gdyby nigdy nie spał. Kiedy wracaliśmy bardzo późno, jeszcze nie spał, drzwi jego pokoju były otwarte, chciał się upewnić, że to my, a nie jakiś obcy wszedł do mieszkania. Nie silił się na żadną rozmowę z osobą, której płaciliśmy za pilnowanie jego i Dereka podczas naszej nieobecności.

(— Gdzie idziecie, co będziecie robić? — indagował nas za każdym razem, kiedy myślał, że oboje wychodzimy.

Włóczył się z nami wszędzie, gdzie mu pozwalał. Działał mi na nerwy. (Zbyt często byłem zmuszony litować się nad nim.

Dlaczego, na Boga, on musiał się przydarzyć akurat mnie? Czulem do niego to, co teraz czuję do Dereka. Z tą różnicą, że potrafię wmówić w siebie, że nie mam nic wspólnego z Dere-kiem, potrafię od niego uciec.) Od niego nie było ucieczki. Włóczył się z nami wszędzie, widoczny dla wszystkich symptom jakiejś ohydnej choroby rodzinnej, którą woleliśmy ukryć.

— Nie mam co robić — mówił, kiedy kazaliśmy mu odejść i zająć się czym innym. Często czuliśmy, że jesteśmy śmieszni. Stale go widziano z nami. Zawsze miał ściśnięte gardło. Nie chciał rozmawiać z samotnymi chłopczykami, których wyszu kiwaliśmy i próbowali z nim zaznajomić.

— Popatrz, to jest Dicky Dare. Miły chłopczyk, akurat w twoim wieku. Dlaczego nie chcesz się z nim bawić?

Nie chciał.

— Dlaczego?

(Nie chciał się przyjaźnić z chłopcem, który nie miał z kim się bawić. Podziwiał tego, który chciał go zbić w obozie, chciał, aby tamten go lubił i zaprzyjaźnił się z nim.)

Kiedy znajomi pytali uprzejmie, czy chciałby poznać kogoś, z kim mógłby się bawić, byliśmy zmuszeni im odmawiać. Nie mogliśmy wyjaśnić dlaczego. Że to on nie chce. (Mieliśmy ściśnięte gardła.)

— Nie mogę tego znieść — ze łzami w oczach skarżyła się żona. — Wygląda jak duch. Jest taki biedny. Nie mogę patrzeć, jak się dręczy. Serce mi pęka.

— Ja też nie mogę — wyznawałem.

Tylko w biurze odpreżalem się tamtego lata. Mnie też serce pękało. Nie chciał jeździć na wrotkach ani na rowerze. Wpadałem w złość z byle powodu. (Byłem ohydny.)

— Idź się bawić — nakazałem mu ostro pewnego dnia na plaży, kiedy straciłem panowanie nad sobą.

Zamrugął.

— Bob! — ostrzegła mnie żona.

— Co? — spytał.

— Jesteś głuchy?

— Nie słyszałem.

— Owszem, słyszałeś. Idź się bawić.

— Z kim?

— Tam, koło tej grubej pani siedzi chłopczyk.

— Tatusiu, proszę!

— Wygląda na twój rówieśnik. I ma taką minę, jakby chciał się z kimś bawić.

— Ja się tu bawię.  
 — Jak?  
 — Piaskiem.  
 — Piaskiem — przedrzeźniłem go ordynarnie i wskazałem brzeg. — Bo sam cię zaciągnę do niego i poproszę, aby się z tobą bawił. — (Skoro mu zagroziłem, musiałem groźbę wykonać. Widziałem tego miesiąca w jakimś kobiecym piśmie artykuł, w którym radzono rodzicom, żeby byli z dziećmi stanowczy i nieustepliwi. Natomiast w innym kobiecym piśmie radzono rodzicom, żeby współczuli dzieciom i pobłażali im. Nie przejmowałem się tymi artykułami. Byłem wściekły. Żona usiłowała mnie zmiłogować spojrzeniem. Nie zwracałem na nią uwagi. Była to już sprawa honoru między mną i oszołomionym dzieckiem.) — Mam to zrobić? — groziłem.  
 — Nie będę mógł mówić — powiedział błady jak ściana.  
 — Mówisz przecież.  
 — Coś mi stoi w gardle. Będę wymiotował.  
 — A na głowie stanie ci guz — nie mogłem się powstrzymać od kalamburu. — Idź, zwymiotujesz później.  
 Niechętnie wstał i niepewnym, wolnym krokiem poszedł wykonać mój rozkaz.  
 — Widzisz? — szepnąłem do żony, bałem się, czułem skruchę i pragnąłem natychmiast zostać rozgrzeszony. — Poszedł.  
 — To ohydne.  
 — Robi to, co mu kazałem.  
 Mówił coś do tamtego, wyblakłego malca z żółtą czupryną, który nie podnosząc głowy pokręcił nią i coś długo, mozolnie tłumaczył. Śmiesznie poruszał ustami. Niedobrze mi się zrobiło. Gruba kobieta spojrziała na nas ze złością. Syn wracał, zdawało się, że kolana uginają się pod nim z bólu, był bliski łez, jękając się powiedział zduszonym głosem, że tamten jąka się i nie chce się bawić.  
 — Zrobiłem, co kazałeś! — rzucił mi w twarz gorzko, przezszył mnie szybkim spojrzeniem i usiadł na piasku dość daleko od nas. Miotał gniewne spojrzenia w moją stronę.  
 Byłem przegrany i wściekły.  
 Ciągłe mi się coś psuło, nawet pochwa żony (niech to diabli). Tego lata żona znów dostała zapalenia pochwy, więc nie wiedziałem nawet (ona też, dopóki nie spróbowałem), czy będę mógł porządnie ją zerznąć przyjeżdżając na nudne długie weekendy. (Znacznie lepiej poradziłbym sobie w mieście. I ra-dziłem. Ile dusza zapagnie.) Nudziłem się na plaży, nic mnie

nie bawiło prócz robienia oka do cudzych żon i dwuznacznych rozmówek z młodymi dziewczętami. Więc ciągle złościłem się na niego i daremnie usiłowałem mu pomóc. (Wpadałem w złość, kiedy moje wysiłki spełzły na niczym. Gnębiło mnie to, czułem się niepotrzebny, bezsilny, kiedy nie potrafiłem go rozweselić, ulżyć jego koszarnej męce, sprawić, aby nie czuł się taki samotny, zachęcić go do czegoś nowego.) Ostro nakazywałem mu robić coś, czego nie chciał robić i do czego byłby prawdopodobnie fizycznie niezdolny, gdyż napięcie paraliżowało go, wytrącało z równowagi, odbierało zdolność kojarzenia, ścisnęło mu gardło. Ponieważ czułem, że on się boi morza, zmuszałem go, by brodził ze mną po wodzie i raz o mały włos się nie utopił, kiedy duża fala zalała nas, zbiła go z nóg, wyrwała z moich rąk i bezwładnego poniosła w kierunku brzegu w głębokiej, wirującej, skłębionej pianie. Kiedy wygramolił się w końcu na nogi (podczas gdy ja bezradnie walczyłem z drugą falą, starając się go złapać i uratować), powstrzymywał oddech, powieki miał mocno zaciśnięte, a jego wysmagane wodą, czerwone policzki wyglądały jak zaciśnięte, purpurowe pięści. Nie otworzył oczu, póki nie ująłem go za rękę i nie poprowadziłem na brzeg. Jeszcze teraz widzę to wszystko.

— Wiesz, tatusiu — rzekł — bałem się otworzyć oczy. Nie wiedziałem, gdzie jestem, bałem się otworzyć oczy i zobaczyć. Bałem się, że jestem daleko w morzu, i nie chciałem tego widzieć.

Dziwiłem się, że on mówi do mnie, że jeszcze ufa mi na tyle, aby mi się zwierzyć. (Mógł utonąć, zostać na śmierć zasmagany przez fale lub sparaliżowany. W ciągu kilku sekund prąd pędzącej wody mógł go porwać i wynieść daleko w morze. Pomagałem kiedyś ratownikom dosięgnąć dziecka w nadmuchanym kole, które fala w mgnieniu oka zniosła w morze na odległość trzydziestu jardów od brzegu. Mogłem już nigdy nie zobaczyć go żywego. Zawsze bałem się śmierci przez utonięcie. Nigdy nie darowałbym sobie, gdybym go wówczas stracił. Żona już by się o to postarała. Musiałbym się z nią rozwieść, zostawić ją z Derekiem, który urodził się, jak nam mówią, już umysłowo niedorozwinięty, i z córką, która nie byłaby wielką pociechą dla niej; zresztą, nie byłoby to może takie złe posunięcie i teraz. Bardzo dużo myślę i myślałem o rozwodzie. Jeszcze przed ślubem o nim myślałem. Potrafię sobie wyobrazić moją następną żonę: byłaby młodsza, ładniejsza od obecnej,

głupia i uległa. Byłaby jasnowłosa, mała, puciołowata, wesoła, bardzo starałaby się zadowolić mnie w kuchni i sypialni. Nie wytrzymałbym z nią dłużej niż godzinę czy dwie na raz, wobec tego musiałbym się rozwieść i z nią. Cieszę się, że syn nie zginął wtedy. To ja chciałem się żenić. Lubię rznąć własną żonę. Godzi się na wszystko, co zechcę. Nie dla niej ruch wyzwolenia kobiet. Zgraja szowinistycznych zdzir, które nie-nawidzą mężczyzn. Nie mogłem jej porządnie wyłomotać, nawet kiedy nie miała tego zapalenia, bo on kręcił się przez cały dzień po domu, a w nocy najprawdopodobniej nie spał. Często chciałem go odpędzić od nas tylko z tego powodu. Kiedy zamykaliśmy się przed nim w sypialni, nie byliśmy pewni, czy przypadkiem nie waruje smętnie pod naszymi drzwiami i czy nas nie słyszy. Więc przeważnie byłem zły i krzyczałem na wszystkich.)

Takie okropności z nim wyczyniałem. Wówczas zdawały mi się konieczne. Nic innego nie przychodziło mi do głowy. Nie potrafiłem go od siebie odpędzić, on zaś wiedział, że tego chcę. Kiedyś pojechał rowerem na spacer, wpadł na parkan i pas-kudnie stłukł sobie kolano, potem kulał przez tydzień, a na dodatek wpakował sobie w ramię długą czarną drzazgę, którą musiałem mu wyciągnąć igłą (robiąc to czułem się nikczemnym katem. Ponuro biłem się z myślami, czy wziąć należne mi dwa tygodnie urlopu. Żona mnie do tego zmusiła, grożąc, że wróci do miasta, bo sama nie wytrzyma na plaży. Więc wziąłem ten urlop. I bywały dni, kiedy zapłaciłbym koncertowi dwa razy tyle, ile mi płacono, żebym tylko mógł wrócić do biura). Nie mogłem nawet się upić. Nie mogłem oszołomić się koktajlami, bo on mi się ciągle pętał pod nogami, patrzył i słuchał. (Dostawałem koszmarnych bólów głowy.) Nie mogliśmy opowiadać sobie sprośnych kawałów, nie mogłem używać nieprzy-zwoitych słów, nawet kiedy przyjmowaliśmy znajomych. Nie mogłem flirtować. On by to widział. (Córka przynajmniej — oby Bóg błogosławił jej dobre serduszko! — była na tyle delikatna, że spakowała swoje kłopoty do starego plecaka i kuferka i wyjechała na obóz wakacyjny, aby z daleka zadrećzać siebie i nas.) On został z nami. Zawsze pod ręką. (Nie mogłem powiedzieć, nie mogłem zrobić niczego, co chciałem przed nim ukryć. Aby mu tak czy inaczej nie sprawić przykro-ści.) Czasem nadeptywałem mu na nogi, kiedy się odwracałem, było nam obu przykro, coś bełkotaliśmy, przepraszali się na-wzajem. (Miałem wielką ochotę zakląć, wrzasnąć: „Wynoś się!”)



Nie mogłem się na to zdobyć. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Nie wiedziałem, co z tym począć. W końcu wpadłem na pomysł i powiedziałem:

— Zejdź mi z oczu!

Żeby go przekonać, że może iść sam i nie zabłądzić, zmusiłem go, żeby poszedł na spacer bez nas, i oczywiście zabłądził.

— Zejdź mi z oczu! — nakazałem szorstko po raz drugi, kiedy zdawał się nie rozumieć.

— Co?

Przed chwilą skarżył się, że nie ma co robić.

— Idź gdzieś.

— Gdzie?

— Gdzie chcesz. Na spacer.

— Z kim?

— Z sobą. Mamusia i ja chcemy być chwilę sami na plaży.

— Nie będę wiedział jak.

— Będziesz.

— Nie wrócę.

— Wrócisz.

— Teraz?

— A kiedy?

— Idź lepiej — oschle powiedziała żona, odwracając od niego oczy.

— Idź plażą do wesołego miasteczka. Zawróć tam i przyjdź tu brzegiem.

— Chcę zostać tu.

— A ja chcę, żebyś poszedł.

— Zabłądzę.

— Musiałbyś się cholernie wysilić, aby tego dokonać.

Byłem nieubłagany. Wstał powoli, stał piasek z rąk i odszedł potulnie w niemej rozpacz, nie oglądając się. Rychło zasłoniły go głowy i torsy kręcących się po plaży ludzi i straciliśmy go z oczu. Wesołe miasteczko na molo zdawało się dalsze niż do tej pory, plaża bardziej zatłoczona. Przeląknęłam się, że on zabłądzi. (Lękałam się, że i ja bym zabłądził, gdyby mi kazano zrobić to, co kazałem jemu.)

— Dlaczego to zrobiłeś? — spytała żona, żałowała już, że biernie mnie poparła.

— Sama tego chciałaś, prawda?

Wykręciłem szyję, starając się go dojrzeć, i jak tylko straciłem go z oczu, zacząłem się niepokoić i żałować, że go wysłałem.

— Wiem — przyznała żona. Skinęła głową w zamyśleniu. — Nie mogłam już znieść, że pęta się koło nas.

— Ani ja.

— Ciągłe siedzi koło nas. Serce mi się kraje.

— Mnie też.

— I zawsze ma taką nieszczęśliwą minę.

— Tego najbardziej nie mogę znieść, między innymi.

— Myślisz, że zabłądzi?

— To niemożliwe. Wszystko przez ten cholerny obóz wakacyjny, niech go diabli. Nie byłoby tego zmartwienia, gdyby tam lepiej wszystkiego pilnowali. Chcę, żeby się przekonał, że może chodzić sam i nic strasznego mu się nie stanie.

— Na plaży jest straszny tłok.

— Nie zginie.

A jednak zginął.

(Tak nam się przynajmniej zdawało.)

Kiedy po dwudziestu pięciu minutach nie wrócił, ruszyliśmy na poszukiwanie, przerażeni; żona szła brzegiem, a ja przez głębszy piasek środkiem plaży w kierunku wesołego miasteczka. (Myślałem o zboczonych homoseksualistach, o chłopcach z obozu zabaw szydzących z niego i rzucających się na niego.

Niebo się wali! — miałem ochotę krzyczeć w panice do dorosłych, których mijałem z łomocącym sercem. — Nie widzieliście gdzie chłopczyka? Zaginął. Wyglądałby na bardzo zmartwionego.)

Zobaczyliśmy go stojącego samotnie nad wodą o jakieś dwieście jardów dalej, kręcił się w miejscu, jakby się zabłąkał. Nie wiedział, czy nie poszedł za daleko i w którą stronę iść dalej. Był błądy, spojrzenie miał dalekie, mocno zaciśnięte szczęki. Żył na szyi mu nabrzmiały, gardło się ścisnęło. Znaki na promenadzie — dobrze mu znane napisy i budynki — nic dla niego nie znaczyły.

W pierwszej chwili miałem ochotę go zamordować.

— Zabłądziłeś?! — krzyknąłem.

— Nie wiem — wzruszył ramionami.

Miałem ochotę go zamordować. Targała mną wściekłość i oburzenie, że jest taki bezradny, ślamazarny (stał jak wówczas na chodniku, jak gdyby wszystkie kości w nogach miał pogruchotane. Było mi za niego wstyd, chętnie bym się go wyrzekł. Przykro mi było, że jest moim synem), ale w następnej chwili już chciałem go przycisnąć do serca, bronić go, przelewać łzy bóleści i najgłębszego współczucia dla niego (dlatego, że przedtem chciałem go zamordować. Pomyślcie tylko, mieć ojca,

który chce was zamordować! Ten moment zawsze jest pomijany w historii Edypa. Biedny Edyp bardzo niesprawiedliwie został osadzony. Nie chciał zabijać swego ojca. To ojciec chciał zabić jego). Sam już nie wiem, co czułem, kiedy go zobaczyłem, stojącego tak bezradnie, w każdym razie nieskończoną wdzięczność za to, że mu się nic nie stało, i przygnębiające rozczarowanie, załapała mnie fala nie dających się opanować sprzecznych uczuć, które i dla mnie zacierały znaczenie znaków przy drodze. (Obecnie nie zawsze wiem, co czuję.)

(Żałuję, że nie jestem szympansem.)

Nazajutrz wybuchła między mną i żoną straszliwa awantura o seks i pieniądze, kłótnia ta nie miała nic wspólnego z nim (choć on o tym nie mógł wiedzieć). Skakaliśmy sobie do oczu i dogryzali jak szczekające szakale. Żona krzyczała na mnie, ja na nią (obrzucaliśmy się wyzwiskami w rodzaju łobuz i suka, jedno wrzeszczało na drugie, żeby się odpieprzyło), a kiedy wpadłem do kuchni po kostki lodu do whisky, ściskając szklaną kę tak mocno z wściekłości, że omal jej nie pogruchołałem, usłyszałem, jak syn nieśmiało wchodzi do jadalni i mówi do matki:

— Mam znów iść na spacer? Do wesołego miasteczka? Usłyszałem własne westchnienie. Miałem ochotę się rozbeczeć.

— Czy tatuś dlatego jest smutny?

Poczułem się beznadziejnie parszywy.

Żona cicho weszła do kuchni.

— Słyszałeś? — wymamrotała, nie czując już złości do mnie. (Milczałem.) — Pyta, czy ma znów pójść na spacer. Myśli, że dlatego jesteś smutny.

— Nie powiedział tego — wykrztusiłem w końcu.

— Musiałeś słyszeć, co mówił. Spytaj go.

— Nie wierzę ci.

— Stajesz się niepoczytalny, kiedy tak się wściekasz — la mentowała żona. — Nie sposób z tobą rozmawiać. Nikt tego nie potrafi. Nic nie słyszysz i nie widzisz. Idź, spytaj go. Zobacz, jak wygląda, skoro mi nie wierzysz.

Wiedziałem, co zobaczę (i nie chciałem tego widzieć). Obszedłem żonę naokoło, nie patrząc na nią i nie odzywając się do niej, i wszedłem do jadalni. Stał potulny i skruszony (jak gdyby to wszystko była jego wina) koło drzwi prowadzących na ganek, czekał na mój rozkaz. Twarz miał sinawą. (Zrobiłby, cokolwiek bym mu kazał. Nie chciał, żebym był zły lub smutny z jego

powodu. Oczy miał szeroko otwarte, poważne. Nigdy przedtem ani potem nie czułem się taki niemiłosiernie okrutny, obrzydliwy, zdeprawowany i nieludzki. On gotów był się poświęcić zgodnie z każdym moim żądaniem. Nie chciałem, żeby był taki.) Miał wyraz twarzy wyczekujący, poważny, zrezygnowany. Nie odzywałem się przez sekundę. (Nie mogłem.) Miałem ściśnięte gardło.

— Od dziś — powiedziałem łagodnie — do końca wakacji przynajmniej nie musisz robić nic takiego, czego nie chcesz. Możesz robić wszystko, co chcesz. Dobrze? — Przemawiałem do niego czule, jakbym go przepraszał.

— Naprawdę? — patrzył niedowierzająco.

— Obiecuję ci to.

— Kocham cię, tatusiu! — przywarł głową do mego brzucha, aby mnie objąć. — Jesteś najlepszym tatusiem na całym świecie.

Jestem najgorszym tatusiem na całym świecie.

Wczoraj przeprowadziłem przez jezdnię niewidomego i zdziwiłem się, że nie odczuwam wstrętu, kiedy ująłem go za ramię. (Właściwie to on ujął mnie. Chciałem go wziąć pod rękę, ale rzekł:

— Nie. Ja wezmę pana pod rękę.)

Chyba częściej będę robił takie rzeczy (skoro przekonałem się, że potrafię).

Wielokrotnie zламаłem daną synowi obietnicę.

I tak mnie kochał.

Za bardzo się chyba z nim identyfikuję, przypominam sobie takie wydarzenia: był niemowlęciem, fikał nóżkami w wanien-ce, kołysał nią niebezpiecznie, w powietrze leciały puszki z pudrem i agrafkami, wtem żona mnie zawołała i pokazała czerwoną plamkę z boku na jego penisie. (Musiała to być miniaturowa plamka, ale mnie się wydała gigantycznym pęcherzem.) Skręciłem się od ostrego, przeszywającego bólu we własnym organie, jak tylko ujrzałem chropowatą (malutką), zaognioną plamkę, przykryłem rękami własne genitalia w nadziei, że je ochronię i ból zniknie. Naprawdę mnie bolały. I teraz boją, kiedy sobie przypominam ten incydent. Nie muszę zaglądać, aby sprawdzić, czy tam nie ma nic złego. Jako maluch poczułem raz klucie i swędzenie w koniuszku i zobaczyłem wy-

łążącą stamtąd brązową mrówkę, ale przestałem o tym opowiadać, bo nikt mi nie wierzył. Jeszcze ciągle chyba lubię swój organek, choć sam nie wiem dlaczego. Czym byłbym bez niego? Rodzajem nijakim. Prowadził mnie do dziwnych miejsc. I ja prowadziłem jego. Te podniecone, miękkie, ciekące tkanki dały mi wiele długich lat cudownej, często przekraczającej moje siły rozkoszy i troje dużych, całkowicie uformowanych dzieci, już w chwili urodzenia istne mamuty w porównaniu z tym organem, aczkolwiek jedno z nich jest ułomne. W fabryce zaliczyliby go do braków. Mniej cierpi niż człowiek normalny. Staramy się mu wynagrodzić jego braki. Te rzeczy już chyba nie dają mi tyle rozkoszy co dawniej, choć chciałbym je uprawiać jeszcze przez jakiś czas, cha, cha. Nie zawsze lubię wkładać go czy wyciągać. Żałuję, że nie mam z nim więcej roboty. Jako wyrostek dałem kiedyś młodszej kuzynce dziesiątkę, żeby go pociągnęła, potem umierałem ze strachu, że powie mojej matce, bratu lub komuś z własnej rodziny. Ciekaw jestem, czy to ją zdeprawowało. Uszczęśliwiła mnie. Za jedną dziesiątkę. Zapamiętałem ją jako nieśmiałą dziewczynkę, nie złośliwą, nie ciekawską, nie zmysłową, a przecież odrobina zmysłowości wzbogaciłaby jej doznania. Była znudzona, trochę zagubiona. Dotykałem jej ostrożnie. Molestowałem dziecko. Sam też jako dziecko byłem molestowany. Wszyscy jesteśmy molestowani. Może dlatego tak bardzo martwię się o syna. Kiedyś martwiłem się tak samo o córkę. Teraz jest już dość duża, aby sama mogła molestować dzieci. Od tamtego czasu wiele razy zapłaciłem znacznie więcej niż dziesiątkę.

Kiedy doszedłem do średniego wieku, moja pozycja płodu w łonie matki zamieniła się w pozycję trupa. Obecnie nie zasypiam już na boku z kolanami pod brzuchem i kciukiem przy ustach. Leżę na wznak, z rękami złożonymi na piersi jak trup i twarzą skierowaną prosto w sufit. W dobre noce słyszę własne chrapanie, coś luźnego w rodzaju błony wibruje obiecująco u nasady mojego gardła, napełniając mnie głęboką, rozkoszną, łaskoczącą przyjemnością oraz kojącą wiedzą, że moje chrapanie zbudzi żonę. Ogarnia mnie wściekłość, jeśli nie mogę usnąć, a ona śpi, chciałbym ją walić pięściami. Z rozkoszą usypiam, kiedy ona nie może spać. Budząc się zawsze stwierdzam, że leżę na boku, z ręką między nogami, przy genitaliach. Prawdopodobnie chcę się ich jak najdłużej trzymać. Kiedy zaczęło mi się śnić, że siusiam, wiedziałem, że zaczynam się starzeć. Budzę się z pełnym pęcherzem i w pierwszej chwili

ogarnia mnie przerażenie i wstyd, bo myślę, że już zmoczyłem łóżko. I że wkrótce wszyscy się o tym dowiedzą.

Wiem nareszcie, czym chciałbym być, kiedy dorosnę.

Kiedy dorosnę, chciałbym być małym chłopcem.

Chciałbym mieć jeszcze jedną szansę. I następną. (I kilka następnych. Tyle dziewcząt mogłem wyruchać za młodu i nie wyruchałem, bo nie wiedziałem, że mam smykałkę do tych rzeczy, że potrafię. Nie wiedziałem, jakie to łatwe. Nie przyszło mi wtedy do głowy, że one też tego chciały. Nie czułem nawet pożądanego. Tylko byłem zakochany. Chciałbym mieć szansę powrotu do tamtych czasów. Teraz czułbym pożądanego. Kiedy dorosnę, chciałbym mieć poczucie godności, dobry gust, być człowiekiem wybitnym, który robi to, co naprawdę chce, i lubi swoją pracę. Chciałbym być Shakespeare'em.) Może dlatego tak się martwię o syna (zanadto identyfikuję się z nim), dlatego tak panicznie się boję i rozpaczam, kiedy widzę, że chyba, ponosi porażkę i nawet nie chce próbować wygrać. (Czy rozczarował mnie?) Córka twierdzi, że nas rozczarowała. Wiem, że oczekiwałem czegoś zupełnie innego dla nas wszystkich. Wcale nie zostałem tym, czym chciałbym być, aczkolwiek osiągnąłem wszystko, czego chciałem, łącznie z dwoma samochodami i dwoma kolorowymi telewizorami. Stanowimy dwu-samochodową rodzinę w podmiejskiej dzielnicy klasy A w stanie Connecticut. Biura reklamowe i Urząd Ewidencji Ludności Stanów Zjednoczonych opracowują dane statystyczne, według których należymy do kategorii ludzi cieszących się najpełniejszym życiem. Chciałem, żeby syn był bezroski, wierzył w siebie, aby był śmiały, utalentowany, zdobywca i budził zaufanie, więc może istotnie rozczarował mnie z wyjątkiem cechy ostatniej. Może dlatego boi się, że chciałbym go gdzieś wywieźć i zostawić w nieznanym, niebezpiecznym miejscu. Może ja naprawdę tego chcę. Ja również się boję, aby coś takiego mu się nie przydarzyło: widzę go zabląkanego, nie widzę nadziei odnalezienia go kiedykolwiek. Wiem, że boję się o niego bardziej niż o siebie, to mnie zdumiewa.

Kiedy on się czegoś boi, mnie również ogarnia strach, aczkolwiek ja się boję czego innego niż on. (Nerwy odmawiają mi posłuszeństwa, jeśli jemu coś nie wychodzi. Chciałbym już teraz mieć gwarancję, że nigdy nie zrobi nic, co by mnie zmartwiło. Nie potrafię oddawać ciosów.)

Kiedy on drży, ja się trzęsę. Z nosa mi się leje, kiedy on jest zaziębiony, kicham i mam zajęte gardło. Kiedy ma gorączkę,

pulsuje mi w skroniach od żaru, stawy i mięśnie mam obolałe i sztywne.

(Mam wielkie serce, prawda?)

Syn w dużym stopniu jest taki sam. Też zanadto się identyfikuje z ludźmi, którym coś dolega. Chyba dlatego rozdaje słodycze i centy takim, którzy, jego zdaniem, chcą tych rzeczy — rozumie, co to znaczy czegoś pragnąć. (Pragnie razem z pragnącymi.) Pamiętam, jak osłupiały patrzył z niedowierzaniem na kalekich i zdeformowanych ludzi: garbusów, karłów, kaleki bez rąk i nóg lub z powykręcanyimi kończynami. Czytałem w jego myślach: uważał, że to, co przytrafiło się tym nieszczęsnym, może przytrafić się i jemu, nie zawsze łatwo było mu wytłumaczyć, że tak nie musi być. (Nie mogłem go zapewnić, że nigdy nie będzie miał groźnego wypadku lub nie zachoruje poważnie.) Teraz widzę, jak odwraca oczy od takich osób. (Odwraca je z grymasem gniewu, jak ja to robię. Nie wypada przyglądać się takim i nie wypada odwracać od nich oczu.) Dawniej na widok kaleki nieruchomiały mu na chwilę lub skręcały się w nienaturalnej pozycji ramię czy noga.

(— Patrz!

Wskazywał swój sztywny mięsień lub konwulsyjnie drgające palce rąk czy nóg, dziwił się temu telepatycznemu zjawisku, zaciekawiony i skrępowany jednocześnie, ilekroć patrzył na kalekę ze zdeformowanymi rękami lub nogami, i chciał wiedzieć, dlaczego tak się dzieje.

— Moje też się trzęsą — mówiłem.)

— Powiem ci jeszcze coś śmiesznego — wyznał niedawno. — Kiedy kogoś łaskoczę, to się sam śmieję.

— Jak to? — Po chwili i mnie się to wydaje śmieszne, więc śmieję się.

— Nie wiem — piszczy roześmiany. — Dlaczego się śmiejesz?

— Bo to zabawne. A dlaczego ty się śmiejesz?

— Bo ty się śmiejesz! — krzyczy rozradowany i śmieje się jeszcze głośniej, zachłystuje się śmiechem, obejmuje siebie, jak gdyby jego żebra i serce miały pęknąć pod naporem takiej radości.

Mały lubi się śmiać, cieszyłby się i przekomarzał, gdybyśmy go ciągle nie onieśmiałali i nie tłamsili. Nie umiem się wyzbyć strachu, że coś mu się stanie. (To jego zakłuli na śmierć w parku, on zapada na chorobę Hodgkina, jemu oczy wyjdą z orbit. Umieram ze strachu za każdym razem, kiedy kąpie się

w morzu. Kiedy go nie ma w domu. Ilekroć córka wyjeżdża samochodem z przyjaciółmi, oczekuję telefonu lub wizyty policjanta z wiadomością o okropnym wypadku, w którym poniosła śmierć. Czasem chciałbym, aby dzieci się pospieszyły i uległy tym wypadkom, żebym nareszcie mógł się uspokoić i przestać się wciąż zadreć. Czasem chciałbym, aby znajomi powymierali i uwolnili mnie od czułego niepokoju, który mnie ogarnia z wielkiej troski o nich. Nie niepokoję się tak strasznie o żonę, choć wiem, że jeździ dużo samochodem po wypiciu sporej ilości alkoholu w ciągu dnia. Prawie nigdy nie myślę o jej śmierci. Tylko o rozwodzie z nią. Nie lubię samochodów. Ani basenów pływackich, ani morza.)

Myślę o śmierci.

Ciągle myślę o śmierci. Zastanawiam się nad śmiercią. Boję się śmierci. Nie podoba mi się. Zdaje się, że śmierć jest dziedziczna w mojej rodzinie. Ludzie umierają na śmierć, a mnie ona się śni, snuję na temat śmierci nie kończące się ironiczne, wymyślne fantazje.

(I stwierdzam — niech Bóg się nade mną zmiłuje — że ciągle chcę wygłosić tę trzyminutową mówkę. Naprawdę chcę awansować na miejsce Kagle'a. Ubiegłej nocy leżąc w łóżku przestałem na chwilę myśleć o śmierci i zacząłem układać każdą z dwu mów, które ewentualnie będę musiał wygłosić. Może nie będę musiał wygłosić żadnej, ale ułożyłem dobre teksty dla każdej.) Więc kiedy ułożyłem już te dobre teksty wczoraj w nocy — a może zrobiłem to dziś rano, jeszcze nie całkiem rozbudzony, ale już uwolniony z oków snu — śniłem, że służąca zatelefonowała do mnie do biura, bo żona gdzieś tam popijała (lub rznąła się, miewam ostatnio takie sny i nie przepadam za nimi), aby mi oznajmić swoją bełkotliwą południowoamerykańską angielszczyzną, grubym jak u Murzyna głosem:

„Proszę pana... pański syn leży na podłodze w pokoju i nie oddycha już od piętnastu sekund.”

Tak właśnie doszły do mnie jej słowa w moim śnie lub chwilach otumanionej jawy.

„Proszę pana... pański syn leży na podłodze w pokoju i nie oddycha już od piętnastu sekund.”

(Bez nazwiska. Dziura, złowieszcze omińcie, puste podkreślenie, sam nie wiem.)

„Co?” — jąkam, lodowaciejąc, mrowie chodzi mi po skórze. (Jestem otepiały, bezsilny wobec zbliżającej się tragedii, która wreszcie musi nastąpić.)



„Proszę pana... pański syn leży na podłodze w pokoju i nie oddycha już od piętnastu sekund.”

Nie miałem nazwiska, ale wiedziałem, kim jestem.

Doskonale słyszałem ją przez telefon, ale z trudem jej mogłem uwierzyć lub ją zrozumieć — widziałem jej twarz, kobiecą, ciemną, okrągłą i beznamiętną, zmuszałem ją, żeby powtórzyła wiadomość, pytałem: — Co? — bo nic innego nie przychodziło mi do głowy, mogłem jedynie odwlekać fatalną wiadomość krzycząc: — Co? — i każąc jej powtarzać:

„Proszę pana... pański syn leży na podłodze w pokoju i nie oddycha już od piętnastu sekund.”

(Czas uciekał, lecz ciągle było piętnaście sekund.)

„Proszę pana... pański syn leży na podłodze w pokoju i nie oddycha już od piętnastu sekund.”

(Jestem przekonany, że to mi się śniło.) Co bym zrobił, gdyby coś takiego przydarzyło się naprawdę, gdyby pewnego nudnego dnia, który by się niczym nie różnił od innych dni, ktoś do mnie zadzwonił z domu do biura, że mój syn leży na podłodze w pokoju i chyba umiera? Wiem, co bym zrobił. Zatelefonowałbym na policję w Connecticut i niech policja się tym zajmie.

(„Mój syn leży na podłodze w pokoju i nie oddycha już od piętnastu sekund” — powiedziałbym może i byłoby to dokładnie tak, jak w moim śnie.)

Potem westchnąłbym w zadumie i poczuł dla siebie wielką litość. Musiałbym odwołać spotkania, zmienić plany, pospieszyć do domu bardzo wolno wlokącym się pociągiem. Najszybciej dojechałbym do samego domu taksówką, ale o tym pomyślałbym chyba dopiero na stacji, czekając na nadejście pociągu. Byłbym zdenerwowany, przerażony. Ale wiedziałbym, że mi się już tak bardzo nie spieszy, że tylko udaję, bo i tak już po wszystkim, że wolę przyjechać do domu, kiedy inni zajęli się już synem i tak czy siak wszystko już wiadomo i za późno już, abym ja się na coś przydał. Nie chciałbym nikomu powiedzieć w biurze, dlaczego wychodzę wcześniej, bo nie chciałbym się narazić na ciekawskie spojrzenia, współczucie i serdeczną troskę. Nie chciałbym być zmuszony odpowiadać na pytania przy następnym spotkaniu z tymi ludźmi. Nade wszystko chyba byłoby mi to niewygodne. (Zawsze jest mi niewygodnie, kiedy plany się zmieniają.)

Wczoraj byłem narażony na niewygodę, kiedy mężczyzna w moim wieku został zabity na stacji kolei podziemnej w pobliżu mojego biura, wywołało to korek w komunikacji i spóźniłem

się na koktajl z komiwojażerami, gdzie spodziewano się mnie wcześniej; automatyczne drzwi wagonu zatrzasnęły się na ramieniu faceta, kiedy chciał się wcisnąć do środka, pociąg ruszył, kiedy on jeszcze stał na peronie, jak donosiły dzisiejsze gazety, choć powinien był czekać, ciągnął biedaka przez cały peron i roztrzaskał go o słupy i metalowe ściany tunelu, w który wpadł z rozpędu. Żona biedaka zdążyła wsiąść do wagonu i patrzyła bezradnie (założę się, że nawet pochwyciła jego rękę i trzymała ją idiotycznie, bezsensownie, daremnie starając się go ratować. To było jak sen. Założę się, że ona właśnie w tej chwili mówi:

„To było jak sen”).

Inny facet w moim wieku został wczoraj zastrzelony w parku i nikt nie wie dlaczego. (Faceci w moim wieku zaczynają umierać na raka, wylewy i zawały.) W zeszłym tygodniu jeszcze jakiś facet został zastrzelony w parku i nikt też nie wie dlaczego. W zaprzyszłym tygodniu inny znów facet został zastrzelony w parku i nikt nie wie dlaczego. Co tydzień jakiś facet zostaje zastrzelony w parku. Nikt nie wie dlaczego. Jakiegoś chłopca zakłuto w kolei podziemnej. Nie wchodzę do parku. (W Jack-son, w stanie Missisipi, co roku mniej więcej trzech kolorowi studenci z zimną krwią zostają zabici przez policję, wszyscy wiedzą dlaczego, więc nikt z nas się nie boi.) Ja ciągle jeszcze boję się drzwi. Boję się zamkniętych drzwi i tego, co mógłbym zobaczyć lub co może się zjawić w otwartych. Wiem, że omal nie umarłem ze strachu, kiedy synowi usunęli migdałki i kiedy salowa przywiozła go nieprzytomnego na wózku na salę, był cichy i blady, czuć go było eterem, który przyprowadził mnie o mdłości, i dostrzegłem skrzep czerniałej krwi zwisający mu obrzydliwie z nieruchomego nozdrza. (Cud mnie uratował.) Żołądek mi się wywrócił. Zakręciło mi się w głowie. Pokój zawirował.

— Co się stało?! — krzyknęła przerażona żona. — Co ci jest?

(Może przypuszczała, że widzę czy wiem o nim coś, czego ona nie wie, albo że ze mną dzieje się coś okropnego, bo była przerażona.)

Nie mogłem dobyć głosu. Myślałem, że zwymiotuję (ale nie czułem się na to dość silny). W uszach mi szumiało, bolał mnie mózg, podłoga falowała jak zwariowana i chyba naprawdę byłbym zemdlął (*jak* baba), gdyby żona nie odskoczyła od łóżka syna, nie pochwyciła mnie za łokieć i nie przywołała do przytomności ukłuciem długich, ostrych paznokci i przenik-

liwym krzykiem. Trzymała mnie mocno, oczy jej płonęły jak wielkie, rozżarzone latarnie. Powstrzymała mnie od upadku, zaprowadziła jak wykończonego chorego do krzesła. (Jest silniejsza ode mnie i lepsza też, ale nie mogę dopuścić do tego, żeby się o tym kiedykolwiek dowiedziała.) Nalała mi szklanek wody z dzbanka, który stał na stoliku przy łóżku syna. Kiedy piłem wodę, wszedł lekarz i spytał, czy coś mi jest. Nieszczercze potrząsałem głową.

— Nic mu nie jest? — spytałem. — Proszę to powiedzieć mojej żonie. Wszystko w porządku, prawda?

— W jak najlepszym — uśmiechnął się lekarz. — Szybko przyjdzie do siebie. To należy do niego. Były jego. Może będzie chciał je mieć.

Wyrzuciliśmy te migdały, nim syn odzyskał przytomność i dowiedział się, że lekarz nam je dał.

Nigdy nie zapomnę tej jego operacji. (Nigdy nie zapomniłem własnej.) Ciągłe miewam te same objawy, duszę się ze słodkawego zapachu eteru przy nim, przypominam sobie jego bladą twarz i zakrzepłą krew, bezczeszcząca jedno z jego nozdrzy, z niezmiennym bólem przypominam sobie, jak po powrocie do domu obsesyjnie, instynktownie wkładał się (przez pewien czas był jak żywe, przedludzkie stworzenie, malutki, obsesyjnie przerażony) do naszej sypialni po ciemku, kalkulując za każdym razem, że powinniśmy już mocno spać, bo bał się być sam w nocy w swoim pokoju. (Nie rozumieliśmy wówczas, że to naprawdę przekraczało jego siły. Myśleliśmy, że to tylko chytrłość. Ja też chyba nie mogłem być sam w pokoju po mojej operacji migdałów. Pamiętam, że kiedyś pozwolono mi chyba spać w łóżku rodziców, i nie widzę innego powodu prócz tego, że musiałem być chory i wystraszony.) Myśmy go wyganiali. Wieczorem nie chciał w ogóle wchodzić do swego pokoju, kiedy kazaliśmy mu iść spać. Zmuszaliśmy go. (Bał się chyba, że podstępnie chcemy go na zawsze zamknąć w tym pokoju, jak tylko go tam zwabimy i zamkniemy za nim drzwi. Nie pozwalał zamykać tych drzwi. Musiały być otwarte przynajmniej na cal.) Nie zamykaliśmy jego pokoju. Zamykaliśmy się w naszym pokoju przed nim. Robiliśmy to dlatego, że nie chcieliśmy, żeby przychodził do nas w nocy, ciągnąc za sobą kolorową kołderkę (znajdywaliśmy go zwiniętego w kłębek na podłodze, pod naszymi drzwiami, w korytarzu, gdzie był przeciąg. Otwierając rano drzwi naszej sypialni i potykając się o niego, tłumiliśmy krzyki, gdyż zapominaliśmy z początku, że on tam

może leżeć. Później baliśmy się otworzyć nasze drzwi, czując, że on tam jest. Czasem go nie było, przepadał, co było równie okropne, dopóki go nie znaleźliśmy). Najedliśmy się strachu i nadenerwowali wszyscy (głównie chyba on, choć nie myśleliśmy o nim. Bardzo często sypiałem na mieście. Przeszło mu to po tygodniu. Ze mną trwało dłużej.) Była to udreka (którą on nam zadawał). Doprowadzał nas do szału i rozpacz, gdyż co noc starając się usnąć czekaliśmy, żeby poruszył klamką albo zacząłapał po puszystym dywanie naszej sypialni wkradając się do nas; budził nas, straszył, że złości i męki nie mogliśmy usnąć z powrotem, rano zaś byliśmy skwaszeni, znajdując go na podłodze w nogach naszego łóżka lub w kącie, jego kołderka leżała odrzucona koło szafki czy krzesła, spał ze zlepionymi, obrzękłymi z wyczerpania powiekami, półotwartymi ustami, lekko obrzmiałymi, z kropelkami śliny, nieruchomym kciukiem koło ust, jak gdyby się dopiero z nich wysunął. (Jakie ja katusze przeżywałem przez tę jego operację migdałów. Była gorsza od mojej własnej. Może nigdy się z niej całkowicie nie otrząsnę.)

— Siedz w swoim pokoju — rozkazywałem mu.

— Wracaj do swego pokoju — namawiałem go łagodnie w naszej ciemnej sypialni, kiedy nieoczekiwanie ogarniała mnie dobroć i litość (błagałem go właściwie, żeby zostawił nas w spokoju). — Zostaw światło, jeśli chcesz. Nie masz się czego bać.

— Ja się nie boję.

— Mamusia albo ja posiedzimy z tobą.

— Potem sobie pójdziecie.

— Nie mogę siedzieć z tobą całą noc.

— To dlaczego ja mam tam siedzieć?

— Bo to twój pokój.

— Chcę być w waszym pokoju. Z tobą i mamusią.

— Doktor powiedział, że nie powinienes. Powiedział, że to byłoby niedobrze dla ciebie.

— Jaki doktor?

— Ten, u którego byliśmy.

— Ja mu nie wierzę.

— Chcesz pójść do niego?

Zarówno wtedy, jak i teraz boi się lekarzy, pielęgniarek i dentystów. (Boi się, że mu będą borowali lub usuwali zęby.) Sądzę, że i on nigdy całkowicie się nie otrząśnie z operacji migdałów. Ani on, ani córka nie darują mi chyba nigdy, że

dopuszciliem do ostrej infekcji ich migdałów, wskutek czego musiano ich zabrać do szpitala, aby je usunąć (lub obciąć, jeśli operacja na tym polega. Zoperowano mu też trzeci migdał. Nie jest na mnie zły z powodu trzeciego migdału, bo nie wie jeszcze, co to takiego, zresztą nikt tego nie wie, aczkolwiek i ten mu usunięto. Jest to jakoby wysoce wyspecjalizowany organ umieszczony w ludzkim gardle, którego jedyna funkcja naturalna polega na konieczności usunięcia), syn identyfikuje ludzi, którym nie ufa (mnie nie, aczkolwiek nie zawsze mi ufał), z anestezjologiem, choć słabo go pamięta.

— Zrobił mi enemę — mówi niechętnie, zawstydzony, podczas którejś chaotycznej dyskusji ze mną o wszystkim, co mu zaprzęta myśli.

— Mylisz się — poprawiam go — to była anestezja. To myśmy ci zrobili enemę w przeddzień operacji w domu.

— Był podobny do Forgionego.

— To był Japończyk, a Forgionego jeszcze wtedy nie znałeś.

— Forgione to Włoch — przyznaje zamyślony. — On mnie nie lubi.

— Nieprawda, lubi.

— Nie, nie lubi.

— Lubi. Teraz lubi.

— Ja go nie lubię.

— Nie musisz. Udawaj, że lubisz.

— Panna Owens mnie nie lubi.

— Lubi. Daje ci dobre stopnie.

— Ciągłe na mnie krzyczy.

— Nigdy na ciebie nie krzyczy.

— Boję się, że będzie krzyczała, jak nie odrobię lekcji.

— To odrabiaj.

— Forgione mówi, że nie umiem się wspinać po linie.

— A umiesz?

— Nienawidzę Forgionego.

— Nie musisz.

— Jak to?

— Bo on ciebie lubi.

— Znów byłeś u niego?

— Chciałeś, żebym poszedł?

— Boję się go.

— Nie musisz się go bać.

— Skąd wiesz?

— Forgione mówi, że jesteś dobrze zbudowany i potrafisz

biegać jak łasica. Ale się nie przykładasz. Musisz się posługiwać stopami wspinając się po linie. Nie łydkami, stopami.

- Co to takiego łasica?
- Czworonóg, który biega jak ty.
- Czy będę miał zęby mądrości?
- Naturalnie, jak dorosnie.
- Trzeba będzie je wyrwać?
- Chcesz się teraz o to martwić?
- Myślisz, że to zależy ode mnie?
- Jeśli będą chore.
- Ty mnie nie lubisz.
- Lubię.
- Wyjeżdżasz.
- Dokąd?
- Do Porto Rico.
- Muszę.
- Do Porto Rico?
- Kiedy?
- W zeszłym roku. Pojechałeś do Porto Rico.
- Musiałem.
- Znow pojeździsz?
- Będę musiał.
- Niedługo?
- W czerwcu.
- Do Porto Rico?
- Jestem w komitecie. Pomagam wybrać miejscowość.
- To twoje nowe stanowisko?
- Jeszcze go nie mam.
- Żeby wygłosić mowę?
- Spodziewam się.
- Kiedy cię nie było, ukradli mi rower.
- Kupiłem ci inny.
- Bałem się, że mnie zbija.
- Gdybym nie wyjechał, też by go ukradli. Byłbym w biurze.
- Nie jedź.
- Muszę.
- Kiedy wyjeżdżasz, boję się, że nie wrócisz.
- Wiem.
- Skąd wiesz?
- Sam mi powiedziałeś.
- Czasem płaczę.
- Wrócę.

— Nie chcę być sam.  
 — Nie będziesz sam. Mamusia będzie z tobą.  
 — Mamusia mnie nie lubi.  
 — Owszem, lubi.  
 — Krzyczy na mnie.  
 — To ja krzyczę na ciebie.  
 — Ty mnie nie lubisz.  
 — Nie gadaj głupstw. Jak krzyczę, to potem żałuję. Nie masz się o co martwić. Wrócę. Nigdy cię nie opuszczę.  
 — A jak umrzesz?  
 — Po co o tym myślisz? — pytam zaskoczony.  
 — Nie chcę, żebyś umierał — mówi poważnie. — Może dlatego myślę o tym.  
 — Żebyśmy nigdy nie umarli?  
 — Nigdy.  
 — Postaram się nie umrzeć — śmieję się. (Głucho, z przy musiem.) — Zrobię to dla ciebie. Ja też nie chcę umrzeć.  
 — Ale będziesz musiał — zastanawia się. — Prawda?  
 — Owszem, pewnego dnia. Ale ciebie to już wtedy nie będzie może obchodzić.  
 — Jak to? — spogląda na mnie przenikliwie.  
 — Będziesz już całkiem dorosły, jeśli ci szczęście dopisze, i nie będę ci potrzebny. Będziesz umiał sam troszczyć się o siebie i nie zechcesz, abym był z tobą. Może nawet będziesz rad, że już na ciebie nie krzyczę.  
 — Hej, dziwko, chodź tu — woła nagle do siostry i uśmiecha się zdziwiony, widząc, że mi nie wierzy. — Wiesz, co tatuś powiedział? — oczy znów mu błyszczą. — Że jak on umrze, to może nie będzie nas to obchodziło, bo będziemy już dorośli i sami się będziemy troszczyć o siebie. Może nawet będziemy radzi.  
 Córka jest chłodna i milcząca (przeczuwam, że wkrótce popadnie w nałóg zażywania otepiających narkotyków, jeśli już ich nie zażywa).  
 — A Derek? — pyta z genialną złośliwością, oczy jej roz błyskują, są zimne. Marszczę brwi. (Ona jest dumna z tego ciosu.)  
 — Nie myślałem o nim.  
 — Zapomniałeś, że istnieje?  
 Zapomniałem. Szkoda, że częściej nie mogę o nim zapominać. Trudno na długo wyrzucić go z pamięci (skoro jest jeszcze w domu, choć ciągle staram się zapomnieć. Kiedy go nie widzę,

na ogół o nim nie myślę. Powinniśmy wysłać go do zakładu i raz na zawsze wyrzucić go z domu i głowy. Co by to była za ulga. Ale i denerwujące. Córka chce, żebym to zrobił. Syn nie chce. Chodzenie do lekarzy jest już bezprzedmiotowe. Jak mój mały, boję się lekarzy, pielęgniarek, dentystów (choć udaję, że nie), zapewne bałem się ich zawsze. Boję się, że mogą mieć rację. (W wojsku patrzyłem bez zmrużenia oka na igłę, kiedy dawano mi zastrzyk uodporniający, właśnie dlatego, że strasznie chciałem odwrócić oczy. Nie jestem już dawcą krwi, nie daję już jej do naszego biurowego banku krwi, bo Wydziały Personalny i Zdrowia wprowadziły ułatwienia i co roku pobierają krew od naszych odważniejszych urzędników, zgłaszających się dobrowolnie, za co w nagrodę dostają rozcieńczony sok pomarańczowy. Nie daję swoim podwładnym dobrego przykładu.) Teraz już zaprzątam sobie myśli zębami mądrości syna. Nigdy przedtem o nich nie wspominał (bo dręczyłbym się tym już wcześniej. Mam nadzieję, że mu się nie zaklinowały. Jak ja dam radę zaciągnąć go do dentysty, jeśli się dowie, że muszą być wyrwane? Może on już wówczas będzie inny? A może nie będzie. Nie cieszę się z góry, że mnie trzeba będzie wyrwać zęby. Rzadko mam teraz próchnicę, ale stare plomby wypadają, poza tym trzeba od czasu do czasu usuwać kamień nazębny, nie lubię, kiedy mi się rani miękkie dziąsła ostrymi, twardymi narzędziami, bo potem bolą i krwawią. Nie lubię, kiedy dentysta łaskocze mi podniebienie usuwając kamień z wewnętrznej strony górnych zębów. Boję się chodzić do dentysty dwa razy do roku. A potrzebuję zabiegów przeciw paradentozie i powinienem chodzić co tydzień). I ja się boję Forgionego (też bym nie chciał się wspinać po linie dla jego przyjemności. Czasem i on się wkrada do moich snów obok czarnuchów i innych groźnych obcych ludzi, przemyka przez ciemne tło i znika, nim mogę się zorientować, co tam robił), choć nie identyfikuję go z anestezjologiem w trakcie operacji migdałów (wcale się tamtego nie bałem, mimo że dał mojemu synowi płynny środek znieczulający przez gumową różową rurkę w naszej obecności. Czy to była enema? Może syn miał rację). Wiem, że nigdy nie zapomnę jego operacji ani własnej, ani operacji córki, ani paskudnych orzeczeń lekarzy, mówiących mi bez ogródek, że moja matka przeszła prawdopodobnie drugi niewielki skurcz mózgu czy też wylew, a poza tym niszczący skutek postępującego artretyzmu, więc trudno coś powiedzieć na pewno (były to bowiem ponure, koszmarnie prze-



życia, których nie potrafię wymazać z pamięci); wiem również, że z przykrością będę wspominał tego ostatniego, młodego wziętego lekarza w garniturze w prążki, trzymającego się przesadnie prosto (młodsze ode mnie i zarabiającego więcej), wychodzącego na patio (nigdy tego nie zapomnę) po zbadaniu Dereka pewnego perłowego dnia na wiosnę (nigdy mu tego nie daruję), zamykającego za sobą siatkowe drzwi z uśmiechem na zadowolonej z siebie, niewzruszonej twarzy (do końca życia będę chyba pamiętał ten uśmiezek) i oznajmującego:

— Nigdy nie będzie mówił.  
Co za łajdak!

Wydaje mi się, że przez całe życie tkwiłem wśród osób, które nie mogły mówić. Matka nie mogła mówić pod koniec życia. Moje najmłodsze dziecko, Derek, nie mógł mówić od początku. Siostra i ja prawie nigdy nie mówimy z sobą. (Wymieniamy pocztówki z pozdrowieniami.) Nie rozmawiam z kuzynami. (Może nigdy już nie będę mówił. W snach miewam często trudności z mówieniem. Język mam martwy, suchy, opuchły, omal mnie nie dusi. Powierzchnię ma chropowatą. Nie porusza się, kiedy chcę coś powiedzieć, jestem zagrożony, przerażony, nie mogę z siebie wydusić słowa czy krzyku.) Żałuję, że muszę zostawić rodzinę i jechać do Porto Rico. (Martwię się, kiedy muszę wyjechać. Martwię o nas wszystkich. Co by się z nimi stało, gdybym nie wrócił?)

Derek na ogół jest dość miły (jak na dzieciaka, który nie potrafi mówić), umie już poprosić o nocnik. Nie mamy już z nim kłopotów zabierając go z sobą i na ogół zachowuje się normalnie. Jednakże osiągnie najwyżej rozwój umysłowy pięcioletniego dziecka, a i to bardzo powoli, należy się spodziewać burzliwych stanów emocjonalnych w okresie dojrzewania i pełnej dojrzałości seksualnej. (Jeśli dożyje tego czasu. Słyszałem, że w pewnych przypadkach opóźnieni w rozwoju — teraz możemy go i tak nazywać — żyją krócej od ludzi normalnych, więc łapię się na tym, że i na to liczę.) Czasem jego rozmarzone, nieruchome i nie rozumiejące spojrzenie nadaje mu wygląd zadumanego, jakby myślami błądził gdzieś daleko, ale poza tym jego twarz nie wyróżnia się niczym szczególnym. (Nie

przynosi nam już wstydu publicznie, chyba że stara się coś powiedzieć. Wówczas nakazujemy mu być cicho.

- Sza! — mówimy szeptem.)
- Czy on będzie kiedy mówił? — pyta syn.
- Nie.
- Odeślesz go?
- Zrobimy, co będzie najlepsze.
- Czy odesłałbyś mnie, gdybym nie potrafił mówić?
- Ale potrafisz.
- A gdybym nie potrafił?
- Potrafisz.
- Ale gdybym nie potrafił? Gdyby mi się coś stało?
- Zrobilibyśmy to, co byłoby najlepsze.
- Dla kogo? — ironizuje córka.
- Dla nas wszystkich. Nie odesłamy go do zakładu tylko dlatego, że nie potrafi mówić.
- Proszę, nie oddawaj go — błaga syn, który nie może nawet spojrzeć na brata, żeby się zaraz nie cofnąć.
- W takim razie dlaczego nam nie pomożesz? Nigdy nie chcesz się z nim bawić. Żadne z was nie chce.
- Wy też nie — kpi córka.
- Milczę.
- Syn też.

W mojej rodzinie boją się czterech osób. Trzy z tych czterech boją się mnie, a każda z tych trzech boi się również pozostałych dwóch. Tylko jedna osoba w mojej rodzinie nie boi się pozostałych i to jest idiota.

## To nieprawda

---

lo nieprawda, że opóźnione w rozwoju (z uszkodzonymi mózgami, zidiociałe, z rozmiękczeniem mózgu, z zaburzeniami emocjonalnymi, autystyczne) dzieci z konieczności są kochane przez rodziców lub że są zawsze niezwykle piękne i urocze, gdyż Derek, nasz najmłodszy, nie jest szczególnie ładny, a my go wcale nie kochamy. (Wolelibyśmy o nim nie myśleć. Nie chcemy o nim mówić.)

Mieszkamy obecnie — powodzi nam się znakomicie — luksusowo, on ma własną pielęgniarkę, w cudownym, jednopiętrowym drewnianym domu w stylu kolonialnym, z białymi okiennicami, położonym na pięknej parceli w stanie Connecticut, na krętej, malowniczej, wyasfaltowanej ulicy zwanej Peapod Lane, lecz ja nienawidzę tego domu. Wokół domu rosną róże, cynie i chryzantemy, których też nienawidzę. Mam jawory i kasztany na mojej polance i w mojej dolince, garnki kleju w garażu. Mam elektryczny siewnik z szesnastoma uzupełnieniami, których nigdy nie używam. Trawa ściele się pod moimi nogami przed i za domem, kwiaty kwitną o właściwej porze. (W naszej okolicy wiosna pachnie chemikaliami, insektycydami i końskim łajnem.) W sąsiedztwie mieszkają ludzie trzymający konie, nienawidzę tych ludzi i ich koni. (To podmiejska dzielnica kategorii A, niech to cholera, nie żaden dziki, prymitywny Zachód, a te buce trzymają konie.) Nienawidzę sąsiada, a sąsiad nienawidzi mnie.

Jest jeszcze mnóstwo innych rzeczy, których mógłbym nienawidzić (gdybym był zrzędą ustawicznie trzaskającym dziobem, cha, cha, albo żalosną ofiarą odruchów litości nad sobą,

cha, cha, cha). Potrafię nienawidzić nawet siebie — samego — wielkodusznego, tolerancyjnego, uroczego, poczciwego Boba Slocuma (w miły i pobłażliwy sposób naturalnie) za to, że trwam tak długo w małżeństwie z jedną żoną, zważywszy, że niewąłem na ten temat poważne wątpliwości, że kiedyś latem molestowałem swoją młodziutką kuzynkę, kiedy matki nie widziały, a potem natychmiast czułem się po wsze czasy zdeprawowany i miałem wstręt do siebie (z góry wiedząc, że tak będzie, co nie należało do przyjemności. Pamiętam do tej pory puste, zdumione spojrzenie jej dzieciennych oczu. Nie zrobiłem jej krzywdy, nie przestraszyłem jej. Dotknąłem tylko na chwilę jej majtek między nogami, potem jeszcze raz w tym samym miejscu. Dałem jej dziesiątkę i potem żałowałem tego, bo przyszło mi do głowy, że ona może o tym powiedzieć. Nikt nic nie powiedział. A mnie się ciągle zdaje, że powiedzą. Niewarte to było dziesiątki. Dziewczynka była nudna i nieładna. Ciekawe, co się z nią stało. Nic. W moich archiwach pozostała nudna i nieładna. Nie zmieniona. Nasze rodziny oddaliły się od siebie — mógłbym siebie kopnąć za to, że zaprzepaściłem tyle bezcennych okazji z Virginią przez więcej niż pół roku i z parą sióstr harcerek, które znałem przedtem w szkole średniej. Myślałem, że one tylko żartują, kiedy chichocząc robiły różne aluzje. Ale chodziły na prawdziwe seksualne prywatki z chłopakami z gorszych dzielnic, którzy rozbijali prywatki w naszej dzielnicy, jeśli ich nie zapraszano. Mówiono, że gwałcą dziewczęta), kiedy zobaczyłem starszego brata z rozpiętym rozporciem na ziemi, w ciemnej szopie na węgiel koło naszej kamienicy, z chudą dziewczynką, młodszą siostrą Billy'ego Fostera, która w szkole podstawowej chodziła ze mną do jednej klasy, ale nie uczyła się zbyt dobrze (mój duży brat wcale nie był taki duży wtedy), sutki jej sterczały, lecz nie miała piersi, co nie przeszkadzało jej robić tych rzeczy (Geraldine nie miała takich dobrych stopni z geografii, historii i matematyki jak ja, a już robiła to wszystko z dużymi, starszymi chłopakami jak mój braciszek. Ja jeszcze nawet nie obalałem dzidy); krzyczę, miazdę wzrokiem swoje dzieci (widziałem, jakie są oszołomione, przerażone, kiedy myślą, że jestem zły, widziałem, jak się męczą starając się mówić spokojnie. Serce staje im w gardle. Widzę, jak się trzęsą, jak obezwładnia je męka, i mam ochotę uderzyć je za taką słabość. Wyrzucam to sobie później i gniewam się na nie jeszcze bardziej), poniżam żonę (nie chcę już jej tyrani-

zować i staram się nie flirtować z kobietami, które ją znają), dawniej często, powodowany tchórzliwą słabością, kapitulowa-łem przed swoją władczą, apodyktyczną teściową (która z początku bardzo mną poniewierała) (a ja musiałem udawać, że tak nie jest) i wiedźmowatą, opryskliwą szwagierką (teraz wychudłą i paskudną, z twardymi, głębokimi bruzdami na twarzy niczym pestka brzoskwini), brzydziłem się sobą za to, że tak absolutnie, rozpaczliwie, jakby to było moje fatum, płaszczyłem się przed grubą, despotyczną, niezapomnianą panią Yerger w Zakładzie Ubezpieczeń od Wypadków Samochodowych, która trzymała mnie w ryzach, jak się zdawało (i która przypomina mi się teraz, ilekroć piekłę się na pielęgniarkę Dereka — pojęcia nie mam, dlaczego nazywam ją pielęgniarką, skoro wcale go nie pielęgnuje. To dozorczyni. Dozoruje mojego opóźnionego w rozwoju syna), wyłamała się jak złowróżbny okręt wojenny, przechodząc z nieważnego działu do Działu Ewidencji — od razu wiedziałem, czułem mróz w krwi, kościach i koniuszkach palców, że ona szybciotko pośle mnie na trawkę, jeśli ja jeszcze szybciej nie wyniosę się z własnej woli — mnóstwo razy mam ochotę kopnąć siebie za to, że tak fatalnie spudłowałem ze słodką, piersiastą Virginią, idiotycznie naiwny prawiczek, biedna sierotka, a czasem i coś gorszego.

Co za kretyn był ze mnie!

„Pamiętasz panią Yerger?”

Nikt na świecie nie będzie wiedział, o czym ja mówię. Vir-ginia wiedziałaby może, ale jej nie będzie w pobliżu, kiedy stracę rozum w starczym wieku lub z powodu delirium i zacznę zadawać obcym ludziom takie zagadki z zamierzchłych czasów, mające dla mnie żywotne znaczenie, w rodzaju:

„Pamiętasz panią Yerger?”

(Ja ją pamiętam, pamiętam też, że Virginia już nie żyje, że byłaby teraz luszczącym się worem z rozedmą płuc i zapaleniem żył, gdyby żyła. Co za kretyński bałwan był ze mnie, mogłem ją wówczas mieć. Była napalona. Ja — skamieniały ze strachu. Co mnie tak długo hamowało i unieruchamiało, do diabła? Nic dziwnego, że kiedy się wreszcie dorwałem do tych rzeczy, nadrabiałem straty.)

Ten zakład istnieje jeszcze. (Ona nie.) Nie rozrósł się. Wcale o nim nie słyhać. Za to wszędzie słyhać o naszym koncernie. A dla mnie od tego czasu życie składało się z jednego cholernego, sterylnego biurka w jednym biurze za drugim, nie licząc kilku dobrych lat spędzonych z dala od domu w wojsku.

Jaką wspaniałą okazję zaprzepąściłem. (Byłem kretynek. Nie raz i nie dwa rypałem żonę w swoim gabinecie w domu, nawet w biurze na biurku pewnej niedzieli, kiedy dzieci poszły same na program do music-hallu w radiowym miasteczku. Uważały, że to staroświeckie.) Jakie wspaniałe cyce mogłem miętosić w tamtych miesiącach, zamiast skubać klajstrowate kanapki z łososiem z puszki, pomidorami czy kielbasą, które matka dla oszczędności dawała mi na lunch. Kanapki też mi smakowały. Lizałbym teraz jej usta i duże piersi łososiowo-pomidorowym językiem. Wcale bym tego nie robił, wszystko byłoby jak wtedy, gdybym ją miał teraz, i to ja byłbym starszy, kalkulowałbym do zafajdanej śmierci, jak się od niej uwolnić, wyrwać na wolność bez uszczerbku z możliwie czystym sumieniem, jak to robię z tyloma dziewczętami, z różnymi Patty, Judy, Karen i Penny, a nawet z moją wysmukłą, uśmiechniętą, wysoką, wiotką i bardzo młodą Jane, dzieckiem jeszcze, moją odświeżającą, nową pokusą z pracowni graficznej, która byłaby miękka jak wosk w moich rękach. (Ale jak długo można pozostać pod urokiem wosku?) Nie zjawiam się na randki z dziewczętami i jestem z tego tak dumny i zadowolony, jak gdybym je zdobył. (Łatwiej nie przychodzić, niż przychodzić na randki, zajmuje to mniej czasu. Pozostał nam właściwie jedynie czas. Tylko nie wiemy, co z nim zrobić. Wobec tego umawiam się na randki.) Dziewczęta na ogół zawsze były dla mnie bardzo miłe. (Uważam, że po to istnieją.) Żadnej jednak nie mam ochoty widywać często i nie potrafię ich znieść na dłuższą metę. One potem chcą rozmawiać, zbliżyć się, a ja chcę spać i wrócić do domu. Wyklamuję się. (Lubię umawiać się z pracującymi dziewczętami podczas godziny lunchu w mieszkaniu Reda, bo wiem, że będą musiały szybko wyjść, aby zdążyć do pracy.) Zwlekam. Zwlekam z Jane (trzy kroki naprzód i trzy wstecz), kluczę, z góry wiem, co mi się w Jane nie będzie podobało potem (okaże się naturalnie za chuda. I niedojrzała. Sama skóra i kości. O czym bym z nią mówił? O miłości? O jej malowaniu? Pomyśli, że jesteśmy sobie bliscy. Potworne. Czy ja kiedykolwiek potrafię się uchronić od uczuciowego galimatiasu?), zbliżam się do Jane najbardziej, kiedy wiem, że nie będę mógł zbliżyć się bardziej, nigdy nie mówię żartem, że chciałbym się spotkać z nią po pracy, jeśli nie jestem pewien, że to niemożliwe. W moim szaleństwie jest metoda. Jestem natarczywy tylko wtedy, kiedy wiem, że jestem bezpieczny.

Rzucam ostrożność na wiatr, kiedy wiem, że **nie** ma śladu wiatru. Na pewno pożałuję kiedyś, że nie wykorzystałem **tylu** kobiet, jak żałuję teraz, że nie wykorzystałem **Virginii lub** choćby Marie Jencks. Już żałuję.

— Zrób to ze mną, jak robiłeś z Marie — **wyspiwywała** Virginia.

Nic nie robiłem z żadną.

Niezależnie od tego, co robię z kobietą, zawsze czegoś żałuję. Żal tkwi we mnie. Poza tym jestem zdrow, czuję się i wyglądam całkiem dobrze, choć wyhodowałem sobie brzuszek i dźwigam coś w rodzaju woreczka pod brodą. Gdybym się zabrał do siebie, straciłbym nadwagę w ciągu miesiąca. Myślę, że byłem może równie ładnym chłopcem jak chłopcy, którymi chełpią się moje przyjaciółki, kiedy zdobędą takiego na nudne, próż-niacze wieczory czy popołudnia. (Chełpią się, że poderwały pedałów, czarnuchów lub jedna drugą. Nic mnie to nie obchodzi. Owszem, obchodzi. Ale dzięki temu łatwiej puszczam je w trąbę, kiedy powiem sobie, że chcę tego. Lubię dziewczyny, które chodzą z innymi facetami.) Virginia mówiła mi często, że jestem przystojny, uroczy, seksowny i sprytny, zapewniała, że kiedy dorosnę, będę miał wszystkie dziewczyny, jakich zapragnę.

Mylili się. Nie miałem wszystkich, które chciałem mieć. I miałem szereg takich, których nie chciałem.

— Weź go do rączki, pani Murphy — **wyspiwywałem** do niej, uszczęśliwiony, pławiąc się niewinnie w jej słodkich komplementach i czulej serdeczności.

Była dla mnie szeroko otwarta wtedy, a ja o tym nie wiedziałem. Była dla mnie szeroko otwarta i oczywiście o tym wiedziałem. Pewnie dlatego odskakiwałem od niej taki poważny i niezdarny, kiedy doprowadzała mnie dalej, niż czułem się na siłach pójść. (Jak tylko spostrzegalem, że mogę z nią robić, co chcę, stawałem się niezdolny do zrobienia czegokolwiek. Nie potrafiłem powiedzieć właściwych słów. Wszystko sprowadzało się do słów, a ja nie potrafiłem powiedzieć właściwych.)

Odbierało mi mowę (jak w obecności pani Yerger, bo ani przez chwilę nie wierzyłem, że mógłbym powiedzieć coś, co by ją ubawiło, i jak moje dzieci oraz żona niemieją w mojej obecności). Pojęcia nie mam, dlaczego. Teraz chłopaki robią to wszędzie ze starszymi od siebie dziewczynami (**jeśli** można

wierzyć chłopakom lub starszym dziewczynom). Prawdomówne dziewczyny chełpią się podrywem ładnych czy brudnych chłopców podczas letnich weekendów w takich miejscowościach, jak Martha's Vineyard czy Fire Island (Arabów, Greków czy Słowian na wakacjach w Europie), albo na ulicy po południu, kiedy młodzieńcy nie mają nic do roboty. Są seksualnie wyzwolone (jak twierdzą). Nie mają wyrzutów sumienia (jak zapewniają). Nie są niewolnicami społecznych czy psychologicznych hamulców. Co na drodze, to nieprzyjaciel. Więc dlaczego są zdenerwowane, histeryczne, napięte i przygnębione? Są samotne. Nie mają nic do roboty.

— Nie mam nic do roboty — mówi mój syn.

— Chciałabym mieć coś do roboty! — woła córka.

— Róbnmy coś — powiada żona. — Chodźmy do kogoś.

Niedziele są okropne.

Wolny czas to klęska.

Kobiety w wieku mojej żony, których małżeństwa nie wypaliły, energicznie nawiązują romanse z o wiele młodszymi od siebie facetami, czasem z chłopcami, a ich mężowie nie są tym zachwyceni. (Oto kobiecy sposób odgrywania się na nas. Mężowie znoszą jakoś brak forsy czy dzieci, ale znieść nie mogą, kiedy ich żony się puszczają z młodszymi od nich bucami i wszem wobec się tym przechwalają.) Nasze buce są bardzo żalodne. (Czułem to wcześniej w życiu i byłem bliski prawdy. Odczuwałem potrzebę, ale nie moc. Czułem pragnienie. Nigdy nie myślałem o członku jako narzędziu dominacji.) One zawsze znajdują twardszego i nachalniejszego na specjalne okazje. (Dziewczyna zawsze znajdzie faceta, który ją wyrucha choć raz.) Czują się chyba bezpieczniej z nastolatkami, studentami czy pomocnikami cieśli w letniskowych miejscowościach, do których zjeżdżają na krótko, łapią inicjatywę wysuniętymi, wyostrozonymi czubkami palców (pod warunkiem, że nie obgryzały paznokci i nie stępiły tych czubków, jak to wszyscy coraz częściej robimy) i panują nad sytuacją. Każdy chce panować nad sytuacją. (I ja chcę panować nad sytuacją. Penny doprowadza mnie do zatracenia się, często też moja żona. Penny za każdym razem robi ze mnie bełkoczącego, charczącego idiotę, uwielbiam to.) Mam dziewczynę, która zupełnie się zatracza przy każdym orgazmie, potem gorzko, zawzięcie przez pięć, dziesięć minut nienawidzi mnie i całego świata (dopóki się nie opanuje), dopóki jej roztrzęsione zmysły nie wrócą do



normalnego stanu. (Wówczas zaczyna ssać kciuk.) Czuje się upokorzona, pokonana, wroga, nieśmiała. Wstydzi się. Odsuwa się ode mnie, kuli jak katatoniczne dziecko i nie pozwala się dotknąć, chyba że głaszczę ją i szepczę słowa pociechy. Woli nie mieć takich doznań (chyba że sama się do nich doprowadza wibratorem lub palcem), broni się przed swoją reakcją, woli nie czuć rozkoszy, tylko ją dawać, bo myśli, że ten, kto na nią patrzy, wyśmiewa się z niej. Ja nie patrzę. I wolę, aby mnie nie zmuszano do dawania. (Uzupełniamy się. Mam jednak posmak władzy nad innym człowiekiem, kiedy udaje mi się ją zerznąć. Czuję się mocny. Zostawiamy nasze stare charaktery i przemieniamy się w co innego.) Gdyby mi nie chodziło o prestiż, wołałbym nie doprowadzać do orgazmu żadnej prócz własnej żony, jest w tym nawet jakiś element sadystycznego okrucieństwa (nie troska i nie zrozumienie). Niektóre bardzo groteskowo się zmieniają. Powinny by się wstydzić. Jest coś naprawdę odbierającego złudzenia, deprawującego, alarmującego i nieprzyzwoitego w ich krzykliwym, obnażonym, mimowolnym skręcaniu się. Trudno nie myśleć o nich źle w chwilę potem, przez dwadzieścia lat czasami. My przynajmniej przenikamy je namiętnie, dziko od samego początku, chutliwie jak mał-piszony, i nie ukrywamy tego. Wiele z nich teraz zachowuje się tak samo, ale ja nie najlepiej się czuję z takimi (choć wiem, że to pewniak. Może nie powinno to być takim pewniakiem. Znam dziewczynę, z którą nic nie jest pewne, z moją żoną też nie. Miewa bóle, rozstroje żołądka, bywa zmęczona. Z Penny to pewniak. Nie widuję jej tak często jak dawniej.) Nie lubię kobiet, które są bardzo pewne i rozkazujące.

„Okej, zabierzmy się do dzieła — zdają się komenderować. — Dość długo robiłeś to po swojemu.”

Te pewne siebie wiemy! Na ogół wolę je zmuszać, aby same robiły i dawały wszystko, czuję wtedy, że ja coś z nimi zrobiłem, coś mi się upiekło. Wiele z nich też woli w ten sposób. Ssa swoich młodych chłopaków. To im się pewnie wydaje łatwiejsze. Nie muszą się rozbierać i pokazywać nago. Nie muszą być zdolne do orgazmu albo udawać, że są. Nie muszą być „dobre”. Nie muszą udawać drgawek. (Każdy chce się czuć bezpieczny, nie tylko ja. Ale te starsze, mściwe, rozwiedzione chcą właśnie tego, nalegają na to, domagają się tego. Wolę kobiety z łagodniejszymi kompleksami niepewności. Karminę się uległością samotnej kobiety jak lis łupieżca. Węch mnie

prowadzi. Przez jeden czy dwa wieczory mój pożądlivy ryj jest nienasycony. Wojownicze kobiety, które mają mężów fhrciarzy, ostro zabierają się do mężczyzn, czują się sponiewierane, jeśli się ich nie chce zerznąć.) Potem wyrzucają delikwenta.

— O czym pieprzonym mogłabym z takim mówić? — po wiedziała do mnie jedna taka o osiemnastolatku, którego po derwała w sklepie z płytami, zabrała do domu i wyrzuciła przed świtem.

Nic dziwnego, że tylu męskich młodzieńców ma u nas trudności ze wzwodem w dzisiejszych czasach. (Dobrze im tak.) I ja bym miał trudności. Miałem. Virginia była ze mną najzupełniej bezpieczna, dlatego że ja się nie czułem bezpieczny z nią. (Zupełnie nie panowałem nad sobą. Nie ufałem sobie, bo nie wiedziałem, jak się do tego zabrać.) Ona z kolei nigdy nie czuła się już bezpieczna z pewnym taksatorem, który groził, że ją wyrzuci z auta (ani z Benem Zackiem, jeśli o to idzie, który chciał ją zgwałcić w samochodzie, mimo że chodził 0 kulach albo z laskami lub też jeździł na wózku) na pustej ulicy koło cmentarza w Queens, gdzie zaparkowali wóz, jeśli mu nie pozwoli na niej podymać.

— Właśnie tak powiedział — skarżyła mi się rozdrażniona 1oburzona, co nie było typowe dla niej. Ilekroć o tym mówiła, zaczynała się denerwować. — Wyjął, nawet mnie nie spytał, czy może. Myślałam, że to wariat. Spuściłam oczy i zobaczyłam to. Obraził mnie, tyle ci powiem. Ciekawa jestem, co Ben Zack mu o mnie naopowiadał.

Nie ufałem sobie, nie wiedziałem, jak się do niej zabrać, toteż nie zaszedłem z nią dalej nawet w rojeniach seksualnych, bo nieodmiennie nagle odchodziła mnie ochota (i znacznie więcej). Ni stąd, ni zowąd mój malutki, sztywny kutasik wielkości dziesiątki zniknął całkowicie. Przerazała mnie (przerazała mnie myśl, że zobaczyłbym ją całkiem nagą. Nie mogłem jej sobie wyobrazić nagiej). Była śliczna, a jednak stawiała się dla mnie nagle odpychająca jak odrąbana głowa Meduzy, potworne, robaczywe kłębowisko żmij i węży, skręcające się, aby bez żadnego powodu zanurzyć we mnie zęby. < — Idźmy dziś na całego — mówiła.

■ Te słowa zamieniały mnie w ołów, kamień, drewno za każdym razem, kiedy zamierzała mnie popchnąć dalej, niż chcia-łem się posunąć (do czegoś, co dawniej nazywano stosunkiem i seksualnym, a dziś nazywają pierdoleniem). Czuję się zdehu-

manizowany, wykastrowany, wszystko we mnie zanikało. Jakby mnie ktoś wałnął w pierś, serce we mnie zamierało. Czulem się chory. Ściągną i mięśnie mi wiotczały i słabły. Pragnąłem na chwilę zniknąć jej z oczu, aby później zakraść się z powrotem i zacząć z nią igraszki na nowo, już dalszy od niej i pewniejszy siebie, cofając się ostrożnie. (Flirtowanie z nią sprawiało mi chyba większą przyjemność niż wszystko inne, flirt był celem sam w sobie i nadal często jest dla mnie. Wciąż jeszcze nie jestem zupełnie pewien, że zależy mi na pieprzeniu.) Pożądanie zanikało, tępiałem, coś stawało mi w gardle zamiast w spodniach. Nie miałem tam nic. Nie reagowałem. Dziwne to i ponizające stwierdzenie na temat naszych męskich genitaliów.

To nasza najsłabsza trzcina.

Czuję nogi w butach, kiedy pomyślę o nich, czuję kość udową w miejscu, w którym łączy się z kością biodrową, kiedy siedzę na drewnianym krześle. Czuję swoją dłoń i przedramię na brązowej bibule biurka. Czuję swoją drugą rękę, kiedy dotykam na biodrze wełnianej materii spodni, czuję swoje plecy, zgięte pod niewygodnym kątem, dolną część ciała (sacrum) wечно obolałą, choć nie zanadto, lecz choćby moje życie i godność zależały od tego, nie mogę wyczuć w kalesonach, gdzie powinny być (i pewnie są) moje zewnętrzne organy płciowe, że coś tam jest. Jeśli nie dotknę, czuję tylko, jakbym się ocierał o papier ścierny, bo mnie kalesony uwierają. Próbuje tym poruszyć i nic z tego nie wychodzi. Wiem, że coś tam miałem przed chwilą. Wiem, że to coś należało do mnie. Wydaje mi się, że mam do tego prawo.

Ta część męskiego ciała jest tak minimalną częścią organizmu mężczyzny, że łatwo ją przeoczyć, jeśli nie poświęca się jej uwagi. Ten organ jest arogancki i śmieszny w swoich dumnych, wybrednych, egoistycznych pretensjach. (Pozwalamy mu wykręcić się sianem z bardzo wielu rzeczy.) Nie potrafi utrzymać dumnej postawy nawet przez pół dnia na tydzień. Jakaż to słaba broń do ustanowienia męskiej supremacji: sflaczały, zapadający się kanał dla uniwersalnego popędu do władzy. Kanał, z którego od czasu do czasu wytryskuje zaledwie parę łyżek ciecży. Nic dziwnego, że mężczyźni muszą zaciskać pięści i podnosić głos przy stole kuchennym.

(Kobiety nie cierpią na kompleks penisa. Mężczyźni tak.)

Kiedy byłem młody, mój niezawodnie podskakiwał za

każdym razem, gdy przystawałem (lub choćby pomyślałem, aby przystanąć) przy biurku Virginii, aby znów nieprzyzwoicie z nią pożartować, a na wielkim zegarze wiszącym nad tym biurkiem cienka, ostra wskazówka minutowa (która w tamtych czasach była dla mnie symbolem fallicznej szpady lub lancy, a obecnie lancetu lub proktoskopu) podrygując posuwała się naprzód co sześćdziesiąt sekund. Wystawał mi żenująco. (Nie mogłem nawet tańczyć ze szkolnymi koleżankami w tamtych płynnych czasach dojrzewania, bo natychmiast dostawałem przygnębiającej mnie erekcji, która nie miała nic wspólnego ani ze mną, ani z nimi — równie dobrze mogłem oświadczyć wzruszając ramionami:

„Nie należy do mnie. Nic na to nie mogę poradzić”, i zejść z parkietu, zostawiając go, aby wisiał — w powietrzu, porzucony; musiałem mocno wciągać brzuch, aby ukryć mój stan. Teraz wypinam brzuch, aby kobiety widziały, że on tam jest. Przekonałem się, że to skutkuje z kobietami dojrzałymi, które dają mi znać, że tego chcą.) Oślaniałem się teczkami z opisem wypadków, które zabierałem idąc do biurka Virginii, aby udawać, że szukam innych teczek, kiedy w rzeczywistości wymieniałyśmy żartobliwie sprośności:

— Wyjdź na korytarz.

Kiedy się zgadzała — robiła to, jeśli mogła — uśmiechała się i pochylała niemal niedostrzegalnie twarz. Wychodziłem pierwszy. Puls mi łomotał, dłonie miałem spocone, chciałem od razu biec koło wind do dolnego podestu schodów między piętami, choć wiedziałem, że będę musiał czekać. Virginia była ostrożniejsza, nie spieszyła się. Mnie trawiła niecierpliwość. Nie mogłem ustać w miejscu czekając na nią. W tamtych czasach nigdy mi nie nawalał. Nigdy nie zawiódł mnie ani siebie, kiedy wreszcie się zjawiała, też w pośpiechu, a ja zaczynałem niezdarnie ją całować w nos, policzek, usta, uderzając zębami o jej zęby tak mocno, że moje o mało nie pękały, miętosilem i obmacywałem ją po całym ciele, przyciskałem go do niej i ocierałem o nią tak gwałtownie, że aż bolało — ona zaś łapała oddech, ale i śmiała się — przez te cztery czy pięć sekund lub jedną ósmą minuty, kiedy pozwalała mi na to wszystko, bo zaraz potem raczyła mnie kłamstwem:

— Ktoś się tu ładuje.

Były to szybkie, nieprawdopodobne randki, którymi nieraz cieszyliśmy się co trzy, cztery godziny dziennie na podeście

między piętrami; na górze pracowali żywi ludzie, a na dole mieścił się ponury, zapchany magazyn bez ludzi, ale z mnóstwem szafek z umorzonymi sprawami, które w swoim czasie wydawały się zapewne ważne, gdyż inaczej by ich nie przechowywano. Nikt już prawie do tych spraw nie zaglądał. Były to stare, zapomniane sprawy ofiar wypadków w wyblakłych teczkach, dane były wypisane na okładkach niebieskim i fioletowym atramentem, a w środku znajdowały się różne sądowe i lekarskie zaświadczenia. Od teczki do teczki fakty były jednakowo stare i nieciekawe. (Szybko przestałem wsadzać w nie nos.) Były to załatwione sprawy zamkniętych ludzi.

— Ktoś się tu łąduje! — wykrzykiwała przerażona, łapiąc oddech, kiedy uważała, że czas, abym przestał. Wysuwała mi się z rąk i znikła, chociaż nikt nigdy nie przychodził.

W tamtych czasach chciałem od niej na tym podeście znacznie więcej, bo wiedziałem, że nie dostanę tego, co chcę. (Od tego czasu rznąłem kobiety w dziwacznych, absurdalnych miejscach — żona też lubi przygody tego rodzaju — lecz nigdy, wyznaję ze smutkiem, na schodach. Mamy w naszym domu dobre schody, ale to mogłoby źle wpłynąć na korzonki żony, a ja pokaleczyłbym sobie kolana.) Zawsze po takich wypadkach z nią czułem się zadowolony. I bardzo z siebie dumny. Pierwszy raz w życiu obmacywałem dorosłą kobietę, miała przecież, jakby nie było, prawie dwadzieścia dwa lata, kiedy ostatni raz ją widziałem. Przyciskałem się do niej całym ciałem, chciałem ją macać i przywierać do niej od stóp do głów i gdybym poczynał sobie wolniej, był mniej zachłanny, pozwoliłaby mi chyba na więcej. Raz w magazynie powiedziała:

— Wolniej, wolniej — gruchającym, uspokajającym to nem. — Tak lepiej, najdroższy. Przerażasz mnie.

Byłem czerwony i spocony jak osesek w gorączce. Miałem ochotę położyć się na wznak, gaworzyć jak cherubinek, kopać nogami. Nikt jeszcze nie nazwał mnie najdroższym.

„Najdroższy!”

(To słowo ciągle jeszcze robi na mnie wrażenie.)

Przeszkadzały mi w moich oszalałych zapędach te przekłete teczki, które przynosiłem z sobą, bo nieodmiennie zapomniałem je odłożyć. Przesuwałem je za jej plecami, przyciskałem ją do ściany, kiedy całowałem, lizałem, parskałem, obmacywałem; spadały na podłogę i otwierały się, kiedy ona wyrywała mi się z rąk. Pamiętam, jakie chłodne i gładkie były jej majtki, jak cudownie oszołomiony byłem, że wolno mi ich dotknąć.

— Ktoś się tu ładuje — mruzczała. (Jeszcze parę sekund i to ja bym się wylądował.) Musiałem ją puścić, bo nagle zaczynała szaleć ze strachu. Ogarniał nas wrzący obłęd. Błysk w jej oczach był ostry i trochę niesamowity, kiedy obciągała sukienkę i szykowała się do ucieczki, uśmiechając się z przymusem. Przypuszczam, że kiedy jej dotykałem pod suknią, podniecała się bardziej, niż się spodziewała. Poza tym byłem zbyt gwałtowny. (Mogła być dla mnie szeroko otwarta, gdybym umiał się do niej zabrać.) Teraz jest zamknięta. Virginia jest teraz zamknięta jak sprawy ofiar wypadków w magazynie, które tak czy inaczej zostały załatwione. I ja też. Jak niszczące się płamy leżą w tym magazynie dla martwych spraw między teczkami moje własne zmarnowane szansę osiągnięcia dojrzałości płciowej i użycia w młodym wieku (lub który uważaliśmy za młody). Mogłem ją osiąść w tym magazynie, mogłem to z nią robić na biurku lub podłodze (niemal się napraszała. Ale nie wiedziałem, co powiedzieć) albo też w mieszkaniu którejs z jej przyjaciółek czy w hotelu, kiedy byłem młodym, fujarowatym, kretyńskim, chudym nastolatkiem, który zjadał w biurze wilgotne kanapki od mamusi, pochłaniał prawie co dzień kolumnę sportową, komiksy i historyjki seksualne w „Mirrorze”, nie wychodzącym już, gdyż wszystko przemija. (Stary porządek się zmienia. Nowego nie ma.) Nie ma nic nowego czy dobrego pod słońcem. Każdą kupioną rzecz trzeba odnosić z powrotem do naprawy lub przynajmniej raz wymienić. Wszyscy kłamiemy. Nazywamy to inicjatywą; dobrze pamiętam to pismo (jak gdybym się bał je zapomnieć. Gdybym cię zapomniał, o „Mirrorze”, gdzie byś był? Ileż pracowitych godzin wspaniałej rozrywki miałem dzięki temu szmatławemu piśmidłu) i „Daily News”. Płacono mi sześćdziesiąt centów za godzinę. Teraz płacą więcej. Spytajcie moich podwładnych. Spytajcie moje dzieci. (Jedno z nich nie odpowie.) Pożerałem dziennie dwie kanapki na bułce z kminkiem, potem trzy. Byłbym zjadł i cztery. Mogłem stracić swoją niewinność z tą soczystą dupą mając lat siedemnaście, w tym magazynie, na biurku między szafkami z napisem: Szkody Materialne 1929 i Obrażenia Cieleśne 1930. Mogłem to robić z nią na leżąco, siedząco, z boku, przodu czy z tyłu; z boku, przodu, boku i z tyłu, jak to mogę robić teraz z dziewczynami smukłymi, zwinnymi, które nie dostają kurczy (jeśli nie utyję. Mam nadzieję, że zachowam resztki włosów, w przeciwnym

razie wkrótce w ogóle nie będę mógł tego robić z nikim prócz własnej żony. Chwalono kiedyś moje gęste, kręcone włosy. Teraz loki to ostatnia moda, a ja ich nie mam), kilka razy na dzień przez cały tydzień prawie — miałbym na tym biurku też swoje kanapki i „Mirra” — wsparłbym się mocno skórzanymi butami o szafkę z napisem Obrażenia Cieleśne 1929, aby mieć większą swobodę ruchów, zgiętymi ramionami chroniłbym nasze głowy, aby nie uderzyły o Szkody Materialne 1930. Często wyobrażam sobie naszą rozpustę na tym biurku. Jesteśmy ubrani. Ona ma rozmazany makijaż, twarz odprężoną, wykrzywioną, garderobę w nieładzie, podartą, rozpiętą, zadartą, odsuniętą na bok. Nie jesteśmy nadzy. Obraz tego wszystkiego to zdeformowany, ruszony, zbezczeszczonego rysunek kolorowym ołówkiem i woskiem. Niektóre z tych ofiar Obrażeń Cieleśnych poniosły śmierć. Trudno było uwierzyć, że samochody zdarzały się w sprawach odłożonych do teczek ze Szkodami Materialnymi już w 1929 roku. Trudno było uwierzyć, że istniały już wtedy samochody. Ale nie mogłem. Nie mogłem zrobić nic innego. Zrobiłem, co mogłem. Wszystko byłoby takie samo. Nic by się nie zmieniło, gdybym był znów niepewnym, zapóźnionym nastolatkiem, pracował w biurze i przynosił na lunch mamusine kanapki. Wtedy mój członek mnie zawiódł. Odszedł, rozpuł się, zamienił w nieczuły płat napletka i lekliwie się cofał, kiedy ona zachęcała mnie, abym zrobił następny krok, czyli wynajął pokój w hotelu — pojęcia nie miałem, jak się wynajmuje pokój w zatraconym hotelu. Miałem zaledwie siedemnaście lat i pół roku — może należało pójść z nią po pracy do mieszkania którejś z jej koleżanek, kiedy nie mogłem już dłużej zwlekać ani wykręcać się dowcipem, należało spojrzeć jej prosto w oczy i powiedzieć: „Tak”, zgodzić się na oszalamiającą, naprawdę przerażającą sytuację, kiedy musiałbym zostać z nią sam na sam, rozebrać się przy niej, wyjąć go i spróbować wsadzić, nim zmięknie. (Wiedziałem, że zmięknie, jeszcze nim go wyciągnę.) Nie mogłem tego zrobić. Nie chciałem. Dostawałem bólu głowy. Chciałem tylko droczyć się z nią, słuchać opowiadań o jej przeżyciach seksualnych z innymi, obmacywać ją kilka razy na dzień przez kilka sekund. Byłem za młody. Traciłem odwagę, osobowość, ambicję, dowcip. Nie miałem poczucia humoru. Nie miałem dość silnej woli, aby powiedzieć tak. Traciłem całą energię, duszę całą, zostawałem prawie bez ciała. Coś stawało mi w gardle — zostawało mi to

coś stojącego w gardle zamiast w spodniach — traciłem mowę, nie mogłem jej nawet wyznać tego i błagać o zrozumienie:

„Boję się. Najdroższa, muszę to robić powoli. Pozwól, że cię nazwę najdroższą. Musisz mi pomóc, abym zrozumiał, co się ze mną dzieje.”

Zamiast pożądania czułem mdłości i ogromne, śmiertelne przygnębienie. Ona chyba wiedziała o tym i litowała się nade mną, ja zaś nienawidziłem jej, życzyłem jej, żeby została okaleczona i umarła. Tom, który miał afektowany charakter pisma, wsadzał swojego umiejętnie ogromnej, jasnowłosej, opryskliwej, apodyktycznej Marie Jencks z końską twarzą, kiedy tylko zechciała, trzy, cztery razy na tydzień na biurku w magazynie (czasem kazała mu to robić na stojąco przy ścianie, jak mi opowiadał później, albo w kącie, gdzie było łatwiej). A ja kamieniałem ze strachu przed łagodną, malutką Virginią. Nie chciałem tego oglądać. Ciągle jeszcze nie lubię na to patrzeć. Ciągle jeszcze kamienieję na widok tego przez chwilę. Muszę się uzbroić, przygotować (chyba że jestem zalany w trupa i unoszę się na fali kipiącej pewności siebie, która wrzuca mnie w to bez chwili zwłoki). Wcale nie kamieniałem, wiotczałem ze strachu (cha, cha). Jednakże Tom był starszy ode mnie, a kiedy ja doszedłem do jego wieku, też to robiłem, choć ciągle mnie to u kobiet oszałamia. Sam widok tego. Takie są różne. Nie ma dwóch jednakowych. I żadna nie jest taka sama po raz drugi. Gdybym dożył stu pięćdziesięciu lat (z Bożą pomocą dożyję), nie przyzwyczaję się do widoku nagiej dziewczyny, chyba żebym został lekarzem. Ciągle jeszcze podglądam żonę. Najprawdopodobniej zostanę podglądaczem. Podglądanie bywa różne. Kiedy się rozbierają, jestem zawsze zdenerwowany i cokolwiek nieufny. Nie ma dwóch jednakowych. (Dlaczego one mi to robią?) Zawsze przez sekundę jestem jeszcze i teraz przerażony, ogromnie ciekawy, zatyka mnie na myśl o tym, co mi będzie pokazane i ofiarowane. Będę musiał to przyjąć, czy mi się spodoba, czy nie. (Jednak przez cały czas zgrywam się na nonszalancję i niby to patrzę na co innego, co mnie nieskończenie bardziej interesuje. Na przykład, na moje spodnie złożone na krześle, na siatkę klimatyzacyjną lub moje wełniane skarpetki z przypiętymi do nich podwiązkami, leżące na moich butach.) Zastanawiam się, czy my też jesteśmy dla nich ciekawym, dziwnym zjawiskiem. Sądzę, że tak. One mnie chwala za schludność i symetrię, za mój zabawnie sfałdowany napletek



(który coraz więcej dziewcząt w ostatnich latach uważa za taką samą nieznaną ozdobę jak moje podwiązki. Dziewczyny nieczęsto widzą jedno czy drugie. Niech mnie diabli, jeśli ja go teraz zetnę. Podwiązki przestanę nosić. Może mam nieco żydowski wygląd i często myślę jak Żyd, ale to właśnie byłby dowód, że nim nie jestem, gdybym kiedykolwiek chciał się posłużyć tym dowodem przeciw komuś w rodzaju Greena, który jest. Ten sam nieuchwytny chochlik, który tak sprytnie kręci się we mnie i nakazuje mi nieodmiennie kopnąć Kagle'a w nogę albo moją córkę w kostkę, budzi również niespokojne, rozkoszne pragnienie na podniebieniu połączone z łaskoczącą chętką w jednym nozdrzu, żeby — pragnienie i podniecające łaskotanie łączą się, jakby chciały zawołać: Dalej. Spróbuj, kochanie. Popatrz, jak to przyjemnie! — żeby — jak to nazwać? — łąpać Żyda). Pieprzyki, znamiona, pryszczki, nierówne blizny i niechlujne ciemne owłosienie, pojedyncze włoski czy rosnące kępkami w nieoczekiwanych miejscach u kobiet przyprawiają mnie o mdłości, rozczarowują, wpędzają w ponury nastrój, chyba że wezmę się po spartańsku w garść na samym początku i zabieram się do dzieła, jakby mnie gnała nieposkromiona żądza. (Muszę się zmuszać do zachwyty nad tym, co budzi we mnie wstręt, jakby to był mój fetysz. Inaczej mógłbym od razu zrezygnować. Nie chcę ranić ich uczuć. Ani swoich.) Za każdym razem spodziewam się, że zobaczę jedwabistą doskonałość, i nie potrafię wybaczyć skazy. (Czuję się oszukany, skrzywdzony.) Zmuszam się do przeoczenia tych skaz, patrzę na obraz całościowy. Niektóre mają włosy też z boku, i to takie długie, że wyzierają spod kostiumu kąpielowego. One jakby nie dostrzegały tego i wcale im to nie przeszkadza. Nie wiem, gdzie oczy podziać. (Przecież one wiedzą, że mają te włosy.) Nie mogę po prostu powiedzieć:

„Przepraszam, widać pani włosy.”

Bo mógłbym usłyszeć:

„No to co?”

Lub:

„Czy pan myśli, że nie wiem?”

Albo:

„Niech pan nie patrzy, jeśli to się panu tak bardzo nie podoba.”

Cokolwiek rozsądniej i mniej ryzykownie byłoby powiedzieć:

„Przepraszam, czy pani wie, że widać pani włosy?” Chyba że chciałbym do takiej się zalecać, wówczas mógłbym sobie pozwolić na byle jakie rynsztokowe posunięcie. Ja tam nie przepadam za takimi (choć musiałem się nimi zachwycać z udanym zapalem wiele razy, kiedy kobiety, które gwałtownie podrywałem, okazywały się właśnie takie owłosione). Nie podobają mi się czarne włosy w nadmiarze na ciele czy twarzy mężczyzn lub kobiet, nawet jeśli są zgolone. Uważam je za nienormalne, okropne, obrzydliwe. (Rosną po to, aby mnie prowokować.) Moja żona ma czarne włosy. Ale wiem, w jakich miejscach. Żadnych loczków czy puszystych niespodzianek u niej. (W swoim życiu natknąłem się na włosy, o których mógłbym rozprawiać godzinami, gdybym był typem, który musi rozpamiętywać minione porażki. Pani Yerger miała wole. Betty Stewart miała lekkiego zeza, mimo to kopulowałem z nią co tydzień przez wiele miesięcy, dopóki nie poznała młodszego faceta, którego sobie upatrzyła na męża. Matce mojej zaczęły rosnąć ostre, szpakowate włosy na twarzy, kiedy nie mogła już ich wyrwać sama. Pory na jej twarzy rozszerzyły się i zgrubiały. Patrzyłem mimo tych włosów, kiedy potrafiłem się zmusić, aby na nią spojrzeć. Nie mogłem przecież powiedzieć: „Mamo, zdaje się, że ci rosną włosy na twarzy.” Nie dosłyszałaby już może lub nie zrozumiała, musiałbym więc powtórzyć głośnie i bardziej grubiańsko: „Ej, mamo, kurczę! Masz włosy na twarzy!” Nigdy w życiu! Jak można coś takiego powiedzieć do własnej, chorej matki? Kiedy stanąłem do testu Rorschacha, aby dostać obecne stanowisko, stwierdzono, że ogarniam cały obraz i nie wdaję się niepotrzebnie w oderwane szczegóły. Wskazywało to na możliwość osiągnięcia przeze mnie sukcesu, który istotnie osiągnąłem.) W pierwszych latach małżeństwa żona nie chciała, abym oglądał ją nagą, chyba że leżała w wannie, nie chciała też, abym się jej przyglądał, kiedy się rozbierała. (Teraz nie chce jeszcze, żebym ją oglądał na sedesie, zresztą i ja już nie chcę oglądać jej w tej pozycji. Raz czy dwa razy na rok wystarczy.) Lubi jednak teraz, abym patrzył, jak się rozbiera niczym striptizerka, wskakuje do łóżka i leży jak księżniczka Goi. Lubię to i śmieję się razem z nią. Lubiłbym jeszcze bardziej, gdyby w ciągu dnia nie pociągała z butelki i nie wstawiała się. (Może zabić siebie czy kogoś prowadząc samochód. Może z taką samą rozkoszą, pijacką ochotą rozbiera się

przy kim innym.) Żona i ja znacznie bardziej odpowiadamy sobie, niż chcę pamiętać. Często bywa nam dobrze. Wcale nie jestem pewien, czy jakaś inna bardziej by mi odpowiadała. Żona tak się przebierała, że nigdy nie odsłaniała dolnej części ciała. Wkładala koszulę nocną na majtki i pas i zdejmowała majtki i pas pod koszulą nocną. Ciało tylko migąło. Wiedźma bez serca. I tak w łóżku zdejmowała koszulę, jeśli poprosiłem ją o to. Nawet ubierała się i rozbierała w szafie ściiennej. Nic dziwnego, że nie budzę jej, kiedy ma koszmar senny. Niech ginie w tych snach, niech zostanie rozdarta na tysiące krwawych strzępów w przekonaniu, że jej to grozi. Jeśli jej się śni, że ktoś skrada się do jej łóżka, czy to ten sam osobnik, który śni się też mnie?

— Co ci się śniło?

— Miałam koszmar — mówi żona rano, jeszcze wzburzo na. — Śniło mi się, że tobie stało się coś strasznego.

— Bzdura.

— Przysięgam.

— Nikt nie śni o tym, co spotyka innych. Tylko ich samych.

— Coś ci się stało i nie mogłam temu przeszkodzić, i bałam się.

— Śniło ci się coś o tobie samej.

Nauczyła się pewnie tak ubierać i rozbierać na obozach wakacyjnych, gdzie mężczyźni mogli zaglądać przez szpary w szopach, lub też nauczyła się tego od matki czy starszej siostry, którą ktoś wyłomotał, kiedy była studentką i to nie było jeszcze w modzie, więc wyrosła na kobietę oziębłą i opryskliwą. Teraz mieszka sama w małym domku niedaleko nas, ma wątrobiane plamy i przechwala się, że nie chciałaby żyć inaczej. Wierzę jej. (I wierzę, że nic nie sprawiłoby jej większej przyjemności, niż gdybym ja czy mąż innej kobiety zakochali się w niej. Zawiedlibyśmy ją. Dałaby nam kosza. Odrzuciłaby nas. I to też sprawiłoby jej przyjemność.) Wierzę też, że zawsze będzie chciała mieszkać blisko nas. Nienawidzi mnie chyba, zazdrości mojej żonie, ufnej i skłonnej do smutku, truje ją zastrzykami podstępnej niechęci. Zieje bigoterią i wsteczną propagandą polityczną. Nie ma dzieci. Jej były mąż powtórnie się ożenił i ma dzieci. Ona posiada sklep. Mnóstwo rzeczy na świecie potępia. Chciałaby, aby żona była bardziej do niej podobna, prawi jej kazania za to, że nie jest. Krytykuje nasze dzieci i nie proszona daje żonie rady, jak ma ze mnie zrobić bardziej uległego małżonka.

— Ja bym mu nie darowała tego. Dlatego właśnie wyrzuciłam Dona z domu.

Ciesz się, że zamordowano Johna i Roberta Kennedych i że w tej rodzinie kobiety mają krzywe zęby. Chciałaby, aby żona miała takie poglądy jak ona. I żebym ja miał basen kąpielowy. Jesteśmy rywalami. (Dawniej rywalizowałem z jej matką.) Nie powiedziałem żonie, jak dotkliwie odczuwałem jej wstydlive rozbieranie się przy mnie. (Przeklinałem ją często i poprzysiągłem jej zemstę. I mszczę się. My, Slocumowie, mamy swoją dumę rodową.) Była to kwestia szczytnych zasad (i niskiej pobudliwości. Uwielbiałem oglądać ją w nieładnych pozycjach. Ciągłe to uwielbiam.) Nie domyśliła się nigdy, jak to na mnie działało (nie jest podła), ja zaś byłem zbyt dumny i wrażliwy, żeby się skarżyć. (Nie chciałem jej błagać. A ona w ogóle nie orientowała się, co ja przeżywam.)

— Czy tobie się nigdy nie śni, że umarłam? — pyta często.

— A czy tobie się kiedy śniło, że ja umarłem?

— Chyba tak. Właśnie coś takiego mi się śniło.

— Dziękuję.

— Było mi przykro.

— Nie pamiętam. Mnie się śni coś o mnie, a ty nie jesteś mną.

— Mnie natomiast ty się śnisz.

— Jesteś w moich snach. Chcesz, żebym ci odpłacił taką samą przysługą? Mam ci przyrzec?

— Nie mógłbyś dotrzymać takiego przyrzeczenia.

— To po co o tym mówisz?

Jestem jej wdzięczny, że nie pyta, czy ona mi się śni z innym mężczyzną, bo takie sny miewam, ale i wówczas śnię o sobie. (Ona i jej partner łączą się seksualnie jedynie po to, aby mnie poniżyć.) Nie podoba mi się to ani trochę. Nie chcę, aby żona mnie zdradzała. Ona chyba też nie chce, choć ostatnio bywa wulgarna i sprośna na przyjęciach (jej się może wydaje, że szuka romantycznej przygody. I ja bym chciał przeżyć romantyczną przygodę. Gdzie się coś takiego znajduje?), zapewne jest wulgarna, bo nie chce, aby ją uważano za staroświecką wierną żonę (kiedy słyszy się o tylu żonach, które chcą zdradzać i zdradzają swoich mężów). Musiałaby się upić do nieprzytomności (co jej się jeszcze nie zdarzyło, o ile mi wiadomo) i natrafić na parszywego, chutliwego faceta. Musiałby ją zaprowadzić gdzieś daleko i zniewolić w milczeniu, poszłaby za takim

nikczemnikiem bez sumienia nie rozumiejąc, co ją czeka. (Gdyby zaczął z nią rozmawiać, nie miałby żadnej szansy, wiedziałaby, że to nie ja.) Nienawidzę tego typu (wszystkich, którzy kiedykolwiek liczyli na jakąś szansę u niej), chciałbym go zamordować, szczególnie dlatego, że wiem z góry, jaką rozkosz odczułaby z tamtym, prawdopodobnie o wiele większą, niż kiedykolwiek czuła ze mną.

„Och, najdroższy — powtarza ciągle, wzdychając z uwielbienia dla tamtego. — Nie przypuszczałam, że to może być takie. Zrobię, cokolwiek zechcesz.”

Gdyby to się zdarzyło, nie potrzebowałaby już mnie, może tylko po to, żebym płacił niektóre rachunki. (Nie cierpi wypisywać czeków na polisy ubezpieczeniowe i spłaty hipoteczne.) Na przyjęciach nie spuszcza jej z oka (chyba że sonduję swoje szansę u czyjejś pijanej żony. Wolę urodziwsze i łagodniejsze kobiety od mojej żony), żeby móc ją zabrać do domu, zanim ktoś jej ubliży lub zrobi jej niedwuznaczną propozycję.

(„Chodź, kochanie. No, chodź. Tędy, kochanie. Jakiś elegancki pan chce cię poznać.”

„Kto taki?”

„Ja.”

Kiedy mi się śni, że ona porzuca mnie dla innego, rozplętkam się jakoś, zostają mi jedynie oczy i kałuża łez.)

Jednakże rozwód to całkiem inna sprawa. Lubimy dręczyć się na ten temat.

— Chcesz się rozwieść? — pyta ona.

>< — A ty?

• (Myślę o tym. Jaki szczęśliwy małżonek z ikrą nie myśli?)

— Co bym zrobiła? — zastanawia się smętnie. — Innego bym nie znalazła. Kto by mnie chciał?

— Nie bądź taka pewna.

— Jestem za stara.

— Nieprawda. Ja jestem starszy.

— Dla ciebie to wygląda inaczej.

— Znalazłabyś.

— Za późno.

— Nic podobnego.

— Chciałbyś, co?

— Ty zaczęłaś.

— Ale ty o tym ciągle myślisz. Widzę to. Cieszysz się, kiedy jakieś małżeństwo się rozpada. Dlaczego nie powiesz mi po prostu?



lubieżnych łask. (Bez nich czułbym się nędzarzem.) Przyjmowała mnie zawsze. Mogła mnie ściąć z nóg jednym ostrym słowem (opowiadając o tym, co robię), a ja na wieki zostałbym bez nóg, z kikutami tylko. (Musiano by mnie wozić, prznosić z miejsca na miejsce jak szachową figurę czy krążek warcabów.) Virginia mnie lubiła. Tom jej nie imponował.

— Ty jesteś lepszy — powiedziała.

— Dlaczego w takim razie ona nie robi tego ze mną?

— Zrób to ze mną, jak robiłeś z Marie w sobotę wieczór.

Tom nie miał poczucia humoru. (Miał za to charakter pisma, którego pożałowałem i który mu ukradłem.) On rypał, lecz ja potrafiłem ubawić Virginie. (Cha, cha.) I byłem z siebie dumny, kiedy mi się to udawało. (Opowiadałem o niej kolegom z mojej dzielnicy.) Rajcowaliśmy się lubieżnie przez cały dzień. Ja kapałem. (Lubieżnie. Lubieżnie to lubieżne słowo.) Teraz nikt mnie nie rajcuje. Jeśli idą ze mną, od razu wyrażają zgodę i rozbierają się, nim zdążę rozwiązać sznurowadła.

— Dobrze było — mówię potem z westchnieniem.

— Tego mi było trzeba — mówią.

Nie wierzę im. I nic mnie to nie obchodzi. Myślę jedynie o tym, żeby szybko wyjść lub wyrzucić je z mieszkania Reda, abym zdążył jeszcze się zdrzemnąć przed powrotem do biura albo do domu pociągami. Są równie tępe jak moja żona, która w naiwności dobrego serca stara się wypracować podstawowe reguły szczęśliwego małżeństwa, podczas gdy ja się głowię nad tym, jak długo jeszcze będę musiał z nią zostać, kiedy wreszcie spakuję manatki i dostanę rozwód. Ta jej niefrasobliwa głupota (absolutny brak zrozumienia moich skrytych uczuć) przyprawia mnie o szaleństwo.

— Chciałabym wiedzieć — mówi czasem — co ty myślisz naprawdę.

(Wcale by nie chciała.)

— Myślę o mowie, którą mam wygłosić.

— O czym ty myślisz przez cały czas?

— O mowie. Może będę musiał wygłosić zupełnie inną mowę, jeśli dostanę awans.

— Wydaje nam się, że się gniewasz, kiedy tak milczysz. Staramy się zgadnąć, o co ci idzie.

Virginia odrzucała głowę w tył lub na bok, patrzyła na mnie lubieżnie spojrzeniem wiedzącym, wyzywającym, ze świątecznym uśmiechem przeżyła potężne piersi (dziewczęta z dużymi

piersiami już wtedy nosiły niekiedy bardzo ciasne staniki), podnosiła je jak działa artyleryjskie na nośnikach, wypuczała śmiało tylko dla mnie. Ona wiedziała, o czym myślę.

— To się właśnie podoba Lewisowi u mnie — oznajmiała dumnie. Przesuwała koniuszek języka między błyszczącymi zębami przez sekundę, obserwując moje spojrzenie utkwione w jej biuście. — Tobie też.

— Wyjdź ze mną.

— Wejdź we mnie.

— Dowcipna jesteś.

— To ty jesteś dowcipny. Przez cały dzień rajcujesz, rozpalasz dziewczynę, a potem nie chcesz nawet zaprowadzić jej do hotelu.

— Nie wiem, jak to się robi.

— Ja ci powiem.

— To ty zaprowadź mnie.

— Zamknęliby mnie. Jako prostytutkę. Pójdziemy razem. Zameldujemy się jako pan i pani Dupczyńscy.

Teraz dwudziestojednoletnie są za młode dla mnie, są dziecinne, kłopotliwe. Nie zerznąłbym takiej, nawet gdybym się założył, jeśli pracowałyby u mnie. Cały koncert wiedziałyby o tym. (One teraz opowiadają koleżankom o facetach. Rodzicom też!) Nie lubię nawet, aby takie młode u mnie pracowały, nie lubię wysłuchiwać ich piskliwych bzdur (mają złą wymowę, która zdradza ich robotniczą dzielnicę i pochodzenie). Nie mają stylu. Większość dziewcząt, które chodzą bez staników, ma obwisłe piersi, wyglądają okropnie. Często wcale im nie zardroszczę młodości. Nie cierpię młodości. Młodzi nie słyszą hałasu. Hałasują piekielnie. Chciałbym, aby trzymali gębę na kłódkę w miejscach publicznych, żeby ściszały adaptery i tranzystory. Moja córka będzie wkrótce w wieku Virginii. Już teraz wygląda na starszą, bo jest wysoka, kiedy się wyprostuje. Chciałbym, aby wiedziała o tym i wychodząc ze swego pokoju wkładała coś więcej niż nocną koszulę. Żona powinna jej to powiedzieć. Niezręcznie mi mówić o tym z jedną czy drugą. (Nie byłbym już chyba zdolny spać w jednym łóżku z mężczyzną. Wolałbym spać na podłodze czy fotelu. A i to byłoby też podejrzane.) Nie lubię poklepywać pośladków. Czasem wcale nie mam ochoty dotknąć nawet żony. Chcę go tylko wsadzić i mieć to z głowy. Albo w ogóle nie mam ochoty na seks. Znajduję wymówki. Natrafiam na barierę wstrętu. Jest



ochroną. Niknie, kiedy zechcę. One nic nie mają w środku, brakuje im czegoś, mam brudne myśli. Te myśli również są ochroną.

(Czasem ja chcę, a żona nie chce, wtedy czuję się, jakbym dostał obuchem między oczy, w nos.) Virginia miała dwadzieścia jeden lat, była starsza ode mnie (tak właśnie muszę o niej myśleć, jeśli w ogóle chcę o niej myśleć z romantyczną nostalgią i miłością).

Wychłptałaby mnie, odwróciła do góry nogami (jak to Penny potrafi), zanurzyłaby w morzu upajających konwulsyjnych drgawek, przeniosła w szalejącą burzę gradową bezwolnego dzieciństwa i obłędu, wydarłaby ze mnie krzyk rozkoszy, wystrzeliła mnie w niebo jak rakiety rozpalonym koniuszkiem języka, czerwonego i frywolnego. Błagałbym o litość odyskując świadomość i znów zdolny do mówienia. (Teraz robię to z Penny. I z żoną.) Potem patrzyłaby na mnie miłośnie, zaspokojona i słodka, przykucnięta między moimi kolanami, zadowolona z siebie, że tak się pięknie spisała, tak fantastycznie mnie zaspokoila. Teraz coś takiego by mi się podobało.

— Czy on nie jest zazdrosny? — pytałem. — Widzi nas w tej chwili.

— On chce odejść od żony i ożenić się ze mną. Chodzimy do pustych lokali, popijamy, jemy kolację. On lubi, jak ja całuję.

— Ja też.

— I ja. Musiałam długo się ćwiczyć, żeby się nauczyć, jak trzeba. Powinieneś spróbować ze mną, kiedy jestem nagusienka i naprawdę w nastroju. Nie wiem, na co czekasz.

Zakryłem krocze teczką z aktami jakiegoś wypadku (na wypadek, gdyby inny się wydarzył).

— Wyjdź ze mną.

— Widzę, rzekł ślepy. Coś się dzieje.

— Czy to jest twój wypadek? — pytałem śmiało.

•! — Założę się, że znam kurację.

• — Wyjdiesz?

"■ — Czy szedłeś kiedy spać z twardym orzechem i obudziłeś się z płynnym rozwiązaniem w ręku?

— Ten orzech stwardniał przez ciebie, a ja nie mogę się na tobie odegrać.

— Idź pierwszy. Wyjdę potem.

— Spuszczam się, Virginio.

— Zrób to mi, jak on robi Marie — śpiewała cichutko w odpowiedzi, kiedy ją mijalem w drodze na korytarz.

Na schodach byłem Krwawym Kapitanem, piratem, nieustraszonym korsarzem. Przezornie trzymałem przed sobą teczki z aktami wypadków niczym rycerską tarczę. (Miałem co osłaniać.) Dźwigałem rozżarzone kulki.

Umierałem z pragnienia, aby go wyjąć i poprosić, żeby chwilę go pottrzymała. Nie śmiałem. Pani Yerger przejęła nasz dział, zanim się zdobyłem na tę prośbę, a wkrótce potem odszedłem stamtąd. Powtarzałem te słowa w myśli, nie potrafiłem ich jednak wykrztusić, plątały mi się, więzły mi w gardle i przetyku, miałem w zanadru mnóstwo sylab, od których mógłbym zacząć.

„Czy...”

„Weźmiesz...”

„Czy ty...”

„Co byś...”

„Nie bądź...”

„Ja...”

„Proszę...”

Zadna nie przeszła mi przez usta. Nie wiedziałem, jaką pozę przyjąć. (Nie miałem wyboru.) Teraz wiem, że poza nie miała znaczenia. (Zgodziłaby się lub nie. Powinienem był bez pytania go wyciągnąć, bełkocząc byle co. „Proszę” doskonale by się nadawało.) Jakże ja tego pragnąłem. Byłby wypełniony potrzebą prawie ponad wytrzymałość, do ostatnich granic narzmiwały czułością, podskoczyłby szaleńczo jak ktoś mi bliski w ataku epilepsji, a ja natychmiast próbowałbym się od niego odżegnać bez wielkiego powodzenia, jak od egoisty, który mnie krępuje, dalekiego krewnego, za którego muszę przeproszać. Nie bywam już taki napalony. Apatia, nuda, niepokój, płynięcie z prądem, amorficzne rozczarowanie, beczynność, niezadowolony w domu czy w pracy — oto moje obecne podniety seksualne. Nigdy nie posunąłem się tak daleko. Skończyło się, zanim pojąłem, jak to się robi. „Potrzebujesz tylko roku czy dwu zawodowego szkolenia” — głoszą plakaty rekrutujące do wojska. Zdobyłem owo zawodowe wyszkolenie w wojsku. Wyszedłem z niego jako przystojny kapitan, a Virginii już nie było na świecie. Cieszyłem się z tego. (Dziwiło mnie to uczucie, ale tak było.) Próbowałem umówić się z nią telefonicznie, dzwoniąc z budki na dworcu Grand Central, i nie udało mi

się. Trudno umówić się z osobą nieżyjącą. Lubilem, kiedy mnie pouczała w sprawach seksu. (To było jak oglądanie pornograficznego filmu.) Trudno było sobie wyobrazić, jak ona w restauracji, kinie czy samochodzie zachęca kogoś tak łagodnego, spokojnego i ostrożnego jak Len Lewis.

— Jak?

Jej ojciec też odebrał sobie życie.

— Nie dowiedzieliśmy się nigdy, dlaczego to zrobił. Miałem masę forsy. Był taki spokojny. Jak Len Lewis.

— Co on z tobą robi?

— To, o co go poproszę. Albo pokazuję jak. Nie jest pewien, jak daleko może się ze mną posunąć. Nie wierzy w to — chwaliła się uśmiechnięta. — Jest bardzo miły. Lubię go uszczać śliwiac. To łatwo z nim. Z tobą też.

— Ja jestem twardy.

— Łatwy.

— Widzisz?

— Widzę, rzekł ślepy.

— Twardy orzech mi dajesz do zgryzienia.

— Mam wyjść z tobą?

— Pospiesz się.

— Na sekundę tylko.

— Pospiesz się.

Twarz jej była spowita w różowe, błogie uśmiechy zadowolenia, kiedy widziała, że dostaje erekcji. (W ciągu dwunastu miesięcy pracy w tym zakładzie miałem chyba więcej erekcji niż w ciągu dwudziestu czy trzydziestu następnych lat.) Chciałbym teraz dotknąć jej gładkich okrągłych policzków. Głaskać je powoli małym palcem i kciukiem, podniecać ją wolniutko, nie chwycić gwałtownie, nie galopować. (Wiem już, jak to się robi.) To ja decydowałbym o nastroju, dręczył ją rozkosznie.

— Przykryj — mówiła.

— Wyjdź ze mną.

— Nie zdążysz — śmiała się. — Lepiej leć do ubikacji,

i — Przyjdź tam.

L — Nie mam klucza.

fi — Przemycę cię.

— Nigdy tego nie robiłam w męskiej ubikacji.

•k — Na uniwerku Duke robiłaś to raz w łódce.

— I raz w męskiej sypialni na tym uniwerku. Z pięcioma piłkarzami. Uwiedli mnie. Potem wyrzucono mnie z uczelni.

Zaprowadził mnie tam ten, który mi się bardzo podobał. Kazano mi wracać do domu. Bałam się. Nigdy się nie dowiedziałam, czy powiedzieli o tym ojcu.

— Zgwałcili cię? Tak?

— Nie. Nie musieli. Nie chciałam, ale mnie uwiedli. Trzy mali mnie w pozycji leżącej i przez cały czas gadali. Znałam ich wszystkich. Ale kiedy zaczęliśmy, było przyjemnie, więc przestałam się martwić. Byłabym powiedziała koleżankom. Chyba chciałam, żeby nas nakryto. Znow chciałabym zrobić coś takiego. To podniecające.

— To mnie podnieca.

— Widzę, powiedział ślepy.

— Wyjdź ze mną.

— Na minutę.

— Na schody?

Czasem zostawała ze mną trzy i jedna trzecia sekundy mniej więcej.

— Ktoś się tu ładuje — syczała nagle i odrywała się ode mnie. — Puść!

Na podstawie jej edukacyjnego życiorysu na uniwerku Duke powinienem był się domyślić, że jest lekko stuknięta i prędzej czy później prawdopodobnie odbierze sobie życie. Teraz umiem dostrzec takie skłonności w ludziach (i trzymam się od takich z daleka). Przyjaciel w potrzebie nie jest moim przyjacielem.

Zazdrościłem tym pięciu piłkarzom, nienawidziłem ich. Marną mieli o niej opinię. Traktowali ją jak szmatę. A jej to nie przeszkadzało. Bywały dni, kiedy podczas długich, monotonicznych podróży koleją podziemną do biura i z powrotem nienawidziłem jej. Bywały dni, kiedy nie potrafiłem odezwać się do niej lub zmusić się do spojrzenia na nią, taka wydawała mi się zepsuta. (Zdradziła mnie, była śmieciem, fatalnym śmieciem, który budzi w człowieku samobójcze myśli. Cieszę się, że nie umarłem. Cieszę się, że ją przeżyłem.) Nieomylnie czułem, że wołałaby tych piłkarzy ode mnie.

Potrafię wyczuć takie rzeczy i przepowiedzieć przekonująco bieg wypadków w niektórych chorobliwych stanach. Na przykład już teraz wiem, że moja żona (jak sama przewiduje) prawdopodobnie umrze na kosztownego raka (bo będzie potrzebowała separatki i specjalnej pielęgniarce w szpitalu), jeśli mnie nie przeżyje i nie rozwiedziemy się z powodu pijaństwa czy cudzołóstwa (jej, oczywiście). Kogo obchodzi, na co ona

umrze, jeśli wówczas nie będziemy razem albo mnie nie będzie na świecie? (Zapewne chwilami będę tęsknił do syna, jeśli się zdecyduje na rozwód. Tak bardzo lubię go widzieć uśmiechniętego. Musiałbym zostawić tyle rzeczy. Moje kije golfowe. Nie potrafiłbym spokojnie znaleźć czasu, aby pamiętać o kijach i butach golfowych, gdybym w furii zrywał z domem i z rodziną.) Czy ucieszę się, kiedy żona będzie umierała na raka? Nie. Czy będzie mi jej żal? Prawdopodobnie. (Czy będzie mi żal siebie? Na pewno.) Czy będzie mi jej żal i po jej śmierci? Prawdopodobnie nie.

Mam szczególny talent do przewidywania samobójstw i rozstrojów nerwowych. Potrafię je przewidzieć lata naprzód. Kagle zbliża się do rozstroju nerwowego, jego Bóg nie uratuje go, ale może uratuje go pijaństwo i kurwienie się (plus środki wzmacniające, witamina B12 i litość nad sobą zmieszana z faryzeu-szowskim narzekaniem na złe traktowanie. W najgorszym wypadku wszyscy się zgodzą, że był fajnym facetem). Kagle nie odbierze sobie życia, za dużo będzie się rozkoszował poczuciem wyrządzonej mu krzywdy, aby się porwać na coś takiego jak samobójstwo (będzie się rozkoszował krzywymi uśmiechami i wspaniałomyślnym przebaczeniem). Będę musiał się go pozbyć. Na razie staram się mu pomóc. Uśmiecha się niepoprawnie (a ja mam ochotę go kopnąć). Wiem coś, czego on nie wie, a Green, Brown, Black i inni patrzą tylko nieufnie i teoretyzują (jak sądzę. Wiem, że nie zachowuję się uczciwie w stosunku do nich). *Zależy* mi na tym, aby Baron dostrzegł, że staram się pomóc Kagle'owi. Dostanę jego stanowisko, to już prawie przesądzone. Kagle chętnie wysłuchuje mojej krytyki (i zaraz o niej zapomina. Chętnie przyjmuje moją troskliwość. Gdybym pluł w niego kulkami przeżutego papieru, też byłby wdzięczny). Jemu się zdaje, że jestem jego kochającym ojczulkiem, który skacze koło rozkosznego dziecka. Do głowy mu nie przyjdzie, że jestem gorliwym dziedzicem, który nie może się doczekać, by zająć jego miejsce. (Mam ochotę napluć mu w twarz. Byłby ogromnie zdziwiony.) Martha, nasza maszynistka, dostanie w końcu pomieszania zmysłów (prawdopodobnie będę przy tym. Pozbędę się jej zrećnie i przez parę dni na moim piętrze ludzie będą mnie podziwiali), nie zerżnę Jane, mimo że dalej będę z nią flirtował (wahał się, chwiał, cofał, nasycił) i zanosił lubieżne požądanie, jakie ona we mnie wzbudza, do domu (jak roztapiające się lody albo stygnące potrawy

chińskie), do żony w Connecticut lub na miasto do mojej stałej dziewczyny Penelope, mojej skołatanej przez burze życiowe, niezawodnej Penny, która jeszcze ciągle pilnie studiuje muzykę, śpiew i taniec (jednocześnie pracując jako barmanka w różnych lokalach) i ciągle woli mnie od młodszych typów, w których zakochuje się z wzajemnością trzy lub cztery razy do roku. (Powinna woleć mnie, bo faktycznie jestem lepszy. Tamci to frajerzy.) Żona lubi robić ze mną te rzeczy w mieszkaniu Reda Parkera w centrum miasta, ja również to lubię. Jest inaczej niż w domu. Rzucamy się na siebie jak wściekli. Miewam obecnie ponure przeczucia dotyczące Penny, która przekroczyła trzydziestkę pozostając w stanie niezamężnym (ze znacznie głębszymi zmianami emocjonalnymi, niż zdaje sobie sprawę) i nie jest już taka rozkoszna jak dawniej. Znam ją i lubię prawie od dziesięciu lat. Nie wiem, co wyrośnie z mojej córki. Nie bawię się w niewzruszone przepowiednie odnośnie nastolatków w naszych czasach. (Wiem, że chłopcy wszyscy przegrają. Już przegrali. Moim zdaniem nie mieli uczciwej szansy.) Będzie chciała nauczyć się prowadzić samochód, jeszcze nim skończy szesnaście lat. Potem będzie chciała, abym jej kupił wóz. Dorobi sobie kluczyki i będzie kradła któryś z naszych wozów. Chciałbym, żeby już była dorosła, zamężna, żeby mieszkała w Arizonie, na Cape Kennedy lub w Seattle w stanie Waszyngton. Ktoś starszy od niej poradzi jej, żeby ukradła nasze kluczyki od samochodów i zamówiła sobie duplikaty. Już teraz kradnie forszę mnie i żonie, aby brać udział w sesjach picia piwa, wina i narkotyzowania się z kolegami i koleżankami podczas weekendów. Nie sądzę, aby się już narkotyzowała. Myślę, że się boi, to mnie cieszy. Cieszy mnie, że narkotyki wychodzą z mody w naszym środowisku, tak jak kochankowie czarnuchy. Cieszy mnie, że ona się boi Murzynów.

„Gdybyś mi kupił samochód, nie musiałabym kraść waszego” — będzie argumentowała, kiedy ją przyłapię, w przekonaniu, że ma rację.

Jestem jak tabaka w rogu.

(Moje jasne wizje zlewają się i krwawo zamazują.)

Coś przerażająco tragicznego przydarzy się mojemu synowi (bo ja tego nie chcę) i absolutnie nic się nie stanie Derekowi. Po niego nie zajadą nigdy wozy policyjne czy karetki pogotowia. Nie widzę żadnej przyszłości dla syna (zasłona nie chce się unieść, nie widzę nic, nie dostrzegam żadnej przyszłości)

i za każdym razem wiem, że to zły omen, który zatrzymuje bicie mego serca. Ilekroć spoglądam w przyszłość, jego w niej nigdy nie widzę. Z łatwością potrafię go sobie wyobrazić w dzisiejszej jego postaci, być może jutrzejszej, lecz nie dalej. Nigdy nie widzę go starszego, nigdy nie pracuje, nie studiuje medycyny, pisarstwa czy handlu, nie jest żonaty (biedak nie zaczyna nawet chodzić z jakąś dziewczyną), nigdy nie uczęszcza na uczelnię, nawet nie do szkoły średniej, nie jest młodzieńcem z łamiącym się głosem, pryszczatą twarzą i spotniałymi włoskami, przyciemniającymi jego górną wargę i szczękę. Oplakuję go. (Mój duch płacze. Dokąd on odchodzi?) Nie przekracza dziewiątego roku życia. Zatrzymuje się. (W tym miejscu musi wysiaść. Każdy dzień może być jego dniem ostatnim.) Albo nie ma dla niego przyszłości, albo moja zdolność widzenia go w mojej jest zakłócona. Patrzę z rozpaczą w pustą przyszłość bez niego. Przygniata mnie cisza. Tęsknię za nim. Czuję zapach kwiatów. Są obiady rodzinne, ale bez niego. Czego ja będę radośnie wypatrywał, jeśli nie jego? Golfa? Raka mojej żony? Trafienia w dołek za pierwszym uderzeniem? A potem? W drugi dołek za pierwszym uderzeniem?

„Trafiłem w dołek za pierwszym uderzeniem” — będę mógł powtarzać bez końca w nadchodzących latach.

Kiedy jak najgłębsza noc spadną na mnie zapomnienie i starość, kiedy skurczę się do tego stopnia, że stanę się malutki i niezauważalny, jeszcze będę mógł wspominać:

„Trafiłem w dołek za pierwszym uderzeniem.”

W klinice na łożu śmierci, kiedy będą mnie odwiedzali ludzie, których już nie poznam, znosząc mi bardzo słodkie czekoladki i aromatyczne kawałki wędzonej, tłustej ryby, może będę jeszcze w stanie przypomnieć sobie, że trafiłem w dołek za pierwszym uderzeniem, kiedy byłem w sile wieku — jestem teraz w sile wieku, a jeszcze nie dokonałem tego. To coś nowego, warto się tym zająć, to może mnie ubawić. Dołek za pierwszym uderzeniem, co za wspaniałe osiągnięcie.

„Dacie wiarę — będę mógł powiedzieć — że trafiłem w dołek za pierwszym uderzeniem?”

„Zjedz jeszcze kawałeczek tej wędzonej ryby.”

Dołek za pierwszym uderzeniem.

Nie mam pojęcia, co jeszcze można zrobić z dołkiem za pierwszym uderzeniem oprócz przechwalania się nim.

„Trafiłem w dołek za pierwszym uderzeniem.”

„Jedz rybę.”

„Halo, dziewczęta.”

„Słyszałyście ten kawał o facecie bez rąk i nóg pod drzwiami burdelu?”

„Dzwoniłem, tak czy nie?”

Bez większego trudu potrafię sobie wyobrazić siebie w klinice. Bez trudu potrafię wyobrazić sobie Dereka przed domem — ślini się, jest krępy, niezdarny, łysieje, ma ciemne włosy, jest dorosły i zapóźniony w rozwoju, jego wygląd oskarża mnie, bo jest podobny do osobnika ukrytego we mnie, tkwiącego we mnie, o którym wiem, ale nie chcę, aby ktokolwiek kiedykolwiek go wykrył, jest moją wewnętrzną twarzą. (Niekiedy widuję chyba swoje drugie ja w snach.) Jestem przekonany, że Baron nie podejrzewa tej mojej dwoistości (że tkwi we mnie potencjalna możliwość stania się barbarzyńskim kretynem) ani tego, że odczuwam chroniczne przerażenie — przerażenie tak potężne, że zamienia się niemal w wyrafinowany apetyt — obawę, że mogę zacząć się jąkać (albo że ogarnie mnie homoseksualne pożądanie. Może już mnie ogarnęło), albo że spuchnie mi język, przylgnie do podniebienia i nie będę mógł mówić. (Nic dziwnego, że panicznie się boję, aby mnie nie skazano na przebywanie w zamkniętym pokoju, gdy ja bym nawet nie wiedział, że zapadł taki wyrok. I to już może się stało.) Lecz moja płodna wyobraźnia nie potrafi wysnuć ani jednego dodatkowego dnia życia dla mojego biednego syna.

(Czym będzie się zajmował? Jakie ubrania nosił? Boże, nie chcę być zmuszony żyć bez niego.)

Stanowisko Kagle'a zostanie mi zaproponowane, a ja je przyjmę. Już go pragnę. (Już teraz nie oszukuję się, że go nie pragnę.) Kagle jest moim wrogiem, stoi mi na drodze, więc chcę go usunąć. Nienawidzę go. Potrzeba kopnięcia go, bluźnierstwa mu wżgardliwie prosto w zapadniętą, oszołomioną twarz rośnie we mnie z każdym dniem. (Twarz ta w jednej sekundzie stałaby się czaszką, tak bym go sparzył, że ciało by opadło.) Nigdy się na to nie zdobędę. Cywilizacja mi nie pozwoli. Może kopnę go w nogę, jeśli pokusa nie minie, a ja stracę nad sobą panowanie. Kopnę go, zanim zdołam się opanować. Potem nie będę wiedział, jak to wytłumaczyć. Może nawet będę chciał zapaść się pod ziemię ze wstydu (i będę się czuł jak dzieciak przyłapany na psocie).

„Dlaczego to zrobiłeś?” — pytają mnie.



Wzruszę ramionami i zwieszę głowę. Będę ważył osiemdziesiąt cztery funty.

„Kopnął mnie w nogę” — poskarży się Kagle.

„Kopnął Kagle'a w nogę.”

„Widziałeś coś podobnego?”

„Kopnął Kagle'a w nogę.”

Nikogo poza nim nie pragnę kopnąć w nogę prócz córki, którą chciałbym kopnąć w kostkę, kiedy siedzimy przy stole, bo łatwiej by mi było ją kopnąć, niż wyciągnąć rękę przez stół i dać jej w twarz. Wzdryga się, jak gdybym już to zrobił, skoro tylko o tym pomyślę i podniosę głos. Żonę mam ochotę odepchnąć na parę kroków, abym mógł zgiąć ramię i dać jej pięścią w szczękę przynajmniej dwukrotnie. Synowi grożę palcem. Derekowi zatykam usta dłonią, aby uciszyć jego bełkotliwy wrzask, a przy okazji zakryć mu mokre oczy, nos i usta. (Nie robię tego, by ulżyć jego cierpieniu, lecz własnemu.) To biedny, żalony, upośledzony człowieczek, ale nie powinienem o nim tyle myśleć, ile mógłbym, gdybym sobie na to pozwolił, poza tym nienawidzę jego pielęgniarki, którą wypędzam, wyrzucam z domu, podtrzymując jej tyłek jedną ręką, żeby nie upadła i nie mogła mnie zaskarżyć. Ale ona i tak pada i podaje mnie do sądu. Ta odpychająca baba cuchnie zjełczalym tłuszczem zmieszanim z kurzem i perfumowanym talkiem. Kąpie się rano i wieczór. Ma upiornie białe włosy. Jej schludność jest jak wyrzut. Nie mogę znieść tego, że jest natrętnie familiarna. Niewiele więcej troszczy się o mnie niż moja rodzina, a przecież jest płatną najemnicą.

Wiem, co znaczy wrogość. (Boli mnie od niej głowa, zatruwa mi ona sen.) Moje id zatruwa ropą moje ego, czyni mnie agresywnym, nieprzyjemnym. Ta przetoka niszczy moich bliskich. Gdybyśmy tylko mogli swobodnie dawać ujście nienawiści, wyzionąć ją, odrzucić od siebie, jak homar odrzuca spermę ku samicy i wolny oddał się sam w zamgloną ciemność. Próbowalem. Nienawiść wraca.

Teraz myślę, że to wszystko wina Kagle'a, zwałam winę na niego. Jego niewielkie wady stały się dla mnie nieznośne. Rozdrażnienie skwierczy we mnie jak wstrząsowe fale elektryczne, piłuje mi kości czaszki jak ząbkowane ostrze. Wyskakuję ze skóry, krztuszę się, w mgnieniu oka dostają ostrego bólu głowy, słysząc, jak on wysysa coś z zęba, bębni palcami, źle wymawia jakieś słowo, na przykład „pijęknie” zamiast

„pięknie”, „między tobą i mną” zamiast „między nami”, zaśmiewa się, kiedy go poprawiam — chciałbym go stale poprawiać i muszę się poskramiać. Słowa pędzą przez moją świadomość, zatrzymują się, kiedy uderzą o kość, o wnętrze mojej czaszki. Potrafię się poskromić i nie powiedzieć tych słów, nie mogę jednak poskromić potrzeby, aby je powiedzieć. Jestem wściekły na niego za wywołanie tej potrzeby. W kąci-  
kach ust ma pęcherzyk śliny, na popękanych wargach widać resztki proszków czy lekarstwa, jakie zażył na nadkwasotę żołądka.

— Che, che — mówi ostatnio ze spuszczoneymi, uciekającymi oczami.

„Che, che” — mam ochotę go przedrzeć. Nie cierpię Kagle'a dlatego, że przegrał. Mam ochotę dać mu w głowę ciężką mosiężną lampą z jego biurka.

— Andy, chciałbym ci dać w głowę mosiężną lampą z twojego biurka.

— Che, che.

— Che, che.

Na jego widok chichoczę uprzejmie, obłudnie żartuję na temat słownictwa Greena, jego doskonale uszytych, zwracających uwagę garniturów, usłużnie pomagam mu, ale tak, aby mógł to zauważyć. Dziś rano ważyłem sto dziewięćdziesiąt osiem funtów, od poniedziałku ubyło mi cztery i pół funta (bo wtedy postanowiłem się odchudzić) i niemal o całą stopę jestem od niego wyższy.

— Che, che, jak ci leci z tą małą z pracowni graficznej? — dopytuje się.

— Doskonale.

— Tą z małymi cycuszkami.

— Mogłaby być moją córką.

— Co to przeszkadza? Che, che.

— Che, che. Mam dla ciebie raporty komiwojażerów od Browna.

— Myślałeś, że nie zauważyłem? Chcesz dać mi radę?

— Chcesz kopa w nogę?

— W zdrową czy chorą, che, che?

— Andy, tym razem uważam, że powinieneś zajrzeć do tych raportów i zrobić jakieś uwagi, nim pošlesz je dalej.

— Szykuje się draka? Che, che.

— Che, che.

— Che, che, che. Jaki z nich pożytek? Komiwojażerowie kłamią.

— Nakryj ich. To zrobi wrażenie na Baronie i Whicie.

— Próbowałeś kiedy dwie na jednego? — mówi puszczając mimo uszu moją radę.

— Co dwie na jednego?

— Robię tak teraz w Las Vegas. Znam tam dyrektora hotelu. Dwie dziewczyny naraz. W zeszłym tygodniu znowu to robiłem. Powinieneś spróbować.

— Nie mam ochoty.

— Z dwiema czarnuchami?

— Co z tymi raportami?

— Przejrzyj je za mnie. Lepiej to zrobisz. Co mówią o mnie?

— Przestań podróżować.

— Powiniennem się ostrzec?

— Powinieneś dostać kopniaka w dupę.

— Jesteś dziś bardzo skory do kopania.

— Che, che.

— Coś ci zdradzę. Green jest skończony. Chciałbyś jego stanowisko?

— Gównno prawda.

— Polecę cię. Obcinają mu budżet.

— O ile?

— Nie dostaniesz podwyżki. Ja tak. Załatwiłem duży interes w Xerox w zeszłym tygodniu.

— Też gównno prawda. Ciągłe załatwiasz duże interesy w Xerox i ciągle skarżysz się na swoje duże długi.

— Che, che.

Kagle ma tylko dom na Long Island i domek w górach, do którego co roku posyła na lato żonę i dwoje dzieci. Jeździ do nich w niektóre weekendy. Zapytuję go o zdrowie jego rodziny tak często, jak Baron zapytuje o zdrowie mojej.

— Wszyscy zdrowi, Art — mówię nieodmiennie. — A twój?

(Green nigdy nie pyta. Moja rodzina go nie interesuje i nie zniża się do obłudy.)

Nie raz i nie dwa tęsknie rozważałem szansę jego śmierci na skutek wypadku samochodowego pewnego radosnego dnia, kiedy będzie jechał do lub z pracy. Kagle jeździ niechlujnie, kiedy wyjeżdża z miasta nocą, jest na ogół niemrawy i pijany. Należy do bardzo niewielkiej grupy dyrektorów średnio-gór-nego szczebla w koncernie, którzy jeszcze mieszkają na Long

Island, i ta jego niezaradność równie mu w oczach ludzkich szkodzi jak szpakowate włoski sterczące mu z nozdrzy i uszu. W dzisiejszych czasach nikomu już nie sterczą włoski z nosa i uszu. (Choćby z tego powodu powinien natychmiast iść do fryzjera.) Nie zebrałem się dotąd na odwagę, aby mu o tym powiedzieć. (Boję się, że to by go zabolalo.) Z trudem mogę na niego patrzeć. On wyczuwa zmianę. Pewnie dlatego zbywa mnie teraz tak często swoim che, che. Żal mi go. (Nie wie, jak zaradzić wszystkiemu, co się dzieje.)

— Che, che.

— Che, che.

— Che, che, che. Co cię tak bawi?

— Dlaczego nosisz gabardynę, na miłość boską? — upomi nam go zamiast odpowiedzi.

— Co takiego? — pyta zaniepokojony.

— Od trzydziestu lat już się tego nie nosi.

— Gabardyny?

— Przejdź na wełnę czesankową.

— Mam już granatową sportową marynarkę — mówi dumnie.

— Jest tkana podwójnie.

— Skąd mam wiedzieć?

— Wyglądałaby wspaniale w Erie w stanie Pensylwania. Mamy jakieś duże interesy w Erie?

— W przyszłym tygodniu jadę do Los Angeles. Skoczę stamtąd do Las Vegas. Dwie na jednego — mruga do mnie.

— Ta marynarka nie pasuje na ciebie. Za luźna i krzywo leży.

— Ja też jestem krzywy — mówi poważnie, z przeblyskiem chytrego, obłudnego uśmiechu, który dobrze znam. — Taki się urodziłem. To nie był przypadek. Bóg tak chciał. Nie śmiej się. To nie jest zabawne. To wcale nie jest zabawne urodzić się ze zniekształconym biodrem i nogą.

— Wiem, Andy.

— Nie ma się z czego śmiać.

— Nie śmiałem się.

— Bóg chciał, abym był taki.

„Alleluja” — mam ochotę odpowiedzieć cynicznie.

— Żałuję, że nie troszczył się o mnie tak bardzo jak o ciebie, twoim zdaniem.

Kiedy Kagle odwołuje się do swojej nogi czy Boga, aby wzbudzić szacunek i współczucie, sam staje się taki jak te jego

ohydne pojedyncze włoski i kępki włosków w nosie i uszach: intymny, nieprzyzwoity, wstrętny; wiele razy życzyłem ostatnimi czasy biedakowi śmierci tylko dlatego, że budził we mnie wściekłość, wstyd i obrzydzenie. Nie pomoże mu wełna czesankowa. Wszystko się psuje. Życzyłem też śmierci innym Bogu ducha winnym ludziom, których znam i lubię, za nieistotne obrazy i niewygody. Niech wszyscy padną trupem. (Jestem liberalny, naprawdę wszystko mi jedno, jak wykitują.) Rzucam okropne przekleństwa na zbyt wolno obsługujące sprzedawczyń i nieznajomych wchodzących mi w drogę i zatrzymujących mnie, kiedy się spieszę.

„Żebyś szczeł. Żeby cię szlag trafił, abym mógł przez ciebie przestąpić” — myślę.

Jest wielu mężczyzn — to zawsze są mężczyźni — zajmujących stanowiska publiczne, których chciałbym widzieć zamordowanych (poza tym nie potrafię już znieść włóczęgów. Wcale mi ich nie żal), choć nigdy nie przyszłoby mi na myśl (do tej pory nie przyszło), żeby ich własnymi rękami zamordować. Wydaje mi się, że rozumiem, dlaczego ludzie biją, kopią, podpalają włóczęgów i żebraków. (Zbyt wielu ich mamy.) Nie oplakuję martwych prezydentów (cieszę się na ogół), bo w końcu dostali to, na co zasłużyli. Tak się dzieje od czasów F.D.R., kiedy po raz ostatni w życiu, jeśli mnie pamięć nie zawodzi, uroniłem łzę. Muszę od czasu do czasu tłumić szloch (na złych filmach przeważnie), ale łzy są we mnie gdzieś głęboko zakorkowane. Nikt nie potrafi ich wywołać. Ten Franklin Delano Roosevelt to był człowiek, ostatni prezydent, który mi imponował (inni nie byli moimi prezydentami), a może tak mi się tylko zdawało, gdyż byłem naiwny. Nie, cały kraj płakał, kiedy umarł. Moja matka płakała.

— Jedna trzecia narodu — mówił — mieszka źle, jest ubrana źle, odżywiana źle.

Teraz, przy naszej udoskonalonej technice i humanitarnych reformach społecznych i politycznych, takich biedaków musi być ponad pół narodu. Kiedy dojdzie do stu procent (milionerzy będą już wówczas szwajcarskimi obywatelami i będą mieszkali we Francji), zagrają surmy, otworzą się niebiosa i wszyscy usłyszą za darmo muzykę Haendla. Ubiegłej nocy znów mi się śniło, że matka żyje, wychudła ze starości, ale w doskonałym zdrowiu, ładnie ubrana w przewiewną kre-tonową suknię i cienki biały sweter, rozmawiała ze mną

swobodnie i bez goryczy na miłym świątecznym przyjęciu w lecznicy. Było Boże Narodzenie, Wielkanoc czy Święto Dziękczynienia. Uśmiechała się do mnie ciągle jak w czasach mojego dzieciństwa. Wszystko mi wybaczyła. Rano, po obudzeniu, tęskniłem do niej jak porzucone dziecko — czułem lepkie łyzy zasychające mi na policzkach—wynurzałem się ze snu wdzięczny, pamiętając wszystko, co mi się śniło, byłem przytomny, zdrow i cały po powrocie stamtąd, gdzie przebywałem, kiedy nie było mnie tu.

— Co ci się śniło? — stale dopytuje się żona.

— Ja.

— Jęczałeś.

— Moja matka.

— Ciągle?

— Tobie też się przyśni twoja.

— Już mi się śni. Od czasu kiedy dostała artretyzmu. Ma wykrzywione palce. Czy nigdy się nie skończą? Sny?

— Dla mnie się nie skończyły.

— Czy i ja będę miała artretyzm?

- I ja .

— Mam nadzieję, że nie będę go miała w kręgosłupie. Nie chciałabym być krzywa w tym miejscu.

— Daj mi.

— Nie jestem w nastroju. Dzieci nie śpią.

Na myśl o tym, jak tęskniłem za matką budząc się dziś rano, znów ogarnia mnie tęsknota za nią. Tęsknota za porzuconym dzieckiem. Ono jest mną. Ale ja nie jestem nim. Ono może się kryć w mojej głowie razem z innymi, o których wiem, że tam są, ale których nie potrafię znaleźć, to dziecko psuje mi paskudnie nastrój i przyprawia o bicie serca. Mam cały świat w głowie. Rodziny kryją się w niej przykucnięte w zasłoniętych, chronionych miejscach. Rezydują w niej różne cywilizacje. Prawa fizyki chronią ten świat przed rozpadem. Prawa chemii utrzymują go przy życiu. Ja nie mam z nim nic wspólnego. Nikt nim nie rządzi. Chytrzy emisariusze przekradają się z zaułków do sklepionych pasaży w niemoralnych, tajemniczych misjach. Nikt nie rządzi. Jestem ofiarą infiltracji i obłąkania, odsłoniętym celem podstępnych ataków od wewnątrz. Coś rusza się i przetacza powoli w mojej głowie jak czarne węgorze, i spada ze świadomości w atramentowoczarną głębinę. Wszystko jest pomniejszone. Nie jest ani ciepło, ani zimno. Nie jest wilgotnie. Sarkastyczne twarze ukradkiem

zajmują się swoimi paskudnymi sprawami i przyjemnościami nie zwracając się mnie. To boli. Ofiary płaczą. Nikt nie umiera. Lament jest bezgłośny. Biorę aspirynę i środki uspokajające. Pełzną po mnie upiorne figurki (zjawiają się i znikają), malutkie gnomy, diabelki. Drapią mnie i kłują. Chciałbym raz na zawsze spuścić tę zgrają z wodą z moich myśli, niech wypłynie na światło dzienne, chciałbym ją rozszyfrować, ustawić pod ścianą w mlecznym blasku oślepiających reflektorów i spytać:

„Doskonale, powiedzcie, kim jesteście. Coście robili w mojej głowie? Czego wy wszyscy chcecie ode mnie?”

Nie odpowiedzieliby. Byłoby ich bez liku. Zobaczyłbym tysiąc odmian mnie samego. (Lubię pieprzyć żonę, kiedy ona nie ma ochoty. Lubię zmuszać ją, kiedy nie chce.) Chciałbym móc sfotografować wszystkie moje sny kamerą filmową, przyprzeć do muru winnych łajdaków z tych snów, załatwić się z nimi. Miałbym dowody. Chciałbym na podsłuchu nagrać ich myśli. Chciałbym sfotografować ich sny, aby dowiedzieć się, co się dzieje w ich głowach, kiedy tak swobodnie poczynają sobie w mojej. (Głowa człowieka jest jego twierdzą.) Nie słyszę głosów. (Czasem żałuję, że nie słyszę.) Nie jestem obłąkany. Wiem, że się o mnie mówi za zamkniętymi drzwiami, ale nie wyobrażam sobie, że słyszę, co ludzie mówią. Wczoraj w piwnicy pewnego domu znaleziono zwłoki chłopczyka, padł ofiarą seksualnej zbrodni. Zbrodniarz jest na wolności. W szybie wentylacyjnym innego domu znaleziono zwłoki innego dziecka: zrzucone z góry. Nikt nie wie, dlaczego ją zamordowano. (To była dziewczynka. Policja jeszcze nie ustaliła, czy była molestowana seksualnie.) Trzecie dziecko znikło z domu kilkanaście dni temu i nikt nie wie dlaczego. Rodzina i sąsiedzi czekają na wiadomość w straszliwym napięciu, zapalają nabożne świece za duszę dziecka, oczekując w rozpacznej najgorszego. Ja też sądzę, że zostało zamordowane (i zastanawiam się dlaczego. Dziś farmerzy z Oklahomy postanowili nie dostarczać bawełny po obecnej cenie, bo cena podwoiła się od chwili dokonania sprzedaży do chwili przygotowania kontraktów sprzedaży. Kupcy zaskarżą farmerów do sądu. W szybach wentylacyjnych i na klatkach schodowych znajdują ciągle zwłoki cudzych dzieci, a ja nie wiem nawet dobrze, co to jest szyb wentylacyjny czy klatka schodowa). Ciekaw też jestem, co o mnie myśli cienki jak trzcina Horace White. To bardzo wpływowy kutas. (Nienawidzę go, a tyle dla mnie znaczy.)

— Patrzcie państwo, nasz obgryzacz paznokci we własnej osobie — mówi, kiedy wchodzi do jego gabinetu, i uważa, że jest dowcipny. — Jak się masz?

Siedząc za ogromnym orzechowym biurkiem czyści przeważnie, obcina lub piluje błyszczące paznokcie, kiedy wzywa mnie, aby mi powierzyć jakieś nowe zadanie lub omówić poprawki. (Zmiany, jakie sam chce wprowadzić, nazywa poprawkami.)

— Gdybyś napisał kiedy książkę — powtarza — wsadź mnie do niej. Kupię dużo egzemplarzy.

Chciałbym założyć podsłuch i do jego głowy. Chciałbym się dowiedzieć, czy ja buszuję impertynencko w jego snach, jak on w moich (jak gdyby były jego własnością). Wątpię, czy przedstawiam dla niego wystarczająco dużą wartość. On często wkracza w moje sny z twarzą prawie pozbawioną rysów, kręci się tam przez chwilę i przeistacza w rumianego, grubszego Greena, który się piekli i patrzy na mnie sarkastycznie, zaczyna mówić coś obraźliwego i znika tak szybko, jak ja bym chciał zniknąć w chwili, kiedy zjawia się groźny, czarny nieznajomy, zbliżający się do mnie z nożem, którego nigdy nie widzę, bo albo się budzę jęcząc ze strachu jak pierwotny człowiek, albo też on uprzejmie ustępuje placu komuś takiemu, jak siostra mojej żony, jej matka, Forgione czy pani Yerger. Lub też mojej córce, synowi czy Derekowi. Albo jeszcze komu innemu, kogo nie zapraszałem. Jakim rozkosznym odprężeniem jest podymać na żonie czy Penny we śnie. Często spuszcza się z Penny i budzę się akurat na czas. Z żoną też często. Czasem po przebudzeniu zaczynam pieścić żonę, która odwraca się do mnie miłośnie i robię to z nią na jawie. (We śnie bywa to na ogół przyjemniejsze.) Kiedy śnię o Virginii, nie spuszcza się nigdy. Tarmoszę jej bluzkę, dotykam jej przybrudzonych od używania podwiązek. Z tyloma ludźmi muszę się uporać w nocy. Wielu z nich to woskowe polakierowane figury. Nie są prawdziwi. W moich snach przewijają się wampiry i karzełki. Kadłuby ciała. Dręczą mnie w snach żona, matka, siostra, nieżyjący brat, nawet nieżyjący ojciec (aczkolwiek nie pamiętam, jak on wyglądał. Fotografie jego nie są przekonujące), wszyscy prócz nieżyjącego ojca domagają się ode mnie jakiejś pomocy, której nie mogę im udzielić, bo sam jestem w wielkiej potrzebie. Nic dziwnego, że wszystkie moje sny zdają się toczyć w dusznej atmosferze kaplicy przy zakładzie pogrzebowym. Tylko Baron wnosi do nich jakąś pociechę, ale jest zajęty



i nigdy długo w nich nie zostaje, nie jestem pewien, czy to nie jest mój ojciec, i nie rozumiem, dlaczego jest taki niezadowolony. (Nie zrobiłem nic złego.) Mój zagapiony, czekający dziewięcioletni syn przeistacza się w zagapionego, niemego Dereka. Żaden z nich się nie porusza. Ja też byłem kiedyś niemy. Nie wiedziałem, co się ze mną stanie. Teraz mam pewne pojęcie. Wystarczy, abym usiadł przy świątecznym stole z całą rodziną i żeby coś przypomniało mi nieżyjącego ojca, starszego brata lub bez słowa umierającą matkę, a zaczynam pojmować, że to ja jestem rozrysowany nieruchomo wokół stołu w różnych etapach mego życia — od niemego początku (Derek) do niemego, tragicznego, zwierzęcego końca (matka), biernego i uległego jak krowa, dalej do nieobecnego ojca (tatusia). Jestem ilustrowaną planszą przemijania. Żona, córka i syn w każdej chwili mogą to potwierdzić — po kolei jestem w ich wieku. Oni są mną. (Ale ja nie jestem nimi. Na moje życzenie odgrywają pewne odcinki mego życia, kiedy tylko zechcę.) Ten obraz jest jak sen. Sceneria jak fryz.

Skamieniały.

Nikt się nie porusza. Siedzą jak wypchane lalki, ja zaś mogę powiedzieć:

„Taki jestem w moim ówczesnym okresie.”

I:

„Tak będę czuł, kiedy...”

Teraz już mogę się poruszyć.

Wiem chyba, co to znaczy dla mojej żony mieć za męża rozpustnego faceta na stanowisku, takiego jak ja, którego ona już nie obchodzi, chyba żeby dostała raka lub popełniła cudzołóstwo. (Samobójstwo nie wskrzesi moich uczuć dla niej.) To musi być sprawa mrożąca krew w żyłach. Przesuwając spojrzenie w prawo czy lewo, potrafię przenieść się w przeszłość matki, ojca, brata czy siostry, aby ujrzeć swoją terażniejszość i przyszłość. Przenoszę spojrzenie w przyszłość moich dzieci i widzę swoją przeszłość. Jestem, czym byłem. Jestem już tym, czym będę. Oni mnie informują jak znaki drogowe. A oto inny sen, jaki sobie wyobrażam, widząc siebie pochylonego nad indykiem z nożem i widelcem na kościanym trzonku do dzielenia drobiu: zabieram się do roboty, oddzieliłem już ściętna, zaraz odkroję pierwszy piękny płat białego mięsa z piersi indyczki, rodzina czeka w milczeniu, siedzą na krzesłach z wysokim oparciem jak cienie, wstrzymują oddech, należą do mnie.

Jestem ich właścicielem. Są moją własnością. Jestem szefem (spodziewam się, że białe mięso będzie kruche, a ciemne soczyste). Znów jesteśmy skamieniali, nieruchomi. (Widzicie to?) Nie możemy się poruszyć. Stoję nad indyczką, oni siedzą zeszytwniali. Czuję się niesamowicie w tym zastygłym, niemym obrazie, w którym wszyscy chwilowo jesteśmy posągami, i gdybym się nawet nigdy nie ożenił, nie spłodził dzieci, nie miał rodziców, oni i tak byliby przy mnie. W tym układzie żadna rola nie mogłaby być inna. Koło musiało się zamknąć z tymi rolami. Tylko Derek się odchylił, to był nieszczęśliwy wypadek, nie mój. (Odegraliśmy nasze role.) Teraz on ma swoje miejsce wśród nas. Oni są w mojej głowie, odkąd mam głowę (bocian ich nie przyniósł), nie pamiętam siebie bez nich. (Brakowałoby tyle z tego, co jest mną.) Tłuką mi się w mózgu, przyprowadzają mnie o ból głowy. Czasem mnie śmieją. Istnieją w mojej plazmie. Teraz możemy się poruszyć. Ale siedzą bez ruchu. Czekają jak kikuty. Siedzą jak trupy w trumnach na krzesłach z wysokim oparciem. Indyczka jest pokrajana: białe mięso, ciemne mięso, gorsze kawałki, skrzydełka i nóżki leżą pięknie ułożone jak narzędzia na tacy dentysty albo przyrządy chirurgiczne laryngologa, który ma przed sobą operację migdałków. Nie podaję półmiska. Są jabłuszka nadziewane, mrożona galaretka z żurawin, importowany dżem porzeczkowy. To zamrożone przyjęcie, sceneria domowego ogniska cyzelowana w zimnym butwiejącym kamieniu. Panuję nad sytuacją, ale niewiele mogę zrobić. (Mogę podać żonie półmiskę z mięsivem.) Jest też moja matka z białymi jak mydło włosami. Ojciec jest gdzie indziej. Matka umrze. Wiem, bo już umarła. (Byłem bardzo obrażony na ojca, kiedy zmarł, i nie chciałem pójść na jego pogrzeb. Chciałem dać mu nauczkę. I dałem.) Żona jest jedyną żoną, jaką mogłem mieć do tej pory (nie miałem wyboru), dopóki śmierć, rozwód czy cudzołóstwo nas nie rozłączą. Moje dzieci są jedynymi możliwymi dla mnie dziećmi. (Inne dzieci są dziećmi innych ludzi.) Karty nie przepowiedziały dla mnie czy dla nich uśmiechniętych, piegawatych twarzy z dołeczkami, zagrzewaczy na meczach, wesołków walących ludzi po plecach, osiagających supersukcesy jako gwiazdy. Stały się tym, czym są. Gdybym wyobraził je sobie jako wspanialsze, pozostałyby takie same. W mojej mosznie nie było zalążków dziecka, które by zapraszano do Białego Domu i fotografowano obok prezydenta jako uosobienie wszystkiego

co wspaniałe i zdrowe w narodzie. Wkrótce będą musieli tam zapraszać porcelanową miskę truskawek z kremem. Ludzie zaczęli wyglądać jak straszdyła. (Truskawki podkoloruje się syntetycznym barwnikiem. Krem spaskudzi się czymś szalenie białym. A porcelanowa miska będzie z malowanej gumy.) Wszyscy są tacy, jacy być muszą, prócz Dereka, który siedzi z nami — dajemy jego pielęgniarce urlopy na wyjazd do rodziny i modlimy się w duchu, aby z nich skorzystała. Potrafię go sobie wyobrazić innym. Nie mogę go sobie wyobrazić takim. Teraz możemy się poruszyć. Mogę podać żonie półmisek z indyczką, zaproponować dzieciom placek ze słodkich kartofli, które są bulwami. Nie ma już słodkich kartofli. (One też znikły. Nie wiem, co się z nimi stało.) Nie wiem, dlaczego ojciec pojawia się w moich snach, w których nie potrafię mówić ani się poruszyć, tylko stoję i słucham, skoro ledwie go znałem, chyba po to, aby się zamienić w kogoś strasznego: czarnucha lub White'a, który w moich snach odślania szkarłatną podszewkę erotycznego okrucieństwa pod płaszczkiem znanej mi banalnej powierzchowności. White posiada akcje. Zastanawiam się, czy umyślnie nie pamiętam, że raz przynajmniej dostałem od ojca w tyłek. Nic takiego nie pamiętam. Znaczyłoby to, że był mi bliski, że rozumieliśmy się, dawałoby pewność, że posiadamy przeszłość, i nadzieję, że będę miał przyszłość. Może powinienem dawać w dupę swoim synom co dwa tygodnie dla ich własnego dobra. Córka jest na to za duża. Żona nie, więc dostaje ode mnie w skórę. Lubi drapać palcami rąk i nóg, delikatnie gryźć. Pozwalamy sobie na to. Oboje odczuwamy teraz większą rozkosz, kiedy jesteśmy cokolwiek obolali. Zastanawiam się, czy jestem jedynym mężczyzną w średnim wieku, który zachował jeszcze dawny dziecienny lęk przed homo-seksualnym gwałtem. Czy właśnie dlatego ten mężczyzna wdziera się do moich snów?

„Proszę wyjść!” — nakazuję mu wyraźnie.

Ale z gardła wyrrywają mi się tylko ochryple jęki, które straszą żonę.

— Co się stało?

— Nic.

— Jęczałeś.

— Mówiłem co?

— Nie wiem. Krzyczałeś.

— Jęczałem tylko. Już dobrze.

Żona i dzieci w tych snach nigdy nie są zagrożeni. Nie ma ich nawet w domu. Jestem sam. Ten facet nastaje na mnie. Nie mam kogo się poradzić w tej sprawie prócz religijnego doradcy mojej rodziny lub mego psychiatry. Ten wyjaśnia mi sprawę:

„Dlaczego pan pyta o to?”

„Bo...”

„Obgryza pan paznokcie?” — zgaduje.

„...boję się. Miewam sny i myśli, które mnie niepokoją, nawet jeśli są przyjemne. Dostaję bólu głowy. Jestem niezadowolony. Chyba cierpię na zamęt myśli. Nie słyszę głosów...”

„Aha” — powiada z długim westchnieniem.

„...nigdy nie miewam halucynacji.”

„Jak by pan to nazwał?”

„Czuję często smród odchodów.”

„Aha.”

„I zawsze mam na bucie psie łajno.”

„Musi się pan nauczyć chodzić uważniej.”

Nie mam psychiatry (koncern nie pochwała wyższych urzędników, którzy są nieszczęśliwi), a religijny doradca mojej rodziny jest doradcą żony. (Ten znów nie pochwała ludzi, którzy są szczęśliwi.)

Wiem, że wkrótce będę musiał przestać obgryzać paznokcie, jeśli chcę zająć wyżej w koncernie niż stanowisko Kagle'a lub dorosnąć do tego, aby pewnego dnia zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych Ameryki, kiedy to stanowisko się opróżni i nikt inny nie będzie na nie reflektował. Wiem, że było mi przykro, kiedy John F. Kennedy został zabity, bo dostał kulę w głowę, kiedy ani on, ani ja nie oczekiwaliśmy tego, przykro mi było patrzeć na fotografie z tego wypadku w pismach codziennych i ilustrowanych. Były przerażające. (Mogli sprzedać milion tych zdjęć, gdyby pomyśleli o tym.) Biedny człowiek. Mam nadzieję, że ja nigdy nie dostanę kuli w łeb. Teraz on jest znacznie mniejszy w moich myślach (ale w nich jest. To on. Będę się nim zajmował, jak długo potrafię), musiał zostać bardzo pomniejszony, aby się zmieścił w moich myślach i mógł poruszać we wspomnieniach, kaprysach i snach, aby mógł sam robić niewidzialne rzeczy, kiedy ja jestem zbyt zajęty innymi sobowótami i cieniami, aby go wyciągnąć z ukrycia i bawić się nim. Inni mogą go mieć na półdolarówkach, ja go mam uratowanego w mojej głowie. Jest czysty, polakierowany, przystojny, uśmiechnięty. Ma błyszczące włosy. Teraz go lubię.

Siostra żony go nie lubi. Jego młodszy brat nie pożył tak długo jak on. Nie docenia się na ogół faktu, że Lyndon Baines Johnson miał zaledwie czterdzieści sześć lat i był jeszcze senatorem, kiedy przeżył pierwszy zawał. Dla niego wszystko było skończone już wtedy. Nigdy potem nie był już wiele wart. Eisenhower zregenerował się po swoim zawale. Zaczął lepiej grać w golfa. (Tak samo będzie ze mną.) Truman też umarł. Wiedziałem, że umrze. Moja głowa porządnie poboлева ostatnio, a nie dostałem przecież kuli w łeb. I boli mnie kark, tuż u nasady kręgosłupa. Aspiryna pomaga. Środki uspokajające żony pomagają mi usnąć. Trzy warstwy tkanek otaczają mój mózg i rdzeń pacierzowy, mają ogólną nazwę: opony. Byłem zachwycony, kiedy się dowiedziałem, że mam trzy. Nie wiedziałem, że je w ogóle mam. Zapalenie opon mózgowych jest więc zapaleniem głowy. Zakaźne zapalenie opon mózgowych jest zakaźnym zapaleniem głowy. Zakaźne zapalenie opon mózgowych często występuje w instytucjach wojskowych. Cywile umierają na zapalenie mózgu, które jest zapaleniem substancji mózgowej i bywa często mylone ze śpiączką. Ludzie zapadają na paraliż, jakby ucinali sobie drzemkę. To też dobra kuracja na bezsenność. Jestem już za stary, aby się jak głupi martwić z powodu tego, że mogę zapaść na zapalenie opon mózgowych. Nie boli mnie jeszcze w klatce piersiowej. Zamieniłem swoje dziecinne obawy, że mogę dostać zapalenia opon mózgowych, na bardziej dorosłe dziecinne obawy. Nie myślę już o zapaleniu opon. (Cha, cha.) Zapalenie opon mózgowych zabija. Jest jak kula w łeb. Martin Luther King dostał kulę w łeb, nasza czujna FBI w wiele miesięcy po jego śmierci zdjęła podsłuch z jego telefonu (i założyła podsłuch do mojego). Zapalenie opon mózgowych niszczy system nerwowy, powoduje głuchotę, niemotę, ślepotę, paraliż i śmierć. Było mi nawet bardziej żal Bobby'ego Kennedy'ego, kiedy go zamordowano, bo był młodszy od Johna i straszniejsze były fotografie jego leżącego na podłodze kuchni hotelowej. Taki się wydawał słaby, oszołomiony, jego gałki oczne były ogromne, zagubione w oczodołach, leżał z rozpostartymi ramionami i nogami, kanciastymi i chudymi. Jeszcze miał na sobie buty. Ubrał się na czarno na owo zebranie. On też już jest polakierowany. Nigdy już nie kichnie. I on jest w mojej głowie. Schowałem go w niej. Będę go trzymał w ciepłe. Zostanie tam do dnia mojej śmierci — lub dnia, kiedy zapomnę go wspominać. Nie wiem,

co się z nim stanie potem. Sam będzie musiał troszczyć się o siebie. Nie wiem, jak się utrzyma przy życiu, kiedy przestanę się nim opiekować. Lub gdzie będzie przebywał. Dawniej, kiedy paliłem się do dziewczyny, pekałem z żaru. Teraz jestem już tylko rogaty. Mam tylko erekcję. Siostra żony jest przeciw przemocy, jak twierdzi, ale cieszyła się, kiedy zamordowano Kennedych, i uważała, że ponurej sprawiedliwości stało się zadość.

— Dostali tylko to, na co zasłużyli — oświadczyła. — Prosilili się o to po swojemu.

Żonie żal było ich dzieci.

Muszę pamiętać, aby zbyt często się nie uśmiechać. Muszę utrzymać pozory. Muszę pamiętać, aby się zachowywać, jak należy, muszę być służalczy, ostentacyjnie wdzięczny ludziom w koncernie, w uniwersyteckich oraz ekskluzywnych klubach, do których mnie zapraszają osoby oczekujące w zamian za to, że będę pokorny, usłużny, uszczęśliwiony i zastraszonej. Mniej teraz podróżuję i częściej przebywam w domu. (Trzymam się w pobliżu bazy domowej, którą oczywiście nie jest mój dom, lecz koncern.) Żona cieszy się, że jestem w domu, mimo że się kłócimy. Córka podejrzewa, że ją szpieguję. My podejrzewamy, że brała któryś z naszych samochodów, kiedy nas nie było w domu — ma starszych kolegów i koleżanki z prawem jazdy dla nieletnich — a bratu zagroziła, że mu pokiereszuje twarz i wydrapie oczy, jeśli słówko piśnie na ten temat. (Zamordowałbym ją chyba, gdybym się dowiedział, że straszyla go śmiercią czy kalectwem.) Derek nic nie może powiedzieć. Ciekaw jestem, jakie wrażenia odbiera jego mózg (muszę sobie przypominać na siłę, że przecież ma jakiś tam umysł oraz oczy i uszy, które widzą i słyszą) i jakie wnioski z tego wyciąga. Nie chciałbym zakładać podsłuchu do jego głowy. Zbyt dużo trzasków chyba bym słyszał. Wydaje mi się, że on dostaje bodźce linearne w nie uregulowanych prądach obrazów i odgłosów, które wpływają do jego głowy z jednej, a wypływają z drugiej strony, jak gdyby sygnały radiowe przepływały przez brukiew albo jakiś dobrze naregulowany, okrągły, skomplikowany i bardzo czuły instrument z ceramiki, wolframu czy szkła, instrument doskonały, lecz nie funkcjonujący. Nie mogę nazwać jego głowy terminalem, bo tam nic się nie kończy. Własne myśli widzę jako sferyczne, kuliste, koło podobne do kuli ziemskiej kręcące się w basenie z osadem, do którego w dolne pokłady mroku i szlamu spada mnóstwo spraw, o których zapominam

pomyśleć. (Zapominam nawet to, co chciałbym spróbować pamiętać.) Niczym rura, w której jest próżnia, Derek potrafi nagle zapłonąć ogniem. Podlega niewidocznym drganiom oraz zmianom wilgotności i temperatury jak tranzystor. Mam syna z brukwią w głowie. Wydaje mi się, że tam muszą być trzaski i inne zakłócenia. W takich chwilach wpada zapewne w złość. (Ja mam własne trzaski w głowie, prowadzące do moich obłąkanych wybuchów w domu, pragnę w takich chwilach, aby w mojej czaszce powstała dziura i żeby to trzeszczące ciśnienie z niej uleciało.) Derek ma słodką twarzyczkę. Wszystkie moje dzieci są ładne, a żona jest bardziej pociągająca od innych kobiet w jej wieku, jakie znam. Zastanawiam się, jakie złącza architektoniczne pozostały nie dokończone w jego mózgu. Czy jest jeszcze za głupi, aby zrozumieć, że jest idiotą i wyrośnie na kretyna? Czy wie, że powinien by życzyć mi śmierci i bać się, że go zamorduję czy wykastruję za takie życzenie? Niech się nauczy nie okazywać swoich nieprzyzwoitych zakusów w stosunku do matki. On jest bez winy. Czasem śni mi się, że i on nie żyje, a kiedy się budzę, jestem niepocieszony, żal mi go, ale wiem, że ten sen właściwie dotyczy mnie samego, więc nie chcę, aby Derek zupełnie przestał istnieć.

— Co ci się śniło dziś w nocy? — pyta żona szykując śniadanie.

— Derek.

— Śmiałeś się.

— Ty mi się śniłaś. Że rznąłaś się z innym.

— Śmiałeś się.

— Byłaś śmieszna. Z wielkim czarnuchem. Chwyciłaś mnie za fiuta. Lubię dziewczyny, które to robią.

— Mam to zrobić teraz?

— Muszę iść do biura. Zrób dziś kolację.

— Ja miałam koszmarny sen.

— Płakałaś.

— W twoim śnie?

— W swoim.

— Dlaczego mnie nie obudziłaś? Śniło mi się, że płaczę i nie mogę przestać.

— Byłem zajęty własnym snem. Może to był ten sam sen. Czy tobie też się śniło, że rznąłaś się wczorajszej nocy z ogromnym czarnuchem?

— Nie musi mi się śnić czarnuch. Mam, co mi trzeba, od ciebie.

— Zdaje się, że ta wiedźma kradnie jedno z naszych aut. Wczoraj przy kolacji zaczął coś mówić, ale ostrzegła go oczami.

— Zapytam ją.

— Ja ją przyłapię. Zrób kolację dzisiaj. Chcę ją przyłapać.

— Ostatnio często bywasz w domu.

— Więc?

— Nic nie miałam na myśli. Cieszę się.

— Ja też nic nie miałem na myśli.

— Nie musisz zaraz wrzeszczeć.

— Nie wrzeszczę. Chyba mam prawo od czasu do czasu podnieść głos, żeby mnie nie oskarżano natychmiast o wrzaski. Wszyscy wrzeszczą. Ty też. Dlaczego jesteś taka drażliwa?

— To ty jesteś dziś wrażliwy. Cieszę się, kiedy wracasz do domu. Pogwizdujesz nawet. Może lubisz teraz być z nami w domu.

— Oczywiście.

— Czy wszystko w porządku?

— W jak najlepszym. Byłoby w jeszcze lepszym, gdybyś przestała mnie indagować, czy wszystko w porządku.

— Wiedziałam, że to nie potrwa długo, że ci przejdzie, nim jeszcze wyjdiesz z kuchni.

— Co w tym dziwnego, że nie mogę się doczekać, by pójść do biura?

— Jeśli w biurze jest coś nie w porządku, to powiedz.

— Wszystko w najlepszym porządku.

— Co ci jest? — pyta Green prosto z mostu, jak tylko zjawiam się w biurze.

— Co mi jest?

— Powiedziałem dość głośno. — (Chryste, on też jest wściekły i zaskoczył mnie.)

— Nic.

— Nie kłam.

Jego wylupiaste oczy wpatrują się we mnie z wilgotną, sadytyczną złośliwością, zmysłowa twarz jest rozgrzana, spocona koło brwi i ust. Green na ogół nie pozwala sobie na pocenie się, kiedy ktoś może go zobaczyć. (Ciekaw jestem, czy to niedoczynność tarczycy, czy powiększona prostata dziś mu dokucza bardziej niż zazwyczaj.) Ma na sobie obszerny, miękki garnitur z wielbłądziej wełny w kratę, z szarym meszkiem w delikatne fioletowe prążki, marynarka jest rozcięta z tyłu



i ma szerokie klapy — on może nosić coś takiego. Inni muszą czekać na festiwale i wystawy, aby móc się tak ubrać, aczkolwiek spodnie w kratę są dopuszczalne na weekendy, letnie przyjęcia na świeżym powietrzu, na przystani i w zamiejskich klubach. Green jest malowniczy, ma niewyparzoną gębę, czym wprawia większość naszych szefów w zakłopotanie, więc trzymają się od niego z daleka. White ucieka od niego jak od dzumy. Green mu schlebia, a White ucieka od niego do Blacka, który gardzi Greenem i otwarcie go szkaluje, Green zaś wycofuje się liżąc rany.

— Black to bydlę — skarży się Green. — Goryl. Nie ma sensu z nim rozmawiać.

Black jest antysemitą. Green patrzy na mnie dziko zza biurka, jak gdybym to ja był winien, że ma niedoczynność tarczycy, prostatę, zapalenie okrężnicy czy Blacka na karku.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Nie kłam tak nieudolnie — niemal mi przerywa, jak gdyby z góry wiedział, co powiem. — Kłam, kiedy nie podejrzewam cię o kłamstwo. Jestem twoim szefem. Nie kłam tak nieudolnie wobec nikogo z nas, jeśli chcesz tu dalej pracować. Nie zniosę tego, aby ktoś prócz mnie gardził moim podwładnym.

— Moja pierdolona żona.

— Nie używaj takich słów przy mnie.

— Pytałeś, co mi jest, tak czy nie?

— Nie jestem Kagle'em.

— Nie powiedziałbym tego jemu.

— Lubię twoją żonę.

— Nieprawda, Jack. I ja ją lubię. Co ci jest?

— Miałem cztery żony, ale nie słyszałeś, żebym powiedział na nie złe słowo, choć wszystkie je znienawidziłem.

— Moja żona nie przepada za tobą.

— Nie gadaj od rzeczy.

— Uważa cię za łajdaka, bo nie dajesz mi wygłosić mowy na zjeździe.

— Przestań się nią zaślaniać.

— A ty się nie zgrywaj. Wcale jej tak nie lubisz.

— Wcale jej nie lubię, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć. Po wiedzieć ci dlaczego?

— Nie.

— Za dużo pije na pewnych przyjęciach i za mało na innych. Jest sztywna i skrępowana, więc inni też stają się sztywni

i skrepowani. Na przyjęciach koncertu aż zięje od niej skrepowaniem, jak od innych zięje niemiły zapach.

— Powiedziałem ci, że nie chcę wiedzieć.

— Ona nie jest znów taka wyjątkowa. Nie jest ani bogata, ani sławna, ani towarzyska, nie może pomóc ani tobie, ani mnie.

— Pytałeś, co mi jest, tak czy nie?

— A ty się zasłaniasz żoną, aby umknąć odpowiedzi.

— Nieprawda. Dlaczego jesteś taki wściekły?

— A dlaczego ty jesteś taki zadowolony?

— Już nie jestem.

— Teraz się dąsas — pokpiwa ze mnie Green, jakby był moim echem, przychodzi mi na myśl, że jego też może ranić ten jadowity odruch, aby z nienawiścią przedrzeźnić swego dręczyciela.

To się nazywa echolalia.

To się nazywa echolalia (gwałtowna, natychmiastowa potrzeba powtórzenia słów osoby, z którą się rozmawia. Sprawdziłem to, cha, cha).

— Cha, cha.

— Cha, cha.

(Mogę tak bez końca.)

Mogę tak bez końca.

— Nie powinienem się dąsać?

— Nie powinieneś? — powtarza Green.

— Co się dzieje, Jack?

„Co się dzieje, Jack?” — czekam, że powtórzy moim głosem jak w koszmarze (bardzo często słyszę siebie, jak małpuję żonę lub córkę, kiedy jestem do tego stopnia zirytowany i oszołomiony, że bardziej dojrzały sposób dokuczania nie przychodzi mi na myśl).

— Węszyłeś gdzieś za lepszym stanowiskiem? — pyta i nie przedrzeźnia mnie.

— Za lepszym stanowiskiem?

— Nie znajdziesz nic bez mojej pomocy.

— Powinienem się rozejrzeć za czymś lepszym?

— Nie wiedziałbyś nawet, gdzie szukać.

— Co mi brakuje tutaj?

Czuję, że zaczynam się pocić.

— Zaczynasz się pocić — mówi Green.

— Nieprawda.

— Masz spoconą twarz i pot przesiąka ci przez koszulę. Dlaczego się wypierasz jak osioł? Dobrze wiesz, że nie pytałem o to, co ci jest, kiedy spytałem, co ci jest. Nie tak to myślałem. Pytałem o to, co ci nie jest. Ironicznie. Zachowujesz się zabawnie. A kiedy mówię „zabawnie”, nie mam na myśli zabawnie. Mam na myśli dziwnie. I nie dziwnie właściwie, ale z wielką pewnością siebie. Ostatnio dużo pogwizdujesz w biurze.

— Nie zdawałem sobie sprawy.

— I fałszujesz w dodatku. Tobie się pewnie zdaje, że jesteś w koncernie jedynym facetem, który słyszał coś o Mozarcie. Podlizujesz się wielu osobom, których ja nie lubię. Kagle'owi, White'owi, Baronowi, Blackowi. Nawet Brownowi, a przecież ty zarabiasz więcej od niego.

— To należy do mojej pracy, pracuję dla nich.

— Nadskakujesz im, co? Nadskakiwanie zostaw mnie w moim dziale. Potrafię to lepiej od ciebie. Oni lubią patrzeć, jak im nadskakuję. Ty nie obchodzisz nikogo.

— A Kagle?

— Jest skończony — rzuca Green niecierpliwie z błyskiem zadowolenia. — Zapluwa się, kiedy mówi, poza tym kuleje. Mógłbym dostać jego stanowisko. Prawdopodobnie. Nie przyjąłbym go. Nie chcę być sprzedawcą. Stanowisko domokrażcy jest poniżające. A być domokrażcą sprzedającym samego siebie to rzecz wysoce poniżająca. Wiem coś o tym. Próbowałem sprzedać siebie na stanowisko wiceprezydenta koncernu i spudłowałem, nie ma nic bardziej poniżającego, niż chcieć sprzedać siebie i spudłować. Gdybyś to powtórzył komukolwiek, za przeczyłbym, a ciebie posłałbym na trawkę. Koncern cię nie zwolni, ja to zrobię. Wiesz, że tak. Red Parker.

— Co Red Parker?

— Trzymaj się od niego z daleka. Odkąd żona mu zginęła w katastrofie samochodowej, stacza się coraz niżej.

— Żal mi go.

— Mnie nie. Nie kochał jej tak bardzo, kiedy żyła. Za dużo pije i wałkoni się. Trzymaj się z dala od facetów, którzy się staczają. Koncern to ceni. Koncern ceni szczury, które wiedzą, kiedy uciec z tonącego statku. Korzystasz z jego mieszkania.

— Zmywam po sobie. I przyprowadzam tam też żonę.

— Zachowujesz się jak smarkacz z rozdziawioną gębą wobec tej młodej dziewczyny z pracowni graficznej.

— Nieprawda — bronię się. (Teraz zadał cios mojej du-

mie.) — Jack, to tylko żarty. — (Czuję, że oczy zachodzą mi łzami. Są pewnie równie wilgotne jak jego.)

— Nie jest dostatecznie ładna. Ma małą pensję.

— Ty też flirtujesz.

— Chroni mnie opinia, że jestem arogancki i ekscentryczny. Ty nie masz takiej opinii. Jesteś cały na wierzchu. Mam katar sienny. Kiedy ja robię wrażenie, że płaczę to, alergią. Co cię tak bawi?

— Chciałbym móc posłużyć się takim słowem.

— Nie możesz. Nie przy mnie, bo ja zawsze znajdę lepsze słowo. I nie potrafisz myśleć tak szybko jak ja. Nie masz dość stylu, aby być tak wymowny i przemyślny jak ja, więc nawet nie próbuj. Ta dziewczyna ci nie pomoże. Szukaj bogatych rozwódek, cudzych żon i ładnych wdówek.

— Nie ma znów tylu wdówek.

— Czytaj klepsydry. Znowu się uśmiechasz?

— Jesteś zabawny.

— Ale ty nie powinieneś się w tej chwili śmiać. Slocum, masz kłopoty i nie bardzo zdajesz sobie z tego sprawę. To mi się nie podoba.

— Jakie kłopoty?

— A takie, że jestem twoim szefem. I ostatnio, kurwa, masz zbyt dobry humor jak na mój gust.

— Myślałem, że nie podoba ci się to słowo.

— Jakoś nie boisz się mnie tak bardzo jak dawniej.

— W tej chwili się boję.

— Nie mówię o tej chwili.

— Dlaczego miałbym się bać?

— To mi się też nie podoba. Bo ja zaczynam się bać. Ostatnia rzecz, jakiej Jack Green mógłby sobie życzyć, to mieć podwładnego na tyle pewnego siebie, że chodziłby po biurze pogwizdując *Wielką Mszę c-moll* Mozarta... sprawdziłem to. Nie uśmiechaj się. Tobie tak łatwo zaimponować. Ale zasta nawiam się, skąd ty to znasz.

— Znam dziewczynę, która...

— To mnie wolno się tu zachowywać protekcjonalnie. Ale nie tobie. Nie potrzebuję u siebie gwizdaczy. Potrzebuję pija ków, facetów z wrzodami żołądka, migrenami i wysokim ciśnieniem. Facetów, którzy się boją. Jestem szefem i powinienem dostać to, co chcę. Wiesz, czego chcę?

— Dobrej roboty.

— Chcę kurczy żołądka i wyczerpania nerwowego. Ty też zacząłeś chudnąć, co? Ja mam kurcze żołądka. Więc dlaczego ty nie masz ich mieć? Zażywam pigułki. Chcę, żebyś i ty je zażywał. Chcesz?

— Nie.

— Będziesz zażywał, jeśli chcesz dalej u mnie pracować i wygłosić przemówienie na zjeździe. Do diabła, chcę, aby ludzie, którzy pracują u mnie, mieli się gorzej, a nie lepiej ode mnie. Dlatego tak ci dobrze płacę. Chcę cię zobaczyć na granicy załamania. Chcę, aby to było widoczne. Chcę, abyś to powiedział jękając się, zakłopotany, onieśmielony. Najbardziej cię lubię, Bob, kiedy nie potrafisz słowa wykrztusić, bo nie wiesz, jakie to ma być słowo. W tym roku też ci nie pozwolę mówić na zjeździe. Ale nie będziesz pewien, mimo że ci to mówię. Bo zmienię zdanie i każę ci opracować i przeciwwić inną trzyminutową mówkę na wypadek, gdybym już zdania nie zmienił. Ale zmienię. Nie ufaj mi. Ja nie ufam lojalności, pochlebstwu i zaletom towarzyskim. Nie ufam uległości, szacunkowi, współpracy. Ufam strachowi. Oto dałem ci wymowny przykład jasności myśli i elokwencji, prawda? Nigdy nie potrafiłbyś tak mówić, co?

— Co ci jest, Jack? — pytam niezdarnie, skamleń prawie, moja słabość czyni mnie podłym. — Dlaczego to robisz?

— W moim dziale są najwyższe płace w koncernie. Ugrzązłeś u mnie.

— Wiem.

— Robią mi wymówki z powodu zbyt wysokich pensji.

— Wiem.

— Chyba żebym postanowił cię zwolnić. Ja też tu ugrzązłem. Wiesz? Potrzebuję gorszych ludzi z lepszymi głowami, którzy czuliby w kościach, że nie ma dla nich życia, gdyby stracili u mnie pracę. Chcę, żeby naprawdę tak czuli. I chcę to widzieć, żeby to się przejawiało. Teraz widzę, że się boisz. Dalej, Bob, uspokój się... schowaj ręce do kieszeni. Trzęsą się.

(Zabiłbym drania, gdybym się odważył.)

— Dlaczego chcesz, żebym się bał?

— Pracujesz u mnie! Mogę cię zwolnić, przekłety idioto. To samo może zrobić kilkuset innych facetów, o których istnieniu żaden z nas nawet nie wie. Wątpisz w to?

— Na Boga, nie.

— Czy to nie jest dostateczny powód? Mogę cię terroryzować i poniżać, kiedy zechcę.

Och, on wciąż działa na mnie paraliżująco. Wcale nie może mnie zwolnić, a mimo to każda komórka w moim ciele jest przekonana, że może, i pęka z przerażenia.

(Mój umysł jest kierowany mózgiem. Gruczoły nie.)

Nie ufam sobie, więc mu nie odpowiadam, boję się, że zacznę haniebnie się jąkać jak baba, jak wymoczek. Nie czuję się na siłach odblokować usta, ruszyć językiem, mięśniami policzków i warg, aby odważyć się choć na jedno słowo, zanim przemyślę wszystkie możliwe sylaby i zdecyduję, od jakiego słowa zacząć. I przygotuję przynajmniej następne, które bezpiecznie zaprowadziłoby mnie dalej. (Jeśli zacznę od krótkiego zdania, może uda mi się wypowiedzieć je bez zająknięcia. Muszę zacząć od jednosylabowego słowa. Wszystkie możliwe sylaby piętrzą mi się w głowie jak kupa drewnianych klocków w dziecięcej klasie, w której panuje cisza.) W przeciwnym razie wyrwie mi się z ust tylko niezrozumiały bełkot lub krzyk. Czuję się, jakbym był kawałkiem spalonego tostu w tosterze, moje pory gwałtownie się rozszerzają, tryska z nich strumień gorącego potu, zanim zdolałam sobie powiedzieć, że nie ma powodu do strachu. Już nie muszę się bać Greena. Muszę tylko udawać strach.

Ale boję się.

(I obawiam się, że zawsze tak będzie.)

Nienawidzę go i życzę mu śmierci jak Kagle'owi. Życzę mu, żeby dostał raka tarczycy, prostaty, grubego jelita. Nie ma żadnego raka. Jego prawdopodobnie odwiedziłem w szpitalu, tylko po to, aby usłyszeć, że zaniemówił, i zobaczyć, jak niknie w oczach. Pewnie trafię do szpitala przed nim, a on nie zada sobie trudu, by mnie odwiedzić. (A może odwiedzi dlatego, że będzie wiedział, że go nie oczekuję.) Chciałbym być taki jak on. Zazdroszczę mu i podziwiam go nawet w tej chwili, kiedy odwraca ode mnie oczy z udaną obojętnością, nudą prawie. Nie chce mnie nawet zaszczyścić triumfalnym spojrzeniem. (Nie jestem na tyle ważny dla niego. Doskonale.) Chciałbym móc się tak zachowywać. Może kiedyś, jeśli będę regularnie ćwiczyć (kiedy jego nie będzie w pobliżu i nie będzie mógł stwierdzić z rosnącą wzdrganą, że trenuję po to, aby się z nim zmierzyć), uda mi się potraktować kogoś z taką samą wzdrganą pewnością siebie.

Green mnie teraz nie zwolni — chce mnie tylko zranić. Ma atak. (W głowie mu szumi.) Lecz mnie się robi zimno i gorąco ze strachu. Chwilami mam wrażenie, że tracę zmysły. Strach

(i zmysły, które tracę) nie wydaje mi się nawet moim (tylko jego) — w jednej chwili pali mi wnętrzności jak piec hutniczy, a następnie mrozi całego jak mróz podczas wietrznej mgły. Oblewam się zarem i lodowacieję wbrew woli, widać to po mnie i czuję to pod sflaczałym namiotem swojej dopasowanej, robionej na miarę ze szwajcarskiego batystu niebieskoszarej koszuli, najlepszej tkaniny na świecie, według Greena. To niemal zabawne. Mogłem włożyć dziś do biura ciemną koszulę ze ściślejszego materiału i wtedy nie byłoby widać plam zdradliwego potu, który rozprzestrzenia mi się pod pachami i z mostka spływa na piersi i brzuch.

„Następnym razem włóż sweter — niemal słyszę, jak mówi Green, który czyta moje myśli. — Kaszmirowy. Zapinany. Taki jak mój. Dlatego właśnie ja noszę sweter” — słyszę, jak dodaje, bo i ja czytam jego myśli.

To niesamowite, że on jeszcze potrafi rzucać na mnie urok. Życzę mu śmierci. I czuję, że to moje życzenie może się spełnić, mam pewne podstawy do takiego przeczucia. Po mojej stronie jest jego wiek, wrzody w grubym jelicie i Arthur Baron.

Lecz nie będzie to takie łatwe, jak bym chciał.

Mam ochotę wpakować mu kulę w łeb.

Chciałbym móc wykrzywić się i pokazać mu język. (Chciałbym znów zjeść gorącego słodkiego ziemniaka lub dobrą kurzydę.)

— Chcesz mnie zwolnić? — pytam niemrawo.

— Mogę cię poniżyć.

— Właśnie to robisz.

— Potrafię być skurwysynem.

— Dlaczego miałbyś chcieć mnie zwolnić?

— Nie podałbym ci nawet powodu.

— Musiałbyś przyjąć kogoś innego na moje miejsce.

— Po to, żebyś pamiętał, że mogę. Jak długo u mnie pracujesz, nie jesteś wolnym obywatelem. A ty czasem zapomniał o tym.

— Już nie zapomnę.

— Ja też nie. Aby dać ci poczuć, czym jest prawdziwa zależność. Bez mojej pomocy nie dostałbyś innej pracy, a gdy byś dostał, nie mógłbyś jej przyjąć. Musiałbyś wyrzec się emerytury i udziału w zyskach u nas i znów zamartwiałbyś się tak jak tutaj, nie wiedząc, czy tam cię lubią. Po trzech latach jeszcze nie miałbyś pewności. Jesteś zależny ode mnie.

— Wiem.

— Nie jestem pewien, czy zawsze o tym pamiętasz. A ja chcę zawsze wiedzieć, że wiesz. Chcę mieć pewność, że będziesz się czołgał przede mną na każde moje zawołanie i że ty o tym wiesz. Jesteś dorosłym mężczyzną, dojrzałym, zdolnym, nieważnym kierownikiem na średnim szczeblu, tak? Nie musisz tu stać i oblewać się potem ani wysłuchiwać moich impertynencji, tak? A jednak musisz i wysłuchujesz, tak? Więc?

— Nie odpowiem na to.

— Mogę ci dać następną dużą podwyżkę i w ten sposób cię poniżyć.

— Przyjmę podwyżkę.

— Mogę cię zmusić, abyś nosił grube ubrania i koszule oraz krawaty w paski.

— Noszę je.

— Zauważyłem to — odpowiada dowcipnie. — I grasz w golfa.

— Zawsze grałem w golfa.

— Nie zawsze.

— Co roku podczas zjazdu biorę udział w turnieju.

— Z ogromnymi trudnościami. Wystawiasz się na pośmie wisko razem z tymi pijanymi szarlatanami z Wydziału Sprzedaży. Tego też nie lubię. Nie należysz do Wydziału Sprzedaży.

— Muszę z tym wydziałem współpracować.

— Wolałbyś pracować u Kagle'a?

— U ciebie.

— Dlaczego?

— Jesteś lepszy.

— W czym?

— Czego ty chcesz ode mnie?

— U kogo pracujesz, u mnie czy u Kagle'a?

— U ciebie.

— Kto jest miłszy?

— On.

— Kto jest lepszym człowiekiem?

— On.

— Kto ci się bardziej podoba?

- T y .

— Teraz rozmawiamy inteligentnie. Nie powinieneś teraz myśleć o lepszej posadzie, Bob. — Mówi wolniej, łagodniej.



Wydaje się przyjacielski, skruszony. — Naprawdę nie sędzę, że znalazłbyś coś poza koncertem.

— Nie szukam, Jack. Po co by mi to było?

— Z powodu mnie.

— Nie jesteś taki zły.

— Nawet w tej chwili? — Podnosi oczy, aby mi się jeszcze raz przyjrzeć, uśmiecha się słabo.

— Dobrze wykonujesz swoją robotę.

— Wszystko?

— Nie wszystko. Niektóre rzeczy robisz okropnie. Podoba mi się nawet sposób, w jaki do mnie przed chwilą mówiłeś. Chciałbym być takim chamem.

— To łatwe... z kimś takim jak ty. Widzisz, jakie to łatwe? Z kimś takim jak ty. — Wzdycha nieco smętnie, ironicznie. — Nie zwolnię cię. Sam nie wiem, dlaczego w ogóle zacząłem o tym mówić. Dostaję czasem pietra, kiedy pomyślę, co by się stało ze mną, gdybym odszedł z koncertu. Wiesz, co się dzieje z ceną mięsa?

— Skacze?

— Ja też nie wiem. Ale martwię się, co by się ze mną stało, gdybym musiał to wiedzieć. Obcięli mi budżet.

— O ile?

— Nie twoja sprawa jeszcze.

— Kagle mówił, że to zrobią.

— Jesteś jego kumplem?

— To może okazać się pomocne.

— Bardziej jego niż moim?

— On mnie bardziej potrzebuje.

— Ja cię wcale nie potrzebuję.

— Musiałbyś znaleźć kogoś na moje miejsce, nie tak?

— Nie. Nikt nikogo nie potrzebuje w koncercie. Działa prawem bezwładu. Nie potrzebuje nas. To my potrzebujemy jego.

— Mam pogadać z Kagle'em?

— Kagle to przeklęty idiota. Nic mu nie pomoże, że przynieś nas do niższej kategorii w siatce płac. Jeśli ja dostanę podwyżkę, to i ty dostaniesz.

— Pogadam z nim.

— Ja cię o to nie proszę.

— Podetnę mu nogę.

— To nie jest zabawne.

— Wiem  
Mój szmuczek jest jakiś ni

— Nie pomyśl o to Nie wiem nawet dlaczego mi aa tyra  
zależy Żaden z nas nie zapłynie daleko Kagle kuleje Ja jestem  
— Niczym Moja żona jest wierząca, kongregacjonistką  
bogata Macz sypa kulekę czy cos w tym guście niewiele o mm  
mówisz prawda?  
— Ma uszkodzony mózg  
— Pomyśl o uszkodzeniu!  
— Bezradziejnie  
— Nie bądź taki pewny Słyszałem  
— Znam pewnego doktora

leny On też ma kłopoty z dziećmi ale me takie to są kłopoty  
z której może mów skorzystam (jednak trochę się przyda je  
) — Dostaniesz podwyżkę — mówi w kocu — ja również?

— Nie powinieneś  
— To należy do mojej strategii Nje poradziłbyś sobie  
wisko Kagle a mnie A ja bym sobie poradził Lepiej od

kuławą nogę i cofnął się w rozwoju dziecko nie będzie pre

— Roosevelt kulał

bredniejszy niż kraj Obcięci mi budżet Dlatego jestem wściek ty. In ułam tobie Wydużę z nich te pieniądze ale będę musiał o me walczyć. Płaczę o sie Muszę się płaszczyć aby eos wywalczyć i nienawidzę tego Dlatego me zaproponował bym ciebie na moje miejsce Nic nadzieję się Nie potrafisz się

— Tak ale bez wdzięku Jak twoje nadszkakiwanie

— Nauczylim się

— Jajaramiem Popatrz na Greena posiadła Green Po patrz jak Green się płaszczy pokniwa Green Dlatego właśnie obcięci mi budżet Lubia, kiedy się płaszcze Co roku obcinają mi budżet żeby zobaczyć jak się płaszcze. Ja mu jeszcze bardziej obcina ten jego budżet, bo wiem ile koczowniczej i naprawdę pilnej roboty w ogóle wykonuje się u nas niepotrzebnie i bezużytecznie. Muszę nametać, aby wydać mu się pokornym spokojnym godnym zaufania Green ma nasje. Cokolwiek byśmy zrobili nie wpłynie na bieg spraw w koncernie (Możemy jedynie wpływać na siebie) Końcem jest platemem misdu brzożyny w mi jak przeczny Dyrek tory umierają nowi przychody na ich miejsce. Pośle Eda ostrożnie. Gdyby im się zachciało skakać z radości. p<

Reda Parkera w centrum miasta Nie powinienem dłużej ko z Redem? Jest młodszy od Fhelpsa Muszę być uprzejmy dla wszystkich (Muszę postpować jak głupi)

— Coś ty tak cholernie wesoły ostatnio? — pyta Brown w cika, pięścią szturchnąjąc miuse lekko w ramię (Bez trudu potrafił sobie wyobrazić tę pręc na mojej

— Przez ciebie — odpowiadam wesoło — Przysylasz mi

— Sprawdził je z efektywnymi danymi sprzedaży'

do nich zabrac! Falarabym się o to aby hajdaki werbowal  
nabywców przez cały dzień! Zabrałbym im z biur krzesła! N  
enawidzę sporządzać te raporty  
— Baron ich potrzebuje dla White a i Blacka  
— Komputer zalamuje się i płacze kiedy me dostaje dob

— Kwalarz z ciebie  
Płaczę się wdrzącem przed Brownem i dostaję raporty dla  
Barona! Dostaję posłowskę! (Wiceci! forsy dla żony dzieci!)  
Co się stanie ze mną, jeśli Baron będzie miał wkrótce wylew?  
(Jest za grubo! Jak nie wiem jakie ma ciśnienie! Przeważnie  
tłuszczową czy procent cholesterolu w krwi! Nie wiem nawet

zaopiekuję jest! Baron umrze! (Kto obejmie jego stanowisko?)  
White? Musiałbym wierzyć w to że ta ona bez zgła mnie  
popra podrasz! Szy! Sprawno semita Green, zielony z zawici!  
jak jego narwisko kopalby podę mną do!ku swoim bystrzej  
szym umysłem i genialnym skownictwem a Brown zacząłby  
pisać! Aby mi dać w szczerkę! Mam nadzieję że n e dojdzie do  
tego Dos w szczerkę pokazy!by kres mojej kanerze uszkodz!by!

by!oby dla mnie znacm e gorzse niż kopanie Kagle a w nogę  
Potraf!ć sobie wyobraz!ć te kopie Kagle a w nogę i udaj!ć że  
i niewiedu by się musia!o o tym dowiedzie!ć! Ale g!dyby Brown  
da! mi w szczerkę wczesey w koncencie by wiedzieli! Sikoda!

Przy mn czuj!ć się o dwie stopy ni!zsy impotentem w dodat! lu  
kto dosta! w szczerkę czuje się impotentem! Chyba to że

by! aby się o tym dowiedzieli mo!e dzieci! są!edza lub nawet  
pielęgniarka Dercka N!k, kto kulaje kto ma cofnięte w roz! w!ju  
dusko! lub dosta! w szczerkę, nie ostanie r!ad! pre!d!en tem  
koncerno czy św!ata G!dyby N!jon dosta! w szczerkę nigdy me  
do!napalby się prezydenty! N!komu nie jest potrzebny!

cie takiego faceta Nie by mi me pomozło adby za to zwol memo Browna me cofnęłyby to ciosa Cc poczniez jeśli da mi w szerekę (Jak ja się zachowam?) Wiem co poczniez Uładną A teli ku memu wliwemu zdumem u me poadne' Wówczas musiałym spobowac dia w szerekę pema Co byłoby geroz'

Obie sytuacje byłyby gorsze  
Miewam napady nagłej utraty wiary w siebie tracę energię wole, nadzieję Zdarza mi się to kiedy jestem sam albo wracam z pracy samochodem znowu powadze (Mam ochotę zatrzymać się zrzęgnowac z dalszej jazdy) Napady takie przychodzą po wielkiej radości Jestem wypompany ogół ma mme bezadziejne przekonanie ze zuzedem na właściwy dla mnie poziom który jest niski Teraz z trudem niekiedy

już takie twarde jak dawniej — To mme martwi Czasem jed tak na twarde — stracił na wigor z wielką tęsknotą — now

te uczucie Są chwile, kiedy zdaje mi się bałam się tytać, kiedy me mam cienia wątpliwości przez ktrn musiałym się przedrzeć, aby zabrać się do roboty Nie myślę nawet o tym jako o robocie To przyjemność Nie zawaham się postać Półpina na emeryturę

mem — Skądś taki bierze' Znowjestejakmłody chłopak — Co ty tam wiesz o młodych chłopakach' — droczę się z mą bo to poświęcanie trochę mme bob — Więcej mż tob e się zdaje Chodz

— Teraz jesteście młodszy mż kiedy byłeś młodszy — dodaje z wielką mówiącym uśmiechem — Ty też

— Absolutnie me

— Znowu' — wykrzykuje Penny radośnie bo to jej po chleba a (jest zakrzyżona i wdzięczna, kiedy jej ponadmi) — Jak to się dzieje ze ostatnio masz dla mme yle czasu' Cze kaj — śmieje się gwałtowno zmysłowym koniłem — Czekaj kochan e Ne dajez szansę młodej dziewczynie e

nie tylko z ma i z zona ( one  
tez najmniej) mnie intruzja) Z kazda noc do ktorej dzwonię  
(normal zaszyfowaną 1 sie dwudziestu trzech narowik i telefonow  
w portfelu w burze i w szafce nocnego stolika w meczkami  
Reda Patara, kazdego wieczora czy popołudnia moge sie z ko  
ra i umowic) jest za kazdy razem jak po rai pierwszy (napie sie  
Praca Chęć spisanu sie Wolalem czasy kiedy one uadaly ze  
robią męczyznom laskę Zaliug ze sie dowiedzialy M one mogą  
mieć otzarm Ciekaw (jestem kto on to powiedzial)  
Wiem ze to sie spodoba Baronowi jest zmusze Pielpsia aby  
poszedl na emerytę W przestwietawie do Kagle a nigdy me  
przyjzaniem sie z tym milym gaulowym stanskiem ktory  
pracuje w koncernie przeszlo czterdziestci lat i ktorego  
obowiazki zredukowano do zalawania poprzez Dzial Podrozy  
rezewow w hotelach i samolotach dla kazdego kto go o to

zjazdu Musi sprawdzic, czy wynajeto dostateczna liczbe auto  
karow i zamowiono dost whisky Ma dobra pensje ale przez  
ulatme dziesiec lat (odkad stal sie starsowiecki Zlysczny  
lary do zastep enia) dostawal jedne normalne podwyzi.  
— Na pewno znów odbędzie się w Porto Rico — powtarza

w hotelu N eczby sie pospieszyli i oglosil to oficjalnie to

Chowalem 5 e 20 szafkami z aktami aby tezo me slyszec po raz  
niewiadome ktory Mogly pojec na emeryture z majzkiem w  
posnci emy i uadalu w zyskach, ale nie chce Zmuszyc go

wiec me doste stary aby go posiac na emerytę? Jak ja a e  
porbede jese? On naprawde scalopem sie stacza odkad zona  
mu zginela w wypadku samochodowym — dziewczyny z kto  
rzym radzile e teraz, me umywaia sie unda do tych a ktorem e  
zadawal za jej zycia — a jednak nie dostanie moze rostroja  
nerwowego na czas zebym mogli z tego skorzystac. Moj Jwin  
bedzie trzeba oglosic stosunkowo szybko

— Świętne Art, a ty?

W wypadku zwłoki te zmiany stana się najważniejszą sprawą  
zjazdu. Muszę pamiętać, aby na razie zachowywać się jak  
człowiek skromny i łagodny miły dla wszystkich i każdego z  
osobą. Czasem wydaje mi się że mam Barona w swojej

może się jeszcze rozmyślić / Iryzować a przez lata, a dla  
mnie nie wynikłoby z tego nic poważnego. Poza tym ktoś  
mógłby zwołać Barona razem ze mną bez żadnego wywołania  
na a w globalnej działalności koncertu nie wywołaloby to  
najmniejszego zakłócenia. Maszyna nie zatrzyma / b  
na sekundę / Nie myślę o  
przejście na miejsce Barona, jeśli on zachęca, wa  
m emeryturę zaawansuje lub przestanie się nadal

góra widziała we mnie ewentualnego kandydata mi ce

White a gdyby White zachorował (byłaby to zupełnie inna  
choroba, niż to na co Baron Kasie C. Green czy ja  
my — • Byłoby to choroba nowotworowa przez  
czuję teraz White nie należy do gatunku ludzi energicznych  
zdrowych których choroba dopada nagle i którzy nagle umie-  
rają. Będzie przychodził do baru trzeźwy, wpatrywał się w  
minowatych kulach, lub przewodził wózkami całymi łapani już  
jakomwada będzie się uśmiechał lub sucho rechał! Będzie  
wyglądał przerażająco i wspominał beceremonialnie dawne  
czasy do dnia swej Śmierci będzie nas wszystkich depotocznie  
gnęł i gdyż ciągle będzie posiadał akcje umami lub pozostał  
na emeryturę (White i tak już został przesunęty na boczny

pozostał White em. Może uzyskać nominację na członka  
pres-Lawnych komisji rządowych które wydają raporty c-  
ważnych sprawach narodowych zresztą metodycznie składane  
do akt

najwisko dobrać wygląda w prasie i na nagłówkach jawnych

White!!! a jego trzecia zona— jedna zmarła na raka gruczoła  
limfatycznego druga została okaleczona jako sportsmenka  
w wypadku - oraz matka dobiegająca doświadczeniaki (jak  
akcje koncertu cha. cha. po ostatniej operacji dwa za jednego)

przy popierających bale dobroczynne i sławne benefity komedii

marzyczych ober i balatów Baron nauce zając omiatać  
White a teoretycznie ja też) bo zdaniem nauwy biologiem e  
bezbłoty koncem ceni wyżej zdolności mż bogactwo jed  
praktycznie biota) Tylko ktoś z rodziny White a brat, kuzyn

razu wokroć na jego miejsce pos adać wstrząsk potrzebne  
cechy aby zostać drogi White em u nas (Każdy koncem  
potrzebuje takiego White a) Jest ograniczonym, nierozgar  
metym kłosem, zadowolonym z siebie nauwakiem (ciekaw  
jestem dlaczego mi mi się w tak strasznych okolicznościach  
tego drobne rzy stał się despotycznie smyślowe on sam  
paskudnie odmieniony) kupuje lamigłóki zabawki oparte  
na zasadzie perpetuum mobile i podobne ciekawości w kosgar ni  
Brentano a jestem posyla ektarce po mnie i innych  
szednków aby się mmi pochwalie (jak głybyimy me mogli  
porowić sobie na luno czość takiego adyby nam na tym  
T"lczalo W zeszłym roku zjawił się na zjedzie wieczorem w  
czerwonej marynarce sportowej z pażytej welty i wżayt kich  
nas tym zakłocył Wyobłąła ludnie W tym roku będzie więcej  
czerwonych marynarek)

— Popatrz na to — nakazuje rozpromieniony jak adyby  
w tej własne chwili odkrył coś niezwykle korzystnego dla całej  
i patrz To się nigdy me zatrzyma jesh się nie ruszysz Każdy

— Rzeczywiście wspaniale — przytakuję z masu i stoję jak  
skamieniały aż jemu się zdziwi trzymać mn e w swoim gab  
necie i kaze mi odejść

Niemawidzę się jak skamieniały  
Niemal przez całe życie mus ałem przez dżigie okryty stać  
jak skamieniały jak mi się zdaje ludość patrze wstecz widzę  
siebie stojącego jak skamieniały w jakimś wspomnieniu je-  
stem w tym wspomnieniu wrzeczony lub też splaszczony  
poścignięciem pedda jakiegoś ilustratora albo też jestem me-b  
ekskomolową plamą chemiczną na płytce pod mikroskopem czy  
nawieczony na jednej klatce kolonowej satony filmu Na wet  
jesh ten film się kręci mogą oglądać akcje tylko w momencie  
uniciecznienia poszczególnych klatek A przecież



Czy zostałem tu przeniesiony? Posiadam cały akr ziemi  
w Connecticut. Sądzę, że zostałem przeniesiony Przez kogoś  
Zdaje się, że tylko w wojsku miałem większą swobodę wy  
boru więcej przestrzeni do poruszania się. Przynajmniej zda  
wało mi się, że mam i faktycznie miałem Byłem daleko od  
rodzinnego domu me miałem żony pracy dzieci nikogo na  
kim bym zależało Nie miałem żadnych wstępów Na całym

pałem na prawo i lewo Za morzem chodziliśmy do procyntek i  
to mnie też bawiło Oobrze mi się żyło Przyjemne było być  
na obczyźnie (znaczyło to przynajmniej że coś robię Jeśli w  
sobotę wieczór oglądałem wychodziłem, siedziałem  
jimmy w baraku co było przyjem  
ne w domu Raz będąc w wojsku mi

dzimy na weekendy do ludzi z którymi me chcę przebywać i  
docekać się me mogę wyjazdu Moja rodzina niepadnie się  
kiedyś podczas długiego weekendu Bywałem często sam i  
chciałem mieć kogoś do kochania Często byłem się wstępy  
głębym miał z kim korespondować, z jakąś dziewczyną  
czyją w kaszmirowym sweterku i skromnej układanej spod  
nieczek ukochana która uwielbiałbym i która przysyłałaby  
mi piękne, zrobione przez siebie zdjęć a Jeszcze teraz chciał  
bym mieć kogoś takiego Często się rozżalany jakby mnie  
pozbawiono czegoś ważnego Chciałem być miłym chłopcem  
z hollywoodzkiego filmu, za którym szalście miła dziewczynka  
facetem z pięciami miłośnych dla którego śpiewały dziewczyny

stał jak skamieniały kiedy posłucha mnie o miłowy krok na  
pród na miejsce kagle a, które zajmę Będę miał coś ważnego  
do zrobienia (objępowanie stanowiska) ale i to zrobię stojąc  
jak skamen ały (kiedy poczuję się już pewny na tym sta  
nowisku i będę wiedział że przez jakiś czas me grozi mi wy

jak popizęda a Nie będę się cieszył) tym co ms li .

ony n e są widoczne dla w

a bo stamtąd mogłoby su

potrzebi mi śmierć. I wszyscy dowiedzą się o tym.) Wszelko co martwe leży bez ruchu chyba ze wiatr poniesie piora utrudzić wuj wstopy (Wyduje ci się teraz, że dotartera JUT. Vsk daleko jak ostrafie dojece) Widok martwego psa na szosie skręca mi kciuki a serce Saska się zaboleca. Trup psa przypo miła mi zwłoki drzewka i nawet tu gdy me miałem psa Dzieci i martwe psy ludzka współczesne Nie potrafiła mówić Tyko one Widać dwa martwe psy na szosie w krótkich odstępach czasu boje się czy jestem przy zdrowych zmysłach czy potrafie jeszcze odróżnić to co widzę, od tego co pamiętam lub czego widzieć me chce. Mirwam zaciemnia umysłu, podczas których wydaje mi się że widzę na sobą lub koło siebie sylwet ki przypadkowych znajomych których me widziałem lub o kio 1984 nie rasSita od wielu lat (Przez sekundę boire obcych ludzi ze chłopców których pamiętam ze szkoły podstawowej czy średniej albo za znajomych z innych biur lub wojska Kiechdy żołnierzy który me widział ze jestem sificem pobli rami) Przeważają mi się zawra ludzkie. Hitarzy nigdy me byli mi bliscy i których me pragne ponownie zobaczyć (Nie przy widzia mi się ludzkie, których chciałym zobaczyć ponownie) Przeważnie i wyimaginowane zdarzenia nakładają się na siebie w moich myślach tworząc zamęt. Bywają chwile kiedy me jestem pewien czy faktycznie cos zroblem czy tylko o tym myślałem Zdarzalo mi się odpowiedzieć dwukrotn e na ten nie odpowiadam bo pamiętam ze chciałem na me odpowie dnieć od razu i odgry ze już to zroblem Myśle o tym aby zrobić i powiedzieć różne rzeczy widząc jednocześnie ze nie powinienem. Straciłbym prace lub wyładował w wigrzeniu Pamięć mnie znowid Wronk się pogarsza. Erytam już do czytania okularów i od roku potrzebuje mocniejszych szkieł czasu. Wiem ze się powtarzam w domu rozmawiając z żoną ■ dziećmi (dzieci po chwili zwracają mi na to uwagę) skłonić ce będą ac powtarzał w rozmowie z każdym i wszędzie. Ludzie zwracają mnie uwagę jako starego głupiego gaduła. Niedawno dowiedziałem się w poludniowej Luizjanie (bebe w podróży służbowej w Nowym Orleansie czulem się taki samotny ze podewiałem kregą kurwe Murzynke w barze i zaprosilem ją do hotelu. Pomyślałem ze jeśli ona przedosłame się jakos

do mej W pięknych miastach w których me znam nikogo do

mi sie ze "wszyscy lam swietlne sie bawia ZiVia nie ja jeśli pada dostaje chandry i smiec sie jak dlugo jak pada Nie nauczyłem sie zawierze znajomości w nieznanym miastach Mężczyźni którzy nawiazuja ze mna rozmowę wydadzą mi się

W nieznanym mieście potrafię tylko czytać miejscowe gazety Czytam je leżąc w łóżku poznowincy Zajadam się przy tym czekolada Kiedy jestem sam w nieznanym amerykańskim mieście wydaje mi się że me mam sil ani kogonka Ta kurwa Juara około trzydziestu Pomierocraala mmił o 3w0rta fcaz msko-chińsko mekoykankim pochodzeniu chętnie się, że potrafi różne cuda w łóżku których mił mi jeszcze me pokazał Mawila to polarem schryplym głosem z polubiwowa wmo W4 Wiedziałem że jest czystej krwi czarna Nicwiele czarnych dziewcząt miałem w kraju, dwukrotnie tylko ale tyle wiedziałem Dawniei bałem się ich ze względu na swoją odmienność obecnie ze względu na swoje zycie

kach — droczyłem się z nią w barze — Chęć czarnej

Była prosta, dotądusam narana, wnc czrtań &c param sytuacji Z umiechem zaradala pięćdziesięciu dolarów wytar gowatem scenę do dwudziestu Piętem doruchem dziesięć aby ją zachęcić szczodrością zęby mnie polubiał naprawdę wta jennicyrła w rozkosze których z nikim jeszcze me zaradłem

Kiedy wróciłem do hotelu już jej me chciałem i miałem nadzieję że me przyjdzie Si tam za mna Kupiłem wszystkie dzienniki z Nowego Orleanu i Baton Rouge marzyłem więc się boję ze złąpię w końcu chorobę weneryczną i przyszczę ^ do zosa Jak 33 b^ ^ u^kreci z &KJ katarfy cd^ by zoma się dowiedziała ze została zaranna! Latwo Klam i za przozaj! Ale przysza Przekupła recepcjonistkę jak twierdziła Lekko poskrobla w drzwi i weszła usmiechnięta kiedy się

— Nie spiesz się — powiedziałem — Rozb eraj się powoli

— Dobrze

Nie lubię drzewca. Mnie zbyt szybko się nubierają Wydaje mi się, że przez cały dzień n e robiły nic innego tylko zdejmowały tych kilka fatalaszków dla innych mężczyzn mm

— Dobrze

— Niektórzy mężczyźni

— Nie leraz

— Chodź tu Sza

Czasie się uśmiechała. Nie miała nic nowego do ofiarowania  
Niedawno w San Francisco odhiewająca wiotka blondyna o  
wyglądzie królowej wyszczepiała do mnie taką samą ponętą  
obietnicę i tak samo okazywała się kłamdytna Wymusiła ode  
mnie sto dolarów Po wojnie kurwy w Neapolu Rzymie i Nicei  
mamrotały takie same ezotyczne obietnice i tak samo ich nie  
dotrzymywały Przypuszczam że nie ma znowu takiej różno  
rodności dla normalnych degeneratów w moim rodzaju Ta  
była ładna i szybko się skończyło

— Gdzie s twoje nowe rozkoszne numery? — kpiłem i by  
łam rad że mam podskazy do takiej kpiny

Obrznięta się, miała minę kokubiek wyrażoną co było miłe

— Zrobiłam co chciałaś kochanie — tłumaczyła a nie pew  
nie „Prawda”

— Nie robiłam!

— Byłaś okiej

— Dobrze „e esbamleś”

— Tak Mistrz uc jeżdżi chess.

— Myślałam że chcesz mnie na całą noc

Ale me moję już tak młed Starzej się dhyba Kiedy przyrziałem  
ci się w barze myślałem\* że będę mógł! Ale masz cyce Ma ani I  
wielkie dupsko

— Podobała ci się?

— Jeszcze jak! Lubę wielkie dupsko u niskiej dziewczyny

— Nie może Mójże oczy są chyba wiekzce od  
Uczeszyla sie ze me jestem zly  
— Ty też tam jesteś fajny — odwzajemnila I  
— Wiem Zaskazyłaś na le forcé Zabawilem  
— Dokreze ze zabawilem? Naprawde bylam z  
— Wspaniala. A przeciez bylem i w Paryżu  
— Naprawde?  
..... o t t h m

— Mój samolot odlatuje wrecenie ran  
— Moglabym spaz w drugm lozku  
mnie zechcial Nie chrapic Rano na pi  
jeszczera — Zachochomila — Zrobq ci

— To boli Dostaję skurczu  
Zrobilan, co chciales Trzeba bylo powiedziec kochanie  
— Nie jestem zdeprawowany

— Nigdy me jestem pewien czego chce — Czulem sie jak

To ty powmnas mi pomoc abym sie dowiedzial czego chce

przysda z innymi mezczyznami

Nie jestem też fetyszysta, choć pewne jedwabne sukni bledz  
ny (H2p.6t1)/\*TGDE. h05B) 22 LH SLJ (13P) jak Pny #3.0Z  
Dalej piersi w stankach okryte swetrami cuspajają minie Make  
nastalija romantycznie. Zaczynam z uznaniem natrzec na  
male posladku wysmuklych dziewczat Czasem są to bardzo  
mlode dziewczyny a to dla mnie cos nowego. Kiedyś kobieta  
która miałem ochotę zbić, to moja żona — wstydząc się tego bo  
chciałem to zrobić z powodu fetyzy Skazy się ze daje za malo,  
ale me chce brać wreci Byłem zadowolony i wynisidy ~ "a  
była si

miejscowym tyłku ale zaraz pomysłalem ze bylaby za azotka Z tym klopot i naszym podkietym malowniczym fantazjom seksualnymi sprawia\* boi Podniecalem sie kiedyś myśląc O ładnym tyłku który bym zbił ale me natrafilem na dośe ładny. Może me na ładnych poza prostami ilustrowanymi

—ego Matryzka uśmiechała sie ciągle w jakiś protekcjonalny i meobowiazujący sposób było mi jej zał Ciekaw jestem co sie dzieje z krepytami czarnymi kurwami z Porto Raco którym brak jednego zrobowego zęba, kiedy snią sie za stare — kto się mimi opiekuje — i za brzydkie aby postagać przy stojących libertynowe w garniturach w trefki, takich jak ja. Wiem co sie

Otcami, fdrze wszyscy zdają się doskonale bawić Powinienem czterech lat Kobietę bawią się na weselach i filmach Wy

tez szkoda było forsy Kiedy juz ja miałem me wyglądała jak arystokratka Tyłko jak chuda dziewczyna która potrzebuje słońca i więcej czerwonych ciulek krwi Cierzę się ze sie mi stalem oglądać powtórnie zadnej z nich Ockaw jestem co się dzieje z ładnymi białymi kurwami kiedy starzeją się tracą figury i zęby? Rozwijają sie mowią ochryplymi męskimi glo sami kłosa miedzy sobą na chodnikach w cieniu pogodzie Po wyjściu małej czarnej piękności miałem garęty — Boga daciał — znalazłem trzy łepkie czekoladki wypilem dwie porzucił wosdy zadowolony z automatu na korytarzu podłozę czytania. Wypatrzi

chami karmela i orzechów w ustach Zaczalo mi się smc cos, co mogło być poczęciem homoseksualnego snu, przetrwałem

student historii w Bolomu i szukałem wyjścia z labiryntu zotyrb kamiennych budowli uniwersyteckich bo spazylem się na samolot do zony Była w tym smie llemiona blondyna z twarzą jak sekiera, wyciomni aktorka, od której chciałem uciec i która przemykała po drugiej stronie kamiennych murów skrycie na smie czarnie. W ręku miała mniejsza od siebie figure którą chciała ukryć i która mogła być ładną postacią wyrzeźbioną z penisu — odchodów — albo Lez afykateką rzeźbą w kształcie

dlatego uciekłem od tej kobiety Miała twarz White a Naza  
juzr w samolocie zamurwiałem się ze złapanem była tytra  
albo wszy lonowe które wiozę zonie w prezencie z Nowego

tok me mogłem znaleźć sali wykładowej mimo że ciągle jej  
szukałem Świdziło mnie w pewnym miejscu Drapałem się  
Zawsze czuję poleć wrednie jak ostatni oszust wyjerabym  
się wobec zony że w oazie to złapanem oskarżyłbym ją że to ona  
mnie oblatrzyła Oba towarzysza me mogłyby oczywiście być  
prawda ale zona zakrzyżana przez me nie zrozumiała by  
tego a ja w świętym oburzeniu krzychałbym dalej i prze kosał ją  
wrocicie Nie ma już wygodnych wopkowych przy chodni  
profilaktycznych adze rozdawano litrami mydlana absoluście  
od naszych cięstytych grzechów Nie ma ich już jak nie ma już  
grzechu Zampkują większość moich ulubionych restauracji  
Pozostała tylko zbrodnia Czescio nie czuję rozkoszy Często  
spuszczają się wcale się me spuszczam Kiedyś innej meowam  
niezwykle wtrvski Przyczynajestniasalii To me tna nie  
wspolnego z kobieciami Wszystkie teraz robią mniej więcej to  
samo My też Czasem od naprawde tarczy Kiedyś innej  
potrzeba się tylko na tyle, aby odwalić ten komicz ny rytuał Po  
wojnie wo Włoszech dziewczyny w Boloni mo-wily że są  
najlepsze w Europie i wyciągały ogromne stawki me rozmby  
się naszym od dziewcząt z niższych klas Neapoliu czy Rzymu  
Robiły to samo Były jednakowe i ciągle są  
Nie potrafię się zakochać To zapewne utrzymuje moje mał  
zenstwo Gdybym me miał tej zony miałbym inna Zerwanie to  
mnóstwo kłopotów Nie lubię być sam Red Parker po

osiągnąć z ludzkim praciem mż to co osiągamy Wszystko  
inne smierdzi lub bob Dobie widnie się sprawa przepadła W  
wojku wynajmowałem dziewczynę na godzinę i w ciągu

to doby interes dla mnie — ostatnie pół rana oznaczało pod  
nieśnienie moich walorów kiedy zbierałem się już do wyjścia  
Cierpkiem się uraniam nawet kłopoty z Boloni za miłość  
przyznoją twarz szczerple jedne ogorale ciało Byłem wtedy  
szczerpły i wygłodzony Miewalem apetyt Na głowie miałem  
swope włosów Mocne zęby I kiedyś miałem też migdały Są

dałce większa sunsfakcję tuż cokolwiek czono doznałem w  
skomplikowanych ogianach w Londynie Las Vegas i Los  
Angeles no i są znacznie mniej kłopotliwe Zona chciałaby  
mi towarzyszyć w podróżach służbowych do Los Angeles Las  
Vegas, Chicago San Francisco i Nowego Orleanu Sędzi tu ja  
się tam kurwię i rak jest na ogół, bo wydaje mi się że kraj  
koncern i społeczeństwo szczepiają tego odcie mnie N-e sprania  
mi to na ogół żadnej przyjemności O wiele większą sprawi:  
użam jak ze zdziwieniem zaprywwa  
tu robie te n  
lem siebie kiedy zacząłem ro  
Nawet w trakcie tej roboty byłem bardzo zdziwiony Za drugim  
razem dowiedziałem się że to może znaczyć coś więcej ciągle  
jeszcze teraz gwałcę zoną tylko ja — zmas Tam ja do tego  
mieć, lecz me ma między nami wiezi dachowej prawdziwej  
bliskości jak obłąkany chemik wiedziałem że zachodzi we  
cych retortach głowie i jądrach Gdyby mi kiedykolwiek n-?7  
nadrilo iaja nie byłaby to sprawa żadnej kobiety to moje  
ingredyencje same postanowiłyby wybuchnąć Nie posiadziłyby

iz mój u  
glądają jak van Dyck mura sebotę je potarmosił Inne mają  
baczki i przez chwile się ich boję jak kartki numer osiem w  
bicie Rosochacha Zamieniwił™ kiedy zobaczyłem że prze kłębą  
kolotową kartkę Ogłupiałem Inne mają zarost bardziej okrągły  
gesty i twarde wyglądają jak Karol Marks Zygmunt  
bym zakwilił Czy moja żona ostwieje? Będzie musiała Ja  
także Mamu ademoiły pecheryki których nigdy nie widziemy  
kiedy są żywe Przypuszczam że obecnie dobry laryngolog n e  
brzdzi sobie mni palców Jego umiejętności polegają na wia  
waniu głowy do łań in-łalnej informowaniu nas że wytyku  
poznało dobrze — natomiast krwawa chrząstka, obrzyd  
liwa robota nastawia anezytologowi że wchodzi krain oraz  
ambinym ezeladnikom Po co on ma się babrac w tym pas  
kadźwa? Przyczynałem się już do wyglądu mojej żony —  
Jak Um było w Nowym Orleanie!



- Nudno  
— Trzeba było mnie

Na ogół Zona odpowiada mi znacznie bardziej od większości kobiet. Tylko Fenny niezmiennie i za każdym razem robi to zafiksie oczekującego podniecie jak ze rzeźbami sil murek jak błąkać, aby przestała jestem odlepięny bełkotząc coś mierzno ramienie, chichocząc wadyham sparować. Wie, gdzie trafić uderza jak orzeł. Wie nieomylnie jak długo może jeszcze kontynuować bezpiecznie kładę mnie s e w w dnie ze ducha wyzwole rofocę się na kawalki jeśli natychmiast nie przestanę. Ale tego ze on tańczy jak anioł i skacze jik chart. W takich chwilach zaczynam rozumieć, dlaczego posiadacz tego organu i całej kultury go cenił. Laoy mnie z ma zwiarek troniczny pan—obłąka. Ja jestem panem ona służy która robi ze mnie rozdygotaną pokorną płamę chaoty czarnej chichocząc czerni z jednym palącym nerwem, magiem jak zjotka. Chyba wyjdę radosne jęki. Nie jestem pewien jakie dźwięki wydobywają mi się z gardła kiedy czekam aż odzyskam wzrok i zdolność mówienia. Nie chciałbym żeby kiedokolwiek inny widział mnie w tym stanie absolutnego upadku, zwanego ekstazą. Nie chciał bym żeby mnie sfotografowano w tym stanie. Potem ona mi daje whisky albo kawę. Nie przerywam z n a żadnych niespodzianek ani zawodów. Nie telefonuję już do niej za często) ze kierowcy jaskcy z wielką szybkością myślenie. Reakcja na los: aby zabój odepłone światłami nufne, które jak załup z Hammond do Nowego Orleanu jest tyle martwych fatranych ał ze trudno je zliczyć. Odłanę pod pewnym kątem w pie-gedrze wyglądają jak niole nufki. Pod innym kątem — jak przejechane dzikie zwierzątka z zakrwawionymi dziobami te ciała pokryte wartosiciom

Przestałem z nią flirtować (co ja bym z nią począł potem?)  
natomiast zaczęłam platonicznie flirtować z Laurą, sekretarką

od Jane i nieuczciłowa w małżeństwie Warywcy maia o niej  
wysoką opinię przez jej mecia młodszego od niej o trzy lata  
ktery może jest homoseksualistą okazującej względy najwyraz  
niej przyjaźniakie i miuam. Umeę kibos ma thuse posiadki woc  
czasem bierze mnie chętką abyjasobierzerzniecierzeolana i  
danej kilka głotnych, hosenych klanow w te zoba częć ciała  
Dobrze z me usigam tej chęce, bo capemimam jaka byłaby  
aęka jezecie bym się dorobił rapury lub dyku w kregosłapie A  
gdybym to już zrobił z jakim kłobosa moglym chocze zawaze  
to robić i stalbym s e zhozencem Dziewczyzny by mm e  
obzadywały między sobą Tak samo a? bęć jakana Zemi się  
zachee stak jakak Moglyby to byc wspaniale wyrowdeme od  
rygorystycznej dyscypliny całego życia wymagającej monagan  
nej mowy Czalytm się nieczakoty do moiwienia, wolity Mogł  
bym wale kobiezy w posiadki jakak s e na dodatek Może bym  
wczale me chciał przestać się jakak, powoodytm jerykowi kula le  
swobodnie do końca mego życia i nigdy bym już me edział  
nikomu jednego zrozumiałego słowa Straciłbym tądę  
Straciłbym żonę i przyjaciół Nie mam już blak ch przyjaciół  
Mam przyjaciół lecz me czuje się im bliżsi Niektro rzy z nich  
cznia się blowc mnie Red Parker jest moim przysiać-e cznie się  
miu bliskij Nie w em doprowdy jak bym się  
pożył Jane, gdybym poszedłm do łóżka w mieszkaniu Ri  
persnego dima po kochajm zapewne Ota ma zakafacie dwadzie  
ścia cztery lata Nie mam pojęcia o czym bym z nią mówił  
kiedy me maiełbytm już mówić o policie do łóżka Pewn e  
jest za młoda by zrozumieć, że niechce i wstęć jak czalytm do  
niej potem niemialyby nicwspolnegozjejosobą ifakti,żene  
chcałbytm jej więcej widzieć czy mówić z nią otmwie Tak e  
i?czryzuzmisiędzarzyły Pomyślałaby zapewne zetojeywina  
Ukwaliby we mnie swoje jętkne niebieskie oczy z wyrazem  
lubre nie mógłbytm jej powiedzieć bez ogródek

Nie, nie, nie do jasnej cholery! Nie zrobiłaś nic złego To  
«a ogóle nie ma z tobą nic wspólnego Nie jesteś dość wanna  
aby mnie zranić Rozumiesz?»  
Takiś lekko dopiero mowałoby ja zranić.  
Musiałbym jej to rekompensować zarzeka i troskliwością  
może nawet zranić ją powtórnie bo jestem naprawdę przy  
powiedziałbym jej że moja żona jest zagrożona rakiem właśnie  
przechodzi badania wycinałbym z niej w ten sposób trochę  
bósej dla mnie To już też kłopoty z problemem Właśnie dlatego me  
lubię już zaczynać z dziewczętami z mojego biura Są na  
miejsca (Gdyby musiała gdzieś iść iść mogłabym ostro  
często się ją posługiwać Ale może me miałbym jej) Musiała  
by się zadłubić Kielem (Powiedziałem mu że mam zamiar z  
nią się przepisać Otrzymał ze półdziesiąt w mojej stajni) On  
czasem krzywdzi swoje kobiety Biję je nawet Napęta sobie  
zabawne ale wciąż me przepadał za swoją

wycieczki Ma frosę rodzina jego żony również. Dawniej miał  
karmi Kiebyś zjagałem go w łódki z dwiema (on też dwie na  
jednego? Czo wawroci potęz mnie to robić?) — biała i czarna  
- Choc do nas — zapraszał serdecznie chciał wstać z kóz  
Nagie dziewczyny czekały na mnie z pustymi Leniwymi  
uśmiechami na twarzy Biała miała na brodzie ranek, która  
wzglądała na wyłożoną płótnem galmanowym  
Wyszłem  
Nie koczowałam już z mieszkaniami Reda me chodzić na jego  
balastowe koktajle, me chce podrywać dziewczęta które on  
sprząca masami (Wigci) nazy nie mógłbym sobie przypomnieć  
udało mi się z dziewczynkami które poznałem przez mego  
Femynjensjągnymch a ja jeszcze mały Wkrońce będą musiał  
go zwołać albo podać się go w jakiśś karniejszy sposób  
Należy go szybko usunąć jak staroświecki budynek z białymi

nie znaczą dla mnie nie są dramatycznymi przewrotami Tędy no  
przez ten postać obojętnym idąc pierwszy raz do łóżka z  
kobietą Ale dziewczyny Reda postaraly się, styły w pas e i  
pod broda sfalczaly Jednake i ja, i on postarzelimy s c  
owiemz Na jego wychydlch pobiedzach osadla stoc zylak  
usta mu popokary Jak zwykle zartuje jak gobyby zona mu n e  
umala i nie gnoza mu usata posady On bez potrzywy  
che-che-chiije Kagle go ostrzegł Jego mieszkanie jest  
bez gazu Poplamione meble wymagaja czyszczenia nowych  
obie

nie Obciagnylm aby to przynajmniej byl ktos, kto by na impo  
nowal, kto traktowalby ja jako cos wiecej niz kawalek zamęznej  
dupy Nie chce aby to robila z arozancim, balansowym cham  
skim cheblimym typem Ja jestem wlasnie tak Nie chealbm aby  
z faceci myleli ze ozemilem sie tylko z kawalkiem dupy)  
Orazim poszedem z zona do drogiego hotelu Lubi lo robic w  
drogich hotelach Ja tez. Rypanie wlasnej zony w luksuso

— Będe galopowala jak kot wyscigowy w takim hotelu —  
usi bwoyca się zona namięta dzwika zachlanna, czekajaca  
kiedy znów będe gotow — Prawda?

- Rob co chcesz, n!
- Nie gadaj tyle
- Posoz mnie na lozku w takim hotelu a zobaczysz co
- Podnieci kolana

Moja głupia choelma zona jeszcze po tylu latach me pamietu  
aby podnieci kolana, a wydaje jej się ze nie wiadomo co potrafi  
Ciekaw jestem co bym przyczyl głoby wredita kiedy do domu  
i cnał by ja bylo sperma innego faceta Przypuszczam że  
umalilbm na nagly awid wieczny (Co) to by mnie  
podniecilo) Zeschlbym się i skuczyl w swojej skórze a reszte  
nadnego beczadzięzkiego zycia spedzilbm jako martwy ona  
Laly slwoz skopy w glowie i tulowia o k. Ika numerow dla  
mnie za duzych Modlbym się w duchu aby zona dziecie  
wykryly mojej tajemicy (Nie w em na pewno jak pachnie

sperma innych facetów chyba tak jak moja Przymuszciam, że  
tamogłębemu włosom Niezaz czułem zapach od zony zapach  
potu i włosów kiedy me zlążyła się umyć i przebrać zanim  
złazyłem obojętność poculnek na tej policzku ale był co tylko  
zapach potu i włosów jak sadzi Nie wie, on może przy  
glądając się jej badawczo ostatnimi czasy (To 6<sup>ta</sup> mnie n e  
podnieca) Poczulnym rozpaczowię rozgniewuję i obrzydzenie  
do siebie do końca mego życia Ona i jakiś facet wydalby na  
mnie wynek za którymś z rzędu zamkniętymi drzwiami o kło  
ruch szumem me bym me wiedział byłby to wynek niepod  
ważalny Mam nadzieję że ona uje zrobi tego z kimś ordynar  
nym odpuchającym w rodzaju Kagle' czy Reda Nie chciai  
bym aby ją skaaly takie ręce czy piny (Ktoś taki jak Gresh  
byłby JUZ lepszy jeśli dnie o mnie) Czasem wracając pociągami  
w przybywie jasnowidzwa nabieram pewności że zaraz ją  
przyłp e za ceterazici pięć minut będę w domu zaraz to d  
trze ę dzięki plamie Ona przybiegnie do domu po mnie  
kolacja będzie spożniona a ja dostanę plamę znak ca tej h  
lec brachus spodnicy Szczęśliwy czy ich koleżność me są h  
ile to bez znaczenia Ze względu na dzieci me będę m gł  
ni powieździć w jadaniu Potem i tak n e będę mógł me po  
leździć Nie zechce aby się dowiedziała, że ja wiem (i będę się  
mógł w duchu, zebw nie rechiatał mi pow edoce Gdyby sie  
dowiedziała że jakoś to wyklew musiałym zareagować, a ja  
bym wcale nie chciał reagować Musiałbym udawać że mo ta  
mą wioskność i cierpienie. Nie mógłbym dopuścić aby moje  
cierpienie było az tak widoczne Łalwiej byłoby mi gnie  
rozkladać się z fałszem biu do końca życia, niż dopuścić,  
aby zobaczyła, jak okrutnie mnie zraniła i jak łatwo znow  
mogłaby mnie zranić, gdyby zechciała Nie dopuszczę do tego)  
Nigdy me mogęjsi okazać, że to mnie obchodzi Kocham żonę  
ale, och oszukuję N\* jestem taką wielką szyszką jak ona i  
dzieci mysia (ale  
Miewam horrendalne fantazje, wyobrazam sobie że faceti  
chciewe ją obnażyć w publicznych wspaniałych podziemnej  
i że jej to sprawia przyjemność, a przecież me mus nawet  
jeździć kółką podziemną Ponny musi taki facet spać się  
latem na jej sukience w godzinie szczytu N e wiedziała o tym  
dopok me wystała i nie powalała sobe palców lepką sub-

stancja, na swoim łodziu ja powalałem od takiego przypadkowego wystrzału a skoczcie, jech mi szczęście dopiero rozrypując się w proch jak Red z wielkimi kłami namalowanymi białym waznem na powiekach i tablicą na pierśi czy cośle Przema czoły do rozbicia Przedsiębiorstwa rozbitekowe Eugene (A czarui markomani pijący ry paserzy od kradzionych port fel aparatów fotograficznych i zegarków będą się kępić po mosch nędżnych słabo oświetlonych zakamarkach)

— Wiedziałam że to sberna lub Feema — powiedziała Penny parkując imiechem który mnie czepio drami — Ale miki me kaształ Hylam okropnie zazenowana Co za czelność?

Nie potrafię  
Coraz częściej teściak obcnie do matki tutaj i siostry zaleje ze nie byłimj sobie bliscy kiedy mieszkaliśmy razem

rwarde łody do drugstore u wspólnie je zjadaliśmy Kiedy byłem już dość duży pozwalała mi po te łody poić Naibar dżinj smakowały nam truskawkowe były świetne Czasem kłopotliwy truskawkowe zmieszane ze śmietankowym Chyba me miałem migdy homoseksualnego przetrzyła, które by się kępiło W drucimawie byłem dwukrotnie molestowany naz przez starszego chłopaka ale to się chyba me liczy Za drugim razem zrobiła to starsza dziewczynka która masowała w naszym domu adawala ze się ze mną bije, ale naprawdę chciała u mnie wywołac erekcję chciała ja poczeć kiedy ośce ralem się o nią To się liczy bo było przyziemne Miałem szczęście Chciałem, aby to znów zrobiła kęcilem się kolo meji z nadzieją Nie zrobiła Biedny ja Tradnie wstąpić, ze można być tak strasznie podnieconym, jednak me moc skom czyż Jak się kofczy oos takiego? Nie pamiętam To zamazuje się w pamięci Penny me Uzba migły przypominać, aby pod mioda nogi trzymaj je w takiej pozycji bardzo dlugo me skanig się na ból czy zmęczenie Jest wspaniała Chodzi jeszcze na lekcje lancia (moze to pomaga) siewu i gimnastyki Ma trzy dzieci dwa lata i ciągle jeszcze chce być drugą Shirley Tempie Zeszłej wiosny miałem przez krotki czas lądję trochę zbżiko wana eks-studenka z Ann Arbor, Michigan skoczyła dwa dnięcia sześć lat była wysoka poznałem ja w burze na przy jęciu z okazji Ironso Nawiązania była zabawiana jak tylko zaczęliśmy podnosiła nogi od bioder wycelowane prosto

w sufit j trzymala je tak przez caly czas Lubilem to lubilem

zdawalo mi sie ze dokonanie nadzwyczajnego wyczynu Krzy  
czala glosno musialam jej zalykac usta (Nybko mi sie mudaly te  
krzyki Nie uwazam aby nalezalo traktowac te sprawy jak  
wspolne przeczycia dla partnerow i n e s adzę aby ktokolwiek

To ona sie smiala z moich podwizek Nie moglem przelknac  
podobnie chamskiej miewagi wobec narwika Stocum od takiej  
zbrokowanej miernoty jak ona (narokot zowala sie, co czynilo ja  
jeszcze nudniejsza) wiec zaczalem ma pomiatac i zame  
obwiazaja Gralem na jej niewiadomosci i prowincjonalizmie  
(Ona naprawde niewiele wiedziala i Uwazala ze te rzeczy sa  
piekne

— Czy to nie piekne? — powtarzala  
Byle klo mogli ja zadowolilo odeszla ode mnie latem do  
mlodszych facetow z platanowych budek ktora mieli mnie  
pieniędzy mż ja grali w szatkówkę na piasku ale postwical jej  
wiecej raasu. Probowalem ja odzyskac bez powodzenia

dziel sie jej) Pzrosla mnie Przejrzala na wylot To bylo  
upokazajace — kadne kocham, bez poronowem przez taka'  
Nigdy przedtem me widzala męskich podwizek chochy w re-  
klamach mody nigdy me slyszana o Cammie Koperniku  
Kierkegardzie (trzy wielkie k, sha cha) Uwazala ze moje  
podwiazki sa rozkoszne i zabawne me wysmiewala ich wlat-  
ciwie ale sama jej wlososci byla dostateczna obfita Przy  
puszczam, ze męskie podwiazki naprawde wygladaja zabaw me  
Musialam jednak cos robic aby utrzymac akarpeki na miejscu  
podczas powaznych spotkan w interesach Wiecej za razem nosze  
dlugie, elastyczne podkolankowki — zawsze cie mme, nie nosze  
ich wlas latem nad morzem lub wyjezdajace do jakiegoś  
klubu na weekend (Nie zapisze sie do zadnego klubu dopoki  
nie obejme nowego stanowka i me upewnie sie ze je  
zatrzymam) Podkolankowki tez sa zabawne Siskajaa noge Przy  
lada okazji spuszczam je do kostek aby ulzyc tydkom, dac im  
odpoczac od nosku Kiedy spuszczam pod kolankowki i widne  
koski moich nog przychodza mi na mysl oblecta faccji jakich  
widywalem na filmach porno lakie me

a potem zapisywały sobie w pamięci (a może nawet na kartce) ze miały wspominać dzień młodości kobiecy. Jestem pewien że takie typy układają sobie tydzień pracy zgodnie ze swymi zakamarkach mojego mózgu ale trochę inaczej. Nie są upiarami. Czuj ich ruchy. Chcą brać to co do łach me młody. Co tacy robią w okresie wakacji? Chciałbym wiedzieć, jak biedacy sobie radzi. Zanim powstały autobusy i koleje podziemne. Jaki wpływ będą miały rosnące inwestycje na transport publiczny na ich poczynania, zwłaszcza w odniesieniu do wydajności i konkurencji? Czy wywołana leniwość też znacznie obnaczywa? Czy wywołane leniwość w zatłoczonych autobusach i wagonach też znacznie obnaczywa? moja żona i córka? Może ładnie zacząć jeździć tymi środkami komunikacji? jedyne po to aby ich obnaczywa. Bilety będą tży jak woda. Będąc można podmieć opłaty za me Wyobrażam sobie

mam brudne myśl ) wyobrażacie sobie wagon pełen uśmiech

godzina szczytu każda godzina szczytu — godzina miłości. Rozwiązały to częściowo kryzys energetyczny (Ogromna ilość energii wyladowałyśmy się) Bo takty me było me mamy znów tyle okazji aby nas obnaczywa. we własnym samochodzie chyba że jest się moją córką lub jej koleżanką czy studentką. Choc ja sam niechęć podmacywałem w samo.

jednego z naszych dyrektorów milionerów. Czuł ja było mocnymi perfumami które mi się me podobały poza tym za skoczyła mnie

— Musisz zaraz wracać do domu? — spytała nagle —

A może boisz się jej wielkiej jeździ twojej zomeczki?

— Na oba pytania odpowiedź brzmi me — Nadstąpiłem

— C. pononics

— Zamiłka Kochanku — zszochotała — Wiesz, gdzie to jest? Tu — rozsiadła się powtórnie, dotykając własnego ciała

Ta starsza była żoną milionera, miała podwójny podbródek i pachniała od mojej mojemu perfumami które mi się me podobały ale zawsze musiałem się odnosić do niej z szacunkiem (gdzie była żoną milionera którego się bałem) Była o szczyt. Idea starza ode mnie, wesola, lubieżna żywota. Kpiła z mojej meimalekości bawiła ją moja ignorancja i na wność



— Czy Bill wie? — czułem się jak kmiotek pronto ze wsi  
— Dano mi to obchodu jestem wolnym diablem, brzydki  
kutasku Robię co mi się podoba  
— Czy Bill dowie się o mnie kiedy mnie porzucisz?

chichocząc  
Czekać mnie przeszły przez sekundę batem się ze uszczypnie mnie  
w policzek albo pocignię za DOK Podarła sobie pon czochy o  
podłogę samochodu zdjęła je i wsadziła do torbki

— W takich me mogłabym się pokazać Zadzwoń do ciebie  
do bura Bywam w mieście co-śnośe, aby się zobaczyć z matka  
— Mam mieszkanie  
— My mamy cały dom z mieszkaniami  
— Czy Bill się dowie?  
— Nie martw się o to z góry  
— Nie powtarzaj tego aniśe dostajeś gazetki skórki  
— Zauważyłam że łatwo dostajesz gazetki skórki  
— Kobiecie z twój przyjął towarzyszka to me uchodzi  
— Nauczę się nowych numerów Bill i ja dołączym do

- Robię, co mi się podoba A OH może iso do diabła  
mu się to me podoba  
— Nieśły sposób wyrażania się o imbonerze

Kiedy zatelefonowała w środe nie umowidłem się z  
powiedziałem ze mam zebranie (Bałem się Billa i me mi  
ochoty wadywać się z kjm, kto nazywa *mme* brzydka k

w

czwartek -

Musisz

— Facet z którym się spotkam zamiast ciebie Są jeszcze

— Boisz się mnie prawda brzydki kutasku? — droczyła się ze mną kiedy spotkałem ją na jakimś przyjęciu, naprawdę wowali nas z różnych stron pokoju — Nie sądzi pani pani Slocum?

— Zależy ze me boisz się mnie. — krzyknęła znowu — Zadrwoń w środek — nakazałem jej krotko — Pokażę ci jak bardzo się ciebie boję — Jestem w hotelu Plaza — oznajmiła przez telefon — Chyba mam grypcę — usprawiedliwiłem się mówiąc

— Tak też przypuszczalam dziedziko — Świegotęła wesoło — wice przywiozłam ze sobą listę i naprawdę uważam o za dziewczynkę Znacznie lepiej zachowujesz się na przyjęciach

Chciałbym znów trzaac ją na kolana tu i teraz Obok Vir gim Robilem to z znowu w moim gab necie wielokrotnie Ogłę jeszcze się zabawiamy z znowu jak w miodowym miesiącu U rżamy się po całym domu i ogrodzie w szpasmach z pianą na ustach Potrzebujemy alkoholu Robiliśmy to już w każdym pokoju przez pokój drzwi i przedgarnki Dereka. I w nocy w garażu przy domu bo baliśmy się zbudzić kogoś w domu

choć raz spróbowalibyśmy w basenie ) Robiśmy to na nieb

jej mocnych perfum (odwracam się, aby sprawdzić) Jej mę?

oczywiście wiedział Ciekaw jestem jak to zmości! Ja szaleję

■ — mógłbym walić samego siebie \* i z taka w

wę kiedy przypominam sobie że taka wulgarna, pi 372

publicznie uszczelniała w nosi ze moje podwiązki wywołały  
bombylną wesołość u tej nieśkądki wyłazły z szczeni student  
ki z Ann Arbor która ubierała się tylko w dzinsy i kurtki  
o gdy me wyglądała na to raby się myła Nie chce aby jakie  
osoby gólowały iadek rama chodzą przez chwile Chciałbym je  
ce utrwalone na taśmie komputera aby móc je odwrócić  
znazęć z nimi na nowo Wszystko odbyłoby się tak samo Jedna  
pociągaby mnie za nos, druga by się uśmiechała i bez czele  
pytała o moje podwiązki Kiedyś zadzwoniłem do meji po dwu  
miesiącach umówiłem się z potem odwołalem spotkanie Nie  
chciałem jej widzieć

— Tym razem to prawda — powiedziałem — Masze wy  
jechać Zadzwoń po powrocie

Przyjmowała moje telefonny obojętne jak gdyby cały im ech z  
niej wyparował Nie zależało jej na spotkaniu ze mną

— Wporządku — powiedziała — Nie miej do siebie preten  
cji Złrzydam przez jedną noc

Rozeszła się z mężem i oboje wyjechał Dzieci były na  
siadankach Dom ich stał pustą miłą me wie czyjeś następcze

Przypuszczam, że i ja będę miał, rozjeżdżę się z żoną kiedy  
dzieci wypadną na studia Mam nadzieję, że Dke nastąpi to wczel-

niej bo będę emialni stanowisko a córka boryka się cięższe z  
problemami okresu dorastania i jest w szkole, syn zaś od  
zmysłów odchodzi ze strachu przed Fortionem, przed wpina n  
em się po linie i trądnie się orenomosa, czy pojdnie w górę

ila"l's"re" / ma me do roboty więc bez entuzjazm u

a kobiet wyzwoitelek (choćuz wsta

skupia o organach masturbacyjnych i

— To dlatego — pouczam ją — ze ufomou

niekt społeczeńst

Zona me wie na pewno czy jestem po jej stronie a

— Czy j'm zdań em jestem człowiekiem kti

twc ysci" — pytam łagodnie

- Nie chce pracować — kreśli głowa z łagodnym uśmiechem (Ona ma naprawdę poczucie humoru)
- Chcesz więcej pieniędzy?
- Nie idzie o pieniądze. Tobie się ciasto wydaje ze zdjęciem pierniczki. Nie. Damski TVC do roboty
- Nie ja tego chce. Mogę ci dać więcej pieniędzy jeśli to cię uczy. Szczerze mówiąc. Hej, nie ma na to stać
- Nie o to on idzie. Nie. nie potrafisz robić.

flemadze to mifose, kocname a nufose to nie gówno Nit

- Nie pij whisky go wino to może nie będziesz się czuła
- Może czuje się ile, bo będą miała okres. Ty nawet wygadasz miśdziej niż ja. 10 nie jest sprawiedliwe
- Ale ty będziesz zyla dłużej? Kobiety żyją dłużej
- Tylko że będą wyglądała starsz
- A czego się spodziewasz skoro będziesz zyla dłużej!<sup>11</sup>
- Zartowałam. Nie wiem nawet, kiedy narodziłam Coraz trud

Mój własny wspominał zart na temat Freuda pieniędzy i ekskrementów przysła bez oburzenia pewnego dnia będąc miśdziej niż ja. Zapewne potraciła z powodu czegoś takiego (ona Lez nie słyszała o Kiperniku i Kierozandzie, aczkolwiek słyszała może o Cammie bo zginał w kosztowym sportowym samo-cnotliwej onie nie codziennie, dopoki syn wydaje się jak osuśno mnie potrzebować. Nie jestem pewna czy osuśno mnie potrzebuje.) Nie mam pewności czy on by przetrwał gdybym ja miała zmart i wyprowadził się. (Nie rozumiemy jako karta strofa go spokalka, gdyby mnie zabrakło Faki, że córka chce oef fi żywa.) Kiedy syn decyduje i odsuśno się ode mnie, ja się odsuśno od mego Córki też ju? me będzie w domu zostanie tylko Derek jeśli do tego czasu jeszcze go zatrzymamy. Nie



się ważny dlatego że ktoś jest  
każdym  
Nakry wyłamie do mu ci Chciałbym nie mieć nikogo za  
juście ode ramię zależny Przygnij! n  
kiedy czekam żeby przestala się  
k z powi  
(ci albo:

..... żeby znowu uprawiać swoją imnie-  
tryczną gimnastykę siodeł ud i moja niechęć do mej rotynie (N  
e mogę znaleźć babę która płacze z byle powodu chyba że jest na  
pogrzebie Mam wrażenie że jestem wyżykowany)

ja ci zawinłem" — ryczą — To są moje dzieci Naprawdę

— Muszę z kimś pogadać. Nie prosiłam żebyś się rude  
miej rozczulił N: e wolno mi już powiedzieć co czuję!  
— Drzwon do siostry Dobrze wiesz, że nie znowu płaczę —<sup>5</sup>

z nikim rozmawiać o Dereku Nie mam ochoty wysłuchiwać  
niczych narzekani (Cóżś trudniej mi przychodzi rozczulić się nad  
kikutkami piersi siebie samego)—Nie mogę ci pomóc Nie wiem  
jak Nie stało się to na mój rozkaz też nie wiem zrobić  
Wiedziałem, co się dzieje zanim kukolki wleźli Ktoś nas  
przekłócił Hej my pomysł o nim wszystko we mnie zani-  
do wnętrza suchych grzybow i mokrych gnijących na ziemi liś  
Zimno mi się tobie Mogłem to przepowiedzieć Kiedy podatry  
orzekli że wolno się rozwija, wiedziałem że jestemZdany Mai  
kolana stopy i palce lekko odchylił od właściwego kierunku  
Zauważyłem że jakiś nie potrafił prosto utrzymać głowy  
Aszury zanim się urodził przeczuwałem niebezpieczeństwo (ale i przed  
urodzeniem innych moich dzieci okazywałem ten sam niepo-  
kój Spodziewałem s ę z że mi się urodzi mongoloid Byłbym

podniebienia i poleżał na chirurgu — w stosunku do całej  
trojki —— chce nie mogę sobie wyobrazić syna czy córki prze-  
dzierających się przez życie choćby do punktu w którym  
znajdują się obecnie ; jakimś powaznym wrodzonym kale  
ctwem Młoci bez tego dość kłopotów Nie pojmuję jak zima

powodów aby współczuć sobie A jednym z tych powodów jest

Chcę się uwolnić od mej zaimi straci zdrowie Widzę w swo-

jej przyszkolę chorowitę zosę Dostrzegam luz wymowne ośma ki  
chronicznej choroby (Ona jest przekłama zena ze dostaje  
dostanie raka, więc może izesztywicie! go dostanie) Wiem zejzj  
zdów e wosadze wczemnei luz moie Ona sie kręci nadaje do  
chorob Nie chce być swawany przy mej z powoda choroby jej  
choroby) A tak się stanie Znajdę się pod huraganowym og  
niem niestanymych zagowioła jej zapalenia stawów antryz  
mu reumatyzmu, cukrzycy zytakow zawrotów głowy mdłości

z objan  
cudzych wystarczą na własne ) Ona  
haczyk A łusole dżeci dołmnia  
( Tato jak m. acesz nawet myśleć zęby  
kiedy ona się iusticie rauter  
d, jak ja od n jej w ogóle odjęde, będy dy me  
lepiej? jo wszystkiego uciekną K ...

się w mektore dni (kiedy czaje, że ktoś czegoś od mej chce)  
Jak gdyby mnie to obekhodzilo ( Obserwowałam się  
spierogo — powie dżeszczera kłota  
jest jeszcze zakochana. — Chrapaleś  
le jest zakochana chrapanie wywołuje w mej  
i me chce więcej widzieć faceta chyba że jest  
potrzebuje forsy)

Ale ja też niewam niew czy oddoch i chrapię więc staczamy  
się luz w szybk m tempie do uwadzi starczego Dzieci przyła  
czają się do nas z własnymi żalami  
Córka skarży się na ból gardła zolągka Syn na zmęczenie i  
mdłości i są dni kiedy wogę e chwamcej jęsi ma dajemy  
również Miewam bole w pierci na które może się powolwać bo  
wszystcy z wielkim szacunkiem odnoszą się do zawała no  
trzymam wstrbore w zanadru na wszelki wypadek Zona

nieczulne Czy me byłoby zabawne gdyby ona umarła na  
zawał a ja na raka? Kiedyż zona ma chanir? a córka przebrą kuje  
o samobójstwie, potrał e całym dn urn m lezce jak grób





la się puszcza

choćby gdyby nie

była moja

Znakomicie podniosłoby to jej morale gdyby nie oczekiwała ahyt  
wiele i czas już aby zemściła się na ranie Czy to nie byłoby  
zabawne gdyby pedalem okazał się mój syn a nie ja? To byłoby  
tragiczne Ja przynajmniej mam nieprzezwyciężone  
zahamowania Dla mnie byłoby to gorzej niż tragiczne zero  
wałoby mnie w anamalach towarzyskich Samobójczym pedał i  
idiotą — potomstwo Slocuma, z lędzwi Slocuma I żona  
neurasteniczka piączka i buscijska Prądalaby mi się taka  
oby Bóg ją błogosławił Zwalibym więc za dzieci no ma  
Dopóki ktoś zowie chviru jak ja nie spytalby wskazując mnie  
półem

Hej szekaj koleś poczekał Czy ona zawsze była  
taka?

Nie wiem Te rzeczy dojrzewają potrzebują czasu aby się  
przejawić Spytaj jakiegoś godniego zaufania rewolucjoniste  
cwoicjoniste, psychologa humanyka, doświadczanego botani  
ka ludzkiej pryche Czyja byłem kiedyś taki?

Ty mnie zrobiłeś taką  
Zmieszkał mnie do tego

taką Dlatego me mogę z tobą porozmawiać

Potrzebuje współczującego ucha

Ty mnie do tego doprowadzasz Etwon do  
siostry i pokazasz jej Niemawiać siostry  
dobrze o tym wiesz

— Lotrze — wybucha żona — a

rani strakam plam i śladów ugrzyżenia po zakazanym se A  
kiedy ich Die zmagają czuć się oszukany Co jeśli robilas —  
spytam prawdopodobnie

Robiłam zakupy. Byłam u  
kosmetyczki. Widziałam się z  
siostrą. Spokalałam się z  
przyjaciółkami.

Zdaje się że sprawa się bosowa Nie chce o tym mówić Masz  
kłopot? To jest mój temat o tym Odsłaniałam w me  
malowane drzewo Teraz często łapię się na tym że  
obsesyjnie szukam rano

na brudną podziwiznowicę choć wiem, że to nie ma sensu  
spędziła przecież noc w łóżku ze mną Nie chciałyśmy oszaleć  
Lubię panować nad swoim rozsądkiem myślami i czynami  
wiedzieć w każdej chwili, co jest co Nie chce się podłyć omych  
zahamowań. Gdybym się ich pozbył, może zacząłbym napadać  
na ludzi (obcych, przyjaciół, kochanych) popełniać mordy  
zważając niebezpieczeństwa i błądząc, wydobywać oczy, morder-  
towskie nastolatki i małe zgrabne dziewczynki spuszczać się w  
zabuczonej wagiście koleje podziemnej na jejnym podziabku takiej  
kobiety jak moja żona czy Penny Sny są bezsilne nachodzą  
nas kiedy śpiemy Mogłbym jeszcze zacząć się jakak

ważę się dziwić, że potrafimy się obudzić będąc jeszcze na  
porządku.

Prawdopodobnie przyzwyczailiśmy się do myśli że żona  
kopie się z innymi facetami bez rąk] do specyficznych oko-  
liczności i mechanizmu tego zjawiska — tego dotknięcia wil  
goci pojeżdżania i wygibów Ws"sko wilgotniejszego Galo staje

mogłaby robić z innymi to co ze mną? Albo co? (Czy on  
będzie aspiant? — Oczywiście Czy ona Czemu nie?) Wszystko  
jest takie młode tak to czuje a narzuwa się to kochać się  
Zwierzęta to robią Nie ma to żadnego związku z miłością —  
quantum vis opore ceno (dotknąć wóje je młode i niemile

m:choszczynychzapachach OLEsciskac/Ulidrk ctato które

rasznie jak ciało a nie jak kouska mydła) Nawet uścisk dłoni  
biurokratów stał się teraz wilgotny i brydzący palcami.

sciska dłoń, a powiem że to młodzieńcy bez skrupułów kane  
rower Wolbył, gdy moja ciotka przesiada rozrzać po  
całym miezkam swoje stanki i nie wieszła kosałi nocnej na  
drzewach łazarki. Szybko się rozwinęła i wie o tym. Widać  
czarem jak się ubiera, kiedy gdzieś idzie doprowadza mnie to  
mi spojrzeć na nią kiedyś przed mną czekając na pieniądzu,  
oktęprosi (Cokolwiek powiem może ponizyć ją we własnym

aby już raczej wkładala stanki niż zostawiała go byk edził  
Chodzi w niebieskich dżimach i o z zawsze robi wiatrnie schilo  
dziej. Przypomina mi studentkę z Ann Alboi. Każda poznana  
teraz dziewczyna przypomina mi inną, poznana wcześniej.]  
— Znamyście się chłopcy meprzywioście naczejają na  
ulicy. Az pressisz się o to Sama sobie będziez winna, jeśli cie  
zgwałcą

— Zawsze to robisz? — krzyczy piśkliwe (podczas gdy syn  
patrzy z kasa prestransony i zamyślony a ja zdaję że z nią  
w ogóle zacząłem) — Zawsze musisz coś powiedzieć zeb'  
"to popuac

zejejelempodlaizadroszczęej Zeza

Jeśli coś się dzieje przadany będzie to zapewne z tym face tem  
który już jest po studiach i o którym wspominała z prowadzi  
wyrotkę ofiarował się nauczyć ja prowadzić sam chód  
wieczornami i przez weekendy jeśli im damy jeden z na b i

— Mogę zacząć trochę wcześniej. Wszyscy to robią Cheese

Chcę żebyś zdała geometrie amajski francuski nauki spo leczne  
i fizykę — a nie egzamin z jazdy samochodem i chce  
aby dostąpił piymajm ej czwórki mogł, po sokole pojsc nd

studia. (Nie będę chciał jej mieć w domu.) Nie wyobrażam sobie, jak ja będę kiedykolwiek rozmawiał z fałszywie uśmiechniętym, sprytnym zięciem, o wiele ode mnie młodszym, wiedząc, że rąbie moją córkę po cichu w którymś pokoju, kiedy zjadą do nas na weekend. Żona będzie dla nich piekła placki i czekała na wnuki. (To ona ma brudne myśli.) Będą żądali od nas tego czy tamtego i okłamywali mnie.

— Może nie będzie taka. Może będzie inna. Może dorośnie, nim wyjdzie za mąż — mówi żona.

— Myśmy nie dorośli.

— Jak to?

Żona mnie nie rozumie.

Nie przypuszcza chyba, że podejrzewam ją o przesypanie się z innym facetem, nie podejrzewa, że badam jej brzuch, włosy, uda, szyję, piersi, majtki, halki i bluzki systematycznie i wrogo, szukając śladów cudzego nasienia. (Ma nieduży, lekko zaokrąglony brzuch, widzi się takie często na fotografiach pięknych dziewcząt z długimi plecami.) Często, kiedy z bliska oglądam jej włosy i brzuch, mój antagonizm przemienia się w pożądanie (antagonistyczne pożądanie, oczywiście, inaczej zwane żądzą, i mam ochotę ją osiąść). Musiałbym odejść od niej, gdybym taki ślad znalazł. Kieruje mną coś potężniejszego od zwykłej, obłudnej, szowinistycznej męskiej podwójnej moralności, czerpałbym z tego siły, aby od niej odejść. Tym czymś jest moja niepewność.

Całkowicie zapomniałem o nowotworach mózgu, zajmujących trzynaste miejsce w tabeli śmiertelności nie rozwiedzionych mężczyzn w moim wieku, mieszkających w Connecticut z trojgiem dzieci, posiadających dwa samochody i możliwości awansu na wyższe stanowiska. Nic dziwnego, że ciągle zmuszony jestem wrzeszczeć w domu, żeby rodzina poczuła, że istnieje. (Naprawdę nie chcę, aby się mnie w domu bali, natomiast chcę, aby koło mnie skakali i zajmowali się mną. Moja rodzina nie darzy mnie taką miłością i współczuciem, jakimi w dzieciństwie obdarzały mnie matka i niektóre nauczycielki. Niech to diabli, chciałbym, żeby żona i dzieci czasem traktowały mnie jak dziecko. Mam do tego prawo. Potrzebuję tego, bo daje mi to poczucie bezpieczeństwa. Nie jestem takim ojcem, który oczekuje, że dzieci zajmą się nim, kiedy będzie stary, chcę, żeby dzieci się mną zajmowały teraz.) Żona sądzi, że chętnie przebywam z nią teraz w domu wieczorami, nie

widzi tego, że ledwo mogę się doczekać, aby wyjść rano do biura i znaleźć się blisko Barona (z którym teraz wymieniam spojrzenia chyba bardziej znaczące niż dawniej). Zjazd znów się odbędzie w Porto Rico (aby należycie uhonorować rodzinę żony Blacke'a), a Kagle pojechał do Toledo. Żona nie daruje mi dymisji Kagle'a (póki nie powiem jej bez ogródek, że jeśli on wygra, ja przegram. Wtedy spojrzysz przed siebie ponad moim ramieniem i nabierze wody w usta, nie będzie chciała o tym więcej słyszeć). Żal jej Kagle'a z powodu jego kulawej nogi, żony i dwojga dzieci. Przejmuje się kłopotami religijnych rodzin, jeśli to nie są kolorowe czy żydowskie rodziny, których język jest dla niej obcy (nie jest to nawet łacina) i których niezrozumiałe modlitwy wydają jej się prymitywne i obraźliwe. (Myśli, że modlą się z powodu nas.) Nawet ich święta przypadają w inne dni. (To perwersyjny, hardy lud. Nie chcę, aby nasza córka wyszła za Żyda, aczkolwiek wolałbym już Żyda od Portorykańczyka lub Murzyna.) Kagle nie poprawi się. Chodzi nadal do kościoła z rodziną, kiedy jest w domu, wyjeżdża na tydzień do miejscowości w rodzaju Toledo i po południu chodzi tam do tanich kurw. Pozostał fanatykiem, nie zaangażuje Żyda i nie zerwie z czarnej dziewczyny, chyba że znajdzie się służbowo na Wyspach Karaibskich. Wówczas zadaje się z młodzieńcami, miał już piętnastolatki, a brałby trzynasto-  
1           jedenastoletnie, gdyby nie czuł się przy tym jak nienormalny.

Muszę go zwolnić, chodziłem z nim do kurw i nie daruję mu tego ani nie zapomnę o tym. Nie uwierzy. Szturchnie mnie ramieniem, zachichocze nieprzystojnie:

„Przestań, Bob. Nie mów tak. Znam ciebie. Pamiętasz, jak...”

„To było dawno i nieprawda. A jeśli nawet, zapomniałem o tym i ty musisz za to zapłacić.”

Przenieś jego pijackich kumpi z prowincjonalnych oddziałów do innych miast na inne stanowiska, licząc na to, że wymówią. Nie rozmawiam z Baronem o tych sprawach, kiedy spotkamy się przypadkiem na korytarzu, lecz istnieje między nami dyplomatyczne porozumienie, które wyczuwam w towarzyskiej wymianie zdań z nim:

— Jak się masz, Bob? — nieodmiennie pyta, przystając.

— Doskonale, Art. A ty?

— To świetnie. White mówi, że bardzo lubi pogadać z tobą.

— Bardzo lubię White'a, Art. To wspaniały człowiek.

(Fakty, jakie podaje, są fałszywe, ale odpowiedzi prawidłowe.)

White się zgadza. Ale czy Black się zgadza? Brown poleci do niego z krzykiem, będzie protestował, kiedy się dowie, *i* że zostałem jego szefem. Blackowi to będzie zapewne obojętne. To nie leży w jego gestii, poza tym chce się już wycofać z interesów i mnóstwo czasu spędza poza biurem na żaglówce.

Zrobiłem, co mogłem, aby powstrzymać Kagle'a od wyjazdu do Toledo (wiedząc oczywiście, że mi się to nie uda. Mam niemal czyste sumienie.

— Nie jedź, Andy. Wiesz przecież, że Baron cię potrzebuje.

— Wykorzystam ten wyjazd, aby otworzyć supersam — mruka porozumiewawczo. — Cne, che, zobaczysz).

— Ni stąd, ni zowąd wyjechał do Chicago, Bob?

— Do Toledo.

— Tam? A Laurze powiedział, że jedzie do Chicago. Co jest w Toledo?

— Może wróci z wiadomością o otwarciu nowego supersamu.

— To nie należy do niego.

— Telefonuje co dzień. Wiem, gdzie go złapać. Prosił, abym doglądał jego biura.

— Świetnie, Bob. Trzeba będzie zacząć przygotowania do zjazdu. Chciałbym, aby przebiegał w tym roku gładko.

— Sądzę, że tak będzie, Art.

— Ja też. White wraca w przyszłym tygodniu, zwołam razem z nim zebranie na górze. Jesteś gotów narobić sobie trochę wrogów?

— Jeśli to konieczne.

— Ale zyskasz też przyjaciół.

I wygłoszę swoje mowy. Będę potrzebował Kagle'a na zjeździe. Dobrze się wywiąże, będzie się domagał uznania za zmiany wprowadzone rzekomo przez niego samego, wyrazi zadowolenie, że się pozbył pracy administracyjnej, której nie lubi, i że nareszcie będzie mógł robić to, co lubi. Nikt mu nie uwierzy. Ale to nie będzie miało znaczenia. A potem nie będzie mi potrzebny.

— Jak załatwisz z Kagle'em? — pyta Baron.

— Chciałbym, żeby to on otworzył zjazd.

— To dobrze. „ >.

— On to dobrze zrobi. Będzie się uśmiechał, ile trzeba, bez instrukcji.

— A po zjeździe?

— Nie chcę go w swoim biurze.

— Może zatrzymasz go jako konsultanta lub urzędnika do specjalnych projektów?

— Nie, Art.

— Może się przydać.

— Ale nie u mnie. Nie byłoby dobrze, aby pozostał w moim biurze.

— Chyba masz rację, Bob.

— Dzięki, Art.

Nie mogę oczywiście wymówić Kagle'owi. (Gdybym mógł komukolwiek wymówić, zwolniłbym Greena i maszynistkę Marthę, która powoli dostaje fioła, ale nie dość szybko, jak na moje potrzeby.) Mogę jedynie dać do zrozumienia, że go nie chcę u siebie, i koncern przesunie go do innego pionu. Chciałbym, aby i ją ktoś zwolnił, zanim będę zmuszony kazać Greenowi, aby to zrobił.

„Art — powiem — masz chwilkę czasu?”

„Jak się masz, Bob?”

„Doskonale, Art. A ty?”

„To świetnie, Bob.”

„W dziale Greena pracuje dziewczyna poważnie chora umysłowo. Dostaje obłądu. Mówi do siebie, prowadzi wyimaginowane rozmowy. Śmieje się do siebie. Nie dodaje to splendoru działowi, że ma taką maszynistkę.”

„Czy jest zadowolona?” — spyta może.

„Tylko kiedy się śmieje. Ale wtedy nie pisze na maszynie i jej wydajność spada.”

„Powiedz Greenowi, żeby się jej pozbył.”

Gdyby tak się wyraził, znaczyłoby to, że chce, żebym zaczął rozkazywać Greenowi i przejął władzę nad jego działem. Ale gdyby powiedział: „Pogadam z Greenem” — znaczyłoby to, że życzy sobie, aby nasze działy pozostały rozdzielone (nie przejmę się tym, bo wygodnie mi będzie mieć dział Greena, na który będę mógł zwałać winę).

Jeśli natomiast spyta z poważną miną:

„Co byś zrobił?”

„Jej się pewnie należy dość długi urlop zdrowotny — powiedziałbym. — Potem dostanie zasiłek chorobowy z ubezpieczalni,

jeśli będzie chciała skorzystać z niego. Ludzie, którzy biorą urlop zdrowotny z powodu przypadłości umysłowych, prawie nigdy nie chcą wracać do pracy."

„Dobrze, Bob. To się wydaje najłagodniejszą drogą załatwienia tej sprawy."

„Nie trzymamy wolnych etatów. Gdyby chciała wrócić, moglibyśmy jej to powiedzieć. Pielęgniarka może jej powiedzieć, że potrzebuje odpoczynku."

„Kiedy mnie tu dobrze — może powiedzieć Martha. — Uśmiecham się i śmieję przez cały dzień."

„To tylko na krótko, kochanie. My... oni... muszą redukować."

(Trzymam urlop zdrowotny w zanadru jako sposób pozbycia się Reda Parkera.)

(Pomyśli, że oddaję mu przysługę.)

(Dowie się, kiedy będzie chciał wrócić.)

(Jestem taki cwany, że powinienem być prezydentem.)

Może nawet zacznę znów korzystać z mieszkania Reda, kiedy on już nie będzie u nas pracował. Nie postanie mu nawet w głowie, że już nie pracuje w koncernie, że jest już wyrzucony, ale dla mnie jego ubezpieczenie na wypadek choroby okaże się korzystne zdrowotnie. Jego miejsce zajmie kto inny. (Jego się odłoży *ad acta*.) Wakans, jaki otworzy idąc na ten urlop, okaże się obsadzony, gdyby chciał wrócić. (Prawdopodobnie nie zechce. Przyzwyczajai się do nieróbstwa i bezsensownego podskakiwania na bezcelowym urlopie.)

Ci, którzy dobrowolnie idą na dłuższy urlop zdrowotny z innych powodów niż operacja lub nieszczęśliwy wypadek, nie wracają prawie nigdy. Nie czują się na siłach. (Nawet tacy, którzy poszli na urlop z powodu żółtaczki lub mononukleozy, z trudem wracają. Brak im biglu.) Kiedy nie ma ich już od dawna w biurze, ktoś, kto lubi wiedzieć, co się z ludźmi dzieje (w wojsku zajmował się tym nasz oficer propagandowy), wpada, aby nam oznajmić, że umarli (lub mieli wylew, wiemy wtedy, że naprawdę odeszli na dobre. Lub na złe. Cha, cha).

„Wiesz, co się stało z Kagle'em, Parkerem czy Gree-nem?" — powie ktoś w rodzaju Eda Phelpsa, który wpadnie do nas z tą wiadomością, jeśli oczywiście dożyje. Ed często będzie do nas zaglądał jako emeryt (jak chory White; ten zjawi się w fotelu na kółkach albo wsparty na aluminiowych laskach, albo też na wózku, który będzie popychał nieprzenikniony



czarny szofer w nieskazitelnej szarej liberii; White słabo machnie ręką na powitanie. Jak ja będę wyglądał mając lat osiemdziesiąt i ani jednego zęba? Nie będę miał zębów — chodzenie do dentysty nie uratuje mojej zanikającej szczęki — moje kostki i łuki stóp osłabną. Będę miał zatkany nos i będę oddychał przez otwarte usta. Będę miętosił w rękach pigułki. Widziałem już siebie w szpitalach i na fotografiach. Czym będzie mnie czuć? Wiem, czuję już teraz ten zapach i wcale mi się on nie podoba, gdyż nie będzie miał dokąd pójść. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby Phelps zaczął przyjeżdżać na zjazdy moich kolegów z wojska (zamiast mnie. Ja nie pojechałem nigdy) w charakterze jeszcze jednego nadprogramowo uratowanego. (Nie potrzebujemy już doprawdy tylu uratowanych.) „Nie wiem na pewno, co mu było — powie o Parkerze. — Ciekaw jestem, kto się teraz zaopiekuje jego dziećmi. Ile on ich miał?”

Nikt nie będzie wiedział i nikogo to nie będzie obchodziło. Staram się obecnie utrzymać ze wszystkimi w biurze szczere, miłe, neutralne stosunki. Jane wie, że przestałem z nią flirtować.

„Co się stało, waźniaku? — słyszę, jak pyta niemal zadziornie. — Masz pietra? Boisz się, że twoja jędra żoneczka się dowie? A może się boisz, że nie dość często ci stanie jak na potrzeby młodej dziewczyny?”

Jane nie powiedziała by nigdy czegoś podobnego, nie pomyślałaby tego nawet, ale ja i tak wyobrażam sobie tę scenę i myślę, jak by tu jej uniknąć. Zacząłem pilnie i realistycznie przysposabiać się poza biurem do większej odpowiedzialności, organizuję przemówienia i gram w golfa. Szkicuję przemówienia na zjazd (moje i Kagle'a) i to, co powiem na korytarzach w biurze.

„O rany — brzmi jedno z nich — dziwisz się? A co ja czułem, jak ci się zdaje? Można było zwalić mnie z nóg piórkiem.”

(Napisałem tę odżywkę w jednej sekundzie.)

Kupiłem sobie nowe kijki i ubrania do golfa.

Córka uważa, że do twarzy mi w kolorach białym i pastelowych i czapkach z daszkiem. (Ona najbardziej mnie lubi, jeśli ładnie wyglądam.) Żona nic nie rozumie. Myśli, że dlatego zacząłem znów grać w golfa, aby flirtować ze studentkami w klubach, do których jestem zapraszany. Nie umiem już flirtować ze studentkami, nawet nie chciałbym, gdybym umiał. To dzieci. (I żadna jakoś nie wysyła sygnałów do mnie czy

innego gracza w moim wieku. Wysyłają takie sygnały dobrym tenisistom. Postanowiłem nie flirtować już na przyjęciach czy gdzie indziej, jeśli żona jest ze mną i mogłoby ją to krępować, ale chciałbym, aby i ona przestała flirtować po pijanemu i nie krępowała tym mnie.) Będę dawał jej więcej forsy. Biorę w tajemnicy prywatne lekcje gry w golfa na publicznych terenach golfowych podczas weekendów i przyjmuję zaproszenia do prywatnych klubów. Żona nie chce podejmować gry w golfa, bo wie, że nie osiągnie wielkich rezultatów, poza tym nie znosi jadać lunchów czy kolacji w klubach ze względu na towarzystwo, jakie tam spotyka. Wszyscy w klubach się rozwodzą. Wszyscy i wszędzie zdają się dochodzić do kresu. Kupię inny dom. Żona tego chce. Córka się ucieszy, bo bardzo jej zależy, aby mieć przyjaciół z bogatszych rodzin, i wcale nie dba o biedniejszych w rodzaju tego absolwenta prowadzącego wywrotkę, który chce ją uczyć szoferowania po nocy. (Znam ja tę naukę. Mam ochotę kopnąć go kolaniem w brzuch i szczękę. Jak on śmie myśleć nieprzyzwoicie o mojej dorodnej szesnastoletniej córeczce? Jak to może być, że ona ma tylu znajomych, a mimo to ciągle czuje się samotna?) Będziemy zmuszeni kupić większy dom, bo w obecnym stół kuchenny jest za mały.

— W golfa? — pyta syn z zakłopotania mrugając oczami.

— To taka gra.

— Ojciec znów zaczął w to grać — tłumaczy mu matka.

Syn ma obrażoną minę, żona wygląda na poirytowaną. Syn nie przywykł mnie widzieć wystrojonego i spieszącego się w niedzielę rano.

— Gdybym nie musiał wyjść, czy chciałbyś, żebyśmy coś robili? — pytam syna.

— Możesz iść. — Potrząsa głową w zamyśleniu. — Może chciałbym z tobą razem popływać.

— Nie jest dość ciepło. Mamusia pojedzie z tobą do klubu na plaży.

— Nie podoba mi się w tym klubie.

— Masz coś innego do roboty?

— Popatrzę na telewizję. Widziałem w telewizji, jak grają w golfa.

— Posyła się piłki do dołka.

— Jak kule w bilardzie? — mówi z nadzieją, że zgadł. >

— Jak kule w spodniach — dowcipkuje.  
 — Nie zaczynaj — ostrzega mnie żona.  
 — Co to są kule w spodniach?  
 — Nie w niedzielę i nie przy śniadaniu takie rozmówki.  
 — Dzień święty — intonuje córka z kpiącą powagą.  
 — Powiem ci w poniedziałek.  
 — A ja wiem — przechwala się córka.  
 — Jestem tego pewien.  
 — Gniewasz się? — pyta zdziwiona.  
 — Oczywiście, że nie — odpowiadam nie całkiem szczerze.  
 Wcale mnie to nie cieszy, że ona wie. (Przypominam sobie  
 znów, że widziałem ją ubiegłego wieczoru na tylnym siedzeniu  
 samochodu z chłopakami. Nie potrafię ostatnio długo z nią  
 rozmawiać, zawsze mnie kusi powiedzieć coś uszczypliwego.  
 Istnieje między nami potencjalna wrogość. Nie wiem dlaczego.)  
 — Jeśli się gniewasz, odejdę od stołu.  
 — Nie bądź niemądra.  
 — Ja się gniewam — oświadcza żona.  
 — Umówiłem się, więc nic na to już nie poradzę. Pójdę  
 z tobą do kościoła w przyszłym tygodniu.  
 — W przyszłym tygodniu nas nie będzie.  
 — Lubisz to? — pyta syn.  
 — Chodzić do kościoła?  
 — Grać w golfa.  
 — Nie.  
 — Nie znosi tego — informuje córka.  
 — Zgadłaś — chwale ją. — Nie znoszę też tych, z którymi  
 gram.  
 — To dlaczego idziesz? — syn marszczy twarz, bo nic nie  
 rozumie.  
 — To mi dobrze robi.  
 — Dla twojego zdrowia?  
 — Dla interesów — zgaduje znów córka, przedrzeźniając  
 mnie wiernie i zabawnie.  
 — Znów zgadłaś, córeczko — chwale ją ponownie. — Dzię  
 ki golfowi dostają lepsze stanowiska. Zarabiam więcej pieniąż  
 ków dla was wszystkich, kochani.  
 — Kupisz mi samochód, skoro tyle zarabiasz?  
 — Kiedy będę miał mniej kłopotów. Ten stół jest za mały.  
 Dlaczego nie jadamy w jadalni?  
 — Nie wiedziałam, że zejdziemy się tu wszyscy razem. Na

ogół muszę sama jeść śniadanie, zresztą wszystko muszę robić sama.

— Dlaczego ten napastliwy ton?

— A ja nie rozumiem, dlaczego musisz grać w golfa akurat w niedzielę.

— Bo mnie zapraszają na niedzielę.

— Bierzesz lekcje.

— Bo w niedzielę mam czas. Idź sama do kościoła.

— Nie chcę. Od czego mam rodzinę?

— Nie zapominaj, że Bóg będzie z tobą.

— Nie żartuj na ten temat.

— Idź z dziećmi.

— Nie pójdą bez ciebie. Ciebie posłuchają.

— Pójdziecie same z mamą, dobrze?

— Nie zmuszaj ich.

— Nie bądź obłudny, tatusiu.

— Pójdziemy wszyscy razem w Dniu Matki.

— To będzie wtedy Dzień Ojca.

— Nie znosimy tych typów, z którymi musimy razem się modlić — dowcipkuje córka, robiąc aluzję do mojej uwagi o graczach, a syn chichocze.

— Punkt dla ciebie — chwale ją śmiejąc się. — Jestem dumny z ciebie.

— Strasznie to lubię — wtrąca żona — kiedy wszyscy wy śmiewacie się ze mnie. Mają to po tobie. Uważają, że mogą się ze wszystkiego wyśmiewać.

— Bo mogą. — (Żona już mi psuje cały dzień.) Śniadanie na łonie rodziny zapowiadało się rozkosznie dla wszystkich prócz niej, a ja już bym chciał jak najszybciej zjeść i wynieść się z domu. — Nie słyszę takich dowcipów w biurze.

— Ani ja u kosmetyczki.

— Doskonale.

— Nie brałeś ślubu z tymi w biurze.

— Zrozumiałem od razu. Czy musisz wszystko powtarzać bez końca?

— Jesteś naprawdę parszywy.

— My sobie tylko żartujemy, dzieci. Robisz to co tydzień.

— Zjedz jajko — mówi żona cicho.

— Psujesz mi cały dzień.

— A ty mnie.

— Podaj mi sok. Robisz to co tydzień. Kiedy mam tylko wolny dzień.

To nie jest prawda, ale ona milczy. Twarz zastyga jej w bruzdy upartego milczenia. Na uchu dużego szklanego dzbana jej ręka drży. Pijemy na śniadanie świeży sok pomarańczowy, jeśli zadam sobie trud, aby go zrobić, z zimnego szklanego dzbana, a nie z lżejszego plastikowego, który robi wrażenie, jakby był z gumy, ale który ona i służąca wolą, bo jest lżejszy. Dzieci siedzą cichutko jak kukły w sklepie, przyczały się, ich twarze są bez wyrazu, czekają, co będzie dalej. A dzień zaczął się tak pomyślnie. Kochałem się z nią w nocy, kiedy przyszła mi ochota, i wymigałem się rano, kiedy nie miałem już ochoty, szybko pobiegłem do kuchni i zająłem się śniadaniem, kiedy ona była w łazience. (Dawała mi znaki, których nie pragnąłem.) Nielatwo mi przyjdzie jej wybaczyć, że zepsuła mi ranek. Nawet świeże pomarańcze smakują mi jak sztuczne. Nie są już dobre. Może z powodu mydła, jakim myjemy szklanki, a może coś jest w wodzie. Teraz podają w lodziarniach lody w papierowych kubkach lub nieprzezrzystych plastikowych szklankach, które nie są nigdy zimne i w których lody nie smakują jak lody. Nic się nie ostaje. Most Londyński zawalił się i został przewieziony statkiem do Arizony jako atrakcja turystyczna. Robię smaczniejsze jaja na boczku niż inni, bo zadaję sobie z tym więcej trudu. Robię grzanki z czosnkiem, jak je robiła moja matka, są tak samo dobre. To łatwe. Smakują wszystkim. Nic nie jest już w stanie czystym. Nawet ludzie. Postanawiam wykręcić się dowcipem.

— Powiedz uczciwie, kochanie — zaczynam przymilnie.

— Pójdą, jeśli i ty pójdziesz — przerywa mi.

Syn potrząsa głową.

— Ja nie pójdę — oświadcza córka.

— Powiedziałaś, abym ich nie zmuszał.

— Czuję się sama jak palec.

— Muszę iść? — pyta syn niezadowolony.

— Przyznaj uczciwie, kochanie — powtarzam dotykając jej ramienia. (Będę musiał odejść od niej, choćby dlatego tylko, że zmusza mnie do czegoś takiego.) — Wolałabyś być biedna i pójść do nieba czy bogata i pójść do piekła?

— Nie idzie o niebo czy piekło — oponuje żona.

— Odpowiadaj na pytanie.

— Jaka biedna? — niepewnie żartuje córka.

— Nie zależy mi tak bardzo na pieniądzach, jak myślisz.

— A mnie zależy — wyśpiewuje córka. — Chcę mieć jak najwięcej.

— Chcesz mieć nowy dom, tak?

— Co w tym złego?

— Nic. Wolisz być biedna i pójść do nieba czy bogata i pójść... do diabła?

— Ty idź do diabła — uśmiecha się żona, zrezygnowana, w odpowiedzi na moje pytanie.

Czuję, że burza minęła i może uda mi się jeszcze wyrwać od nich cało. Mam ochotę to czymś uczcić.

— Wspaniała z ciebie dziewczyna — wykrzykuję czule do żony.

— Ja i tak jestem zmęczona — przyznaje bez urazy.

— Idź sama.

— Nie lubię chodzić sama. Poleżę sobie i poczytam gazety. Popatrzę na operetkę Gilberta i Sullivana. To się zapowiada ciekawie, co?

— Kocham forszę — mówi córka z krewką wesołością. — Naprawdę chyba kocham.

— Czy wszyscy biedni naprawdę idą do nieba? — poważnie pyta syn.

— Wierzysz w niebo? ■

— Nie.

— To jak mogą tam iść?

— Bardzo zabawne — mówi syn marszcząc brwi. — A gdy bym wierzył w niebo, to czy wszyscy biedni by tam szli?

— Nie mają żadnej szansy.

— Poważnie.

— Nie mają żadnej diabelnej szansy. Czym byłoby niebo, gdyby znaleźli się w nim wszyscy biedacy?

— Czy my jesteśmy biedni?

— Nie.

— To dlaczego nie możesz jej kupić samochodu?

— Cacus z ciebie.

— Mogę. Ale najpierw niech się nauczy prowadzić.

— Kończę szesnaście lat.

— Pogadamy o tym, kiedy skończysz. Mam na to pieniądze. Więc nie martw się, nie jesteśmy biedni. Wkrótce będę miał więcej.

— Ja chyba kocham forszę — odważnie przechwala się córka — więcej niż cokolwiek na świecie. Więcej niż lody.

— Ludzie uważaliby, że to nieładnie, córeczko.

— Nie dbam. Kocham forszę jak ostatnią łyżeczkę lodów na talerzyku.

— Forsa naprawdę przemawia do wszystkich, moja panno, prawda?

— Z całą pewnością.

— Jak to? — nie rozumie syn.

— Bo pieniądz, młodzieńcze, to wszystko.

— A zdrowie? — pyta żona.

— Nie dostaniesz pieniędzy za zdrowie. Dlatego właśnie nie powinieś rozdawać kieszonkowych.

— Już nie rozdaję.

— Ja bym nigdy nie rozdała — mówi dumna z siebie córka.

— Nie przypuszczam, kochana córeczko, abyś to kiedy zrobiła, che, che. Pieniądz puszcza w ruch świat, młodzieńcze, i tworzy historię.

— Jak to?

— Uczysz się historii, tak?

— To się nazywa nauki społeczne.

— Pieniądze tworzą nauki społeczne. Bez pieniędzy nie byłoby nauk społecznych.

— Jak to?

— Tatuś chce powiedzieć — tłumaczy córka — że miłość do pieniędzy i poszukiwanie bogactw w przeszłości spowodowały większość wydarzeń, o których czytamy teraz w książkach historycznych. Mam rację, tatusiu?

— Najzupełniejszą, kochana córeczko. Znowu trafiłaś w dziesiątkę. Cieszę się, że uczysz się w szkole czegoś więcej niż 0 kulach w spodniach, skręcania papierosów z narkotyku i chodzenia nago po mieszkaniu.

Kiedy spostrzegam, że ją zatkało i że zbladła, jestem bardziej oszołomiony od niej. (Sam nie wiem, dlaczego to powiedziałem. Przysięgam na Chrystusa, że nie wiem, skąd mi się to wzięło, wiem, że nie ze mnie.) Ona błaga szeptem:

— Musiałeś to powiedzieć?

— Nie — mamrocę.

— Owszem — zarzuca mi. — Zawsze to robisz.

— Przepraszam.

— Zawsze musisz wszystko popsuć. Wszystko i wszystkim, prawda?

Żona ma taką minę, jakby za chwilę miała się rozplakać.

— Wiedziałaś, że żartuję.  
— Mam wyjść?  
— Nie. Żartowaliśmy oboje. Ale **mówilem** ci **już**, żebyś **nie** chodziła po domu bez szlafroka.  
— Mogę odejść od stołu?  
— Zostań. Ja odejdę. — (Czuję się jak niezdarna ślamazara.) — Może się pogodzimy, co? Ja i tak już muszę iść, che, che.

Ona też psuje mi cały dzień (choć to moja wina. Nie ma jeszcze nawet dziesiątej). Tego rana, kiedy żona obudziła mnie mamrocząc coś z rozmarzeniem i tuląc się do mnie, znów wkradła się do naszego małżeńskiego łóża ośmiornica niechęci, mięsista, muskularna, lepka i pulsująca bariera budzącego się czasem seksualnego wstępu (zawsze tak jest, kiedy żona przejmuje inicjatywę. Może dlatego, że ja wolę być stroną pożądaną). Wymknąłem się jej chyżo; zanim się domyśliła, co się dzieje, byłem już w kuchni, krajałem na pół pomarańcze, robiłem kawę i rozbijałem jaja. Nie wiem skąd i dlaczego powstaje we mnie ten wstępnik (i nie chcę się nigdy dowiedzieć). Jak gdyby mózg, serce i cienkie jelita uderzały we mnie wspólnymi siłami. (Wiem, że faceci, którzy przeszli zawał, zasłaniają się nim, aby uniknąć stosunków seksualnych ze swoimi żonami, ale nie z kochankami, chyba że mają dość tych kochanek. Ja natomiast w takich chwilach robię kawę i szykuję jajecznicę. Słyszając, że ktoś ze znajomych odszedł od żony, odczuwam olbrzymią satysfakcję. Dobrze tak tym sukcom. Wczoraj w garażu podsłuchiłem, jak jakaś kobieta opowiadała drugiej, że ktoś, kogo nawet nie znam, odszedł od żony, i zaraz mi się humor poprawił. Potem czuję się zawiedziony, żal mi siebie, jak gdybym znów został pominięty.

„Z czego tak się cieszysz?” — wyobraziłem sobie pytanie żony, kiedy wróciłem do samochodu.

„Z ceny karczochów — odpowiadam. Albo lepiej: — Z tego, że jakiś facet odszedł od żony.”)

Mur obrzydzenia znów wyrósł mi w głowie i w piersi w chwili przebudzenia (i nie zniknął), nie chciałem, aby żona mnie dotknęła lub żebym ja musiał jej dotknąć. (To nie ma nic wspólnego z nią.) Miałem wrażenie, że się rozsypię jak suche próchno w miejscu, w którym ona mnie dotknie, byłem jak miękkie ciasto czy glina, zniekształciłaby moje ciało, pozostawiła w nim wgłębienia, gdyby na nie nacisnęła kolanami czy rękami. I taki już bym pozostał. Jest to coś niewidocznego,



lecz opornego. Ciężkiego. Żywe i martwe jednocześnie. Ja jestem żywy i martwy jednocześnie. Mam ziarnisty paraliż. To coś głębokiego i gęstego. Brak mi powietrza, oddycham z trudem, podniesienie głowy sprawia ból, mam mdłości, żołądek mi się przewraca, bo czuję przykre, zatęchłe zapachy. To nie jest przyjemne. Nie mam woli, aby się z tym uporać. Nie mogę wypowiadać się jej z tego.

— Niedobrze się czuję — skamle. — Chyba coś z żołądkiem.

— A w piersi cię nie boli?

— Nie.

— Za dużo pracujesz. Nie mieliśmy od wieków prawdziwego urlopu.

— Co roku wyjeżdżasz w lecie.

— Nie nazywam tego urlopem. Powinniśmy się wybrać we dwójkę do Meksyku. Nigdy tam nie byłam.

Wolę raczej poddać się temu uczuciu, leżeć potulnie, ujarzmiony. Wolę się nie opierać. Wolę czekać spokojnie, aż to uczucie osłabnie i zniknie jak demon, który wyzwolił się we mnie i wraca teraz do podziemnej nory w moich gruczołach, wolę to, niż stanąć do walki lub próbować przecisnąć się przez szczelinę, jak żaba podrygując łapami. Znow jestem ziemnowodnym stworem bez ogona. Mam brodawki, ale nieduże, bo i ja jestem nieduży. Widzę siebie, usiłuję głową naprzód przecisnąć się jak miniaturowy biały pływak albo nurek w czarnym gumowym kombinezonie, a wędrujący ból w skroniach przemienia mi się w pulsujący ból w potylicy. Może gdybym się przecisnął przez szczelinę w obrzydzeniu do żony, szczelina zamknęłaby się za mną i nigdy nie mógłbym wrócić. Dokąd? Może się okazać, że nie ma żadnego „tutaj”, do którego mógłbym wrócić „stamtąd”. Czołgałem się już i przedtem przez wstępną, który znikł bezboleśnie, jak gdyby go nigdy nie było. Wyobrażam sobie pewne rozmowy, których wolałbym nigdy nie prowadzić.

„Śmiało, powiedz mi — przymilam się do córki. — Che, che, ty to potrafisz gadać. Używasz narkotyków i robisz pas-kudne rzeczy z kupą chłopaków i dziewczyn. Ja to rozumiem.”

„Gdybyś naprawdę rozumiał — mówi ona spokojnie, ale z wyrzutem — rozumiałbyś, że nie należy pytać, powiedziałabym ci, gdybym chciała, żebyś wiedział.”

„To sprytne. Jestem z ciebie dumny.”

„Czy muszę być sprytna? Czy i tak byłbyś dumny?”

„Oczywiście.”

„Z czego?”

Może ojciec Virginii dlatego właśnie odebrał sobie życie. (Zepsuła mu cały dzień.) Był zapewne skromnym, skrytym człowiekiem, nie wyższym od Lena Lewisa, posłał swoje oczko w głowie na bardzo dobry uniwersytet na południu kraju, z którego wylano ją za gżenie się z piłkarzami *en masse* i w ordynku.

— *En masse* i w ordynku — oznajmiła mi śpiewnie, radoś nie, z błyszczącymi ciemnymi oczami. — Zmusili mnie — mówiła dumnie, rozpromieniona (wobec tego nigdy nie byłem pewny, czy mówi prawdę. Wiedziała, że przepadam za jej nieprzyzwoitymi historyjkami. Musiałem zadawać jej pytania powodowany dwuznaczną, neodpartą fascynacją. Gwałt zaszarowuje). — Najpierw trzymali mnie siłą na podłodze. Potem to mi się spodobało. Pokazałam im, co mam.

— Bałaś się?

— Nie. Szalałam za tym piłkarzem naprawdę. Ależ był zarozumiały. Zrobiliśmy to raz w kajaku. Robiłeś to kiedy w kajaku?

— Nie byłaś wściekła?

— Oczywiście, że nie. Ale on był. Na mnie. Nie przypusz czał, że mi się to spodoba, ale mu pokazałam. Był najważniej szy w całej budzie i miałam go przez jakiś czas. Byłam tam chyba jedyną Żydówką. Potem nie chciał mnie widzieć.

— Pokaż mnie.

— Zemdlałyś chyba.

— Chyba nie.

— W Duke jeszcze to chyba pamiętają. Powinni mi postawić pomnik. Mieli zwycięski sezon dzięki mnie.

Nie bardzo lubiłem, kiedy tak mówiła (byłbym wolał, aby wykazała choć cień skruchy), a gdybym miał prawo i potrafił, obsztorcowałbym ją i surowo ukarał. Byłbym ją spoliczkował. (To była zazdrość.) Kiedyś spróbowaliśmy z żoną w zwykłej łódce, nie w kajaku, kiedy byliśmy już po ślubie, ale zawstydziła się i kazała mi wiosłować na wyspę.

Teraz wiedziałbym, że Virginia jest trochę stuknięta i może skończyć samobójstwem, popadając z beczelnej euforii w melancholię. (Nie umiałaby bez euforii żyć dalej.) Zrozumiałbym też, że jest melancholiczką i często zgrywa się na wesołość. Wydaje mi się, że Penny może spokojnie odebrać sobie życie

za kilka lat, jeśli nie przydarzy się jej szybko coś wielkiego i trwałego — ja niewiele pomogę. Wiem już, że się z nią nie ożenię, gdyby moja żona umarła lub gdybym się rozwiódł. Nie jesteśmy już sobie bliscy. Spuszczam się i wpuszczam, cha, cha, wydaje mi się, że i żona może odebrać sobie życie, kiedy dzieci dorosną, odejdą z domu, a mnie już też przy niej nie będzie. Może Derek utrzyma ją przy życiu, jeśli do tego czasu nie odeślemy go do zakładu. (Malec i dla mnie w tym względzie może się okazać pomocny. Tylko że będzie już wtedy starszy i nie będzie malcem.) Chciałbym, abyśmy mogli to zrobić szybko. (Nie będę go chciał w domu, kiedy będzie starszy.) Odchodząc nawet się nie obejrzę. Nie będę nawet chciał, aby w domu mieli mój nowy numer telefonu. Chciałbym wyjechać do innego miasta. Zrobiłbym wyjątek dla syna, a może i dla niego nie. On się zmieni. Nie jestem pewien, czy będę jeszcze długo chciał, żeby ze mną rozmawiał. Gdybym kiedy trafił do szpitala, nie chciałbym, aby któreś z nich odwiedzało mnie i pogłębiało moje nieszczęście (powiedziałem im to. To się nie odnosi do syna. Może będę za nim tęsknił i martwił się, że on się zanadto martwi o mnie. Będę tam umierał lub wracał do zdrowia z rurką w nosie, skatowany więzień polityczny, a rodzina będzie oczekiwała, że to ja ulżę jej zmartwieniu. Nie będę chciał widzieć siostry żony. Ale nie będę mógł zabronić jej wstępu. Moja mała sekretarka przysłała mi kartkę z życzeniami poprawy i będę musiał jej podziękować). Powinienem być wiedzieć, że jest obłąkana, sądząc z tego meczu piłki nożnej, jaki rozegrała na uczelni Duke, oraz z jej nagłych ponurych zmian nastroju, kiedy tarłosiliśmy się przez kilka minut jak włochate niedźwiedzie w ubraniu, przyciskali się do ściany na podeście schodów między piętrami albo na dole w magazynie; powinienem być to zgadnąć z szalonego przerażenia, które nagle podrywało ją jak huragan. Spotykaliśmy się w tych miejscach tyle razy. Miałem ochotę wyjąć go i włożyć jej do ręki. Miesiącami roiłem o tym.

„Chciałbym coś zrobić, proszę cię, pozwól mi — mówiłem do niej w duchu zdławionym głosem, jadąc zatłoczoną koleją podziemną do biura i z powrotem. (Nie zawsze byłem całkiem pewien, gdzie jest mój dom, a gdzie biuro. Często w biurze czułem się naprawdę w domu.) — Chciałbym ci go włożyć do ręki.”

(Ciężko mi było na sercu, a nie do żartów.)

Wyobrażałem sobie, że najpierw będzie miękki, -potem narzmięje i zrobi się szybko twardy w jej rękę.

Wszystko się zawsze dobrze układało w tym stadium negocjacji. Spotykaliśmy się na schodach i zabierali do dzieła. Zaczynaliśmy bez słowa, nie mogłem ubić żadnego interesu, wykonać żadnego wyrafinowanego manewru, wsuwałem jedynie teczkę, żeby nie upadła, za jej pośladki lub plecy, a ona wykrzykiwała:

— Ktoś się tu ładuje!

I znowu nie zdążałem. Wrywała mi się z cichym pomrukiem i jękiem, które zdawały się rodzić w jej myślach, nie w gardle, wrywała się, jak gdybym usiłował ją powstrzymać. (Nie powstrzymywałem.) Oszołomiona, zarumieniona, z kołyszącym się biustem, ostrym świszczącym oddechem, który wydostawał się z jej ust i nosa, patrzyła na mnie oburzona, jak gdybym był kimś obcym i chciał ją oszukać, jak gdyby nie wiedziała, że przyszła ze mną. Było to przerażenie albo orgazm. (Pójdę na kompromis.) Myślę, że napełniał ją przerażeniem zaczynający się na schodach lub w magazynie orgazm. Myślę, że wołała być w łóżku czy samochodzie. (Znałem młodą studentkę, która opowiedziała mi, że ocierała się o kant łóżka, nim dorosła i mogła wyjechać z domu. Teraz znam dziewczęta, które się posługują wibratorem i wydaje im się, że są gwałcone.) Nie musiała znów tak bardzo ze mną walczyć. Byłem łagodny jak baranek. Oczy jej rzucały przekleństwa, twarz oskarżała, usta ziały trucizną. Nienawiść jej była gwałtowna, irracjonalna. Była gotowa zgnąć mnie sztyletem. (Dziś nie spojrzalbym na taką twarz. Nie chciałbym jej, gdyby tak reagowała.) Chciała, żebym był bierny (jak kant łóżka lub wibrator). Była jakby nieświadoma, że przez pierwszych kilka chwil dotykam ją pod spódnicą. Potem jakby w nią piorun uderzał, jakby została podstępnie zwabiona, zgwałcona, uwiedziona. Jeszcze teraz wystarczy, abym potarł kciuk o koniuszki palców, a czuję jej śliskie, sfałdowane majtki. (Teraz mnie to bawi.)

— Ktoś się tu ładuje! — mówiła płacząco, przerażonym, błagalnym szeptem, krzywiąc się okrutnie, przejęta chęcią bicia, zabijania, następnie przez kilka sekund wygładzała spódnicę i uciekała. W lusterku małej puderniczki poprawiała usta szminką w rozpaczliwej ucieczce.

Zapominam ciągle, że miała tylko dwadzieścia jeden lat.

Nie zamierzałem jej zrobić krzywdy. Ja miałem za ledwie

siedemnaście lat i pół roku i uwielbiałem ją. Uśmiechała się do mnie znów, dopiero kiedy siedziała już z powrotem w obrotowym fotelu za biurkiem pod dużym, drgającym, czarno-białym zegarem Western Union, już wesoła, opanowana, wyrafinowana i doświadczona seksbomba. (Western Union drastycznie obcięło swoje usługi telegraficzne i robi pieniądze na czym innym.) Byłem chyba zazdrosny o tych ogromnych, chamskich piłkarzy z Duke, nienawidziłem ich za to, że mieli z nią stosunek w obecności kolegów (kochali się *q.v., op. cit., ibidi-bidibid*) i tak źle myśleli o niej potem (kiedy ja myślałem tak dobrze. To było gorsze niż chamstwo. Czy oni zdawali sobie sprawę z tego, że postąpili ze mną podle?).

Miała kuku na muniu. Czasem miała na sobie pas-majtki i osobne majtki, do tej pory nie wiem dlaczego. Była niską, pulchną, ładną dziewczyną w błyszczących pończochach i gładkich obcisłych spódnicach, a ja chyba ciągle jeszcze jestem w niej zakochany (i zadowolony, że nie żyje, bo gdyby żyła, pewnie nie byłbym w niej zakochany i nie miałbym nikogo). Sama szukała kłopotów — to, że jej groził gwałt w magazynie, było jej własną sprawką. (Swobodnie i śmiało szafuję słowem „gwałt”, aby w ten sposób zwalczyć strach przed gwałtem. Gwałt mnie zaciekawia i złowieszczo podnieca, myśląc o gwałcie czuję się jakby chory. Dziewczyny, które znam, też ulegają fascynacji gwałtem i od wczesnej młodości o tym myślą. Sprawozdania prasowe z dokonanych gwałtów hipnotyzują mnie wręcz, pod warunkiem że nie dotyczą dzieci czy katowania. Lubię je czytać i po przeczytaniu długo wpatruję się w litery. Historyjki o orgiach są równie rozkoszne jak dane o pogłowie bydła. Co może być niezwykle, kiedy wszystko wolno? Nigdy nie miałem ochoty gwałcić. Miałem natomiast ochotę głąskać, wyczuwać dłonią kontury ciała i ubrania nieznajomych kobiet. Stwierdzam, że zaczynam zwracać uwagę na coraz młodsze dziewczyny, więc obawiam się, że pewnego dnia może zechcę zrobić to, co obawiam się, że może zechcę zrobić.) To była jej sprawka, zwodziła nas wszystkich trzech. Później mi wyznała, że nie lubiła jednego z tamtych dwóch, był brzydki, głupi, nieokrzęsany.

— Dałabym wam radę wszystkim, mielibyście ubaw. Pokazałabym wam, co to jest naprawdę — urągała arogancko z chytrym uśmiechem. — Gdybyście nie byli tacy przerażeni.

Działo się to w porze lunchu. Tamci się wcale nie bali, a kiedy wyrwała się im, pochwyciła mnie sztywnymi, mocnymi,

nieprzytomnymi rękami, zaczęła obcałowywać (te pocałunki miały ich podniecać. Pamiętam jej łokcie ostre jak nóżki), zgrywała się (dla nich. Wiedziałem, że dalej się nie posunie. To było okropne, paskudne, bezmyślne zgrywanie się — posługiwała się mną jak kantem łóżka lub rekwizytem teatralnym, ale szło jej o nich, co za niegodna jej, wykalkulowana, niemal złośliwa komedia, przyspieszona w tempie na tę okoliczność, jak stary film puszczonej z nadmierną szybkością staje się groteskową, jałową parodią chaotycznych, niezdarnych, niepewnych ruchów. Jej marmurowy, nieludzki język uderzał 0 moje usta, palce dziko szarpiące moją głowę i szyję były kruche i lodowate. Pocierała twarz o moją, może to robiło na nich wrażenie. Chwyciłem ją za pierś, nie wiedząc, co innego mam robić), podskoczyli ku niej z tyłu i z boku, wsunęli dziesiątki rąk i tysiące zautomatyzowanych paznokci pod jej spódnicę, nim się zorientowała, co się dzieje. Szarpali jej gumki, guziki i podwiązki. Podbijali jej kolana z tyłu, starając się ją przygnieść do ziemi. Na chwilę udało im się zbić ją z nóg tak, że przykucnęła. Ale wyrwała się im i stanęła na nogi.

— Podarliście mi pończochę.

Na jej twarzy osiadł wyraz przerażenia. Przekomarzali się z nią dalej bez skrpułów, uśmiechali bezlitośnie, przez cały czas mamrocząc niewyraźne słowa, aby zachować wrażenie, że wszystko to tylko miła zabawa i nie powinno być źle zrozumiane. (Nauczyłem się od nich, jak na przyszłość wykonywać wariacje tej samej komedii.) Widziałem migotanie białego ciała 1

1 cieniutkiej bielizny. Nie zobaczyłem mufki. Byłem zawiedziony, ale patrzyłem (choć nie chciałem patrzeć). Wyobrażałem sobie, że to jest ogromne, gęste, splątane. I teraz tak to sobie wyobrażam. Silny cham, którego nie lubiła, na chwilę cofnął rękę, aby sięgnąć do rozporka — wzdrygnąłem się, próbowałem zamknąć oczy i odwrócić głowę. Nie chciałem widzieć, jak mu wyskoczy naoliwiona rura. Teraz sędzę, że byłaby miękka. Wiedziałem, że jest długa. Odlewałem się z nim w ubikacji. (Nie chciałem, aby ona była narażona na ten widok. Nie przy mnie.) Gdzie była namiętność? Dlaczegośmy to robili? To nie był nawet *casus* autentycznego popędu seksualnego, on chwycił ją z powrotem, kiedy się już prawie wyrwała.

— Nie!

Stopy szurały o podłogę, pięty uderzały o nogi krzeseł i o szafki.

— Tak.

— Chodź.

Wzбираły w niej serie cichych okrzyków strachu i jęków, kiedy z całych sił starała się nie upaść i dalej uśmiechać. Wszyscy prócz mnie, jak się zdaje, silili się na uśmiechy. Obrazy migwały i nie znikwały, powracały nałożone na siebie jak podwójne zdjęcia na kliszy: migotały podwiązki, uda, cieniutka rozciągliwa bielizna, pełzająca męska dłoń z kępkami skręconych czarnych włosów na stawach, szybko unosząca się ku rozporkowi, następnie pokrywająca jej podbrzusze, podnosząca małym palcem jej spódnice.

— Puśćcie mnie! Poważnie. Proszę!

— Aha.

— Musisz.

— Obiecałaś.

— Sama wiesz, że obiecałaś.

— Najpierw dotrzyмай obietnicy.

— Nie. Przestań. Proszę.

— Nie.

— Nie.

— Nie przestanę, dopóki nie dotrzymasz obietnicy. Musisz to zrobić z którymś z nas.

— Musisz z którymś z nas.

— Co muszę?

— Wiesz dobrze co.

— Co chcesz.

— Z jednym.

— Z którym?

— Sama wybierz.

— Tylko z jednym?

— Wybierz mnie. Powiedziałaś, że wszystkim nam dałabyś jadę. No, ślicznotko. Udowodnij to. Dlaczego nie?

<sup>1</sup> — Kłamiesz.

— Zobaczysz.

- — Gdzie ten obiecany ubaw?

— Bądź równą babką.

— Bądź na medal.

— Pamiętaj, że życie jest krótkie.

— To przecież tylko ludzka natura.

■ — Że facet przypiera dziewczynę do ściany.

— Przestań. Złamięz to.

— Nie przyszło ci nigdy do głowy, żeby zarobić?  
— Tylko z jednym — zgodziła się chwiejnie, jej nozdrza i bezkrwiste wargi drżały niedowierzająco, tchórzliwie. — Pa miętaj.  
— Tylko z jednym.  
— Naprawdę. Bo będę krzyczała. Zamelduję na policji.  
— Gówno prawda. Nie musisz meldować na policji.  
— Wybieraj.  
Wybrała mnie.  
— Jego wybieram.  
Oczami błagała mnie o pomoc. Myślałem, że kolana się podę mną ugną.  
— Jego?  
— Pomóż mi — rzekła.  
Ich ręce pchnęły ją ku mnie.  
— Puście ją! — krzyknąłem.  
— Chcę ciebie.  
— Będziemy patrzyli.  
— Wyjdźcie — targowała się. — Nie przy was.  
— Nic z tego. Musimy mieć pewność.  
— To darmowe przedstawienie.  
— Może będziemy musieli mu pokazać, jak się to robi.  
— Zamkniesz nam drzwi przed nosem.  
Obmacywali ją jeszcze chciwymi rękami, biorąc to, co do nich należało.  
— Puście ją! — wrzasnąłem dziko, choć głos mi drżał z tchórzostwa i bezradności. — Poważnie.  
(Zostałem jej bohaterem.)  
Zacisnąłem pięści w młodzieńczej furii (a serce mi waliło młodzieńczą trwogą). Mogli łatwo porachować mi kości, każdy z nich mógł to zrobić (wykręcić mi ramię, wyłamać je ze stawu). Osłabłem od złych przeczuć. Patrzyli na mnie ze zdziwieniem i pogardą. Wyślizgnęła im się z rąk. Ledwie zauważyłem, że ona wychodzi. Kiedy usłyszałem trzask zamkniętych drzwi, rozluźniłem pięści i czekałem. Nie chciałem się bić. Ale nie chciałem też, żeby mnie zbili. Chybabym się nie bronił. (Wolałbym znieść bicie. Byłem w takim stanie jak mój syn na wakacyjnym obozie. Chyba nigdy nie miałem ochoty się bić z kimkolwiek prócz mojej żony, córki, syna i Dereka, poza tym jeszcze z pielęgniarką Dereka.) Ciekaw byłem, czy oni mnie zbiją.



— Ty złamany... — powiedzieli (poczułem ulgę widząc, że mnie nie zbiją. Puszczali mnie cało.) — Mogliśmy ją mieć.

— Dostaniemy ją bez niego.

Na myśl o tym żalność zalała mi duszę. Nie na długo pozwolili mi czuć się jej bohaterem. Kiedy wróciłem na górę, wesoło rozmawiała z nimi o tym, co się przed chwilą wydarzyło, znów bezceremonialnie z nimi flirtowała, szczególnie z tym chamskim, bezczelnym, żyłastym typem, którego przedtem nie lubiła (zalepiła dziurę w jedwabnej pończosze bezbarwnym lakierem do paznokci, unosiła piersi dla niego, jak zawsze robiła dla mnie, przekreślała na bok głowę i kusiła go rubinowym, figlarnym uśmiechem. Był to silny, ciemny Włoch, taki jak Forgione, czułem, że znów odepchnął mnie na bok, jak to zrobił w magazynie. Nienawidziłem jej. Zraniła moje serce. Czułem, że teraz chętniej by dała jemu, niż kiedykolwiek miała ochotę dać mnie, gdyby on był na tyle sprytny, aby spauzować i poczekać — „leżę nieboga, on w moim pierogu” — takie były słowa innej sprośnej piosenki, którą wyśpiewywała do mnie — choć ciągle lubiła mnie bardziej niż jego), gryzła mnie zazdrość. (Co mi z tego, że mnie lubiła, jeśli chciała się dawać tym, których nie lubiła?)

— Byłeś zazdrosny, prawda? — spytała.

Musiąłem wytrzeszczać na nią osłupiałe oczy, z których wycierał cały ból mego złamanego serca. Nigdy nie umiałem dawać sobie rady z zazdrością. (Chciałbym, aby mnie nauczo- no, jak się to robi.) Słabnę, nie mogę znaleźć uczciwych słów. Nie mogę żartować. Oczy zachodzą mi łzami, omal nie płacze. (Marie Jencks zarzucała mi, że wytrzeszczam na nią oczy jak kretyn. Może tak i było, zwłaszcza odkąd wykryłem, co ona wyprawia z Tomem w magazynie. Ja też chciałem znaleźć się w jej ramionach. Przykro mi było, że zostałem pominięty. Ciągle jeszcze wytrzeszczam oczy na ładne dziewczęta i szybko odwracam głowę, kiedy na mnie spojrzą. Teraz biorę pod brodę takie rozkazujące, apodyktyczne kobiety jak Marie Jencks, kiedy mają dwadzieścia osiem lat, i mijam je zgrywając się nieco. Teraz dziewczyny mające dwadzieścia osiem lat nie próbują mi rozkazywać. Tylko pielęgniarki Dereka to robią.) Inni faceci dostają szału z zazdrości, wściekają się na her-kulesową miarę, a ja leję łzy.

Nigdy nie byłem zazdrosny o Virginie i Lena Lewisa. (Czu-łem, że to on powinien być zazdrosny o mnie.)

— Chce odejść od żony — zwierzała mi się. — Dawniej uważała, że jestem za młoda. Ale przekonałam go, że jestem dość stara. Lubię go, jest taki nieśmiały. Lubię starszych panów. Młodszych też. Mam kłopot z tymi pośrodku. Nie lubię teraz piłkarzy. A może lubię. Teraz mogłabym ich nauczyć tego i owego.

— Naucz mnie.

— Wynajmij pokój.

— Nie mam forsy.

— Zapłacę połowę.

— Gdzie chodzicie?

Raz w tygodniu chodzili na kolację do pustych lokali, czasem dwa razy, potem siedzieli przez jakiś czas w jego samochodzie, rozmawiali i pieścili się. On mieszkał daleko na przedmieściu Queens, więc wcześniej musiał ruszać do domu. Nie pił. Uczyła go, jak się robi te rzeczy.

— On to lubi. Przy mnie czuje się znów młody.

— Jak ty to robisz?

— Całuję go bardzo delikatnie i wolniutko, o, tak... po całej twarzy, długo. Potem zaczynam całować mocniej i szybciej. Oddycham ciężko. Jemu się zdaje, że traci panowanie nad sobą. Lubię to robić z nim. Mówi, że nikt nigdy nie całował go jak ja.

— Na pewno tak jest.

— I na pewno nikt nigdy nie całował ciebie, jak ja mogłabym.

— Całuj mnie teraz.

— Jego żona nie ma pojęcia o tych rzeczach. Nigdy nie miał nowoczesnej kochanki. Wsuwam mu ręce pod koszulę, pocieram jego pierś. Ma tam miękkie, kędzierzawe włoski. Jak kociak. Nikt tego z nim nie robił do tej pory. Ma pięćdziesiąt pięć lat. Łaskoczę go językiem. Wkrótce pozwolę mu dotknąć moich piersi.

— Wyjdź na schody.

— On nie wie, że mu pozwolę, jeśli zechce. Opowiadam mu trochę świństw. Lubi to. Tak jak ty. Ty nie lubisz moich sutków? Gdybyś się tak nie spieszył, zobaczyłbyś, jakie stają się sterczące i twarde. Ja też lubię mówić świństwa. Uwielbiam takie słowa jak: sutki, sterczące, twarde. Język też.

Znów stwardniałem.

— Wyjdź na schody.

— Patrzcie państwo, jak się masz, kochanie? — mówiła mrugając. — Cieszę się, że znów cię widzę.

Jedną ręką sięgałem po teczkę z jakimś wypadkiem, drugą wsadzałem do kieszeni spodni. Rumieniłem się z rozkoszy.

Uśmiechała się dumna ze swego wyczynu, otwierała szeroko oczy, jakby ze zdumienia, wydymała usta, tworzyły otwarte różowe kółko z podziwu i zaskoczenia. Teraz wiem, co miało znaczyć to otwarte kółko. (Widziałem takie od tego czasu na przepięknych twarzach modelek z najlepszych magazynów mody.) Wówczas nie wierzyłem, że dziewczyny naprawdę robią te rzeczy (mimo że oglądałem komiksy). Teraz wiem, że robią, i cieszę się z tego. Lubię to bardziej niż lody. (Jestem analitykiem, kiedy nie jestem sadystycznie agresywny. Kiedy w domu dzwoni telefon, czekam, aby kto inny go przyjął.) Nie ma już dobrych lodów. (Wszystko się psuje lub znika. Nie ma już ilustrowanego magazynu „The Woman's Home Companion”, znikły „Saturday Evening Post”, „Look”, i „Life”, wkrótce też „Time” — czas — może się skończyć dla nas wszystkich. Uczelnie bankrutują. Restauracje, które lubię, zamyka się.) Smakują jak guma z kredą. Virginia była jak brzoskwinia, jak truskawki z kremem, miała odrobinę rózu na dojrzałych, błyszczących policzkach. Często poprawiała szminkę na ustach, zaciskając wargi. Miała gładkie błyszczące nogi w dobrze naciągniętych jedwabnych pończochach, nawet jej cokolwiek kłocowate stopy zdawały się soczyste, rozkoszne, jak masło, wbite w błyszczące, wąskie czarne pantofelki na wysokich szpilkach. Kiedy byłem młody, kobiety nosiły czarne, błyszczące wieczorowe pantofelki na wysokich szpilkach, a mężczyźni wyglądali jak bandyci; w pornograficznych filmach, jakie oglądałem w tamtych czasach, byli chudzi, nie ogoleni, nosili czarne opadające skarpetki. (Właśnie dlatego Penny i inne dziewczęta każą mi zdejmować skarpetki. Zona nie widziała nigdy takiego filmu, więc nie każe mi ich zdejmować. Często będąc z żoną nie zdejmuję ich specjalnie. Wydają się sobie chudym bandytą ze starego pornograficznego filmu i bezczeszczę ją. Ona nie ma pojęcia, że gra charakterystyczną rolę w moim pornograficznym filmie. Ale może ja nie wiem o tym, że w swoim własnym filmie tego rodzaju ona gra rolę główną.)

Podobno filmy pornograficzne się poprawiły. Świństwa i broń to dwie dziedziny, w których zrobiliśmy postępy. Wszystko inne wykazuje regres. Świat stacza się w dół. Nie można

już dostać dobrego chleba nawet w dobrych lokalach (dostaje się komercyjne bułki), a i samych dobrych lokali jest coraz mniej. Melony nie dojrzewają i winogrona są kwaśne. Do czekolady dosypują cukier, bo jest tańszy od mleka. Masło smakuje jak zadrukowany papier, w który jest owinięte. Bitą śmietaną sprzedaje się w bombach aerozolowych, ale nie jest ani bita, ani śmietaną. Jedni to podają, inni zjadają. Dwieście pięćdziesiąt milionów wykształconych Amerykanów pójdzie do grobu nie wiedząc, co to była prawdziwa bita śmietana. (Chciałbym jeszcze kiedyś zjeść dobry krem z owocami.) Raj polega właśnie na tym — na niewiedzy. Nawet delikatesowe cukiernie używają już namiastki — ich bita śmietana wygląda na sto razy bardziej bitą śmietaną niż prawdziwa bita śmietana, utrzymuje dłużej kolor i konsystencję, nie psuje się, kosztuje znacznie taniej, daje większe zyski.

— Smakuje jak gówno.

Smakuje jak gówno. Nikogo to nie obchodzi prócz mnie. Od morza do połyskującego morza kraj wypełnia się żuzlem, łożupkiem, zużytymi oponami samochodowymi. Owocująca równina jest pokryta warstwą insektycydów i sztucznymi nawozami. Trudno teraz nawet o czysty koński nawóz. Dodają do niego środki konserwujące. W jeziorach i rzekach już nie ma ryb. Łowi się je w puszkach. Miasta umierają. Nafta się rozlewa. Pieniądz przemawia. Bóg słucha. Bóg jest dobry, prawdziwy z niego gracz drużynowy. „Piękna Ameryka” już nie istnieje, zginęła w dniu, kiedy pierwszy biały człowiek postawił stopę na tym kontynencie i zamieszkał na nim. Bankierzy Fuggerowie nie byli groźni, jak długo siedzieli w Niemczech, potem przysłali do Ameryki swoje matki. Jak grzyby po deszczu wyrastają coraz gorsze motele, sterty porzuconych aut i bary szybkich posiłków. Twarze bogaczy i biedaków starzeją się na jedną modłę od dnia urodzenia: porysowane są nierównymi bruzdami małostkowości i niezadowolenia. Kobiety wyglądają jak ich mężowie. Bóg nie miał komputera. Musiał się posłużyć gliną trudną do obróbki i ludzkim żebrem, cokolwiek bardziej podatnym. Bóg był sprawiedliwy i dość ambitny, ale prymitywny. Musiał się uciec do potopu (nie pomyślał o smogu lub gazie atakującym nerwy), ognia i siarki. Ci, co nie są ani bogaci, ani biedni, czują się nieswojo. Nie wiedzą, gdzie ich miejsce. Słyszę, jak Ameryka śpiewa: odpierdol się.

Wędrowny sokół już prawie wymarł (uśmiercony przez

DDT. Skorupki jaj zniesionych przez samice, oczywiście, są coraz cieńsze i nie wytrzymują inkubacji, bo pękają). Zanikają też parówki na bułce. Wkrótce nie będzie również wielorybów, żona i ja będziemy musieli się obyć bez nich. Dobra dawna amerykańska bułka z parówką jest teraz nadziana wodą, podrobami i kaszą (taką kaszę robią już teraz nie ze zboża i pszenicy, ale z produktów syntetycznych z dodatkami). Mamusina szarlotka jest mrożona. Mamusia już od lat zajmuje się sprawami publicznymi. Tatusia nie ma. Virginia się otruła gazem.

— Otruł się gazem — powiedziała o swoim ojcu, kiedy zdobyłem się na odwagę, aby ją o to spytać. — Cała rodzina była na wsi latem. Był sam w garażu, siedział w swoim samochodzie. Nigdy tego nie zapomnę. Nie chciałam iść na pogrzeb. Słyszałam, jak ktoś powiedział, że stał się cały czerwony. Matka mnie zmusiła, żebym poszła. Nienawidziłam jej za to, jak go traktowała. „Patrzcie, co on mi narobił!” — lamentowała przez cały tydzień do każdego, kto chciał słuchać. Nie chcę o niej mówić.

I ona się otruła gazem w kuchni swojej matki w New Jersey, było to z jej strony bardzo nierozsądne, bo mieliśmy już lepsze sposoby zabijania się. Na przykład torby plastikowe. (Zeszłej nocy żona znów miała zły sen. Nie budziłem jej. Kiedy jej bełkot i drgawki ustały i zaczęła pochrapywać, wówczas ją zbudziłem, skarżąc się, że nie daje mi spać. Przepraszała skruszona, zaspanym, kapryśnym głosem, odwróciła się na drugi bok, a ja spojrzałem na jej pośladki. Uśmiechnąłem się i usnąłem jak suseł.) Kiedy w czasie pierwszego urlopu w kraju zatelefonowałem do tego zakładu, nie było już jej w biurze. Powiedział mi o tym Ben Zack. Nie pracowała tam. (Ja też nie. Zack nie wiedział, kto dzwoni. Trzymałem starego pryka w niepewności.) Nie figurowała już na liście płac. Telefonistka z centrali w ogóle o niej nie słyszała (i przypuszczalnie nie słyszała jeszcze o mnie), połączyła mnie z Zackiem, który jeszcze figurował na liście płac, w Dziale Obrażeń Cieleśnych jako zastępca Lena Lewisa, również jeszcze tam zatrudnionego.

— Virginia Markowitz? — powtórzył Zack zdumiony, zastanawiając się. — Już wiem. Nie słyszał pan?

— Czego?

Nie powiedziałem, kto dzwoni, ale zdawało mi się, że on i tak mnie widzi. Przedstawiłem się jako dawny kolega z uniwersytetu Duke, piłkarz; powiedziałem, że chciałbym się z nią

skomunikować. Ostatnia część zdania była prawdą. Byłem oficerem. Miałem odznakę pilota, chciałem, aby to zobaczyła. Chciałem stanąć przed nią w mundurze, wyprostowany, opalony, krzyknąć:

„Hej, Virginio! Virginio Markowitz, popatrz na mnie. Jestem już dorosły. Mam dwadzieścia dwa lata i jestem sprytnym chłopakiem, często mi staje. Chciałbym ci pokazać.”

Nie było jej jednak. (Nie pracowała już tam, bo nie żyła, proszę państwa.)

— O, nie — wyjaśnił Zack cierpliwie, dobrodusznie, jak gdyby cieszył się, że może z kimś o niej pogadać. — Ona już u nas nie pracuje. Biedaczka nie żyje, wie pan. Odebrała sobie życie półtora roku temu.

— Chorowała?

— Nikt nie wie dlaczego.

— Jak to zrobiła?

— Gazem.

„Czy cała stała się czerwona?” — miałem ochotę spytać w napadzie zgryźliwej goryczy, kiedy zatelefonowałem ponownie do centrali tego zakładu i poprosiłem o połączenie z nią.

„Nie wiem, niestety — słyszałem niemal uprzejmą i poważną odpowiedź. — Nie mogłem pójść na jej pogrzeb. Nielatwo mi się poruszać, widzi pan.”

„W takim razie naprawdę wyleciała z pracy” — miałem ochotę powiedzieć po chamsku.

(Nie jestem pewien, czy tego nie powiedziałem. Czasem chcę coś powiedzieć, a potem nie mam pewności, czy nie powiedziałem. Nawet w wymyślonych rozmowach nie jestem pewien, czy zawsze pamiętam, co sobie wymyślałem.)

„Ona już u nas nie pracuje, jeśli o to panu szło — mógł odpowiedzieć dowcipnie. — Nie wiem, czy dobrze pana rozumiałem.”

Straciła pracę, stała się bezrobotna, została zwolniona z pracy za popełnienie samobójstwa i miałyby zapewne trudności ze znalezieniem odpowiedniej posady gdziekolwiek (w nowej sytuacji i bez dobrych referencji) prócz szafki w suterenie, gdzie byłbym ją przeleciał, gdybym potrafił, kiedy żyła jeszcze w najlepsze (założę się, że wierzyłyby nogami w najlepsze, aż dostałyby kurczy), byłbym ją przeleciał na biurku, gdybym wiedział, jak to się robi. Jeśli na tym biurku było dość miejsca dla

ogromnej Marie Jencks i Toma, starczyłoby też miejsca dla nas malutkich.

Wtedy należało to zrobić (jeśli chciałem). Pieściliśmy się lubieżnie przez cały dzień zaszyfrowanymi zdaniami i urywkami melodii ze sprośnych piosenek, jakie śpiewaliśmy.

— „Numer pierwszy prosiłem. Rzekła, zabawmy się miły. Ba-baba-ba-ba.”

Czerwieniłem się z byle powodu, szczęście zalewało mnie łaskoczącymi falami radości i ciepła. Nigdy nie zaznałem już tyle szczęścia będąc w bliskich stosunkach z kobietami. Ona też uśmiechała się i czerwieniła z byle powodu, cieszyła się i na policzkach robiły jej się dołeczki. Była dla mnie zawsze miła, nawet kiedy miała okres (chciałbym, aby żona była taka), kiedy myślała, że ma na twarzy brzydkie krosty. (Nie miała.)

Popatrz, co ona mi zrobiła!

Zanim skończyła dwadzieścia pięć lat, odebrała sobie życie gazem, jak to zrobił kiedyś jej ojciec (a może i jego ojciec przed nim — nie powiedziała tego — zostawiła mnie samego, nie dała nawet dwutygodniowego wymówienia), zostałem więc sam, opuszczony w budce telefonicznej na stacji kolejowej. Po chwili, kiedy wstrząs minął, poczułem się znów jak podrzutek, okrutnie zostawiony w brudnej budce telefonicznej na stacji Grand Central (przez łzy widziałem ogromne nagłówki i fotografie na pierwszych stronach gazet „Daily News” i „Mirrora”, których już też nie ma. O, płaczcie po wymarłym wędrownym sokole i „Mirrorze”. OFICER PODRZUCONY W BUDCE TELEFONICZNEJ. Żadnych znaków, po których można by stwierdzić jego tożsamość) opalony na brąz nad Morzem Śródziemnym (opalenizna już żółkła), ubrany w zgrabny oficerski mundur (nieskazitelnie czyste, chemicznie wyprane spodnie z różowawej gabardyny i leśnozielona kurtka z wstążkami nad kieszonką lub obiema kieszonkami — zapominam o takich rzeczach. Dobrze spisałem się w wojsku. Byłem dwudziesto-dwuletnim facetem, któremu się powiodło), z cuchnącą czarną słuchawką telefonu, który ogłaszał mi jej śmierć. Wszystko cuchnęło. Zdawało mi się, że czuję smród własnych pach, szyi i stóp.

Potem powietrze się przeczyściło (powiał wietrzyk, odświeżył powietrze), ucieszyłem się — ucieszyłem, niech to diabli — ucieszyłem, że ona nie żyje i nie będę musiał już jej oglądać. (Nie będę musiał jej pieprzyć.) Cieszyłem się, że to ja żyję, a nie ona.

Nie zdawałem sobie sprawy, jak silna była ukryta we mnie presja (sypałem dowcipami, aby to ukryć i ulżyć sobie), dopóki nie zobaczyłem, że mi pot spływa strumieniem po rękę trzymającej słuchawkę. Zostałem uwolniony od zobowiązań. Nie musiałem się witać, mówić czegoś dowcipnego na powitanie (liczyć na to, że ona mnie pamięta i zechce się ze mną spotkać. Mogła być zamężna, mieć jakiegoś stałego faceta, a ja nie uwierzyłbym w żadną z tych możliwości. Myślałbym, że przestał ją interesować siedemnastoletni urzędniczyna, taki jak ja, że chodzi ze starszymi, żonatymi facetami, z gangsterami). Była wyzwaniem, na które nie musiałem już teraz odpowiadać. Nie musiałem umawiać się na randkę, zjawiać wcześniej, popijając whisky, obejrzeć ją od stóp do głów (w momencie kiedy ona oglądałaby mnie), nie musiałem jej sondować, aby sprawdzić, czy pozostała taka jak dawniej, nie musiałem prowadzić jej do jakiejś sypialni, rozbierać się przy niej (oboje do naga), od razu iść z nią do łóżka i raz na zawsze wziąć byka za rogi. Nie wiedziałem przecież, co zastanę, jak będzie wyglądała. (I ciągle oblatywał mnie strach.) Ciągle jeszcze nie chciałem tego od niej. (I nie chciałem się przekonać, jak by to było. Wydaje mi się, że ciągle jeszcze chciałem tylko włożyć go jej do ręki i żeby ona mnie poprowadziła trzymając go, jak się prowadzi domowe zwierzątko.) Wolałbym mleczny napój. Ciągle łaknę jedzenia. Lubię produkty mleczne i nigdy nie lubiłem baseballu. Mogłem rozegrać tę sprawę z imponującą pewnością siebie i znawstwem techniki, ale cieszyłem się, że nie muszę (nie żyła przecież, niech to diabli. I miała już prawie dwadzieścia sześć lat). Wypiłem gęsty czekoladowy koktajl mleczny w wysokiej, zimnej szklance przy kontuarze bufetu na stacji i zatelefonowałem do innej dziewczyny, która szalała za mną, kiedy ostatnio byłem w mieście, ale okazało się, że wyjechała na zachód kraju i wyszła za męża za robotnika z fabryki samolotów, który dużo zarabiał. Zatelefonowałem do jeszcze innej dziewczyny, którą zerznąłem raz półtora roku temu, ale nie pamiętała mojego nazwiska i była bardzo śmieszna z tą swoją policyjną, wyniosłą nieufnością, więc roześmiałem się i nie próbowałem się jej przypomnieć. (Zadzierała nosa.) Nie miałem już do kogo dzwonić. Nie miałem bliskich przyjaciół. Zanim minął tydzień, wróciłem do bazy lotniczej, o parę dni wcześniej, niż musiałem. W wojsku czułem się bardziej u siebie niż w domu. (Teraz czuję się bardziej u siebie w biurze niż we własnym domu,



a przecież w biurze nie czuję się w domu. Mam tam lepsze stosunki z ludźmi.) Nie miałem chyba nigdy przyjemnego urlopu w domu. Nie miałem chyba nigdy przyjemnych wakacji (nie jestem pewien, czy gdziekolwiek było mi przyjemnie), zawsze czekałem na koniec urlopu. Mamy za dużo świąt. Za często urodziny i rocznice. Nic tylko kupuję prezenty i wypisuję czeki. Rok jest za krótki, dzień za długi. Zatelefonowałem ponownie do Bena Zacka przed powrotem do wojska i udałem, że jestem kim innym. (Zrobiłem to dwukrotnie, to było silniejsze ode mnie.)

— „Poprosiłem o numer dwa. Nauczyła mnie, jak w to się gra.”

— To dziwne — rzekł Zack.

Spytałem z głupia frant, czy zastałem Virginie, jak gdybym już raz go o to nie pytał. Przedstawiłem się jako były mistrz boksu z międzyuniwersyteckiej drużyny uczelni Duke.

— To naprawdę bardzo dziwne — dodał.

To był złośliwy kawał telefonować powtórnie do Bena Zacka. Nie odczuwałem jednak tego jako kawału, lecz jako zbrodniczy wyczyn popełniony z premedytacją, podły wyczyn obrzydliwego zbrodźca. Ekscytowało mnie to i poniżało jednocześnie. Miałem takie samo uczucie jak wtedy, kiedy przez jakiś czas telefonowałem do szpitali, aby spytać o stan zdrowia, moje autentyczne słowa: „Dzwonię, aby spytać o stan zdrowia...”, ludzi, o których wiedziałem, że właśnie zmarli. „Niestety, pan... nie jest już zarejestrowany jako pacjent” — mówili.

Byłem się, że mnie w końcu nakryją (czułem się o krok od nieuniknionej wsypy.

„Patrzcie, jest. To ten. Taki on jest naprawdę!” — krzyknęłyby jakaś kobieta, wskazując mnie w tłumie na jakimś placu, reszta przytaknęłaby i wszystko dla mnie byłoby stracone.

Ciągle nie mogę wyjść z podziwu, że nikt mnie nie przejrzał przez telefon, nie dostrzegł mojego lepkiego potu).

Należy telefonować natychmiast. Kiedy jest już po sekcji i zakład pogrzebowy dostanie trupa, nie mówią nic, tylko:

„Nie mamy w ewidencji takiego pacjenta.”

Mógłbym napisać podręcznik. (Chyba wiem, co to takiego chorobliwy przymus wewnętrzny.) Musiałem zebrać siły przed rozmową z Benem Zackiem, mimo że za pierwszym razem nie przedstawiłem się wcale. (Nie chciałem, aby wiedział, kim jestem.) Musiałem zmienić głos. Byłem przekonany, że odkryje

moje oszustwo, obruga mnie wściekle siedząc na tym swoim fotelu na kółkach, spyta, na jakiego obłąkanego idiotę się zgrywam. (Nie oswoiłem się nigdy całkowicie z telefonami i bankami. Przez całe życie bałem się, że ktoś mnie obruga przez telefon, nie wiedząc, kim jestem.)

— Jakie to dziwne — powiedział Ben Zack. — To mi się w głowie nie mieści. Dopiero tydzień temu jeszcze ktoś telefonował do niej. I jeszcze ktoś wczoraj. A teraz pan. Chyba wszyscy chłopcy wracają z wojny.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć, jak mógłbym się z nią porozumieć?

— Obawiam się, że to będzie niemożliwe — oświadczył ponownie tym samym zniżonym głosem, uprzejmie zakłopotany i smutny. — Nie pracuje już u nas, wie pan. Nie żyje, proszę pana. Popelniła samobójstwo jakiś czas temu.

— Jak?

— Otruła się gazem.

— Jej ojciec też się w ten sposób otruł, prawda?

— Naprawdę?

— Czy zrobiła się cała czerwona?

— Nie wiem, niestety. Nie mogłem pójść na jej pogrzeb. Niestety nie przychodzi mi łatwo poruszać się. Muszę jeździć specjalnym samochodem.

— W takim razie ona naprawdę jest bez posady, prawda?

— Nie pracuje już u nas, jeśli pan to miał na myśli — powiedział Ben Zack zakłopotany. — Wszyscy pytają o to, obawiam się, że nie pojmuję.

Wziął mnie za kogo innego. (I chyba miał rację.) Przedstawiłem się jako były mistrz w zapasach Duke University. (Ale za kogo innego niż kto? Bezimienny przychodzę i bezimienny odchodzę. Nie jestem Bob Slocum jedynie dlatego, że rodzice postanowili mnie tak nazwać. Jeśli ktoś taki istnieje, nie wiem, kim on jest. Nie czuję nawet, że moje imię jest moje, nie mówiąc już o moim charakterze pisma. Nie wiem nawet, kim nie jestem. Może zapytam o to Bena Zacka, kiedy następnym razem zatelefonuję do niego.)

Dzwoniłem do niego od tego czasu.

— „Prosiłem o numer trzy. Odrzekła, że ten raz się nie liczy.”

— Kto mówi? Nie rozumiem.

— Nie poznaje pan?

r-4

— Nie.

— W takim razie muszę być kim innym — powiedziałem, szybko odkładając słuchawkę.

On myśli, że jestem kim innym. (A ja myślę, że ma rację. Przynoszę fotel na kółkach, metalowe laski i kule, doręczam je White'owi od Bena Zacka.) Tylko on pozostał. Lewis poszedł na emeryturę przed laty. (On jest moją osobistą teczką z martwymi sprawami. Chorował we wczesnej młodości na paraliż dziecięcy i od tamtych czasów jeździ w fotelu na kółkach. Posiada specjalny samochód i specjalne zezwolenie policji na parkowanie wszędzie. Był inwalidą. Miał zwierzęcy popęć płuicy i chodził do burdeli.) Czasem przedstawiam się jako mistrz w podnoszeniu ciężarów na międzyuczelnianych zawodach w Duke University i mówię, że byłem z nią zaręczony. Czasem podaję się za kogo innego. Łatwo wciągnąć go w rozmowę. (Wydaje mi się, że prócz mnie nikt z nim nie rozmawia. Stał się gadatliwy na starość. W jakiś groteskowy sposób idealnie pasuje do Działu Obrażeń Cieleśnych i zostanie w tym dziale, dopóki jego fotel nie przestanie się toczyć na kółkach albo policja nie odbierze mu specjalnego zezwolenia na parkowanie w każdym miejscu. Będzie musiał wtedy zaparkować gdzie indziej. Bez zezwolenia na parkowanie parkować nie wolno.) Lewis odszedł przed laty, kiedy zachorował na poważną gripę, z której się już nie wykaraskał.

— Nigdy się naprawdę nie wykaraskał.

Wiedziałem, że on nie żyje, zanim Ben Zack powiedział mi o tym. Mogę jeszcze dodać: Lewis miał pięćdziesiąt pięć lat, kiedy ja tam pracowałem trzydzieści lat temu.

— Miesiąc po nim zmarła jego żona. To dziwne, bardzo dziwne, że ludzie pamiętają i dzwonią po tylu latach. Przykro mi, że nie pamiętam pana, ale pan mówi, że pracował u nas tylko przez krótki czas, prawda?

Lewis nigdy nie odszedł od żony. Nie chciał tego wcale. Virginia tego nie chciała. Był za stary. Ona za młoda. Potem nie żyła już. A ja byłem żywy w budce telefonicznej. Zatelefnowałem do Lewisa wkrótce po swoim ślubie, kiedy czułem się bardzo samotny i smutny (bez wyraźnego powodu. Och, ta paskudna *cafard*. Przekroczyłem już trzydziestkę, nim się dowiedziałem, jak nazwać owo przenikliwe, nieproszone cierpienie, ukryte gdzieś we mnie jak nieuchwytny włamywacz, którego nie da się ani złapać, ani wypędzić egzorcyzmami).

— Może by pan wpadł przywitać się — zapraszał spokojnym cichym głosem. — Jest nas jeszcze kilku ze starej gwardii.  
— Chciałbym się zobaczyć z Virginią — rzekłem. — Chciałbym się z nią skomunikować, jeśli to możliwe.  
— Otruła się gazem...  
— To straszne.  
— ...w kuchni swojej matki. Bardzo ją lubiłem. A ona bardzo lubiła pana.

(Miejsce kobiety jest w kuchni. Mężczyzny — w garażu. Jeśli przyłapię żonę na zdradzie i odejdę od niej, nie zrobię tego z zazdrości. Zrobię jej na złość. Gdyby ona odeszła ode mnie, byłbym wstrząśnięty. Stałbym się bardzo nerwowy. Nie odważyłbym się pewnie nigdy spojrzeć ludziom w oczy. Straciłbym wiarę w siebie i posadę.)

Miesiąc temu zadzwoniłem ponownie do Bena Zacka pod wieczór, kiedy nie miałem sił wrócić do żony i dzieci, do mojej posiadłości podmiejskiej w Connecticut, nawet gdyby moje życie od tego zależało. Dobrze wiem, co znaczy chorobliwy przymus wewnętrzny. To grzyb, erozja, choroba. Smak flaneli w ustach. Zapach azbestu w mózgu. To skała. Serce zamiera, cisza, kończyny sztywnieją, w środku coś gnije, trucizna się sączy, pod czołem i na potylicy tępy ucisk. Zaczyna się to jak chwilowy kaprys, lekkomyślna, płocha chętką, która jednakże nie przechodzi, ale trwa, wżera się w człowieka, rozszerza w przestrzeni i krzepnie jak niewyraźny, nieludzki kształt wynurzający się z ciemnej studni, w której czai się w człowieku, wypełnia go, rośnie w nim bez przerwy jak wzbierająca lawa albo potężna chmura, ziejąca niezdrowymi wyziewami, ciemna, niedotykalna, bezlitosna, nieustępliwa, zła obecność czegoś, co się zdradliwie podszywa pod naszą tożsamość, dwulicowy agent — to coś osłabiającego i obrzydliwego. Nie zwiastuje żadnej radości, przejmuje po prostu władzę nad nami, więc równie dobrze możemy zwiesić głowę, spuścić oczy i od razu ulec. Najlepiej od razu się poddać: ukraść te pieniądze, zapalić tę zapalniczkę (onanizować się), zjeść tę całą kwartę lodów, czołgać się, nakręcić ten numer lub jeszcze raz przeszukać tę zakazaną szufladę czy szafę ścienną, aby dotknąć czegoś, o czym nie powinniśmy wiedzieć, gdzie jest. Najlepiej z miejsca zacząć robić to, do czego nas pcha nasz obłęd, zrobić tę niemądrą, niemłą, niemoralną rzecz, której zrobić nie chcemy, przewidyując z góry, że to nas przygnębi i zdemoralizuje. Poddać się

ponuro jak wyczerpany jeniec wojenny i niech smętny czyn zostanie dokonany. W wolnych chwilach miewam ataki niepokoju, nie potrafię ani o sekundę dłużej siedzieć ani stać wyprostowany. Takie chwile mijają. Dawniej kradłem bilon od siostry i matki — nie mogłem się powstrzymać. Nie potrzebowałem nawet tych pieniędzy. Chyba tylko chciałem im coś zabrać. Byłem jak zahipnotyzowany. Ta chęć prześladowała mnie. Miałem ochotę wołać o pomoc. Wystarczyło, aby mi przyszło do głowy, że mogę wziąć tych kilka groszy z satynowej portmonetki w torebce matki czy siostry, a już nie mogłem się od tej myśli opędzić, musiałem to zrobić. Byłem opętany. Wlokłem się do domu całą milę przez zasypane śniegiem, jeśli byłem gdzieś daleko, byle tylko tę forszę ukraść. Musiałem ją mieć bez zwłoki. Brałem też dziesiątki i półdolarówki. Nie sprawiało mi to przyjemności ani przedtem, ani potem. Czułem się ohydnie. I nie sprawiało mi przyjemności kupowanie lub zrobienie czegoś za te pieniądze. Przeważnie przepuszczałem je grając na automatach w kącie sklepu ze słodczami (i po przegranej czułem się trochę lepiej psychicznie). Nie miałem z tej kradzieży żadnej satysfakcji, chciałem tylko mieć ją już z sobą — to była udręka — i wyzwolić się. Po jakimś czasie te napady ustały i więcej tego nie robiłem. (Tak samo było z onanizowaniem się, po piętnastu czy dwudziestu latach również i to przestałem robić.)

Wczoraj znów zadzwoniłem do Bena Zacka.

I znów jej nie zastałem.

— „Poprosiłem o numer czwarty, powiedziała, abym był bardziej zażarty.”

— Doskonale ją pamiętam, oczywiście, oczywiście. Więc pan nie wie, co się z nią stało?

Przedstawiłem się jako Horace White. Jakoś mnie nie pamiętał.

— „Poprosiłem o numer piąty.”

Spytałem, czy zastałem panią Yerger, i bardzo się ucieszyłem, kiedy powiedział, że i jej jakoś nie pamięta.

— Taka wysoka, tęga kobieta, przeniesiono ją do Działu Ewidencji z innego działu, mówiła, że wszystkich nas wyrzuci, jeśli szybko nie weźmiemy się do roboty.

— Może nie pracowała u nas długo, Horace — usprawiedliwiał się Ben Zack. — To już tyle lat. Przed kilkoma tygodniami jeszcze ktoś dzwonił do Virginii Markowitz. Czy to nie

dziwne? Czy to nie dziwne, że ciągle jeszcze ktoś do niej dzwoni po tylu latach? Poprosiłem Toma do telefonu.

— Jakiego Toma?

— Palucha.

— Palucha?

— Johnsona. On też pracował w ewidencji, kiedy Virginia, Lewis i pan tam pracowali. Potem poszedł do wojska.

— Teraz tu nie pracuje. Prawie nikt tu teraz nie pracuje.

Tom Wspaniały, który obdarzył mnie charakterem pisma, jakim posługuję się obecnie, który potrafił nadzieć na szpic Marie Jencks, ile razy tego chciała, i to w taki sposób, w jaki ja bym chciał móc to zrobić, a wiedziałem, że nie mogłem. Nie mogłem tego zrobić nawet z Virginią, a przecież jej się nie bałem. (Bałem się tylko tego.)

Poprosiłem do telefonu mnie samego.

Ja też tam nie pracowałem.

(Do tej pory nigdy czegoś takiego nie zrobiłem.)

Zasmuciłem się słysząc, że tam nie pracuję.

— Ale pamiętam chyba, o kim pan mówi, Horace — po wiedział Ben Zack. — To był ten ładny, uprzejmy chłopak z wielkim poczuciem humoru, tak? Nie wiem, co się z nim stało. Ja też nie. (Nie czuję się nawet jego dalekim krewnym.) Miło byłoby mi usłyszeć, że pracuję jeszcze w Dziale Ewidencji jako ładny, uprzejmy siedemnastolatek z wielkim poczuciem humoru (przynajmniej wiedziałbym, gdzie się znajduje ta częśćka mnie, kiedy kręcę się w poszukiwaniu reszty moich ja), że opowiadam kawały przechodząc z teczkami koło Virginii i nucę: „Weź go do ręki, pani Murphy”, lub płonę i czerwienię się z radości (miałem wszystko, czego chciałem w życiu) pogwizdując:

Johnny, chodź, połaskocz mnie,  
Dobrze wiesz gdzie. Pod moją  
haleczką Znajdziesz krzaczek,  
słoneczko. Jeśli mnie nie  
połaskoczesz, Gdzie łaskotać masz,  
To podniosę haleczkę I nasiusiam  
ci w twarz.

Znaliśmy też i lubili inne sprośne piosenki.

Teraz wiedziałbym, gdzie łaskotać mam, chciałbym mieć okazję to udowodnić. Chciałbym powalić ją na łopatki w tej chwili (i żebym to ja był starszy. Ona żeby miała dwadzieścia jeden. Ja dwadzieścia osiem). Byłaby przy kości. Nie bałbym się jej. (Nie przypuszczam, żebym się bał.) Tyle dziewcząt teraz to sama skóra i kości. (Dostaję siniaków zamiast ekstazy. Może bałbym się i teraz Marie Jencks. Byłem zakochany w jej wymiarach i pretensjonalnej urodzie. Kiedy dowiedziałem się o niej i Tomie, przestraszyłem się. Jej żółte włosy wydawały się zimne i kruche, skóra chropowata, często marzyłem o tym, co rosło w ciemnym punkcie, gdzie stykały się jej uda, jako o obrosłych mchem twardych szponach, czarnych, ze szczypcami jak u surowych homarów, nie miałem jednak pewności, że to należy do niej. Uśmiech kanciastych ust z rozmazaną jaskrawą szminką na twarzy, którą ciągnęły te szczypce, należał do niej, kiedy zbliżały się, aby mnie pochwycić, wchłonąć i pożreć. Biedny Tom. Często bałem się, że spotka go coś złego w tej przepaścistej, szorstkiej gęstwinie, która fascynowała mnie i odpychała. Może właśnie go to spotkało. Zazdrościłem mu.) Virginia przynajmniej była miękka i miła. Ostatnio coraz częściej żałuję, że nie utrzymuję bliższych stosunków z siostrą i jej rodziną, z żoną brata i jej dziećmi, nawet z jej drugim mężem. Wysłała powtórnie za mąż i urodziła przynajmniej jeszcze jedno dziecko. Przysłała mi zawiadomienie. To moi bratankowie i bratanice, może ucieszyliby się nawet, gdybym ich odwiedził na kilka minut. Niektórzy ludzie lubią stryjów. Żałuję, że nie mam dużej rodziny, może byłoby przyjemnie. Chciałbym należeć do klanu rodzinnego. Chciałbym wierzyć w Boga. W dzieciństwie lubiłem orzechy z rodzynkami, rozbijałem orzechy i mieszałem je z rodzynkami w misce, nim zabrałem się do jedzenia. Wiosną i latem matka często posyłała mnie po lody. Jesienią jedliśmy doskonałe ciasto biszkoptowe z kremem. Ja ukręcałem krem. Pamiętam twarze zamiataaczy ulic.

Byłem do tego stopnia zasmucony słysząc, że nie pracuję w Dziale Ewidencji, że wyszedłem z biura wcześniej i poszedłem zalać robaka w mieszkaniu Reda Parkera. Byłem sam i zacząłem wydzwaniać do ludzi.

Najpierw zadzwoniłem do znajomej stewardesy, której nie było w mieście. Jej współlokatorka też była umówiona. Pomyslałem o modelce, którą poznałem w zeszłym tygodniu

na przyjęciu u pewnego fotografa, powiedziała mi wówczas, że rozpaczliwie potrzebuje jakiegoś przejściowego zajęcia, nie pamiętałem jednak jej nazwiska i nie byłem pewien, czy naprawdę jest modelką, wobec tego nie mogłem jej znaleźć w książce telefonicznej ani przez informację, nie mając jej adresu. (Towarzystwa telefoniczne posługują się coraz częściej nagranyymi płytami, równie niekompetentnymi jak ludzie.) Zadzwoiłem do pewnej aktorki, którą znałem od lat, połączyłem się z płytą odpowiadającą na telefony. Zadzwoiłem do pewnej znajomej rozwiedzionej z moim dawnym znajomym, jej syn poinformował mnie, że tego dnia wyjechała nad morze, bo chce sprzedać letni domek. Zadzwoiłem do dziewczyny sprzedającej swoje usługi, zawsze skorej do zjedzenia kolacji i zarobienia pięćdziesięciu dolarów, ale była już umówiona na kolację (lub tak tylko twierdziła) i nazajutrz rano miała wyjechać na tydzień do Barbados ze starszym ode mnie i znacznie bogatszym facetem. (Po tych telefonach powinienem już był pójść do domu i wziąć się do żony, pomyślałem o tym. Z nią poszłoby mi łatwo, chyba że po całodziennym popijaniu nie wytrzeźwiałaby w różowym nastroju. Po winie dostaje bólu głowy. Po whisky wymiotuje. Mam ja swoje kłopoty.

„Niedobrze się czuję — słyszałem niemal, jak beczy. — Nie możesz tego zrozumieć?”)

Więc zamiast iść do domu zadzwoniłem do pewnej wdowy z dwojgiem dzieci, które chodzą do szkół prywatnych; monotonnym, martwym głosem skazańca oświadczyła, że postanowiła od dziś sama sobie dawać radę i nie tracić czasu na randki z takimi facetami jak ja, którzy nie mają zamiaru się z nią ożenić. (Poza tym i tak nie przepada za seksem.) Nic przez seks nie osiąga. Zadzwoiłem do Jane. Nie było jej w domu (odczułem ulgę). Sądząc po głosie, jej współlokatorka była młodsza od mojej córki i głupsza od mojej sekretarki, w głosie jej wyczuwało się rozczarowanie, piszczała, jak gdybym jej przeszkodził w nawijaniu włosów na duże wałki. Nie podałem swego nazwiska. (Wstydzilibym się.)

- Przeszkodziłem pani? Przepraszam.
- Myślałam, że pan jest kim innym.
- Jest pani bardzo zajęta?
- Robiłam coś.
- Nawijała pani włosy na różowe wałki?
- To moja rzecz, niech się pan domyśli. ■



Zadzwoiłem do Penny, wróciła właśnie z lekcji śpiewu i kursu gimnastyki, błagała, abym jej zostawił godzinę na umycie się i posprzątanie. Zjawiłem się po pięćdziesięciu minutach. Była jeszcze wilgotna i pachnąca po kąpieli.

— Proszę cię, kochanie — powiedziała łagodnie. Rozpiąłem jej szlafrok. — Nie spiesz się. Zawsze się boję, kiedy tak szybko zaczynasz.

Penny ma alabastrowe ciało, ciągle jeszcze wprawia mnie w osłupienie swoim pięknym jędrnym ciałem. Wydaję chyba chrapliwe okrzyki i żarłocznie pożeram ją oczami. Jej biała szyja łśni. Dorwałem ją trzy razy (mogłem chyba i cztery. Jak gdybym znów był w wojsku) i przed północą wróciłem do mieszkania Reda z gazetami. (Udało się nadzwyczajnie.)

Nie lubię spędzać całej nocy z kimkolwiek prócz własnej żony, z Penny też nie. (Dlatego nigdy nie zabieram z sobą w podróż dziewcząt i dziwię się mężczyznom, którzy to robią.) Chyba przyzwyczałem się do żony. Lubie budzić się obok niej. Lubie to bardziej, niż budzić się w samotności. Musiałem jeszcze raz skorzystać z mieszkania Reda, bo nie miałem dokąd pójść. Nie chciałem wracać do domu. Może będę musiał postarać się o jakieś *pied-d-terre*. Będę musiał powiedzieć żonie jakieś kłamstwo na ten temat. Okłamałem Penny, która sądziła, że pojedzie ostatnim pociągiem do Connecticut. Miała orgazm za drugim razem (kiedy nie musiałem się spieszyć i mogłem ją opracować naukowo, jak ona to lubi, bo to jest praca), więcej jej nie trzeba. Jej szyja i blada twarz łśniły. Trzeci raz był już tylko dla mnie. Potem zrobiła mi kawy i napomknęła, że mogę zostać na noc. (Czułem się u niej tak bardzo jak w domu, że nie miałem ochoty zostać.)

Może kocham żonę. Zapewne bym oślepl, stracił mowę, zamienił się w kawał wiszącego, idiotycznego cementu albo namokłego kartonu, gdybym kiedy był zmuszony kopolować z Marie. (Taka z niej była rozkazująca dragon-baba.)

— „Poprosiłem o numer szósty.” — Poprosiłem o Marie Jencks.

— Owszem, owszem — natychmiast przypomniał sobie Ben Zack. — Zawsze będę pamiętał Marie Jencks.

— „Sperma płynęła z rozpusty.”

— Mąż jej zmarł na serce w młodym wieku. Wtedy nie robiono jeszcze operacji serca. Niedługo potem wyszła powtórnie za mąż i wyjechała na Florydę, bo była dobra koniunktura na kupno ziemi.

W tamtych czasach nie sprostałbym Marie Jencks. Nie sprostałbym też Virginii. Moja żona ma brązowe sutki, nie gorsze od najpiękniejszych, jakie się widzi na filmach czy na fotografiach, i gniazdko kędzierzawych czarnych włosów, o które mogę wygodnie oprzeć głowę. Czuję się z nią bezpieczny. Bezpieczny z Penny. (Ciekawe, dlaczego Penny zawsze przychodzi mi na myśl ostatnia?) Mam syna idiotę, którego nie chcę i z którym nie wiem, co robić. Jest mój. Mały Derek. (Ale nie wie, jaki jest.) Jest malutki, wzruszający do łez. Jest nie do zniesienia. (Nie można go zniesić.) Cóż za groźby wynikną dla mnie później przez niego. Co za nieprzewidziane okoliczności wynikają dla mnie teraz przez niego. Co oni z nim zrobią? Kto się nim zaopiekuje, jeśli nie ja? Jak on się utrzyma przy życiu? Co się stanie z biednym maleństwem, jeśli szybko nie umrze?

**M.**

Luszę się go pozbyć. Tego nie da się ukryć. (Jest słodki. Ludzie patrząc na niego mówią nam, że jest słodki. I oni mówiąc to są słodcy.)

Muszę się go pozbyć i nie wiem jak. I nie mam kogo spytać. Nie mogę tego nikomu powiedzieć, nawet żonie, która też chce się go pozbyć (lecz nie ma odwagi tego powiedzieć mnie). Przede wszystkim nie żonie. Zwalamy na siebie wzajemnie winę za niego, kiedy nie winimy siebie samych, a i tego jeszcześmy sobie nie powiedzieli.

„To twoja wina, nie moja.”

Musimy udawać, że to niczyja wina, że on jest przypadkowym wybrykiem natury, niewypałem. Wszyscy chcemy się go pozbyć, ale tylko córka jest na tyle uczciwa, że to mówi (i napadamy na nią jak na pariasa za takie gadanie).

— Czy on zawsze będzie z nami? — pyta ze złością.

— Dużo cię to obchodzi — odgryzam się, jak gdyby powie działa to chcąc zadać mi ból. — I tak wyjedziesz na studia.

(Może nie wyjedzie tylko dlatego, aby mnie móc dręczyć. Czasem mi się zdaje, że gdyby nie było Dereka, nigdy byśmy się nie kłócili. Wiem, że to nieprawda.)

Nie wydaje się moim dzieckiem. Może jest dzieckiem żony. Nic nie wiem o idiotach w mojej rodzinie (ani w jej). Żona błaga, abym nie nazywał go tak (może właśnie dlatego tak go nazywam. Słyszac to wzdryga się za każdym razem).

— Jak ja mam go nazywać według ciebie? — pytam z wyniosłym wyrazem niewyczerpanej cierpliwości. — Myślisz, że to mu pomoże, jeśli nazwę go geniuszem?

— Nie masz serca — wzdryga się blada i bliska płaczu. — Jesteś nikczemny. Martwięię ze strachu, kiedy widzę, jaki jesteś obojętny.

To obraza boska, że potrafię nie pamiętać o jego istnieniu przez długie okresy, nawet kiedy jest w pobliżu. (Wymazuję go z pamięci i staram się, aby pozostał wymazany.) Uważam siebie za ojca tylko dwojga dzieci. Jedno z nich powiada:

— Co byś zrobił, gdybym przyszła do domu z czarnym kochankiem? I chciała się za niego wydać?

Drugie pyta:

— Co byś zrobił ze mną, gdybym nie potrafił mówić?

— Ale potrafisz — odpowiadam.

— A gdybym spadł w szkole z liny, kiedy się wspinałem po niej, i uderzył głową o ziemię, i pan Forgione musiałby zanieść mnie do domu, a ja bym już też nie potrafił mówić?

— Ja też się bałem kiedyś wspinać po linie i myślałem, że spadnę — tłumaczę, aby mu dodać ducha. — W szkole bałem się pływać nago w basenie.

— Nic nie powiedziałem o pływaniu nago w basenie — oponuje syn stanowczo (*jak* gdyby ten lęk jeszcze się w nim nie zakorzenił, a ja go właśnie w nim zasiałem). — Powie działem?

Jestem zawstydzony.

— Przypuśćmy, że dorobiłabym kluczyki do samochodu, kiedy otrzymam prawo jazdy — mówi córka — i brałabym samochód, kiedy was nie ma. Nie mógłbyś nic na to poradzić, prawda? Kazałbyś mnie aresztować?

Trzecie dziecko nic do mnie nie mówi.

Czasem rozmawiając z ludźmi mam wrażenie, że to nie ja mówię.

Płynę na fali (bez nóg). Bez nóg krążę z bólami głowy, które nie wydają się moimi bólami (na nogach, które są moimi. Bólą mnie łuki stóp, jakby za chwilę miały się połamać. W jednej pięcie mam ostrogę, środkowe palce nóg zachodzą na siebie, inne są pokrzywione i często muszę do nich przykładać plastry na odciski, delikatna skóra pod palcami stóp ociera się i czerwienieje, jeśli często nie zmieniam skarpet i butów, podeszwy swędzą mnie na zimnie, skóra między przygiętymi palcami pęka i niszczy się, muszę te miejsca posypywać talkiem. Nie ma końca cierpieniom, które mógłbym opisać). Nie zawsze czuję się dostatecznie związany z własnymi nogami lub własną prze-

szłością. Kabel ciągłości nie jest ani gruby, ani mocny, chybocze się i zanika, miejscami przeciera się w cienkie postrzępione pasemka, są w nim luki. Wiele z tego, co o sobie pamiętam, wydaje się nie należeć do mojego życia. Brak ogromnych partii mojej biografii. Są rozwarte przepaści, w które zapadły się może wielkie odłamki mnie. Nie zawsze teraz wiem, gdzie jestem. Siedzę w biurze, a myślę, że jestem w domu. Siedzę w gabinecie w domu, a myślę, że jestem w biurze i daję dymisję Brownowi lub posyłam na emeryturę Phelps'a; wydaje mi się, że mam na sobie bieliznę Penny lub innej dziewczyny i zdejmuję to z siebie; myślę, że jestem w jakimś banku, holu hotelowym czy w komisariacie i przeszukuję kieszenie, żeby *znaleźć* jakiś dokument tożsamości, którego ode mnie żądają. Może już bezwiednie mówię do siebie. Jakie to ponizające. Nikt mi tego nie mówił, ale może nie mówię do siebie przy kimś, kto by mi powiedział. Tylko wtedy, kiedy mi się zdaje, że jestem sam. Może już jestem zniechęconym starcem i ludzie tylko z litości nie mówią mi tego. Ludzie nie są litościwi i na pewno powiedzieliby. (A może już powiedzieli, tylko ze starości zapomniałem. Cha, cha.)

— Co? Mówiłeś coś? — pyta nagle ktoś z domowników, kiedy myślę, że jestem sam w swoim gabinecie czy też innym pokoju w domu pogrążony w myślach.

— Co? Nic — odpowiadam przestraszony i upokorzony. — Byłem zamyślony.

Lub:

— Czytałem gazetę.

(Byłem prawdopodobnie pogrążony w myślach, wynajdując rytmiczne, wielosylabowe riposty na szpile Greena, podczas których nie potknąłbym się o żadną głoskę czy samogłoskę.)

— Znów śmiałeś się wczoraj przez sen — powiada żona.

I nawet nie wiem, czy ona ze mnie kpi. To rodzaj kłamstwa, którym ja bym ją uraczył, gdybym wpadł na nie pierwszy. Nigdy nie pamiętam, z czego się śmiałem, kiedy mi to mówi. Szkoda. Przydałby się śmiech w takie dni, kiedy głowa mnie boli, a ból nie wydaje mi się moim bólem.

Często w wolnych chwilach ogarnia mnie przerażenie. Na ogół nie śpiam dobrze (aczkolwiek żona twierdzi, że owszem), napada mnie chandra, której nie potrafię się pozbyć, bo chandra sama decyduje, kiedy zniknie (mówię do siebie lub wydaje mi się, że mógłbym), czuję się na dnie bez wyraźnego powodu,

opłakuję coś, sam nie wiedząc co (bez nóg), chodzę podrygując, ból głowy i smutek rosną we mnie i podskakują, jak gdybym nie ja je odczuwał. Czy to schizofrenia, czy tylko normalna, naturalna, typowa, zdrowa, logiczna, uniwersalna, schizoidalna kondycja? (Mógłbym się zasłaniać przejściowym obłędem. Nazwaliby to zabójstwem z litości. Świadkowie zeznawaliby pod przysięgą, że dokonałem tego, aby mu ulżyć w jego cierpieniach. On wcale nie cierpi.)

Rozmawiając z Baronem o Kagle'u i z Kagle'em o Baronie jestem doskonale opanowany, a przecież w trakcie tych rozmów głowie się nad tym, dlaczego ja, do diabła, je prowadzę. (Czy to naprawdę ja mówię i słucham?) Odpływam na kilka jardów od takiej sceny, patrzę i podsłuchuję, wydaje mi się, że oglądam nieprzystojne przedstawienie wypchanych marionetek, poznaję kogoś z grubsza podobnego do mnie jako jednego z aktorów przedstawienia i nie wiem, dlaczego biorę w tym udział, choćby jako postronny widz, jak nie wiem, skąd się biorą moje napady ponurej melancholii, napięcie i poczucie opuszczenia, które dręczą mnie niezależnie ode mnie w moich wolnych chwilach.

— Nie mam nic do roboty — skamle.

Za dużo mam tych wolnych chwil. To samo często dzieje się z seksem. Wydostaję się poza nasze ciała i przyglądam się sobie z boku. Ślepnę. Pozwalam sobie zaniknąć, a potem zmartwychwstaję tak powoli, że dopiero po jakimś czasie mogę sobie przypomnieć, kim według siebie jestem, i skutecznie podejmuję z powrotem swoją rolę. (To wszystko jest takie głupie, niemożliwe, żebym to naprawdę był ja.) Dawniej potrafiłem przyglądać się sobie z boku od początku do końca aktu. To też było przyjemne. Czy jestem już obłąkany w tym okresie mego życia, który całkiem szczerze uważałem za siłę wieku? A może jestem osobnikiem, że którego Ben Zack ciągle mnie brał?

Czuję się jakoś dziwnie.

— Dziwnie jakoś wyglądasz — mówi ostrożnie żona, próbując wyciągnąć mnie na zwierzenia.

— Nic podobnego.

— Zabawnie.

— To ty jesteś zabawna.

— Masz zabawny wyraz twarzy, którego nigdy nie potrafię rozgryźć.

— Więc dlaczego się nie śmiejesz?

— Wyglądasz na przygnębionego.  
— Nie jestem.  
— Czy coś się stało?  
— Nie.  
— Chciałabym wiedzieć, co ty myślisz naprawdę — mówi uśmiechając się i marszcząc brwi.

Wcale byś nie chciała.

(Myślę o śmierci i rozwodzie.)

Dziś w porze lunchu jakiś mężczyzna upadł bez życia na ziemię w holu naszego biura, kiedy szedł w moją stronę. Był to tęgi, okazały starszy pan z puszystymi białymi włosami, w szarym ubraniu, w jednej ręce trzymał czarny parasol, w drugiej brązową skórzaną teczkę. Ten przystojny mężczyzna wyglądał majestatycznie, okazałe, nadawałby się na prezydenta General Motors, do momentu kiedy uderzył twarzą o podłogę. Był za stary, więc nie mógł być mną.

Nie czuję się chyba inaczej niż dawniej. To ona się jakoś zmienia, nie może na miejscu usiedzieć, kiedy milczę, bo sądzi, że jestem zły lub niezadowolony. (Czy częściej teraz milczę? Ona się mnie boi.) Jest niespokojna, kiedy ja się za dobrze czuję. (Sądzi, że mam tajemnice. Mam na pewno.) Cieszę się, że mam golfa, do którego mogę teraz uciekać. Chciałbym choć raz posłać za jednym zamachem piłkę do dołka, abym do końca życia mógł się tym przechwalać. Nie chcę chodzić do kina czy teatru, więc żona myśli, że już jej nie kocham. Nie chcę chodzić nawet na przyjęcia. Ciągłe widujemy tych samych ludzi. Chciałbym mieć ciekawego przyjaciela. Żona też się nudzi. Lubi zmiany i ruch, wołałaby na przemian nudzić się coraz to inaczej. Mnie wystarczy jednostajna nuda. (Gdybym zamordował żonę, kto by się zajął dziećmi? Gdybym zamordował dzieci, żona potrafiłaby zająć się sobą. Roztropny ojciec dzieciom powinien z góry planować na wszelki wypadek, aby zabezpieczyć swoich bliskich.) Niemal życzę sobie, aby żona się pospieszyła i zdradziła mnie, żebym w końcu mógł się rozwieść.

(Nie jestem pewien, czy potrafiłbym się z nią rozwieść bez jej pomocy.)

Ona teraz jest w takim okresie swego życia, kiedy prawdopodobnie powinna mnie zdradzić — zrobiłaby to, gdyby miała silniejszy charakter. To by jej zapewne bardzo posłużyło. Pamiętam, kiedy zdradziłem ją po raz pierwszy. (Nie bardzo mi to posłużyło.)

Teraz zdradzam żonę — myślałem.

Niewiele się to różniło od pierwszego **stosunku z żoną\*** po ślubie.

Teraz różną żonę — myślałem.

Dla niej zdrada byłaby znacznie głębszym przeżyciem (jak sądzę), bowiem ja się ożeniłem przeświadczony, że ją zdradzę przy pierwszej okazji (był to cel, zdrada małżeńska była właściwie jednym z powodów mojej żeniaczki), ona zaś nie zamierzała mnie zdradzać (do tej pory zapewne nie przyszło jej to jeszcze do głowy. Ja myślę o tym za nią). Dopiero kilka miesięcy po ślubie przestałem łomotać dziewczynę, z którą dość regularnie sypiałem przed ślubem. A w ciągu dwu lat po ślubie dopadłem czterech czy pięciu dziewcząt przynajmniej po jednym razie, tylko dlatego, że chciałem się przekonać, czy jeszcze potrafię.

Myślę jednak, że naprawdę chciałem zamordować żonę, gdyby mnie zdradziła z kimś, kogo znam w koncernie. Ona ma czerwone pręgi w talii i pod biustem, kiedy się rozbiera, pośladki obwisłe z boku i pod spodem, więc nie chciałem, aby ktoś, z kim się stykam w biurze, dowiedział się o tym. (Chciałbym, aby ludzie widzieli ją z najlepszej strony. Bez tych czerwonych pręg.)

Żona nie jest taka zepsuta i rozpustna jak większość młodych dziewcząt czy kobiet, z którymi mężczyźni zadają się w naszych czasach (nie chciałem, aby jakiś facet z mojego biura o tym się dowiedział. Nie chciałem, aby faceci plotkowali, że moja żona ma na ciele czerwone pręgi i może nie jest szczególnie obrotną dupą), chociaż mnie się to w niej właśnie podoba — nie chciałem, aby się zmieniła — wynagradzam jej cnotę i powściągliwość częstymi wybuchami miłości i szacunku oraz dowodami dobroci. (Pójdę z nią do kościoła.)

Kiedy jest trzeźwa, zachowuje się jak dama (i jestem z niej dumny). Zwłaszcza kiedy przyjmuje gości. Robi to przepięknie. (Raz w zeszłym roku mieliśmy na kolacji Barona z małżonką, a moja stara była wspaniała. Wszyscy się cudownie czuli.) Nie przyjmujemy już tak często jak dawniej z powodu Dereka. (On wytwarza napiętą atmosferę. A my musimy nadrabiać miną, że tak nie jest.) Lubilem go, kiedy myślałem, że jest normalny. Kochałem go i radowałem się, że go mam. Żartowałem z nim. Miałem dla niego przezwiska, jak: Dik, Chłopie, Kopaczka Parowa, Maluch, Dicky Dare. Dopóki nie wykryłem, jaki



jest. Teraz zwracam się do niego oficjalnie per Derek. (Ty bucu.)

(Dlaczego nie zostawisz nas w spokoju?)

Zona najbardziej się cieszy, kiedy jestem odprężony i miły, cieszy się jak dziecko i zawsze jest zdziwiona, kiedy się o nią troszczę. Ogromnie ją łatwo uszczęśliwić, to istna zbrodnia, że nie robimy tego częściej. (Dobry humor jej służy, staje się ładniejsza, twarz jej się rozjaśnia. Nie ukrywa swej radości.) Staram się. Kiedy mogę. (Nie zawsze mi łatwo przychodzi ochota, żeby być miłym dla niej.) Kiedy idę z nią do kościoła, zmuszam dzieci, aby poszły z nami, i na ogół jest bardzo przyjemnie. (Nie zawsze łatwo mi przychodzi ochota, aby być dobrym dla niej i uszczęśliwić ją, kiedy myślę o śmierci, morderstwie, zdradzie i rozwodzie.)

Jestem zdenerwowany, biedny, smutny, przygnębiony (a ona powiada, że jestem dziwny). Szarpia mnie i zzerają konflikty wewnętrzne, które mnie piłują, tną na kawałki, rąbią, zgrzytają we mnie bezlitośnie jak narzędzia z kości, kamienia, szkła lub tępego, zardzewiałego żelastwa niszcząc same siebie; ona też miewa podobne konflikty (ale nie przyznaje się do nich), tylko w kościele się uspokaja, więc może dlatego tak ją ciągnie do kościoła. (Świat się po prostu nie udał. Jest przestarzałym pomysłem.)

Zona jest obecnie kongregacjonalistką, traktuje swoją wiarę pogodnie. Jest nabożną, pogodną kongregacjonalistką, bo kościół jest przestronny, a wierni miłsi od metodystów, baptystów, presbiterianów i episkopalistów, których poznała w Connec-ticut, odkąd przeprowadziliśmy się tam z centrum miasta.

— Episkopaliści wołają w kinie „Ciicho” — powiedziała kiedyś do mnie.

Uśmiełem się.

(Ona często potrafi mnie rozśmieszyć.) Piecze ciasta na kiermasze kościelne. Nie pije nawet w dni kościelnych zebrań i skromniej zachowuje się w łóżku. (Prawie zawsze mogę przepowiedzieć, kiedy w kościele szykuje się jakaś specjalna gala, sądząc z braku inicjatywy w jej poczynaniach seksualnych.)

Należę do partii republikańskiej (niemal stale głosuję po kryjomu na demokratów) i uważam siebie za bliższego Boga od niej.

— „Pan jest moim pasterzem, niczego mi nie brak” \* —

\* Psalm 22, przekład Romana Brandstaettera.

głosi nowy pastor, który jest w naszej parafii od roku mniej więcej i, zdaje się, wiele mu brak do nawiązania znacznie rozleglejszych stosunków z wiernymi i do osiągnięcia większego wpływu na nich. (Robi na mnie wrażenie faceta, który zerka w stronę lepszej posady w rozwijającym się przemyśle okręgu.)

Żaden członek partii republikańskiej nie głosiłby czegoś takiego. Chętnie pozwalamy Bogu być naszym pasterzem, ale niezależnie od tego, co już mamy, chcemy jeszcze więcej. Bo jak nam nie da, pošlemy go na zieloną trawkę lub na emeryturę, lub też przesuniemy na boczny tor.

W niedziele, kiedy czuję się szczególnie dobrotliwy i miłośny, pozwalam żonie, aby nas zawiozła do kościoła (dzieci porozumiewają się oczami podczas nabożeństwa, ale bardzo ostrożnie, aby nie wprawić w zakłopotanie matki), po kościele mam często ochotę skrócić jej kark za to, że mnie zmusiła do pójścia i popsuła mi cały dzień. (Mogłem sobie pospać dłużej, zatelefonować do kogoś i zaprosić się na partyjkę golfa. Bo ile jeszcze lat z niedzielami czeka mnie w życiu? Trzydzieści? Dwa?)

— Ten twój nowy pastor — potrafię powiedzieć energicznie w drodze powrotnej, pauzując na chwilę, aby się upewnić, że dzieci siedzące na tylnym siedzeniu otwartego samochodu wezmą moją stronę — jest jak szyszka w dupie.

Dzieci zachwycone wyciągają szyje.

Żona wydyma usta w krzywym uśmiechu, udaje, że gwizdże. W taki piękny dzień muszę się bardziej wysilić, aby zatruć jej radość z powodu tego, że pokazała się w kościele z mężem i dziećmi. W takich chwilach stajemy się sobie bardzo bliscy. (Nie trwają długo te chwile.) Jeszcze do niedawna łudziła się nadzieją, że bezwstydnie wkroczy do kościoła trzymając za rękę Dereka. Szybko odebrałem jej te złudzenia.

— Co tatuś powiedział? — pyta córka, aby nie dać rozmowie wygasnąć, kiedy spostrzega, że matka nie zamierza odpowiedzieć.

— Nie wydaje mi się — mówi żona tonem łagodnego upomnienia, dając się wciągnąć w tę grę, ale walcząc z nami z pogodną zadumą — że powinieneś mówić w ten sposób przy dzieciach.

— W jaki sposób? — pytam najniewinniej w świecie.

— Skoro nie wiesz.

— Masz na myśli pastora?  
— Nie.  
— W takim razie co?  
— Doskonale wiesz.  
— Pojęcia nie mam.  
— Co? — pyta syn podskakując z radości, bo wie, co będzie, kiedy wszyscy troje natrzemy na nią.  
— Osioł! — triumfalnie wykrzykuje żona, sprytnie omijając jego pułapkę.  
— To nie fair. Tatuś nie powiedział „osioł”.  
— Wiem, kochanie.  
— Powiedział „dupa” — oświadcza córka.  
— Wiem, kochanie. Uważam, że jest zepsuty.  
— Jestem skłonny przyznać ci rację — podejmuję natychmiast. — Poza tym jego angielszczyzna jest okropna. Nie uważam, aby to było zdrowe przyprowadzać dzieci do kościoła, aby musiały wysłuchiwać zepsutego pastora.  
— Nie mówiłam o nim!  
— Używa pretensjonalnego słownictwa, a jego składnia często szwankuje.  
— Mówiłam o tobie. Nie o jego słownictwie, ale o twoim.  
— Bo jest.  
— A twoje?  
— Dobrze — poddaję się z gestem pobłażania. — Zmieńmy temat. Co sądzisz o odbyticy jako całości?  
— To jeszcze gorsze!  
— Nie rozumiem.  
— Nie rozumiesz?  
— Teraz rozumiem.  
— Porządnie zafajdana, co?  
— Postanowiliśmy, zdaje się — mówi żona z przesadną uprzejmością, która czasem doprowadza mnie do szału — nie klócić się przy dzieciach.  
— Amen! — wykrzykuje córka ironicznie i bije brawo.  
— Tego typu uwaga — mówię łagodnie, bo naprawdę nie chcę jej drażnić — może tylko prowadzić do kłótni. Ale poddaję się. Składam broń. Ten twój pastor nie jest jak szyszka w dupie.  
Dzieci wybuchają śmiechem.  
— Pokaż mi choć jednego lekarza — mówi żona, kiedy nasz śmiech cichnie na tyle, że możemy ją dosłyszeć — który

powie, że to zdrowo tak się wyrażać przy własnym synu i córce.

— Wymień choć jednego ze znanych nam lekarzy, który by powiedział, że to nie jest zdrowe.

— Myślałam, że postanowiliście — cynicznie przerywa mi córka — nie drzeć kotów przy nas.

— Nie drzemy kotów — odpowiada automatycznie żona.

— Wiem, dyskutowaliście tylko — odgryza się córka.

— Dobitnie — dodaje syn z przyjaznym szyderstwem.

Uśmiechamy się, tylko żona gryzie wargę w smętnym zamyśleniu. Czuje się bardzo zakłopotana.

— Co ci jest? — pytam delikatnie.

Milczymy chwilę, jest jakby przygnieciona wiedzą zbyt wielką, aby ją wyrazić.

— Ma do nas przyjść — mówi nieśmiało.

— Kto?

— On.

— Kiedy?

Wszyscy prócz niej jesteśmy wyraźnie zaskoczeni. . t

— Dzisiaj.

— Dzisiaj?

— Zaprosiłam go na lunch. ■ .

— Oszalałaś!

— Wysiadam!

— Nie chcę go widzieć.

\*' — A ja — oznajmia żona głośno, ogromnie z siebie zadowolona, obrzucając nas kolejno triumfalnym spojrzeniem — powiedziałam to naumyślnie. Myślisz — mówi dalej rozpromieniona — że naraziłabym godnego szacunku duchownego na obcowanie z taką bandą idiotów jak wy?

— Och, mamciu! — córka zarzuca z tyłu ramiona na szyję matki i ściska ją. — Mamciu, mamciu, mamciu! Uwielbiam ją, kiedy tak żartuje. A ty nie?

— Ja też.

Nie trwa to jednak długo ani w sobotę, ani w niedzielę lub na wakacjach — chyba że każde z nas już ma inne plany — gdyż w domu czeka na nas Derek.

On jest zawsze w domu. I z każdym dniem jest starszy.

— Czy ona nie mogłaby go gdzieś zabrać? — skarży się córka. — Ciągłe sterczy w domu.

I z nim jego kwacząca, ponura, tłusta pielęgniarka z białymi włosami, wymytymi płukanką o nieprzyjemnym zapachu talku, którą kazałem żonie z miejsca odprawić, nawet gdybyśmy sami musieli się nim opiekować przez jakiś czas. (To nam może wyjść na dobre.) Służąca też może odejść. (Nie czuję się u siebie, kiedy ona skrada się po domu.)

— Na miłość boską, weź jakąś Niemkę! — krzyczę na żonę. — Sprowadź Dunkę.

— Skąd je mam wziąć?

— A skąd ja to mam wiedzieć, do cholery? Inni je jakoś dostają.

— Wstyd mi, kiedy moje koleżanki do nas przychodzą.

(Nam też.)

— Nie masz czego się wstydić — mówię łagodnie do córki.

— Wiedziałam, że to powiesz — nachmurzą się. — Wiedziałam, że nie zrozumiesz.

— Wstydiłabyś się mówić takie rzeczy — strofuje ją żona.

— Zostaw ją w spokoju.

— Powinna być rada, że sama nie jest taka.

— Jest rada.

— Zawsze bierzesz jej stronę — oskarża mnie żona. — Doktor powiedział, że nie powinieneś tego robić.

— Ona uważa, że biorę twoją.

— Dlaczego ona musi go ciągle przyprowadzać? — kłóci się córka. — Nie może siedzieć z nim w jego pokoju, kiedy do mnie przychodzą koleżanki?

(My byśmy również nie chcieli go pokazywać, kiedy przychodzą do nas przyjaciele, powiedzieliśmy to pielęgniarce. Ale ona i tak z nim paraduje po domu, głośno do niego przemawia, pokazuje mu naszych gości, chce się nim popisać albo nas ukarać.)

— Nie przejmuj się tym tak bardzo — radzę córce.

— Ty też się przejmujesz.

— Nie jest taki okropny.

— Czujemy się nieswojo przy nim.

(Ja też czuję się przy nim nieswojo.)

— Nie ma powodu. To nie była nasza wina. Mogło się zdarzyć w każdej rodzinie.

Ale zdarzyło się w mojej.

— Mamy jeszcze jedno dziecko — zmuszony byłem nieraz wyjawiać w rozmowie towarzyskiej z ludźmi, których ledwie

znałem. — Ma cokolwiek uszkodzony mózg. Od urodzenia. Jest cofnięty w rozwoju.

— My też mamy cofnięte w rozwoju dziecko, a może cierpi na zaburzenia emocjonalne — mówiły małżeństwa, które wie działy o naszym dziecku (jak gdybym posiadał coś, czym chciał bym się podzielić).

Nie chcę należeć do klubu rodziców cofniętych w rozwoju dzieci, tacy rodzice garnący się do klanu są dla mnie odpychający. (Ciarki mnie przechodzą od ich intymnych aluzji, mam ochotę strzepnąć ich z siebie jak natarczywe muchy. Nienawidzę wszelkiej klanowości. Czuję się zablokowany. Lub odsunięty. Nie lubię czuć się osaczony.)

Widziałem, co się dzieje z Derekiem, zanim ktokolwiek inny to dostrzegł (blokowało to mnie) i nic nikomu nie mówiłem. (Później, kiedy inni spostrzegli, co się święci, i z wahaniem i strachem komentowali jego stan, zaprzeczałem bardzo dobitnie. Nie chciałem, żeby to była prawda. Miałem koszmarnie ostrzeżenia. Widziałem symptomy narastające przede mną w określonych etapach. Ciągłe je widzę. Zdawało mi się, że jeśli nie będziemy o tym mówili, rzecz okaże się nieprawdziwa. Myliłem się.) Późno usiadł, późno wstał, późno zaczął biegać. Nawet w kochających oczach ojca jego kojarzenie było niedostateczne. Uważaliśmy, że jest niezdarny, ale rozkoszny jak nowo narodzony szczeniaczek czy źrebię, kiedy potykał się, chwiał i padał. Jeszcze teraz nie ma skoordynowanych ruchów. Kiedy chce coś powiedzieć, nie otwiera ust dość szeroko — jakoś mowa nie kojarzy mu się z ustami. Kiedy chce coś powiedzieć, robi wrażenie porażonego szczękosciskiem. (Ściągną rozciągają mu się i kurczą, modlą się w duchu, aby przestał.) Potrafi jednak otwierać usta bardzo szeroko, kiedy je, śmieje się albo po prostu hałasuje. Choć nie rozumiem, z czego on się może śmiać, chyba że daję mu jakąś zabawkę i natychmiast cofam rękę, ale wtedy równie dobrze może się rozplakać.

(Nie można już nawet bawić się z nim jak z niemowlęciem. Paskudnie się czuję, kiedy próbuję go bawić, a on zaczyna ryczeć. Uciekam przygnębiony. Jestem wściekły na siebie i na niego. Wydaje mi się, że mógłby przynajmniej być na tyle przyzwoity, aby się śmiać, kiedy próbuję go bawić.)

— Czy taki brat jak Derek — pyta córka tonem ostrym i smutnym jednocześnie — utrudni mi znalezienie męża?

— Oczywiście, że nie — kłamiemy.

— Dlaczego miałby utrudnić?! — krzyczy na nią żona. Jest wstrząśnięta i oburzona tym pytaniem bez osłonek. (W takich wypadkach ja muszę bronić córki przed matką.)

— Zostaw ją w spokoju — mówię łagodnie.

— Czy utrudni? — upiera się córka.

— Myślisz już o małżeństwie? — przekomarzam się z nią.

— Widzisz, jak tata kręci?

— Powinnaś się wstydzić choćby tak myśleć — mówi żona.

— Zostaw ją — powtarzam.

— Czy ludzie pomyślą, że i ja będę miała takie dzieci?

— To potworne! — żona sztorcuje córkę, z trudem łapiąc oddech. — Przecież to twój własny brat.

— Dlatego tak się martwię. Nie mogę nawet spytać?

— Zostaw ją w spokoju, na miłość boską! — krzyczę i miazdę żonę spojrzeniem. — Ja też się tym martwię.

— Powinna się wstydzić.

— I ty się też tym martwisz. Przestań, na miłość boską, zwać na nią winę za niego.

— A ty przestań zwać na mnie. Zawsze bierzesz jej stronę. Doktor mówił, że nie powinieneś tego robić.

— Nie biorę.

— Nie należy się go wstydzić.

— Jeżeli nie należy się go wstydzić, to dlaczego, do jasnej cholery, zawsze się go wstydzimy?

— Nie wstydzimy.

— Owszem, wstydzimy.

— Ciągłe zważasz na mnie winę za niego.

— Nie zważam. Nie, do jasnej cholery!

— Nie wrzeszcz na mnie! — wybucha nagle żona z miną obrażonej godności, która mnie zaskakuje.

— Cholera! — mamroczę i odwracam się od niej ze wstrętem. — Śmiać mi się chce, kiedy cię słucham.

— I nie klij przy mnie — mówi automatycznie. — Mówiłam ci to nieraz. Zwłaszcza przy dzieciach. Tobie chyba sprawia przyjemność upokarzanie mnie. Tak.

Własnym uszom nie wierzę. Znów przychodzi mi do głowy pytanie, dlaczego, do diabła, jestem żonaty z taką wiedźmą. Gdybym nawet nie miał innych powodów do rozwodu, idiota, jakim mnie obdarzyła, byłby powodem wystarczającym.

Chcę rozwodu.

Potrzebuję rozwodu. Umieram z pragnienia rozwodu. Modłę się o rozwód.

Rozwody wydają się czymś niemożliwym. Tyle z nimi kłopotów. Trudno uwierzyć, że tylu ludzi je dostaje. Wystarczy to, aby przeszyć serce zawiścią, zasunąć oczy tęsknotą i żalem. Mniej zaradni ode mnie faceci potrafią załatwić sobie rozwód w mig, nie zmieniając nawet kroku, a ja nie potrafię jednej nogi wystawić za drzwi.

Ja też chcę rozwodu.

Zawsze go chciałem. Marzyłem o rozwodzie. Przez całe życie pragnąłem rozwodu. Jeszcze przed ślubem. Przez wszystkie lata małżeństwa nie było chyba sześciu miesięcy — sześciu tygodni nawet — kiedy nie chciałem zakończyć małżeństwa rozwodem. Nigdy nie byłem całkiem pewny, że chcę się żenić. Ale zawsze wiedziałem, że chcę się rozwieść.

„Jeśli to nie wypali — mówiłem sobie do samego dnia ślubu — zawsze mogę się rozwieść.”

Nie zawsze mogę się rozwieść.

Nie wiem, jak to się robi.

Może przywiązuję zbyt wielką wagę do koszul.

Moje kalesony będą akurat w pralni. Czy żona pozwoli mi przyjść po nie? A może je spali lub schowa? Czy powie, że syn się martwi, kiedy wcale tak nie będzie? Że ona nie może beze mnie żyć, kiedy będzie mogła? Wiem, powie, że chce sobie odebrać życie. Przeszkody wydają się nie do przebycia. Latem moje zimowe ubrania są w naftalinie, zimą moje letnie ubrania wiszą w specjalnej szafie, a letnie obuwie jest schowane. Jak ja bym kiedykolwiek potrafił zebrać te wszystkie rzeczy razem? Potrzebowałbym na to tygodni. Nie mam czasu na rozwód. Miałbym tyle do spakowania (ona by mi nie pomogła), tyle rozmów do przeprowadzenia. (Jak faceci potrafią się z tym wszystkim uporać?) Kłótnie, dyskusje, ponowne kłótnie. (Czy nigdy nie skończyłyby się?) Bilanse bankowe przysłyby pocztą. Czekałbym na list, ulubione ubranie z pralni. Musiałbym zapakować książki w karbowane tekturowe pudła z supersamu, im mniejsze, tym lżejsze, im lżejsze, tym lepsze. Co to dziwnego, że wynajduję powody, aby sprawę odwlec: opieka nad dziećmi (dużo im z tego przyszło, że przez nie trzymamy się razem przez tyle lat), pieniądze, biuro, zdrowie żony, proszona kolacja w przyszłym tygodniu lub pójście do teatru z innym małżeń-



stwem, które musiałbym odwołać. Ani ja, ani żona nie chcielibyśmy zatelefonować do nich, raczej wolimy się nie rozwodzić. O tyle łatwiej jest ciągnąć ustalony porządek, dopóki nastrój mi się nie zmieni i nie wmówię w siebie, że nigdy nie będę chciał od niej odejść.

A ja po prostu nie wiem, jak się do tego zabrać.

Słabeusze to potrafią. Czy ona będzie mi przekazywać listy? Czy też będę zmuszony umawiać się z nią telefonicznie w takiej czy innej sprawie? To musi być wygodne, kiedy czyjaś żona zakochuje się w kim innym i pierwsza żąda rozwodu. Ale mojej tak bardzo brakuje w tych sprawach inicjatywy, że może nigdy na to nie wpadnie. Więc musiałbym wszystko sam zapakować. Mam całe półki książek z czasów uniwersyteckich z odręcznymi uwagami na marginesach. Może nigdy już do nich nie zajrzę. A jednak chciałbym je zabrać. Musiałbym wyszukać sobie mieszkanie, umeblować je, robić sobie sam kolację niemal co wieczór albo jadać na mieście, znaleźć sobie kochanki, które nie działałyby mi na nerwy, a prędzej czy później musiałbym i tak ożenić się z którąś z nich, żebym znów z przyjemnością mógł myśleć o rozwodzie.

Szkoda, że nie mogę wynająć kogoś na godziny, żeby ten ktoś załatwił za mnie te przykre sprawy od początku do końca, nawet żeby czuł za mnie wyrzuty sumienia, moje troski i uważał się za kanalię — bez czego sumienie nigdy nie może znów poczuć się klinicznie czyste.

Pamiętam swoje postanowienie, że odejdę, kiedy Derek skończy pięć lat. Co za ironia! (Wystarczyło raz ją zerznąć, żebym go teraz miał na karku.) To nie jego wina. Nawet gdyby go nie było, nie potrafiłbym odejść od niej, a nawet gdyby był normalny, i tak chciałbym odejść i zawsze będę chciał.

Pragnę odejść.

Śni mi się, że się rozwodzę. Chcę odejść z domu, ale nie potrafię. Choć żona się nie sprzeciwia. (Nie sprzeciwia się, a ja nie odchodzę. Nie chcę, żeby się nie sprzeciwiała.) Nie mogę się zdecydować. Chcę coś powiedzieć, ale nie potrafię. Ludzie zostawiają dla mnie wiadomości, do których nie potrafię dotrzeć. Mam stanąć do testu, do którego nie jestem przygotowany. Przez cały rok szkolny nie umiem *znaleźć* drogi do mojej klasy. Lekcje odbywają się beze mnie. Rok się kończy. Nie potrafię odnaleźć właściwej sali egzaminacyjnej. Ciągłe wchodzę do niewłaściwych budynków. Czas ucieka. Obleję egzamin.

Nie wiedziałbym nawet, jak zacząć, gdybym musiał jej to oznajmić z poważną miną. Nie potrafiłbym poważnie powiedzieć tych pompatycznych bzdur. Chybabym wybuchnął śmiechem. Ktoś taki jak ja musiałby porządnie się podbechtać, żeby zażądać rozwodu, musiałby na kilka godzin wzbudzić w sobie dziką wściekłość, dostać amoku, przestać myśleć o listach, dzieciach, książkach, bieliźnie i ulubionych ubraniach w prążki. Można żyć bez ubrań w prążki, jeśli się musi. Potrzebowałbym tylko porządnie się wściec, żeby wrzucić rzeczy do małej walizki, zabrać książeczkę czekową, paszport, bony kredytowe. A i wtedy nie miałbym żadnej gwarancji, że odejdę.

Nie ja.

Przypuśćmy na chwilę, że któreś z dzieci, może Derek (zwłaszcza on) stanąłby w drzwiach, kiedy będę się pakował. Jak mógłbym kontynuować?

Albo żona, którą znam już od tylu lat, weszłaby po prostu w momencie, kiedy byłbym już prawie spakowany, i powiedziała:

„Nie odchodź, proszę cię.”

Nie sądzę, abym się na to zdobył (tęskniłbym za nią prawdopodobnie). Chce, żebym jej powiedział, że ją kocham. Nie powiem. A nie powiem właśnie dlatego, że ona tego chce. I nie powiem. To moja jedyna nad nią przewaga, której jeszcze nie utraciłem.

Dawniej wyciągała to ze mnie. To takie niemądre i krępujące dla *homo sapiens* być zmuszonym powiedzieć coś takiego — zwłaszcza jeśli to prawda. Jako kłamstwo to może brzmieć całkiem sensownie. Teraz ona nie potrafi już ze mnie tego wyciągnąć, mam słodką chwilę zemsty. Nie pyta już, czy ją kocham. Toczymy nieustającą walkę podjazdową o coś nieważnego, nieokreślonego, co nie chce się rozwiązać i trwa niemal od początku naszej znajomości.

„Kocham cię.”

Co za śmieszne słowa. (Nabierają elastyczności, jeśli się doda coś przed i po nich, kiedy się je okrasza humorem czy ironią, które wypaczają ich sens. Coś jak:

„Kurczę, kochanie, ależ ja cię kocham, kiedy...”

Powyższe oświadczenie należy zakończyć w piętnastu słowach lub mniej.

Nie powiedziałem żonie, że ją kocham, chyba od czasu kiedy Baron po raz pierwszy zaproponował mi stanowisko Kagle'a, byliśmy w łóżku i znaczenie tego zwrotu było natury seksualnej (a jej nie o to idzie. Ona jeszcze nie wie, że obejmę stanowisko Kagle'a). To rani jej poczucie godności, godzi w jej dumę i próżność, że nie mówię do niej:

„Kocham cię.”

Rozkoszuję się tym. Mam nad nią punkt przewagi. Moja rozkosz nie ma nic wspólnego z miłością. Z nienawiścią raczej. Lubimy poduszki. Mamy teraz duże, puszyste i miękkie, a kiedy śpię, ona wyciąga mi moją. Poza tym śpi lepiej ode mnie, co budzi we mnie taką wściekłość, że w ogóle ledwie potrafię usnąć, potem ona się skarży, że przez całą noc oka nie zmrużyła, bo miała zgałę, bolała ją głowa i humanitarnie martwiła się o ludzkość. (Kiedy to ja leżałem bezzsennie. Ona nie siedzi w swoim pokoju, jak syn i córka. Nie podchodzi do telefonu, choć przeważnie telefonują do niej. Kiedy ktoś telefonuje do mnie, daje mi mówić przez trzydzieści sekund, potem podnosi słuchawkę drugiego aparatu i krzyczy: — Halo? — W domu nigdy nie ma zapasowych żarówek.) W tej zażartej wojnie muszę zachować twarz. Ona nie może mi odebrać zwycięstwa. Jestem górą, bo mi nie zależy na tym, żeby kiedykolwiek powiedziała, że mnie kocha (a może zależałoby, gdybym poczuł, że jej nie zależy).

Chce, żebym jej to powiedział dokładnie w ten sposób:

„Kocham cię.”

A ja wolę to powiedzieć na własną modłę.

— Och, mamciu — krzyknęła córka w samochodzie, ścis kając matkę — kocham ją, kiedy jest taka zabawna.

— Ja też — wtrąciłem.

Więc powiedziałem. Ale jej to nie wystarcza. Nie w tym rzecz. (Powiedziałem to serio.)

Mówiłem jej to też tak, jak ona chce, i znów kiedyś powiem, ale nie wtedy, kiedy domaga się tego. Robię uniki. Muszę bronić swej męskości i godności przeciw takiemu nieprzystoj-nemu przymusowi. Bronię się.

Nazwijcie to robieniem na złość. Małostkowym robieniem na złość. Ale też i wysoce zmysłowym, rozkosznym robieniem na złość.

— Czy byłbym tu z tobą, gdybym cię nie kochał? — pytałem.

— To dlaczego nigdy tego nie powiesz?

— Kocham cię. Masz, powiedziałem.  
— Nigdy mi tego nie mówisz.  
— Właśnie ci powiedziałem.  
— Ale musiałam cię spytać... nie śmieć się, nie mów nic, nie żartuj na ten temat — lamentuje żona (akurat kiedy chciałem zażartować na ten temat). — Chyba za wiele oczekuję.  
Żona nie tylko chce, żebym powiedział:  
„Kocham cię.”  
Chce, abym to chciał powiedzieć.  
— Kocham cię.  
— Naprawdę?  
— Przecież powiedziałem.  
— Ale musiałam cię spytać. Zawsze muszę to z ciebie wy ciągać kleszczami.

Może z czystej dobroci serca zgodziłbym się ulec jej i powiedzieć to, gdyby nie świadomość, że oboje bierzemy udział w zawodach, w których nie chcę przegrać. Może przystałbym na jej żądanie, gdyby mi dała więcej poduszek i przestała chrapać lub spokojnie oddychać przez nos i spać rozkosznie, kiedy ja się męczę nie mogąc usnąć.

— Na miłość boską, kup więcej poduszek. Mamy więcej samochodów i telewizorów niż poduszek.

Na naszym ogromnym łóżu mamy tylko cztery poduszki (to czysta kpina. Moglibyśmy latami rzucać się po nim i nigdy się nie dotknąć, gdybyśmy nie chcieli. Nie śpimy spleceni). A ja chcę, żeby kupiła jeszcze cztery, może pięć. Żona ciągle o tym zapomina. Chcę mieć dość poduszek dla siebie, czyli o jedną czy dwie więcej, niż ona ma. (Kupujemy ciągle żarówki, ale wtykamy je w takie miejsca, gdzie później nie umiemy ich znaleźć. W domu często brakuje papieru toaletowego. Moim paniom brakuje podpasek higienicznych. Na świecie brak dobrych służących, fachowych praczek, szewców i krawców. Koła odpadają z tej naszej obracającej się zabawki. Nasza ziemia nie wytrzymała próby czasu. Nie mogę doprowadzić do tego, aby służąca kładła w mojej łazience świeże ręczniki, kiedy zabiera brudne. Nie mogę doprowadzić do tego, aby żona podawała na czas kolację, chyba że mamy gości.) To dla mnie bardzo ważne, jakie miejsce zajmuję w jednym łóżku z nią. Chcę mieć pod głową więcej poduszek od niej, aby zawsze być wyżej od niej. Śpiam wsparty prawie o wezgiłowie, aby tylko ona leżała niżej ode mnie. To dla mnie bardzo ważne, aby

żona wydawała się malutka. Nie jest malutka. Jesteśmy prawie jednego wzrostu, chyba że ona zdejmie pantofle. To było niewygodne w tańcu i ciągle jest, kiedy chcemy się pocałować (uderzamy się czołami i nosami), kiedy idę z nią gdzieś, nie mogę jej objąć, bo ścięgną mnie bołą. Chyba do mnie nie pasuje. Chciałbym, aby jej twarz znajdowała się na wysokości mego ramienia albo niżej, kiedy śpimy, kochamy się, spacerujemy czy spożywamy posiłek, nie chcę, aby jej twarz znajdowała się naprzeciw mojej. (Ale kiedy jesteśmy między ludźmi, cieszę się, że ona jest wyprostowana i ładna. Kiedy się ubierze, jest reprezentacyjna, robi ogromne wrażenie na ludziach, co mi pochlebia, jeśli tylko nie jest pijana czy napastliwa.) Siedząc przy mnie w samochodzie czy kinie, znów zaczyna żuć gumę. Zawsze wraca do gumy, kiedy usiłuję się odzwyczaić od picia. Mógłbym chodzić po ścianie, szaleję z wściekłości w takie noce, kiedy widzę i słyszę, że ona śpi jak niemowlę, a ja leżę całkiem rozbudzony i bezskutecznie walczę ze zmartwieniem, żalem, obrażoną godnością i zbytnim wzburzeniem. (Bywają noce, kiedy po dużym picu lub ciężkiej pracy umysłowej w biurze mam godzinami chaos w głowie i nie potrafię uspokoić skotłowanych, niespokojnych myśli o różnych sprawach naraz, które mnie osaczają. Nigdy nie myślę o rzeczach dobrych. Czasami myślę o czymś dobrym.) Mam ochotę okładać żonę pięściami. Syknąć witrioletem. Właśnie w ciemnościach snu, kiedy nas nikt nie widzi, nawet my sami, wyłaniają się nasze prawdziwe, zasadnicze natury. Jak zwinięte w kłębek, bezokie embriony prowadzimy mordercze wojny o przestrzeń kołdry lub róg poduszki, walczymy kolana mi i biodrami, belkoczemy, jęczymy — są to nasze przekleństwa i okrzyki wojenne. (Jesteśmy niemowlętami, choć kiedy byliśmy niemowlętami, zapewne nie wiedzieliśmy o tym.) Jestem wściekły, że ona nie wie nawet, że oto ja leżę przy niej bezsennie. Jej obojętność sprawia, że czuję się męczennikiem. (W niektóre noce ja dobrze śpię, a ona nie, wyczuwam przez sen, że ciągle wstaje, że jest zdenerwowana, i to wycucie pomaga mi znowu zapaść w błogi sen.) W inne noce mnie dręczy okropna bezsenność, a ona leży o kilka cali ode mnie pogrążona w spokojnej nieświadomości i słodkim otępieniu. Jak śmie tak obojętnie się odnosić do mojego cierpienia, które i tak pewnie jest jej dziełem? Mam wówczas ochotę potrząsnąć nią gwałtownie i zbudzić ją.

„Zbudź się, do diabła! Dlaczego masz spać, kiedy ja nie śpię? To wszystko twoja wina.”

Nie wiedziałyby, o czym mówię, może pomyślałyby, że zbzi-kowałem.

„Kochasz mnie?” — mogłaby spytać.

Teraz przestała o to pytać. Wie już, że między nami toczy się wojna, i duma nie pozwala jej wywiesić białej flagi w hańbiącej kłęsce. (Ciesz się mnie to. Musiałbym iść na ustępstwa. Chciałbym, aby to się skończyło.)

Chyba wiem, kiedy to się skończy, kiedy zdobędę się na odwagę i ruszę z martwego punktu, aby rozstrzygnąć walkę w sposób zadowalający dla nas obojga, będzie to w godzinie jej śmierci.

„Nie umieraj — powiem wtedy — kocham cię.”

Zachowam w ten sposób honor. Ona zazna spokoju. Będę miał sto osiem lat. Ona o kilka lat mniej. Potem będę musiał sam robić zakupy w supermarketach i sklepach spożywczych, aby mieć w domu kawę i sok owocowy. Będę musiał sprzedać dom i przeprowadzić się do mieszkania. (Wówczas będę za nią tęsknił.)

Od lat już nie spytała, czyją kocham. Wiek i poczucie własnej godności zamykały jej chyba usta, ilekroć chciała spytać:

„Kochasz mnie jeszcze?”

Ale pytanie to tkwi w jej umyśle. Widzę je niczym słowną rzeźbę. Ona próbuje wyciągnąć mnie na wyznanie, robi aluzję. Nie idę jej na rękę. Może zresztą boi się, że już jej nie kocham, i na pytanie:

„Kochasz mnie jeszcze?”

Odpowiem:

„Nie.”

Musieliśmy wtedy coś z tym fantem zrobić. (I nie wiedzieliśmy co.)

Cieszę się, że nie pyta, aczkolwiek często wyczuwam że pytanie na końcu jej języka. Czułbym się poniżony, gdybym był zmuszony odpowiedzieć. Nie chcę się z nią o to kłócić. Sam nie wiem, jak bym teraz odpowiedział, gdyby spytała:

„Kochasz mnie?”

Nie odpowiedziałbym spontanicznie, lecz żartobliwie i wykrętnie. Nie chciałbym skłamać, ale i nie chciałbym powiedzieć prawdy (wszystko jedno, co bym czuł). Gdyby to pytanie padło, kiedy zachowujemy się jak para dzikusów w momentach poczynań seksualnych, odpowiedź byłaby łatwa:

„Odwróć się, to ci pokażę.”

Nie byłoby to jednak to, czego ona chce, i oboje wiedzielibyśmy o tym. Więc cieszę się bardzo, że nie pyta, czasem jestem jej za to tak wdzięczny, tak zobowiązany, że chciałbym szeroko otworzyć ramiona i powiedzieć z ulgą:  
„Kocham cię.”

Gdybym kiedy popełnił podobny błąd, nie dostałbym może nigdy rozwodu. (Rozumiem już chyba, dlaczego tak dobrze sobie radzę z kobietami, kiedy mi na nich zależy, a tak źle z własnymi dziećmi. Traktuję kochanki jak dzieci, a chciałbym, aby moje dzieci zachowywały się jak osoby dorosłe.) Baron nie chciałby, żebym się rozwiódł.

— Jak tam? — pyta. Uśmiecha się odrobinę szerzej niż kiedyś, jego wyraz twarzy jest bardziej serdeczny.

— Naprawdę nie mam wyboru — poddaję się z uśmiechem. — Mam?

— Masz.

> — Nie. Bo chcę objąć stanowisko Kagle'a. ,

— To dobrze, Bob. Winszuję.

— Dzięki, Art.

— Powiemy mu na początku przyszłego tygodnia. Znasz go bardzo dobrze. Jak on to przyjmie według ciebie?

— Źle. Ale stanie na głowie, aby to ukryć. Może poprosi, abyście mu pozwolili, żeby to on oznajmił mi tę nowinę.

— Pozwolimy.

— Będzie chciał, aby to była jego zasługa. Może nawet zechce, żebyście mu pozwolili ogłosić to na zjeździe.

— To by znacznie wszystko ułatwiło. Będziesz miał do uporządkowania masę spraw.

— Już mam listę.

— Może będę chciał coś dodać do tej listy.

— Nie przeszkadza mi to, Art — śmieję się lekko (przed powiedzeniem nieszkodliwego dowcipu) i schylam głowę gestem samounicestwienia. — Nie należę do dygnitarzy, którzy niechętnie przyjmują rady przełożonych.

— Che, che, che, wcale tak nie myślałem. Poprowadzisz zjazd.

— Obmyślam to już. Chyba dam sobie radę.

— Dowiedzieliśmy się jeszcze czegoś o Kagle'u. Chadza do dziwek po południu.

— Chadzałem z nim i ja.  
— Ale przestaniesz, prawda?  
— Już przestałem.  
— To dobrze, Bob. Byłem tego pewien. Ale, ale — ścisła mi łokieć i mruga porozumiewawczo — są znacznie lepsze wieczorem.

— Cha-cha.

Moje stosunki z Baronem prawie niepostrzeżenie zmieniły się, upoważniając do bardziej familiarnych rozmów. Sprytnie, dyskretnie i dyplomatycznie nie zdradzam się żadnym słowem, że zauważyłem tę poprawę. Do tej pory szczyliłem się lokaj-skim nosem, wyniuchiwałem, czego Baron i lepsi ode mnie (Green to mój zwierzchnik, ale nie jest lepszy ode mnie, Kagle nie jest ani jednym, ani drugim) spodziewają się po mnie, i kierując się subtelnym aktorskim instynktem pozwalałem im dostrzec, że to otrzymują. (Jak lokaj obawiam się utraty swego wężu, bo nie wyczułbym, kiedy mi grozi wylanie z pracy za okazywanie psiej gorliwości w przypodobywaniu się. Teraz Holloway w moim dziale tak się zachowuje: zatrzymuje ludzi, chodzi za nimi, nadskakuje im natrętnie, wymusza ich uwagę, żąda pochwał lub dobrotliwych upomnień. Znów niedługo dostanie rozstroju nerwowego. Takich zawsze czeka recydywa choroby. Nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle zadają sobie trud, żeby wrócić do biura. Nie można Hollowayowi powierzyć nic poważnego, brak mu mojego subtelnego zmysłu służalczości.) Wiem, że Baron nie życzy sobie, abyśmy go zaprosili do nas powtórnie... A żona tego nie wie.

— Jestem pewna, że ona liczy na zaproszenie — powtarza zakłopotana żona. — Byliśmy już u nich dwukrotnie, a oni u nas tylko raz. Nawet trzykrotnie, jeśli policzymy koktajl, który wydali dla White'a. Nie myślałam, że nas zaproszą na tę uroczystość.

— On na to nie liczy.

— Byłabym bardzo zakłopotana, gdybym ich gdzieś spotkała.

— Nie mam co do tego wątpliwości.

— To dobrze. Chciałabym wkrótce znów zaprosić trochę ludzi na kolację. Cieszę się, że nie muszę.

Baron mieszka niedaleko nas w znacznie lepszym domu i w znacznie zamożniejszej dzielnicy Connecticut, aczkolwiek nasza dzielnica wcale a wcale nie jest zła. On ma więcej ziemi.



(Ja mam akr, on cztery.) Większość moich sąsiadów zarabia więcej ode mnie. Dzielnica, w której mieszkam teraz, jest całkiem na poziomie, a kiedy dostanę podwyżkę i przeprowadzę się, znajdę się znów wśród sąsiadów zarabiających więcej ode mnie. To się nazywa pójście w górę, potężna siła we współczesnym amerykańskim życiu miejskim, drugą taką siłą jest schodzenie w dół. Obie te siły robią ruch w interesie. Idziemy w górę i spadamy jak frisbeesy \*, jeśli w ogóle wystartujemy, lub spadamy jak piłki w baseballu, tylko że w górę idziemy wolniej, niż spadamy. Ja idę w górę. Kagle spada. Leci w dół szybciej. Tylko w Ameryce można jednocześnie iść w górę i spadać. Popatrzcie na mnie. Lecę w górę jak kondor i zupełnie upadam na duchu. Może tak samo jest w Rosji, ale ja tam nie mieszkam. Każda rzeka na świecie bez wyjątku płynie z północy na południe i wpada do morza. Z wyjątkiem rzek, które do morza nie wpadają, a prawa zachowania energii i materii bezwzględnie i bezstronnie nakazują, aby energia i materia (sic!) były tworzone albo nie (sic!) były.

W znacznej mierze odnosi się to i do mnie. Kiedy dentysta boruje mi ząb, odczuwam większy ból niż ból, który odczuję, kiedy żona zachoruje na raka, jeśli to się jej przydarzy.

Niezależnie od butów, jakie noszę, zawsze robią mi się odciski na małym palcu prawej stopy.

Baron zapraszał nas do siebie na kolację ze sześć razy w ciągu minionych dwu i pół lat (nigdy nie daje dość jedzenia. Wracamy do domu głodni). Myśmy ich zaprosili tylko raz. Miło spędzamy u nich czas. On zaprasza na ogół jeszcze jedną osobę z biura, znaną mi lub nie znaną, i trzy miłe małżeństwa z innej branży. Przy jego stole mieści się tylko dwanaście osób. Spędzamy u nich spokojne wieczory, wracamy przed północą. Nigdy u nich nie poruszono sprawy Dereka, ale czujemy, że moglibyśmy o nim mówić, gdyby nas o niego zagadnięto. Nie dyskutuje się u nich o rzeczach przykrych, nie mówi o cudzych nieszczęściach. Przykro nam, że oni tak skąpo karmią, jest to niemiły zgrzyt, bo lubimy jego i jego żonę, chętnie do nich chodzimy, chociaż czujemy się skrępowani. Jego żona to osoba skromna i z nią czujemy się niemal swobodnie.

Zaprosiliśmy ich na kolację mniej więcej przed rokiem (jak

\* Frisbees — gra polegająca na rzucaniu do siebie plastikowych krążków.

ten czas leci). Daliśmy im za dużo jedzenia. W naszym domu ludzie jedzą jakoś więcej, niż chcieliby. Lubimy dawać gościom kilka rodzajów mięsa i deseru. Lubimy też popisywać się apetytem i wystawnymi przyjęciami. Żona przez jakiś czas obawiała się, aby Baronowie nie uważali naszej hojności za krytykę ich skąpstwa.

— Rób kolację po swojemu, kochanie — pocieszałem ją. — Nie tak, jak by kto inny zrobił.

Wieczór był bardzo udany. Intuicyjnie wiedziałem, że nadszedł właściwy czas na zaproszenie Baronów. (Kiedyś zaprosiliśmy Greena. Powiedział, że nie chce przyjść do nas na kolację, przyjąłem to z wielką ulgą. Green jest po chamsku szczery, ale to odświeżające.) Zapraszając Barona mądrze nie liczyłem, że przyjdą. (I tak byśmy wydali tę kolację.)

— Słucham, Bob.

— Halo, Art. Będziemy mieli kilka osób na kolacji w trzecią czy czwartą sobotę od dziś. Byłoby nam bardzo miło, gdybyś ty i Lucille też mogli przyjść.

— Z przyjemnością, Bob. Spytam żonę, czy nie ma czegoś.

— Wspaniale, Art.

Tego samego dnia przed południem jego żona zatelefonowała do mojej, żeby powiedzieć, że są wolni w każdy z tych dwóch weekendów i cieszą się, że pomyśleliśmy o nich.

Siedzieli do późna, pili i jedli więcej, niż mogliśmy przypuszczać. (Ciągłe nie pojmuję, dlaczego tak skąpo karmią u siebie. Oni chyba też są głodni, kiedy goście wychodzą.) Zrobiłem mocne martini, które smakowało wszystkim, więc od początku zapanował miły nastrój. Myślałem o sobie jako o człowieku wytwornym, kiedy mieszałem i rozlewałem napoje. Widziałem siebie w lustrze. Nienagannie wytworny dżentelmen. Uśmiechałem się wytwornie. (Jestem próżny jak paw.) Nie zaprosiłem nikogo z biura prócz Barona. Byli wtedy: adwokat od spraw autorskich, pisarz telewizyjny, docent z dziedziny marketingu, fachowiec od komputerów, właściciel niewielkiej firmy reklamowej i przemiły specjalista od arbitrażu ze znanej firmy maklerskiej, którego zawodu nie rozumieliśmy i który bardzo nas ciekawił (przez jakiś czas). Żony tych panów były ładne i wesołe. Rozmowa toczyła się wartko. Dużo i głośno śmialiśmy się. Żona dawała paniom przepisy kulinarne, kiedy prosiły o to. Baronowie odeszli niemal ostatni.

— Bob, dzięki. Wieczór był wspaniały.

— Dzięki, Art. Cieszę się, że mogliście przyjść.

Oboje z żoną byliśmy zachwyceni i podekscytowani naszym sukcesem, kochaliśmy się tej nocy. Wieczór faktycznie był cudowny, ale czuło się w powietrzu — i mój szósty zmysł mi mówi — że nie należy przez dłuższy czas zapraszać Baronów, mimo że wtedy wszystko grało. Moja żona, praktykująca kon-gregacjonalistka, nie rozumie, pastor poucza ją, że powinna być gościnna. Lecz ja jako partyjny republikanin znam się lepiej na protokole.

— Dlaczego nie? — nalega żona z przejęciem. — Nie jesteś z nim w dobrych stosunkach?

— W jak najlepszych.

— Myślisz, że nie będą chcieli przyjść?

— Nie czas jeszcze.

— Nie wiem, o czym ty mówisz.

— To wisi w powietrzu. Wydaj kolację bez nich, jeśli musisz.

Żona się waha. Obecność Dereka ciąży nam w domu i powoduje ciągle zmiany. (Radosny nastrój zmienia się w znużenie, życzenia pozostają nie zrealizowane. Radosne plany na przyszłość zamieniają się w smętne rozmyślanie o nich. Poza tym żona nie ma nic do roboty.) W dodatku mamy kłopoty z córką, kiedy przypadkiem nie ma randki wieczorem i zostaje w domu, aby popatrzeć na naszych gości. Wówczas albo się do nich przyłącza i zachowuje się wobec nich swobodniej, niż byśmy sobie życzyli, albo chodzi po mieszkaniu z grubiańsko ponurą miną, co każdy dostrzega, i ledwo raczy odpowiedzieć nieznacznym skinieniem głowy na przywitanie znajomych (po jakiejś godzinie znów przesuwa się przez pokój z identyczną miną, i tak co godzina, aż żona mruczy: — Zamorduję ją, jeśli się jeszcze raz pokaże — i idzie zwymyślać córkę). Może wkrótce będę musiał jej zabronić pokazywać się, kiedy mamy gości, jakby była Derekiem. (I ja nie lubię, aby mi się dzieci pętały pod nogami, kiedy jestem u kogoś z wizytą.) Derek stwarza niepokojące problemy w naszych stosunkach z dwojgiem pozostałych dzieci, bo on wymaga nadmiernej opieki i poważnych wydatków. (Będę musiał wkrótce zacząć dla niego odkładać pieniądze na przyszłość.)

— Jak tam dzieci? — czują się w obowiązku pytać znajomi, kiedy nas odwiedzają lub my ich.

Nauczyłem się bać tego pytania.

— Znakomicie, wszystkie znakomicie — czują się w obo-

wiązku odpowiedzieć zbyt skwapliwie (aby jak najprędzej zmienić temat). — A państwa dzieci?

Obecność Dereka ciąży nam i poza domem, bo ciągle boimy się z żoną, że pewnego dnia napatoczymy się u kogoś ze znajomych na tych wszystkich lekarzy i psychologów, do których z nim chodziliśmy i którzy wiedzą wszystko o nim i o nas. Do tej pory to się nie zdarzyło. Wolimy chodzić na duże hałaśliwe przyjęcia, gdzie trudno rozmawiać, natomiast na mniejszych i bardziej oficjalnych mamy się na baczności, bo dyskusja może w każdej chwili potoczyć się w nieoczekiwanym kierunku i przygwoździć nas. W takich przypadkach musimy natychmiast reagować: zmienić temat albo szybko zacząć wykrętnie mówić o sprawie przykrej dla nas. (Musimy się szybko przyznać. To może być korzystne dla innych rodzin. Ale nie dla nas. Nagle krępuje to wszystkich.) Nawet na dużych przyjęciach może się znaleźć ktoś, kto czuje się bliższy mnie niż ja jemu czy jej, odciągnie mnie na bok i spyta poufnym szeptem:

— Ten twój najmłodszy. Jak on się miewa?

— Doskonale, doskonale. Znacznie lepiej, niż można się było spodziewać.

Żona i ja mamy już dość — po dziurki w nosie — psychologów, psychiatrów, neurologów, neurochirurgów, terapeutów mowy, społeczników od psychoterapii i tych wszystkich, do których chodziliśmy i których może jeszcze nie wymieniłem, mamy dość ich bezradności, ich wyniosłych, protekcyjnych banałów, że to nie nasza wina, że nie powinniśmy mieć wyrzutów sumienia i że nie mamy czego się wstydzić. Jestem przekonany, że wszyscy młodzi lekarze starają się być posepni i że wszystkim starszym to się doskonale udało.

Buce! — miałem ochotę wrzeszczeć na nich jak oszalały. — Buce! Buce! Buce! Buce! — chciałem na nich wszystkich wrzeszczeć jak piszcząca sowa (choć nie wiem dokładnie, co to za ptak; nie wyłączając tych dwóch, do których sam w sekrecie poszedłem na badania). Dlaczego te zakute łby nie potrafią zrozumieć, że my chcemy się czuć winni, że musimy się czuć winni, jeśli mamy wypełnić swój obowiązek?

Odpowiadają spokojnie i niewzruszenie, że mój krzyk na nich jest środkiem do zrzucania z siebie winy, a to, że potwarzam się w słowie czy czynach, nazwali perseweracją.

I mają słuszość.

Mógłbym opowiedzieć niejedno. Ktoś, kto się z tym nie

zetknął, nie uwierzyłby, ile sprzecznych diagnoz stawiali różni lekarze, jak obgadywali się wzajemnie za swoimi plecami, a myśmy im wszystkim świącie wierzyli. Zarówno dobrym, jak i złym diagnostom. A jednocześnie i nie wierzyli (nie mieliśmy wyboru), nie mieliśmy innego wyjścia, jak szukać innych lekarzy, podobni byliśmy do wędrujących błagalników.

— To organiczne.

— To funkcjonalne.

— To w znacznej mierze organiczne z funkcjonalnymi komplikacjami.

— Nie jest głuchy, ale może nie będzie słyszał.

— Jest przynajmniej żywy.

— Widoki są dobre.

— Na co?

— Widoki są złe.

— W tym okresie nie da się nic przewidzieć.

Żaden nie był na tyle uczciwy, odważny, realistyczny czy silny, aby powiedzieć:

„Boże drogi, nie wiem naprawdę.”

Zaczął się od:

— Państwo się zanadto przejmujecie.

A doszło do:

— Nigdy nie będzie mówił.

— Nie przekroczy prawdopodobnie umysłowego rozwoju pięcioletniego dziecka, i to w najlepszym wypadku. Nigdy nie będzie dobrze kojarzył czy panował nad mięśniami. Będziecie państwo musieli być z nim bardzo cierpliwi.

Nienawidzimy ich wszystkich — tych, co się mylili, i tych, co mieli rację. Po jakimś czasie nie miało to już znaczenia. Przyczyna już nas nie obchodziła. Orzeczenie było niewzruszone. Wobec tego przyczyna była ważna. To organiczne (ceramiczne, wszystkie tranzystory są na miejscu). On po prostu nie funkcjonuje jak inni ludzie. (Odbiornik radiowy nie pracuje na tych samych zasadach co telewizor.) To nie jest sprawa złego funkcjonowania. On funkcjonuje zgodnie ze swoją konstrukcją (z ich punktu widzenia funkcjonuje doskonale). To konstrukcja skończona. Nie da się zmienić obwodu. Nic nie jest złamane, nie potrafią znaleźć nic, co dałoby się naprawić.

— Dlaczego nie mogą go zoperować? — pyta żona.

— Nie wiedzieliby, gdzie krajać i zszywać.

On jest pozorny. >>

— Co za szkoda, że go mamy! — lamentuje żona. — Byłoby przecież lepiej dla niego, gdyby się nie urodził.

— Zamordujemy malucha — żartowałem, kiedy myślałem, że ma tylko niesforny charakter (dawniej nosiłem w portfelu kolorowe fotografie wszystkich moich dzieci. Teraz nie noszę żadnej), zanim zaświtało mi w głowie, że z nim jest coś przerażająco nie w porządku.

Już tak nie mówię.

(Biedny, cofnięty w rozwoju brzdącu. Nie masz nikogo po swojej stronie.)

On jest tworem mojej wyobraźni. Przysięgam, że przywołałem go do życia wyobraźnią.

Tak, czujemy się winni. I winimy siebie. Żałujemy, że go mamy. Żałujemy, że ludzie wiedzą o nim. Jesteśmy ogromnie zawstydzeni. Ale mamy go przecież.

Moja głowa jest kotłem.

Mój umysł to niezależna metropolia rojąca się od blasków, cieni i postaci; zwinne krasnoludki odgrywają tam w dzień i w nocy krótkie scenki. Za dnia mam umysł jaśniejszy. Nie myślę wtedy o tym, że Derekowi może coś grozić, tak myślę tylko o synu i o sobie.

W mojej łepetynie rozgrywają się melodramaty, koncerty reklamowe, bajki o zabłąkanych dzieciach, które w męce usiłują dogonić samych siebie lub kogo innego z wczorajszego dnia. Wytrzeszczają oczy. Są zbyt smutne, aby móc się poruszyć. Zbyt nieruchome, aby móc się rozplakać. W tych dramatach są niejasne fabuły o mnie samym, wymagają tłumaczeń i wyjaśnień. Jest w nich ból — tyle płynnego bólu. Nigdy się nie zmniejsza. Narasta. Nie ulatnia się jak ciepło czy energia. Pozostaje nienaruszony. I stale jest go więcej niż przed chwilą. Tyle go jest, i to blisko powierzchni, że może rozpalić chandrę lub nasycić sobą wspomnienie. Malutkie, nieznaczące sprawy — jakiś odgłos, zapach, smak, pogniecione opakowanie czekoladki — potrafią w sposób niewytłumaczalny rozpętać w głębi mojej istoty bębniące drgania. To dzieje się we mnie. Mam tego więcej, niż potrzebuję, mógłbym obdzielić tym wszystkich znajomych. Mam tego dość na całe życie i kiedy skończę pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, siedemdziesiąt, osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt lat usłyszę wypowiedziane słowa: urodziny, brat, ojciec, matka, siostra, syn, chłopczyk, pieseczek, parówki albo lizak, oczy moje napełnią się łzami, zatrzęsę się w środku

wspomnieniem dawnych nie rozstrzygniętych tragedii, w których występowałem, kiedy odgrywały się w ciemności, za kurtynami, które opadły. Tak będzie. Już tak jest ze mną. Parówka. Ogarnia mnie głęboka nostalgia. Karuzela. Płakać mi się chce. Wata cukrowa. Serce mi pęka. Czuję, że nie wytrzymam tego dłużej.

Chcę zachować swoje sny.

Wrotki na łożyskach kulkowych. Topnieję.

Chcę zachować swoje sny, nawet złe, bo bez nich mogę w ogóle nic nie mieć przez całą noc.

Analitycy orzekli, że tęsknię za ojcem. Jakbym sam tego nie wiedział. (Teraz tęsknię też za synem. On się ode mnie odsuwa. Odrabia lekcje w swoim pokoju bez mojej pomocy i nie opowiada mi już, co się z nim dzieje w szkole. Nie wiem, czy jest bardziej, czy mniej nieszczęśliwy.) Nie powiedzieli mi nic nowego. Nie potrafili mi pomóc. Orzekli, że jestem absolutnie normalny — a była to najbardziej ubolewania godna rzecz, jaką w życiu usłyszałem! Z czasem, po starannym leczeniu, ten stan może się zmienić. Zazdrościli mi potencji seksualnej. (I ja sobie tego zazdrozczę.) Szkoda tylko, że to mi już nie sprawia przyjemności. W tym punkcie byliśmy zgodni.

(Koncerm stanowczo sprzeciwia się psychoterapii dla wyższych urzędników, gdyż to by znaczyło, że są nieszczęśliwi, co byłoby hańbiącą chorobą społeczną, której ani usprawiedliwić, ani wybaczyć nie można. Rak, złośliwa anemia, cukrzyca są absolutnie dopuszczalne, nawet ci, co cierpią na stwardnienie rozsiane czy chorobę Parkinsona mogą z powodzeniem dalej robić karierę w koncernie do momentu, kiedy im już nie pozwalają nic robić. Lecz dla ludzi nieszczęśliwych nie ma ratunku. Gdyby moja córka lub syn popełnili samobójstwo, przeoczono by to, bo dzieci robią takie rzeczy i takie już są. Ale gdyby moja żona wyskoczyła z okna, a nie stwierdzono by u niej przedtem zaburzeń psychicznych, gdyby to zrobiła tylko dlatego, że była nieszczęśliwa, nie miałbym już żadnych szans na awans. Byłbym skończony.)

Psychoanalicy orzekli, że jestem zgorzkniały (to normalne. Mój ból przewyższa moją gorycz. Mój umysł magazynuje ból, jest ogromnym, niewidocznym zbiornikiem cierpienia tak głębokiego jak mój wiek, czeka tylko, aż wspomnienie odkręci kurek i cierpienie popłynie strumieniem. Mogę się wyzbyć goryczy. Ale bólu mogę jedynie zaznać).

Czasem wzbiera we mnie taka gorzka wrogość do ludzi, których lubię i którzy przeżyli poważne tragedie osobiste czy zawodowe, że gdyby coś (czy ktoś) we mnie wypowiedziało głośno haniebne słowa, które przychodzą mi do głowy, wsadzono by mnie do domu wariatów i zwymyślano, nie dając mi żadnej możliwości uzyskania przebaczenia czy wyrażenia skruchy. (Tragedie ludzi, którzy nie są mi bliscy, mało mnie obchodzą, a czasem nawet wcale.)

„Dobrze ci tak! Masz, na co zasłużyłeś!” — chciałbym kpić. (Chciałbym plunąć.)

Obawiam się, że kiedyś to zrobię. (Siedziałem nieraz przy stole z facetami, których znałem od dawna, i miałem ochotę dotknąć ich ręki.)

To nie ja chcę kopnąć Kagle'a w nogę. W mojej głowie wylęgają się coraz to nowe osobniki, wbrew mojej woli, instalują się w niej na dobre, jak tylko ich sobie uświadomię. Często nie zgadzam się z nimi. Oni mają czas. Mogą spokojnie pracować nad tym, co mają do zrobienia, potem niewzruszeni oddalają się w ciemność, której ja nie potrafię przeniknąć. Kręcą się tam i z powrotem przez labirynt, którego tuneli nigdy nie oglądałem. Mam niewielki cmentarzyk w głowie, z ukośnymi, równiutkimi rzędami identycznych nagrobków, wizja będąca być może odbiciem jakiejś fotografii lub prawdziwego cmentarza, który widziałem dawno temu. Może są na nim pochowani ludzie. Co jakiś czas przerażone, trójwymiarowe myśli, fantazje albo też dawne wspomnienia, które odżyły, przelatują mi przez głowę jak stado wróbli i znikają w nie oświetlonych podziemnych dołach. Mogę je przywołać z powrotem, jeśli chcę i pamiętam, aby zadać sobie ten trud, ale tylko jedną myśl na raz. Ten ktoś, kto chce mnie zmusić do tego, abym kopnął Kagle'a w nogę, to światowy, opanowany mężczyzna w czarnych jedwabnych skarpetkach i szarym garniturze w rzucik. Jest w moim wieku, ma schludnie przystrzyżone białe włosy. Jest oczywiście malutki, inaczej nie zmieściłby się we mnie. (Nawet wszystkie te zbrodnicze olbrzymie potwory, które mnie przez całe życie straszyły w koszmarnych snach, były małe, to tylko ja jestem o wiele mniejszy.) Ten porusza się po kamiennych zaułkach mojego mózgu znacznie swobodniej ode mnie, pojawia się w rozlicznych dekoracjach, często czyta gazetę z nogą założoną na kolano drugiej, nie spiesząc się. Myśli, że ma więcej czasu ode mnie. (Jest w błę-



dzie.) Sadzę, że mam saunę w mózgu, gdyż wielu bogatszych, lepiej ode mnie wychowanych mieszkańców moich myśli należy do gatunku ludzi, którzy lubią porządek i bez pośpiechu wyparzyć się po grze w saunę. Podejrzewam, że gdzieś tam w moim mózgu kryje się homoseksualna melina. Pełno tam małych sklepików, w których brudni, nie ogoleni faceci handlują paskudnym towarem z przemytu, doskonale z tym procederem obeznani. Brudni, nie ogoleni faceci pokazują zarówno mnie, jak i dzieciom obojga płci nieprzyzwoite części swego ciała, co uchodzi im bezkarnie. Wszystkie zbrodnie uchodzą bezkarnie.

Podłe są te nikczemne, obrzydliwe, miniaturowe ludziki zamieszkujące mój mózg, są jak żywe palce z twarzami i duszami. Niektóre noszą kapelusze. Ludzie cierpią. Ja cierpię. Dzieci się zabłakują. Kobiety płaczą. Matki leżą na łóżkach śmierci. Boję się — zawsze się bałem — że lada chwila rozlegnie mi się w uszach krzyk, lament lub szloch, dźwięki te zostaną podjęte przez inne udręczone we mnie głosy i nigdy nie umilkną. Nie wiedziałbym, czy to jawa, czy imaginacja. Ale to by było bez znaczenia. Przecież bym to słyszał. Miniaturowe stworzonka poruszają się, wyczuwam je, brudni, cyniczni starcy, wsparci na ostrych kulach i z ostrymi brodami mijają mnie z aluzyjnymi błyskami w okrutnych, bezlitosnych oczach. Zadają mi ból. Ugolino pożera głowę: moją (ten skurwysyn).

Znikąd pomocy. (Tylko siostra żony dociera stosunkowo blisko do delikatnego nerwu prawdy, do którego chcielibyśmy mieć dostęp, lecz zachowuje przy tym nieczulą twarz, kieruje się złośliwymi motywami, więc mam ochotę ją uderzyć.)

— Oddajcie małego do zakładu — mówi niemal rozkazująco z okrutną przyjemnością, ostro, natrętnie, zaznaczając napastliwie swoją przewagę, my zaś staramy się wspólnymi siłami jej przeciwstawić i odeprzeć atak.

„Dobrze wam tak! Zasłużyliście na to! — słyszę jej nienawistne warczenie, wypowiedziane moim własnym głosem i słowami. — Cieszę się, że to was spotkało. Cha, cha. Cieszę się, że to się przydarzyło wam, bo znam was, a nie jakimś tam nieznajomym, mieszkającym daleko.”

Mam ochotę ją uderzyć, bo czuję, że ona widzi mnie na wskroś, że kradnie moje myśli, w ten sposób zmuszając mnie do ich odrzucenia.

Chcemy się go pozbyć. Chcemy oddać go do zakładu. I potrzebujemy kogoś cieszącego się szacownym autorytetem, aby

nam to nakazał. Nie mamy odwagi zrobić tego na własną rękę. Co by znajomi o nas pomyśleli?

Bez serca.

Nieludzcy.

Chcemy oddać go do zakładu, ale się boimy.

(Dochodzą nas słuchy, że inni rodzice, zamieszkali w Connecticut, Nowym Jorku czy na Long Island, zamierzają trzymać swoich idiotów w domu. Dlaczego?)

— Nie trzymajcie go w domu — bez przerwy upomina nas siostra żony, niemal od dnia, kiedy nie mieliśmy już wątpliwości (a to było za wcześnie). — Zróbcie to szybko. Nie bądźcie obłudni. Im dłużej będziecie zwlekali, tym gorzej dla was i dla niego.

Ten pomysł był potworny. (Obłuda była łatwiejsza.)

— Nie powtarzaj tego w kółko! — oburzyła się na nią żona ostatnim razem. — Nie chcę już o tym słyszeć, bo nie wpuszczę cię więcej do domu. Poważnie.

— Mam dość! — krzyczę na żonę po odejściu tamtej. — Nie chcę więcej wysłuchiwać jej rad w stosunku do niego. Ani w stosunku do pozostałych dzieci. Wyrzucę ją z domu, jeśli się nie zamknie. A jeśli ty jej nie powiesz, ja to zrobię.

— Powiedziałam. Sam słyszałeś. Myślisz, że mi to łatwo przyszło?

— Wściekacie się dlatego, że przyznajecie mi rację — chęliwie odparła siostra żony.

— Chciała nam tylko pomóc — mówi żona ogarnięta skrucho. — Przykro mi teraz, że na nią wrzasnęłam.

— Nieprawda. Myślisz, że chciała nam pomóc? Powinna wyjechać do Arizony, do twojej matki.

— Ma tu sklep.

Siostra żony jest chropawą, ciemną podszewką charakteru żony, przyprawia to żonę o wyrzuty sumienia. I jest ukrytą stroną mojego charakteru (którą często odsłaniam w domu wobec rodziny i siebie samego z mściwą radością, kiedy zaczynam marzyć), tak jak Derek jest mną, kiedy nachodzą mnie pragnienia, aby znów być niemym, słabym i całkowicie zależnym od rodziców, starszych braci i siostr. (Tylko że nie chciałbym, aby mnie oddano do zakładu.) Wszyscy naokoło przypominają mi teraz mnie samego. Nawet Kagle. (Nie Green. Podziwiam Greena. Baron również nie, stwierdzam, że nie identyfikuję się zbyt chętnie z lepszymi ode mnie lub mającymi

bardziej pociągające cechy charakteru niż ja. Tylko z gorszymi ode mnie.) Baron nie mówi ze mną nigdy o Dereku. Kagle to robi, nienawidzę go za to. (Mogłem go zamordować, kiedy zjawił się nie proszony pewnej niedzieli, aby mi uroczyście i pretensjonalnie oznajmić, że to wola Boga. Jego też miałem ochotę uderzyć.) Wpadam w pasję, ilekroć ktoś mówi do mnie o nim (mam ochotę zamordować taką osobę). Chociaż jednocześnie żywię nadzieję, że wkrótce cały świat powie mi jak na komendę:

„Oddaj małego do zakładu.”

Nie powie.

Nie muszę sondować opinii członków mojej rodziny, aby wiedzieć, czego chcemy. Nawet mój jasnowłosy, kochany, dobry, wrażliwy synek, który z jednakowym oburzeniem przyjmuje wszystkie ewentualności załatwienia sprawy Dereka, nawet on nie mówi szczerze, kiedy błaga:

— Nie oddawajcie go.

Myśli:

Oddajcie.

Zróbcie to jednak tak szybko, żeby oko nie zdołało zobaczyć ani umysł zdać sobie z tego sprawy i zapamiętać.

Tamtej niedzieli Kagle zadzwonił ze stacji benzynowej, skłamał, że akurat jest w sąsiedztwie i chciałby się przywitać z moją rodziną. Wyglądał mizernie. Miał podbite z niewyspania oczy, potrafił się zdobyć tylko na nerwowy uśmiech.

— Ty słyszysz, co się mówi — powiedział. — Tym razem naprawdę jestem niespokojny. Czy ktoś coś o mnie mówił?

— Słyszę, że znów byłeś w Toledo.

— Nie mówią nawet ze mną o zjeździe. Zazwyczaj w tym okresie już mi podają temat.

— Może nie mają tematu.

— Mam się zobaczyć z White'em. I Baronem. Nigdy nie stykam się z White'em.

— Może on ma jakieś pomysły.

— Dwie na jednego — Kagle mruga, jak tylko żona odchodzi do domu.

— Murzynki?

Moja ironia do niego nie dociera.

— Nie dla mnie. Nie w Toledo. Mam tam doskonałe sto sunki. Powinieneś kiedyś wybrać się ze mną. Zajmę się tobą jak należy.

— Mam zaprosić go na kolację? — pyta żona.  
 — Nie.  
 — Wygląda na takiego biednego.  
 — Chce się przejechać.  
 — Nie zależy mi nawet — Kagle ociera usta wierzchem dłoni. — Mam dość robienia tego samego. Gdzie dzieciaki? Chciałbym przywitać się z nimi przed odjazdem.  
 — Bawią się.  
 — A jak tam malutki? Ten z uszkodzonym mózgiem.  
 — Odpoczywa. Musi.  
 — Nie powinieneś siebie winić za niego — mówi Kagle wciskając się do samochodu. — Ja siebie nie winię za swoją nogę. Wola Boga.  
 — Pewnie, Andy — odpowiadam z paskudnym uśmiechem, zgrzytając zębami. — Nie martw się o swoje stanowisko. Jeśli je stracisz, to będzie wola Boga.  
 — Che, che — śmieje się głucho.  
 — Che, che.  
 — Dlaczego nie chciałeś, abym go zaprosiła? — pyta żona.  
 — Bo nie chciałem.

Wola Boga.

Mam stanowisko Kagle'a.  
 — Widziałeś się dziś z Kagle'em — mówi żona.  
 — Skąd wiesz?  
 — Kulejesz. Czy z jego nogą jest gorzej?  
 — Nie. Dlaczego?  
 — Bo gorzej kulejesz. Kuśtykasz prawie.  
 Wyprostowuję się, aby zmienić charakterystyczną dla Kagle'a postawę, po swojemu niedbale opieram się o środkowy filar wewnętrznych schodów.  
 — Nie. Chodzi jak zwykle.  
 Żona patrzy na mnie podejrzliwie. Znow popijała wino

...  
 pomagając służącej przy kolacji. Jej zamglone oczy mają wyraz napięty, cierpliwy. (Nie mam siły w nie spojrzeć.) Ona wyczuwa coś, mówi dalej ostrożnie, cokolwiek zaciekawiona:  
 — W takim razie musiałeś przebywać z nim dłuższy czas.  
 — Obejmuję jego stanowisko.

— Tak? . . .

— Dziś dostałem awans. ×

— Na co?

— Stanowisko Kagle'a.

— Kagle'a?

— Załatwili to w końcu.

— Więc to o to stanowisko chodziło?

— Powinszuj mi.

— Wiedziałeś, że to jego stanowisko?

— Nie.

— Nieprawda, wiedziałeś. ■ s

— Domyślałem się.

— Co mu się stało?

— Nic.

— A co mu się stanie? Widziałam, jak wygląda.

— Dostał dymisję.

— Boże!

— Ja dałem mu dziś dymisję. On jeszcze nic nie wie oficjalnie. Jednakże chyba wie.

— Ty dałeś mu dymisję?

— Musiałem, do jasnej cholery! Nie wyrzucimy go na bruk. Przeniesiemy do innego działu, do czasu kiedy sam wymówi lub pójdzie na emeryturę. Nie mogę trzymać go u siebie. Jako z byłego szefa nie miałbym z niego pożytku. Jest kłopotliwy. Niechlujny. Obniżyłby mi poziom pracy.

— Ma dwoje dzieci.

— Ja też.

— Ty masz troje dzieci.

— No to co? r,

— Znów zapomniałeś o Dereku.

— No to co?

— Zawsze o nim zapominasz.

— No to co?

— Pstro. — Jest pijana i zaczepna.

— Co innego miałbym zrobić, do jasnej cholery?

— Jestem lepsza od ciebie.

— Chcesz mieć inny dom? Podobało ci się, że dostanę lepsze stanowisko?

— Dawniej myślałam, że nie jestem. Ale jestem. Tobie się zdaje, że jesteś lepszy ode mnie. Ale to nieprawda. To ja jestem lepsza.

— Tak? Byłabyś jeszcze lepsza, **gdybyś się nie dobierała po południu do butelki.**

— Twoja matka miała rację.

— Nie mieszaj jej do tego.

— Jesteś nędzną kreaturą.

— Powiedziałem, żebyś jej nie mieszała do tego.

— Nigdy nie myślałam, że jestem lepsza.

— Ciągłe mi suszysz głowę o forszę, tak?

— Nie.

— A jakże!

— Dzieci też nie. Nie suszymy ci głowy o forszę.

— I ty się dziwisz, że nie chcę powiedzieć, że cię kocham.

— Nigdy nie sądziłam, że nadaję się do czegoś. — Żona mówi z nie ukrywaną pogardą, na zimno, z premedytacją, której u niej nigdy nie zauważyłem. — Niewiele mi pomagasz.

— Kagle nie ma mi za złe. Więc dlaczego ty?

— Naprawdę?

— Tak. To on właściwie polecił mnie na swoje miejsce.

— Niemożliwe — ironizuje żona z wywiniętą wargą i kiwa głową ze wzgardą. — Wiedziałeś od miesięcy. A on dowiedział się dopiero teraz.

— Nabierasz wprawy w konwersacji tego typu.

— Nauczyłeś mnie tego.

— Przynajmniej do czegoś się nadajesz.

— Ale teraz wiem, że jestem lepsza od ciebie, no nie?

— Mówi się „tak”. Nie ma zwrotu „No nie”.

— Brzydki kutasek.

— Co ty powiedziałaś?

— Brzydki kutasek.

— Skąd to wytrzasnęłaś?

— Od ciebie. Mówisz to przez sen.

— Idę na górę. Nie mogę tego słuchać.

— Brzydki kutasek. A co z kolacją?

— Beze mnie. Będę obchodził tę uroczystość sam na górze. Muszę przygotować przemówienie.

— Jakże znów przemówienie?

— Wielką mowę na otwarcie zjazdu. Jestem teraz dyrektorem wydziału. To niewiele zapewne znaczy w moim domu, ale cholernie dużo znaczy w biurze. Kieruję całym wydziałem. Mogę robić, co mi się podoba.

— Możesz przywrócić Kagle'owi jego stanowisko?

— **Odpierdol** sie.  
— Jesteś nędzną kreaturą.  
— Powiedziałem ci i ostrzegłem. "Nie chcę tego nigdy więcej słyszeć."  
— Będę mówiła co mi się podoba! — krzyczy zaciętrzewiona żona. — Nie boję się ciebie.  
— Często mi to powtarzasz. Potem trzeźwiejesz i widzisz, że się boisz.  
— Łotrze! — Łzy szybko spływają jej po twarzy. — Znów wygrałeś batalię, prawda?

Wcale nie czuję się zwycięzcą. Wchodzę znużony na schody i czuję, że poniosłem klęskę. W biurze miałem męczący dzień. Zebrania skończyły się o piątej, aby plotki mogły się rozejść i nabrać mocy przez noc. Kagle dłużej od nas ociągał się z wyjściem, chciał potwierdzić plotki z uznaniem.

— Wiedz, że się walnie do tego przyczyniłem — powiada do mnie. — Walczyłem o ciebie z Baronem, kiedy prosił, żebym mu polecił kogoś, kto by sobie naprawdę dał radę. Zastanawiali się nad Brownem lub którymś z naszych prowincjonalnych menedżerów. Powiedziałem, że ty orientujesz się lepiej niż ktokolwiek z tamtych. Teraz naprawdę będę mógł się zająć wykrywaniem usterek, taka robota mi odpowiada. Nie bój się. Będę w pobliżu i pomogę ci według moich najlepszych możliwości.

— Nie dopuszczę do tego.

— Dzięki ci, Andy. Co tam masz?

— Przyrząd *perpetuum mobile*, dostałem to od White'a. Nigdy byś się nie domyślił, jak to działa, gdybyś nie wiedział, gdzie się znajduje baterijka.

(Baterijki się wyczerpują. Kagle pozostanie u nas jakieś dziesięć dni po zjeździe, potem będzie musiał wziąć na kilka tygodni urlop i wynieść się. Albo pójść na emeryturę. Mam pewien plan.)

— A ja? — powiadam do Browna, który sceptycznie za gradza mi drogę z tłumioną wojowniczością, z mięsistą szczęką zaciśniętą jak przed walką (zastanawiam się, czy on litościwie nie rozładuje mego napięcia, dając mi w szczękę na samym początku). — Można mnie było zwalić z nóg piórkiem, kiedy mi to powiedzieli, taki byłem zaskoczony.

— Słyszałem dobre wiadomości, o których ptaszki ćwierka ją — chichocze Ed Phelps, składając mi w ten sposób gratulacje.

Unikam Greena. Nie widuję Reda. W drodze powrotnej do domu czuję się napięty i wyczerpany w kolei podziemnej. Przydałaby mi się pigułka uspokajająca żony. Jeszcze nie wszedłem do domu, a już lituję się nad sobą, sam nie wiem dlaczego. Idę do łazienki po pigułkę, dopiero potem wchodzę do gabinetu i zamykam za sobą drzwi.

„Co się stało tatusiowi?” — mam nadzieję, że spytają dzieci szeptem, zdumione; że zainteresuje się moim stanem pielęgniarka Dereka i że sam Derek zauważy może, że siedzę zamknięty w swoim gabinecie.

„Nie bardzo dobrze się czuje” — mam nadzieję, że odpowie żona bardzo skruszona.

Chciałbym mieć pewność, że zamknięte drzwi mego gabinetu w domu czy w biurze budzą w ludziach taki sam złowieszczy strach, jaki we mnie budzą zamknięte drzwi pokoi pewnych osób. (Ciągle upokarza mnie to, że córka zamyka się w swoim pokoju, kiedy jest w domu. A teraz i syn to robi.)

Żałuję, że zwierzyłem się żonie z tego, co powiedziała do mnie matka przed śmiercią, jak mi się zdaje. (Żałuję, że mówię przez sen: brzydki kutasek. Teraz będzie mogła znęcać się nade mną i tym powiedzonkiem.) Pojęcia nie mam, dlaczego kiedykolwiek jej zaufałem. (Mężczyzna stanowczo nie powinien nic o sobie mówić swojej żonie.) Nie byłem nawet pewien, czy matka to naprawdę powiedziała. Nie byłem pewien, czy mnie poznawała dłużej niż przez sekundę podczas ostatnich kilku moich odwiedzin w klinice, nie wiem nawet, czy pamiętała, że tam jestem, kiedy milcząc siedziałem przy jej łóżku najpierw dwanaście, następnie dziesięć minut. Nie przynosiłem już wówczas pikantnych mięs, ryb i miodowych cukierków, nie mogła już nic połknąć. Nie opowiadałem jej plotek. Nie słyszała już. Często nie byłem nawet pewien, czy ona widzi, że ktoś siedzi przy niej, chociaż patrzyła na mnie.

— Jesteś nędzną kreaturą — rzekła. Nie słyszałem jej głosu. Dotarł do mnie jedynie słabutki szelest oddechu, kiedy słowa osiadły jej na wargach. Byłem zaskoczony, nachyliłem się nad jej otwartymi ustami, na które nie mogłem już patrzeć wprost, poprosiłem, aby powtórzyła to, co powiedziała. — Jesteś po prostu nędzną kreaturą.

Takie były ostatnie słowa mojej matki do mnie, jak mi się



zdaje. Gdybym żył sto dziewięćdziesiąt **lat, nie usłyszałbym** już nic innego z jej ust. A gdyby świat potrwał jeszcze trzy miliony lat, też już nie usłyszę innych słów.

Nieliche słowa jak na ostatnie słowa matki powiedziane przed śmiercią do własnego dziecka, prawda? Choćby to nawet był człowiek dorosły, żonaty, dzieciaty. Kiedy je usłyszałem, poczułem litość dla siebie większą niż dla niej. Przecież ona i tak umierała.

Ale ja musiałem żyć dalej.

Pojęcia nie mam, co kazało mi przypuszczać, że mogę zwieńczyć się żonnie. Minęło wiele lat od tamtego czasu. Byłem bardzo smutny. Świat był zardzewiałą blaszaną puszką. Jako dzieci włąziliśmy do wyrzuconych opon samochodowych i próbowaliśmy stoczyć się z pochyłych ulic. Nigdy nam się to nie udawało. Z wrotek na łożyskach kulkowych robiliśmy popychane nogą skutery. Ale łatwiej było po prostu chodzić. Mamusia złapała mnie, gdy upadłem, pocałowała stłuczone miejsce, żeby przestało boleć.

Nigdy nie powinienem był tego mówić tej suce. Te suki pamiętają takie rzeczy.

Błony mózgu. (Błony mózgu smagają mnie jak różgą.) Błony mego mózgu w liczbie trzech kolektywnie nazywają się oponami. Otaczają mózg z zewnątrz. Najgłębsza nazywa się *pia mater*. Jest delikatna, włóknista i gęsto usiana naczyniami krwionośnymi (żyłami i żyłkami). Czuję wewnętrzny ucisk na nią. Coś tam się burzy i napiera, jakby miało wybuchnąć. Czasem przywodzi mi to na myśl *fondue* z sera. *Pia mater* wzmocniona przez dwie pozostałe opony: pajączą i *dwa mater*, wytrzymuje rosnący nacisk mego mózgu, odpycha mózg z powrotem. Czasem powoduje to ból. Nazwa *pia mater* pochodzi ze złego tłumaczenia na łacinę arabskich słów, które znaczą (cha, cha) — czuła matka.

## Syn przestał ze mną rozmawiać

Syn przestał ze mną rozmawiać i nie mogę tego znieść. (Chyba już mnie nie lubi.) Nie zwierza mi się więcej.

Czasem mnie ofuknie, wówczas mam ochotę się rozplakać. Pamiętam to i serce mnie boli. Dlaczego miałby nie chcieć ze mną rozmawiać? Chcę przecież być jego najlepszym przyjacielem. Czyż nie wie, że prawdopodobnie kocham go bardziej niż kogokolwiek na świecie? Mówi, że dawniej śniło mu się, że chce wejść do naszego pokoju, ale drzwi są zamknięte. Teraz mnie się śnią zamknięte drzwi jego pokoju, to ja nie mogę wejść do niego.

Idąc spać nie mówi mi nawet dobranoc i zamyka drzwi swego pokoju.

W głowie mi się kręci. Mam zamęt uczuć, jakby je ściągały w dół jakieś wiry. On już nie przychodzi do mnie tak często jak dawniej, aby mnie o coś spytać, nie mam sposobu dowiedzieć się, o czym myśli, z kim się przyjaźni, jakie gry lubi najbardziej, jakie ma kłopoty w szkole i w domu z odrabianiem lekcji. Pytam go o Forgionego. Syn odpowiada naburmuszony. Nie sposób wyciągnąć z niego więcej, niż chce powiedzieć, nie obrażając go lub nie wypytyując innych za jego plecami. (Ciekaw jestem, czy uważa, że go szpieguję.)

— Dziś wspiąłem się po linie — oznajmia pewnego wieczoru, kiedy wraca na kolację późno, po ciemku już, z błyszczącymi oczami, ślicznie i zdrowo zarumienioną od gimnastyki i radości twarzą. — Dotarłem prawie na samą górę. Do cholery! Mogłem chyba dotknąć sufitu, gdybym się odważył puścić linę.

— Dotknąłeś już kiedy sufitu? — pytam.

— Dlaczego ciągle pytasz mnie o to?! — wybuchła i zły idzie do swego pokoju.

Odsuwa się ode mnie, nie chce tego. Nie dopuszcza mnie do siebie. Widzę zamknięte drzwi pokoju jego i córki i myślę o zamkniętych drzwiach w biurze, przypominam też sobie ze wstrętem tyle drzwi szafek i szaf ściennych, które co rano i wieczór musiałem otwierać w naszym miejskim mieszkaniu. Za tymi drzwiami stały pułapki, bo właśnie staraliśmy się wytępić myszy. Nie były to przysłowiowe dobre dawne czasy.

— Pamiętasz myszy — pytam żonę — które mieliśmy w mieście? Pamiętasz czasy, kiedy je mieliśmy?

— Nie mieliśmy myszy, tylko karaluchy.

— Karaluchy też mieliśmy.

— Nigdy nie mieliśmy myszy.

— Pamiętasz, jak się bałem, że będę musiał ukatrupić którąś pismem ilustrowanym?

— Bałeś się je zabijać. Bałeś się, że nadepniesz na którego. Nie mogłeś znieść, jak pękają przy rozgniataniu. To ja musiałam je najczęściej rozgniatać rannym pantoflem. I też nie mogłam tego znieść.

Żona z pewnością się myli.

Pamięć mnie ostatnio zawodzi, podstępnie miesza mi się z imaginacją i z wielkim trudem mogę oddzielić jedno od drugiego. Pamiętam, że w dzieciństwie obudziłem się kiedyś z głośnym płaczem, bo mi się śniło, że mam pełno karaluchów w łóżeczku, a kiedy zapalono światło i byłem już całkowicie rozbudzony, przez kilka minut widziałem jeszcze, jak uciekają, rozbiegają się po pokoju, potem znikają. To brat przyszedł mnie pocieszyć (raz rzucił we mnie kawałkiem węgla), usiadł przy mnie czule i siedział, dopóki nie przestałem chlipać. Nie mam już dużego brata. Któreś z moich dzieci — zapomniałem które — miało przed laty sen, że łapie ryby pływające w łóżku, od razu przypomniałem sobie, że i ja miewałem takie sny.

— Miałem w łóżku ryby — szlochałem rozdygotany. — Pływały po kocach.

— Już ich nie ma — pocieszał mnie brat cierpliwie. — Sam zobacz.

— Przedtem ich też nie było! — wykrzyknąłem nie przestając chlipać. — Ale ja i tak je widziałem.

Widzę rzeczy, które nie istnieją. Potrafiłem leżeć bezsennie

czekając, aż ktoś przyjdzie mnie ukraść. Bałem się ciemności. Słyszałem głucho jęki i szlochy dochodzące z innej części mieszkania. Kiedy wykradałem się ze swego pokoju, jęki ustawały. A kiedy wracałem, rozlegały się na nowo, ciągnęło się to z przerwami, dopóki sen mnie nie ukraść. Dawniej syn bał się ciemności, ale teraz już się nie boi. (Nie wiem, czy nie lubiłem go bardziej, kiedy się bał. Byłem chyba bardziej zadowolony, kiedy bardziej mnie potrzebował.) Teraz wraca do domu późnym wieczorem, ja się już martwię o niego, a on nie mówi, gdzie i z kim przebywał, chyba że go spytamy. Nie chcę, żeby się zamykał przede mną.

— Na szkolnym wieczorku w tym roku — mówię do żony — postaram się wyrwać na chwilę i pogadać z Forgiotorem i dyrektorem, aby się o wszystkim dowiedzieć, co się z nimi dzieje.

— Nie chce, żebyś poszedł na wieczorek w tym roku. A ja mam zostać tylko godzinę — informuje mnie żona.

— Dlaczego sam mi nie powiedział tego?

— Powiedział mi.

Córka ze swoim kolegą ukradli mój samochód mówiąc żonie, że pozwoliłem, potem córka się wykręcała, że matka ją źle zrozumiała. Przyparta do muru, wybuchnęła płaczem. Zarzuciła nam, że ciągle się jej czepiamy. Że jestem czulszy dla syna niż dla niej. Że nie może się doczekać ukończenia szkoły i wyjazdu na uczelnię, bo nie chce nas widzieć. Bo wie, że nie chcemy jej w domu.

— Gdybyś mi kupił samochód — powiedziała pochlipując — nie musiałabym kłamać, żeby go brać.

Prędzej czy później chyba będę musiał to zrobić (bardziej ze względu na siebie niż na nią). Ona mnie wykończy. Cieszę się, że cena benzyny idzie w górę, bo teraz biedacy nie będą mogli sobie pozwolić na nią i będzie jej pod dostatkiem dla takich jak ja i moja córka.

— Przynajmniej nie widuje się już z tym chłopakiem — mówi żona — I nie narkotyzuje się.

— Myślisz, że ja jej wierzę?

— Jeździ z kolegami i koleżankami. Wraca wcześniej. Pod czas weekendów nie wychodzi już tyle co dawniej. Nie zauważyłeś? — Żona smętnie pochyla głowę i mówi z wahaniem: — Szkoda. Nie ma nic do roboty.

Czuję się zaplątany w beznadziejną walkę. Przepowiednie się sprawdzają. Teraz czuję się lepiej w biurze. Bezpieczniej

nawet niż w domu (gdzie wcale nie czuję się bezpieczny. Sprawy bezwzględnie wymykają mi się z rąk w domu. Natomiast w biurze nic mi się z rąk nie wymyka), jeżeli potrafię całkowicie się poświęcić sprawom biurowym, mając wyraźne zadania i określone obowiązki. Wiem, co mam robić: przez jakiś czas muszę być jowialny i serdeczny dla wszystkich w moim wydziale, nawet dla tych, co się kwalifikują do wymówienia, jednocześnie chłodny i opanowany wobec moich podwładnych w filiach. Nikt nie powinien czuć się bezpieczny. Muszę trzymać każdego w napięciu, żeby bał się nieoczekiwanych decyzji na zebraniach odbywających się za zamkniętymi drzwiami, w których teraz uczestniczę. (Jestem twórcą królów.) Przygotowania do zjazdu idą sprawnie, bo nikt, komu powierzono opracowanie jakiegoś odcinka, nie czuje się bezpieczny. Personel patrzy na mnie z zawiścią, nadzieją, strachem, ambicją, niedowierzaniem i rozczarowaniem. Moja mała sekretarka wina mi awansu i spodziewa się, że zabiorę ją do nowego wydziału. Nie uczynię tego. Mówię jej, że jest zbyt cenna na swoim obecnym miejscu. Sekretarka Kagle'a będzie mnie strzegła lepiej, potrafi kłamać bardziej przekonująco, wymyślać zręczniejsze wymówki. W moim poprzednim dziale pracuje niejaki Schwoll, który wie wszystko, i Holloway, który jest słabeuszem — pierwszy to sprytny młodzieniec, który nie zagrzeje u nas miejsca; drugi to podstarzały wół roboczy i będzie u nas wiekował, są tam jeszcze trzy miernoty, te posłusznie i dość sprawnie wykonują swoje powinności, wszystkich ich zostawię z rozkoszą. W moim nowym tymczasowym gabinecie nie ma okna, znajduje się naprzeciwko gabinetu Kagle'a. Baron i White powiedzieli mi, że może zostać w swoim obszernym gabinecie tak długo, jak pozostanie u nas. (Nie powiedzieli, jak krótko pozwolą mu pozostać.) Green będzie musiał obsadzić moje dawne stanowisko. Ciekaw jestem, kogo znajdzie. Nie wiem jeszcze, jak potraktuję Greena. (On nie boi się mnie jeszcze tak, jak powinien, moim zdaniem.)

— Mógłbyś polecić mi kogoś na swoje miejsce? — pyta dość uprzejmie, kiedy się przeprowadzam do innego pokoju, ale w jego zachowaniu jest coś dziwnego, co każe mi się strzec. — Chciałbym dostać kogoś lepszego od ciebie — dodaje wesoło i złośliwie, kiedy kiwam głową.

— Będziesz musiał takiemu zapłacić znacznie więcej niż mnie — dowcipkuje.

— Zrobię to z rozkoszą — odparowuje cios. — Będzie tego wart.

Green wcale się mnie jeszcze nie boi, więc przez jakiś czas będę musiał się z nim obchodzić jak z jajkiem.

— A co sądzisz o Kagle'u? — pyta słodziutko. — Sądzisz, że nadawałby się na twoje dawne miejsce?

— Nie przyjąłby go. Uważałby to za wielki krok w dół. i

— Nie z miejsca, na którym chcecie go osadzić.

— Masz jakieś specjalne projekty?

— Dla ciebie?

— Naturalnie.

— Po współpracy z tobą uważałby to za wielki krok w górę.

— Jack — mówię do niego pojednawczo — powinienes teraz się mnie bać. Przynajmniej trochę.

— Wiedziałeś o swoim awansie, kiedy cię ostatnio straszylem, prawda?

— Musiałem siedzieć cicho.

— I mimo to się mnie bałeś.

— Nie bałem się.

— Mój sąd może być mylny, ale oczy mnie nie mylą. Nie mógłbym tak bardzo się pomylić co do ciebie.

— Wtedy umiałeś mi napędzić strachu.

— Pociłeś się jak ruda mysz. Teraz też się mnie boisz. W tej chwili.

— Ciągle umiesz napędzić mi strachu — uśmiecham się pokornie.

— I będziesz się bał zawsze.

— Tego nie jestem taki pewien. Nie będę musiał chodzić do ciebie na rozmówki. Mogę cię publicznie krytykować. Mogę uniemożliwić twoje projekty i odrzucać twoją pracę.

— Zrobiłbyś to?

— Wolałbym nie. Wolałbym korzystać z twojej pomocy. Ale nie rób ze mnie idioty.

— Trudno mi będzie oprzeć się temu mając do czynienia z kimś takim jak ty.

— Wiem. W tej chwili też cię kusi. Jeśli chcesz oberwać, napadaj na kogo innego. Spróbuj napaść na Blacka. Szybko odda ci z powrotem.

— Gdybym to zrobił — mówi Green z rumieńcem gniewu na twarzy, którego nie umie opanować — przeszkodziłbyś mi na pewno i opatrzył jego sińce.

Przez chwilę jestem bardziej opanowany od Greena.  
— To ty zaczynasz — upominam go łagodnie.  
— Trudno się powstrzymać.  
— Znowu?  
— Coraz trudniej mi się powstrzymać. Jak ty mnie będziesz traktował?  
— Z szacunkiem. Lepiej, niż Kagle cię traktował. Ze strachem, bo w tym roku nie chcę się z tobą użerać. Będę dla ciebie bardzo miły przy ludziach, jeśli z tego powodu nie zrobisz ze mnie idioty.  
— Będziesz miły? To mnie już poniża.  
— Będzie mi odpowiadała taka rola — zgadzam się uprzejmie. Uśmiecham się, bo wiem, że to prawda. — Nie dlatego, że mi to już teraz sprawia przyjemność, Jack, ale dlatego, że zaszła duża zmiana. Nie jesteś już moim szefem. Teraz ty musisz się bać mnie — przypominam mu. — Dobrze o tym wiesz.  
— Obawiam się, że nie potrafię.  
Więc Green jeszcze ciągle potrafi napędzić mi strachu! Mogę go deptać, pluć mu w oczy, doprowadzić go do rozstroju nerwowego, posłać go wijącego się z bólu do szpitala z jego wrzodami kiszek, jestem młodszy, silniejszy, wyższy, cieszę się lepszym zdrowiem, mogę mu dać w szczękę równie łatwo jak Brown mnie, ale to on ciągle potrafi napędzić mi strachu. Ciągle się go boję i obficie pocę się pod pachami. Nic dziwnego, że coraz częściej padam ofiarą niesamowitych widziadeł i doznań. (Niektóre pobudzają moją wyobraźnię. Inne nie.)  
Przedwczoraj wszedłem do kawiarni, chciałem zjeść kanapkę z rostbefem na bułce z kminkiem i zdawało mi się, że widzę za kontuarem mego fryzjera.  
— Co pan tu robi? — spytałem.  
— Nie jestem pańskim fryzjerem — odparł.  
Bałem się, że zmysły tracę.  
Tydzień temu wyjrzałem przez okno taksówki i zobaczyłem Greena zebrzącego na ulicy w deszczu, ubranego w długi mokry płaszcz i zdarte buciory. Był o głowę wyższy, o wiele chudszy, blade i ponury. To nie był Green. Ale widziałem jego.  
Bałem się, że klepki mi się mieszają.  
Wczoraj wyjrzałem przez okno autobusu i zdawało mi się, że widzę Charliego Chaplina idącego spacerkiem przez ulicę, byłem pewien, że go znam. To nie był Chaplin i nie znałem faceta.

Może pamięć zaczyna mnie zawodzić. Mam obecnie kłopoty z zapamiętaniem nazwisk i porządku cyfr numerów telefonicznych, które znam od dawna. Pary cyfr z innych numerów telefonicznych wciskają się do dobrze mi znanych. Po tylu latach nie jestem teraz pewien, czy numer Penny zaczyna się dwiema siódemkami i kończy osiem, siedem, czy też na odwrot. Nie zawsze jestem pewien, czy numer Reda brzmi: dwa, osiem, zero, dwa, czy też dwa, zero, osiem, dwa. Ale wiem, że Penny znów jest w ciąży — nie ze mną. Dałem jej forszę na zabieg. Będzie chciała koniecznie mi ją zwrócić, kiedy zaoszczędzi dość pieniędzy, które dostaje miesięcznie od rodziców z Wilmington. Dawniej każda kelnerka podająca koktajle, na jaką się natknąłem, była rozwódką i miała dwoje dzieci mieszkających za miastem u jej matki. Teraz są po dwóch skrobankach. Studentki, młode modelki, sekretarki, stewardesy i dziewczyny ze szkoły dramatycznej miały po jednej. Dyplomantki mogą już być po dwóch, zależnie od kierunku studiów. Jane odeszła od nas, kiedy zwinęliśmy pracownię graficzną. (Nie była zyskowna.)

— Zadzwoń do mnie, jak tylko się urządzisz. Albo wcześniej — powiedziałem.

Zadzwoiła. Wymówiłem się pracą, obiecałem do niej zatelefonować później. Nie zadzwoniłem. Czasem usiłuję się zbudzić ze snu i nie potrafię. Sen trzyma mnie w swoich okowach, właśnie to mi się śni.

Usiłuję uporządkować swoje sprawy. Zrobiłem listę.

— Słuchaj — mówię pewnego dnia do żony tonem spokojnym i zdecydowanym. — Wkrótce będziemy musieli usiąść i poważnie zastanowić się nad tym, co zrobić z Derekiem. Nie będziemy mogli zawsze go trzymać w domu, jeśli chcesz wie dzieć.

— Nie chcę o tym mówić.

Ja również nie.

Wydaje mi się, że mam straszliwe kłopoty. Wydaje mi się, że popełniłem zbrodnię. Ofiarami są zawsze dzieci.

— Gniewasz się na mnie? — pytam syna z miłym uśmiechem, starając się utrzymać ton w pogodnych rejestrach.

— Nie, wcale nie.

Jakiś błysk przebiega mu po twarzy. Moje pytanie niepokoi go. Niemal boję się mówić dalej.



— Prawie wcale nie odzywasz się do mnie.  
 — Odzywam się — wzrusza ramionami. — W tej chwili też się odzywam — wykręca się niespokojnie, twarz ciemniej mu, jest przygnębiony. Nie chce spojrzeć na mnie.  
 — Nie tyle co dawniej. Ciągłe siedzisz w swoim pokoju.  
 — Lubię tam siedzieć — ponownie wzrusza ramionami.  
 — Nie chcesz, żebym cię wypytywał, prawda?  
 — Czasem.  
 — Co ty tam robisz?  
 — Czytam. Oglądam telewizję. Odrabiam lekcje. Myślę.  
 — Sam?  
 — Lubię być sam.  
 — Dawniej nie lubiłeś.  
 — Teraz lubię.  
 — Potrafisz teraz odrobić wszystkie lekcje bez mojej pomocy?  
 — Nie wszystkie.  
 — Co wtedy robisz?  
 — Nie szkodzi, jeśli się pomylę.  
 — Czy nie byłoby lepiej, gdyby wszystkie były dobrze odrobione?  
 — Nauczycielki się nie przejmują. Mogę już iść?  
 — Dokąd?  
 — Do swego pokoju — mówi z przeproszającym uśmiechem, doceniając swoją dowcipną odpowiedź.  
 — Oczywiście — zgadzam się jowialnie z fałszywą serdecznością. — Chciałem się tylko dowiedzieć, czy nie gniewasz się na mnie.  
 — Ty też ciągle siedzisz w swoim pokoju — przystaje na schodach, aby to powiedzieć na swoją obronę. — Mamusia siedzi w swoim pokoju. Nie myślisz chyba, że coś ze mną nie jest w porządku?  
 — Ale zawsze pozwałam ci wejść do mojego.  
 Boże drogi, oto stoi przede mną wrażliwy, szczerzy, inteligentny chłopczyk, jak gdyby nie większy, niż kiedy był brzdącem, a ja się z nim sprzeczam bliski łez (ze ściśniętym gardłem), jak gdybym był zalotnikiem, któremu dano kosza, egoistycznie krzyżując z nim szpadę, jak zrobiłbym to z żoną czy córką.  
 Jaka będzie moja śmierć? Policzymy możliwości. (Nie, nie chcę.) Uprawiałem już tę młodzieżową gimnastykę i nie będę na nią tracił czasu. Żadna śmierć nie jest dobra. Nie potrafię

wymazać z pamięci obrazu energicznego, prosperującego, wysokiego, przystojnego mężczyzny, który padł martwy w holu mojego biura przed kilkoma tygodniami, a ja się prawie o niego otarłem. Widziałem go wyraźnie, kiedy padał twarzą na podłogę. Nawet w chwili, kiedy zginał się i osuwał na ziemię, wyglądał jak uosobienie zdrowia, krzepy, niezniszczalnej siły, dopóki nie uderzył twarzą o podłogę z tępym plaśnięciem i z ust nie trysnęła mu krew. Przeszedłem koło niego bez drgnienia. Jak gdybym nic nie widział. Kiedy wróciłem z lunchu, jego już nie było. Zabrano go. Byłem rozczarowany. Ktoś zniekształcił rzeczywistość, żeby zrobić porządek. (Teraz mam u siebie wszystko w idealnym porządku.) Ciągłe łapię się na tym, że szukam go w miejscu, gdzie upadł. Pamiętam, jak padał. Dziś rano idąc do biura zobaczyłem nieprzytomnego włóczęgę na stopniach katedry Św. Patryka, plamił kamienie ciecżą, która była moczem lub whisky. Byli tam policjanci, którzy zajmowali się nim. Nie potrzebowali mojej pomocy.

I bardzo dobrze, że nie potrzebowali.

Biada, biada, niestety i ach! Żona również jest znowu nie-szczęśliwa. Doszliśmy do rozsądnego porozumienia, że nie wszystko jest moją winą i niewiele mogę zrobić, aby naprawić zło (choć ciągle uparcie nie mówię jej, że ją kocham, a ona zdecydowanie nie chce spytać). Nikomu na niej nie zależy.

— Chciałabym mieć jakiś ciekawy zawód — mówi.

-■> — Jeszcze nie jest za późno.

i' — Jest — podnosi oczy i przygląda mi się badawczo. > »'

— Oczywiście.

Pogodziła się z faktem, że Kagle musi odejść niezależnie od tego, co ja zrobiłem, że gdybym ja nie zajął jego miejsca, nie daliby mi już awansować.

— Wziąłbyś gosposię, prawda? — mówi żona sennie. — Umieściłbyś Dereka w zakładzie. A może posłałbyś dzieci do internatu, a sam przeprowadził się do centrum.

— Gdyby co?

— Gdybym sobie odebrała życie albo zmarła na raka, albo odeszła od ciebie sama czy też z innym.

— Zastanawiasz się nad którąś z tych ewentualności? — pytam z uzdrawiającą pobłażliwością.

— Nie miałabym do ciebie pretensji. Nikomu nie zależy na mnie.

— Ani na mnie — jestem zmuszony wyznać. — Tylko tobie i dzieciom na mnie zależy. Ale Derekowi już nie.

— Mnie by to wystarczyło. Nie okłamuj mnie — dodaje z godnością i żalosnym półśmiechem. — Nie uwierzyłabym ci.

Żona czuje, że nikomu już na niej nie zależy, i pewnie ma rację.

Ludzie naokoło tak się męczą, nawet ona. Ja męczę się nad mową, którą muszę wygłosić. Syn zginie zapewne beze mnie (albo ja bez niego. Wydaje mi się, że zawsze to wiedziałem, jeśli idzie o niego). Boże drogi, zaczynamy się męczyć na długo przedtem, nim dowiemy się, czym jest męczarnia. Jesteśmy obarczeni męczarnią, zanim możemy ją nawet dostrzec. Tylu ludzi trzęsie się z ukrytego strachu. Podobno urodziłem się z pogniecioną twarzą, z czerwonosinymi pręgami po kleszczach na ramionach i barkach, nie czułem jednak najmniejszego przekazu bólu, bo mój system nerwowy jeszcze nie rejestrował bólu. Wiedziałem jednak, czym jest samotność. Już wtedy bałem się ciemności. I światła. Gdybym wiedział, czym jest chłód i marznący śnieg, bałbym się i tego. (Czy boimy się rzeczy, których nie możemy zobaczyć, czy też tego, co zobaczymy, kiedy będziemy mogli je zobaczyć?) Bałem się, że otworzę oczy i ciągle będzie ciemno. (Tak było w szpitalu tej nocy, kiedy mi usunięto migdałki.) Boję się, że coś w tym rodzaju przydarzy mi się i teraz. I nikt nie przyjdzie. Strach. Utrata miłości, utrata ukochanych osób, utrata miłości ukochanych osób. Rozstanie. Nie chcemy odejść, nie chcemy, aby oni odeszli, nie chcemy doczekać, kiedy sobie pójdą, chcemy, aby wrócili. Mamy konflikty. Potrzebowałem sutki, która mnie karmiła, ramienia, które mnie brało na ręce. Nie znałem imion. Kochałem pokarm, który mnie żywił — tyle wiedziałem — ramiona, które trzymały, ścisnęły, obracały mnie i dawały mi przekonanie, przynajmniej w tamtych czasach, że nie jestem sam, że ktoś inny wie o moim istnieniu. Bez tych ramion byłbym sam. Boję się teraz ciemności. Miewam koszmarne sny w cudzych łóżkach i we własnym. Pod moim łóżkiem czają się zjawy, czekające, aby się wynurzyć. W moich szafach ściennych kryją się duchy. Jestem niespokojny jak czteroletni brzdąc. Boję się też światła. Boję się, że pewnego dnia otworzę oczy i ciągle będzie ciemno. I nikt nie przyjdzie. (Zbudziłem się w szpitalu bez migdałków, potem wielokrotnie się budziłem tamtej nocy, ale ciągle było ciemno. I nikt nie przyszedł.) Na

co ja będę czekał tego dnia, kiedy nadejdzie dzień, ale nie będzie światła? Jaki ja będę jako zniedołężniały starzec? Czy będę nieprzyzwoicie molestował dzieci, puszczał wiatry, załatwiał się w pokoju na podłodze, nazywał Murzynów czarnuchami i szczuł Żydów? I teraz mi się zdarza powiedzieć: czarnuch, to określenie wymyka mi się po prostu. Mógłbym szczuć Greena. Wydaje mi się, że wiem doskonale, jak sobie poradzić z Greenem.

„Jack — zacząłbym z rozbijającą serdecznością — chciałbym zaangażować jakiegoś Żyda. Znasz jakiego? Potrzebowałbym sprytnego.”

„To byłoby niemożliwe, niestety” — odpowie może z taką samą udaną serdecznością.

„Nie ma już sprytnych Żydów?” — ciągnąłbym dalej urągliwie.

„Ależ są — odpowiedziałby — tylko że sprytny nie pracowałby u ciebie. A jeśli chcesz zaangażować oferę, to równie dobrze możesz wziąć protestanta. Będzie się lepiej prezentował.”

I przekonałbym się znowu, że wcale nie potrafię sobie z nim radzić. Jestem zapewne jednym z nielicznych ludzi na całym świecie, którzy wiedzą (nie: który wie), że z wściekłości człowiek sinieje, z ponurości blednie. Dużo mi przyjdzie z tej wiedzy. (Może Green też to wie i jeszcze mniej mu z tego przyszło.) Mój syn znów jest błądliwy, ma oczy niebieskie i głębokie. Chciałbym móc w nie zajrzeć do samego dna, zobaczyć, co się dzieje w jego głowie.

— Dlaczego mi się tak przyglądasz? — pyta zakłopotany.

— Wcale się nie przyglądam.

— Przyglądasz.

— Przepraszam. Byłem zamyślony. — On milczy jak zaklęty. — A gdybyś spytał, o czym myślałem, wiesz, co bym powiedział?

— Co? — pyta, aby mi sprawić przyjemność.

— Myślałem właśnie, kiedy spytasz, dlaczego tak ci się przyglądam.

Uśmiecha się z pomrukiem uznania, to dowód, że docenił mój dowcip, potem idzie do swojego pokoju i zamyka za sobą drzwi.

Nie chcę, żeby odchodził. Zawodzi mnie pamięć, pęcherz mam słaby, stopy robią mi się płaskie, nie mam już migdałków,

moja szczęka próchnieje, teraz syn chce mnie odsunąć od siebie, zostawić samego, a ja nie znam powodów jego postępowania. Co mi pozostanie? Stanowisko w koncernie? Kiedy skończę pięćdziesiąt pięć lat, będę miał tylko perspektywę dożycia do lat sześćdziesięciu pięciu i objęcia stanowiska Barona. A kiedy będę miał sześćdziesiąt pięć lat, będę już tylko czekał na to, aby dożyć lat siedemdziesięciu pięciu albo umrzeć przed tym terminem. Kiedy zaś będę miał siedemdziesiąt pięć lat, moją jedyną perspektywą będzie śmierć przed osiągnięciem osiemdziesięciu pięciu lat albo dom starców. Będą mi potrzebne lewatywy. (Czy będą musieli ubierać mnie w nieprzemakalne grube kalesony, przeznaczone dla panów nie panujących nad swoimi funkcjami cielesnymi?) Nie będę panował nad swoimi funkcjami cielesnymi. Nie chcę żyć dłużej niż osiemdziesiąt pięć lat i nie chcę umrzeć wcześniej, nim skończę sto osiemdziesiąt sześć.

Och, tatusiu, dlaczego mi to zrobiłeś?

Chcę, żeby ojciec wrócił.

I chcę, aby mój syn wrócił do mnie.

Nie chcę go utracić.

Chcę.

— Coś się stało! — krzyczy gorączkowo jakiś nastolatek do kolegi i biegnie zobaczyć co.

W handlowej dzielnicy zbiera się tłumek. Samochodem zarzuciło i wjechał na chodnik. Roztrzaskał tafłową szybę. Mój syn leży na ziemi. (Nie urwało mu głowy.) Krzyczy w męce i przerażeniu, ma pocharatane nogi i ramiona, powykręcane, strumienie krwi tryskają z dziur w jego twarzy i głowie, ściekają z rękawa na dłoń. Dostrzega mnie i gwałtownym ruchem wyciąga ku mnie ramię. Jest przerażony. Ja też.

— Tatusiu!

On umiera. Na jego twarzy osiadło przerażenie, straszniejsze niż najstraszliwsze, jakie potrafię sobie wyobrazić. To ponad moje siły. I ponad jego. Ścisza mnie. Spojrzeniem zebrze o pomoc. Krzyczy przenikliwie. Nie mogę patrzeć na jego udrękę i strach. Muszę coś zrobić. Przyciskam mocniej jego głowę w zagłębieniu mego ramienia. Coraz mocniej obiema rękami. Naciskam.

— Śmierć — mówi lekarz — nastąpiła wskutek uduszenia. Chłopak został uduszony. Miał niewielkie rany na głowie i twarzy, stłuczone biodro, głębokie cięcie na ramieniu. I to wszystko. Nawet śledzionę miał nienaruszoną.

Pielegniarka i policjant zachowują się bardzo taktownie, widząc, że płacze. Czekają w pełnym szacunku milczeniu.

— Może pan zechciałby zostać sam? — szepcze któreś z nich.

Boję się zostać sam. Wolę, aby przy mnie byli ludzie, niech patrzą, jak szlocham, ogarnięty miazdzącym bólem i wstydem. Płaczę długo. Kiedy w końcu jestem w stanie przemówić, podnoszę powoli powieki i mówię:

— Proszę nic nie mówić mojej żonie.

## Nikt nie wie, co zrobiłem

---

I ikt nie wie, co zrobiłem. Wszystkim zaimponowałem dzielnością, z jaką objąłem stanowisko Kagle'a i zająłem się przygotowaniami do zjazdu. Nikt nie rozumie, że najłatwiej mi było zachować się dzielnie.

Wygłoszę wreszcie mowę. To poważny sukces (ale to nikogo nie obchodzi. Przekonuję się, że natychmiast po takiej mowie nikt nie pamięta jej treści. Żywiłem ukrytą nadzieję, że któryś z polecających mnie dygnitarzy zaproponuje rozesłanie powielonych kopii tej mowy przez nasz Wydział Propagandy i Informacji do filii koncernu, fachowych wydawnictw i izb handlowych. Żaden tego nie zrobił). Zgodnie z radą Barona moja mowa była krótka. Trwała dokładnie trzy minuty. Kagle otworzył zjazd i wylewnie mnie przedstawił w mowie trwającej piętnaście. Green przemawiał dwadzieścia siedem minut, zabierając czas, który wyznaczyłem dla całego jego działu, był błyskotliwy i nudny.

- Podobała mi się twoja mowa — pochwaliłem go.
- Chcesz kopię? — spytał. — Kazałem ją powielić.
- Miałem właśnie zamiar poprosić cię o nią.
- Nie zapomnij wymienić autora, jeśli zacytujesz z niej cokolwiek. Zamierzam ją wydrukować.

Jego oczy polują już poza mną na większą zwierzynę. (Ciagle jeszcze nie jestem dość ważny dla niego — w tym roku.) Odchodzi ode mnie, podchodzi do White'a, który odchodzi do Blacka, słuchającego uważnie, co złego szepcze mu o mnie Brown, któremu wkrótce będę musiał powiedzieć kilka słów do słuchu i którego się boję. Wszyscy wydają się olśnieni moją

gładką pewnością siebie, szybkością, z jaką kompetentnie panują nad sytuacją.

Systematycznie porządkuję swoje sprawy. Skreślam je po kolei z listy.

Powiedziałem żonie, że ją kocham.

Postanowiliśmy na razie zatrzymać Dereka w domu (może się rozwinie. Lekarze mogą się mylić. Co dzień wynajdują nowe środki) i znaleźliśmy mu pielęgniarkę, która może się nada (pierwsze dwie, które zaangażowaliśmy ostatnio, nie zostały długo, a ta ma nieprzyjemny zapach ciała).

Podarowałem córce samochód. Humor jej jakby się poprawił. (Kupiłem żonie nowy kabriolet, który jej się podoba, posłałem ją po rzeczy do nowego domu. To nie jest zawód, jakiego by pragnęła, ale dom trzeba będzie umeblować. Żona nie chce jechać na wakacje beze mnie. Jesteśmy teraz trój-samochodową rodziną.) Córka obiecuje, że zda w tym roku egzaminy, i chce dalej się kształcić. Utrzymuje, że przestała kłamać. (Może mówi prawdę.)

Posłałem na emeryturę Phelps'a i zwolniłem Reda Parkera. (Red nie wie jeszcze o tym. Przysłała najserdeczniejsze pozdrowienia z St Thomas, ile razy tam leci z jakąś nową poderwaną facetką.) Teraz co piątek dostaję dokładne sprawozdania od komiwojazerów.

— Przynajmniej to jedno jest dobre — niechętnie przyznał Brown, kiedy wróciliśmy ze zjazdu. — Możemy już nie marnować czasu na te idiotyczne sprawozdania.

Przygotowany na najgorsze, wstałem i spojrzałem mu prosto w oczy.

— Mylisz się. Będę chciał je widzieć na moim biurku co piątek pod koniec urzędowania.

— Jesteś gnojkiem.

— I nie życzę sobie, abyś mnie nazywał „gnojkiem”.

Nasze oczy się zwały. Trysnęła z nich nienawiść. Zobaczyłem, że Brown zaciska wielkie pięści i cały się trzęsie w środku. Myślałem, że z miejsca wyrznie mnie w szczękę, aż nagle zdałem sobie sprawę, że krew odpływa mu z twarzy może nawet szybciej niż mnie z mojej. I on się bał. Rozkładał się: chorobliwe drgawki wiły się jak robaczki wokół jego ust i żyłastej szczęki. Cała jego dzika odwaga rozpływała się — widziałem, jak ucieka ode mnie dokądś, skąd już nigdy nie powróci.



„Johnny — miałem ochotę krzyknąć — Johnny Brown, dokąd idziesz?”

— Okej — wymamrotał ze spuszczonej oczami.

Nie było go już jednak, jakby pod wpływem czarów przemienił się w służalczego, płaszcącego się typka, aby utrzymać posadę, do której już przestał się nadawać. Kazałem go przenieść do innego działu, a jego miejsce zajął Włoch, absolwent szkoły handlowej, który chce dojść do czegoś i który się mnie boi.

Częściej gram w golfa. (Swisz!) I całkiem dobrze mi idzie. Kagle już nie figuruje na liście płac — ma emeryturę, udział w zyskach i dwuletni kontrakt u nas jako konsultant na pół etatu, ale nikt go nigdy nie wezwie do konsultacji.

Ciągle nie udało mi się zaangażować Żyda. Nasza instytucja daje równe szansę, nie wiem jednak, gdzie go znaleźć. (Green znalazł Żyda na moje miejsce, płaci mu więcej niż kiedyś mnie. Mam nadzieję, że ten facet nie jest hucpowaty.)

Maszynistka Martha odeszła. (W każdym biurze, w jakim kiedykolwiek pracowałem, zawsze przynajmniej jedna osoba dostawała powoli obłądu, ciekaw jestem, jak długo to potrwa, nim nasz Wydział Personalny i opatrność przyślą mi następną.)

Pewien facet nazwiskiem Gray doszłusował do koncernu z wysokiego stanowiska rządowego i bardzo będzie pasował między Blackiem i White'em (szary między czarnym i białym). Nie mamy już w nazwiskach kolorów podstawowych, jak mi się zdaje, choć prawdopodobnie mamy jeszcze kilku czerwonych, cha, cha, ale większość nas czuje się sino-smętnie, cha, cha, i wszyscy jesteśmy żółci ze strachu.

Ile razy mam naprawdę dobre wypróżnienie, mój samotny hemoroid zaczyna krwawić. Może powinienem się postarać o towarzysza dla niego. Teraz, kiedy wzięłem na barki swoje obowiązki, słyszę głosy:

„Jesteś doskonałym organizatorem, Slocum.”

„Robisz dobrą robotę, Slocum.”

„Podobało mi się, że tak z miejsca dałeś sobie radę, Slocum.”

„Twój wydział naprawdę jest na chodzie, Slocum.”

„Bardzo zręcznie pozbyłeś się Kagle'a, prawda, Slocum? Cha, cha.” ■ „Nie widziałem nigdy, żeby tak zawzięcie harowali, Slocum.”

„Podoba mi się sposób, w jaki wzięłeś wszystkich w garść.”

■ „Cieszę się, że tak się dopasowałeś.” \*■  
(Dopasowuję się istotnie.) „Kto to taki?”  
„Slocum.”

— Chciałbym przedstawić panu Boba Slocuma — przed stawiają mnie teraz Baron i White. — To jeden z naszych najlepszych pracowników.

Teraz, kiedy Baron zaprasza nas na kolację, spotykam u niego dyrektorów znacznie wyższego szczebla. Gram w golfa ze znacznie lepszą klasą ludzi. (Swisz!) Dwukrotnie już grałem w Round Hill jako gość White'a, raz z jego nieciekawą siostrą i jej mężem. Robiła do mnie oko. (Swisz!) Biorę rozmach w specjalny sposób. Grałem w Burning Tree w Waszyngtonie jako gość naszego klienta i słyszałem wiceministra opowiadającego kawał z brodą bez poczucia humoru. Śmiałem się. (Swisz!) Zanosilem się śmiechem.

— Nazywam się Slocum. Bob Slocum.

— Proszę mnie odwiedzić, kiedy pan będzie następnym razem w Waszyngtonie.

Grałem w White Sulphur Springs w Wirginii Zachodniej jako przedstawiciel koncernu na krajowej konferencji handlowo--przemysłowej. Może pewnego dnia — jeśli moja gra i stanowisko dalej będą szły w górę — zagram nawet w St Andrews w Szkocji. (Swisz!) Tęsknię za synem. Martha, maszynistka, w końcu zwariowała z kretesem, kiedy dojrzała do tego, i to tak, że mogłem gładko z tego wybrnąć. Załatwiłem się z tym jak baletmistrz.

— Telefonujcie do Wydziału Zdrowia — rozkazałem auto rytatycznie, niemal śpiewająco. — Telefonujcie do Wydziału Personalnego. Połączcie się z Wydziałem Ubezpieczeń. Telefonujcie do Wydziału Podróży, niech natychmiast wynajmą li muzykę z szoferem.

Martha siedziała na stołku maszynistki jak kamienny posąg, nie poruszyła się, nie odezwała. Była głucha na błagania, gwałtownie strząsała z siebie pomocne dłonie, widać było, że może zacząć przeraźliwie krzyczeć. Czekałem w pobliżu z niewzruszonym wyrazem twarzy. Spojrzenie jej stawało się niepewne, przerażone, ilekroć ktoś zbliżał się do niej. Pielęgniarki z Wydziału Zdrowia zjawiły się szybko.

— Jak się czujesz, kochanie? — uspokajająco spytała starsza.

Zebrało się liczne audytorium, którym ja kierowałem. Martha wstała potulnie, uśmiechnęła się z odcieniem szatańskiego zadowolenia, że udało jej się wywołać u tylu ludzi taką czułą troskliwość, że są usłużni i przerażeni.

— Spokojnie, spokojnie, kochanie.

— Chodź, kochanie.

— Zabierz swoją torebkę, kochanie. I książkę.

— Chciałabyś odpocząć, kochanie?

— Mieszkasz z kimś, kochanie? Z kimś, do kogo moglibyśmy zatelefonować?

— Chciałabyś się położyć, kochanie? Zanim przyjedzie samochód?

— To ślicznie, kochanie.

— Do widzenia, Martha.

— Do widzenia, Martha, kochanie.

— Pa, kochanie.

— Zostawiłaś coś?

— Nie martw się, kochanie. Przyślemy ci to.

— Obchodźcie się z nią łagodnie — błagałem. — To wspomniała dziewczyna.

Po jej wyjściu usłyszałem aplauz za tak piękne pokierowanie sprawą.

Nikt nie czuł się zakłopotany.

Wszyscy wydawali się zadowoleni, że tak wspaniale opanowałem sytuację.